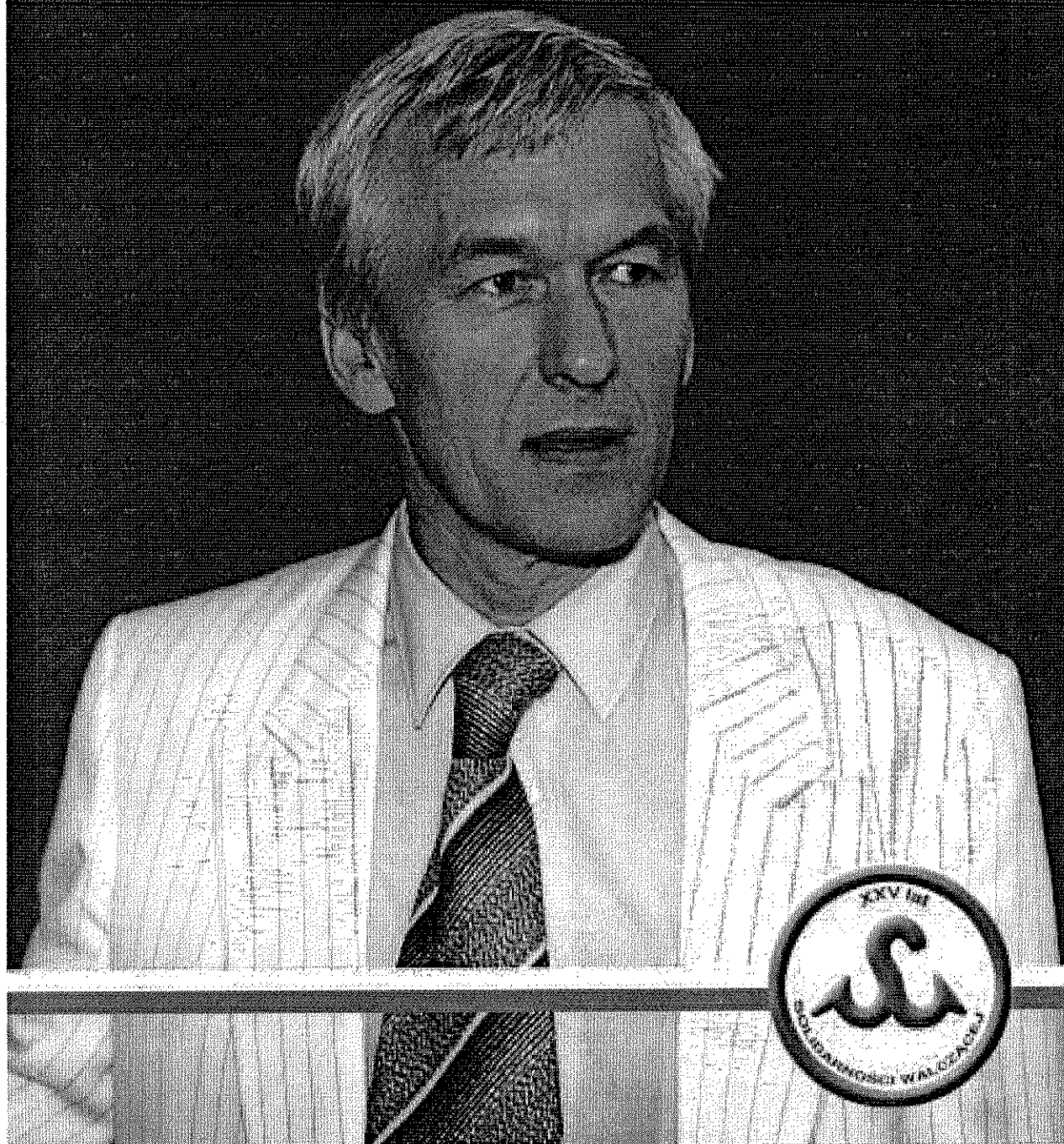


# KORNEL

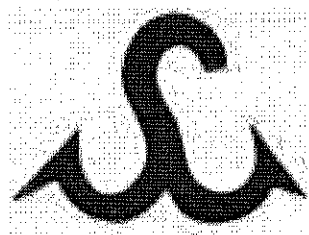


# KORNEL

**Z Przewodniczącym Solidarności Walczącej**

**Kornelem Morawieckim**

**rozmawia Artur Adamski**



Wrocław

Projekt okładki i układ graficzny:  
Romuald Lazarowicz

skład i łamanie:  
„Lena”, Wrocław

Korekta:  
Helena Lazarowicz

Fotografie:  
Archiwum SW, Archiwum Kontrwywiadu SW

Copyright for this edition 2007 © by Solidarność Walcząca

Copyright for text 2007 © by Kornel Morawiecki & Artur Adamski

ISBN 978-83-925099-2-9

**kontra** 

ul. Chabrowa 5a  
52-200 Wysoka

Druk i oprawa:  
„Kontra”

# Spis treści

Budziciel marzeń .....	7
Skazany na zapomnienie .....	10
Zanim powstała Solidarność Walcząca .....	12
1968 .....	36
„Kornelówka” .....	44
Pielgrzymka .....	55
Biuletyn .....	64
Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej .....	74
Stan wojenny .....	78
Regionalny Komitet Strajkowy .....	93
Cel – obalić komunizm .....	107
„Struktura fraktalna” .....	112
Solidarność Walcząca – nie tylko w Polsce .....	133
Młodzież w Solidarności Walczącej .....	144
Sześć lat w ukryciu .....	160
Aresztowanie .....	167
Wygnanie .....	185
Ameryka .....	197
Okrągły stół .....	209
Oni i my .....	222
Trochę lepszy świat .....	249
Aneks. Zasady Ideowe i Program Solidarności Walczącej (1987 r.) .....	251

## Budziciel marzeń

Chyba każdemu, kto dorastał w PRL-u, mocno zapadł w pamięć pierwszy kontakt z książką, gazetką czy broszurą, wydrukowaną poza zasięgiem cenzury. Choć może w ostatniej dekadzie Polski „Ludowej” często było już inaczej. Dzięki ludziom, którzy od drugiej połowy lat siedemdziesiątych krok po kroku łamali monopol wydawniczy, „wolne słowo” było coraz powszechniej dostępne. Skrywane w zaciszu prywatnych mieszkań, we wnętrzach świątyń, tajnych zakamarkach fabryk, gabinetach pracowników naukowych – istniało jako tępiona, ale ciągle odradzająca się część rzeczywistości.

Zaczynałem edukację w szkole średniej, kiedy pierwszy raz w moje ręce trafiła powielona gdzieś potajemnie broszurka. Pożyczyła mi ją koleżanka „tylko do szybkiego przeczytania”. Obracałem ją powoli w dłoniach, jak gdyby była jakimś bezcennym, unikatowym manuskryptem. Data umieszczona w nagłówku wskazywała, że pisemko to przechodzi z rąk do rąk już od paru miesięcy. Błyskawicznie udzieliło mi się wrażenie, że wszyscy poprzedni czytelnicy traktować je musieli z pieczołowitością równą mojej. Wskazywał na to wygląd druku, przypominający starą, odziedziczoną po pradziadkach książkę, lekturę której wypełnia wrażenie obecności duchów czytelników z minionych pokoleń i troska o to, by bezcenny wolumin w jak najlepszym stanie przekazać swoim następcom. Towarzyszyć mi musiało krańcowe zdumienie, gdyż usłyszałem swoje własne słowa: *Boże, to coś takiego się w naszej Polsce ukazuje...* Sam nie wiem, czego byłem wtedy bardziej ciekaw – zawartości tajemniczego czasopisma czy jeszcze bardziej tajemniczych jego redaktorów i wydawców. Chyba nie przypuszczałem jeszcze, że właśnie absorbowałem impuls, zbliżający mnie do ścieżki, która za jakiś czas doprowadzi mnie do jednych i drugich.

Pierwsze bezdebitowe wydawnictwo, z jakim się spotkałem, nosiło tytuł „Biuletyn Dolnośląski” i zawierało artykuły wręcz niesłychane dla człowieka znajdującego dotąd wyłącznie oficjalną prasę. W Polsce, stanowiącej perłę w koronie sowieckiego imperium, roił ktoś o ustrojowym kształcie naszego przyszłego, niepodległego bytu! Obok znajdował się tekst należący do cyklu *Na wschód od linii Curzona*, jakby na poparcie zawartych w nim szokujących informacji wzbogacony reprodukcjami dokumentów z epoki. A do tego, chyba dla odprężenia po wypowiedziach tak poruszających, poradnik dla tych, którym mimo wszystkich przeszkód uda wyrwać się na

wakacje po Europie zachodniej. To w nim pierwszy raz wyczytałem, jak korzystać z systemu dróg Francji, by zobaczyć jak najwięcej, ponosząc jak najmniejsze koszty.

Jakiś czas po pierwszym moim spotkaniu z „Biuletynem Dolnośląskim” jego specjalny numer znaleźć można było w tramwajach, windach i na klatkach schodowych. Zawierał informacje o strajkach na Wybrzeżu i listę 21 postulatów. Zapewne nie było przypadkiem, że krótko potem stanęły fabryki w całym Wrocławiu i fala solidarnościowych protestów rozlała się aż po południowe krawędzie Polski. Na kolejnych bramach pojawiały się napisy *Popieramy Wybrzeże!* Pewnego sierpniowego dnia wrocławskie autobusy i tramwaje przestały też wozić strajkowy „Biuletyn”. Zjeżdżające do zajezdni żegnały oklaski nawet tych pasażerów, przed którymi otwierała się perspektywa wielokilometrowej wędrowki do swoich odległych osiedli.

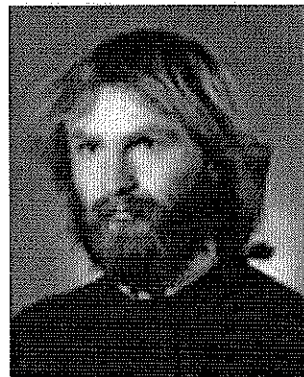
W tych niezapomnianych, sierpniowych dniach, które wyzwoliły w Polakach wszystko, co najlepsze, niewielu zdawało sobie sprawę z tego, jak dramatycznie waży się losy protestu. W siedzibie dolnośląskiego Komitetu Strajkowego, mieszczącego się na terenie zajezdni autobusowej przy ul. Grabiszynskiej, nie brakowało utytułowanych „ekspertów” argumentujących, że domaganie się wolnych związków zawodowych jest ściganiem celów nieosiągalnych, przejawem zatracenie kontaktu z rzeczywistością. Nie po raz pierwszy i nie ostatni ludzie „Biuletynu Dolnośląskiego” i późniejszej Solidarności Walczącej spotykali się z zarzutami niedojrzałości, braku realizmu, nieliczenia się z „nieprzewidywalnymi uwarunkowaniami”. Na szczęście dla nas wszystkich odporni na takie same argumenty byli w Stoczni Gdańskiej Andrzej Kołodziej i Andrzej Gwiazda, którzy na przekór głosom „doradców” uparli się, że postulat utworzenia niezależnych związków zawodowych jest najważniejszy z najważniejszych. Być może, bez takich, odpornych na „głosy rozsądku” marzycieli Wielki Sierpień przyniósłby tylko zastrzyk pustego pieniądza dla świata pracy, a nie początek końca komunizmu w Europie.

W czasie trwającej szesnaście miesięcy erupcji wolnościowych dążeń przestało być tajemnicą, kto tworzył najważniejsze w południowo-zachodniej Polsce niezależne wydawnictwo. Środowisko Kornela Morawieckiego pragnęło jednak, by rodząca się wolność nie zamykała się w granicach PRL-u. Tak samo uważał Andrzej Kołodziej i zapłacił za to uwięzieniem w Czechosłowacji. Morawieckiemu ówczesne polskie władze wytoczyły proces, ale dzięki sile społecznego nacisku oskarżony mógł odpowiadać z wolnej stopy. Redaktor „Biuletynu” równocześnie stawał przed sądem, przygotowywał *Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*, wskazywał pierwszą od dziesięcioleci szansę wybicia się na niepodległość i zalecał przygotowania na ewentualność frontального ataku komunistycznego aparatu terroru. Był marzycielem, który sposobił się także na ewentualność najgorszą, więc to jego drukarnie wydały pierwszą podziemną prasę czasu stanu wojennego.

Kiedy po roku zmagających różne opozycyjne struktury zgłaszały ofertę rozmów z reżimem, z góry deklarując skłonność do ustępstw, „fantasta Morawiecki” głosił, że z tymi władzami rozmawiać można wyłącznie o terminie ich ustąpienia. Podczas gdy inni analizowali warianty zmian w statucie Solidarności, skutkujących akceptującą łaską reżimu – organizacja Morawieckiego za cel stawiała nie jedynie restytucję związku, lecz ostateczne obalenie komunizmu. Można dziś postawić pytanie: czy cel ten w ogóle byśmy osiągnęli, gdyby nie został on przez kogoś jednoznacznie wyartykułowany i nagłośniony? Czy nie skończyłoby się na kosmetycznych zmianach ustrojowych, połowicznej finlandyzacji, dopuszczeniu do „pańskiego stołu” bezpiecznej liczby „konstruktywnych opozycjonistów”?

## Budziciel marzeń

Wielkonakładowa prasa i media elektroniczne Trzeciej Rzeczypospolitej do miana pierwszych herosów walki z totalitaryzmem wykreowały dysydentów i liderów opozycji wewnątrzustrojowej. Za najbardziej zasłużonych w obaleniu komunizmu podają się ci, którzy pragnęli ustrój ten co najwyżej reformować. Billboardy z sierpniowymi postulatami służą jako wyborczy oręż tych, którzy w pamiętnym Sierpniu przeciw tymże postulatom szykowali czołgi. Podawanie się za twórców podziemia, przypisywanie sobie cudzych zasług – przynosi czasem sowite profity. Nie raz to, co było owocem ofiarności Kornela Morawieckiego, lub osiągnięciem jego organizacji, zaliczali na swoje konto główni beneficjenci rozpoczętych w 1989 roku przemian. Twórca Solidarności Walczącej nie został ministrem, posłem czy senatorem. Po wyjściu z podziemia powrócił do swego zakładu pracy, by kontynuować zajęcie przerwane wprowadzeniem stanu wojennego. Jako nauczyciel akademicki kolejne roczniki studentów wprowadza dziś w świat matematyki. Rozmowa, na jaką udało mi się go namówić, miała na celu utrwalenie choć niektórych faktów, odchodzących w niepamięć, a przecież będących ważnym składnikiem naszej wspólnej historii.



Artur Adamski. Fotografia z 1986 r.

Artur Adamski

## **Skazany na zapomnienie**

---

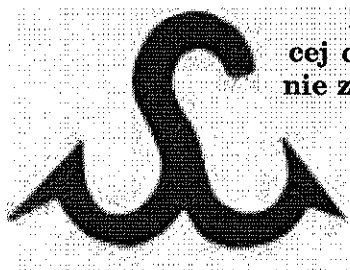
### **Ilu było członków Solidarności Walczącej?**

Na to pytanie chyba nie znajdziemy właściwej odpowiedzi. Nie prowadziliśmy żadnej ewidencji. W czasie pracy konspiracyjnej nie posługiwaliśmy się też nigdy pojęciem liczby członków danej struktury. Jeśli o tym rozmawialiśmy, to ważne dla nas było pojęcie organizacyjnych możliwości. Czyli – jaki zakres działalności dana grupa była w stanie prowadzić długotrwale i bezpiecznie? Jak wygląda jej zdolność przyjmowania nowych zadań i jej „potencjał odtwórczy”? Ta ostatnia kategoria oznaczała możliwość uzupełniania strat po aresztowaniach, likwidacjach punktów poligraficznych, zespołów redakcyjnych, sieci kolportażowych. Bywało, że kilka bardzo konsekwentnych i pełnych zapału osób, które do tego dysponowały wolnym czasem, potrafiło przez całe lata drukować ogromne ilości prasy podziemnej. Innym razem, w środowisku ludzi zapracowanych, mających mniejsze pole manewru, zmagających się z inwigilacją – owoce dużo bardziej licznego grona bywały skromniejsze. Szacuję jednak, że zaangażowanych w pracę naszych struktur przez okres przynajmniej paru lat było co najmniej dwa tysiące. Niektórzy z liderów Solidarności Walczącej uważają, że co najmniej dwa, trzy razy tyle. Do tego należałoby dodać znacznie większą liczbę osób, które nas w jakiś sposób wspierały. Właściciele mieszkań, służących za azyl dla ukrywających się i pełniących rolę skrzynek kontaktowych. Tych wszystkich, w których piwnicach, komórkach, garażach magazynowany był nasz sprzęt, papier i inne materiały poligraficzne. Kilkadziesiąt mieszkań osób nie należących do SW służyło za miejsce do nadawania audycji naszego radia. Jeśli więc pojęciem członka Solidarności Walczącej obejmiemy także te wszystkie osoby wspierające – zbliżymy się do kilkunastu tysięcy. Na zjazd w dwudziestą rocznicę powstania organizacji przyjechało około tysiąca osób.

### **Ilu członków podziemia poznałeś osobiście?**

Na to pytanie jestem gotów odpowiedzieć dość precyzyjnie. Dysponuję nie tylko liczbą szacunkową, ale sumą dość dokładnego rachunku, jaki kiedyś przeprowadziłem. Wynika z niego, że osobiście spotkałem się z około tysiącem konspiratorów.





**Znam wielu działających w Solidarności Walczącej od 1982 roku, którzy w czasach „konspiracy” nigdy nie zetknęli się z przewodniczącym organizacji.**

To by przemawiało za trafnością powyższych szacunków.

**Solidarność Walcząca była więc największą, po NSZZ Solidarność, organizacją podziemną lat osiemdziesiątych?**

Nie sposób temu zaprzeczyć. Z wszystkich ustaleń wynika, że jeśli chodzi o liczbę i zakres działania – po NSZZ Solidarność była „Solidarność Walcząca”, potem długo, długo nic i dopiero inne organizacje. SW rzeczywiście ma bardzo duży dorobek, a nawet wręcz niezwykle dokonania. Zarazem jednak myślę, że dla ludzi z zewnątrz jej obraz bywał często dość mityczny. Nie raz spotykałem się ze znacznym przecenianiem naszych możliwości. Np. gen. Czesław Kiszczak był zdania, że nasi ludzie opanowali wrocławską Służbę Bezpieczeństwa. Taka opinia nam pochlebia, ale niestety – aż tak dobrze z nami nie było.

**Potem zrobiono jednak dużo, by rolę Solidarności Walczącej umniejszyć.**

Całe mnóstwo publikacji na temat historii najnowszej nawet nie wspominało o SW. A czy można opisać lata osiemdziesiąte nie wspominając o nas? Zdawałoby się, że to byłoby tak, jakby opowiadając o bitwie pod Grunwaldem rozwodzić się o wojskach litewskich, ruskich, tatarskich, smoleńskich, a nie napisać o polskich. Szybko jednak okazało się, że taki opis jest możliwy. W jednym z pierwszych numerów tygodnika „Solidarność”, wydanym w roku 1989 jeszcze pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego, w „Kalendarium lat 80.” podane zostało mnóstwo faktów, ale ani słowa o powstaniu SW. Na pewno nie był to efekt jakiegoś przeoczenia. Jeśli w tamtych czasach miał ktoś cokolwiek wspólnego z działalnością polityczną – to musiałby być ślepy, żeby nas nie dostrzec. Może byliśmy wtedy wyrzutem sumienia, świadkami niewygodnych prawd? Może nie chciano dzielić się chwałą doprowadzenia do zmian, skutkujących potem obaleniem komunizmu? Szybko też staliśmy się świadkami tego, jak osiągnięcia Solidarności Walczącej przypisywane były innym. Nierzadko ocierało się to o prawdziwą groteskę. Nie tylko wśród nas, ale i wśród innych uczestników tamtych wydarzeń szczere rozbawienie budzi to, kto bywa kreowany na „głównego twórcę dolnośląskiego podziemia”.

*Mam nadzieję, że nasza rozmowa przypomni wiele tamtych wydarzeń i pomoże też w odpowiedzi na pytanie, kim jest przewodniczący Solidarności Walczącej. W latach osiemdziesiątych idol tysięcy tych, którzy nigdy go nie widzieli ani nie słyszeli. Jak płachta na byka działający wówczas na całą maszynę propagandową PRL-u, z Jerzym Urbanem na czele. Człowiek malowany w makabrycznych barwach przez aparat represji i oczerniany też czasem przez niektórych sprzymierzeńców. Jedna z największych legend lat osiemdziesiątych, w Trzeciej Rzeczypospolitej skazana na medialny niebyt.*

## Zanim powstała Solidarność Walcząca

---

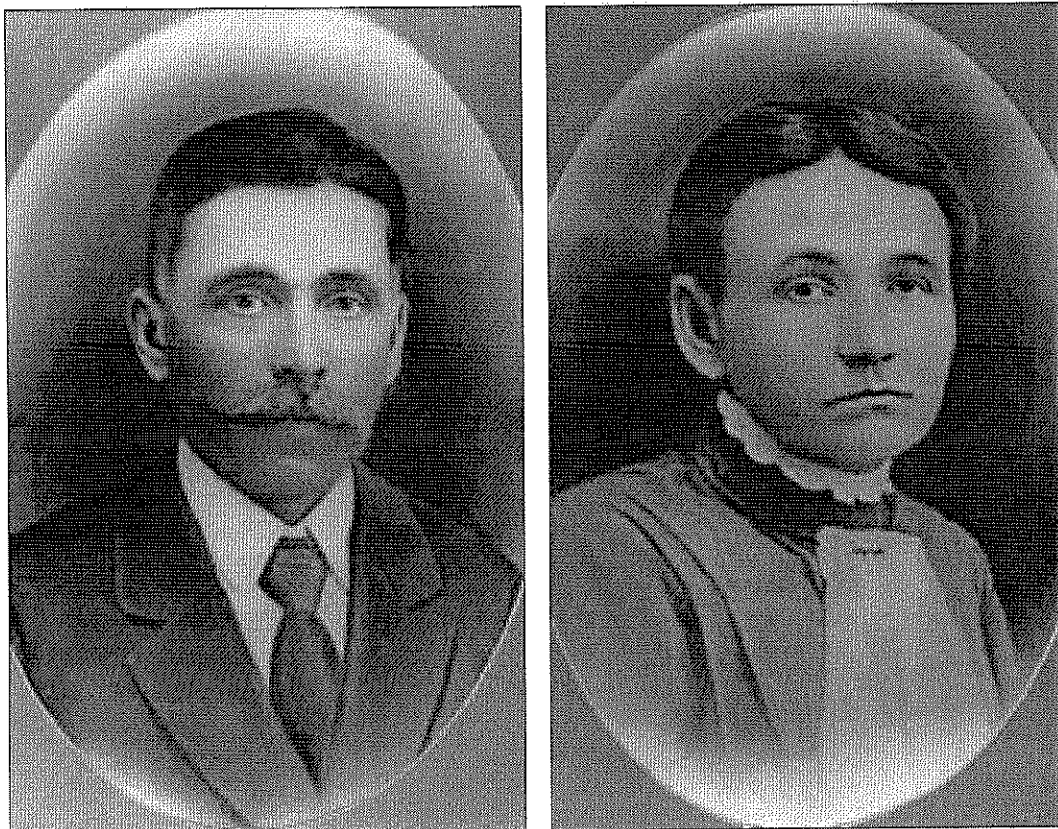
### **Jakie są rodzinne korzenie Kornela Morawieckiego?**

Szczerze powiedziawszy – za bardzo się nimi nie interesowałem. Choć wiedzę na ten temat zgłębia mój brat i co jakiś czas chętnie zapoznaję się z jego ustaleniami.

**To trochę dziwne. Tyle razy w różnych wystąpieniach politycznych czy wypowiedziach publicystycznych Kornel Morawiecki wskazywał na wielkość polskiego dziedzictwa narodowego, a o własnym, rodowym nie wie za wiele?**

Narodowe dziedzictwo jest dużo ważniejsze. Z refleksji nad nim znacznie więcej wynika. A z moją orientacją w rodzinnej historii też nie jest chyba najgorzej. Choć im dalej w przeszłość – tym więcej znaków zapytania. Wiadomo mi, że jeszcze w XIX w. Morawieccy nosili nazwisko w nieco innym brzmieniu – Morawiccy. Prawdopodobnie pieczętowali się herbem Topór, inaczej zwanym Starża. Według innych informacji miał to być herb Jelita. Mój brat Ryszard dokopał się też do wiadomości, według których istniał herb „własny” – Morawicki. Nie wiadomo, czy to fałszywy trop, czy mogło tu chodzić o jakiś zapomniany znak rodowy albo też o Morawczyka lub Morawę, do którego należało kilkadziesiąt rodzin. Herby są jednak tym wątkiem rodzinnej przeszłości, który interesował mnie najmniej. Dopiero niedawno mój brat zaczął szukać jakichś informacji na ten temat. W rodzinnych wspomnieniach żywa była pamięć o postaciach wyróżniających się jakimiś patriotycznymi czynami, udziałem w walce o niepodległość. Przynależność do tej czy innej grupy społecznej miała dużo mniejsze znaczenie. A jeśli w czasach Piłsudskiego pojawili się w rodzinie także socjaliści – tym bardziej taka sprawa, jak herby, mogła popaść w zapomnienie.

**Nazwisko brzmi tak, jakby było utworzone od nazwy miejscowości...**



Pradziadek Ignacy Morawiecki i prababcia Paulina Morawiecka (z d. Tytk)

Bardzo możliwe. Przodkowie pochodzą z Ziemi Świętokrzyskiej, co najmniej przed stuleciem należeli do szlachty bardzo już zubożałej. Według mojej babci, nazwisko wzięło swój początek od Morawicy – miejscowości położonej niedaleko Kielc. Jeden z pradziadków ze strony ojca był koniuszym u Wielopolskich, dziadek – sekretarzem gminy. Rodzice matki, Szumańscy, należeli do ziemiaństwa niegdyś lepiej sytuowanego, bardziej nobliwego niż Morawiccy i chyba należącego do herbu Żegota. Lecz tutaj też są rozbieżności. Niektóre źródła wskazują na to, że herbem przodków matki był Jastrzębiec, z którym zresztą związanych było wyjątkowo dużo polskich rodzin. Pewne natomiast jest, że Szumańscy pochodzą z Zagórowa w województwie wielkopolskim. Dziadek mojej mamy, Karol Szumański, walczył w powstaniu styczniowym, w roku 1863 został nawet adiutantem generała Mariana Langiewicza. Brat stryjeczny dziadka, Józef Szumański, był wtedy w Warszawie drukarzem powstańczych gazet i biuletynów. Został zamordowany przez Rosjan, a jego pogrzeb był wielką demonstracją patriotyczną mieszkańców Warszawy. Mój ojciec, jego bracia i wielu innych krewnych rodzili się w Nawarzacach, z których przenieśli się do Rakowa, leżącego nieopodal Jędrzejowa.

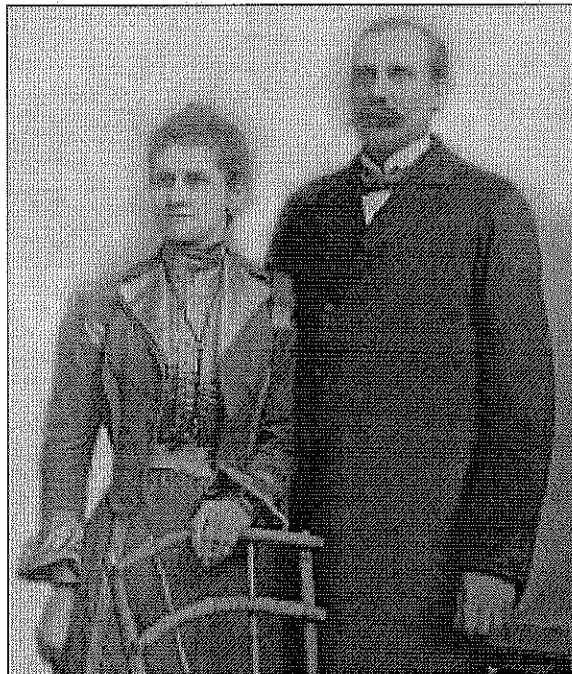
### **Później jednak rodzina związała się z Warszawą.**

Nie posiadali majątku dającego możliwość utrzymania, szukali więc pracy w mieście. Ojciec matki, Władysław Szumański, w Warszawie został tramwajarzem.

Rodzina wspominała go jako człowieka dumnego z tego, że był szlachcicem i socjalistą. Należał do PPS-u Józefa Piłsudskiego. Ojciec (tak, jak i dziadek nazywał się Michał) też do Warszawy trafił poszukując pracy. Ściągnął go tam jego kuzyn – wujek Imbor. Przez jakiś czas pracowali na kolei.

### Rodzice poznali się i pobrali już w Warszawie?

Mama urodziła się nieopodal Warszawy. Była osobą jak na owe czasy niezłe wykształconą. Miała pełną maturę, co wówczas znaczyło niewspółmiernie więcej, niż dzisiaj. Ojciec, absolwent gimnazjum w Pińczowie, miał tylko małą maturę. To też wtedy nie było mało, ale ta różnica cenzusu między rodzicami pozwalała czasem mojej mamie żartować, że jest „mądrzejsza od ojca”. Mama znała języki, ojciec jednak zasadniczo jej nie ustępował, zawsze czytał sporo książek. Pobrali się w Rakowie w styczniu 1939 r. i zamieszkali w Warszawie.



Pradziadkowie – Anna (z d. von Leykam) i Karol Szumański



Prababcia Kałużna (z d. Centaus)

### W którym miejscu mieszkali?

Mieli mieszkanie w nowoczesnej, jak na owe czasy, kamienicy na Pradze. To była ulica Mińska 26, mieszkanie 12. Pamiętam adres, bo spędziłem tam dzieciństwo, a rodzice nie wyprowadzili się stamtąd aż do późnych lat sześćdziesiątych. Lokal składał się tylko z jednego, choć liczącego z 26 metrów pokoju, dość dużej kuchni i toalety, co w przedwojennych czasach nie stanowiło powszechnego standardu. Mieszkanie ogrzewane było piecem i kuchnią węglową. Opał na trzecie piętro trzeba było nosić z piwnicy. Po wojnie jedną z sąsiadek była pani Bokszczanin, wdowa po pułkowniku, legendarnym oficerze Armii Krajowej, a później członku kierownictwa organizacji Wolność i Niezawisłość. Część



Dziadek Władysław Szumański



Dziadek Michał Morawiecki

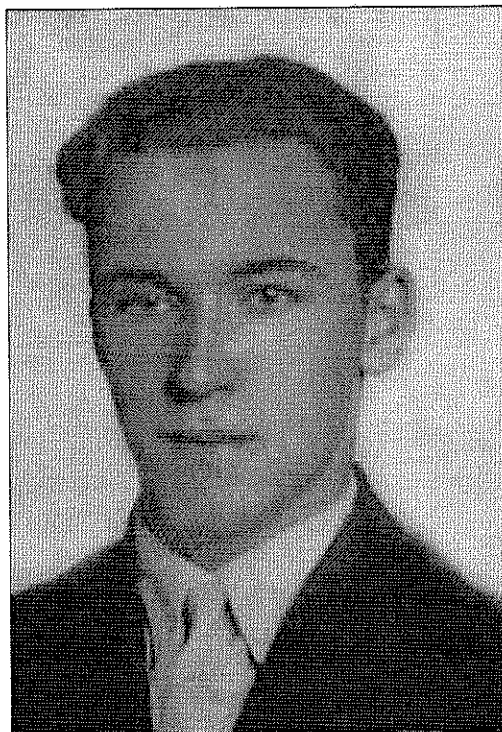
miasta, w której mieszkaliśmy, przed włączeniem do Warszawy nazywała się Kamionek. To tutaj, bardzo blisko naszego domu, w 1864 roku przyszedł na świat Roman Dmowski. Świetnie pamiętam z dzieciństwa jego ulicę. Kamionkowska była dużo biedniejsza od Mińskiej. Nasza była skanalizowana, a wzdłuż Kamionkowskiej płynęły rynsztoki. Stały tam też parupiętrowe drewniane domy. Obok, na ul. Zamoyskiego, była fabryka Wedla.

### **Jak rodzice wspominali międzywojenne dwudziestolecie?**

Raczej źle. Wiodło się im raz lepiej, raz gorzej, ale zwykle nieszczególnie. To nie były dobre czasy dla ludzi nieposiadających majątku ani zawodu gwarantującego stabilną pracę. Nie zapewniało jej nawet niezłe wykształcenie i wykazywanie inicjatywy. Mój ojciec starał się zawsze mieć pracę, szukał zajęcia w miarę pewnego i popłatnego. Nie było to łatwe. Mama sama dobrze nauczyła się angielskiego i udzielała z niego lekcji. Gdy miała 13 lat, umarła jej matka. Opiekowała się nią starsza siostra Irena, studentka. Irenie nie było jednak dane studiów ukończyć – umarła na gruźlicę, kiedy miała około dwudziestu lat. Choć i tak rodzina mamy jakoś sobie radziła. Ojciec był tramwajarzem, co gwarantowało nie tylko względną stabilność i stosunkowo niezłe zarobki, ale też różne ulgi, deputaty, bezpłatną szkołę średnią dla



Mama, Jadwiga Morawiecka (z d. Szumańska) 30 września 1936 r.



Ojciec, Michał Morawiecki, 1934 r.

dzieci. W sumie jednak we wspomnieniach rodziców czasy przedwojenne były raczej ciężkie. Z trudem do czegokolwiek się dochodziło.

#### **Kilka miesięcy po ślubie rodziców wybuchła wojna.**

Tak. Ojciec był żołnierzem zwiadu artylerii kawaleryjskiej. Walczył m.in. pod Mławą. Jak wspominał – prawdopodobnie nikogo nie zabił, ale wielokrotnie pędząc z meldunkami lub rozkazami zajeździł dwa czy trzy konie. Zwierzęta padały pod jeźdźcem, zmuszone do długiego galopu. Ojciec zresztą znakomicie jeździł konno, uprawiał wołyżerkę. Kochał konie, ale we wrześniu 1939 r. musiał być dla nich bezlitosny. To, że musiał je dobijać, było dla niego ciężkim przeżyciem. Po klęsce ojcu udało się uniknąć niewoli. Zdobył cywilne ubrania, dotarł do żony, która tragiczny wrzesień przeżyła w bombardowanej Warszawie. Zniszczenia dotknęły najbliższe okolice, ale kamienica, w której mieszkali, ocalała. W kampanii wrześniowej walczyło wielu krewnych. Brat mojej mamy, Antoni Szumański, był oficerem, dostał się do niewoli i okupację spędził w oflagu w Woldenburgu.

#### **Ojciec został później żołnierzem podziemia.**

Należał do Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej. Oficjalnie przyznał się do tego dopiero w 1956 roku. Wcześniej temat ten pojawiał się tylko epizodycznie, przypadkiem wynikał przy okazji jakichś rozmów. A kiedyś, jeszcze w czasach stalinowskich w naszym mieszkaniu spotykało się paru przyjaciół z dawnej

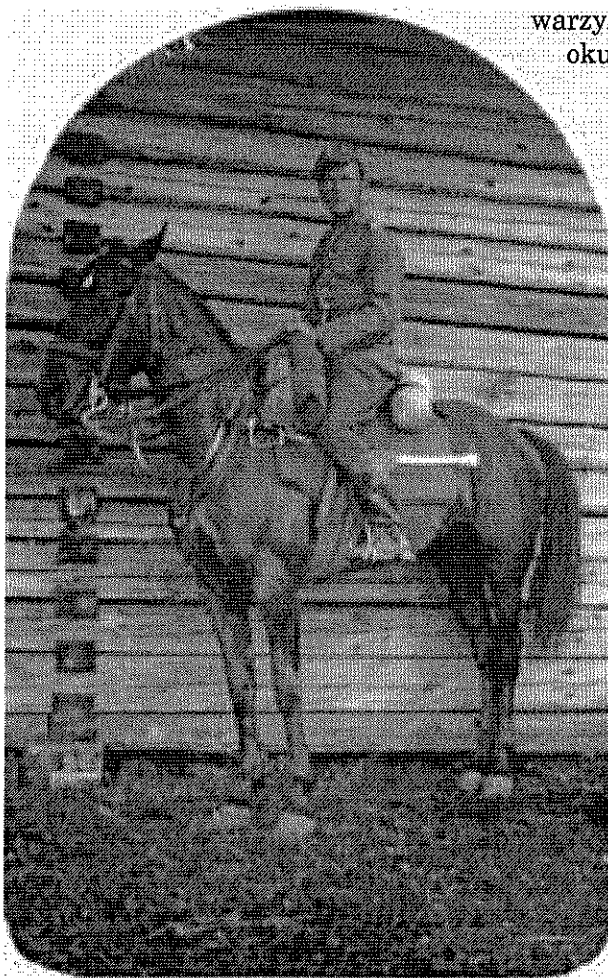
## Zanim powstała Solidarność Walcząca

konspiracji. Któregoś razu podochoceni alkoholem wyszli na balkon i zaczęli wrzeszczeć „Morawiecki, Jurczakowski – AK!”. Matka drżała ze strachu. Mogło się to źle skończyć, ale na szczęście nic się nie stało.

### **W późniejszych latach poznałeś jednak konspiracyjną przeszłość ojca?**

Począwszy od 1956 roku o przynależności do Armii Krajowej można było mówić otwarcie. Wtedy dowiedziałem się, że przełożonymi ojca w AK byli Antoni Furtak i Roman Dulęba – często wcześniej bywający w naszym domu. Dowiedziałem się, że ojciec składał przysięgę Armii Krajowej i miał pseudonim „Nel”. Wiem na pewno, że w wojennym podziemiu zajmował się, między innymi, przewożeniem broni. Nie wiem nic o udziale ojca w jakichś akcjach zbrojnych, choć może takie były. Ważną częścią działalności ZWZ-AK było gromadzenie broni, szkolenie swoich sił zbrojnych. Celem było przecież powstanie. I właśnie pod koniec lipca 1944 rozwoził broń do punktów koncentracji oddziałów powstańczych. Nic mi nie wiadomo o tym, by mój ojciec

po wojnie był związany z jakąś konspiracją. Spotkania z akowcami miały chyba charakter jedynie towarzyski. Przyjaźnie zawiązane w czasie okupacji bywały mocne i trwałe.



Ojciec był dobrym jeźdźcem.

### **Urodziłeś się w 1941 roku.**

W maju, dwa i pół roku po ślubie rodziców. Przypuszczam, że obawiali się wcześniej, w tych wojennych realiach, powołać dziecko na świat. Być może po klęsce Francji doszli do wniosku, że nie ma co czekać na koniec okupacji, bo będzie ona stanem długotrwałym. Przyszedłem na świat na Mińskiej. Z rodzinnych wspomnień wiem, że poród był bardzo długi i ciężki, a moje życie przez kawał czasu „wisało na włosku”. Bez końca ciągnęły się jakieś biegunki i inne przypadłości. Rodzice nie raz mieli wrażenie, że umieram. Szczęśliwie jednak przeżyłem, a potem, rosnąc, zdrowiałem. Mam dwoje rodzeństwa – w 1945 urodziła się moja siostra Zofia, a w 1953 brat Ryszard.

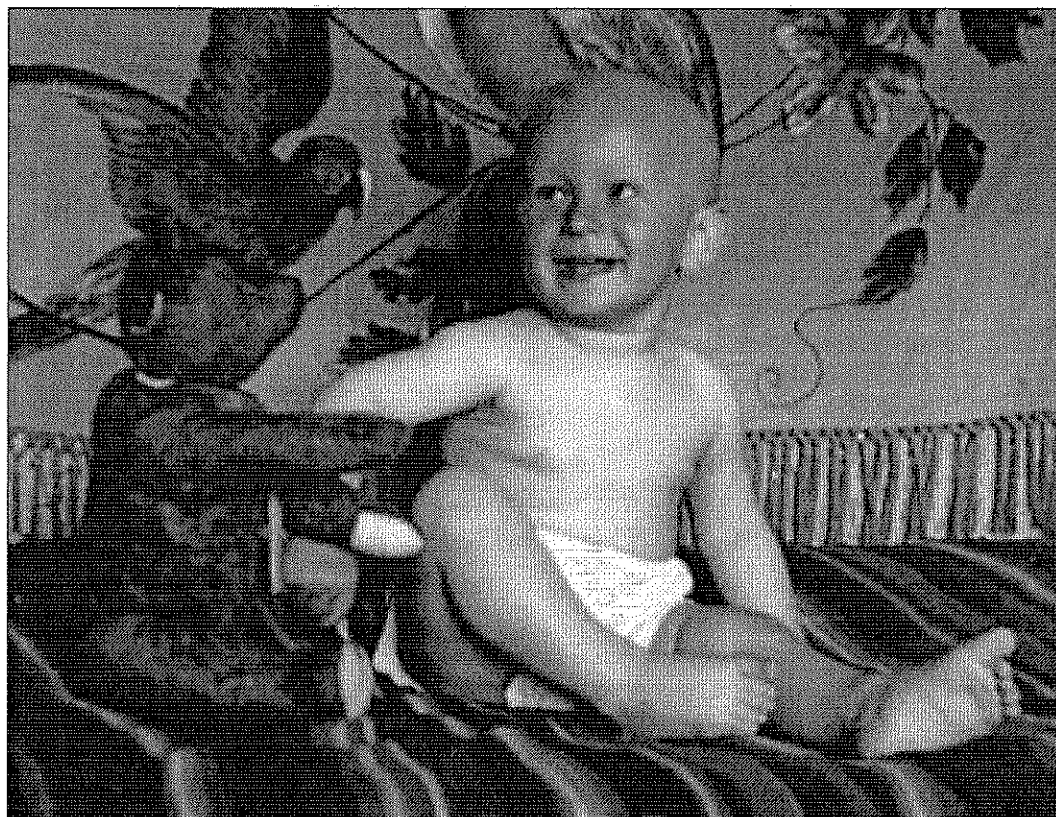
### **Pamiętasz cokolwiek z czasów okupacji?**

Nie jestem pewien, czy moje najwcześniejsze wspomnienia są zapisem zapamiętanych przeze mnie przeżyć, czy też obrazem wynikłym z najdawniejszych opowieści rodziców. W każdym razie, kiedy próbuję sięgnąć pamięcią do czasów, w których miałem parę lat, pojawiają się obrazy. Rzeczywiście, bo rodzice potwierdzali je swoimi opowiadaniem. Jeden wiąże się z okupowaną Warszawą. Szedłem, trzymając się ręki mojej mamy, i na widok groźnie wyglądającego hitlerowskiego patrolu chciałem gwałtownie skręcić. Wtedy mama mówiła do mnie: *Musimy iść prosto, Kornelku. Nie możemy uciekać, bo nas zastrzelą.*

Drugi taki obraz wiąże się z pobytem na wsi. Letnie miesiące przebywałem zwykle u dziadków w Rakowie. Okolica była terenem działania partyzantów, kontaktujących się często z mieszkańcami wiosek. Któ-



Okupacyjna wczesna młodość





regos̄ razu w domu dziadków pojawili się Niemcy. Jeden z nich pytanie skierował do mnie: *Czy byli tutaj Jędrusie?* Ja miałem na to odpowiedzieć twierdząco, co wywołało przerażenie obecnych. Jędrusiami nazywano bowiem partyzantów. Na szczęście udało się Niemców przekonać, że liczące trzy lata dziecko nie miało na myśli żołnierzy podziemia, ale rówieśników, z których jeden miał na imię Jędrus̄. Tyle udaje mi się wydobyć z pierwszych lat mojego życia. Jak widać – bohaterem w czasie wojny nie byłem. Na widok okupantów od razu chciałem uciekać, a w czasie pierwszej z nimi rozmowy o mało nie zadenuncjowałem chłopaków z Armii Krajowej.

### **Te „chłopaki z AK” to byli twoi krewni?**

Całe rodzeństwo mojego ojca należało do oddziałów leśnych okręgu kieleckiego AK. Właśnie te oddziały nazywano „Jędrusiami”. Brat ojca, Romuald miał pseudonim „Hardy”, należał do bardzo sławnego wtedy zgrupowania AK „Baleta”. Fenomenalnie jeździł konno. Potrafił stać na galopującym koniu. Drugi brat ojca – Józef – miał pseudonim „Longin”. Nie pamiętam pseudonimu ciotki Marii, także należącej do Armii Krajowej i o której opowiadało się jako o dziewczynie wyjątkowo dzielnej, odważnej, ofiarnej.

### **Gdzie byłeś w czasie Powstania Warszawskiego?**

Właśnie w Rakowie, jak każdego wojennego lata. W 1944 roku ojciec tym bardziej nie zrobił wyjątku. Zbliżał się front, wszyscy spodziewali się walk w stolicy – powstania albo też niemieckiej obrony przed Rosjanami. Ojciec został w Warszawie, ja z mamą byłem na wsi.

### **Ojciec brał udział w powstaniu?**

Został w Warszawie właśnie z takim zamiarem – był żołnierzem AK. Zgrupowanie jego pododdziału odbywało się w lewobrzeżnej Warszawie. Okazało się jednak, że już około południa 1 sierpnia Niemcy zamknęli wszystkie mosty na Wiśle, pilnowały ich silne oddziały. Rzeka była wezbrana, próbę przepłynięcia nocą i dotarcia do walczących podjąć mogli tylko dobrze umiejący pływać. Ojciec z kolegą ruszył na północ, licząc na możliwość dostania się do Warszawy przez Puszcę Kampinoską. Po dwóch dniach marszu dowiedzieli się od leśniczych, że duże siły hitlerowskie blokują wejście do miasta od strony Kampinosu. Było ich tyle, że „mysz nie miała się prześlizgnąć”.

Jednym z mniej znanych, tragicznych wydarzeń związanych z Powstaniem Warszawskim było rozbitcie oddziałów leśnych, zmierzających do walczącej stolicy właśnie z Kampinosu.

O swoich doświadczeniach z lat okupacji od ojca nie usłyszałem zbyt wiele. Wracał do nich dopiero po 1956 roku. W związku z tym, że ja niedługo później wyjechałem na studia, wyprowadzając się z domu rodzinnego w zasadzie już na zawsze, więcej o udziale ojca w AK i w Powstaniu dowiedział się mój brat. Według jego informacji, ojciec był szkolony w formacji lotniczej, przeznaczonej do objęcia w przyszłości lotniska Okęcie. Nasz ojciec dotarł jednak do punktu koncentracji w rejonie Okęcia. Jak wiadomo, oddziały szturmujące znajdującą się tam niemiecką jednostkę poniosły duże straty i w dużej części zostały odcięte od dzielnic opanowanych przez powstańców. Według mojego brata, w czasie okupacji w naszym mieszkaniu

na Mińskiej wielokrotnie odbywały się zebrania i szkolenia żołnierzy AK. Ja raczej nie mogłem tego pamiętać. Cóż, jak widać, informacje o okupacyjnych przejściach ojca mam fragmentaryczne, a nawet częściowo sprzeczne. Przyczyna tkwi w tym, że do 1956 roku o swoim uczestnictwie w AK ojciec nie mówił prawie nic. Ryszard te sprawy powoli wyjaśnia. Mam nadzieję, że za jakiś czas będziemy wiedzieli więcej.

### **Ty w czasie Powstania przebywałeś u rodziny.**

Mieszkałem u rodziców ojca. Z dziadka żartowano, że był tchórzem, bo nie chciał się angażować w żadną działalność. Może rzeczywiście się bał. Raczej nie o siebie, ale o liczną rodzinę. Być może, uznał też, że uczestnictwo w leśnych oddziałach jego najbliższych już było dostatecznym igraniem ze śmiercią? Niemcy mordowali całe wioski, jeśli wiedzieli, że dają wsparcie ruchowi oporu, a już całkowicie bezwzględni byli, kiedy ginęli ich ludzie. Było się więc czego bać. Z odwagi słynęła natomiast moja babcia, Helena Morawiecka, bardzo ofiarnie wspierająca partyzantów. Była matką chrzestną sztandaru partyzanckiego i częstym jej zajęciem było cerowanie zniszczonych ubrań leśnych żołnierzy. Odbywało się to pod bokiem Niemców, którzy stacjonowali w tym samym budynku, w którym w czasie wojny mieszkali moi dziadkowie. Babcia była wielką patriotką, czego wyrazem były imiona, jakie nadała swoim synom. Wszystkie na cześć wielkich Polaków. Tadeusz – w nawiązaniu do Kościuszki, Romuald na cześć Traugutta, Józef oczywiście na cześć Piłsudskiego. Tadeusz niestety zmarł w wieku trzech lat. W czasie okupacji najbardziej zasłużył się młodszy brat mojego ojca, Romuald Morawiecki. Brał udział m.in. w rozbiciu więzienia w Jędrzejowie. Dobrze zaplanowany i przeprowadzony, bardzo odważny atak miał na celu odbicie kolegi z oddziału – Leszka Białego. To było coś na miarę warszawskiej akcji pod Arsenalem, Biały był kimś w rodzaju Janka Bytnara „Rudego”.

### **Jacyś członkowie twojej rodziny brali udział w Powstaniu Warszawskim?**

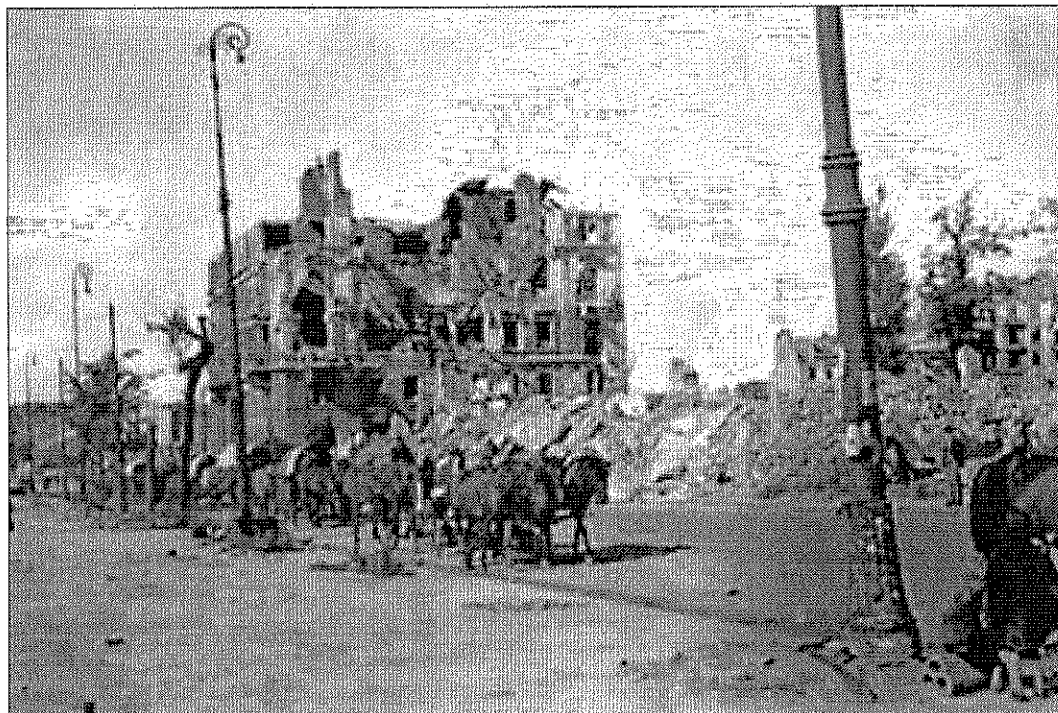
Poza rodzicami niewiele miałem wtedy bliskiej rodziny w Warszawie. W Powstaniu uczestniczyły m.in. siostry żony mojego wujka Alka. Jedna zginęła. Druga przeżyła i wyszła za Jurczakowskiego, kolegę ojca z konspiracji. Nie znam szczegółów, ale w czasie powstania pozostawała ona w bliskim kontakcie z Armią Ludową, a nawet jej stołecznym dowództwem. O ile mi wiadomo, pełniła jakieś funkcje w łączności między AK a oddziałami AL, które pozostały w mieście i włączyły się do walki. Poznała wtedy m.in. gen. Korczyńskiego.

### **Tego samego, który w 1970 brał udział w krwawym stłumieniu strajków na Wybrzeżu?**

Właśnie tego. W 1944 r. w Warszawie walczył z Niemcami, w 1970 – w Trójmieście z robotnikami...

### **Pojawienie się Armii Czerwonej było tylko zmianą okupanta?**

Chyba nie nazywałbym tego w ten sposób. Oczywiście, Polska nie odzyskiwała niepodległości, traciła wschodnią połowę swojego terytorium, dla dużej części Polaków nie było to wyzwolenie, lecz dalszy ciąg eksterminacji. Sytuację z lat 1944–45 w pewien sposób ilustruje wspomnienie mojego ojca. Wiadomo było, że lada miesiąc pojawiają się Rosjanie. Z jednej strony z radością myślano o wypędzeniu znieprawdzo-



Sowiecki konwój z łupami wojennymi przejeżdża przez zburzoną Warszawę. Za sfotografowanie takiego konwoju groziło aresztowanie (Arthur Bliss Lane, *I saw Poland Betrayed*)

nych Niemców, ale tych ze Wschodu też się obawiano. Spodziewano się, że będą gwałcić, rabować, mordować. Pierwsze spotkanie mojego ojca z rosyjskim żołnierzem wyglądało jednak inaczej. Zdyszany, spocony krasnoarmiejec z karabinem złapał go za koszulę i prosto w twarz zadał pełne podniecenia pytanie: *Słysz, brat, skolko kilometr na Berlin?!*

**Ciekawe, czy ten prosty człowiek zdawał sobie sprawę, że z okolic Jędrzejowa do Berlina miał jeszcze grubo ponad pół tysiąca kilometrów?**

Ale interesował się przede wszystkim tym, gdzie jest Berlin! Cel miał jeden – bić Niemców. I taka była motywacja milionów żołnierzy rosyjskiej armii.

**Szczególnie tych z oddziałów frontowych, działających na pierwszej linii...**

Moi rodzice, dziadkowie z szacunkiem odnosili się do prostych, rosyjskich żołnierzy. Doceniali ich dzielność.

**Niemieccy okupanci zostawili inne wspomnienie?**

Nie do porównania. Gdyby okupacja hitlerowska potrwała dłużej, mogliśmy przestać istnieć jako naród. Tak jak przestali istnieć polscy Żydzi. Przyjacielem ojca był Roman Dulęba, były więzień Auschwitz. Jak ich wieźli – co kawałek zatrzymywali pociąg, otwierali któryś wagon i wyprowadzali jednego z więźniów. Kogoś, kto

prosił o wodę, albo zupełnie przypadkowego. Wywleczonego rozstrzelili na miejscu i jechali dalej. Po jakimś czasie pociąg znów się zatrzymywał i historia się powtarzała. W końcu dojechali do Auschwitz, w którym na przywitanie kazano się wszystkim rozebrać do naga i tłuczono pałami tak, że można było tego nie przeżyć. Dulęba jakoś przetrwał ten obozowy koszmar. Po wojnie ożenił się z Estonką, ale nie przychodził w jej towarzystwie do naszego domu. Któregoś razu, kiedy pan Roman z ojcem wypili trochę alkoholu, ojciec tak trochę prowokacyjnie sobie zażartował: *Stuchaj, Roman. Powiedz, jak to się stało, że ty sobie akurat Niemkę za żonę wziąłeś?* Dulęba, którego żona nie była Niemką, tylko Estonką, nic na to nie odpowiedział, tylko wstał, podszedł do mojego ojca i z całej siły trzasnął go w twarz. Ojciec, jak tylko doszedł do siebie, wstał i powiedział: *Roman, bardzo cię przepraszam.* Po czym usiadł i spotkanie potoczyło się dalej swoim rytmem, tak jakby nic nie zaszło.

### **Dla wielu jednak rok 1945 wcale nie był wyzwoleniem.**

Na pewno. Dla wielu tysięcy otworzył się wtedy nowy rozdział terroru. Niestety – przede wszystkim dla ocalałej części polskiej elity. Dla tych, którzy w czasie okupacji wykazali się bohaterstwem. Sytuacja narodu była jednak w zasadniczy sposób lepsza. Nie było tego powszechnego, zagrożenia, które stanowiło codzienność



Warszawa 1945: Ulica Marszałkowska, róg Wilczej (fot. Jan Bulhak)

## Zanim powstała Solidarność Walcząca

w czasie okupacji hitlerowskiej. Skończyła się ta wszechobecność śmierci. Stalinizm był ponury, okrutny i też oznaczał ludobójstwo. Kryło się ono jednak w urzędach, sądach, kazamatach. Nie było łapanek i ulicznych egzekucji. Dochodziły wiadomości o terrorze w rejonach działania antykomunistycznej partyzantki. To, oczywiście, było nie do zaakceptowania, ale też wiedza o tym była niepełna, fragmentaryczna, niepotwierdzona. Statystycznie mniejszy był rozmiar zbrodni. Polska stała się częścią imperium sowieckiego, była skazana na zwasalizowanie, skomunizowanie, ale nie na unicestwienie. A taki los przewidywał dla nas hitlerowski *Generalplan Ost*.

### **Rodzice wojnę przeżyli, dom na Mińskiej ocalał...**

Tak. To duże szczęście, jak na tamte realia. Praga też zaznała zniszczeń. Pamiętam zburzone, wypalone budynki w okolicach naszego domu na Mińskiej. Prawdziwie apokaliptyczny pejzaż rozciągał się jednak po drugiej stronie Wisły. Dobrze mam w pamięci pierwszy spacer po Starym Mieście. Mosty były zburzone, możliwość przejścia pojawiła się dopiero po jakimś czasie, kiedy przy filarach zerwanego Mostu Kierbedzia (dzisiejszego Mostu Śląsko-Dąbrowskiego) zbudowano przeprawę pontonową. Starówka była jedną kupą gruzów. W wielu rejonach trudno było rozpoznać, czy była tu wcześniej ulica, plac czy podwórka kamienic. Zatracona została nawet ta topograficzna czytelność. Wraz z ojcem dotarłem do miejsca, w którym stała katedra św. Jana Chrzciciela. Jej też nie było, ale udało się nam przebrnąć przez gruzy i wejść do udostępnionych dla zwiedzających podziemi. W kryptach można było zobaczyć resztki ocalałych pamiątek. Ojciec rozpoznawał historyczne grobowce. W tej chwili już nie pamiętam, do kogo akurat należały...

### **Mieliście mieszkanie w powojennej, zamienionej w morze gruzów Warszawie...**

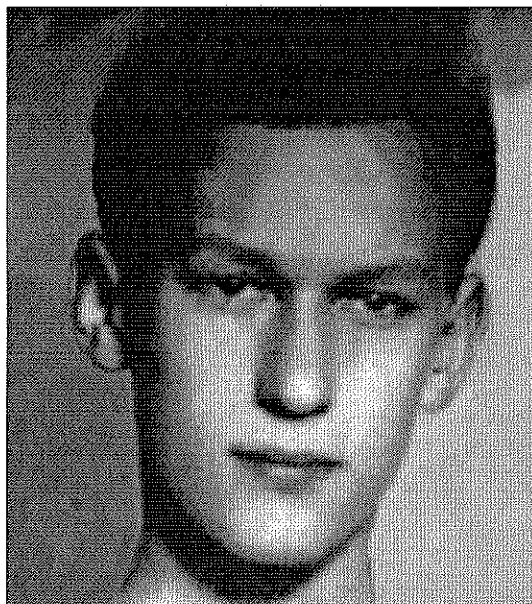
Nie wiem, ilu ludzi dzisiaj zdaje sobie sprawę z tego, w jakich warunkach wtedy się mieszkało. W wielu miejscach stolicy pojawiały się wtedy budy, szopy czy prymitywne baraki. Przypominało to południowoamerykańskie fawele...

### **A klimatu nie mamy południowoamerykańskiego...**

Ludzie mieszały w tym całymi latami, musieli przetrwać niejedną zimę. Blisko mojego domu stała szopa z niedopalonych belek, desek, szmat, kawałków blachy. Człowiek z szopy na rogu Mińskiej i Bliskiej mieszkał w tym kilka lat. W miejscach, w których ruszyła odbudowa, w punktach bardziej ruchliwych czy reprezentacyjnych takie budy poznikały. Przez długie lata było jednak ich pełno w podwórkach, bocznych ulicach. Stały oparte o kikuty wypalonych ścian... Z kolei w naszym jednopokojowym mieszkaniu normą się stało przebywanie dwudziestu i więcej osób. Śpiący pokotem wypełniali całą podłogę. No bo gdzie mieli się podziać? Mnóstwo ludzi przez nasze lokum się przewinęło. Większa część miasta przecież nie istniała. Strasznie trudno było w tych warunkach utrzymać higienę. Prawdziwą plagą były pluskwy. Tłukliśmy je na dziesiątki sposobów, a one wydawały się niezniszczalne. Wszystkie warszawskie budynki opanowywały coraz to nowe rojowiska tego robactwa. Paliliśmy je, zadymialiśmy, jakaś chemię, chyba DDT, sypaliśmy – nic nie pomagało.

### **W latach czterdziestych zacząłeś też chodzić do szkoły.**

Tak. Zaliczono mi pierwszą klasę na podstawie oświadczenia kierownika szkoły z Rakowa, pana Malinowskiego. Uznano, że w czasie pobytów na wsi zrealizowałem program wstępnej klasy szkoły podstawowej. Co zresztą nie było dalekie od prawdy. Dzięki temu zacząłem naukę od klasy drugiej i byłem o rok „przyspieszony” w edukacji. Moja szkoła znajdowała się w baraku. Kiedy byłem w trzeciej czy czwartej klasie, zaczęto nas przenosić do rzeczywistego szkolnego budynku przy ul. Skaryszewskiej, niedaleko Dworca Wschodniego. Wszyscy wiedzieliśmy, jaką rolę pełniła nasza szkoła w czasie okupacji. To do niej zwożono zatrzymanych w czasie łapanek. Na jej terenie dokonywano selekcji, dzieląc złapanych na tych, którzy pojedą na roboty do Niemiec, trafią na Pawiak, do Auschwitz albo zostaną rozstrzelani w którejś ulicznej egzekucji. Świadomość tego pasma nieszczęść, jakie całymi latami rozgrywały się na szkolnym boisku, towarzyszyła nam w czasie np. gry w piłkę. Tak jak i wtedy, kiedy graliśmy w palanta przed fabryką WFM, później WSK. Warszawska Fabryka Motocykli, która znajdowała się niemal naprzeciw naszego domu na Mińskiej, w czasie okupacji nazywała się „Pocisk”.



Kornel – uczeń szkoły podstawowej

### **Ciągle obecny cień niedawnych tragedii...**

Był widoczny na każdym kroku. I obecny w codziennych rozmowach. Bardzo przeżywano np. los Żydów...

### **Żydów? Tak wiele się dziś mówi o obojętności na ich zagładę, o polskim antysemityzmie...**

Jakiej obojętności? Jakim antysemityzmie? Przez cały, kilkunastoletni czas mojego zamieszkiwania w Warszawie nigdy nie zetknąłem się z jakimkolwiek przejawem antysemityzmu. Nie przypominam sobie czegokolwiek, co można by tak nazwać. Pamiętam natomiast mnóstwo, całe mnóstwo rozmów moich rodziców, znajomych, krewnych, którym w głowach się nie mogło pomieścić to, co się stało z narodem żydowskim. Bo to się przecież nie może zmieścić w głowie, że liczącą parę milionów, zamieszkującą Polskę od kilku stuleci żydowską społeczność wymordowano niemal doszczętnie. Wystrzelano, zagazowano, spalono! Jedną trzecią przedwojennej Warszawy stanowili Żydzi. I co zostało? Kupki gruzów, okruchy, popioły... Trudno mi sobie nawet wyobrazić jakąś niechęć do Żydów, tym bardziej wtedy w Warszawie. Ich unicestwiono, z dziećmi, kobietami. Plan ich ostatecznego wyniszczenia został zrealizowany niemal w całości. Nas wyróżniło tylko w części. Nie zdążono w podobnym stopniu. To była niewyobrażalna tragedia i mówiono o niej ze szczerym bólem.

**I Żydzi rzeczywiście byli obecni jako temat codziennych rozmów?**

Tak! Mówiło się o nich jako o narodzie, który był wśród nas, a teraz go nie ma! Nie wyjechał, nie przeniósł się gdzieś indziej, ale został niemal w całości wymordowany. Przestał istnieć!

**Dziś często przywołuje się okres międzywojenny jako czas różnych konfliktów. Ileż jest dzisiaj publikacji przypominających hasło *Wasze ulice, nasze kamienice*?**

Skrajnie odmienne było to, czego dowiedziałem się w domu. Właśnie z tych bardzo licznych, związanych z Żydami wspomnień rodziców i ich znajomych, zbudował mi się obszerny obraz tej społeczności, która razem z Polakami żyła na tej samej ziemi od średniowiecza i została niemal doszczętnie wymordowana przez hitlerowców. Była ona bardzo niejednorodna, m.in. pod względem majątkowym. Najwięcej było żydowskiej biedoty, utrzymującej się z drobnego handlu i usług. Tylko niewielka część miała domy, duże sklepy, fabryki... W naszym mieszkaniu na Mińskiej Żydów przypominało też kilka przedmiotów pochodzących z getta. Nie wiem, jak do nas trafiły. Być może, ojciec, który bywał z drugiej strony Wisły, znalazł je w ruinach?

**Co to były za przedmioty?**

Duży mosiężny żyrandol i kilka książek – tomy wierszy Słowackiego. Czytałem je mnóstwo razy, obszernych fragmentów nauczyłem się na pamięć. Te rzeczy służyły nam na co dzień, ale nie były tylko zwykłymi przedmiotami. Wiazała się z nimi stale obecna świadomość ich pochodzenia.

**Książki Juliusza Słowackiego, których właściciele zginęli w getcie... Żyrandol ze spalonego żydowskiego domu, pamiątka z koszmaru a rozświetlająca mrok w ponurych czasach... Sporo symbolicznych treści...**

Ale też wynik powojennych realiów. Kto dziś pamięta, jak bardzo ciężkie były nie tylko lata okupacji, ale i czasy powojenne. Rzeczy, które dzisiaj dawno wylądowałyby na śmietniku, uchodziły wtedy za luksus. Ludzie mieli zwykle jak na lekarstwo ubrań, często znoszonych i połatanych. Podobnie z różnymi innymi sprzętami, np. garnkami, które łątano, nitowano. Pamiętam, jak mama kupiła pierwszy garnek aluminiowy. Dziś zapewne uznany byłby za niezdrowy, byle jaki. A wtedy to było święto. Przez lata czterdzieste, pięćdziesiąte miliony Polaków bardzo ciężko pracowały, marnie jadły, żyły w wielkiej biedzie. Z wojny wyszliśmy wszyscy strasznie ograbieni, pokiereszowani...

**Pokiereszowani?**

Wojna to nie tylko ofiary, cierpienia, heroizm, ale też szerzące się patologie. Iluż ludziom przetrąciła kręgosłup, nie pozwoliła już nigdy wrócić do równowagi, odnaleźć się w życiu. Jak ktoś otarł się o wojenne potworności, napatrzył się na okrucieństwo, przeżył śmierć bliskich – czasem tracił wiarę w sens czegokolwiek. W pewnym, na szczęście dużo mniejszym, stopniu dotyczyło to także mojej rodziny. Młodszy brat ojca, wujek Józek, przed wojną studiował w Szkole Głównej Handlowej. Był w AK, prawdziwie bohatersko walczył z Niemcami. Po wojnie, w młodym

wieku, umarł na serce. Widząc tych ludzi, przewijających się przez nasze mieszkania na Mińskiej, szczególnie mężczyzn, nie miałem wątpliwości, że świat wartości wielu z nich jest rozchwiany. Nie cenili swojego życia, lekko je traktowali. Byli dumni, ale i wobec siebie bezwzględni. Ta niedawna wszechobecność śmierci i zniszczenia odebrała im wiarę w przyszłość, w sens budowania czegokolwiek trwałego. Mamy wiele utrwalonych świadectw entuzjazmu, towarzyszącego odbudowie, ale to tylko część obrazu tamtych czasów. Jakże wielu pogrążyło się wtedy w pijaństwie! Na mieście grasowały watahy chuliganów, atakujących przechodniów bez jakiegokolwiek powodu. Albo też gotowe ciężko pobić dla jakiegokolwiek łupu, paru groszy albo tylko dla wyładowania agresji. Pamiętam, że na Mińskiej zdarzało się, iż jakaś banda zaczynała nagle rzucać w ludzi kamieniami, bez żadnej przyczyny. Miałem może jedenaście lat, kiedy którymś razem, wychodząc z domu, natknąłem się na taką awanturę. Jeden z pierwszych kamieni ugodził mnie w głowę, zalałem się krwią, straciłem przytomność. Do domu przynieśli mnie sąsiedzi. Nie była to wtedy sytuacja odosobniona. Jakiś czas później inna banda chciała mnie pobić na ulicy. Z opresji wybawił mnie sąsiad, pan Kobylański, były żołnierz AK. Odprowadził mnie do domu i poradził rodzicom, żebym jak najmniej wychodził z domu, bo na ulicy często jest niebezpiecznie. W tamtych latach rzeczywiście było.

**Lata twojego dzieciństwa były czasem większego, niż dzisiaj, społecznego, moralnego rozchwiania?**

Nie wiem, jak by to wyglądało w statystykach. Nie przypuszczam też jednak, żeby istniały jakieś wiarygodne dane na ten temat. To wojenne okaleczenie, pogubienie było odczuwalne na każdym kroku. Marek Hłasko w swoich opowiadaniach oddawał to dość wiernie. Wszechobecna agresja, obojętność na sprawy najbardziej fundamentalne udzielała się tym, którzy przez okupację przeszli bohatersko. Może to był prosty efekt wojny, a może też powszechnej świadomości, że wojenne ofiary wcale nie przełożyły się na normalny porządek w kraju po klęsce Hitlera? Knajpy pełne były pijaków i awanturników, którzy często wcześniej byli porządnymi ludźmi. Kiedy miałem 11–12 lat, przez jakiś czas chodziłem na obiady do restauracji. Mama znalazła taką porządniejszą, gdzie nie było takiego pijaństwa i dawała mi po pięć złotych na każdy posiłek. Pamiętam, że gospodarowałem tymi pieniędzmi tak, żeby co jakiś czas mieć obiad z mięsem. W tej jadłodajni przytrafiło mi się pierwsze spotkanie z... no cóż, chyba z pedofilem. Nie był specjalnie subtelny. Zaproponował po prostu, żebym „poszedł z nim w krzaki”. Oczywiście, nie poszedłem, a rodzice, kiedy się o tym dowiedzieli, ostatecznie skończyli z moim stołowaniem się poza domem. Taka niejednoznaczna historia zdarzyła mi się jeszcze parę lat później i zaczęła się w jednym z takich „miejsc mojego dzieciństwa”. Był nim Park Skaryszewski, do którego często chodziłem np. czytać książki, kiedy pogoda temu sprzyjała. Pływałem też w tamtejszym jeziorku i miałem takie ulubione drzewo, na które często się wspinałem i siedziałem, godzinami ukryty w gałęziach. Obserwowałem toczące się wokół wydarzenia, podpatrywałem zachowanie ludzi i zwierząt, zastanawiałem się nad życiem, marzyłem. Miałem jakieś 16 lat, kiedy w parku tym poznałem człowieka koło trzydziestki. Był filologiem – orientalistą, asystentem na Uniwersytecie. Często spotykaliśmy się w tamtej okolicy. Sporo się od niego dowiedziałem, w zasadzie rozświetlał nieznane mi wcześniej obszary. Pożyczał książki – Alberta Camusa, Ernesta Hemingwaya i pierwszy raz po wojnie wydane Witolda Gombrowicza.



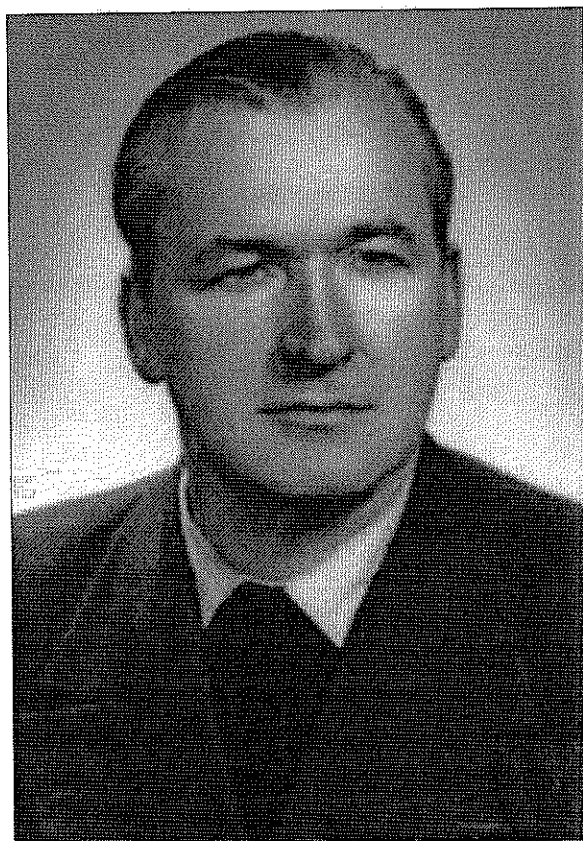
## Zanim powstała Solidarność Walcząca

Pływaliśmy łódką po jeziorku, dużo rozmawialiśmy – o literaturze, filozofii, kulturach Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Dowiedziałem się, jak trudnym językiem jest np. arabski, na czym polegają różnice gramatyczne, fonetyczne. Z mojej strony było to coś w rodzaju młodzieńczej przyjaźni, ale czym było z jego strony – człowieka być może dwukrotnie ode mnie starszego? Nic niepokojącego się nie zdarzyło. Mieszkał w centrum i zapraszał mnie do siebie, ale nigdy z tej oferty nie skorzystałem. W sumie sporo temu człowiekowi zawdzięczam, a nawet nie wiem, jak się nazywał.

**W efekcie przykrych przygód z ludźmi z knajpy czy z ulicy więcej więc bywałeś w domu, ogromnie przegęszonym od nadmiaru lokatorów. Była tam w ogóle możliwość uczenia się?**

Nie było wyjścia – trzeba sobie było radzić, odrabiając lekcje czasem na korytarzu albo w toalecie. Dziś może się wydać dziwne to, że przez co najmniej parę lat moi rodzice mieli służącą. W tym przepelnionym mieszkaniu znajdowało się miejsce także i dla niej. Służąca nie była wtedy jakimkolwiek atrybutem zamożności. To była jakby kontynuacja takiego dawnego zwyczaju. Wiejskie dziewczyny, które nie miały szans na jakąś przyszłość w rodzinnych stronach, szukały prostego zajęcia w mieście. Służyły, zadowolając się jakimś kątem i bardzo skromną zapłatą. Po jakimś czasie znajdowały jakąś ciekawszą pracę, np. w fabryce, wychodziły za mąż. Pamiętam nawet dwie służące, które były z nami, każda po parę lat, pomimo ciasnoty.

Nie miałem problemu ze skupieniem się w mieszkaniu pełnym ludzi. Lubiłem się uczyć a przede wszystkim – czytać. A czytało się wtedy też inaczej niż dziś. Książek brakowało, w czasie wojny spłonęły wraz z bibliotekami i miastem. Literatura, którą drukowano począwszy od lat czterdziestych była kiepska – produkcyjniaki, tłumaczenia sowieckiej propagandy itd. Trudno było choćby o powieści historyczne czy przygodowe. Czytało się więc przede wszystkim to, co ocalało z przedwojennych czasów, choć często były to książki z brakującymi stronami, zdekompletowane, nadpalone, „zaczytane na śmierć”. Zasadą było udostępnianie wielu tytułów tylko na jeden, dwa dni. Jak się nie oddało w terminie, traciło się prawo do następnej książki. Nauczyło mnie to czytania bardzo szybkiego, wykorzystywania każdej wolnej chwili, przy każdej okazji, w każ-



Michał Morawiecki (ojciec) ok. roku 1955

dych warunkach. Tym sposobem pochłaniałem mnóstwo literatury. Chyba wszystko po kolei: Sienkiewicza, Karola Maya, Conan Doyle'a, Żeromskiego, Prusa, a także Kraszewskiego, „Jeźdźca bez głowy” Thomasa Reada, powieści Marka Twaina, „Tarzana” Edgara Rice'a Burroughsa itd. Potem czytałem po kolei wszystko Conrada. Do jego twórczości wracałem zresztą wielokrotnie. Kiedy miałem już swoją rodzinę, czytaliśmy w domu na głos „Szaleństwo Almayera” czy „Lorda Jima”.

### **Nauczyciele zachęcali do czytania?**

Ogromnie! W moich szkołach przeważali przedwojenni pedagodzy. Mieli ogromny, twórczy wpływ na swoich uczniów. W roku 1954 zacząłem chodzić do Liceum im. Adama Mickiewicza na Saskiej Kępie, jednego z lepszych w Warszawie, ze wspaniałymi tradycjami. Kontakty z niektórymi nauczycielami przetrwały przez dziesięciolecia. Duży wpływ miała na mnie nauczycielka fizyki – Jadzia Wasilewska-Jantar.

### **Słyszałem, że byłeś na Placu Defilad w czasie sławetnego przemówienia Gomułki w 1956 r.**

Byłem na obrzeżach tego wielkiego zgromadzenia. Nadmiernego wrażenia na mnie nie zrobiło. Ludzi było mnóstwo, w sporej części agresywnych. Ścisk, od jakichś podchmielonych jegomościów dostałem po twarzy.

### **Na Pradze można było „za darmo” dostać kamieniem, pod Pałacem Kultury też, nie wiadomo za co, pięścią w twarz. Miałeś pecha do agresywnych koleśków czy kultura życia codziennego nie była w tamtych czasach zbyt wysoka?**

Takie były realia. Mnóstwo pijaków, łobuzów. Ja sam też nie byłem aniołkiem. Bałem się, ale jeszcze bardziej obawiałem się ujawnienia tego strachu, co inni mogli odbierać jako moje stawianie się.

### **Czy twoja obecność na Placu Defilad w czasie przemówienia Gomułki była przejawem zainteresowania polityką?**

Nie. To był raczej przypadek. Przyszedłem, bo coś spektakularnego i być może ważnego się działo. Rodzice strzegli mnie przed niebezpiecznymi zainteresowaniami. Ojciec nie obnosił się ze swoją AK-owską przeszłością. Bał się, że coś powiem w szkole albo w obecności jakiegoś ubeka i ściągnę kłopoty. Dopiero po 1956 r. dowiedziałem się, co ojciec robił w czasie okupacji a także, co myśli o komunistach.

### **Poglądy matki były podobne?**

Rodzice różnili się poglądami. Ojciec był człowiekiem bardziej religijnym, jednoznaczny, zdeklarowany patriotą, dumny z Polski, jej tradycji, z bohaterskiej przeszłości. Mama do spraw wiary miała stosunek chłodniejszy, była bliższa światopoglądu wolnomyślicielskiego. Mniejsze znaczenie miał dla niej patriotyzm. Wielokrotnie powtarzała, że powinny powstać Stany Zjednoczone Europy. Uważała, że wspólne państwo, obejmujące cały kontynent, może położyć kres powtarzającym się wojnom. Jej zdaniem, silnie akcentowana tożsamość narodowa była podłożem konfliktów. Należało więc szukać przede wszystkim tego, co wspólne dla członków europej-

skiej czy chrześcijańskiej cywilizacji. Kiedy ojciec mówił o patriotyzmie, mama wskazywała na ruiny Warszawy, jako efekt zbyt silnych uczuć narodowych. Żartowała, że jej poglądy są nowoczesne, a ojca – zaściankowe. Miałem więc w domu dwie światopoglądowe opcje – postępową i konserwatywną.

### **A w tobie rodziła się jaka?**

Przede wszystkim silna religijność, pragnienie służenia ludziom, wierność zasadom. Głównie to się we mnie wtedy formowało. To było dużo ważniejsze niż poglądy polityczne. Choć oczywiście zawsze było jasne, że Polsce należy się pełna niepodległość. Matka często powtarzała, że powinienem się kształcić, skończyć dobre studia, „kimś” zostać. Ojciec mówił, że najważniejsze, żebym został porządnym człowiekiem. Uważał, że uczciwość jest w życiu niewspółmiernie ważniejsza niż wykształcenie, pieniądze czy pozycja społeczna.



Wiec na Placu Defilad

### **Jednak nie tylko dom rodzinny miał wpływ na twoje dojrzewanie?**

Miałem szczęście do wielu znakomitych nauczycieli, a także księży. W kościele Matki Boskiej Zwycięskiej przy ul. Grochowskiej wikarym był ksiądz Jan Tarnowski, człowiek wszechstronnie wykształcony. Ukończył m.in. socjologię i był kilkanaście lat starszy ode mnie. Prowadził ośrodek spotkań dla młodzieży studenckiej, coś w rodzaju dzisiejszych duszpasterstw akademickich. Na zakończenie których rekolekcji powiedział, żeby przychodzić do niego z pytaniami. Przyszedłem więc i zadałem takie pytanie: *Po co ja żyję?* Kapłan uśmiechnął się i powiedział, że odpowiedź nie jest prosta i nie może być krótka. Dowiedział się, że nie jestem studentem, lecz tylko licealistą. Powiedział jednak, żebym nie zdradzał tego sekretu, bo spotkania były przewidziane dla młodzieży akademickiej. Kiedy trzeba, podawałem się więc za słuchacza pierwszego roku. Bywało, że w wyniku długotrwałych dyskusji w duszpasterstwie późno wracałem do domu i mama miała o to do mnie pretensje.

Krótko po uwolnieniu prymasa Wyszyńskiego przybył on na spotkanie ze studentami skupionymi przy kościele Matki Boskiej Zwycięskiej. Odprawił mszę świętą, było to jedno z pierwszych wystąpień publicznych po wyjściu na wolność. Dostałem wtedy od kardynała książkę – nagrodę z dedykacją za zaangażowanie religijne. Były to Ewangelie z Dziejami i Listami Apostolskimi, tłumaczone przez księdza Eugeniusza Dąbrowskiego. Tego starszego już wtedy kapłana także poznałem w licealnych czasach i bez wątpienia miał na mnie duży wpływ. Był wielkim autorytetem religijnym. Jego znakomite tłumaczenie Nowego Testamentu stanowiło najważniejszy przekład od czasów Jakuba Wujka. Ks. Dąbrowski był jednoznacznie antykomunistą, ale nigdy nie wyrażał tego wprost. W czasie spotkań duszpasterskich przestrzegał przed „księżmi patriotami”, których ruch był wtedy wspierany przez władze w celu zdobycia kontroli nad Kościołem.

Tym niezwykłym księżom zawdzięczaliśmy wyjątkowe, niezapomniane msze święte w kościele na Grochowskiej, w czasie których wygłaszane były znakomite, długo pozostające w pamięci homilie. Msze odprawiano także w intencji rocznic narodowych, skazywanych wtedy na zapomnienie – 3 maja, 11 listopada.

Z warszawskim duszpasterstwem akademickim nie straciłem kontaktu ani w czasie studiów we Wrocławiu, ani też wiele lat później. Księdza Tarnowskiego odwiedzałem jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Jak powiedziałem, miałem też szczęście do nauczycieli i kontakt z niektórymi też przetrwał długie dziesięciolecia. A ci, którzy odeszli, pozostaną dla mnie niezapomniani. Na przykład, znakomita rusycystka, pani Lachowicz. Urodziła się w Odessie, była rozkochana w rosyjskiej kulturze. Nie sowieckiej – rosyjskiej! Recytowała poezję, polecała książki. Dzięki niej wiedzieliśmy, że ten wielki sąsiad na wschodzie to nie tylko ZSRS, ale też fascynujące powieści. Bardzo szybko przyswajałem sobie język rosyjski i czytałem w oryginale Lermontowa, Turgieniewa, Czechowa. Chyba wszystkie dzieła Dostojewskiego przeczytałem w oryginale. Akurat te książki były dostępne i wyjątkowo tanie. Jednymi z pierwszych, które kupiłem, były słowniki rosyjsko-polskie. Po maturze pani Lachowicz powiedziała mi: *Kornelku, ty nie powinienes siedzieć w tym kraju! Ty powinienes podróżować, poznawać świat!* Tej rady akurat nie wziąłem sobie do serca. Wyjeżdżanie z PRL-u w latach pięćdziesiątych było prawie niemożliwe i, szczerze powiedziawszy, nie pociągało mnie. Życie w Polsce nie było łatwe, perspektywy nie wyglądały zachęcająco, ale chciałem być tutaj i wcale się nie nudziłem. Pochłaniało mnie to, czym się interesowałem. Pani Lachowicz umarła krótko po tym, jak ukończyłem liceum.

Niezwykłą postacią była Jadwiga Wasilewska. Urodziła się w Mandzurii pod koniec I wojny światowej. Jej ojciec trafił tam jako wybitny epidemiolog, specjalista do walki z dżumą. Kiedy dowiedział się, że Polska odzyskała niepodległość, postanowił natychmiast do niej wracać, by bez reszty zaangażować się w odbudowę państwa. Droga przez Rosję była odcięta – zamęt rewolucyjny. Inne drogi do kraju też nie wyglądały najlepiej, zablokowany był np. Kanał Sueski. Wraz z rodziną odbył więc trwającą kilka miesięcy podróż wokół Afryki. W Polsce zaczął tytaniczną pracę lekarską. Miał około pięćdziesięciu lat, kiedy umarł. Jak stwierdzono, powodem śmierci było przepracowanie. Żona została sama z czworgiem dzieci i była dumna z tego, że mąż nie zostawił jej żadnych pieniędzy. Z wykształcenia była pielęgniarką, dała sobie radę – wychowała wspaniałych ludzi. Jadzia była najmłodsza i zawsze bardzo niepokorna. Chodziła do Gimnazjum im. Emilii Plater – tego samego, które ukończyła moja mama. Jakoś w latach trzydziestych brała udział w wielkiej akademii, chyba trzeciomajowej, w Teatrze Wielkim. Mocno akcentowany był na niej kult marszałka Piłsudskiego. Kiedy zagrano „Pierwszą Brygadę” – nie wstała z miejsca. Uważała, że nie musi tego robić, bo to nie jest hymn narodowy. Spotkały ją za to surowe konsekwencje. Została usunięta ze szkoły z „wilczym biletem”. Dużo trudu kosztowało matkę umożliwienie niepokornej córce kontynuowania nauki. Z czworga dzieci wojnę przeżyła tylko ona. Starsza siostra zginęła w 1939 r., nazwisko brata znalazło się na Liście Katyńskiej, po wojnie okazało się, że druga siostra zginęła w Powstaniu Warszawskim. Po jego klęsce Jadwiga Wasilewska wraz z matką przeszły przez obóz w Pruszkowie, potem mieszkała niedaleko od nas – przy ul. Brzeskiej. W latach osiemdziesiątych działała w Solidarności Nauczycielskiej, wytrwale pracowała w konspiracji. Pięć lat po jej śmierci w Liceum im. Mickiewicza odsłonięto poświęconą jej tablicę pamiątkową. Niedawno odbyła się sesja na temat jej działalności.

## Zanim powstała Solidarność Walcząca

W tej szkole było wielu świetnych nauczycieli, choćby pan Szczepankiewicz, dbający o nasz rozwój fizyczny. No i oczywiście moja polonistka – pani Krasuska. W tamtych czasach miałem bardzo sprawną pamięć. Bez trudu zapamiętywałem obszerne teksty literackie. Kilkanaście lat temu okazało się jednak, że pani Krasuska bije mnie w tym na głowę. W czasie rozmowy, którą odbyliśmy blisko czterdzieści lat po ukończeniu przeze mnie liceum, powiedziała np.: *Kornelku, jak tyś pięknie wtedy tego Słowackiego recytował!* Pamiętała dotyczące mnie epizody, które mi już dawno wyleciały z głowy! Wychodząc z założenia, że między piętnastym a siedemnastym rokiem życia chłonność umysłu osiąga zwykle swój szczyt, bardzo zachęcała do czytania. I rzeczywiście – dziś chyba rzadko młodzi ludzie pochłaniają podobne ilości książek. Moja polonistka po wprowadzeniu stanu wojennego zajmowała się kolportowaniem podziemnej prasy, m.in. „Solidarności Walczącej”. W 1990 roku zbierała podpisy, popierające moje kandydowanie na prezydenta.

### **Rok 1956 był dla ciebie jakimś przełomem?**

Wtedy odczuwało się to jako wielką zmianę. W porównaniu z latami stalinowskimi – doniosły przełom. I tak to odbierała też moja rodzina. Ojciec teraz nie tylko zapisał się do związku kombatanów, ale dostał pracę w którymś z ministerstw na Kruczej, na jakimś drugorzędym, urzędniczym stanowisku. Wprawdzie po roku czy dwóch go z tego stanowiska wyrzucili, ale sam fakt wcześniej byłby niemożliwy. Potem ojciec pracował jako majster od sieci ciepłej. Układał rurociąg z Zalewu Zegrzyńskiego. W sumie po 1956 r. sytuacja zawodowa ojca się ustabilizowała i w ogóle zrobiło się nieco normalniej. Do szkół wróciła religia, choć okazało się potem, że nie na długo. To jednak był znaczący fakt. Tym bardziej że przynajmniej ci księża, z którymi się w szkole spotkałem, byli prawdziwymi osobowościami. Na lekcjach historii mówiło się nawet o Katyniu – temacie po jakimś czasie znów zakazanym. Mimo że ta odwilż była krótkotrwała, realia stalinowskie już nie wróciły.

### **Maturę zdawałeś w 1958 r.?**

Tak, kończyłem właśnie 17 lat. Rano na część pisemną poszedłem w koszuli flanelowej, co wywołało oburzenie. Komisja powiedziała, że wpuszcza mnie warunkowo, a na części ustnej oczekuje właściwego stroju. Wymóg ten był postawiony kategorycznie i trochę mnie zaskoczył, tym bardziej że nie miałem niczego, co by przypominało garnitur. Uratował mnie kolega, Andrzej Mycielski. Jego poświęcenie było spore. Jechaliśmy kawał drogi przez całe miasto, z Saskiej Kępy aż poza Warszawę, do Magdalenki. Tam wdziałem ten garnitur, znów parę godzin drogi i początek egzaminów ustnych. Chyba ta odzieżowa kwestia była największą związaną z egzaminem dojrzałości przygodą. A pierwszy w moim życiu garnitur dostałem od rodziców na osiemnaste urodziny. Chyba uznali, że skoro jestem pełnoletni – to takie ubranie powinienem mieć.

### **Jak to się stało, że zamieszkałeś we Wrocławiu?**

Po maturze zdawałem na Wydział Lekarski warszawskiej Akademii Medycznej, no i nie dostałem się.

### **Chciałeś zostać lekarzem? Interesowałeś się literaturą, historią, naukami ścisłymi. Skąd nagle medycyna?**

Raczej nie z zainteresowań, ale z pragnienia służenia ludziom. Wybierając przyszły zawód, myślałem przede wszystkim o tym, jaki będzie najbardziej potrzebny, z jakimi kwalifikacjami najlepiej się przydam. Widziałem dużo cierpienia, wielu ludzi pogruchootanych przez wojnę i choroby. Medycyna wydawała mi się tym, co może dać najwięcej dobra. Ten mój wybór wynikał z czegoś w rodzaju humanitaryzmu. Na pewno nie bez wpływu była tu religia i moje lektury z tego czasu. Zaczytywałem się wtedy np. Tolstojem. No, ale zabrakło mi iluś tam punktów i nie dostałem się. Nauczycielka namawiała mnie, bym studiował właśnie fizykę. W czasach licealnych brałem udział w różnych międzyszkolnych konkursach, m.in. w olimpiadzie z fizyki. Po porażce na medycynie dowiedziałem się, że mogę jeszcze zdawać na fizykę do Krakowa, Torunia lub Wrocławia. I właśnie w tych dniach moja mama spotkała znajomą zakonnice szarytkę, siostrę Janinę. Znaliśmy się stąd, że ja, a także mój młodszy brat i siostra, chodziliśmy do przedszkola prowadzonego przez szarytki. Siostra spytała o mnie i dowiedziała się, że zastanawiam się nad tym, na który z uniwersytetów zdawać. Okazało się, że jej rodzona siostra wraz z rodziną miała mieszkanie we Wrocławiu, a jej syn także zdawał na fizykę. Była możliwość zamieszkania. Tak trafiłem do Wrocławia i zamieszkałem u rodziny Barbary Waśkowskiej przy ul. Norwida. Jej syn na studia się dostał. Tak samo jak ja.

### **Wrocław był dla ciebie obcym miastem. Jakie były twoje wrażenia?**

Wyglądał wtedy bardzo podobnie, jak moja rodzinna Warszawa. Ogromne połacie miasta leżały w ruinach. Od razu więc mogłem się poczuć, jak u siebie w domu. Na początku pierwszego roku zorganizowaliśmy wycieczkę rowerową do Leśnicy. Wyruszyliśmy spod uczelni i całą drogę jechaliśmy przez zmasakrowane przez wojnę miasto. Zachodnie dzielnice nie pozostawiały wątpliwości, że kiedyś miały wysoką i bardzo zwartą zabudowę. W 1958 roku ciągle były wypalonym pustkowiem. Co najwyżej, pojedyncze kamienice nadawały się do odbudowy. Zupełnie jak w Warszawie, do której zresztą zamierzałem po studiach wrócić. Długo nie rezygnowałem ze stałego zameldowania w domu rodziców. Były wtedy duże ograniczenia w meldowaniu się w stolicy, a ja nie chciałem tracić szansy powrotu. Wszystko jednak potoczyło się inaczej.

Podróż z Wrocławia do Warszawy nie była wtedy tak łatwa, jak dzisiaj. Do rodziców i rodzeństwa przyjeżdżałem tylko na święta. Na drugim roku, na pierwszej wycieczce w góry poznałem Jadwigę. Ożeniłem się z nią po paru miesiącach, mając 18 lat.

### **Miałeś wtedy jakąś styczeńność z działalnością opozycyjną?**

Pierwsza rzeczywista działalność opozycyjna wiązała się dopiero z rokiem 1968. Wcześniej wszystko ograniczało się do dyskusji, kultywowania tradycji, związku z duszpasterstwami. Sporo zawiązanych wtedy przyjaźni znalazło jednak później kontynuację także w niezależnym ruchu wydawniczym czy solidarnościowym podziemiu. Studia były czasem bardzo dla mnie ciekawym. Sam ich program był ogromnie interesujący, a chodziłem też na inne wykłady. Jednym z kolegów na moim roku był Andrzej Mycielski, który też przyjechał z Warszawy, ukończył to samo liceum,

co ja. Wspominałem już jego postać – to w jego garniturze zdawałem maturę. Po roku jednak wrócił do stolicy. Jego ojciec był profesorem prawa. Chodziliśmy na wykłady na ten wydział. Z dużym zainteresowaniem chłonałem wiedzę z filozofii antycznej, etyki, historii państwa i prawa. Powszechnym zwyczajem w tamtych czasach było uczenie się w grupie. Po części wynikało to z ograniczonego dostępu do książek, ale owocowało bliskimi, koleżeńskimi więziami, przekładało się na wspólne wycieczki, dyskusje itd. Do najbliższych mi ludzi z tego czasu należał Witek Karwowski (dzisiaj profesor), Nadia Sznajder (Żydówka z Wałbrzycha, po studiach wyemigrowała), Basia Szajener, Andrzej Waśkowski, potem też Jurek Hanćkowiak. Jeździliśmy w góry, trochę zajmowałem się wspinaczką. Pływałem też na żaglówkach. Nie byłem zaangażowany w życie studenckiej społeczności. Bardziej byłem skupiony na swoich zainteresowaniach, rozmowach z przyjaciółmi, zajęciach duszpasterstwa.

### **Jak wyglądało akademickie duszpasterstwo w tamtych latach?**

Wspaniałym duszpasterzem był np. ksiądz Stanisław Kluz. Młody człowiek, wtedy starszy ode mnie może o dwadzieścia lat, zdążył zaangażować się w Wolność i Niezawisłość i przypłacił to więzieniem. Duszpasterską opiekę nad wrocławskimi studentami powierzył mu arcybiskup Kominek. Ksiądz Kluz pożyczył mi kiedyś wydaną w Paryżu książkę Simone Weil. Nazwisko to było mi znane dotąd przede wszystkim w związku z symetrią Weila, której autorem był zresztą brat Simone. Jej lektura była dla mnie ogromnym przeżyciem. Powiedziałem więc księdzu, że tak bardzo stała się ona dla mnie ważna, że jej mu nie oddam. Zgodził się, ale kazał mi za nią zapłacić i podał sumę równą mojemu miesięcznemu stypendium. Byłem zaskoczony, ale on powiedział, że po prostu tyle za nią, w czasie pobytu we Francji, zapłacił. Tak wyglądały te relacje naszych złotych do walut zachodnich. Książka kosztowała mnie więc słono. To stypendium stanowiło podstawę mojego utrzymania. Myśli Simone Weil czytałem jednak wiele razy. Po jakimś czasie obszernie fragmenty tłumaczenia Czesława Miłosza znałem na pamięć. Potem spotkałem się też z tłumaczeniem Olędzkiej-Frybesowej i śledziłem różnice w obydwu wersjach. Zaprzagnąłem poznać wersję oryginalną, co stanowiło dla mnie największą motywację do nauki francuskiego. Uczyłem się tego języka dwa lata, podobnie jak angielskiego. Nie wytrwałem jednak w tej nauce na tyle, by dobrze opanować jakiś obcy język.

### **Studia na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych to także indoktrynacja i np. szkolenie wojskowe.**

Indoktrynacja była w tym czasie dużo mniejsza, niż kilka lat wcześniej. W szkoleniu wojskowym natomiast udało mi się w ogóle nie wziąć udziału.

### **Jak to było możliwe?**

W czasie nauki w szkole średniej pojechałem na letni obóz przysposobienia obronnego. Sam byłem zaskoczony, jak bardzo spodobała mi się panująca na nim atmosfera. Nie było w tym chyba nic dziwnego. Dla piętnastolatków różnego rodzaju militaria, broń, mundury, pozorowane walki na poligonie często są pociągające. Po powrocie, kiedy z pewnego dystansu zacząłem się zastanawiać nad własnymi emocjami, sam zacząłem się ich obawiać. Bałem się, że wojsko może wyzwolić jakieś złe strony mojej natury. Pociągało mnie ono, ale silniejsze było moje przekonanie, że jest

czymś głęboko sprzecznym z moimi religijnymi przekonaniem, zasadami. Nie bez znaczenia było i to, że Ludowe Wojsko Polskie nie było armią stojącą na straży niepodległości ojczyzny, ale czymś ideowo obcym. Postanowiłem więc do wojska nie iść.

**Ale przecież nie śniły się wtedy jeszcze nikomu czasy ruchu „Wolność i Pokój”! Nawet zachodni ruch „objectorów”, czy odmawiających służby hipisów wtedy jeszcze nie istniał. Można było chyba, co najwyżej, „migać się od wojska”, załatwiając sobie orzeczenia komisji lekarskich...**

Postanowiłem nie iść do wojska bez względu na konsekwencje. Obawiałem się ich, ale przekonanie o słuszności takiego wyboru było silniejsze. Pomyślałem, że „co ma być, to będzie”, i że nie będę też się bawił w żadne kombinacje. W razie jakichkolwiek pytań nic nie będę kręcił, tylko powiem, z czego moja decyzja naprawdę wynika.

**Oficerowie uczelnianego studium wojskowego czy komendy uzupełnień chyba nie byli podatni na taką argumentację? Zwłaszcza w tamtych czasach...**

Rzeczywiście – byli zaskoczeni. Oczywiście, odwoływali się do mojego rozsądku, grozili usunięciem z uczelni, namawiali na różne sposoby. Trwał rok akademicki, dostawałem kolejne ostrzeżenia i ani razu nie byłem w uczelnianym Studium Wojskowym. Chyba trochę sprzyjało mi to, że byłem młodszy od większości studentów, naukę na uniwersytecie zaczynałem mając 17 lat. Jeśli nie osiągnąłem jeszcze wieku poborowego, to trudno było mnie straszyć, że po usunięciu z uczelni zostanę skierowany do zasadniczej służby wojskowej. W czasie kolejnych rozmów ostrzegawczych zacząłem mieć wrażenie, że moja nietypowa sprawa zaczyna stanowić jakiś rzeczywisty kłopot dla oficerów.

**I w efekcie uniknąłeś służby wojskowej? Ani nie chodziłeś na zajęcia w Studium Wojskowym, ani nie wzięli cię na obowiązkowy rok do Szkoły Oficerów Rezerwy?**

Brzmi nieprawdopodobnie, ale tak właśnie było. W Studium Wojskowym nie byłem ani razu, a powołania po ukończeniu uczelni także nie otrzymałem.

**Warunkiem ukończenia tego roku studiów, w którym jest szkolenie wojskowe, jest uzyskanie zaliczenia i zdanie egzaminu z wojska!**

Zaliczono mi rok pomimo braku jakiegokolwiek wpisu egzaminatora ze Studium Wojskowego. Nie wiem, czemu zawdzięczam tak szczęśliwy dla mnie bieg wydarzeń, ale tak właśnie było.

**To być może jedyny taki wypadek wtedy w kraju. Studiowałeś w latach 1958–62. W czasach stalinowskich bez ceregieli usunęliby kogoś takiego z uczelni, a za uchylania się od wojska zamknęliby w więzieniu. W czasach późniejszych – skojarzyliby z rodzącym się, młodzieżowym fermentem i z tego powodu by nie popuścili. A na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zwyczajnie nie wiedzieli, co z takim przypadkiem zrobić. Może ktoś z decydujących o twoim losie za długo się zastanawiał nad**



**takim dziwnym przypadkiem, a potem sam się bał konsekwencji tego, że sprawy powołania poborowego czy podchorążego nie dopilnował, doszedł więc do wniosku, że sprawę najlepiej „zamieść pod dywan”? Albo też wojsko doszło do wniosku, że lepiej pokryć milczeniem akcję jednego buntownika, niż robić raban, który żadnych korzyści „ludowej ojczyźnie” nie przyniesie? Historia trochę tajemnicza, ale zarazem dowód na to, że warto wierzyć przy swoich przekonaniach. Nigdy nie wiadomo, jakie owoce to przyniesie. Poza tym, że nie musiałeś robić tego, czego nie chciałeś, zyskałeś rok, który musiałbyś oddać służbie, a wcześniej przez rok jeden dzień w każdym tygodniu w czasie studiów!**

To prawda.

## 1968

**Przez wiele lat propaganda przedstawiała Kornela Morawieckiego jako postać zięjącą antykomunizmem, a z opowieści o pierwszym ćwierćwieczu twójego życia niespecjalnie wyłania się obraz zdeklarowanego przeciwnika ustroju.**

Nigdy nie byłem jego zwolennikiem, nigdy też nie należałem do jakiegokolwiek organizacji mającej związek z władzami, czy panującym systemem. Jeśli jednak miałbym jakoś opisać mój rodzący się światopogląd – to dość długo sprawa komunizmu czy dominacji sowieckiej, nie grała w nim naczelnej roli. Była dla mnie ważna, ale nie najważniejsza. Wynikało to z szeregu przyczyn. Rodzice byli przeciwnikami panującego porządku, ale też podkreślali, że i rzeczywistość międzywojenna bardzo daleka była od ideału. Do tego, by przyjąć jakieś wyraziste stanowisko polityczne, dojrzywałem podążając drogą lektur filozoficznych i bliskiego związku z Kościołem. Duszpasterstwa, z którym byłem związany najpierw w Warszawie, a potem we Wrocławiu, prowadziły wspaniałą pracę formacyjną. Do tego po 1956 roku pojawiło się sporo dobrych czasopism. Od deski do deski czytałem każdy numer „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi”, „Po Prostu”. Bywałem na różnych spotkaniach z redaktorami tych periodyków. Zjazdy związanej z Kościołem młodzieży akademickiej odbywały się m.in. w Bardzie Śląskim. Pamiętam dyskusje ze Stefanem Kisielewskim, Jackiem Woźniakowskim, Stefanem Wilkanowiczem. Bardzo długo ważniejszym zagadnieniem od polityki była dla mnie etyka. Zaczytywałem nie tylko Simone Weil, ale i innych autorów. Pochlaniałem pisma Anny Morawskiej, Dietricha Bonhoffera, czytałem o filozofii chińskiej, studiowałem przekłady Lao-Tse, podstawy buddyzmu i taoizmu. Począwszy od szkoły średniej, uprawiałem jogę. Bardziej interesowała mnie wtedy sprawa formowania charakteru, niż zaangażowania w sprawy publiczne. Doszedłem jednak do wniosku, że filozofia buddyzmu za bardzo akcentuje indywidualizm. Miałem trochę skłonności do samotnictwa, ale w jakichś rozsądnych granicach. Zawsze uważałem, że niezbywalny jest społeczny wymiar człowieka. To on przede wszystkim stanowi o jego wartości. Chyba można powiedzieć, że w młodości najpierw pracowałem nad sobą, a dopiero potem dojrzałem do działalności społecznej. Jednak nie od razu przełożyła się ona na jakieś przedsięwzięcia polityczne.

Poza tym, że nie mieliśmy niepodległości, że nasza część świata skuta była systemem totalitarnym, jedna rzecz wydawała mi się jeszcze ważniejsza. Było nią nuklearne zagrożenie, wiszące nad światem. Wiedza o nim nie wynikała z propagandy, w której eksponowano wizję zagrożenia atomowego, pochodzącego, oczywiście, ze Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej. Faktyczny rozmiar tego zagrożenia pojąłem, kiedy zacząłem studiować fizykę. Pamiętam, że pełna świadomość rozmiarów potencjału zniszczenia zrodziła się we mnie w czasie ślęczenia nad podręcznikami. Taka myśl wstrząsnęła mną wtedy do głębi, że naprawdę w krótkim czasie wszyscy możemy przestać istnieć. Stało się dla mnie oczywiste, że możliwość unicestwienia naszego świata jest realna, że nie ma tu cienia przesady. Lata 60. były pełne otwartej wrogości między blokami wyposażonymi w arsenały zdolne zlikwidować ludzkość. Los świata zdawał się wisieć na włosku, i to nie tylko w dniach kryzysu kubańskiego. Z wielką uwagą śledziłem rozwój tych wypadków i z ulgą przyjmowałem zawierane porozumienia.

**To był większy problem niż sprawy sowieckiego totalitaryzmu, narzucanego Polsce ustroju, braku niepodległości?**

Większy. To było być albo nie być tego świata. A przynajmniej naszej cywilizacji. Tak uważałem wtedy i do dziś nie zmieniłem zdania. Wizja tej potencjalnej katastrofy nie była wydumana. Sowiecki totalitaryzm zawsze postrzegałem jako jednoznaczne zło. Podjęcie z nim walki było oczywistym, moralnym nakazem. Każda walka musi mieć jednak jakiś, choćby w minimalnym stopniu racjonalny plan, żeby nie oznaczała wyłącznie daremnego rozlewu krwi. W latach sześćdziesiątych ślady wojny ciągle były jaskrawo widoczne niemal na każdym kroku. Rzucił się w oczy ciągle dotkliwy brak ludzi, którzy zginęli. Nie istniały ogromne połacie miast. Wrocław był czymś w rodzaju archipelagu. Dzielnice, które w jakiejś części dały się odbudować, poprzedzielane były setkami hektarów pustych przestrzeni. Dla naszego, ledwie częściowo odbudowanego kraju, kolejna wojna mogła być wyjątkowym niebezpieczeństwem. Nawet jeśli wymiana ciosów nuklearnych jakimś cudem miałaby ograniczony zakres, mogła oznaczać największą tragedię w naszych dziejach. Bo to w naszej części Europy konfrontacja nuklearna przyniosłaby największe zniwo. A punktów zapalnych na naszym globie nie brakowało. Lata sześćdziesiąte to także wojna wietnamska. Dużo się o niej dyskutowało. Temat był niejednoznaczny.

**Niejednoznaczny?**

Oczywiście, z jednej strony był to lokalny pojedynek dwóch supermocarstw. Amerykanie powstrzymywali sowiecką ekspansję i pod tym względem wszystko było jasne. Zarazem jednak skala zaangażowania Wietnamczyków z północy robiła ogromne wrażenie. Ta ich wieloletnia, niejednokrotnie heroiczna, walka była wynikiem nie tylko zaopatrzenia, otrzymywanego ze Związku Sowieckiego i całego bloku państw socjalistycznych. Zapewne znaczna część żołnierzy Vietkongu była ofiarami komunistycznej propagandy. Bez wątplenia tak. Jednocześnie tymi ludźmi kierowało częste dążenie do wyzwolenia się spod kolonializmu. Najpierw okupantami byli Francuzi, potem okupantów dostrzegali w Amerykanach. Dyskutowaliśmy w tamtych czasach o tym wielokrotnie, opierając się nie na relacjach z oficjalnych mediów, ale na materiałach z zachodniej prasy czy obcojęzycznych stacji radiowych. Przynajmniej z ówczesnej perspektywy to nie był temat do jednoznacznych rozstrzygnięć...

**A w jakiej mierze wojna wietnamska była także polską wojną. Najliczniejszą, po Murzynach (czy Afroamerykanach – według *political correctness*) grupą etniczną w armii amerykańskiej były osoby polskiego pochodzenia. Spośród 59 tys. poległych żołnierzy US Army bardzo wielu miało polskie korzenie. Jeden z naszych pisarzy, o których wspominaliśmy, Marek Hłasko, był wtedy w Stanach i zgłosił się do poboru. Chciał ochotniczo walczyć w Wietnamie...**

Ale też w książce „Palcie ryż każdego dnia” pisał o żołnierzach amerykańskich, polewających zapasy ryżu benzyną i rzucających zapalone zapalki, na oczach zrozpaczonych wietnamskich kobiet...

**Do jakich więc wniosków dochodziliście, dyskutując w połowie lat sześćdziesiątych o ówczesnej sytuacji politycznej?**

Dostrzegliśmy ewolucję systemu komunistycznego. Nie był on już tak represyjny jak za Stalina. Istniała jakaś przestrzeń wolności, choćby taka, że pozwalała na w miarę nieskrępowane praktyki religijne czy takie dyskusje, o jakich mówimy. Oczywiście – na gruncie prywatnym, czy np. w Klubie Inteligencji Katolickiej. Pomimo różnorodnych trudności blok sowiecki był u szczytu swojej potęgi. Nie wierzyliśmy w zapewnienia Chruszczowa, według których stopa życiowa w ZSRS do roku 1980 przewyższy poziom życia w USA. Skoro jednak system w krótkim czasie nie miał się ani rozlecieć, ani odnieść sukcesu – to zastanawialiśmy się nad konwergencją. Nad szansą jakiegos jego zbliżenia do modelu wolnorynkowego czy też perspektywą pewnego upodobnienia obydwu, dominujących na świecie, systemów. Pamiętajmy, że Związek Sowiecki za Chruszczowa dość znacznie się różnił od tego z czasów Stalina. To nie był niewzruszony monolit. Jego skuteczne kruszenie w tych latach wydawało się jednak przerastać nasze ówczesne możliwości.

**Czyli – w czasach „małej stabilizacji” postawa taka trochę pozytywniejsza...**

Trochę tak. Zacząłem pracować jako nauczyciel akademicki. Dążyłem do tego, by przekazywać nie tylko wiedzę z fizyki czy matematyki, ale także propagować poszerzanie horyzontów, krzewić postawy oparte na fundamencie dalekim od marksistowskiego, jak najbliższym tradycji europejskiej, chrześcijańskiej.

**Aż nadszedł rok 1968. Często eksponuje się dziś tamte wydarzenia jako wybuch polskiego antysemityzmu. Najważniejszym wydarzeniem miała być wymuszona emigracja wielu polskich Żydów.**

Absolutnie nie tak to wyglądało. Przynajmniej z wrocławskiej perspektywy. W stolicy może ta antyżydowska awantura miała jakieś znaczenie, ale nie miała jakiegokolwiek związku z żadnym antysemityzmem. Powszechnie wiadomo było, że na szczytach PZPR-u trwały walki frakcyjne. W 1967 roku Gomułka wykorzystał wojnę sześciodniową po to, by pozbyć się wielu swoich przeciwników, oskarżając ich o związki z „izraelskim imperializmem”. Rzeczywiście w jakiejś części przeciwnikami Gomułki byli komuniści żydowskiego pochodzenia. Prawie zawsze zresztą górując nad nim i jego ludźmi wykształceniem. W końcu „tow. Wiesław” ukończył led-

wie parę klas szkoły powszechnej. Te jego brednie, które wygłaszał w marcu 1968, dobitnie obnażały, jaką formację umysłową reprezentował człowiek rządzący wtedy naszym krajem. Protest przeciw zakazowi wystawiania „Dziadów” Mickiewicza był pretekstem do dalszego eliminowania konkurentów. Nie tylko w partii, ale i w środowiskach naukowych. W nich też nie brakowało takich, którzy zamiast kompetencji mieli tylko partyjne legitymacje.

**Jednak antyżydowskie represje pod koniec lat sześćdziesiątych występowały także we Wrocławiu. I musiały być dotkliwe, jeśli jeden z twoich przyjaciół udzielił wtedy schronienia żydowskiej rodzinie.**

Mówisz o Rolandzie Winciorku, w którego domu w 1967 roku zamieszkała wraz z dziećmi kobieta żydowskiego pochodzenia. Ona faktycznie była nękana. SB wciąż pojawiała się w jej domu, pytając, gdzie jest jej mąż, który nie wrócił w terminie z zagranicy. Jak się później okazało, rzeczywiście był w Izraelu i walczył w wojnie sześciodniowej. U Rolanda jego żona znalazła spokojny kąt, mimo że wcale nie była jego bliską znajomą. Winciorek był po prostu człowiekiem zawsze gotowym do pomocy. W czasie okupacji pomagał Żydom, a później, w okresie stalinowskim – także innym ściganym i ukrywającym się. Miał dość duży dom i jeśli tylko ktoś zwrócił się do niego z prośbą o udzielenie schronienia, nigdy nie odmawiał. Żydowska rodzina mieszkała u Rolanda Winciorka aż do czasu, gdy umożliwiono jej wyjazd z kraju. A jeśli chodzi o antysemityczne akcje we Wrocławiu w latach 1967–68, to oczywiście dochodziło do nich, ale bez wątpienia wszystkie były dziełem partyjnych towarzyszy. To przecież nie społeczeństwo skonfiskowało mienie gminy żydowskiej, lecz władze, których nikt nie wybierał. I chyba nikt nie ma wątpliwości, że robotą bezpieki była próba podpalenia synagogi przy ul. Włodkowica i napisy na murach, nazywające polskich Żydów „piątą kolumną Izraela”. Nomenklatura PZPR ogromnie zaszkodziła wtedy Polsce, starając się uzasadnić represje przeciw studentom koniecznością zwalczania syjonizmu. Komuniści brutalnie prześladowali młodzież domagającą się wolności słowa i głosili, że rozprawiają się z „syjonizmem”. Było to cyniczne oszczerstwo, które zszargało opinię o Polsce w świecie i zubożyło nasz kraj, z którego wyjechało wtedy wielu wartościowych ludzi. Głównymi ofiarami Marca 1968 byli jednak domagający się podstawowych wolności młodzi ludzie. Nie ulega



W 1968 r. partia rozpętała antysemitką i jednocześnie antyinteligentką kampanię.



Studenckie strajki ogarnęły największe ośrodki akademickie.

wątpliwości, że najczęściej eksponowany w mediach obraz tamtych wydarzeń ciągle jest mocno zafałszowany. Środowiska komunistyczne, które zwalczał Gomułka, ucierpiały wtedy, ale dlaczego do dziś czyni się z nich główne ofiary? Podejmująca ten temat ostatnia książka profesora Eislera wreszcie zawiera więcej prawdy o tych wydarzeniach.

### **Jaki był w nich twój udział?**

Byłem wtedy młodym pracownikiem naukowym. Wydarzenia, które przewalały się przez Wrocław, były wielkim głosem w obronie wolności słowa, ale nie tylko. To był silny protest przeciw gomułkowskiej polityce. Panowało powszechne przekonanie, że kraj ugrzązł, zatrzymał się w jakimkolwiek rozwoju. Z roku na rok narastał marazm. Coraz powszechniejsze było przekonanie, że bez jakiegoś wstrząsu nic nie pójdzie w dobrym kierunku. Studenckie strajki i demonstracje budziły nadzieję. W sprzeciw wobec władz zaangażowało się na tyle liczne grono, że można było mieć nadzieję, iż przełoży się to na jakieś pozytywne zmiany. Brałem udział w obradach Rady Wydziału Mat-Fiz-Chem, która dość jednoznacznie wystąpiła w obronie studentów. Wrocławskie środowisko profesorskie zachowało się wtedy w dużej części przyzwoicie. Ówczesny rektor uniwersytetu, prof. Alfred Jahn otwarcie poparł studentów. Zapłacił za to stanowiskiem. Ja wtedy bardzo starałem się zorganizować jakiś druk. Możliwości w tym zakresie były minimalne. W końcu stanęło na tym, że

oświadczenia w sprawie postulatów studenckich powielimy metodą fotograficzną.

**Czyli – tekst ukazać się miał na zwykłych, robionych powiększalnikiem, odbitkach fotograficznych?**

Tak. Jednak w samym Marcu 1968 nie zdążyliśmy zrobić ich zbyt wiele. Słupienie protestów nie oznaczało jednak „złożenia broni”. W środowisku studenckim szybko przyjęła się opinia, że wznowienie wystąpień nastąpi przy okazji pierwszomajowego pochodu, na który szykowano odpowiednie transparenty i okrzyki. Z moim przyjacielem, Jurkiem Petryniakiem i jego kolegą, Zdzisławem Ojrzyńskim rozważaliśmy wtedy jeden z bardziej kontrowersyjnych pomysłów na kolportowanie ulotek. Mieliśmy nad pochodem wypuścić balon, z którego rozsypałyby się ulotki. Balon klejony z papieru, mimo znacznego podgrzania powietrza w jego wnętrzu, był za ciężki na uniesienie ulotek. Wtedy pomyśleliśmy nadmuchać baloniki-prezerwatywy z pojedynczymi ulotkami. Mnie polecono zakup. Motorem jeździłem od kiosku do kiosku.

**Ciekawe, co myślały o tym panie kioskarki, kiedy tak do nich zajężdżałeś motocyklem i dopytywałeś się o większe ilości prezerwatyw...**

Pewnie kojarzyły to z wiosną i niemal letnią pogodą. Od początku jednak projekt ten miał oponentów. Niektórzy uważali, że rozrzucanie ulotek z napompowanych prezerwatyw będzie miało nieodpowiednią wymowę. Mówili: *Kornel, jak to będzie wyglądało? Przecież na tym pochodzie będą dzieci, a ty chcesz, żeby im nad głowami wielkie gumowe fallusy latały? Toż to będzie obscena!* Inni wskazywali, że niezbyt stosowne może być rozsypywanie ulotek, podejmujących sprawę wolności słowa, z balonów o kształcie męskich członków. Jednym słowem, zrobiliśmy się w balona.

**Balonowe doświadczenia przydały się jednak kilkanaście lat później, kiedy „Solidarność Walcząca” dość często używała balonów do rozrzucania ulotek albo dźwigania transparentów.**

Tak, ale wtedy już wiedzieliśmy, że prezerwatywy nie znajdują zastosowania w kolportażu. W latach osiemdziesiątych używaliśmy balonowych sond meteorologicznych. Potrafiły unosić spory transparent. W roku 1968 nie mieliśmy dostępu do tak dużych balonów. W efekcie ulotki rozrzucaliśmy lub rozdawaliśmy. Poszło dość sprawnie. Przed pochodem wszystkie negatywy i makiety zniszczyliśmy. Baliśmy się, że jak ktoś z uczestników akcji zostanie złapany, to zrobią rewizje w mieszkaniach i znajdą obciążające dowody. Niedawno okazało się jednak, że nie wszystkie ulotki przepadły. W archiwum Instytutu Pamięci Narodowej odnalazły się te nasze fotograficzne ulotki. Służba Bezpieczeństwa trochę ich wtedy przejęła – wybierała, albo dostała od swoich ludzi maszerujących w pochodzie. Wszczęte zostało w tej sprawie śledztwo, ale nikogo nie zatrzymano. W czasie pochodu MO i SB aresztowała natomiast ludzi wnoszących okrzyki i niosących „nieprawomyślne” transparenty.

**1968 rok to także interwencja w Czechosłowacji.**

Tak – wielka hańba Ludowego Wojska Polskiego. Z młodzieńcem wtedy Wojtkiem Winciorkiem malowaliśmy w Obornikach Śląskich symbole sierpa i młota przy-



Polscy okupanci Hradca



Uroczyste powitanie we Wrocławiu jednostek LWP powracających z Czechosłowacji



równane do swastyki. Były też inne protesty na murach, ogólne poczucie wstydu za udział naszych żołnierzy w tłumieniu wolności w sąsiednim kraju. No i spore przygnębienie. Wielu wspaniałych ludzi trafiło za kraty lub wyleciało z uczelni. Tak umiarkowane przecież zmiany w Czechosłowacji zgnieciono czołgami. W 1969 roku wykonywałem jeszcze nekrologi upamiętniające Jana Palacha. Rozwieszałem je m.in. na Politechnice.

**Końcówka lat sześćdziesiątych wyglądała więc dość beznadziejnie?**

Nie do końca. Sam fakt, że tak duża część studentów potrafiła się zaangażować w sprzeciw wobec władz, był bardzo pokrzepiający. Wydarzenia w Czechosłowacji też oznaczały istnienie potencjału oporu przeciw komunizmowi. Można było liczyć na to, że za jakiś czas dojdzie do wystąpień, które przyniosą zmiany.

## **„Kornelówka”**

**Na początku lat siedemdziesiątych jakiś kilometr na wschód od drogi z Wrocławia do Obornik Śląskich, na skraju lasu między Pęgowem, Goleźdinowem a Wilczynem Leśnym zaczęłaś budować drewniany dom. W krótkim czasie miejsce to zaczęło ogniskować życie sporej części wrocławskich środowisk opozycyjnych, potem zaczęło być zakątkiem owianym legendą...**

Marzenie o małym domku pod miastem towarzyszyło mi od początku mojego życia zawodowego. Na początku lat siedemdziesiątych miałem żonę i troje dzieci, żyliśmy razem z coraz starszym teściem w małym mieszkaniu w centrum Wrocławia. Byłem po doktoracie, bez nadziei na przydział mieszkania w jakimś przewidywalnym terminie. Budowa jakiegoś domu, a tym bardziej jego kupienie, przekraczała moje możliwości finansowe. Przyszedł mi więc do głowy taki „wariant pośredni” – mały, letniskowy domek, w którym można by spędzać weekendy. Pomyślałem, że budowę mogę rozłożyć na parę etapów. Najpierw wznieść jakąś taką część zasadniczą, a potem, w miarę możliwości, dobudowywać kolejne pomieszczenia.

### **Jak to się stało, że trafiłaś akurat do Pęgowa?**

Jak tylko zacząłem studiować we Wrocławiu, moi krewni powiadomili mnie, że gdzieś w okolicy miasta mieszka bliska im osoba, którą zresztą pamiętałem jako jedną z moich ciotek. Pochodziła z tej samej części Ziemi Kieleckiej, z której wywodzili się Morawieccy, i w której bywałem na wakacjach. Okazało się, że zamieszkała dwadzieścia kilometrów na północ od Wrocławia, w Wilczynie Leśnym, wyszła za Rolanda Winciorka.

**Roland – rocznik 1920, uczestnik wojny obronnej 1939, żołnierz AK Obwodu Skierniewickiego, potem działacz organizacji Wolność i Niezawisłość...**

O Rolandzie można by opowiadać długo. Kiedy przychodził na świat, jego ojciec bił się z bolszewikami, „bo przecież trzeba przed nimi nasze dzieci uratować”, osobiście ścigał w Wyszkowie uciekających samochodem renegatów – Marchlewskiego i Kona.

W 1939 r. Roland walczył i z Niemcami, i z Sowieciami, potem AK, „Żegota” i akcje pomocy Żydom, po wojnie organizacja „Wolność i Niezawisłość”.

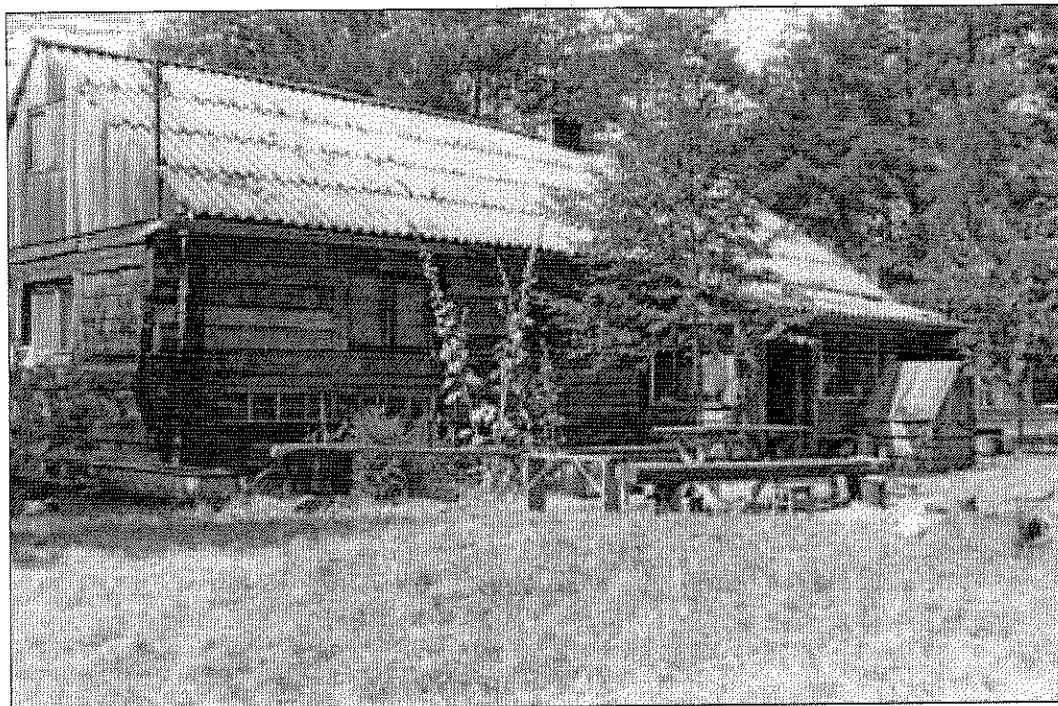
Jeszcze bogatszą przeszłość miał starszy brat Rolanda, który w roku 1939 zasłużył się w bitwie z Sowieciami pod Grodnem. Po wojnie bestialsko zabiło go UB. Morderców Roland widywał jeszcze pod koniec swojego życia, w latach dziewięćdziesiątych. Mieli się świetnie, przechodzili na promienne emeryturki z jakichś lukratywnych stanowisk. Pomimo podejmowanego śledztwa nigdy nie spotkała ich żadna kara.

Na początku lat siedemdziesiątych, jeżdżąc rowerem z Wilczyna do Wrocławia, trafiłem do Pęgowa. Nie mogłem kupić ziemi, ale na skraju lasu wziąłem w dzierżawę prawie pół hektara gruntu. Potem, gdy zdałem rolnicze testy, dokupiłem tej ziemi więcej.

**I powoli zaczęło powstawać miejsce, które później odegra sporą rolę w formowaniu się polskiej opozycji i w powstawaniu drugiego obiegu wydawniczego. Budując ten dom, zaczęłaś dokładać kolejną historyczną warstwę do tego zakątka Polski. W XVIII wieku do tego lasu przylegał jeden z majątków Augusta III Sasa, który zatrzymywał się w nim, podróżując między Rzeczpospolitą a Saksonią. Dziś po tamtej rezydencji nie ma już śladu. Pamiątką z ostatniej wojny jest natomiast rów przeciwczołgowy, wykopany przed ogłoszeniem Wrocławia twierdzą...**

Rów przeciwczołgowy Festung Breslau przebiegał tu wzdłuż północnej krawędzi Pęgowa i stanowił też północną granicę działki, na której zacząłem wznosić swój letniskowy domek. Najpierw skleciłem jakąś altankę, komórkę. Potem zacząłem się rozglądać za jakimiś materiałami. Pieniądzy miałem tyle, co kot napłakał. Nie znałem się też na budowlance prawie wcale. Niedaleko mojego wrocławskiego mieszkania, na pl. Bema, wyburzane były właśnie kamienice, pokiereszowane wojną rudery. Leżało tam sporo starych belek stropowych, które marnowały się w stertach gruzu. Okoliczni posiadacze pieców podkradali je i rąbali na opał. Udało mi się trochę tych belek kupić, płacąc jakieś symboliczne grosze. Do miejsca mojej „budowy” było stamtąd ze dwadzieścia kilometrów. Część przewiozłem jakimś okazjonalnym transportem. W sumie ta moja „inwestycja” posuwała się dosyć niespiesznie, powolnym rytmem pogodnych sobót, letnich urlopów. Miejsce zagospodarowywałem z rodziną i przyjaciółmi. Jak już była studnia z wodą, znajomi przyjeżdżali na biwaki z namiotami. Czasem więcej było rozmów przy ognisku czy chodzenia na grzyby niż pracy. Przewijało się mnóstwo wspaniałych ludzi, ale nie pojawił się nikt, kto stanowiłby jakąś siłę fachową. Sporo było w tym improwizacji, pojawiały się sprzeczne ze sobą pomysły. Jedni namawiali mnie, żebym budował tak, jak osadnicy na Dzikim Zachodzie – z wolną przestrzenią nad gruntem. Potem doszliśmy do wniosku, że jednak lepiej będzie oprzeć konstrukcję o podmurówkę. Tak więc nie zawsze w logicznej kolejności, ale belka po belce postawiliśmy ściany, potem strop...

W tamtym czasie wolno było wznosić bez zezwolenia budynki do jakiejś określonej, niewielkiej powierzchni. Pozostając w zgodzie z tymi przepisami, zbudowaliśmy oprócz parteru poddasze, w którym można było urządzić sypialnię dla wielu osób. Prace przy budowie tego letniego domu bardzo zintegrowały sporą grupę znajomych, którzy przyjeżdżali na wakacje, sobotnio-niedzielny wypoczynek i zarazem



„Kornelówka”

pomagali tę budowlę stworzyć. Nawiązało się przy tej okazji mnóstwo kontaktów, często bliskich zażyłości. Wspomnieniem tego czasu są też spotkania przy ognisku, wielogodzinne dyskusje do późnych, nocnych godzin. Nigdy bym wtedy nie przypuszczał, czym to wszystko zaowocuje. Po latach okazało się, że wielu tych, z którymi spotykałem się przy pracy nad pęgowskim domem, współtworzyło redakcję i organizacyjno-techniczne zaplecze „Biuletynu Dolnośląskiego”. Sporo działało wokół Regionalnego Komitetu Strajkowego, czy w Solidarności Walczącej. Nie wiem, czy bez tych przyjaźni, zawiązywanych w tamtym czasie, byłoby w naszych podziemnych strukturach tylu ludzi, którzy się dobrze znali i mogli na sobie polegać.

**Dom, który wtedy powstał, zwany był „Kornelówką”. Do ciebie przylgnał przydomek „Gajowy”, przez wzgląd na to, że posiadłość ta kryła się pod drzewami na skraju lasu i rzeczywiście przypominała coś w rodzaju małej leśniczówki. Znajdowała się ona w pewnym oddaleniu od okolicznych miejscowości, ale jednak zintegrowałeś się też z wiejską społecznością.**

Doszło do tego w sposób samorzutny, zaowocowało cennymi dla mnie doświadczeniami i prawdziwymi przyjaźniami. Znałem wioski kieleckie, do których przyjeżdżałem w dzieciństwie na wakacje. Potem jednak lata upływały mi w murach dużych miast – Warszawy, Wrocławia. Wsie dolnośląskie to była dla mnie taka *terra incognita*. W miarę, jak zwiadywałem się z Pęgowem, odstaniał się przede mną taki dość zaskakujący świat, taka rzeczywistość ludzi często bardzo prostych, ale zarazem przyjaznych, życzliwych, gotowych do pomocy. Choć jednym z pierwszych poznanych przeze mnie pęgowian był człowiek wykształcony, dyrektor szkoły. Potrzebowałem

wtedy kilku kilogramów lepiku, ale okazało się, że jest sprzedawany tylko całymi beczkami, zawierającym ze trzydzieści razy tyle, ile mi było potrzeba. Zastanawiałem się, jak rozwiązać ten problem, gdy zobaczyłem, że budynek szkoły w Pęgowie jest właśnie pokrywany ogromnymi ilościami tego materiału. Stałem przy nim i niemal natychmiast pojawił się dostojnie wyglądający mężczyzna, który bardzo grzecznie spytał, czym może mi służyć. Okazało się, że jest to dyrektor szkoły, Piotr Antoszczyszyn. Powiedziałem mu o moim problemie z nabyciem lepiku, na co on roześmiał się serdecznie: *Ile pan potrzebuje? Wiaderko? Ależ proszę bardzo! To przecież tyle, co nic! My tu parę ton tego w salę gimnastyczną wlepiamy!* Tak się rozwiązał mój mały kłopot z lepikiem, a potem okazało się, że życzliwość Piotra Antoszczyszyna i innych ludzi z Pęgowa potrafiła też usunąć całe mnóstwo urzędowych i różnych innych przeszkód.

Z dyrektorem szkoły szczerze się zaprzyjaźniłem. Był to wspaniały, niezwykle człowiek. Sporo opowiadał mi o swoim życiu, a z jego opowieści często wynikała jakaś godna uwagi, głębsza myśl. Pochodził z niezamożnej rodziny, z biednej części Kresów. W dzieciństwie, żeby dotrzeć do szkoły, musiał iść przez gęsty las ponad osiem kilometrów w jedną stronę. I drogę tę pokonywał bez względu na pogodę, wychodząc często przed świtem albo wracając po zmierzchu. Rodzice nie posyłali go tylko wtedy, gdy mrozy były wyjątkowo ostre i istniało zagrożenie, wcale nie na żarty, że po drodze zjedzą go wilki. Z tamtego czasu wyniósł on duży szacunek do wykształcenia, jako wielkiej wartości, którą zdobywa się z trudem. Chyba dlatego nigdy nie zwracał się do mnie inaczej, jak tylko „panie doktorze”.

Z jego kresowych opowieści warto może przytoczyć np. tę o tym, jak w 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i w jego miejscowości wszyscy zastanawiali się, czy to dobrze, czy źle. Z wioski Antoszczyszyna Sowietci wywieźli już wtedy wszystkich inteligentów i zamożniejszych gospodarzy. Być może, jego rodzina byłaby następna do wywózki, gdyby nie hitlerowska napaść. Odpowiedź na to, której okupacji należy się bardziej obawiać, pojawiła się już letniego dnia roku 1941. Wtedy to najpierw dał się słyszeć zbliżający się warkot silnika, a po chwili na podwórko wjechał motocykl z młodymi, niemieckimi żołnierzami. Matka akurat wychodziła przed dom, niosąc tacę, na której stały kubki ze zsiadłym mlekiem. Młodzi Niemcy, którym upał wyraźnie bardzo dał się we znaki, ani przez sekundę nie zawieszając wzroku na gospodarzach, wzięli kubki, wypili mleko i odstawili z powrotem, nie nawiązując jakiegokolwiek kontaktu z kobietą. Odjechali, nie czyniąc najmniejszego gestu podziękii i robiąc wrażenie, jakby zupełnie nikogo wokół nie zauważyli. Po chwili matka Piotra wyartykułowała odczucia wszystkich świadków tej sceny. Dotychczasowy, sowiecki okupant grabił, prześladował, zsyłał na Syberię. Czyli – zauważał. A już pierwszy patrol hitlerowców dał do zrozumienia, że ludzi z podbijanego kraju wręcz nie dostrzega. Traktuje ich tak, jakby byli gorszym gatunkiem, niegodnym czegokolwiek, jakimiś podludźmi. Wszyscy zrozumieli, że to, co przyszło, będzie gorsze od tego, co odeszło.

### **Przez rok byłeś nauczycielem w szkole Piotra Antoszczyszyna.**

Było to w czasie, kiedy już „Kornelówka” nadawała się do całorocznego zamieszkiwania. Dyrektor pęgowskiej szkoły wiele razy namawiał mnie, żebym kupił działkę i budował dom. Zupełnie nie przemawiały do niego argumenty, że na taką inwestycję nie miałem pieniędzy. Przekonywał mnie, że nie są one najistotniejsze, że mając

życzliwość sąsiadów powoli, krok po kroku, budowę dociągnie się do końca. I chyba miał rację, bo w tym Pęgowie całe mnóstwo spraw teoretycznie niemożliwych albo bardzo trudnych dawało się załatwić, zorganizować, zawsze jakoś „popchnąć na przód”. Doprowadzenie prądu do mojego leśnego domu z formalnego punktu widzenia było bardzo skomplikowane, ale życzliwi pracownicy energetyki doradzili, do kogo jakie podanie napisać, po czym wszystkie problemy się rozwiązywały. I tak było niemal ze wszystkim, np. ze zgodą na rozbudowę „Kornelówki”. Nigdy nie było mowy o jakiegokolwiek, najmniejszej łapówce czy innym „dowodzie wdzięczności”. Wszystko funkcjonowało jakby według takiej niepisanej umowy, że co prawda państwowe władze, jak mogą, starają się nam skomplikować życie, ale my i tak sobie poradzimy, będziemy sobie pomagać, zbudujemy sobie tę naszą lokalną społeczność tak, że na przekór ustrojowi – da się żyć. Orędownikiem takiej postawy był właśnie Piotr Antoszczyszyn, człowiek mający za sobą ciężkie życiowe doświadczenia, który jednak zawsze był pełen optymizmu, entuzjazmu, wiary w ludzi. Był jednym z tych, którzy potrafią z ludzi wykrzesać to, co w nich najlepsze, zintegrować ich, skupić na jakimś pożytecznym działaniu. Widziałem dowody na to, że niewielka grupa ludzi szczerze pragnących coś osiągnąć, nawet jeśli jest skromnie wyposażona, potrafi czegoś dokonać. Tak właśnie powstawały np. nowe domy, przy budowie których mieszkańcy wioski sobie nawzajem pomagali. Jak komuś brakowało środków, zawsze znajdowały się jakieś substytuty – a to cegła rozbiórkowa, a to jakieś inne materiały z odzysku. Rachunek ekonomiczny był sprawą drugorzędną. Czasem budowało się wbrew niemu. Pamiętam całe mnóstwo sytuacji, w których jakiś problem jakby sam się rozwiązywał, bo pojawiał się dyrektor pęgowskiej szkoły, coś doradził, jakichś ludzi skrzyknął, do pracy zachęcił i prędzej czy później – zawsze był efekt. Kiedyś zmagalem się z wkopywaniem słupów. Nagle za moimi plecami wyrósł Antoszczyszyn. Jego głos wyrażał bezbrzeżne zdziwienie: *Pan doktor łopata macha? Po co? Po chwili kilku chłopaków, którzy chyba właśnie kawałek dalej grali w piłkę, z zapalem wykonało całe dzieło. Nikt nie chciał żadnej zapłaty. Dano mi do zrozumienia, że jakiegokolwiek dowody wdzięczności są zbędne, bo wzajemna pomoc w lokalnej wspólnocie to rzecz całkowicie naturalna. Może i źle zrobiłem, nie ulegając namowom Antoszczyszyna? Być może, jeśli bym go posłuchał, to miałbym nie letni, ale prawdziwy dom w Pęgowie? Któregoś lata zaproponował mi uczenie matematyki w paru klasach. Ciekaw byłem tej pracy i akurat miałem możliwość pogodzenia jej z zajęciami, jakie wtedy prowadziłem na Politechnice.*

### **Między jedną z najlepszych polskich uczelni a wiejską szkołą podstawową jest przepastna różnica. Duży kontrast...**

To doświadczenie bardzo mi się przydało. Zbliżyłem się do realiów wcześniej mi nieznanymi i do pewnego stopnia mogłem je zrozumieć. W wyjaśnieniu ich znów pomocny był Piotr Antoszczyszyn. W ósmej klasie trafiło mi się np. paru takich uczniów, którzy w zasadzie nie do końca opanowali umiejętność pisania. Odkryłem, że jeśli udaje im się coś przepisać z tablicy do zeszytu, to zanotowanie czegokolwiek „ze słuchu” przekraczało już ich możliwości. Mimo różnych moich starań stan ten wydawał się nie do przewyciężenia. Trudno więc było uzyskać jakikolwiek rzeczywisty efekt w przyswajaniu przez nich treści programowych. Pod koniec roku szkolnego powiadomiłem więc dyrektora, że mam zamiar paru uczniom ósmej klasy wystawić oceny niedostateczne. Piotr Antoszczyszyn wysłuchał mnie uważnie. Swoją

odpowiedź zaczął od nawiązania do mojego stwierdzenia, że *nie możemy dać im świadectw ukończenia szkoły podstawowej, ponieważ stanowczo za mało ich nauczyliśmy*. Dyrektor spytał: *Czy ci uczniowie pluja na pana widok?* Odpowiedziałem, że oczywiście nie pluja. Następnie Antoszczyszyn spytał, czy mówią mi „dzień dobry”. Przyznałem, że nie tylko mówią, ale nawet zdejmują wtedy czapki, o ile mieli je wcześniej na głowach. *To w takim razie bardzo dużo ich nauczyliśmy, panie doktorze* – zawyrokował dyrektor. Spytał mnie jeszcze, czy znam środowisko tych chłopców, czy widziałem ich rodziny. Oczywiście, nie znałem tych realiów. Według dyrektora to, że tych chłopców zdołaliśmy czegokolwiek nauczyć i dać im choć trochę wychowania, zaszczerpić odrobinę kultury i społecznych nawyków – stanowiło duże osiągnięcie. Zgodził się, że istnieją minima programowe, różne oświatowe standardy, kryteria ocen. Zauważył jednak, że nikt z tych chłopaków i tak nie będzie kontynuował nauki po szkole podstawowej: *Każdy z nich kończy podstawówkę tylko po to, żeby móc zdobyć prawo jazdy na traktor. Panie doktorze, czy pan wie, jak te chłopaki świetnie sobie radzą z traktorami?* Następnie Antoszczyszyn opowiadał mi, ile oni potrafią zrobić w silniku, jak świetnie umieją orać pola. Argumentował, że powtarzanie ósmej klasy bardziej zaszkodzi im, i innym. Świadectwo ukończenia szkoły da im możliwość zajęcia się wreszcie tym, co lubią i co jest społecznie potrzebne. Pójdą do pracy, potem do wojska, założą rodziny. Kończył swój wywód zdaniem: *Czy mamy ich pozbawić tej perspektywy?* Przekonał mnie. Naciągnąłem parę ocen, a potem okazało się, że droga życiowa tych chłopaków była dokładnie taka, jak to przewidział mój bardziej doświadczony kolega.

**Funkcjonując w jakichś określonych realiach, np. mieszkając w dużym mieście i pracując na uczelni, można pozostawać w nieświadomości istnienia innej rzeczywistości tego samego kraju...**

Moje związki z Pęgowem i okolicznymi wioskami były czymś w rodzaju otwarcia oczu na tę mało mi znaną rzeczywistość Polski. Egzaminator na uczelni czy nauczyciel w szkole, zmuszony jest przede wszystkim egzekwować wiedzę, sprawdzać wymagane programem umiejętności. A w życiu stanowi ona tylko jeden z aspektów, czasem mały wycinek tego, co ważne. Na wsi spotykałem ludzi, którzy mieli czasem bardzo ograniczoną wiedzę o świecie, nawet ich umiejętności pisania i czytania pozostawiały trochę do życzenia. Zarazem jednak byli świetnymi fachowcami w tym, czym się zajmowali, nie można też im było odmówić posiadania prawdziwej, życiowej mądrości. A jeśli do tego jeszcze byli ludźmi uczciwymi, solidnymi i gotowymi spieszyć z bezinteresowną pomocą, to bez wątpienia byli dużo więcej warci od niejednego posiadacza tytułów naukowych. Związując się z wsią, zacząłem odkrywać, poznawać i rozumieć tę Polskę, której wcześniej nie znałem. Dostrzegłem, że jest ona inna, ale wcale nie gorsza.

**Zajmowałem się także rolnictwem.**

Wydzierżawiłem ponad hektar ziemi. Czasem uprawiałem ją sam, często korzystałem z pomocy znajomych i sąsiadów. Obsiewałem jęczmieniem lub facelią. Sadziłem drzewa owocowe, hodowałem pszczoły.

**Bez wątpienia był to też azyl dla rodziny.**

Niewątpliwie tak. Ciągłe mieszkaliśmy na ul. Kilińskiego, w nie za dużym mieszkaniu w środku miasta. Mieliliśmy troje, a potem czworo dzieci. Duża część życia rodzinnego zaczęła toczyć się w tym naszym drewnianym domku. I było to takie życie bliższe naturze. Kontakt z lasem, uprawa ziemi, pielęgnacja ogrodu, ciągłe majsterkowanie, rąbanie drewna, palenie ogniska...

**To pewnie dlatego obserwujący cię esbecy nadali ci kryptonim „Harcerz”.**

Rzeczywiście, życie w Pęgowie mogło przypominać harcerstwo. Szczególnie latem, kiedy ogniska paliliśmy niemal każdego wieczoru, siadywało wokół nich wielu ludzi, a niektórzy znajomi przyjeżdżali z namiotami.

**„Kornelówka” stała kilkadziesiąt metrów od najbliższych zabudowań, niemal na odludziu. Do tego nie była nawet otoczona ogrodzeniem, a przecież nie zawsze tam przebywałaś.**

Ona często była pełna ludzi. Zjeżdżało się mnóstwo znajomych. Niektórzy brali ode mnie klucze i przebywali ze swoimi bliskimi. Poznałem się tam z całym mnóstwem ludzi. Oczywiście, bywali też mieszkańcy okolicznych wiosek. Jeśli zdarzały się tygodnie, w których domu nikt nie odwiedzał, zawsze mogłem liczyć na życzliwe



„Kornelówka” zawsze była pełna gości



## „Kornelówka”

oko mieszkańców Pęgowa. Przystało ono wystarczać dopiero wtedy, gdy tym miejscem zaczęła interesować się SB.

**W latach siedemdziesiątych zaczęły się organizować środowiska opozycyjne. Wielu zaangażowanych w nie ludzi przewinęło się przez „Kornelówkę”.**

We Wrocławiu zaczął działać Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Komitet Samoobrony Społecznej. W 1979 r. zostałem właściwie głównym wydawcą „Biuletynu Dolnośląskiego”. Sporo prac z nim związanych ogniskowało się właśnie w tym leśnym domu. Nie ujawniałem jednak swojej działalności, do kierowania „Biuletynem” przyznałem się dopiero po Sierpniu 1980.

**SB dowiedziała się jednak, że masz związek z drugim obiegiem wydawniczym i opozycją.**

„Biuletyn Dolnośląski” był wydawany w warunkach ścisłej konspiracji. W połowie 1980 r. byłem jednak zatrzymany przez SB. Z przesłuchań wynikało, że orientacja esbecji w mojej działalności była marna. Jej zainteresowanie moją osobą było jednak odtąd coraz większe. Tajniacy zaczęli krążyć m.in. wokół „Kornelówki”. Ich działania wyglądały czasem dość zabawnie. Krótco po tym, jak ujawniłem swoje związki z drugim obiegiem wydawniczym, właśnie ten przylegający do mojej działki fragment lasu zaroił się od grzybiarzy. Niespecjalnie im przeszkadzało to, że wczesną wiosną czy u progu zimy trudno o jakiegokolwiek grzyby. Uparcie i na zmiany krążyli jednak, przetrząsając każdą garść ściółki leśnej i było im jakby obojętne, że zwykle nie dało się tam znaleźć nawet jednego maślaka. Potem jakby „grzybiarzy” olśniło i zimową porą przeobrazili się w myśliwych. Wcześniej nikt tam żadnych łowców, przynajmniej w tej części lasu, nie widywał. A nagle zaroiło się od „patroli” uzbrojonych w dubeltówki i czatujących na zwierzynę, najchętniej tuż pod oknami pęgowskiego domku. Któryś razem po przybyciu do „Kornelówki” zobaczyłem, że, na krawędziach granic działki, stoją drewniane wieże – ambony strzeleckie, których otwory zwrócone są w stronę moich okien.

**W sierpniu 1980 roku SB szukała cię m.in. w Pęgowie.**

Jak tylko fala strajkowa zaczęła przybierać na sile, безпеaka zaczęła ścigać wszystkich, którzy w jej ocenie mogli przyczynić się do eskalacji protestów. Szukali mnie i we Wrocławiu, i w Pęgowie. Zamieszkałem wtedy u znajomych. W wyjątkowo dużym nakładzie wydrukowaliśmy „Biuletyn Dolnośląski”, zawierający informacje o strajkach i listę postulatów.

**W latach osiemdziesiątych z „Kornelówki” korzystały bardzo różne środowiska. Słyszałem opowieści ludzi zupełnie niezwiązanych z opozycją. Opowiadano mi o wizytach różnych towarzystw religijnych. Znajomy nauczyciel muzyki, który dotarł tam z grupą uczestników ruchu „Światło-Życie”, zachwycał się pianinem, przy akompaniamencie którego młodzież śpiewała całymi dniami. Inni wspominali oryginalny, pomysłowo zbudowany kominek.**

Od 13 grudnia 1981 pęgowski dom był jednym z tych miejsc, do których po prostu nie mogłem się zbliżyć. Natomiast często tętniło w nim życie i rzeczywiście, o ile mi wiadomo, trafiały tam bardzo różne środowiska. W pierwszych miesiącach stanu wojennego okoliczna sceneria była jednak ponura. W lesie przebywały oddziały wojskowe, m.in. wyposażone w czołgi. Żołnierze ci stanowili chyba rezerwę, przygotowaną na wypadek konieczności rzucenia dodatkowych sił do tłumienia strajków we Wrocławiu. Wokół „Kornelówki” ciągle krążyli funkcjonariusza SB. Przybywający tam narażali się na legitymowanie lub nawet zatrzymywanie. Co jakiś czas zdarzały się włamania, wybijanie szyb, wrzucanie do środka jakichś cuchnących substancji. Rodzina i znajomi starali się więc, by stale był tam ktoś obecny. I zwykle jakieś grono tam przebywało. Esbecja jednak nigdy nie spuszczała tego miejsca z oka, o czym świadczy wydarzenie z połowy lat osiemdziesiątych. Przyjechał wtedy do Pęgowa któryś z moich kolegów i zabrał ze sobą swoich znajomych. Obserwującym dom funkcjonariuszom bezpieki jeden z gości wydał się bardzo podobny do mnie. Jak mi to potem opowiadano – nagle podjechały samochody, z których wyskoczyło kilku facetów i rzuciło się na tego przypominającego mnie człowieka. Wciągnęli go do któregoś z wozów, po czym z piskiem opon odjechali. Pędząc na sygnale, dotarli do komisariatu, gdzie dopiero po jakimś czasie zorientowali się, że zatrzymanym nie jest Morawiecki.

**Odbывало się to w takim pośpiechu, bo pewnie bali się oporu. Esbecy byli w sporym oddaleniu od swojego komisariatu i nie mogli liczyć na błyskawiczne posiłki. Ładnych parę lat po wprowadzeniu stanu wojennego ciągle kilku było stale w okolicy pęgowskiego domu...**

Dziś wiemy, że mogło to być związane z decyzją Kiszczaka, by w celu rozpracowywania Solidarności Walczącej ściągnąć do Wrocławia jednostki SB z Warszawy i prowadzić permanentną, długotrwałą obserwację wybranych, związanych z organizacją obiektów. Mieliśmy w tym czasie informacje na ten temat. Jak powiedziałem, do „Kornelówki” nie mogłem się wtedy zbliżać. Bywałem jednak w nie tak dalekich od niej okolicach. Kilka kilometrów dalej, w Osolinie, odwiedzałem dom Andrzeja Stadnickiego. Tam zresztą czasami zbierał się Komitet Wykonawczy Solidarności Walczącej. Jakiś czas pod zmienionym nazwiskiem przebywałem w jednym z kempingów w Obornikach Śląskich.

**Dom Andrzeja Stadnickiego w Osolinie też był ciekawym miejscem, ważnym dla opozycji i podziemia.**

Andrzej w latach siedemdziesiątych był pracownikiem naukowym Akademii Medycznej w Poznaniu. Spotkał się ze stanowczą odmową wydania paszportu, mimo że chciał wyjechać tylko na krótki wakacyjny urlop do rodziny. Nie zamierzał uciekać z kraju. Poprosił o uzasadnienie decyzji i dowiedział się, że paszportu nie dostanie, gdyż *jako wysoko wykwalifikowany specjalista mógłby spotkać się z korzystną ofertą zatrudnienia na Zachodzie, w wyniku czego mógłby nie powrócić do kraju*. Na taką argumentację Andrzej odparł, że jeśli praca na uczelni skutkuje radykalnym ograniczeniem jego wolności, to on z tej pracy rezygnuje. Na kilka lat wyjechał w Bieszczady, gdzie zajmował się wypalaniem węgla drzewnego. W Osolinie pojawił się na początku lat osiemdziesiątych, gdyż dostał w spadku dom. Szybko znalazł

kontakt z środowiskami opozycyjnymi, a SB jego osobą wtedy się chyba nie interesowała. Był tu tak jakby człowiekiem nowym, a jego miejsce zamieszkania znajdowało się dość daleko od fabryk, uczelni, ośrodków niepokoju. Odbywały się tam zebrania Solidarności Rolników z Józefem Teligą. Do swojej działalności dom Andrzeja Stadnickiego wykorzystywał Wojciech Myślecki. Z czasem jednak przestawało tam być bezpiecznie. Chyba pojawiała się tam zbyt dużo ludzi związanych z podziemiem. Dzięki gościnności Andrzeja i jego rodziny znajdowali tam azyl ludzie nękani przez bezpiekę. Mieszkał tam Krzysztof Turkowski.

**Po jakimś czasie za kimś, komu Stadniccy udzielili gościny, mógł dotrzeć „ogon” esbecji.**

Mieli tego świadomość i goście, i gospodarze. Obserwacja domu w Osolinie nie była jednak tak ostentacyjna, jak w Pęgowie.

**Przygoda twojego „sobowtóra” nie była jedynym takim, związanym z „Kornelówką” incydentem.**

Zdarzały się też inne. Któryś razem w domu przebywał tylko jeden człowiek – starszy pan z psem. Przed wjazdem na podwórko zatrzymał się jakiś samochód. Kiedy starszy pan wyszedł – kierowca samochodu opuścił szybę i, nie wychodząc z wozu, zabił psa strzałem z pistoletu.

**Ewidentna próba zastraszenia ludzi w jakiś sposób z tobą związanych...**

Być może. Różne rzeczy się wokół „Kornelówki” w latach osiemdziesiątych działy – i ciągła inwigilacja odwiedzających go ludzi, i zanieczyszczanie jego wnętrza, i ta historia z psem, ale nie było wtedy próby podpalenia.

**Może byłoby to zbyt czytelne łajdactwo. Informacja o spaleniu domu ukrywającego się działacza Solidarności rozniosłaby się po kraju lotem błyskawicy i na pewno nie przyniosłaby korzyści propagandowych reżimowi Jaruzelskiego. Twój dom przetrwał lata osiemdziesiąte a doszczętnie spłonął na początku dziewięćdziesiątych.**

Wtedy też zwykle ktoś w tym domu był. Pożar wybuchł kilka go-



Grupa esbeków sfotografowana we Wrocławiu (Archiwum Kontrwywiadu SW)



Pęgów 1979 r. Rodzina i przyjaciele. W środku żona Kornela, Jadwiga.

dzin po wyjściu jednego z tych, którzy z „Kornelówki” w owym czasie korzystali. Według relacji, którą uważam za wiarygodną, ogień w kominku był całkowicie wygaszony, prąd wyłączony... Wiadomość o pożarze do straży dotarła późno. Zostały tylko zgliszcza. Próżno było szukać przyczyny...

#### **„Kornelówka” jednak się potem odrodziła?**

Odbudową zajął się mój syn Mateusz. Zamiast drewnianych ścian, postawił murowane. Życie do tego miejsca powróciło, choć skupia już przede wszystkim następne pokolenie...

# Pielgrzymka

**Bardzo aktywnie przeżyłem pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II w 1979 roku.**

Było dla mnie oczywiste, że przybycie papieża do Polski będzie niezwykłym, wręcz nieobliczalnym wydarzeniem. Spodziewałem się, że na spotkania z Ojcem Świętym przybędą ogromne tłumy. Wiosną 1979 byłem w Warszawie, skontaktowałem się z środowiskiem KOR-u. Pytałem, czy przygotowują na tę okazję jakieś transparenty, ulotki. Bardzo chciałem wziąć udział w takich działaniach. Zaskoczyło mnie, że pielgrzymka papieża nie wzbudzała w nich większego zainteresowania. W ogóle nie doceniali faktu, który ja uważałem za wyjątkowy! Zdumiewały mnie opinie w rodzaju *przyjedzie, pojedzie i cóż z tego?* Wracałem do Wrocławia bardzo rozczarowany. Podzieliłem się swoimi odczuciami z Jurkiem Petryniakiem, moim starym przyjacielem, z którym pozostawałem w stałym kontakcie od lat sześćdziesiątych. On od razu zaproponował wykonanie transparentu. Krótko zastanawialiśmy się, co powinno się na nim znaleźć. O ile dobrze pamiętam – pomysł na jego treść pochodził ode mnie. Postanowiliśmy, że będzie on dużym, biało-czerwonym płótnem, z napisem „WIARA – NIEPODLEGŁOŚĆ”. W czerwcu wykonaliśmy transparent. Chętnych do pojawienia się z nim na mszach papieskich było kilkoro. Poza mną – Jurek Petryniak, Zbyszek Oziewicz, Włodek Winciorek, Amerykanin Garret Sobczyk, Janusz Goryl – mieszkaniec Pęgowa, wówczas chłopak mojej córki. Był z nami też kilkunastoletni kuzyn Jurka Petryniaka – Zbyszek Duszak. W przeddzień przylotu papieża byliśmy w Warszawie, nocowaliśmy u mojej rodziny. Szczególnie powiedziawszy – pierwszego dnia Warszawa nieco mnie rozczarowała. Wszędzie krążyły plotki o zagrożeniach, jakie wiążą się z uczestnictwem w mszy papieskiej. Już na dworcu słyszeliśmy, jak ludzie mówili o tym, że na Placu Zwycięstwa na pewno dojdzie do tumultu, że zgromadzeni będą się tratować.

**Wiadomo, że Służba Bezpieczeństwa bardzo aktywnie rozsiewała plotki, mające na celu pogorszenie atmosfery w czasie papieskiej wizyty i ograniczenie liczby uczestników mszy świętych.**



W Pęgowie przed pielgrzymką. Kornel na dole, w koszuli w kratę

Zabiegi te przyniosły przynajmniej częściowy skutek. Plotki takie krążyły nawet po Wrocławiu, mieście, do którego papież przybyć nie miał. A Warszawa od takich pogłosek aż huczała. Sukcesem SB było to, że na mszy św. na Placu Zwycięstwa nie było więcej, niż dwieście tysięcy ludzi. To bardzo mało, jak na stolicę Polski.

#### **Były inne transparenty, poza waszym?**

W czasie mszy na Placu Zwycięstwa nie widziałem innych, podobnych transparentów. Nasz też nie był rozwinięty przez cały czas. W najważniejszych momentach mszy świętej zwijaliśmy go. Bardzo szybko pojawili się faceci żądający schowania transparentu, który rzekomo zasłaniał widok znajdującym się z tyłu. Nie było wątpliwości, że to esbecy. Zachowywali się jednak dość powściągliwie, jedynie stanowczo prosili. Ewidentnie nie wiedzieli, jak się zachować, co z nami zrobić. Widać, nie mieli doświadczenia w podobnych sytuacjach. Spokojnie więc tłumaczyłem, że transparent nikomu nie przeszkadza, podchodziłem do stojących za nami i oni to potwierdzali. W efekcie, mimo natarczywości esbeków, napis „Wiara – Niepodległość” widniał nad tłumem do końca spotkania z papieżem.

#### **Jakie były twoje wrażenia z historycznej mszy na Placu Zwycięstwa?**

Najpierw zaskoczyło mnie to, że nie przyszło więcej ludzi. Cokolwiek by powiedzieć – Służbie Bezpieczeństwa udało się wywołać psychozę zagrożenia i tym sposo-

bem ograniczyć ilość wiernych na mszy papieskiej. Pierwszy raz w życiu spotkałem się też z oklaskami w czasie mszy świętej. We wszystkim tym najważniejsza była jednak postać papieża. Był bardzo ciepły, zachowywał się bez wątpienia całkowicie naturalnie, a emanowała z niego potężna charyzma. W jego homilii pojawiły się słowa o niepodległości, z którymi znakomicie współgrało hasło naszego transparentu. Słowa: *niech zstąpi duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi* – były wielką, przejmującą kulminacją.

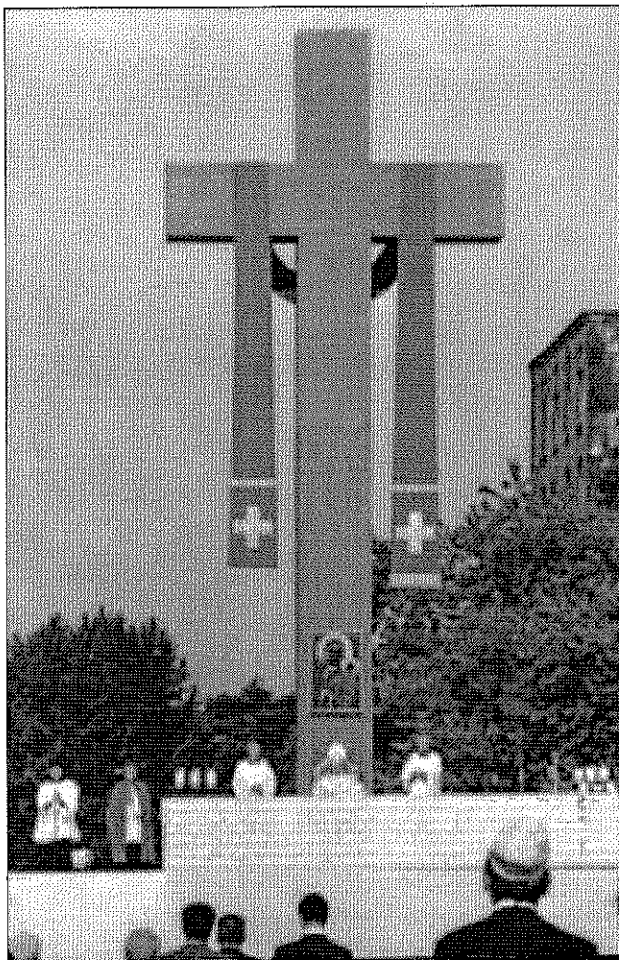
**Przyszło ci wtedy do głowy, że słowa te mogą okazać się prorocze?**

Było jasne, że Jan Paweł II żadnej treści politycznej nie wygłosi wprost. Wszyscy byliśmy więc wyczuleni na wszelkie myśli, zawarte „między wierszami”. Tymczasem wygłoszona została wspaniała homilia, która była dla nas zarazem głębokim przeżyciem religijnym, jak i wielkim przekazem wiary w to, że całkowita odmiana położenia Polski jest możliwa. Ojciec Święty dawał prawdziwą nadzieję na to, że rozważne i wytrwałe dążenia przyniosą owoce.

**Byłeś też z transparentem następnego dnia, na kolejnym spotkaniu z papieżem.**

Tego dnia na Placu Zamkowym odbyło się spotkanie z młodzieżą. Tłum, jaki przybył, był znacznie większy od zgromadzonego dzień wcześniej na Placu Zwycięstwa. Ludzie chyba przestali się obawiać tych wszechobecnych przepowiedni, według których spotkanie z Ojcem Świętym miało wiązać się z przeróżnymi zagrożeniami. Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, wszystkie boczne uliczki – pełne były ludzi. Nas też było więcej. Oprócz naszej wrocławskiej grupy przyszli z rodzinami moi krewni: brat, siostra, kuzyni.

**Tym razem SB nie interweniowała?**



To właśnie u stóp tego krzyża padły słowa wielkiej modlitwy papieskiej o odnowienie tej ziemi...



Z transparentem w tłumie witających Papieża. Z prawej Kornel.

Tam się wydarzyło coś zaskakującego. Wokół naszego transparentu zaczęła skupiać się duża grupa młodych ludzi, którzy zachowywali się tak, jakby chcieli się utożsamiać z umieszczonym na nim hasłem. Otaczali nas bardzo szczelnie. Kiedy spotkanie się skończyło i zgromadzeni rozchodzili się we wszystkich kierunkach, pozostało około tysiąca ludzi, otaczających nasz transparent. Ruszyliśmy z nim Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem, przeszliśmy przed gmachem KC PZPR, a potem Belwederską.

#### **Czyli zrobiliście demonstrację pod hasłem niepodległości.**

Tak – to była demonstracja. Do końca było co najmniej z tysiąc osób. Gdzieś w okolicy Alei Jerozolimskich podeszły do nas jakieś dziewczyny. Powiedziały, że są z Gdańska i pytały, skąd my jesteśmy. Powiedziałem Jurkowi Petryniakowi, by odpowiedział im, że z Pęgowa. „Pęgów? A gdzie to jest?”. W końcu Jurek podał im swój adres. Ciekawa rzecz, że rok później, w sierpniu 1980, te dziewczyny przyjechały do Wrocławia i szukały nas. Ja wtedy ukrywałem się, drukowałem postulaty i roznosiłem ulotki. Trochę nie najlepiej wtedy wyszło, bo Jurek, bojąc się prowokacji, wyparł się związków z wydarzeniem sprzed roku w Warszawie. To było kilka dni przed podpisaniem porozumień sierpniowych. Panowała atmosfera dużego napięcia, nie wiadomo było, czym to się skończy. Bardzo żałowałem, że te dziewczyny zostały tak odprawione. Wyglądały bardzo sympatycznie. Może szukały kontaktu ze środowiskami myśli niepodległościowej, a może chciały jakoś pomóc w roznieceniu fali straj-



kowej na Dolnym Śląsku? Było dość niezwykle to, że w tym niepewnym okresie zdecydowały się na podróż z drugiego końca kraju. Nigdy więcej o nich nie usłyszałem. Może to przeczytają i zgłoszą się po raz drugi...

### **Byłeś też na innych spotkaniach z Ojcem Świętym w 1979 roku.**

Poruszaliśmy się po kraju pociągami, nie mieliśmy samochodu, mogącego nas pomieścić. Nie było więc szans na to, by „dogonić” papieża we wszystkich miejscach, które odwiedzał. Wrażenie z tych uroczystości było zawsze ogromne. Pragnęliśmy uczestniczyć w kolejnych. Pojechaliśmy więc do Częstochowy. Najpierw witaliśmy papieża przy lądowisku. Chyba na chwilę rozwinęliśmy wtedy transparent. Potem, wraz z grupami wiernych, ruszyliśmy w stronę klasztoru na Jasnej Górze. I, jak się okazało, popełniliśmy tu błąd. Za szybko rozwinęliśmy transparent. Ten sam, który mieliśmy w Warszawie. SB zareagowała wtedy w sposób niezdecydowany.

### **Czyli w Częstochowie безпеaka zadziałała bardziej zdecydowanie?**

Myślę, że jeśli transparent rozwinęlibyśmy dopiero w wielkim tłumie zgromadzonym przed klasztorem, do niczego by nie doszło. Wyjeliśmy go jednak, już idąc w tamtą stronę. Ludzi nie było wokół zbyt wielu. To nie był tłum, raczej dość luźne grupy pielgrzymów. Parę osób zaczęło z nami bardzo przyjaźnie rozmawiać, pytać o hasło z transparentu. Był wśród nich człowiek ubrany w sutannę. Dopiero w wyni-



Część „pegowskiej grupy transparentowej”: Kornel Morawiecki, Jerzy Petryniak, Garret Sobczyk, Zbigniew Duszak

ku późniejszych wydarzeń zorientowaliśmy się, że nie był on księdzem. Nagle wyrosło wokół nas kilku drabów, którzy zaczęli wrywać nam transparent. Wywiązała się szarpanina. Daliśmy się zaskoczyć, ale odruchowo stanęliśmy w obronie tego naszego płótna z napisem. Oni ciągnęli w swoją stronę, my w swoją i tak dotarliśmy do bramy stojącej obok kamienicy. Chyba czekało w niej kolejnych paru ubeków, udało im się zamknąć drzwi prowadzące na ulicę...

### Stawialiście opór?

Dość stanowczy. Byłem wtedy młodszy, część z nas to byli krzepcy chłopcy. Zaczęliśmy się z tymi esbekami nawet nie tylko szamotać, ale nawet bić. Mieli przewagę, ale nikt z nas nie dawał za wygraną. Żałowałem, że nie ma z nami jeszcze ze dwóch ludzi. Gdyby chociaż był młody Winciorek, który uczestniczył w naszym wyjeździe do Warszawy, ale do Częstochowy pojechać nie mógł... Wtedy może uratowalibyśmy transparent. Efektem tej bijatyki, było to, że wyrwaliśmy się im i znaleźliśmy się znów na ulicy. Stwierdziliśmy, że chyba trzeba uciekać, bo i tak nasz transparent przepadł. Któryś z tych napastników uciekł, zabierając z sobą płótno z napisem. Wcisnęliśmy się głęboko w tłum, który gęstniał coraz bardziej. Wszyscy byliśmy potłuczeni, poszarpani i zde gustowani tym, że już nie mieliśmy transparentu. Najgorsze jednak było to, że przepadł jeden z nas – Zbyszek Oziewicz! Zaniekokoili-



Demonstracja w centrum Warszawy

śmy się o niego nie na żarty. Nikt nie zauważył, w którym momencie mógł przepaść – czy ubecy go aresztowali, czy uciekł w innym kierunku, np. przez podwórka? Starcie z esbekami było gwałtowne. Nikt nie zauważył momentu, w którym oddzielił się od nas Zbyszek. Tymczasem zorientowaliśmy się, że znów jesteśmy obstawieni przez tajniaków. Nie atakowali, bo wokół było już więcej ludzi. Ich też było jednak więcej niż przed chwilą i nie spuszczała z nas wzroku.



Jan Paweł II na Jasnej Górze

Kiedy dotarliśmy na miejsce mszy świętej, postanowiliśmy przejść do innego sektora. Nie minęło jednak parę minut i znów byliśmy otoczeni przez esbeków. Wiadomo było, że nic nie zrobią, póki jesteśmy w tym wielkim tłumie. Czekali na koniec uroczystości. Nie spuszczała z nas z oka. Znów przemieściliśmy się do innego sektora. Po chwili było jasne, że esbecy znowu są wokół nas. Już inni, ale nie było wątpliwości – pilnowali nas. Nie chcieli nam darować ani transparentu z napisem „Wiara i Niepodległość”, ani tego, że kilku z nich dostało od nas piśmiem. Próbowaliśmy jakoś „rozpuścić się w tłumie”. Przechodziliśmy z miejsca na miejsce, staraliśmy się ukryć między kolejnymi grupami pielgrzymów. Bez szans – ciągle byli. Zorientowaliśmy się, że kolejny z księży jest ubekiem odzianym w sutannę. Zachodziłem w głowę, jak oni to robią, że w żaden sposób nie możemy ich zgubić. Doszedłem w końcu do wniosku, że jeśli pozostaniemy w tłumie wiernych, będą nas śledzić do skutku. A jeśli wyjdziemy z niego – schwytają nas natychmiast. W bijatyce nikt z nas nie zgubił dokumentów. Nie znali więc naszej tożsamości. Być może, mieli jednak Oziwiczka... W końcu stwierdziliśmy, że jedyną nadzieją na uniknięcie zatrzymania jest klasztor. Postanowiliśmy więc dostać się do jego wnętrza. Ruszyliśmy w stronę furty, wraz z nami przesuwali się orszak ubeków, pilnujących nas ze wszystkich stron. Przy wejściu do klasztoru też był gęsty tłum, a w nim – niespuszczający nas z oczu nasi prześladowcy. Furta była, oczywiście, zamknięta. Stał za nią zakonnik, z którym zacząłem rozmawiać. Opowiedziałem mu naszą historię – o transparentie z napisem „Wiara i Niepodległość”, bijatyce z esbekami, prawdopodobnym zatrzymaniu naszego kolegi. Prosiłem o schronienie w klasztorze. Po chwili zamknęła się za nami jego brama. Czyli – odcięliśmy się od tropiących nas tajniaków. Dopytywałem się o możliwość podania przez megafony pytania o los naszego kolegi. Zakonnicy twierdzili, że nie ma na to szans. Pytałem, czy mogą nas gdzieś ukryć przed esbekami i zaskoczyło mnie to, co odpowiedział. Stwierdził, że z tej strony klasztornej muru też nie ma pewności, kto kim jest. Przynajmniej tego dnia było tak w istocie. Wystarczyło znaleźć się na terenie klasztoru, by chodzić po nim wszędzie, gdzie się chciało. Nikt niczego nie pilnował, nie kontrolował kręcących się po wszystkich zakamarkach ludzi. Zupełnie tak, jakby zakładano, że wszyscy, którzy dostali się na tę stronę murów, byli poza jakimkolwiek podejrzeniem. A przecież my byliśmy dowodem na to, że w zasadzie mógł tam wejść każdy. W pewnym momencie znaleźliśmy się tuż obok kardynałów, niemal na wyciągnięcie ręki od papieża. Jan Paweł II w Częstochowie *de facto* nie

niał żadnej ochrony! Rozwiązała się natomiast zagadka niezwykle sprawnego „obstawiania nas” przez bezpiekę. Na murach, jeden obok drugiego, stało mnóstwo funkcjonariuszy tajnej milicji. Mieli doskonały widok na wypełniony ludźmi plac. Wyposażeni w krótkofalówki mogli śledzić każdy nasz krok, kiedy próbowaliśmy im się „urwać”. Esbeków kręciło się zresztą po klasztorze całe mnóstwo. Łatwo było ich rozpoznać. Kiedy wszyscy klękali – oni ostentacyjnie stawali w rozkroku, z rękoma w kieszeniach, spluwali, palili papierosy.

### **Potem jednak musieliście się wydostać z klasztoru...**

Właśnie. Msza się kończyła, za chwilę tłumy zaczęłyby się przeredzać, a oni tam na nas czekali... Trzeba było znaleźć bezpieczny sposób wyslizgnięcia się z klasztoru.

Jurek Petryniak i Janusz Go ryl wybiegli przez furtę i gnali przez tłum, ile tylko sił w nogach. Obserwowaliśmy tę akcję z klasztornych murów. Rzeczywiście – pędzili przez tłum, potrącając powoli rozchodzących się ludzi. Wywoływali ich oburzenie, które jednak obracało się przeciw goniącym. Esbecy bowiem biegli za nimi, lecz spotykali się z protestami tych, którzy zostali przed chwilą potrąceni. Kolejni łapali ich, krzycząc *Co to za bieganie!?* Skutecznie utrudniali pościg. Widzieliśmy wyraźnie, jak uciekinierzy dystansują próbujących ich dopaść. Uznaliśmy, że metoda jest dobra. Po kolei wydostawaliśmy się w ten sam sposób. Spotkaliśmy się w umówionym miejscu, tam, gdzie nocowaliśmy. Okazało się, że udało się uciec wszystkim, a Zbyszek Oziewicz też nie wpadł w ręce esbecji. Kiedy wrywaliśmy się z tej szamotaniny w bramie, Zbyszek pobiegł w przeciwną stronę i udało mu się zgubić tajniaków. Wracaliśmy więc do Wrocławia posiniaczeni, bez transparentu, ale w komplecie. Wydarzenia te najbardziej odcisnęły się na najmłodszym z nas – Zbyszku Duszaku. Chodził wtedy chyba do drugiej klasy szkoły średniej. Atmosfera tych wydarzeń bardzo go odmieniła. Mocno pragnął odtąd uczestniczyć w demonstracjach, wznosić okrzyki i wymachiwać transparentem z napisem „Niepodległość”. Zafascynowało go to, że można odeprzeć atak policji politycznej, stawiać jej skuteczny opór. Chyba nawet spodobało mu się, że można komunistycznemu szpicelowi dać po mordzie, a potem ująć pościgowi jego siepaczy? Od dni tej pielgrzymki stał przy mnie obecny. Przyjeżdżał pomagać przy rozbudowie domu w Pęgowie, opiekował się moimi dziećmi, co chwila pytał, czy nie ma jakiejś podziemnej prasy, którą trzeba by gdzieś dostarczyć. Poczuli, że konspirowanie i walka z reżimem to jego życiowe powołanie. Zaniepokoiło mnie to i stanowczo kazałem mu przede wszystkim nie zaniebdywać szkoły. W 1981 r. znalazł się jednak na emigracji w Kanadzie. Wtedy mi go brakowało. Podziemie potrzebowało takich ludzi.

### **Byliście jeszcze na mszy papieskiej w Krakowie.**

Natychmiast po powrocie do domu przystąpiliśmy do wykonania nowego transparentu. Z takim samym napisem, ale dwustronnym i chyba trochę większym. Bez przeszkód dotarliśmy z nim na krakowskie Błonia. To, co tam zobaczyliśmy, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Ostatni dzień pielgrzymki Jana Pawła II był wielkim akordem, który zgromadził niewspółmiernie więcej ludzi, niż w Warszawie czy Częstochowie. Ogromny tłum po brzegi wypełniał całe krakowskie Błonia. Wielkie morze ludzi. Przypuszczam, że było to największe zgromadzenie w czasie pielgrzymek papieża do Polski. W Krakowie nasz transparent też nie był już odosobnio-

ny. Były i inne, o podobnej treści. Spotkaliśmy się z niektórymi grupami zaopatrzonymi w transparent. Byli ludzie z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i Studenckiego Komitetu Solidarności. Widzieliśmy się wtedy z wieloma ludźmi z opozycji. Spotkaniem z papieżem żyło całe miasto. Długo po odlocie papieża nieprzebrane tłumy przeżywały niezwykle doznanie jedności, takiego zupełnie niecodziennego przeżycia silnej więzi. Tłumy nie rozchodziły się, wypełniły miasto. W Rynku, pod pomnikiem Mickiewicza podszedł do nas starszy pan, który powiedział, że widział nasz transparent w Warszawie i że bardzo nam dziękuje. Miał łzy w oczach. Ja też.

**Przypomnijmy, że władze starały się jak mogły, by umniejszyć doniosłość papieskiej wizyty. Spotkania z Janem Pawłem II nie były transmitowane na antenie telewizji ogólnopolskiej, a jedynie przez stacje lokalne. Czyli starano się „przytrzymać” w domach wiernych, których region odwiedzał papież, równocześnie nie dając możliwości śledzenia wydarzeń widzom z innych części kraju. Relacje opatrzone zresztą były wyjątkowo żalonym komentarzem, a sposób fotografowania uroczystości miał umniejszać ich rozmiar i zafałszować charakter tego, co się działo. Telewizja wykonywała instrukcje, w myśl których nie wolno było oddawać prawdziwych rozmiarów tłumy wiernych. Zbliżenia miały obejmować przede wszystkim nie ludzi świeckich, ale zakonnice i kleryków. Wszystko to miało służyć budowaniu wrażenia, że przyjazd papieża ma charakter ściśle religijny i w głównej mierze dotyczy kleru. Kamerzyści wyposażeni w teleobiektywy wykonywali zadanie „wyławiania” z tłumy twarzy najmniej inteligentnych i niesympatycznych.**

Wszystko to na nic się nie zdało. Wydarzenie było ogromne i do głębi przejmujące. 10 czerwca 1979 papież zegnał kraj inny od tego, który powitał osiem dni wcześniej. Dla naszej „transparentowej” grupy było to niezwykle przeżycie. Przypuszczam, że ci, którzy w tych dniach mieli podobne doświadczenia, wyciągnęli analogiczne wnioski. Bardzo pokrzepiający był kontakt z tak wielkimi, duchowo zjednoczonymi tłumami. To bez wątpienia ludzi ośmieliło, wzbudziło wiarę w możliwość dokonania w kraju jakichś zmian, pomimo wszystkich geopolitycznych zależności. Papież bardzo dobitnie mówił, że nie ma prawdziwej Europy bez Polski niepodległej. Te słowa wspaniale współgrały z hasłem z naszego transparentu. Parę miesięcy później jego fotografię zobaczyłem w gablotce, wiszącej we wrocławskim kościele przy ul. Wittiga. Okazało się, że zdjęcie zrobił nam w Warszawie ks. Stanisław Pankanin, który zresztą później pisał artykuły do „Biuletynu Dolnośląskiego” pod pseudonimem „ks. Knap”.

## Biuletyn



### **W drugiej połowie lat siedemdziesiątych ożywiła się opozycja...**

Zaczęła przybierać formy zorganizowane. Pamiętać jednak trzeba, że organizacja „Ruch” Mariana Gołębiowskiego, Andrzeja i Benedykta Czumów, Emila Morgiewicza, Stefana Niesiołowskiego i innych, działała już od połowy lat sześćdziesiątych. Ideowo nawiązywała w pewnym stopniu do Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” i za główny cel stawiała niepodległość Polski. Pod paroma względami była bliska naszej późniejszej Solidarności Walczącej. U kresu czasów Gomułki zapadły surowe wyroki. Andrzej Czuma siedział do lipca 1974 roku.

### **To było chyba nieco inne siedzenie od tego z lat osiemdziesiątych. Takie bardziej osamotnione.**

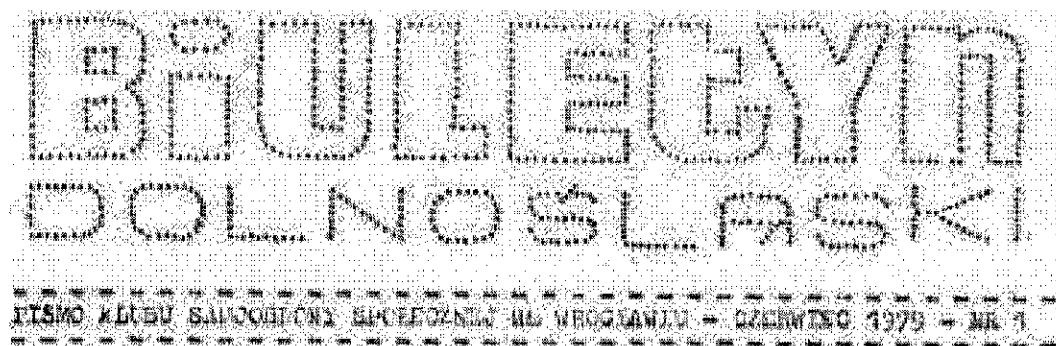
Bez wątpienia. Rok 1976 był pewnym przełomem. Zaczął załamywać się gierkowski plan gospodarczy. Jedynie niektóre, nieliczne inwestycje miały sens. Zmiany w konstytucji PRL-u zakładały jeszcze większą zależność od Związku Sowieckiego, jeszcze dalej idący serwilizm. A czerwiec 1976 był sygnałem, że potencjał społecznego protestu rośnie. Komuniści opanowali sytuację głównie dzięki natychmiastowemu odwołaniu podwyżek cen. Strajki i demonstracje udało im się stłumić, ale wkrótce zaczęło się coś dla władz bardziej niebezpiecznego. Zaczęły się rozwijać różne formy życia społecznego i politycznego, co oznaczało łamanie monopolu totalitarnych rządów. Pamięta się dziś przede wszystkim o Komitecie Obrony Robotników (KOR), a przecież w 1977 roku powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO), z którego potem wyłoniły się Konfederacja Polski Niepodległej i Ruch Młodej Polski. Na Górnym Śląsku i na Wybrzeżu zaczęły działać Wolne Związki Zawodowe, na Lubelszczyźnie w 1978 Janusz Rożek zainicjował Ruch Obrony Chłopów, we Wrocławiu, głównie za sprawą Adama Pleśnara, odżył Ruch Wolnych Demokratów. Od 1977 w kolejnych ośrodkach akademickich zawiązywały się Studenckie Komitety Solidarności. Także w większych miastach pojawiły się Komitety Obrony Społecznej. Tych różnych niezależnych inicjatyw było coraz więcej. Służba Bezpieczeństwa na różne sposoby starała się im przeciwdziałać. Ekipa Gierka unikała

dłuższego przetrzymywania w więzieniach osób skazanych z powodów politycznych. Dla kreowanego modelu państwa potrzebny był hmm... nazwijmy to „w miarę przyzwoity wizerunek PRL-u”. Zamiast wyroków normą stało się nękanie. Zatrzymania, grzywny, rewizje w mieszkaniach, pobicia, zwalnianie z pracy. Im dalej od stolicy, tym te represje były dotkliwsze. Ale też społeczeństwo coraz lepiej potrafiło się bronić, choćby nagłaśniając każdy fakt naruszenia prawa. Ogromne znaczenie miał rozwój wydawnictw „drugiego obiegu”. Po Niezależnej Oficynie Wydawniczej powstały kolejne, m.in. „Klin” i cały szereg periodyków. We Wrocławiu silnym środowiskiem opozycyjnym był krąg Klubu Samoobrony Społecznej. Jego organem miał być „Biuletyn Dolnośląski”, ale dość szybko okazał się pismem niezależnym od Klubu. To znaczy – na pewno z KSS -em współpracującym, popierającym jego działania, ale nie jego organem.

**„Biuletyn Dolnośląski” był też chyba owocem ożywającego się w latach siedemdziesiątych, niezależnego życia intelektualnego?**

Zapewne tak. W pewnym momencie różne rozmowy o historii, polityce, próby przewidywania dalszego rozwoju wydarzeń, oceny trwałości systemu komunistycznego zaczęły się przeradzać z okazjonalnych spotkań towarzyskich w cykliczne wykłady i dyskusje ze ściśle określonym tematem. W prywatnych mieszkaniach odbywały się także uroczystości związane z narodowymi rocznicami. U państwa Trąbskich wygłaszałem kiedyś referat związany z 60. rocznicą 11 Listopada. Innym razem odbywała się dyskusja o Konstytucji Trzeciego Maja. Początkowo udział brali zaufani znajomi, potem środowiska te się formalizowały, we Wrocławiu np. w Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Wykłady o wojnie polsko-bolszewickiej czy pakcie Ribbentrop-Mołotow przygotowywali specjaliści od historii XX wieku. Oczywiście, rodziła się potrzeba, by treść tych wykładów, dyskusji docierała nie tylko do grona uczestników spotkań, ale żeby ta wiedza mogła wychodzić w świat jak najszerszej. W 1979 roku Leszek Skonka zaczął tworzyć Niezależny Zespół Współpracy Naukowej. Jego celem były np. badania historyczne, zbieranie relacji uczestników ważnych wydarzeń przeszłości, publikowanie poza zasięgiem cenzury.

**Dużo udało się osiągnąć tej niezależnej inicjatywie?**



Winieta pierwszego numeru „Biuletynu Dolnośląskiego”

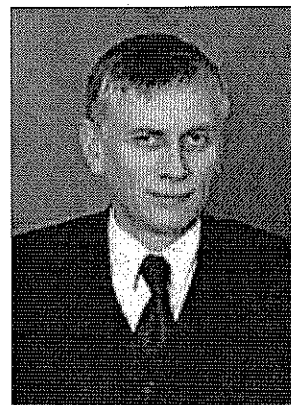
Działalność ROPCIO miała charakter jawny. Z jednej strony miało to oczywiste korzyści – każdy zainteresowany współpracą mógł zgłosić się pod podany adres. Od początku jasne też, niestety, było, że swój akces zgłaszają również ludzie z SB. I tu pojawiał się kłopot – komu ufać, a komu nie. Odtrącać ludzi, kierujących się najszlachetniejszymi intencjami, ale których nikt nie może uwiarygodnić? W konspiracji było to prostsze – z natury rzeczy każdy, kto się zgłaszał, musiał mieć pełne zaufanie kogoś, kto już od dawna funkcjonował wewnątrz podziemnej struktury. Jawni opozycjoniści miewali kłopot z uruchomieniem własnego druku. Inwigilacja przez SB była zbyt duża. Bezpieka działała zarazem w taki sposób, żeby nikt nigdy nie był pewien, czy następny dzień spędzi u siebie w domu, czy w areszcie i czy nielegalna literatura, o ile w ogóle uda się ją wydrukować, będzie rozkolportowana, czy też wpadnie w łapy esbecji. Jawnej opozycji trochę łatwiej było działać w stolicy. W Warszawie w zasięgu ręki byli choćby zagraniczni dziennikarze czy ambasady wielu krajów. Do tego za Gierka dość często pojawiały się wizyty przeróżnych zagranicznych delegacji. Opozycjonistów warszawskich, oczywiście, nęcano, ale przynajmniej w jakimś stopniu władze liczyły się z tym, że ktoś poskarży się dyplomatom, obcojęzycznym mediom czy innym oficjelom. My we Wrocławiu mieliśmy tylko konsulnat NRD. A na „głębszej prowincji” było jeszcze gorzej.

### **Konsulat Generalny NRD miał zapewne komórkę STASI..**

W latach siedemdziesiątych nic na jej temat nie wiedzieliśmy. Natomiast w czasach Solidarności Walczącej STASI gromadziła informacje o nas bardzo intensywnie. Z oczywistych względów konsulnat Wschodnich Niemiec bardziej mógł przeszkadzać, niż pomagać. Pamiętajmy też, że lata siedemdziesiąte to całkiem inne realia komunikacyjne. Internetu nie było, rozmowy telefoniczne się zamawiało. Telefony ambasad były na podsłuchu. Jak ktoś chciał z Wrocławia zadzwonić do ambasad USA to, jeśli był na liście inwigilowanych przez SB, mógł się szybciej spodziewać spędzenia najbliższych 48 godzin na komisariacie, niż rozmowy z którymś z dyptomatów. Trudno było wyjść poza działalność polegającą na spotkaniach, wykładach, referatach.

### **Ile osób zwykle przychodziło na takie spotkania?**

To zależało od wielkości mieszkania gospodarzy. U państwa Trąbskich bywało co najmniej 30 osób. Bywali tam m.in. Jan Waszkiewicz, Leszek Skonka, Mariusz Wilk, Mirosława Chamcówna, Adam Pleśnar. W tamtych czasach środowiska opozycyjne były jeszcze na tyle nieliczne, że SB znaczną ich część była w stanie dość regularnie obserwować. Często stanowiło to utrudnienie. Wrocławskie ROPCIO było permanentnie represjonowane. Stąd też wynikał mój wniosek, że działalności jawnej opozycji musiała towarzyszyć forma utajona, podziemna. W przeciwnym razie nie mogłyby rozwijać się niezależne wydawnictwa. Dlatego też jak najdłużej starałem się nie być zatrzymanym czy wylegitymowanym. Coraz bardziej oczywiste było dla mnie, że opozycji potrzebni będą ludzie nieznani bezpiece.



Jan Waszkiewicz



Wrocławskie ROPCiO współredagowało biuletyn „Wolne Słowo”, ale właśnie z powodu inwigilacji przez SB długo nie mogła powstać jakaś poważna, niezależna dolnośląska inicjatywa wydawnicza.

**W latach osiemdziesiątych umiejętność drukowania była już dość powszechna. A skąd ona pochodziła wtedy, kiedy drugi obieg się dopiero rodził?**

Praktycznie uczyliśmy się go od zera. Najczęściej zaczynało się, mając tylko ogólną, teoretyczną orientację na temat różnych technik drukarskich. Czasem pomocne były podręczniki dla szkół poligraficznych. Dobrze było, jak ktoś miał jakiegokolwiek instruktora, dysponującego jakimś drukarskim doświadczeniem. W przeciwnym razie było się skazanym na mozolne powtarzanie tych samych czynności, np. w celu uzyskania właściwego naciągu sita na ramce. Marnowało się przy tym mnóstwo czasu, no i papieru. Czasem przy tej okazji samemu dokonywało się tych samych wynalazków, na które znacznie wcześniej wpadł ktoś inny. Budowanie drugiego obiegu w znacznej mierze polegało na takim „wyważaniu otwartych drzwi”. No, ale nie zawsze było się kogo poradzić. Bywało się skazanym na samodzielne rozwiązywanie różnorodnych problemów. W przypadku „Biuletynu Dolnośląskiego” w zasadzie od początku można było liczyć na paru doświadczonych drukarzy.

**Często mówi się o tobie jako o twórcy „Biuletynu Dolnośląskiego”.**

To spora nieściskość. „Biuletyn” powoływali do życia przede wszystkim Piotr Starzyński i Jan Waszkiewicz. Zaraz potem szerokie środowisko, związane z wydawaniem tego pisma, zostało dotknięte represjami. Ledwie wydrukowany 3/4 numer „Biuletynu” w całości wpadł w ręce SB. Chyba ani jeden egzemplarz nie trafił do kolportażu, ale wydrukowany został drugi nakład. Wtedy właśnie Janek Waszkiewicz zwrócił się do mnie z pytaniem, czy nie znalazłbym miejsca do drukowania.

**I pomyślałeś, że twoja „Kornelówka” byłaby dobrym miejscem?**

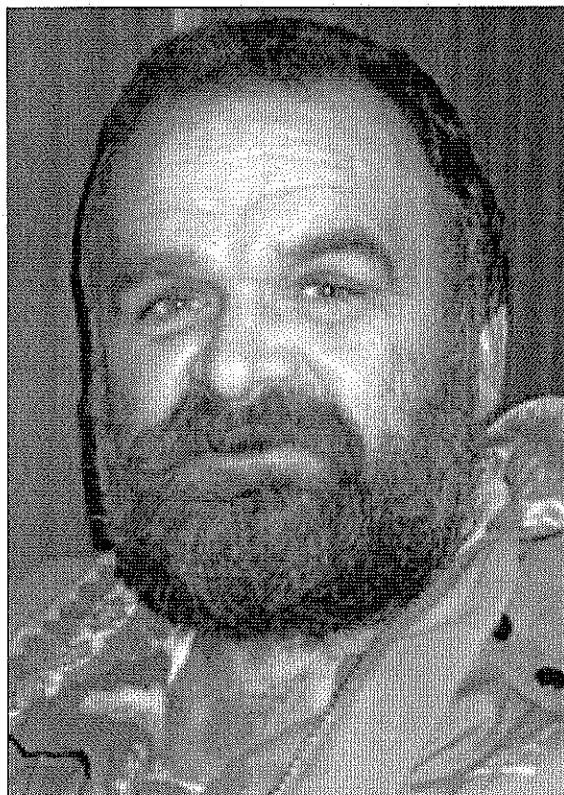
O tym też, ale nie to było najważniejsze. Uznałem, że drukowanie w dotychczasowy sposób jest bezcelowe. Nie może tak być, że SB wpada, kiedy chce, zamyka ludzi i konfiskuje cały nakład. Potrzebna była całkowicie inna metoda organizowania się. Przyjąłem propozycję Jasia, ale postawiłem warunki. Zażądałem wprowadzenia zasad konspiracji. Jak się wkrótce okazało, moi nowi współpracownicy byli dokładnie tego samego zdania.

**Kto zaliczał się do tych nowych współpracowników?**

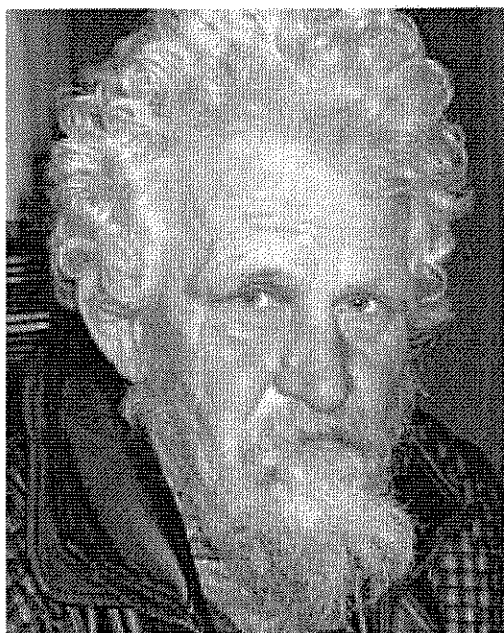
Waszkiewicz skontaktował mnie z drukarzami. Zanim się z nimi poznałem, okazało się, że zasady konspiracji już obowiązują. W pewien sposób sam stałem się ich ofiarą. Dostałem adres chłopaków zajmujących się drukiem, ale nie ustaliliśmy żadnego hasła, a oni, jak się okazało, nie byli powiadomieni o mojej wizycie. Pamiętam, że jechałem z drugiego końca miasta na Mielecką, gdzie w drzwiach jednego z pokoi hotelu pracowniczego ci młodzi ludzie upierali się, że nie wiedzą, o co chodzi. Trochę mnie to zdenerwowało, ale doszedłem do wniosku, że to oni mają rację. Ani mnie nie znali, ani nikogo podobnego się nie spodziewali. To nie były czasy, w których przed przyjściem do kogoś zapowiadało się swoją wizytę telefonicznie. Telefon był dość rzadkim luksusem.

**W ten specyficzny sposób poznałeś chyba swoich późniejszych, wieloletnich przyjaciół...**

Tak. Poznałem wtedy Krzyska Gulbinowicza i jego brata – Staszka. Mieszkali w pokoju hotelu robotniczego, choć bardziej przypominali jakichś artystów czy innych oryginałów, niż robotników. Ubrani po hipisowsku, słuchali muzyki zespołu Pink Floyd, na ścianach mieli reprodukcje z malarstwem surrealistów, wszędzie leżały książki z ambitną literaturą. I o czymkolwiek zaczęłoby się z nimi mówić, okazywało się, że ma się do czynienia z ludźmi mającymi za sobą nie tylko duże odczytanie, ale i mnóstwo osobistych, oryginalnych przemyśleń. Szczególnie Krzysiek okazał się postacią niesłychanie barwną. Jego kariera szkolna została przerwana na dość wczesnym etapie, co zapewne wynikało z charakteru. Chyba nie był w stanie systematycznie uczęszczać na lekcje, co wcale



Krzysztof Gulbinowicz



Antoni Roszak

nie znaczyło, że nie był zainteresowany wiedzą. Przeciwnie – „pożerał” niewyobrażalne ilości książek. Także trudnych, naukowych, i to z różnych dziedzin. Wkrótce okazało się też, że ma prawdziwy, niezwykle talent literacki. Gulbinowicz pisał nie tylko w „Biuletynie”. Publikował też swoje opowiadania. Często znakomite.

**O Krzysztofie Gulbinowiczu mówiło się, że jest drugim Markiem Hłaską.**

Uważam, że to bardzo trafne porównanie. Krzysiek nie pisał jednak tylko o czasach sobie współczesnych. Świetne są jego opowiadania o wydarzeniach okresu wojny, okupacji, o zsyłkach na Syberię. Wiele razy miałem możliwość podziwiania jego zdolności budowania fabuły czy improwizacji literackiej.

**Przy okazji różnych wspomnień okazuje się, że „drugi obieg” w latach siedemdziesiątych tworzyli ludzie nie tylko odważni, wyjątkowi, ale też związani z różnymi ruchami kontrkulturowymi czy artystycznymi...**

W sporej części tak to wyglądało. Zasłużonym drukarzem nie tylko wrocławskiego „drugiego obiegu” był Antek Roszak. „Wujek”, bo tak do dzisiaj jest nazywany, był kiedyś przyjacielem Rafała Wojaczka. Był jednym z pierwszych drukarzy Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Do tego świetny poeta. Jakoś tak się działo, że akurat sporo takich „odjazdowych” ludzi obracało się wokół tworzącej się wtedy opozycji i niezależnego ruchu wydawniczego. Można powiedzieć, że były dwie dominujące tam grupy – naukowcy, intelektualiści oraz tacy „hipisowaci” artyści. Którymś razem, przy okazji któregoś z wydruków, zorientowałem się, że coś niewyraźnie wyglądają dziewczyny, do których należało udostępnione nam mieszkanie. Okazało się, że wzięły jakieś narkotyki. Pierwszy raz w życiu spotkałem się wtedy z czymś podobnym.

### **Jak z takiego towarzystwa stworzyć konspiracyjną strukturę?**

Jasno stawiałem wymagania, akcentując priorytet wspólnego bezpieczeństwa. Nie narzucałem zbyt wielu wymogów, żądałem poszanowania jedynie kilku elementarnych zasad. I to w zasadzie funkcjonowało. To, że w kręgach opozycyjnych znalazło się trochę takich środowisk kontrkulturowych, było chyba w pewien sposób logiczne. Ci ludzie często funkcjonowali na zasadzie stanowczego sprzeciwu wobec władzy. Były to postawy bardziej anarchistyczne niż antykomunistyczne, ale w pewien sposób zbieżne z tymi reprezentowanymi przez organizujących się przeciwników ustroju. Siłą rzeczy też w rządzonej przez komunistów Polsce mieliśmy kontestatorów odmiennych ideowo od ich odpowiedników na Zachodzie. Po jakimś czasie zresztą zostawali najwytrwalsi, o których było wiadomo, że nigdy nie zawiodą. Pamiętać trzeba, że ogromną rolę w tworzeniu podziemnych wydawnictw grali też pracownicy szkół wyższych, tacy jak Olek Gleichgewicht czy Staszek Huskowski, a także artyści plastycy – Tadeusz Kuranda, Ludwika Ogorzelec.

### **Wiele się mówiło o Kornelu Morawieckim – twórcy bardzo sprawnego i bezpiecznego podziemnego drukarstwa.**

Pewnie chodzi o prostą zasadę, na jakiej polegało drukowanie „Biuletynu Dolnośląskiego”. Zazwyczaj każdy numer powstawał w innym miejscu. Powielanie zawsze wiąże się z jakimś hałasem, specyficznymi zapachami, pojawianiem się w domu nieznanym tam osób... Czyli – cały szereg przyczynków, wzbudzających zainteresowanie sąsiadów. Uważałem, że podobne zdarzenie każdym sąsiadom można zgotować tylko raz. Jakaś cykliczność tego docierającego przez wywietrzniki zapachu farby, czy specyficzny dźwięk urządzeń – prowadził ku dekonspiracji. Za każdym razem znajdowałem więc inne mieszkanie do druku. Nim pojawili się w nim drukarze – na miejsce trafiał cały sprzęt, papier, wszystkie niezbędne materiały oraz taka ilość żywności (a także np. papierosów), która pozwalała nie wychodzić z mieszkania na krok aż do końca wydruku. Zakazywałem otwierania okien, pojawiania się na korytarzu itd. Obowiązywała też zasada – ani jednego procenta alkoholu przed końcem roboty. Za to każde spakowanie nowego numeru było świętowane małą ucztą z butelką wina.

### **Długo trwał druk jednego numeru „Biuletynu”?**

Zwykle parę dni. Kończył się wielkim sprzątnięciem oraz wyprowadzeniem ludzi, sprzętu i wydruku – według ścisłego porządku. Tak, żeby nikt w okolicy nie dowiedział się, co tutaj się w ostatnich dniach działo. Czasem jednak wydruk trwał dłużej. Tak było np. wtedy, kiedy decydowaliśmy się wydać numer obszerniejszy albo w większym nakładzie. Tym bardziej jeśli drukowana była jakaś grubsza broszura lub książka. Wtedy praca trwała tydzień, a nawet dłużej. Trudno było wtedy się trzymać wszystkich zasad konspiracji. Ludzie pracowali „na okrągło”, z przerwami jedynie na posiłki i sen. Dawało o sobie znać zmęczenie, wkradało się rozdrażnienie...

### **Antoni Roszak mówił o kłótniach z byle powodu...**

Dochodziło do nich, kiedy druk trwał tydzień, przez kilkanaście godzin na dobę, w jakimś małym mieszkaniu, z którego nie należało wychodzić. Nerwowość wzrastała, kiedy pojawiały się jakieś kłopoty techniczne, kończyły się papierosy, opary farby czy innych środków chemicznych powodowały ból głowy. Antek Roszak któregoś razu zajechał robotą Piotrka Starzyńskiego, raczej słabszej od niego kondycji, ale następnie nogi spuchły również Piotrowi Franielczykowi. Antek musiał kończyć druk już sam. Innym razem Anka Bujwid delikatnie zapytała Ludwika Werle, czy nie chce dostać ramką w łeb.

To nie była lekka praca, a do tego zwykle w niełatwych warunkach, często w ciasnocie. Bywało, że ten i ów drukarz wymykał się na spacer albo do sklepu. Wśród sąsiadów zawsze znajdują się ciekawskie osoby, które zadadzą sobie trud rozwiązywania zagadki nieznanymi twarzami, pojawiających się w windzie czy na klatce schodowej. To obniżało bezpieczeństwo. Staraliśmy się więc organizować wszystko tak, by wychodzenia z „drukarni” nie było.

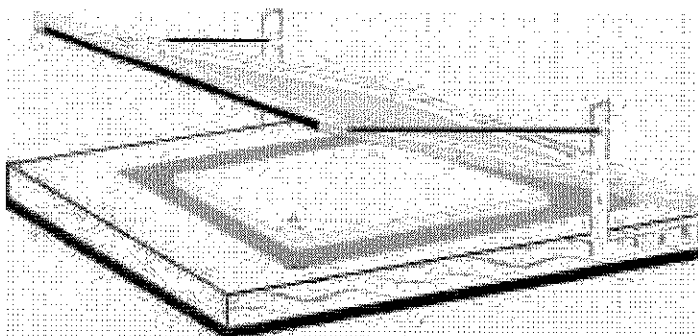
**W jednym z numerów „Biuletynu Dolnośląskiego” było ogłoszenie zawierające propozycję drukowania w kuchniach czytelników.**

To był żart, ale zarazem propozycja. Staraliśmy się



Druk na ramce

uświadomić czytelnikom, że można drukować w swoim mieszkaniu i tym sposobem łamać monopol informacyjny. Druk dużych pism w większych nakładach wymagał oczywiście odpowiednich warunków, ale w przeciętnej kuchni czy łazience – można choć raz w tygodniu ustawić ramkę i odbijać gazetki.



Na takich ramkach drukowano „Biuletyn Dolnośląski”.

### **Takich kuchni – drukarni rzeczywiście pojawiło się dość dużo...**

Na większą skalę upowszechniły się w latach osiemdziesiątych. Rzeczywiście, było wtedy we Wrocławiu sporo takich mieszkań, często bardzo niedużych, w których drukarska ramka miała niemal swoje stałe miejsce. Zwykle w jakimś kącie kuchni lub w łazience. Życie toczyło się swoim rytmem, a drukowanie bibuły stawało się jednym z jego naturalnych składników. Równie oczywistym, jak gotowanie obiadu, wychodzenie do pracy i kościoła, przewijanie i kąpanie dzieci. Przed Sierpniem wyglądało to jednak inaczej. Podziemna działalność wydawnicza nie miała jeszcze wtedy skali zjawiska, nad którym bezpieka nie byłaby zdolna zapanować.

### **Mieszkania należały zapewne do różnych znajomych?**

A także znajomych znajomych. Z dużym wyprzedzeniem zastanawialiśmy się, kogo poprosić o udostępnienie lokalu. I prawie zawsze wybór okazywał się trafny. Jak ktoś udzielał nam gościny, najczęściej wyjeżdżał, np. na urlop. Przeważnie drukarze w czyimś mieszkaniu urzędowali sami. To był zarazem pewnego rodzaju test ofiarności i wzajemnego zaufania. Rodziła się przy tym wspólnota ponoszenia ryzyka. Jeśli za każdym razem drukowaliśmy w innym miejscu, u innych ludzi – ten krąg godnych zaufania ludzi, zdolnych do poświęceń, stałe się powiększał. Okazało się to ogromnie przydatne w czasie stanu wojennego. Na ludzi poznanych w pierwszych latach „Biuletynu Dolnośląskiego” zawsze można było liczyć. A było to już spore grono.

### **Późniejsza Solidarność Walcząca w dużej mierze wyrosła na ludziach pomagających wcześniej „Biuletynowi”?**

W sporej mierze tak. I nawet nie tylko Solidarność Walcząca, ale wcześniejsza o pół roku struktura drukarska Regionalnego Komitetu Strajkowego. To, że pierwszą gazetą podziemną stanu wojennego było nasze „Z dnia na dzień”, które wydało też największą ilość swoich numerów, to zasługa przede wszystkim tego, że mieliśmy tak wielu nieznanymi bezpiece bardzo ofiarnych i odpowiedzialnych ludzi. Przypominam, że w pierwszych miesiącach stanu wojennego podziemną gazetę RKS-u wydawaliśmy co dwa dni, w nakładzie często przekraczającym 30 tysięcy egzemplarzy. Bez tej stworzonej w czasach „Biuletynu” sieci na pewno nie byłoby to możliwe.

**„Biuletyn Dolnośląski” w 1979 roku był już pismem znanym dość szeroko, także poza regionem, zaznaczonym w tytule.**

Sam wozilem część nakładu do Warszawy i innych miast, w których miałem zaufanych krewnych czy znajomych. A tematyka „Biuletynu” nie ograniczała się przecież do Dolnego Śląska. Bardzo ważna była dla nas np. wojna w Afganistanie. Od momentu sowieckiej interwencji w tym kraju temat ten podejmowaliśmy chyba w każdym numerze. Uważałem, że powinna w tej sprawie zabrać głos polska opozycja. W Warszawie spotkałem się z działaczami KOR-u. Mówiłem, że mamy do czynienia z imperialistyczną agresją, gwałceniem niepodległości ościennego kraju. Z Afganistanu docierały wiadomości o zbrodniach wojennych i walce z agresorem. Byłem zdania, że wymogiem przyzwoitości jest wydanie oświadczenia w tej sprawie. Rozumiałem, że to może ściągnąć nieprzychylność władz czy nawet dodatkowe represje, że może zirytować władców Kremla. Niemniej jednak, jeśli już decydujemy się na czynny udział w życiu publicznym, nie możemy nie zajmować stanowiska w tak ważnych sprawach. Wywiązała się nie za długa dyskusja, z której wynikało ogólnie niechętne nastawienie do takiej propozycji. No i na zebraniu u Jacka Kurońa podjęta została decyzja, że KOR w sprawie Afganistanu żadnego stanowiska nie zajmie. Podobnie zresztą zachowali się Leszek Moczulski, przywódca KPN i warszawscy działacze ROPCiO.



Szara codzienność tamtych dni

**Na początku 1980 roku we Wrocławiu pojawiło się długo niewidziane zjawisko. Ulotki na ulicach miasta.**

Wiele organizacji opozycyjnych wezwało do bojkotu tzw. wyborów. Takie samo stanowisko zajął też Ruch „Światło – Życie”, czyli „Oazy” księdza Blachnickiego. Drukowaliśmy parę rodzajów ulotek. Niektóre zawierały rysunki wykazujące absurd głosowania wyłącznie na tych, których wskazała partia komunistyczna. Inne zawierały tekst tłumaczący, czym powinny być rzeczywiste wybory. I proste hasło: „Nie idziesz – nie kłamiesz!”.

### **No i rola „Biuletynu Dolnośląskiego” w Sierpniu 1980...**

Nie wiem, jaką rolę „Biuletyn” rzeczywiście odegrał. Mogę powiedzieć o celu, jaki sobie wtedy postawiliśmy, i ile udało się nam zrobić. W tę inicjatywę wydawniczą było wtedy zaangażowanych około trzydziestu osób, ale były wakacje i większość ludzi była na urloпах. Jak tylko dowiedzieliśmy się o strajkach na Wybrzeżu, uznaliśmy, że trzeba zrobić wszystko, by do protestów tych dołączyła się nasza część kraju. Listę postulatów przywiózł z Gdańska Zenon Pałka. Szybko zorientowaliśmy się, że SB zatrzymuje wszystkich ludzi, którzy wydawali się jej podejrzani. Zaliczałem się już do tej grupy – szukali mnie na Politechnice, w domu wrocławskim i pęgowskim. Ukrywałem się więc. „Biuletyn Dolnośląski” z informacją o fali strajkowej i listą postulatów drukowaliśmy dniami i nocami. SB obstawiało wrocławskie zakłady pracy, straż przemysłowa dostała polecenie niedopuszczenia do przeniknięcia na teren fabryk jakichkolwiek ludzi z zewnątrz, no i oczywiście bezdebitowych wydawnictw. Zaczęliśmy więc w kilka osób (ja, Jurek Petryniak, Zbyszek Duszak, Jacek Rogowski, bracia Rogusowie) ulotki „BD” rozdawać w autobusach i tramwajach. Jakież było nasze zdumienie, gdy rankiem 26 sierpnia autobusy, w których kolportowaliśmy ulotki wzywające do solidarności ze stoczniowcami, zaczęły zdjeżdżać do zajezdni. Strajk, dotąd zlokalizowany na Wybrzeżu, stał się protestem ogólnopolskim.

**W końcu Wrocław stanął. A jak do strajku włączyła się komunikacja miejska – strajk generalny błyskawicznie rozlał się po całym regionie, obejmując wielkie zakłady i małe fabryczki. Ludzie wiedzieli, że nie przerwali pracy, domagając się podwyżek płac, lecz żądając czegoś znacznie ważniejszego. Jaka była w tym rola redagowanej i drukowanej przez Ciebie gazetki, zawierającej informacje o protestach, listę postulatów, wezwanie do ich poparcia?**

Trudno powiedzieć, ale myślę, że nasz „Biuletyn” dobrze się tej sprawie przysłużył.

## Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej

---

**W czasie Pierwszego Zjazdu Delegatów Solidarności przyczyniłeś się do sporego poruszenia w całym bloku socjalistycznym...**

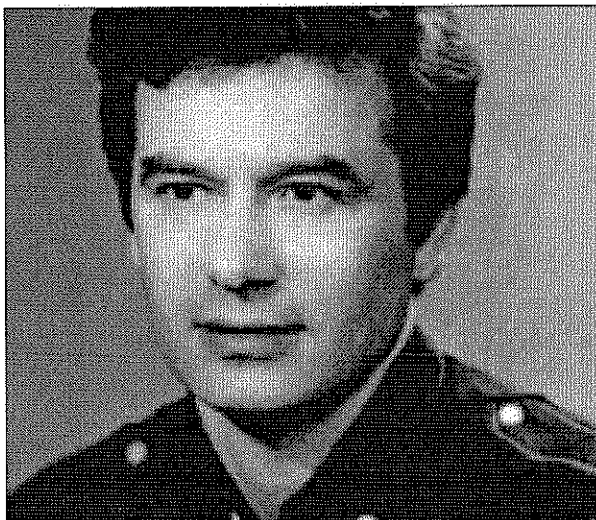
Zapewne chodzi ci o *Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*. Wielu dziś nie pamięta o tym, że było ono odpowiedzią na posłanie, które przyszło do nas z Moskwy. Pewnie nic tu by się nie wydarzyło bez Mikołaja Iwanowa – człowieka poznanego jakiś czas po Sierpniu 1980, który później został jednym z moich bliskich przyjaciół.

**Na początku lat osiemdziesiątych Związek Sowiecki, na pewno wraz z całym swoim KGB, z niepokojem i nienawiścią przyglądał się temu, co działo się w Polsce. I w tym właśnie czasie poznajesz kogoś, kto przyjechał właśnie zza wschodniej granicy? Jak to się stało, że w czasie, gdy wszyscy zastanawiali się, czy „wejdą, nie wejdą”, ty zaufałeś komuś, kto przybył z tego kierunku, z którego obawialiśmy się nadejścia czołgów?**

W moim otoczeniu nie brakowało głosów, że bliskie kontakty z kimś z Rosji to nadmierne ryzyko, że to może być ktoś powiązany z KGB. Mikołaj po prostu przyszedł do mnie, przedstawił się, powiedział skąd jest i że interesuje go działalność moja i „Biuletynu Dolnośląskiego”. Oczywiście, wiedziałem, że świat pełen jest agentów KGB, ale jasne też dla mnie zawsze było, że normalni, przyzwoici ludzie stanowią większość. Było pewne, że wielu Rosjan przygląda się „Solidarności” z życzliwością, sympatią, trzyma kciuki za naszą sprawę. Nie było więc dla mnie czymś aż tak niezwykłym, że zjawił się ktoś stamtąd, kto tą wschodnio brzmiącą wymową wyraził potrzebę kontaktu, a może i współpracy. Tym, którzy wtedy mówili mi: *stuchaj, a może on jest z KGB*, mówiłem: *jeśli KGB nas rozpracowuje, to za pomocą całkowicie innych ludzi*. Stokroć większe szanse działania miałyby po prostu jakiś Polak, niezwracający uwagi ani swoją mową, ani pochodzeniem.



Ja od pierwszej rozmowy z Mikołajem miałem silne wrażenie, że jest to ktoś uczciwy, szczerze pragnący wspierać rodzącą się wolność, a do tego ktoś bardzo ciekawy, o szerokich horyzontach umysłowych. Ojciec Mikołaja był Rosjaninem, matka Białorusinką, urodził się w Brześciu, którego historią bardzo się pasjonował. Bardzo dużo rozmawialiśmy, wiele się dowiedziałem o sowieckich realiach. Mikołaj był dla mnie kopalnią wiedzy o Rosji, Białorusi, Ukrainie. Wytłumaczył mi mnóstwo meandrów życia w ZSRS, przybliżył liczne wątki tamtejszych tradycji. Kiedyś powiedział



Mikołaj Iwanow

mi, że z punktu widzenia „ludzi sowieckich” polski sprzeciw wobec komunizmu może być całkowicie niezrozumiały. W polskich sklepach można było bowiem znaleźć artykuły u nich zupełnie nieznane. W ZSRS większość ludzi nie wiedziała nawet, jak wygląda schab. Mikołaj twierdził, że pierwszy raz takie mięso zobaczył dopiero w polskim sklepie. U nas trudno było taki rarytas zdobyć, ale przynajmniej wszystkim był on znany. Zakres swobód obywatelskich też był u nas nieporównywalny z realiami Sowietów. Zupełnie nie do porównania były też formy ucisku. W Polsce, w gronie krewnych czy znajomych, względnie swobodnie można było wymieniać myśli. Na Wschodzie coś takiego mogło się wiązać z prawdziwym ryzykiem. Rozmawialiśmy też o perspektywach rozpadu Związku Sowieckiego, o kwestiach narodowościowych.

**Tak, jak Rosja carska, także ZSRS nie bez racji zwany był „więzieniem narodów”.**

O tym w Polsce wiedzieliśmy, ale mało kto zdawał sobie sprawę ze skali zachodzących tam, narodowościowych napięć. Aspiracje mieszkańców różnych republik były skutecznie tłumione, ale, jak się wtedy dowiedziałem, stanowiły potencjał na tyle duży i groźny, że będzie on mógł kiedyś doprowadzić do rozsądzenia imperium. Konkretny owoc mojej rodzącej się wtedy przyjaźni z Iwanowem wyrastał z tego, że Mikołaj miał w Moskwie przyjaciół krytycznie nastawionych do władz sowieckich. Tworzyli taki krąg dyskusyjny, nieco przypominający zaczątki naszych środowisk opozycyjnych z lat sześćdziesiątych czy wczesnych siedemdziesiątych.

### **I tu pojawia się *Posłanie*...**

Mikołaj Iwanow w 1981 r. przez jakiś czas był w ZSRS. Widział się wtedy m.in. ze swoimi przyjaciółmi z Moskwy, stanowiącymi właśnie taką zakonspirowaną grupę sympatyków Solidarności. Warunki do jakiegokolwiek działalności były w Związku Sowieckim niewspółmiernie gorsze, niż u nas za Gomułki, czy Gierka, choć całkiem niezgorzej rozwijał się samizdat. To moskiewskie, opozycyjne środowisko

Mikołaja Iwanowa działało od paru lat, choć w bardzo ograniczonym zakresie. Tam nie było mowy o takich formach niezależnego życia, jakie rozwinęły się w Polsce w latach siedemdziesiątych. Przy pierwszej lepszej okazji wszyscy znaleźliby się, jeśli nie w więzieniu, to na zesłaniu lub w szpitalach psychiatrycznych. Niemniej jednak takie mocno zakonspirowane środowisko działało, miało charakter zbliżony do naszych Wolnych Związków Zawodowych sprzed Sierpnia 1980. I to środowisko postanowiło wystosować pismo do zjazdu Solidarności, dać wyraz nadziei i sympatii niemałej części Rosjan. Obgadali więc pismo, które następnie Mikołaj przewiózł „w głowie” do Polski. Dotarł z nim do mnie, wziął kartkę i odtworzył je. Razem przetłumaczyliśmy je na język polski. Zastanawialiśmy się, jakiego polskiego wyrazu użyć w tytule. W końcu pozostawiliśmy właśnie to brzmiące z rosyjska, a rzadko w Polsce używane słowo i gotowe *Postanie do Zjazdu Solidarności* ukazało się – po rosyjsku i po polsku – w „Biuletynie Dolnośląskim”. Byłem wtedy delegatem na Zjazd (Tak na marginesie – żadna organizacja związkowa nie była w hali „Olivii” reprezentowana tak licznie jak ta, do której należałem – Politechniki Wrocławskiej).

**Czyli – najpierw z *Postaniem* wystąpili Rosjanie. Prawdziwe „trzęsienie ziemi” wywołała natomiast odpowiedź delegatów na Zjazd...**

Z tym *Postaniem*, które zawiozłem do Gdańska na zjazd Solidarności, było tak, że w ogóle nie chciano go z mównicy, przed delegatami, ogłosić. Po prostu prezydium zjazdu, do którego tekst *Postania* zanieśliśmy, nie chciało włączyć go ani do swoich dokumentów, ani do porządku obrad. Uważałem jednak, że tak ważny głos ze Wschodu musi do delegatów Solidarności dotrzeć. W końcu to był niezwykle fakt, że w czasach wzrostu antyrosyjskich nastrojów, obaw przed interwencją – jacyś przyjaciele, Rosjanie, pozdrawiają polskich niezależnych związkowców, solidaryzują się z ich walką. Na zjazd przywieźliśmy ponad pół tysiąca egzemplarzy „Biuletynu Dolnośląskiego” z tekstem *Postania*. Rozdawaliśmy go licznym delegatom, rozkładali w kularach. Treść listu od przyjaciół Mikołaja Iwanowa trafiła chyba do wszystkich obradujących w hali „Olivii”. Szybko pojawiły się komentarze w rodzaju: *To taki odważny, przyjacielski, solidarny głos do nas wystosowano, a my nic o tym nie mówimy?* Fakt, że ktoś w Rosji popiera aspiracje Polaków, wywołał duże poruszenie. Z ościennych krajów płynęły do Polski groźby, a tu nagle dochodzi też sygnał całkowicie inny – pozdrowienia, wyrazy solidarności. *Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*, sformułowane przez mecenasa Śliwę, delegata z Kalisza, było odpowiedzią na tekst przywieziony „w głowie” przez Mikołaja Iwanowa i wydrukowany w „Biuletynie Dolnośląskim”.

**Zdaje się, że niewielu dziś pamięta o tym, że była to odpowiedź na głos, który nadszedł z Rosji. Odpowiednio nagłośnione zostało chyba tylko *Postanie do Narodów Europy Wschodniej*, solidaryzujące się z wszystkimi, którzy także pragnęli tworzyć niezależne związki zawodowe. Reakcja we wszystkich krajach obozu socjalistycznego była bardzo spektakularna.**

Niespecjalnie przejmowaliśmy się propagandą krajów wschodniej Europy...

**To może ja przypomnę, co się działo. „Dziennik Telewizyjny” i inne programy pełne były relacji z wieców, jakie odbywały się w NRD, Czecho-**

## Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej

słowacji, na Węgrzech, w Bułgarii. Zorganizowane przez tamtejsze komunistyczne władze tłumy dawały odpór *Posłaniu*. Przywódcy partii protestowali przeciw *mieszaniu się Solidarności w sprawy innych krajów*. No i oczywiście – histeria propagandowa w Polsce. Przez całe lata osiemdziesiąte wiele wcieleń Jerzego Urbana obrzucało błotem słowa skierowane z hali „Olivii” do świata pracy w Europie Wschodniej. *Igraniem z ogniem* nazwał je Mieczysław Rakowski w czasie spotkania ze stoczniowcami w trzecią rocznicę porozumień gdańskich. Ale po latach wielokrotnie mogliśmy usłyszeć od twórców niezależnych organizacji z Rumunii, Bułgarii, Węgier, że ważnym impulsem dla ich działalności było właśnie *Posłanie*...

Solidarność była ruchem patriotycznym i zarazem pełnym empatii w stosunku do narodów bloku wschodniego. Ich położenie było podobne, mieliśmy też wspólny interes w doprowadzeniu do zmian w naszej części świata. *Posłanie* było też dowodem na to, że nie jest nam obojętny los innych i że nie zamykamy się wyłącznie w sprawach związkowych. W 1981 roku nie wiązaliśmy z nim konkretnych nadziei. Ale już wtedy mówiłem: „Solidarność” przeminie, *Posłanie* zostanie.

## Stan wojenny

**Nawet nieprzychylni ci świadkowie tamtych wydarzeń przyznają, że jesienią 1981 apelowałeś o przygotowanie Solidarności do działania w warunkach konfrontacji.**

Wydawało mi się to wtedy oczywiste. Jesienią z ekranu telewizyjnego huczała już maksymalnie rozkręcona antysolidarnościowa furia. Redaktorzy „Dziennika Telewizyjnego” nie przebierali w słowach, posuwali się do najbardziej bezczelnych, jednoznacznych kłamstw. To samo w radiu, gazetach, plakatach, w dodatkach przed seansami filmowymi w kinach. Wszędzie. To musiało coś oznaczać, to było dla mnie jasne. Desant na Wyższą Szkołę Pożarnictwa pokazywał już, że możliwe są podobne akcje na dużo większą skalę. Może był małą próbą konfrontacji, sprawdzianem przygotowującego się do ataku aparatu przymusu, może też testowaniem społecznych reakcji? Nie była to zresztą wtedy akcja odosobniona. We Wrocławiu milicja aresztowała mikrobus Solidarności, z którego w centrum miasta nadawano przez megafony audycje i kolportowano gazetki.

Też dobrze pamiętam ten dzień. To było ewidentne testowanie zachowania ulicy. I chyba wrocławska ulica zdała wtedy ten egzamin na piątkę. Opór przy zatrzymywaniu tej nyski nie był jeszcze stanowczy, ale potem gęstniejący tłum ruszył w ślad za nią pod komendę milicji. Po godzinie zwarta masa ludzi wypełniała okolice od Sądowej aż do pl. Kościuszki. Głośno skandowano żądanie oddania mikrobusu i wypuszczenia jego obsługi. Chyba po raz pierwszy pojawiły się wtedy szpalery ZOMO z tarczami i samochody pancerne, m.in. z armatkami wodnymi. Kilka godzin upłynęło w dużym napięciu, ale nie doszło do próby szturmowania gmachów milicji. Chyba nie poleciały nawet w jej stronę żadne kamienie. Ciekawe, jakie wnioski z tego eksperymentu wyciągnęły władze? Może takie, że opór we Wrocławiu będzie duży? Może wydarzenia tego jesiennego dnia przyczyniły się do tego, że krótko potem to we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku internowano najwięcej ludzi, a sił wojskowych i milicyjnych ściągnięto nad Odrę też chyba wyjątkowo dużo?

Być może, ale z tego, co dziś wiemy, wynika, że listy przyszłych internowanych zaczęto sporządzać praktycznie już w chwili narodzin Solidarności. Na przełomie listopada i grudnia 1981 r. rzucało się w oczy to, że sytuacja strajkowa w zakładach przemysłowych się uspokajała. Trwała „napisowo-plakatowa” walka o dostęp do środków masowego przekazu, protestowali studenci, przygotowywano obchody rocznicy Grudnia 1970. Na pewno nie mieliśmy wtedy jednak do czynienia z eskalacją strajków. W minionych szesnastu miesiącach były okresy dużo większego, rzeczywistego napięcia. Tym razem komuniści to napięcie wywoływali sztucznie. Coraz bardziej podgrzewali atmosferę i było wręcz oczywiste, że coś z tego ma wynikać, do czegoś oni tym sposobem prowadzą.

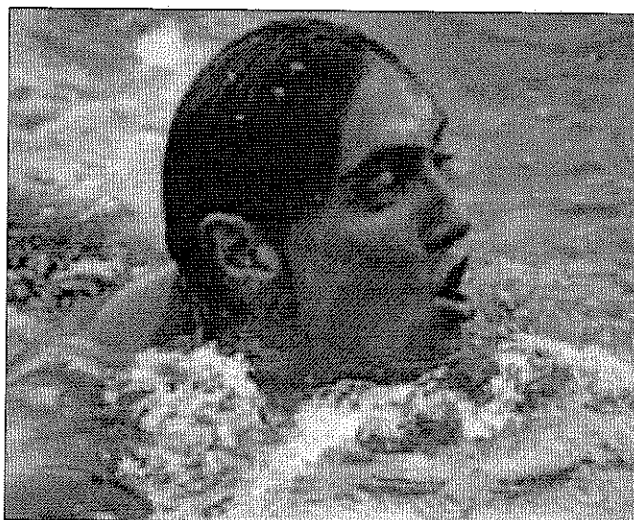
Dość powszechnie mówiło się o planach wprowadzenia stanu wyjątkowego. Nie wojennego, lecz wyjątkowego. Pojawiały się nawet plotki o dacie jego ogłoszenia. Chyba nawet mowa w nich była o piątym, a potem dziesiątym grudnia. Nikt jakoś jednak nie potrafił wtedy sprecyzować, czym ten stan wyjątkowy miałby być, jakie rygory i zmiany miał spowodować.

A przypomnijmy jeszcze uruchomienie wojskowych grup operacyjnych. Grupki zawodowych żołnierzy pojawiły się nagle przy urzędach, sklepach, zakładach pracy. Rzekomo, żeby zadbać o porządek. Po ulicach zaczęły krążyć patrole WSW z bagnietami na karabinach. Mimo jesienno-zimowej aury jeździli po mieście odkrytymi, terenowymi samochodami.

W kilku miejscach Wrocławia (m.in. na Partynicach, Polanowicach, Kozanowie) znajdowały się wtedy jednostki Armii Sowieckiej, przy których były domy dla rodzin zawodowych wojskowych. Znajomi, którzy mieszkali w tamtych okolicach, na początku grudnia 1981 opowiadali o pospiesznej ewakuacji tych cywilów. Kobiety i dzieci z walizkami, tobołkami przenosiły się za mury koszar. Podobno ci Rosjanie wyglądali na ciężko przestraszonych i żartowano, że padli ofiarą propagandy. Naśmiewaliśmy się wtedy z nich. Nikt nie pałał do nich szczególną sympatią, ale też nigdy nie było pomysłów, by robić im jakąkolwiek krzywdę. Nasze uczucia wobec nich to raczej współczucie czy może politowanie, że tak się dają formować, ogłupiać. Sami zresztą mieliśmy wtedy możliwość przyglądania się tej sowieckiej propagandzie. Dla Rosjan mieszkających w różnych częściach Wrocławia retransmitowano jeden z kanałów moskiewskiej telewizji. Dzięki temu i my mogliśmy śledzić to, co w niej wygadywali i pokazywali. Parę tygodni przed wprowadzeniem stanu wojennego zaczął się pojawiać jeszcze jeden symptomatyczny obrazek. Rosjanie mieli we Wrocławiu szkołę, do której z rejonów zamieszkania żołnierskich rodzin kursowały takie bardzo charakterystyczne, autobusiki z sowieckimi tablicami rejestracyjnymi, napisami itd. Pamiętam nawet, że budziły nasze rozbawienie, kiedy taki pojazd stawał w ulicznym korku obok tramwaju, którym jechaliśmy większą grupą kolegów. Nie przejawialiśmy żadnych oznak wrogości. Przeciwnie – machaliśmy do tych dzieciaków, głośno śmialiśmy się z tego, że są w takich fajnych, pionierskich mundurkach, a przede wszystkim, że mają takie bijące po oczach odznaki z czerwonymi gwiazdami, Leninami. I jakoś pod koniec listopada 1981 r. tym pojazdom zaczęły towarzyszyć sowieckie wojskowe

samochody. Za każdym autobusikiem podążała obstawa w postaci zielonego gazika lub małej ciężarówki z żołnierzami Armii Czerwonej. Tych oznak, że polscy komuniści czy sami Sowieci spodziewają się konfrontacji, było bardzo wiele.

Dlatego mówiłem wtedy, że trzeba przygotować awaryjne środki łączności, mieć rezerwową poligrafię, że nie wolno dać się zaskoczyć. Solidarność była dziesięciomilionowym związkiem. W wielu jej działaniach wywoływało to złudzenie nieodwracalności tych procesów, do których w Polsce doszło. Ciągłe jednak to komuniści rządili i dawali jasno do zrozumienia, że wcale nie chcą z rządu zrezygnować. Kontakty z wyższymi oficerami Wojska Polskiego miał wtedy nieżyjący już mój przyjaciel – Marek Petruszewicz...



Marek Petruszewicz w momencie bicia rekordu świata

**Ten sam Marek Petruszewicz, który był kiedyś pływackim mistrzem świata? Rekordowy wyczyn Petruszewicza uwiecznia tablica pamiątkowa w hallu zespołu basenów przy ul. Teatralnej.**

Nakręcono też o nim film. Dwukrotnie pobił rekord świata w pływaniu stylem klasycznym na 100 m i wyrównał rekord świata na 200 m. W 1981 r. był członkiem Zarządu Regionu dolnośląskiej „Solidarności”. Razem zajmowaliśmy się sprawami bezpieczeństwa związku. Miał sporo wiadomości, przeciekających z dowództwa Śląskiego Okręgu Wojskowego. W listopadzie mówił mi, że jednostki szykują się do jakiejś wielkiej akcji, w której wezmą udział czołgi, transportery opancerzone, śmigłowce. Według tych informacji, nie chodziło o obronę granic. Niektórzy łudzili się wtedy, że sygnały z armii oznaczają przygotowywanie się jej do odparcia ewentualnej sowieckiej interwencji. „Przeciaki” z wojska mówiły jednak o czymś całkiem innym. Nie dbano o amunicję artyleryjską, ale o zapasy paliwa, sprawność sprzętu, środki transportu, do ekstremum doprowadzano dyscyplinę w żołnierskich szeregach. Petruszewicz powtarzał: *Szykuje się jakaś wielka akcja wojskowa*. Jako delegat Pierwszego Zjazdu NSZZ Solidarność pracowałem w Komisji: Związek wobec zagrożeń. W *Programie Związku* udało mi się umieścić zdanie o konieczności przygotowania struktur regionalnych i ogólnopolskich na wypadek wprowadzenia stanu wyjątkowego lub interwencji z zewnątrz. Zdobywałem i przekazywałem władzom związku informacje uzyskiwane od Petruszewicza i z innych źródeł. Z faktów tych wnioskowałem, że wszystko wskazuje na to, iż wojsko przygotowuje się do zmasowanego działania przeciw ludności cywilnej.

**Gdzie zastał cię stan wojenny?**

12 grudnia wydrukowany został kolejny numer „Biuletynu Dolnośląskiego”. Część nakładu rozwoziłem osobiście. Chciałem uporać się z tym jeszcze tego samego dnia. W sobotę zwykle ludzie kładą się później spać, więc pozwalałem sobie odwiedzać kolporterów nawet bardzo późnym wieczorem. Późnym wieczorem wpadłem jeszcze na ul. Mazowiecką, do siedziby Zarządu Regionu. Wyniosłem stamtąd jeden z mniejszych powielaczy. I tak nie był używany, bo dolnośląska Solidarność od niedawna miała już dużo lepszy sprzęt poligraficzny. Właśnie zainstalowano nowe, bardzo nowoczesne maszyny poligraficzne ze Szwecji (w znacznej części roztrząskane przez ZOMO 13 grudnia 1981). Wiadomo było, że w kraju robi się coraz niespokojniej, więc namawiałem swoich współpracowników, by część powielaczy i innego sprzętu poukrywać. Sam to robiłem przy każdej okazji. Miałem zbyt mały samochód, by zabrać coś większego, ale małe powielacze, paczki z matrycami i tyle ryz papieru, ile mi się mieściło do „malucha”, rozwoziłem do różnych znajomych. 12 grudnia jeździłem dużo. Powielacz zawiozłem na Zacisze, do Tadka Świerczewskiego. Dużą partię „Biuletynu Dolnośląskiego” dostarczyłem w okolice dworca – do Jurka Piaseckiego, inną do Tadka Rogosza. Na szybkim rozwiezieniu paczek z *Biudolem* (tak często nazywano „Biuletyn Dolnośląski”) zależało mi tym bardziej, że najbliższe dni miały być bardzo wypełnione. Od dwóch miesięcy przed sądem we Wrocławiu toczyła się przeciwko mnie rozprawa z oskarżeniem o podważanie sojuszy. Powodem było wydrukowanie w „Biuletynie Dolnośląskim” omawianego wcześniej *Postania* do Zjazdu „Solidarności” od wolnych związków zawodowych w Moskwie oraz ulotki do żołnierzy sowieckich. W następnym tygodniu miałem stawić się przed sądem. Około pierwszej w nocy dotarłem na Kamienną, do Hanny Łukowskiej-Karniej. Spotkać się u niej miałem m.in. z prawniczką, która miała mi pomóc w sprawie sądowej. Była nią sędzina z Wałbrzycha, Janina Niechajewicz, która zresztą w stanie wojennym zrezygnowała z pracy w sądzie. W niedzielę miałem też spotkać się z mecenasem Afendą. Na spotkanie z panią sędziną dotarłem więc bardzo późno. Chyba już spała, ale po moim spóźnionym przybyciu wstała, rozmawialiśmy jeszcze ponad godzinę. Było po drugiej w nocy, kiedy zamierzałem powrócić do domu, na Kilińskiego. Okazało się jednak, że silnik mojego małego fiata nie chciał zapalić. Silny mróz sprawił, że wysiadł akumulator. Nocowałem więc na Kamiennej. Jeśli nie zdarzyłby się ten kłopot z samochodem, to pewnie dotarłbym do mojego mieszkania, do drzwi którego właśnie kołatała bezpieka.

### **Palec Boży?**

Być może. W tamtym czasie odczuwałem jednak wyraźnie, że lada dzień coś się wydarzy. Chodziło mi po głowie, żeby nie nocować w domu. Kiedy około północy jechałem przez Wrocław – w okolicach Buforowej i Krynickiej widziałem sznur wojskowych ciężarówek. Trochę mnie to wtedy zaniepokoiło. Tym bardziej więc, kiedy mój maluch odmówił posłuszeństwa, zrezygnowałem z prób ruszenia nim „na pych” czy innych starań o uruchomienie zapłonu. Pomyślałem, że może dobrze się składa.

### **SB szukała cię w domu...**

Jak kładłem się spać na Kamiennej, SB przysłała po mnie na Kilińskiego. Mieszkanie przeszukali bardzo dokładnie. Oczywiście, dopytywali się, gdzie jestem, ale niczego się nie dowiedzieli. Jakiś czas siedzieli u mnie w domu. Domyślili się chyba

jednak, że skoro lecą już w radiu przemówienia Jaruzelskiego, to ja do swojego mieszkania nie wrócę. Potem dowiedziałem się też, że szukali mnie u różnych znajomych.

### **Jak dowiedziałeś się o wprowadzeniu stanu wojennego?**

Spałem ledwie od paru godzin, gdy między piątą a szóstą rano ktoś zapukał do drzwi. Był to nasz kolega z Instytutu Matematyki, Edward Glibowski. Mieszkał na pl. Pereca, był związany z KPN-em. Ludzie z tej organizacji często się u niego zbierali. Miał zwyczaj bardzo wczesnego wstawania. O piątej rano wychodził na spacer z psem. Szybko więc zorientował się, co się dzieje. Zobaczył kolumny wojska i milicji. Pobiegł do domu, stwierdził, że nie działają telefony. Radio pierwszą informację o wprowadzeniu stanu wojennego podało chyba o szóstej, ale on złapał, zdaje się, falę rozgłośni *Dla tych, co na Morzu*. Tam mówili już o przejęciu władzy przez tzw. Wojskową Radę Ocalenia Narodowego. Jedną z pierwszych jego decyzji było jak najszybsze ostrzeżenie mnie. Wiedział, że moją bliską współpracownicą z „Biuletynu Dolnośląskiego” jest Hanna Łukowska-Karniej. Do jej mieszkania dotarł między piątą a szóstą. Kiedy Hania otworzyła mu drzwi, usłyszałem, jak powiedział: *Powiadom Morawieckiego, Jaruzelski wypowiedział wojnę narodowi! Jeśli Kornel jeszcze nie został aresztowany, nie może pojawiać się w domu!* Godzinę później do drzwi zaczęła pukać moja żona. Dowiedziałem się wtedy, że parę godzin wcześniej bezpieka była na Kilińskiego. Żona przyjechała z panem Zbigniewem Lazarowiczem, ojcem naszego znakomitego redaktora – Romka Lazarowicza. Oferował każdą pomoc, jaka leżała w jego zakresie. W krótkim czasie mieszkanie Hanki zapełniło się kolejnymi znajomymi, zaalarmowanymi wybuchem stanu wojennego. Przybyli Helena i Romek Lazarowiczowie, Marian i Zbyszek Oziewiczowie, Marek i Zbigniew Gierunowie, ksiądz Dziełak, Tadek Świerczewski, Kazik Suszyński, Rafał Dutkiewicz. 13 grudnia przez dom na Kamiennej przewinęło się trzydzieści–czterdzieści osób. W ten sposób zaczęła powstawać informacyjna część Regionalnego Komitetu Strajkowego.



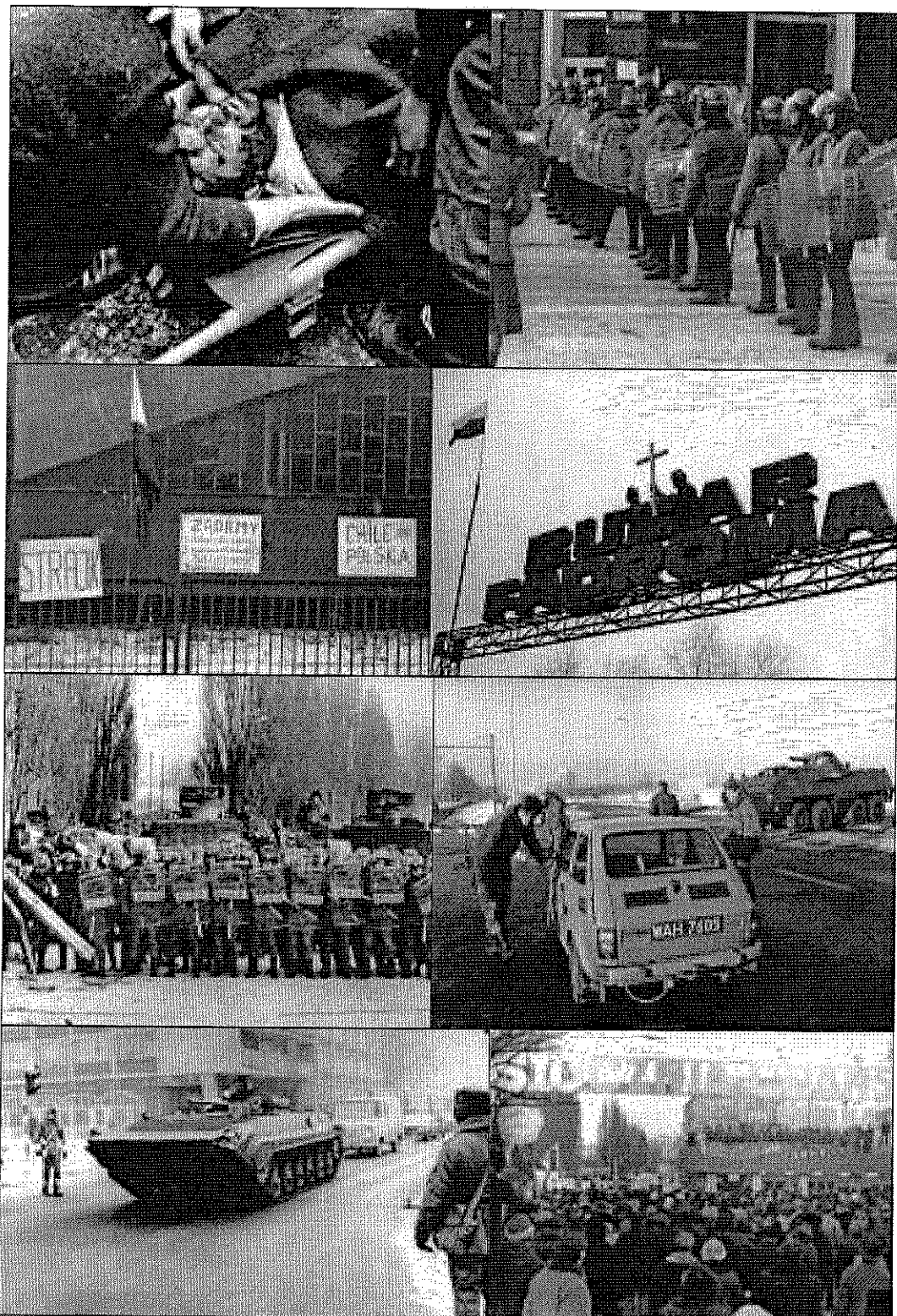
General wypowiada wojnę narodowi.

**Według różnych relacji Regionalny Komitet Strajkowy powstał pierwszego lub drugiego dnia stanu wojennego na terenie zajezdni MPK albo „Pafawagu”.**

Trudno stwierdzić to jednoznacznie. Formalnie powstał pierwszego dnia, ale osobowy skład RKS-u był płynny w ciągu pierwszych tygodni. Stan wojenny zaskoczył przywódców dolnośląskiej Solidarności w różnych miejscach i w różnych miejscach organizował się opór. 13 grudnia wiedziałem jedno: nikt poza nami nie będzie w stanie zorganizować druku. Przynajmniej na większą skalę konspiracyjną poligrafie mogli uruchomić wyłącznie ludzie pracujący dla „Biuletynu Dolnośląskiego”. Jasne więc dla mnie było, co w zaistniałej sytuacji mam robić.



## Stan wojenny



Początek nowych porządków

### **Jaka więc była pierwsza decyzja?**

Osoby przewijające się przez Kamienną miały, po pierwsze, zbierać i selekcjonować informacje z miasta, z nasłuchu zagranicznych stacji radiowych, od krótkofalarzy. Miały podawać, kto ze znajomych działał się ukrywa, kogo aresztowano. Po drugie, należało gromadzić i zabezpieczać wszelkie środki mogące służyć społecznej komunikacji. Wiadomo było, że trzeba organizować opór, do czego potrzebny będzie druk. Obawiając się najgorszego, poleciłem Hannie Łukowskiej-Karniej, by pojechała na Politechnikę i ukradła maszynę do pisania z rosyjską czcionką. Mielismy taką w Bibliotece. Weszła do niej i wyniosła maszynę pod pachą. Wkładając ją do torby zobaczyła wielkie oczy kolegi. Powiedziała do niego: *nic nie widziałeś*. Potem okazało się, że przesłuchiwali go na okoliczność zniknięcia tej maszyny. Polecenie Hani jednak wypełnił. Bez końca powtarzał: *Nic nie widziałem*. Hania przyniosła też wiadomości o tym, co się działo na Politechnice. Spontanicznie organizował się strajk. Studenci drukowali ulotki, malowali plakaty, wywieszali transparenty, barykadowali drzwi i okna. Wszystko toczyło się bardzo dynamicznie, w takiej bieganiu i powszechnym poczuciu dużego zagrożenia. Na uczelnię ściągali jednak kolejni studenci z plecakami prowiantu, gotowi strajkować pomimo groźby drakońskich sankcji. Protest przygotowywał także Uniwersytet a wszystkim zaskoczyło to, że strajk okupacyjny ogłoszono również na Akademii Rolniczej. Wcześniej uczelnia ta nie miała opinii nazbyt „bojowej”, ale 13 grudnia, w godzinie najcięższej próby, spora grupa studentów AR wykazała się dużą odwagą i determinacją. Na Politechnice, w Instytucie Matematyki, jednym z głównych orędowników natychmiastowego i bardzo stanowczego protestu był Andrzej Kisielewicz. Był on wtedy na uczelni stosunkowo mało znany. Pracował od niedawna. Mówiło się, że ma w bliskiej rodzinie jakichś wojskowych. W dodatku jako jeden z ostatnich zapisał się do Solidarności. Jego radykalna postawa wielu zaskoczyła i niektórzy szeptali, że może jest prowokatorem. W istocie jednak Andrzej jest takim typem człowieka, który decyzje podejmuje bardzo rozważnie, nie ulega odruchom tłumu (pewnie dlatego tak późno wstąpił do Solidarności), ale jeśli już po jakiejś stronie się opowie, to zawsze jest gotów ponieść duże ofiary oraz bardzo czynnie i wytrwale działać. Był na Politechnice wtedy, kiedy szturmowało ją ZOMO, przeszedł przez „ścieżki zdrowia”, urządzone przed Gmachem Głównym. Jego żona, Marysia, była jedną z najdłużej internowanych w Polsce kobiet. Małżeństwo Kisielewiczów przez całe lata osiemdziesiąte działało w podziemiu. Zawsze bardzo ceniłem ich poglądy, rady, oceny sytuacji.

### **13 grudnia na Kamienną dochodziły wiadomości o tym, co dzieje się w mieście, regionie, w Polsce?**

Telefony były głuche. Ktoś cały czas siedział przy radiu. Zagłuszanie „Wolnej Europy” i innych stacji było wyjątkowo skuteczne. Zagraniczne rozgłośnie nie miały za wiele informacji. Co chwila jednak zjawiał się ktoś, kto był świadkiem jakichś wydarzeń. Tak dowiedzieliśmy się o tym, do czego doszło na Mazowieckiej, w siedzibie Zarządu Regionu. ZOMO wczesnym rankiem opanowało budynek, z którego jednak potem członkowie Solidarności próbowali wynieść trochę sprzętu, a nawet zaczęli nadawać audycję przez megafon. I wtedy zaczął się ten sławetny obłąkańczy szturm, w czasie którego siedziba związku została doszczętnie zdemolowana. Ciężko pobici zostali wszyscy, którzy znaleźli się w zasięgu pałek. Zomowcy roztrzaskali urządzenia poligraficzne – dar szwedzkich związkowców. Jak na owe czasy – nie-

## Stan wojenny

słychanie kosztowny, wart dwieście tysięcy dolarów. Potłukli je tak, że nie było czego zbierać. Po sąsiedzku znajdowały się biura związków branżowych, czyli dawnego, zarządzanego przez komunistów CRZZ. Zomowcy wylamali drzwi i zrobili tam dokładnie to samo. Maszyny do pisania wylatywały przez zamknięte okna.

13 grudnia, jeszcze przed świtem, zaczął się strajk w MPK. Wszystkie tramwaje i autobusy, jeszcze z linii nocnych, zjechały do zajezdni, a na linie dzienne – już nie wyjechały. Prawdopodobnie bardzo wcześnie dowiedzieli się, co się dzieje. Potem jednak do pracy powrócili, ale tylko po to, by następnego dnia umożliwić rozwiezienie ludzi do zakładów, które, jak się spodziewali, też zaczną strajkować.

### **Nie zabrakło sytuacji groteskowych...**

Junta Jaruzelskiego ewidentnie chciała ludzi zastraszyć. To w tym celu wyprowadzili na ulice tak ogromne ilości wojska do zademonstrowania siły. I tak np. w śródku Wrocławia pojawiła się wyrzutnia rakiet taktycznych. Ledwie mieściła się pod tramwajową siecią trakcyjną i z ogromnym trudem zawracała na pl. PKWN (dziś siejszy Plac Legionów). Tłum przecierał oczy ze zdumienia. Rolę artylerii przeciwlotniczej czy nawet amfibii można było sobie w tej dziwnej wojnie wyobrazić, ale do czego mogła im służyć taka wielka rakietka?

### **13 grudnia zacząłeś wydawać pierwszą w Polsce podziemną gazetę stanu wojennego.**

To była jedna z pierwszych decyzji. Oczywiście było, że na atak władz trzeba odpowiedzieć konspiracyjnym oporem. Do jego koordynacji najniezbędniejsza była własna sieć informacyjna. Telefony, faksy, dalekopisy były wyłączone. Wszelki nadawczy sprzęt radiowy władze rekwirowały. O internecie czytało się wtedy jedynie w powieściach fantastyczno-naukowych. Konieczne było uruchomienie druku i to na jak największą skalę. Szybko postanowiliśmy, że wydawać będziemy nie jakąś nową, wojenną gazetę, ale dalszy ciąg „Z dnia na dzień” – pisma dolnośląskiej Solidarności.

**Czy to nie niosło za sobą ryzyka dużego nieporozumienia? Nie mieliście kontaktu z wieloma ludźmi dolnośląskiej Solidarności. Co by było, gdyby inni związkowcy w innym miejscu też zaczęli wydawać swoje „Z dnia na dzień”?**

Nie istniała taka możliwość. Wiedziałem, czym dysponują inni. Co prawda już pierwszego dnia stanu wojennego ulotki powielali strajkujący studenci Politechniki i Akademii Rolniczej. Jeśli jednak siedziba na Mazowieckiej została opanowana przez milicję, nikt nie był w stanie wydrukować „Z dnia na dzień”. Mogliśmy zrobić to tylko my. Być może, szansa na uruchomienie jakiejś innej poligrafii pojawiłaby się w strajkujących zakładach, jeśli związkowcy włamaliby się do jakichś zapleczy poligraficznych. My jednak postanowiliśmy pierwszy numer kolportować już w poniedziałek 14 grudnia. Nie było ryzyka nieporozumienia.

### **Jak wyglądało wydawanie pierwszego numeru?**

Dość spontanicznie, ale konkretnie. W pierwszym wojennym numerze „Z dnia na dzień” pisaliśmy o stanie wojennym jako dążeniu do przywrócenia komunistycz-

nego monopolu. Wzywaliśmy do strajku generalnego, podaliśmy szereg informacji, które udało się nam zdobyć i potwierdzić. Numer zredagował Romek Lazarowicz. Matryce przepisały na maszynach Helena Lazarowicz i Joanna Moszczak, a wydrukował Wiesław Moszczak. Odbywało się to na Krzykach, u sąsiadów państwa Trąbskich, gdzie Romek dowiózł jeden z naszych powielaczy. Mieliśmy też spory zapas papieru i farby.

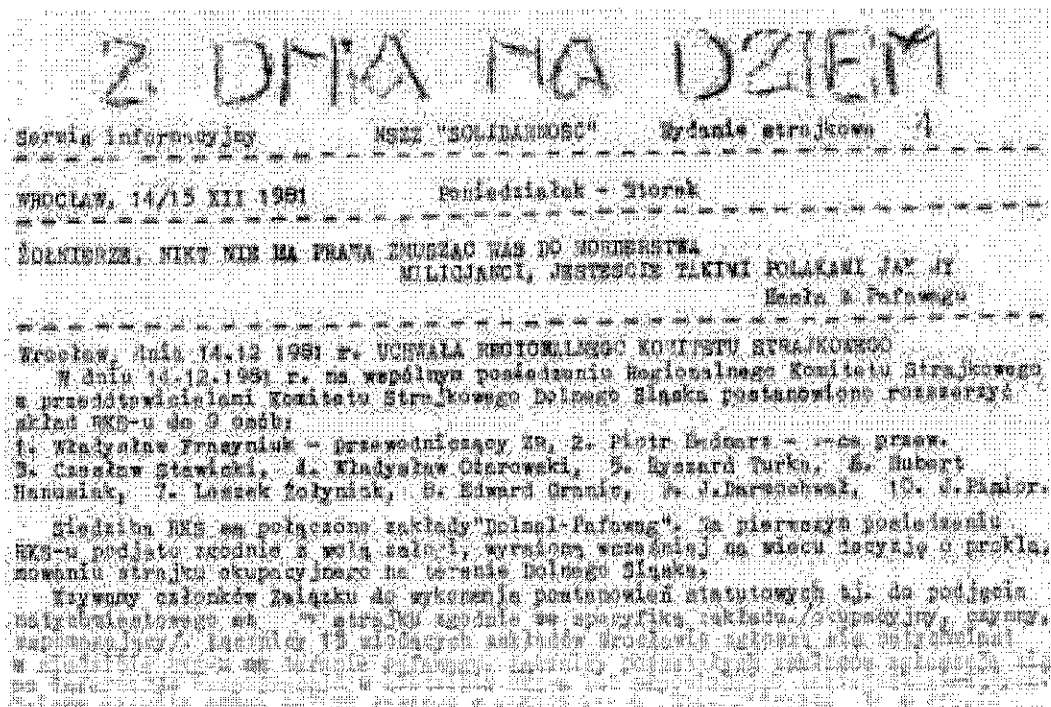
Pierwszego dnia stanu wojennego pojawiło się u Hani wystarczająco dużo ludzi pełnych woli działania i dysponujących na tyle rozległymi kontaktami, byśmy mogli być spokojni o kolportaż. Było pewne, że „Z dnia na dzień” dotrze nazajutrz przynajmniej do zakładów w mieście.

**Wiadomo było jednak, że w miejscach, gdzie zaczynały się protesty okupacyjne, też zaczęto powielać jakieś pisma.**

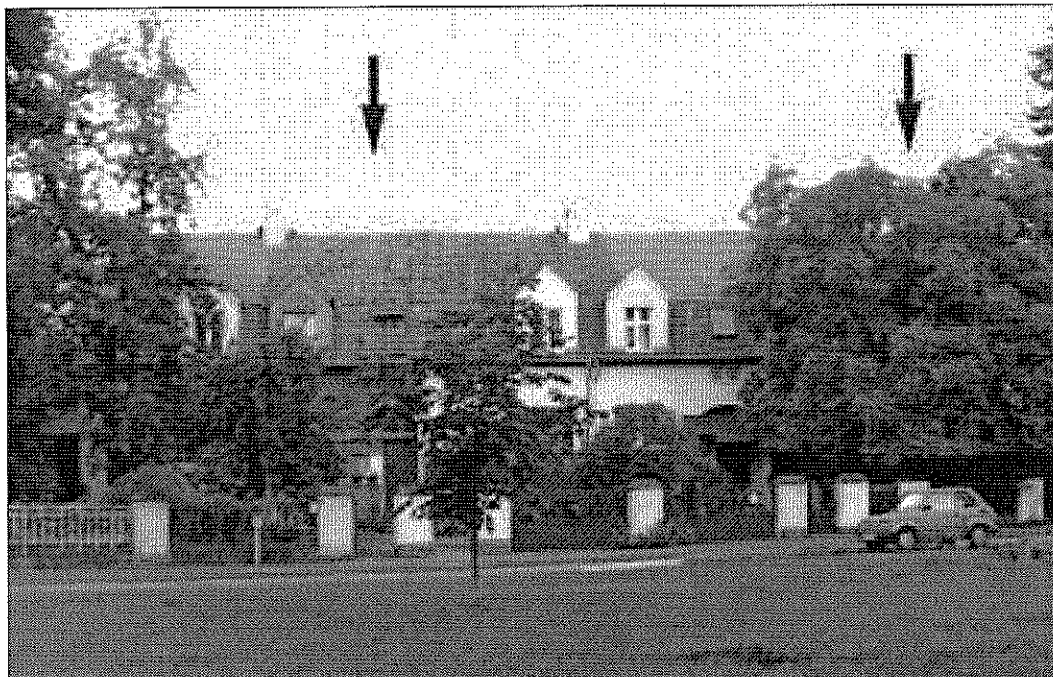
Drukowanie w ośrodkach zamierzających jawnie protestować było bardzo sensowne i potrzebne, ale też wiadomo było, że fabryki czy uczelnie będą izolowane, oblegane, atakowane. Można było liczyć na to, że powielone w nich zostaną odezwy, ulotki, pojedyncze numery gazetek. Trudno było jednak się spodziewać, że na strajku zacznie się ukazywać gazeta wydawana konsekwentnie i w dużym nakładzie. No i że ten nakład zostanie szeroko rozkolportowany. Do tego była potrzebna sieć drukarni znajdujących się poza zakładami pracy.

**Kto poza tobą brał udział w redagowaniu „Z dnia na dzień”?**

Naczelnym redaktorem był Romuald Lazarowicz. Organizacją druku zajmo-



Pierwsze w Polsce pismo stanu wojennego



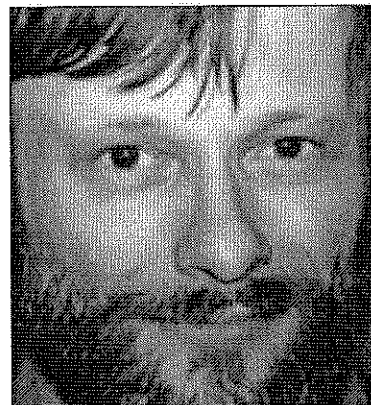
W tych dwóch niepozornych willach przy ul. Karłowicza we Wrocławiu przez pierwsze pół roku stanu wojennego mieściła się redakcja „Z dnia na dzień”.

wał się Tadeusz Świerczewski. Zamieszczaliśmy też informacje i teksty pisane przez wiele innych osób. Można jednak przyjąć, że do czerwca 1982 nasza trójka stanowiła redakcję. Do czerwca 1982 r. wydaliśmy około pięćdziesięciu numerów. Pismo poszerzało kręgi redakcji, a zwłaszcza kolportażu.

Redakcja na długie miesiące mieściła się na Zalesiu, w dwóch willach, oddalonych od siebie o jakieś sto metrów. Romek i Jarek Twardowski pociągnęli kabel między obydwojma budynkami – w rynnach i po ogrodzeniach go poprowadzili tak, że w ogóle był niedostrzegalny. Podłączone do niego połowe aparaty telefoniczne zapewniały stałą łączność. Bywało, że w pierwszej willi dwóm maszynistkom dyktowana była treść, którą przepisywały na matryce, a trzecia maszynistka, ze słuchawką przy uchu, to samo robiła w drugim budynku. Ten telefon pozwolił ograniczyć ruch wokół tych budynków.

#### **Ukrywanie się u Hanny Łukowskiej-Karniej było bezpieczne?**

13 grudnia nie potrafiliśmy tego ocenić. Przypuszczaliśmy, że SB raczej tam nie trafi. Nic nie wskazywało na to, że ma informacje o związku Hani z „Biuletynem Dolnośląskim”. Mogło jednak być inaczej. Bezpieka zatrzymywała tysiące ludzi, wszczynane były śledztwa. Esbecja mogła wejść w posiadanie



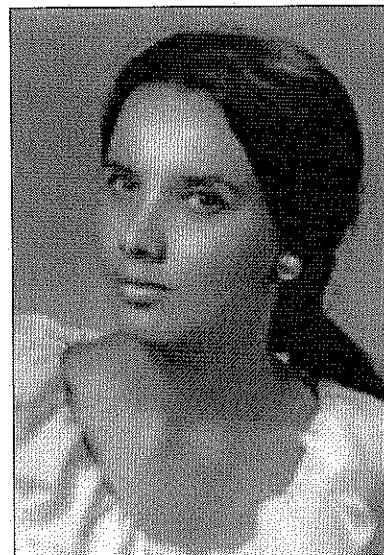
Redaktor naczelny „Z dnia na dzień”  
Romuald Lazarowicz

jakichś informacji na jej temat i zjawić się na Kamiennej.

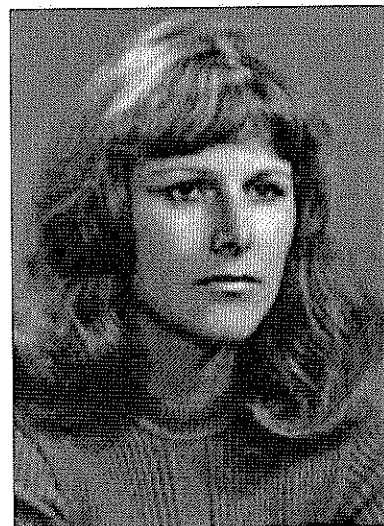
**No właśnie – 13 grudnia do jej mieszkania na Kamiennej trafiło co najmniej trzydziestu ludzi, czynnych przeciwników komunizmu, z których potem zaczęła się największa antykomunistyczna organizacja. I nikt nie przyciągnął „ogona”, SB do was nie dotarła. Z tego, co dziś wiemy o stopniu spenetrowania dawnych środowisk opozycyjnych przez agentów SB, można wnioskować, że sytuacja ta była dość wyjątkowa.**

Hania od dawna zajmowała się kolportażem wydawnictw drugiego obiegu. Pracowała w Bibliotece Politechniki Wrocławskiej – miejscu, z którego rozchodziła się część nakładu „Biuletynu Dolnośląskiego”. Wszystko wskazuje na to, że bezpieka wtedy nic o jej roli nie wiedziała. Biblioteka to miejsce trudne do obserwacji. Z natury rzeczy cały czas ktoś tam wchodzi, wychodzi, dźwiga jakieś papiery. Jak widać, wśród ludzi, którzy odbierali od niej bibułę, esbecja nie miała żadnej „wtyczki”. Aresztowanie spotkało Hanię dopiero parę lat później, już za co innego, za działalność w Solidarności Walczącej. Wśród ludzi, którzy poszchodzili się do jej mieszkania w pierwszym dniu stanu wojennego, nie było głośnych, jawnych opozycjonistów, których zwykle bezpieka nie spuszcza z oka i na wszystkie sposoby kombinuje, jak ich zmusić czy zachęcić do współpracy. Nie było też dysydentów z partii komunistycznej. Byli natomiast ludzie zajmujący się konkretną działalnością – drukiem, kolportażem, organizacją niezależnych struktur. Nie znaczyło to jednak, że mieszkanie Hani było bezpieczne. SB zatrzymała masę ludzi, wchodziła do setek mieszkań, dokonywała przesłuchań, gromadziła informacje. Uznaliśmy, że mieszkanie na Kamiennej było zagrożone w stopniu umiarkowanym. Mogło przez jakiś czas nadawać się do bardzo ostrożnie organizowanych spotkań. Raczej nie do ukrywania się. Wniosek był taki, że spać tam nie powinienem. Hania zaczęła więc szybko szukać jakiegoś ukrycia dla mnie. Zaczęła od bloku, w którym mieszkała. Po chwili przyszła z odpowiedzią znajomej z szóstego piętra. Jej mieszkanie było poza wszelkim podejrzeniem, właścicielka była gotowa mnie przyjąć.

**Czyli kto jako pierwszy ukrywał cię w stanie wojennym?**



Hanna Łukowska-Karnef



Zofia Maciejewska

## Stan wojenny

Państwo Maciejewscy, w mieszkaniu na szóstym piętrze bloku przy ul. Kamiennej. Los mi sprzyjał. Najpierw ten biedny „maluszek” uratował mnie swoją awarią, potem trafiłem do ludzi gotowych narażać swoje rodziny, żeby mnie ukryć.

**Zszedłeś więc spokojnie pięć pięter niżej i zacząłeś się ukrywać u państwa Maciejewskich?**

Okazało się, że „stan wojenny wszedł pod nasz dach”. Na schodach, korytarzach bloku, i to na wysokich piętrach, chodzili zomowcy. Prawdopodobnie od bardzo wczesnych godzin rannych patrolowali ulice. Był silny mróz, więc wchodzili do bloków, by się ogrzać. Minałem kilku z nich, idąc do miejsca swojego ukrycia.

**Następnego dnia zaczął się strajk w wielu zakładach pracy. Frasyniuk próbował przewodzić protestom w fabrykach, ty organizowałeś dla nich druk.**

Sytuacja zakładów bardzo szybko zaczęła wyglądać dramatycznie. Oblegało je wojsko z dziesiątkami czołgów. Ciągłe docierały wiadomości o kolejnych znajomych, którzy już siedzieli w więzieniach. Chyba w czasie przenoszenia bibuły do strajkującej Fabryki Automatów Tokarskich SB zatrzymała bardzo aktywnego, młodego działacza, świetnego drukarza Tomka Wacko. Już jednego z pierwszych dni ktoś, nie pamiętam, czy Rafał Dutkiewicz czy Basia Labudowa, przyniósł mi list od przewodniczącego Solidarności regionu Dolny Śląsk. Upoważniał mnie do wydawania oświadczeń i podpisywania ich nazwą Regionalny Komitet Strajkowy. Frasyniuk zalecał mi zamieszczać w „Z dnia na dzień” odezwy, które miałem pisać ja, ale podpisywać nazwiskami członków RKS-u.

**Obdarzył cię dużym zaufaniem. Dochodziło potem na tym tle do jakichś nieporozumień?**

Większe różnice zdań zarysowały się później. W pierwszym miesiącu stanu wojennego ta decyzja była bardzo rozsądna, a nasze poglądy na zaistniałą sytuację były zbieżne.

**Potem rozbieżności narastały.**

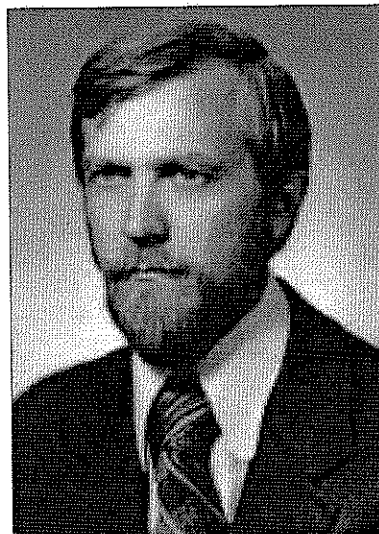
Pierwsza różnica zdań dotyczyła ogólnopolskiego kierownictwa podziemnej Solidarności. Uważałem, że trzeba jak najszybciej stworzyć centralną władzę ze-pchniętego do podziemia związku. Tylko wtedy moglibyśmy poprowadzić działania przeciw reżimowi, skoordynowane w skali całego kraju. Władysław Frasyniuk nie był temu przeciwny. Z niepojętych dla mnie przyczyn oponentem takiego rozwiązania był Zbigniew Bujak. Ja uważałem, że trzeba się jak najszybciej pręźnie zorganizować. Inaczej szanse na sukces w konfrontacji z władzami spadały do zera. Druga rozbieżność zdań między mną a Frasyniukiem dotyczyła organizowania manifestacji. Kwestia pojawiła się jednak dopiero późną wiosną.

**Już w grudniu 1981 ruszyły kolejne drukarnie.**

Drugiego dnia stanu wojennego pełną parą ruszyła kolejna – w domu Tadeusza Świerczewskiego. Potem były następne. To było spore wyzwanie logistyczne. Do każdego punktu poligraficznego trzeba było dostarczać matryce, papier, farbę i wszystko, czego potrzebowali drukarze. Wydruk trzeba było, oczywiście, w odpowiednim czasie odbierać, skierować do kolportażu... Wszystko z zachowaniem ostrożności

**Samo redagowanie „Z dnia na dzień” też zapewne nie było zbyt łatwe.**

Sytuacja była wyjątkowa. Docierały do nas informacje z zakładów, ale nie zawsze sprawdzone. Każdego następnego dnia jednak sieć kolporterska działała lepiej i służyła też jako przekaźnik wiadomości – w przeciwną stronę. Wprowadzona w kraju blokada informacyjna była dość ścisła. Zagraniczne rozgłośnie zagłuszano wyjątkowo skutecznie, a to, co udało się usłyszeć, świadczyło o tym, że one też nie mają wiedzy o wydarzeniach w Polsce. W tamtych dniach „Wolna Europa” podawała, między innymi, informacje na podstawie obserwacji z kosmosu. Żadni dziennikarze nie docierali w okolice strajkujących fabryk, wiadomo więc było tylko to, co wypatrzyły szpiegowskie satelity CIA. Doniesienia te mówiły o zgromadzeniach na terenie niektórych zakładów pracy, zawierały szacunki, ile osób zgromadziło się przed bramą stoczni w Gdańsku.



Tadeusz Świerczewski

**Dosyć sensacyjne było to, że już drugiego dnia stanu wojennego gazetka Regionalnego Komitetu Strajkowego „Z dnia na dzień” była rozrzucana w domu towarowym PDT, rozklejana na murach miasta, nawet w najruchliwszych jego punktach, np. na Świdnickiej. Często mówi się, że największym pismem stanu wojennego był „Tygodnik Mazowsze”, który zaczął ukazywać się dwa miesiące później, niż „Z dnia na dzień”. Dolny Śląsk miał swoją podziemną gazetę już 14 grudnia i ukazywała się nie raz, ale trzy razy w tygodniu. To „Z dnia na dzień” miało też zdecydowanie największą liczbę wydań i największy, łączny nakład. Jak to wszystko było możliwe?**

Rzeczywiście – w pierwszych miesiącach stanu wojennego wydawaliśmy kolejne numery gazety co dwa dni. Nakład oscylował wokół 20–30 tys. egzemplarzy. Ogromnym problemem było sprawne rozkolportowanie takiej ilości bibuły w czasach, gdy ulice roiły się od patroli. Zdarzały się jednak przypadki, w których część nakładu jakimś trafem „rozkolportowywała się sama”. Jedną z osób zaangażowanych w wydawanie „Z dnia na dzień” była moja córka Ania. Któregoś dnia miała dostarczyć pod jakiś adres dużą paczkę z gazetkami RKS-u. Zapakowała ten ładunek na sanki i zamaskowała w taki sposób, że przypominało to bieliznę przeznaczoną do wymaglowania. Ciągnąc te sanki po śniegu mijając przystanek autobusowy, na którym stała spora grupa ludzi. Tam te sanki ktoś potrącił, a może podskoczyły na jakimś kamieniu, w każdym razie setki gazetek wysypały się wprost pod nogi oczekujących na autobus. Nie zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, gdyż



## Stan wojenny

po sekundzie zaskoczenia ludzie, wszyscy jak jeden mąż, zaczęli błyskawicznie zbierać kartki naszego świeżego wydruku i ukrywać je w torbach, siatkach, kieszeniach. Moment później wszyscy znów stali najzwyczajniej, tak jakby nic się nie stało. Zerkali na zegarki, wypatrywali autobusu.

**Genialna, spontaniczna reakcja i duże szczęście, że nie było w pobliżu żadnego szpicla ani patrolu. A gazetki dotarły pewnie także do tych, do których nie docierały siatka kolportażowa. Podobnych anegdotycznych sytuacji było wtedy zapewne więcej.**

Część niecodziennych wydarzeń wynikała z atmosfery tego czasu. Drukowanie było zagrożone bardzo poważnymi konsekwencjami. Jeden z punktów poligraficznych znajdował się na Oporowie, w domu Andrzeja Zawiszy. Powielanie trwało bez przerwy, dniami i nocami. Kilkoro konspiratorów pracowało na zmiany – część obsługiwała powielacz, inni przygotowywali posiłki, jeszcze inni spali, ktoś brał prysznic, ktoś pakował bibułę w paczki. Było grubo po północy, gdy od strony ulicy dobiegł dźwięk podjeżdżających samochodów i zatraskiwanych drzwi. O tej porze coś takiego prawie na pewno oznaczało pojawienie się bezpieki. Wszyscy rzucili się więc do ucieczki. Przez balkon wyskoczyli do ogrodu i pędzili przed siebie. Niektórzy nie włożyli nawet butów, a Andrzej, który akurat spał, kiedy ktoś mu powiedział do ucha *Wijemy, esbecja!*, pędził przed siebie w samych slipach. Uciekinierzy schronili się w jakiejś altance i zorientowali się, że SB przyjechało nie po nich, lecz do sąsiedniego budynku. Wszystko też wskazywało na to, że funkcjonariusze nie zorientowali się, jaki wywołali popłoch. Ekipa drukarzy ostrożnie wróciła więc i po jakimś czasie praca szła swoim rytmem.

Moja córka Ania, po tej przygodzie z bibułą, która rozsypała jej się z sanek, wolała potem przez jakiś czas nie wychodzić z drukarni. Możliwe przecież było, że ktoś ją rozpozna. Nawet niekoniecznie jakiś kapuś. Wystarczy, że ktoś niedyskretny zauważy, do którego domu wchodzi ta dziewczyna, której się ulotki rozsypały, a potem podzieli się tymi spostrzeżeniami ze swoimi znajomymi. Esbecja bardzo czule nadstawiała uszy na dźwięk takich informacji. Wiedziała, że strzępy różnych ploteczek, rozmaitych towarzyskich rozmów mogą być cennym źródłem informacji. Często SB je sprawdzała, a potem szła po nitce do kłębka. Moja częściowo zdekonspirowana córka zajmowała się więc przepisywaniem matryc (wraz z Heleną Lazarowicz, Krysią Wójcik i Joanną Moszczak) codziennie od grudnia aż do wiosny. Dopiero jakoś na przełomie marca i kwietnia wyszła pierwszy raz na dwór. Oszłomiona świeżym powietrzem powiedziała do kolegi: *Popatrz, drzewa w ogrodach już kwitną!* Na to jej towarzyszył, obawiając się, że taki przejaw zachwyty może ich zdekonspirować, warknął: *Cicho, od dawna już kwitną!*

**Bywało, że drukarze także pracowali non-stop, nie wychodząc z ukrycia przez szereg tygodni.**

Tak było przede wszystkim w pierwszych miesiącach stanu wojennego. Ludzie zaufani, chętni do włączenia się w prace podziemia w większości dopiero szukali ze sobą kontaktu. Część się ukrywała. Brakowało specjalistów od druku. Szybko dokonał się podział na drukarzy, łączników i kolporterów. To było konieczne ze względów bezpieczeństwa. Łączenie tych funkcji zwielaokrotniało ryzyko.

### **Praca podziemnych drukarzy nie była wtedy łatwa...**

Była ciężką harową, odbywającą się zwykle w trudnych warunkach i dużym stresie. Czasem małe mieszkanie wypełniało kilkanaście osób, które równocześnie drukowały, gotowały posiłki, naprawiały sprzęt. Nie zawsze była odpowiednia farba do powielaczy. Gorsze gatunki zaklejały bębny, trzeba było je czyścić różnymi środkami chemicznymi. To z kolei podtruwało zajmujących się nimi ludzi, wzbudzało podejrzenia sąsiadów, do których ten smród dochodził przez wywietrzniki, okna, czasem wypełniał cały, wspólny korytarz. Do tego dochodził hałas pracujących powielaczy albo też dźwięk rozmów, bo mieszkania, szczególnie te w blokach, są przecież bardzo akustyczne. Radzono sobie z tym na różne sposoby. Hałas tłumiono wieszając na ścianach dywany, płyty sturopianu albo opakowania po jajkach. Mieliśmy wyraźne sygnały, że milicja przygląda się oknom, w których nocami pali się światło. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, drukarze dokładnie zaciągali zasłony, robili prawdziwe zaciemnienie. Okna w ogóle często były niebezpieczne. W wielu punktach miasta znajdowały się lokale operacyjne SB. Niektóre były wyposażone w sprzęt optyczny i prowadziły obserwację. Najślynniejsze z takich miejsc znajdowało się na ostatnim piętrze wieżowca „Poltegor”.

**W tamtym czasie w niektórych punktach Wrocławia nagle usychały rzędy drzew, które pracownicy Zieleni Miejskiej zmuszeni byli wycinać, lecz nie pozwalano potem tego drzewostanu uzupełniać...**

Drzewa, krzewy utrudniały esbekom prowadzenie obserwacji miejsc, które ich akurat interesowały, przeszkadzające rośliny były wycinane. Tak zniknęło np. kilka drzew przy ul. Kamiennej, przed domem Hanny Łukowskiej-Karniej. Przed budynkami, w których były lokale operacyjne SB, a także przed domami, w których mieszkali często śledzeni opozycjoniści, było to zjawisko nagminne.

**Twoja podziemna struktura dość szybko zaczęła podsłuchiwać radiowe rozmowy funkcjonariuszy SB.**

Najpierw pojawił się jakiś sprzęt radiowy wycofany z karettek pogotowia. Ktoś to przyniósł chyba z Akademii Medycznej. Tadek Świerczewski miał z tym dużo wspólnego. Nasi ludzie przestroili tę aparaturę na częstotliwości SB i zaczęliśmy mieć coraz lepszą orientację w ich działaniach. Potem używane były przeróżne warianty innych radiostacji. Przerabianych i robionych od podstaw przez sporą grupę elektroników i łącznościowców z Politechniki Wrocławskiej oraz przez Jacka Lipińskiego z Telewizji Wrocław. Technikę radiowego podsłuchiwania bezpieki doskonaliliśmy przez całe lata osiemdziesiąte.

**To chyba dość ekscytujące zajęcie – podsłuchiwanie esbeków?**

Na początku niewątpliwie tak. Potem jednak stało się bardzo żmudnym, czasochłonnym, a przede wszystkim ogromnie odpowiedzialnym rzemiosłem. Ludzie od nasłuchu byli od tego, by ostrzegać śledzonych przez SB. Informacja niedosłyszana albo źle zrozumiana oznaczała, że ktoś ostrzeżony nie będzie. Czyli – może się to dla kogoś skończyć więzieniem. Zaangażowani w nasłuch zdawali sobie sprawę, z czym wiąże się powierzone im zadanie.

## **Regionalny Komitet Strajkowy**

---

### **Grudzień 1981 skończył się dotkliwą porażką Solidarności...**

Pierwsze miesiące po grudniu decydowały o tym, czy twarde zmagania z reżimem zostaną podjęte jeszcze w 1982, czy dopiero za kilka czy nawet kilkanaście lat. Władzom udało się ludzi przerazić. Miliony bały się o swoich bliskich – związanych jeszcze z legalną Solidarnością, uczestniczących w protestach zagrożonych sankcjami prawa wojennego, a także o tych, którzy byli w wojsku. Wielu zadawało sobie pytanie, co będzie, jeśli ich syn czy brat, odbywający właśnie służbę wojskową, odmówi wykonania jakiegoś rozkazu. W końcu stan wojenny, w znacznej mierze, polegał na wysłaniu synów przeciw ojcom. Wiele razy ta nakreślona przez WRON-ę linia frontu rozdzielała rodzeństwa. Doświadczeniem wielu rodzin były sytuacje, w których z jednej strony fabrycznego muru marzył w czołgu chłopak, którego brat w tym samym czasie budował zapory i brał udział w dyskusjach, czy nie powkładać w te barykady butli z acetylenem. Reżimowi udało się wprowadzić taką atmosferę, w której byliśmy o mały krok od strasznych nieszczęść, od masowego rozlewu krwi.

**Służyło temu całe mnóstwo upiornych programów telewizyjnych. A była to tylko część dezinformacji. Żołnierze, biorący udział w tłumieniu strajków, opowiadali o swoistych spektaklach, jakie odbywały się po zdobyciu kopalni czy stoczni. Pokazywano im ładunki wybuchowe, a nawet broń, rzekomo zgromadzoną przez „ekstremę Solidarności”.**

Takimi sposobami uzasadniano stan wojenny i budowano klimat nieomal wojny domowej. Choć wydarzeń prawdziwie tragicznych nie brakowało. Po naszej stronie były ofiary śmiertelne. Władze dały do zrozumienia, że potrafią strzelać do ludzi. Nawet bez rzeczywistej przyczyny, bez zagrożenia milicjantów czy żołnierzy. I bez żadnych sentymentów – dokładnie w rocznicę masakry na Wybrzeżu w 1970 roku.

**Strzelanie do ludzi w rocznicę Grudnia wyglądało na demonstrację cynizmu. Ci sami oprawcy niedawno składali kwiaty pod pomnikami poległych, a potem popełniali dokładnie te same zbrodnie...**

Wiele wskazuje na to, że w kopalni „Wujek” strzelali po to, by pokazać, że potrafią to zrobić, że jeśli dojdą do wniosku, iż powinni zabijać – nie zawahają się. We Wrocławiu z kolei mieliśmy taką sytuację, że tysiące ludzi zobaczyły bezwzględność działań wojska i milicji. Pod „Pafawag” zajeżdżał cały pułk czołgów. 42 tanki T-55 i drugie tyle transporterów opancerzonych, bojowych wozów piechoty, do tego dziesiątki ciężarówek, jakichś cystern, wozów rozpoznawczych itd. A pod murem stał tłum rodzin tych, którzy strajkowali w zabarykadowanych fabrykach. Czołgi ruszyły m.in. przez parking. Rozjechały jakiś samochód, który potem wyglądał jak wielka rozdeptana puszka po konserwie. Drugi ze stojących tam samochodów spotkał los podobny. Kiedy więc czołgi wjechały w fabryczny mur, ludzie spodziewali się najgorszego. Wiedzieli, że może dojść do tragedii. Mieli dowody na to, że siły reżimu nie przejmują się stratami. Podobnie było pod „Polarem” i pod zakładami przy ul. Grabiszyńskiej. Czołgi wjeżdżały do fabryki, a za nimi wbiegały chmary zomowców z tarczami i pałami. Rozpędzano rodziny, które przynosiły posiłki strajkującym. Strach, niepokój o najbliższych – to były przeżycia powszechne, codzienne. Choć trzeba też zauważyć, że jak na tak wielką operację, ofiary śmiertelne nie były, na szczęście, liczne.

#### **No, ale to już nie wynikało z dobroci reżimu.**

Raczej z kalkulacji. Idące w świat informacje o zabitych działały na niekorzyść władz. Śmierć w większej skali mogła działać zastraszająco, ale też wywoływać żądę odwetu, nakręcić spiralę nienawiści. Nietrudno sobie wyobrazić pogrzeby, przekształcające się w kolejne wielkie demonstracje. Sposób tłumienia strajków i demonstra-



Demonstracja siły



Znak oporu

cji pozwala przypuszczać, że pomysł na to był taki, by absolutnie nie oszczędzać ani pałek, ani środków chemicznych. W żaden sposób nie ograniczano bicia ludzi i używania gazów łzawiących. Bogu dzięki, unikano zabijania.

**ZOMO działało tak, jakby od swoich mocodawców otrzymało bardzo czytelną instrukcję – miało bez żadnych ograniczeń bić, ale w miarę możliwości – nie zabijać. Powinno być wreszcie jednoznacznie wyjaśnione, czy rzeczywiście mieliśmy wtedy do czynienia z „dozowaniem śmierci”, czyli takim przypominaniem „uwaga: potrafimy zabijać”. Sposób zabijania w kopalni „Wujek” i w Lubinie uzasadnia takie podejrzania.**

Bez wątplenia. Większość śmiertelnych ofiar stanu wojennego to ludzie, którzy zginęli bez większego rozgłosu: zmarli w wyniku obrażeń doznanych w czasie rozruchów lub zamordowani przez „nieznanych sprawców”. Do tej liczby należałoby dodać tych, którzy zmarli z powodu niemożności wezwania pomocy. Po wyłączeniu telefonów nie można było przecież zadzwonić po pogotowie.

**31 sierpnia 1982 roku we Wrocławiu ZOMO strzelało granatami z gazem łzawiącym do pielęgniarek, wyglądających przez okna szpitalnego oddziału z noworodkami. Były w stanie wojennym przypadki śmierci w wyniku zatrucia gazami używanymi przez milicję. Sporo jednak wskazuje na to, że architekci wojny polsko-jaruzelskiej liczyli się ze znacznie większą**

liczbą ofiar. Pod koniec 1981 roku, jak Polska długa i szeroka, przygotowano wolne miejsca w szpitalach. Masowo wypisywano z nich ludzi ledwie podleczonej. Skracano też pobyty w sanatoriach, najwyraźniej spodziewając się potrzeby przystosowania tych placówek do roli lazaretów czy innych miejsc leczenia rannych.

Zapewne liczone się z różnym biegiem wydarzeń. Spodziewano się chyba oporu bardziej powszechnego i stanowczego, lecz zarazem nie tak długotrwałego. Pierwszy miesiąc stanu wojennego nie przyniósł aż tak wielu ofiar śmiertelnych i ciężko rannych. W skali masowej represje polegały na uwięzieniach, pobiciach, a także bardzo licznych zwolnieniach z pracy. Niektóre zakłady formalnie rozwiązywano, zwalniając wszystkich. Następnie nabór przeprowadzano od początku i już nie wszystkich do pracy przyjmowano.

**Od początku stanu wojennego byłem zwolennikiem zorganizowania ogólnopolskiego kierownictwa podziemnej Solidarności.**

Jeśli „Solidarność” chciała swojego istnienia, musiała zorganizować jednolite ciało przywódcze. W przeciwnym razie nie można było liczyć na jakiegokolwiek skoordynowane działania, a więc i na sukces w zmaganiach z reżimem. Ogólnie rzecz biorąc, Władysław Frasyniuk się z tym zgadzał. Nie miał jednak jeszcze wtedy łączności np. ze Zbigniewem Bujakiem. Z ukrywającym się przywódcą mazowieckiej Solidarności nawiązaliśmy kontakt drogą podobną do tej, jaka wcześniej służyła nam do wymiany z Warszawą bezdebitowej literatury. Okazało się, że Bujak nie chce ogólnopolskiej struktury związkowej. Uważał, że jest ona zbędna i pomnaża ryzyko. Czyli o co chodziło? O to, by walczyć o prawo do istnienia Solidarności, czy o to, by jedynie uniknąć aresztowania? Uważałem to za absurd. Wszystkimi możliwymi kanałami informacyjnymi przekazywałem apele o to, by jak najszybciej powstało podziemne kierownictwo całej Solidarności. Jeśli nawet nie odegrałoby ono rzeczywistej, przywódczej i koordynacyjnej roli, mogło w tym szczególnym momencie pełnić funkcję podobną do Rządu Narodowego z czasów powstania 1863–64 roku. W tamtych miesiącach mógłby on potężnie oddziaływać, jego siła moralna byłaby naprawdę niebagatelna. Zamiast tego powstało takie efemeryczne ciało, pod nazwą Ogólnopolski Komitet Oporu. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna, czyli rzeczywiste przywództwo związku, zawiązała się dopiero w kwietniu. Wtedy, kiedy nastroje już opadały, zaczął zwyciężać marazm, brak wiary, a nawet pogodzenie z przegraną. W tym momencie TKK mogła już tylko skupiać się na tym, by związek przetrwał w podziemiu.

**Dolnośląski Regionalny Komitet Strajkowy wyróżniał się finansową zasobnością.**

Krótko przed wprowadzeniem stanu wojennego szefom dolnośląskiej Solidarności udało się wypłacić prawie wszystkie pieniądze, znajdujące się na koncie Zarządu Regionu. Było tego 80 milionów. Ogromnie dużo! Dobrze wydatkowanie tych środków mogło przynieść znaczące sukcesy w stawianiu oporu. Tymczasem sposób korzystania z tych pieniędzy był dla mnie niezrozumiały. W zasadzie to nie wiem, jak one były wykorzystywane. Wiem, na co te pieniądze nie poszły. Uważałem, że powinny trafiać w pierwszej kolejności do rodzin ofiar represji. Mielśmy możliwość stworzenia takiej sytuacji, że każdy uwięziony, wyrzucony z pracy dostawałby po-

moc. Jeśli dla wszystkich stałoby się jasne, że istnieje tego rodzaju wspomaganie, potencjał oporu bardzo znacznie by wzrósł. Nasza struktura poligraficzna borykała się z wieloma problemami, które zastryk finansowy by rozwiązał. A pomoc nieco większa pomnożyłaby nakład naszych druków. O ile dobrze pamiętam, na całą poligrafię do końca maja 1982 przekazano ok. 150 tys. złotych. Zważywszy, że w tym czasie wydaliśmy około pięćdziesięciu numerów „Z dnia na dzień”, każdy w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, była to kwota symboliczna. A nie drukowaliśmy tylko tej jednej gazety. Rozmowy o pieniądzach były wtedy dość przykre. Drukarzami byli często ludzie niezajmujący się wówczas niczym innym. W przeciwnym razie nie wydrukowalibyśmy takich ilości tej bibuły. Używali prywatnych maszyn do pisania, pracowali przy świetle opłacanym z własnej kieszeni. Mieli rodziny, a często nie mieli żadnych dochodów. Bywało, że brakowało na kanapki dla tych ludzi, ślęczących przy powielaczach całymi tygodniami jedynie z krótkimi przerwami na sen. W sumie stanowiło to jedno z zarzewi konfliktu w łonie RKS.

### **Szefem Regionalnego Komitetu Strajkowego był Władysław Frasyniuk. Ukrywał się w innym miejscu. Jak się kontaktowaliście?**

Przede wszystkim przez łączników. Jednymi z najważniejszych byli Maria Koziebrodzka i Rafał Dutkiewicz. Pierwszy raz spotkaliśmy się z Władkiem chyba w styczniu na Sztabowej. Miałem tam dwa mieszkania do dyspozycji. W jednym spałem, drugie służyło do spotkań.

### **Czy to była wyjątkowa sytuacja z tymi dwoma mieszkaniami?**

Zasada, by nie spotykać się w miejscu swojego zamieszkania, okazała się jedną z podstaw długotrwałego ukrywania się. Zawsze staraliśmy się tak zorganizować moje funkcjonowanie, by mieć do dyspozycji parę lokali. Ten pierwszy mógł być zwykłym, malutkim mieszkankiem, w którym, czasem w ciasnocie, żyła sobie jakaś sympatyzująca z nami rodzina. Wystarczał skromny kątek do spania. W pierwszych miesiącach konspiracji miejsca, w których zamieszkiwałem lub spotykałem się z ludźmi, były dla zaufanych może za łatwo dostępne. To stresowało gospodarzy. Staraliśmy się nie nadużywać gościnności pomagających nam ludzi. Zwykle więc po kilku tygodniach przenosiłem się do innych miejsc.

### **Jak się układała współpraca z Władysławem Frasyniukiem?**

W pierwszych tygodniach stanu wojennego Władek stał się na Dolnym Śląsku wielką legendą. Duże wrażenie zrobiło to, że mimo zdobycia strajkujących zakładów przez pułki czołgów i oddziały ZOMO, przewodniczący regionu Solidarności nie został zatrzymany. A powszechnie mówiło się, że był obecny w tych strajkujących fabrykach i to nawet jeszcze wtedy, kiedy czołgi kruszyły mury i wjeżdżały na teren protestujących zakładów. Frasyniuk stał się więc symbolem, mitem, wielkim autorytetem. Krażyły też opowieści o tym, jak uniknął aresztowania 13 grudnia. Rzeczywiście wracał wtedy z Gdańska, o wprowadzeniu stanu wojennego powiadomili go kolejarzy. Pociąg stanął przed wjazdem do Wrocławia, w okolicach stacji Osobowice. Dzięki temu mógł z pociągu wysiąść i bezpieka, czekająca na dworcu głównym, nie mogła go zatrzymać. W wyniku tych grudniowych wydarzeń cieszył się wielką sympatią, mógł liczyć na duży posłuch. Wiadomo przecież jednak, że zdobyty

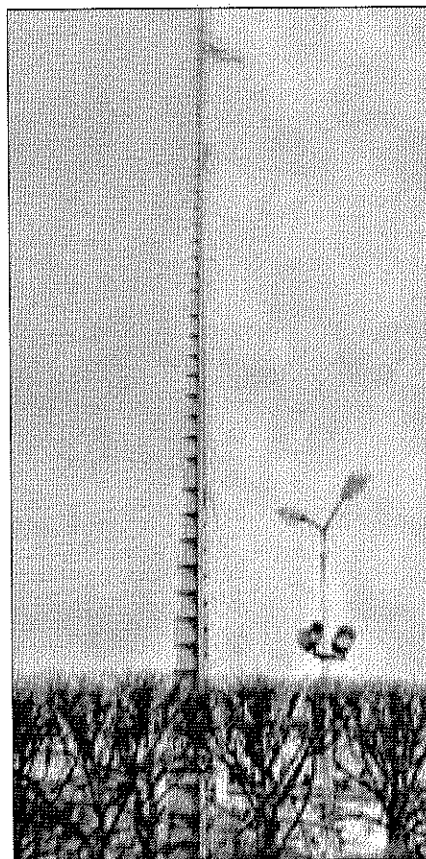
w podobny sposób autorytet jest potencjałem tego rodzaju, który ma tendencję do szybkiego topnienia. Byłem zdania, że ten potencjał warto wykorzystać, póki istnieje. Najbardziej sensownym działaniem byłoby wtedy jak najszybsze stworzenie ogólnopolskiego, podziemnego kierownictwa Solidarności i, wykorzystując autorytet takich ludzi, jak Frasnyniuk, poderwanie narodu do strajku generalnego wiosną 1982 roku. Wtedy nie działałby już tak skutecznie efekt szoku, który zwierał szeregi aparatu przemocy i dziesiątkował siły naszego oporu. Można było liczyć na to, że kadry reżimu nie byłyby już tak zdyscyplinowane i jednolite, jego działania nie robiłyby też już tak paraliżującego wrażenia. Naszego ewentualnego wiosennego zrywu władze bardzo się obawiały. To była szansa, której Solidarność nie wykorzystała. Moim zdaniem działania takie, jak piętnastominutowe strajki, czy inne akcje *stricte* symboliczne, były „rozmięciem się na drobne”. Nie mógł z nich wynikać żaden przełom. Może grały jakąś rolę konsolidacji społeczeństwa i nękania reżimu, ale nie większą.

#### **Była szansa na sukces Solidarności w 1982 roku?**

Jeśli wykluczyć możliwość sowieckiej interwencji wojskowej, to przełom był wtedy możliwy. W przypadku strajku generalnego o skali podobnej do tego z sierpnia roku 1980 – władzom trudno byłoby powtórzyć akcję pacyfikacyjną z pierwszych tygodni stanu wojennego. Być może doszłoby do kompromisu opartego na zasadach zbliżonych do Tez Prymasowskich, ogłoszonych właśnie wiosną 1982 roku. W tamtym momencie dla strony solidarnościowej były one do przyjęcia. Reżim Jaruzelskiego pojednawcze propozycje Episkopatu wtedy jednak niemal otwarcie wyśmiał. Komuniści zaczęli się czuć panami sytuacji. W przypadku silniejszego oporu społecznego władze musiałyby propozycje Kościoła w jakimś stopniu wziąć pod uwagę.

#### **A czy ewentualność interwencji wojsk sowieckich i innych armii Układu Warszawskiego należałoby wtedy wykluczyć?**

Nie mamy takiej pewności. Być może, zagrożenie takie istniało, choć raczej w małym stopniu. Jeśli nie doszło do interwencji przez szesnaście miesięcy legalnego działania Solidarności, to jest to dowód na to, że w Moskwie kroku tego bardzo się obawiano. Cały szereg czynników na to wpływał. Spacyfikowanie Polski byłoby trudniejsze, niż opanowanie Węgier czy Czechosłowacji. Jesteśmy jednak większym krajem i z nieco inną tradycją historyczną. Wcale nie od rzeczy wydaje mi się argument



Mimo dużego ryzyka w czasie stanu wojennego flagę Solidarności kilkakrotnie wieszano na wrocławskiej Iglicy.



Powstania Warszawskiego. W 1956 roku do interwencji w Polsce nie doszło, być może, także dlatego, że na Kremlu pamiętali, iż jesteśmy zdolni do nadzwyczajnej mobilizacji i ofiary. W 1944 r. potrafiliśmy bardzo wiele poświęcić i walczyć 63 dni niemal gołymi rękami. Te rozważania są, oczywiście, bardzo teoretyczne, ale tego rodzaju kalkulacja mogła być brana pod uwagę na początku lat osiemdziesiątych. Czasy też już były nieco inne. Związek Sowiecki miał coraz więcej własnych kłopotów wewnętrznych, a sprzeciw Zachodu byłby bardziej stanowczy niż w 1956 czy 1968. Już prezydent Jimmy Carter potrafił kierować pod adresem Moskwy ostre ostrzeżenia, a Ronald Reagan był w tym względzie jeszcze bardziej twardy. Związek Sowiecki miał też dość kłopotów z Afganistanem. Bez wątpienia Kreml był zaskoczony skalą kłopotów, jakie przyniosła mu ta awantura. Być może, to nawet Afganistan nas uratował przed interwencją, tak jak nasze Powstanie Listopadowe uratowało Belgów w 1830? Absolutnej pewności mieć tu nie możemy, ale niemal wszystko wskazuje na to, że po groźbie interwencji w grudniu 1980 – potem zagrożenie było wyraźnie mniejsze.

Może warto też zauważyć, że długo przed Gorbaczowem pojawiły się takie decyzje, które wskazywałyby na to, że Moskwa w jakiś sposób liczy się z ewentualnością utraty wpływów w Polsce. Sowietolodzy zwrócili uwagę np. na plany nowych rurociągów, które biec miały przez Czechosłowację, a nie Polskę. Tym samym byłyby dłuższe i droższe, a jednak na taką ich trasę się decydowano. Chyba więc stanowisko Związku Sowieckiego było takie, że Polskę trzeba w składzie imperium utrzymać nawet za cenę bardzo wysoką, ale nie za cenę wojskowej interwencji. Jeśli nie dałby rady Jaruzelski, z uniezależnieniem się naszego kraju musieliby się pogodzić. Przeciw naszej niepodległości zrobiliby wszystko, ale nie wysłaliby swojej armii.

Prawie na pewno tak by było. Ale czy w stu procentach na pewno – tego mogliśmy się dowiedzieć tylko w oparciu o źródła, do których raczej długo nie będziemy mieli dostępu.

Przejdźmy więc od geopolityki do sytuacji w regionie na początku 1982 roku. Władysław Frasyniuk rzeczywiście cieszył się wtedy powszechnym podziwem. Uważano go za bohatera. Po wprowadzeniu stanu wojennego jego nazwisko często było hasłem malowanym na murach, skandowano je na demonstracjach. Aresztowanie przewodniczącego dolnośląskiej Solidarności spowodowałoby powszechny wstrząs i pogorszenie nastrojów.

Fakt, że Władkowi Frasyniukowi udało się uniknąć internowania, oceniałem jako ogromnie korzystny. W wyniku skutecznego ukrywania się rosła jego legenda i było to dla Solidarności bardzo cenne. Uważałem, że w związku z tym powinien ograniczyć swoją podziemną działalność do spraw najważniejszych. Zmniejszyć do niezbędnego minimum ilość utrzymywanych kontaktów, decyzje w drugorzędnych sprawach scedować na zastępców. Byłem zdania, że Frasyniuk powinien się przede wszystkim dobrze ukryć. Najważniejsze znaczenie miało to, że nie siedzi w więzieniu i jest dla bezpieczeństwa nieuchwytny. Fakt jego ukrywania się budował jego autorytet i legendę, podtrzymywał nadzieję, wzmacniał wolę trwania w oporze. Powtarzałem mu to przy każdym spotkaniu.

**Dobrze pamiętam ten czas. Bez wątpienia to, że Frasyniuk ukrywał się, miało dla społecznych nastrojów bardzo duże znaczenie. Mniej istotne było to, czy wydawał jakieś oświadczenie, czy nie. Ważne było właśnie to, że nie jest w rękach SB. Jak przewodniczący dolnośląskiej Solidarności reagował na propozycje zadbania przede wszystkim o dobre ukrywanie się?**

Takie sugestie zawsze brał za dążenie do odsunięcia go od wpływów w Regionalnym Komitecie Strajkowym. Powiedział nawet otwarcie, że obawia się, iż za podobnymi propozycjami kryje się chęć odebrania mu władzy. Pytałem: *Władek, jakiej władzy?* On był wtedy pierwszym nazwiskiem podziemia w naszym regionie. Jednym z dwóch, trzech najgłośniejszych w Polsce. Wszystko, co robiliśmy, tę jego pozycję wyłącznie umacniało, budowało. Jeśli chodziło o oświadczenia czy wszelkiego rodzaju wypowiedzi podpisywane nazwiskiem, to „zejście w głąb” podziemia w najmniejszym stopniu z tym nie kolidowało. Uważałem, że Władek powinien kontaktować się ze związkowymi strukturami przede wszystkim przez łączników, których wcześniej można by sprawdzać – upewniać się, czy nie ciągną za sobą „ogonów”. Powinien też jak najmniej wychodzić z domu. Kierowanie się kilkoma żelaznymi zasadami mogło znacząco zwiększyć jego bezpieczeństwo. Zupełnie niezrozumiałe było dla mnie posadzenie o jakąś chęć jego odsunięcia. Jak on sobie coś takiego w ogóle wyobrażał? Że w pewnym momencie jego nazwisko mogłoby zostać zastąpione innym? Nawet, gdyby ktoś miał taki absurdalny zamiar, był on całkowicie niewykonalny. Wyeliminować go mogła tylko SB. Im dłużej udawało mu się ukrywać, tym lepiej. Wiadomo było, że bezpieka poszukuje Frasyniuka, nie szczędząc na to sił i środków. Jego zatrzymanie byłoby wielkim sukcesem reżimu. No i wkrótce sukces ten esbecja miała...

**Powiedziałeś, że Władysław Frasyniuk był wtedy pierwszym nazwiskiem podziemia na Dolnym Śląsku...**

Tak było.

Zacytuję więc fragment dokumentu, którego chyba jeszcze nie znasz. Ponad trzy miesiące przed zatrzymaniem Władysława Frasyniuka, 4 lipca 1982 roku Komenda Wojewódzka Służby Bezpieczeństwa we Wrocławiu sporządziła tajny raport pt. *Aktualne zagadnienia walki z podziemiem pro-solidarnościowym i opozycją polityczną*. Znamienne jest tam zdanie: *Uzasadnione naszą oceną sytuacji jest skoncentrowanie sił i środków na ujawnieniu i zatrzymaniu dr K. Morawieckiego – figuranta Wydz. III, który posiada niewątpliwie aktualnie największe możliwości aktywizacji wrogiego podziemia*. SB uważała więc, że jesteś większym zagrożeniem dla reżimu, niż przewodniczący dolnośląskiej Solidarności. Oceniała też, że masz większe możliwości działania.

Kolejny raz widzę, jak ciekawe materiały można znaleźć w IPN. A o Władku Frasyniuku co SB pisała w tym dokumencie?

Relacjonowała pracę operacyjną, która polegała na inwigilacji rodziny i znajomych. Ciekawy też jest fragment o „podchodach” pod innych członków RKS-u: *Agentura opracowywana pod P. Bednarzem (TW „Olga”) i J. Piniorem (TW „Krzyżanowski”) posiada ograniczone możliwości*. Autorzy

raportu piszą też o śledzeniu i przesłuchiwanie ludzi, którzy mieli z tobą kontakt przed wprowadzeniem stanu wojennego. Może jeszcze jeden fragment: *W działaniach operacyjnych systematycznie dąży się do wchodzenia źródeł w nielegalne struktury (12 jednostek TW posiada wypracowane możliwości).*

W jakimś stopniu może to być zgodne z rzeczywistością. Wiadomo, że SB bardzo usilnie dążyła do zainstalowania agentury w podziemnych strukturach. Miała świadomość ich rozmiarów i możliwości, wiedziała, z jakimi kręgami to kojarzyć. Mówiąc o Frasyniuku, jako „postaci numer jeden” w ówczesnej dolnośląskiej Solidarności, miałem też na myśli nośność jego nazwiska. Było wielkim, cennym dla nas symbolem. Trzeba to przyznać, obojętnie co się myśli o tym, co było później.

### Dlaczego, twoim zdaniem, Frasyniuk dostał się w łapy SB?

Utrzymywanie zbyt wielu bezpośrednich kontaktów umożliwiło zainstalowanie przez bezpiekę swojej wtyczki w bezpośrednim otoczeniu przewodniczącego RKS

Kurteczko!  
19. I. 1981

- 1) Z „buntownikami” i grupą „Frajzler” będzie 6. ostrożny i nie spieszyć się to zupełnie inni ludzie z uchem ze SB ma nie posiadać naszej wybranej przeszłości, kontaktów i możliwości w tym świecie. Proszę, uważać!!!
- 2) Pochowajmy: Na drodze przygotowania potrzebujemy SB ma nas (obrotowa, składowa) jeliś wielka obława lub łapanki - nie spacić w domu (konieczna) potrzebni wyjątkiem krytycznym choć 2 tamże przez resor.
- 3) Czyż można lepiej przemyśleć i reprezentatywny dla subtelności (jakiegoś w takim przypadku) - Jakiś o spóźnieniu się i tymi kontaktami. Do Turyj w domu... (nie wiem to będzie już...)

Fragment podziemnego listu Kornela Morawieckiego do Tadeusza Świerczewskiego. Przenoszenie takiej poczty było jedynym z podstawowych zadań łączniczek.

Dolny Śląsk. To aresztowanie było fatalnym wydarzeniem dla całej Solidarności. Bardzo podkopało nastroje.

**Aresztowanie Frasyniuka otworzyło całą serię zatrzymań liderów dolnośląskiej Solidarności. Na łamach prasy podziemnej i w dyskusjach na antenie Radia Wolna Europa padały stwierdzenia, że RKS był wtedy już w dużym stopniu rozpracowany...**

Z tego, czego dzisiaj zaczynamy się dowiadywać z archiwów IPN, wynika, że o zadencjonowanie Frasyniuka można oskarżyć jedną konkretną osobę. Do SB docierały bardzo precyzyjne meldunki. Wszystko wskazuje na to, że wkrótce sprawa ta zostanie całkowicie wyjaśniona. Krótco po Władku bezpieczeństwa zatrzymała jego następcę, Piotra Bednarza, a kilka miesięcy później kolejnego – Józefa Pinióra. Przypomnijmy, że ta fatalna passa zaczęła się jakieś cztery miesiące po tym, jak odszedłem z RKS-u i wraz z dużą grupą osób o podobnych poglądach zacząłem budować nową organizację. Aresztowania kolejnych szefów Regionalnego Komitetu Strajkowego bardzo przeżywaliśmy. Po zatrzymaniu Piotra Bednarza, oczywiście, zachowując niezbędną ostrożność, nawiązaliśmy bliższy kontakt z Józkiem Piniorem. Celem planowanej, zacieśnionej współpracy miało być, między innymi, zwiększenie bezpieczeństwa konspiracyjnej działalności. Zastanawialiśmy się nad wydawaniem wspólnego pisma Solidarności Walczącej i RKS-u. W zasadzie dogadane już było drukowanie przez nas w dużym nakładzie gazetki „Z dnia na dzień”. Niestety, nim doszło do konkretów, SB aresztowała Pinióra. Wtedy sytuacja RKS-u wyglądała już na bardzo złą.

**Po aresztowaniu Pinióra jego następcą nie zdecydował się na podanie swojego nazwiska. Podpisywał się pseudonimem „Witold”. Dość powszechnie zostało to odebrane jako sposób na to, by kolejny przewodzący RKS-owi mógł okazać się „nieuchwytnym”. Bez względu na to, czy SB aresztowałyby Eugeniusza Szumiejkę, Marka Muszyńskiego, czy jeszcze kogoś innego, ktoś pozostający na wolności mógł podpisywać się jako ten sam „Witold”...**

Być może, chodziło także o to. Jeśli jednak dobrze pamiętam, to w połowie 1983 roku sytuacja w Regionalnym Komitecie Strajkowym została jako tako opanowana. Zerwano sporo kontaktów, często było to takie „dmuchanie na zimne”. Siłą rzeczy zaczęła panować znacznie większa ostrożność. Niestety, wraz z wcześniejszymi, fatalnymi zdarzeniami złożyło się to na ograniczenie rozmiarów działalności, prowadzonej przez RKS. Najważniejsze jednak, że przyjaciołom z dolnośląskiej Solidarności udało się wtedy swoją sytuację jakoś ustabilizować. To było dla nas bardzo istotne.

**Regionalny Komitet Strajkowy jednoznacznie postrzegałeś jako swoich przyjaciół? Nawet po tym konflikcie, który doprowadził do twojego odejścia z RKS-u?**

Zawsze uważałem RKS za przyjaciół. Absolutnie nigdy nie było inaczej. Mieliśmy rozbieżne poglądy, spieraliśmy się, czasem wręcz musieliśmy pójść nieco odmiennymi drogami. Nigdy jednak nie przypominało to jakiegokolwiek nielejalności, czy niezdrowej rywalizacji. Owszem, była naturalna konkurencja między SW a RKS o szeroko pojęte „zasoby” podziemia, o społeczną atrakcyjność. Myślę, że ta konkurencja była pożyteczna dla obu struktur. Wówczas nie ulegało dla mnie żadnej wą-

## Regionalny Komitet Strajkowy

pliwości, że przyjaciółom z RKS-u jesteśmy zobowiązani pomagać w każdy, dostępny nam sposób.

**Mówiłeś, że jednym z błędów Władysława Frasyniuka było kontaktowanie się ze zbyt dużą ilością ludzi. Sam jednak przecież spotykałeś się w podziemiu z bardzo wieloma konspiratorami. Szacowałeś, że liczba ludzi podziemia, z którymi bezpośrednio się zetknąłeś, wynosi około tysiąca.**



Władysław Frasyniuk podczas procesu rozmawia ze swoimi obrońcami.

Nie każdą z tych osób poznałem w okresie ukrywania się. Trzeba też wziąć pod uwagę, w jak długim okresie do wszystkich tych spotkań doszło. Doszło do nich w czasie konspiracji trwającej od 13 grudnia przez całe lata osiemdziesiąte – wyjąwszy miesiące po aresztowaniu i deportacji. Moje kontakty z różnymi ludźmi podziemia rozmaicie wyglądały w różnych latach. Po pierwszych tygodniach stanu wojennego, w czasie których dopiero opanowywaliśmy chaos, i w wymuszonym okolicznościami zamieszaniu budowaliśmy zręby podziemnych struktur – zaczęliśmy wprowadzać żelazne reguły. Niezbywalne zasady, mające na celu zwiększenie wspólnego bezpieczeństwa. Pierwsze miesiące 1982 roku upłynęły pod znakiem ograniczania bezpośrednich kontaktów. Odbywały się głównie za pomocą łączników. A raczej łączniczek, gdyż w większości były to kobiety. Potem to się zmieniało, w miarę, jak coraz doskonalszy był nasz podsłuch częstotliwości SB. Dzięki niemu z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa mogliśmy ustalić, czy dane miejsce jest obserwowane, czy człowiek, z którym mamy się spotkać, nie jest śledzony.

### **Kiedy spotykałeś najwięcej ludzi podziemia?**

Najpierw w pierwszych tygodniach stanu wojennego, a potem chyba w połowie lat osiemdziesiątych. To był czas wielkiego zmęczenia konspiratorów. Do pewnego stopnia – niemal erozji struktur. Moi współpracownicy proponowali mi spotkanie się z naszymi ludźmi. Przekonywali mnie, że to będzie odbudowywać nadzieję, zachęci do wytrwania. Nie do końca wierzyłem w mobilizującą rolę takich spotkań, ale często dawałem się do nich przekonać. Jeśli pamiętasz nasze pierwsze spotkanie w podziemiu, to lepiej potrafisz ocenić, czy zdarzenie takie mogło przynieść jakies pokrzepienie.

**Oczywiście, że pamiętam. I pamiętam główny mój wniosek, który bardzo mocno we mnie wtedy zapulsował. Uznałem, że skoro Morawiecki jest w stanie wiele lat ze swojego życiorysu bez reszty poświęcić dla sprawy, to ja powinienem dla niej nadal przeznaczać choć jakąś część. Nie ukrywałem się, miałem poza konspiracją normalne życie. Po prostu luksus, w porównaniu z twoim ówczesnym położeniem.**

No to może też pamiętasz reguły, wiążące się z ówczesnymi spotkaniami?

Miało się odbyć jedno z cyklicznych zebrań. Tym razem w jakimś zupełnie nowym miejscu. Nikt ze schodzących się nie wiedział, że na koniec pojawi się także przewodniczący organizacji. Zanim jednak przyszedłeś, zjawił się Zbyszek Jagiełło, znany nam wtedy jako Bogdan Zaremba. Chyba tylko pod takim imieniem i nazwiskiem kojarzyli go ludzie z podziemia. Wiadomo było, że za jego pośrednictwem można było skontaktować się z przywództwem Solidarności Walczącej, ale przynajmniej ja nie miałem pojęcia, ile „ogniw pośrednich” dzieli go od ciebie. Przyszedł wtedy tylko na chwilę. Chyba pytał, czy wszystko w porządku, czy nikt nie zauważył ostatnio wokół siebie czegoś podejrzanego. Spytał też, czy wszyscy mają przynajmniej dwie godziny i dowiedziałwszy się, że tak, poprosił, by poczekać na jego powrót bez wychodzenia na zewnątrz. Jakaś godzinę później wrócił w twoim towarzystwie. Jak wchodziłeś, miałeś w uchu słuchawkę od skanera. Potem znalazł się on na stole. Z jego głośnika co jakiś czas słychać było rozmowy ludzi z SB. Nie dotyczyły okolicy, w której się znajdowaliśmy.

Mniej więcej tak się to odbywało. Ludzie, z którymi miałem się spotkać, najczęściej nie wiedzieli, że się pojawię. Wcześniej staraliśmy się sprawdzić, czy SB nie prowadzi w okolicy jakiejś obserwacji, kogoś nie śledzi. Przede mną sytuację na miejscu sprawdzał mój wysłannik. Z reguły na zebranie przychodziłem ostatni, a wychodziłem pierwszy. W tamtym okresie Zbyszek dźwigał dużą część pracy organizacyjnej. Był znakomity w swojej roli i do końca pozostał dla Służby Bezpieczeństwa całkowicie nieznany.

**Według opinii Andrzeja Zaracha sukces twojego długotrwałego ukrywania się wynikał w sporej mierze z tego, że często nie byłeś punktualny, a nawet nie pojawiałeś się tam, gdzie miałeś być.**

Andrzej, jak zwykle, ma dużo racji. Nie będę się upierał, że to moje nieuporządkowanie było celowym działaniem, mającym utrudnić pracę bezpiece. Na pewno nie. Głównie wynikało z jakichś moich niedostatków. Miałem jednak zawsze świadomość, że tak oczywiście potrzebny perfekcjonizm w konspiracji może mieć także negatywne skutki. Idealny porządek, żelazna dyscyplina i punktualność były podstawami potęgi Armii Krajowej. Jednak od kiedy AK zaczęła być rozpracowywana przez NKWD i UB, konsekwentna logika, na jakiej opierała się konstrukcja organizacji, ułatwiała rozpoznanie kształtu tajnej struktury. Między innymi dlatego za wariant lepszy uważałem taką strukturę w mniejszym stopniu przewidywalną. Analogicznie – jeśli schemat twojego kalendarza i planu dnia zostanie rozpoznany przez SB – to będzie ona miała możliwość przewidywania twoich kolejnych kroków. Wtedy paradoksalnie twoja punktualność może działać na niekorzyść. Nie chciałbym jednak, żeby to zabrzmiało, jak dorabianie ideologii do moich wad. Należałoby jednak przyjąć, że przynosiły one nie tylko negatywne skutki.

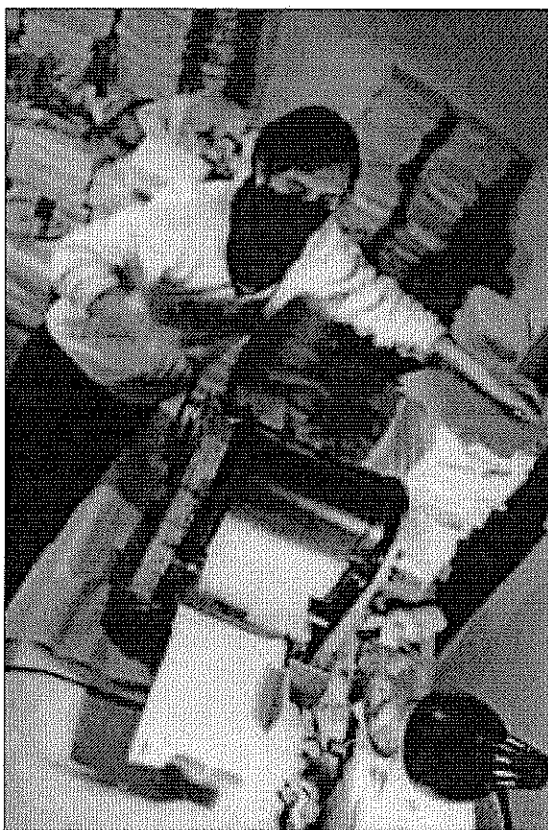
**Może to było tak, że twoje usposobienie czy niektóre cechy charakteru tak nieco paradoksalnie okazywały się korzystne w budowaniu struktury odpornej na działania SB? Maciek Dziubański, działacz Solidarności Wal-**

czącej, który wcześniej był twoim studentem, opowiadał mi historię o tym, jak zgubiłeś jego indeks. Według tej relacji, miałeś się najpierw głośno zastanawiać, czy rzeczywiście znajdowałeś się w posiadaniu indeksu, do którego wpisane miało być zaliczenie. Pierwsze „kroki poszukiwawcze” skierowałeś ku jakimś zakamarkom w regale z książkami. W związku z tym, że tam indeksu nie było, wyszedłeś z gabinetu i Maciek po chwili mógł przez okno obserwować twoje dalsze poszukiwania. Zaglądałeś pod fotel swojego samochodu marki syrena. Poszukiwania szybko zostały uwieńczone sukcesem po podniesieniu klapy bagażnika. Czyli: porządki może dość nietypowe, ale cechujące się logiką, w której szybko potrafiłeś się odnaleźć.

Na szczęście moich współpracowników podobne zdarzenia nie zrażały.

Chyba nie były dla nich zbyt uciążliwe. Może wręcz uważali, że mogły przynosić czasem pozytywne skutki? Według Bolka Siedleckiego z Gdańska, kontaktowanie się z Andrzejem Kołodziejem też nie zawsze było proste i przewidywalne. Twój następca wielokrotnie nie zjawiał się na umówione konspiracyjne spotkania. Współpracownicy wiedzieli, że musiało to wynikać np. z tego, że nasłuch częstotliwości wykorzystywanych przez SB

wzbudził w nim jakieś obawy. Na taką okoliczność konspiratorzy z Trójmiasta mieli przygotowany czasem cały szereg umówionych kolejnych terminów i miejsc spotkań. A wracając do półrocznej twojej działalności w dolnośląskim Regionalnym Komitecie Strajkowym – za najważniejsze dla siebie zadanie uważałeś druk?



Jedna z podziemnych drukarni

Jeśli miało dojść do strajku generalnego, konieczny byłby dobry przepływ wiadomości o wydarzeniach. Stąd od początku postawiliśmy na rozbudowę sieci kolportażowej i zorganizowanie całego systemu drukarni. Szkoliliśmy wielu drukarzy po to, by mogli zastąpić tych, którzy znajdą się w więzieniach. Na początku 1982 roku zaczęliśmy budować coś w rodzaju „drugiej linii” – rezerwową strukturę, składającą się z m.in. z poligrafii. Także do prac nad radiem przystąpiliśmy już na samym początku stanu wojennego. Mogło ono odegrać nieocenioną rolę w przypadku dużej akcji protestacyjnej, którą trzeba byłoby wspierać akcją informacyjną.

### **Druk niejako „budował struktury”.**

Drukowanie i rozprowadzanie niezależnej prasy jest formą działalności, która przynosi wielorakie skutki. Poza łamaniem monopolu informacyjnego siłą rzeczy buduje niezależne życie społeczne. Powstają punkty poligraficzne, sieci kolportażowe, redakcje. Drukarze, którzy mają już trochę doświadczenia, szkolą kolejnych. Ludzie czytają bibułę, dyskutują o jej artykułach, piszą swoje. Kolporterzy starają się dotrzeć do nowych środowisk. Czyli cały konglomerat zjawisk składających się na społeczeństwo w jakimś stopniu niezależne od reżimu, potrafiące stawiać mu opór. No i w jakimś stopniu przygotowane do wolnościowego zrywu. Już na samym początku stanu wojennego wspieraliśmy powstawanie gazetek zakładowych. One były żywym dowodem tego, że Solidarność żyje i prowadzi konkretną działalność. Na łamach tych wydawnictw pisano o faktach z życia tych społeczności. Z imienia i nazwiska wymieniano odpowiedzialnych za represje, organizowano akcje protestacyjne. Po jakimś czasie każdy większy zakład we Wrocławiu miał podziemną komórkę związkową, wydającą swoją prasę. Solidarność z mniejszych fabryk łączyła się w zespoły, wydające biuletyn wspólny dla kilku zakładów. Spora część tej prasy miała swój początek w pierwszych miesiącach działalności Regionalnego Komitetu Strajkowego.



## **Cel – obalić komunizm**

---

**Na przełomie maja i czerwca 1982 roku można już mówić o nowej organizacji antykomunistycznej, wywodzącej się z Solidarności.**

Nazwę zaproponował chyba Tadek Świerczewski. Paweł Falicki miał inne zdanie. Uważał, że w tłumaczeniu na angielski może to robić wrażenie, że jesteśmy związkiem terrorystycznym. Stało się jednak na tym, że będziemy Solidarnością Walczącą. Przez bardzo długi czas struktury druku i kolportażu Regionalnego Komitetu Strajkowego i Solidarności Walczącej się pokrywały. To po prostu byli ci sami ludzie, gotowi poświęcać czas i narażać się dla wszystkich, którzy zmagali się z reżimem. Setkom ludzi, z którymi współpracowaliśmy w ramach RKS-u, zaproponowaliśmy działanie w ramach SW, przyłączenie się do struktury Frasyniuka, albo też działanie dla jednych i drugich. Były także ważne dla mnie osoby, jak Bogdan Aniszczuk czy Arek Dobrowolski, które nie weszły do SW. Chyba jednak najczęściej było takich, którzy gotowi byli działać w sieci kolportażowej dystrybuującej zarówno „Solidarność Walczącą”, jak i „Z dnia na dzień”.

**Od pierwszych publikacji Solidarności Walczącej jasne były jej cele – żadna ugoda z reżimem, żaden kompromis. Zamiast tego cele, które wtedy wydawać się mogły utopijne: całkowite obalenie komunizmu, pełna niepodległość Polski.**

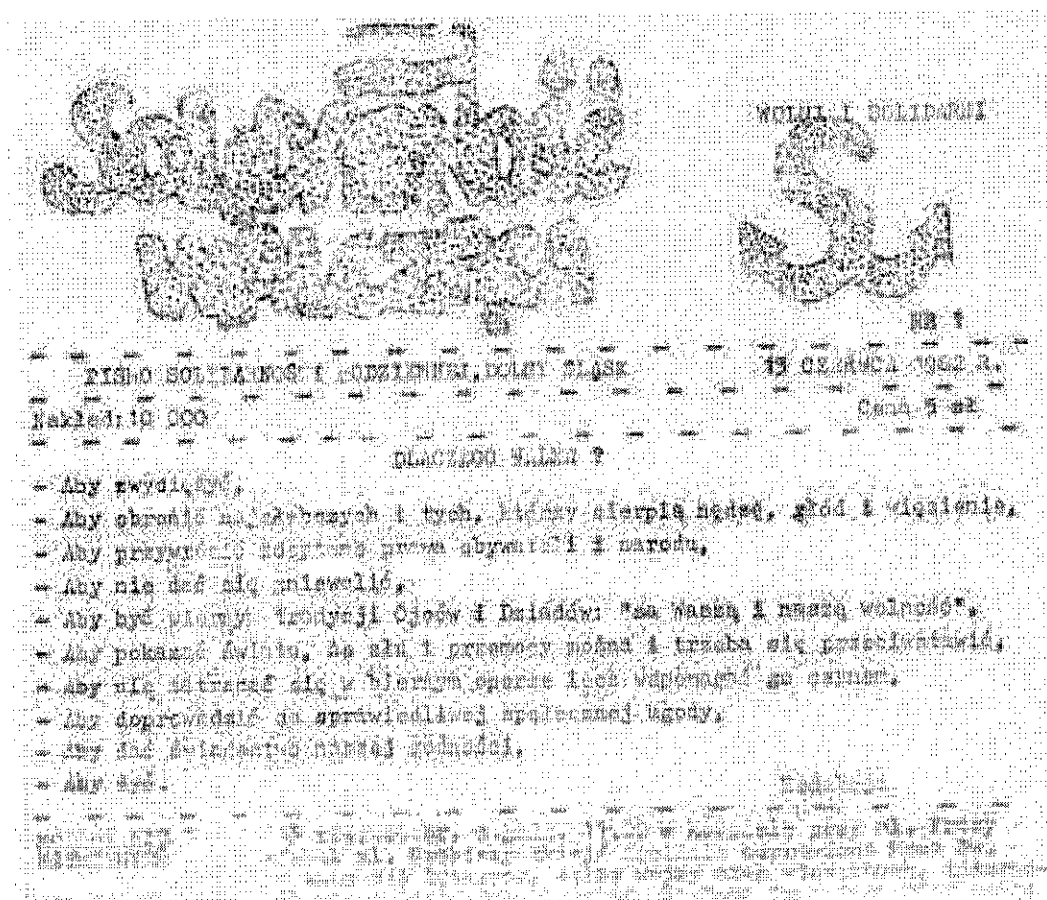
Cele były ambitne, ale i oczywiste. A po wprowadzeniu stanu wojennego dążenie do porozumienia z komunistami było raczej niedorzeczne. Nie ma przecież specjalnego sensu zmierzanie do porozumienia z kimś, o kim wiadomo, że nigdy nie dotrzymuje żadnych porozumień. Postawiliśmy sprawę jasno, że chcemy tę władzę pozbawić władzy i rozmawiać z nią możemy tylko o jej oddaniu.

**To był rok 1982, obowiązywało prawo wojenne. W mediach histeria. Pokazywano programy próbujące dowodzić, że reakcyjne organizacje przygotowywały masowe mordy, szykowały się do walk ulicznych. Dziennikarze telewizyjni czytali instrukcje wykonywania wyroków, rzekomo przy-**

gotowane przez ekstremalne organizacje. W niektórych propagandowych filmikach mówiono nawet o tym, jak podziemie instruowało swych ludzi na temat wieszania kobiet w ciąży. W cieniu takiej furii propagandowych oszczerstw została przewodniczącym organizacji zdeklarowanie antykomunistycznej...

Atmosfera w kraju rzeczywiście była ponura. Co parę dni przychodziły wiadomości o kolejnych aresztowaniach, rewizjach, pobiciach, wyrokach. Ewa Kubasiwicz dostała dziesięć lat, a przecież nie należała do żadnej groźnej organizacji. Rzeczywiście w tamtych realiach trzeba było dużej odwagi, by zdecydować się na przyłączenie do nas – głoszących nie chęć porozumienia, lecz pokonania władz. Solidarność była związkiem zawodowym, walczącym przede wszystkim o prawo do legalnego istnienia. My głosiliśmy zamiar obalenia ustroju, zerwania sojuszu ze Związkiem Sowieckim, wycofania jego wojsk, a nawet rozbicia tego mocarstwa na niepodległe państwa narodowe.

Pamiętam, że jak dotarły do nas pierwsze gazetki Solidarności Walczącej i jak przeczytaliśmy te założenia programowe, to ktoś powiedział: *No to powstała organizacja tak radykalna, że za samą przynależność do*



13 czerwca 1982 r. ukazał się pierwszy numer „Solidarności Walczącej”.

**niej będą chyba zabijać. I chyba nikt nie pomyślał wtedy, że te słowa są przesadzone! Z dzisiejszej perspektywy wygląda to całkiem inaczej, ale jak przypomnimy sobie tamten klimat...**

Tym bardziej słowa uznania należą się wszystkim, którzy byli wtedy z nami. W 1982 roku mówiło się dużo o różnych tajemniczych śmierciach. Trudno było te informacje zweryfikować w ówczesnych warunkach. Ale tu i tam unosił się taki nastrój zagrożenia. Całkiem realna wydawała się perspektywa szerzących się skrytobójstw. Mamy dziś listę około stu niewyjaśnionych zgonów. „Nieznani sprawcy” działali. A pod tym względem np. ja byłem chyba w lepszej sytuacji, niż szeregowi współpracownicy Solidarności Walczącej. Byłem znany i moja ewentualna śmierć przyniosłaby jakiś tam rezonans. A więc była chyba mniej prawdopodobna. A śmierć kogoś całkiem nieznanego, o którym tylko my wiedzieliśmy, że był naszym kolporterem czy drukarzem? Każdy, kto pamięta realia tamtego czasu, przyzna, że z ówczesnej perspektywy taka ewentualność nie mogła być uważana za przesadzoną. Nie ulega żadnej wątpliwości: ludzie, którzy się wtedy z nami wiązali, wykazywali bardzo dużo charakteru, odwagi, determinacji. Dziś wiemy, że nie zawsze było to aż tak wielkie ryzyko, jak nam się wtedy zdawało. Wówczas panowało przekonanie, że ryzyko jest niemal śmiertelne. Wstępowanie do naszych struktur odczuwano jako jakby „rzucanie losu na stos”. Takie wrażenie było uzasadnione, choć dziś wydaje się przesadą.

**Mimo to struktura Solidarności Walczącej rozwijała się szybko.**

Szybko, ale nie bez trudności. Trudne były już pierwsze miesiące. Zaczynały się wakacje, sezon urlopowy. Kilka pierwszych miesięcy stanu wojennego było czasem strasznego napięcia naszych konspiratorów. Wielu ludzi miało nerwy w strzępach. Marzyli o wyjeździe na jakiegokolwiek wczasy, byle się oderwać od tej trudnej rzeczywistości. Doskonale to rozumiałem, ale też bardzo to utrudniało naszą działalność. Wkradał się chaos, który zawsze jest niebezpieczny. Z jednej strony powstawały terenowe struktury SW, powstawała agencja fotograficzna „Dementi”, która wtedy była naszą integralną częścią, zaopatrywaną przez SW w kosztowny, jak na owe czasy, sprzęt; rozwijaliśmy działania nasłuchowe, ruszało radio, tworzyły się kolejne redakcje nowych pism naszej organizacji. Z drugiej strony – wiele ogniw kolportażu się zacięło, rwały się dostawy papieru, farby, matryc... Ci sami ludzie musieli łączyć różne zadania, co obniżało poziom bezpieczeństwa. Przygotowywaliśmy wielką manifestację na 31 sierpnia. Powstawały urządzenia zagłuszające częstotliwości wykorzystywane przez MO i SB. Spodziewaliśmy się rozruchów, więc szykowało się też koleczki do przebijania opon milicyjnym samochodom, worki z farbą i mąką, które miały je „oślepić”, a także butelki zapalające. Drukarnie dniami i nocami powielały ulotki...

**Gazetki i ulotki trafiały także do tych, którzy na pewno nie sympatyzowali z podziemiem.**

Wysyłaliśmy je czasem także do znajdujących się po drugiej stronie barykady. Czasami miało to bardzo konkretne uzasadnienie. W 1982 roku władze miały sporo kłopotu z protestami więźniów politycznych. Zdarzały się szykany, pobicia. Dostawaliśmy na ten temat dość dużo wiarygodnych informacji, które przedostawały się

przez mury więzienne. Nasze gazetki, zawierające artykuły o prześladowaniu więźniów politycznych, wysyłaliśmy pod adresy domowe tych pracowników służby więziennej, którzy w tych wypadkach odgrywali negatywną rolę. Zwykle tylko groziliśmy umieszczeniem w naszej prasie ich nazwisk.

### **Robiło to na nich wrażenie?**

Według niektórych relacji – czasem wręcz piorunujące. Więźniowie zwykle natchmiast dostrzegali, że zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Następował jakiś przełom, strażnicy z dnia na dzień zaczynali się zachowywać inaczej. Szczególnie wyraźne to było wtedy, gdy więźniów politycznych zaczęto rozpraszać po najbardziej odległych zakładach karnych, znajdujących się w małych miasteczkach. Celem takiego działania było utrudnienie kontaktu między skazanymi ludźmi Solidarności. W tych małych miasteczkach, w których nie było żadnej opozycyjnej struktury, nie ukazywała się żadna podziemna gazetka, służba więzienna czuła się wyjątkowo bezkarnie. Być może, o to też chodziło reżimowi. Jeśli więc do takiego brutalnego i pewnego siebie strażnika przychodziła nagle podziemna gazetka z informacją o jego „wyczynach” – to efekt był murowany. Na takiej głuchej prowincji funkcjonariuszom aparatu przymusu podziemie kojarzyło się wyjątkowo upiornie. A małe miejscowości mają też tę cechę, że trudno w nich zachować anonimowość. Jeśli więc strażnik lubiący dokuczać więźniom sumienia dostał gazetkę z tekstem na swój temat – zwykle był przerażony. Nie tylko tym, że „podziemie go namierzyło”, ale też perspektywą dotarcia tych gazetek do sąsiadów i innych mieszkańców lokalnej społeczności.

### **Kiedys, w czasach twojego ukrywania się, usłyszałem wywiad z tobą, nadany przez BBC. Jak to było możliwe?**

Za pośrednictwem kilku kolejnych osób dotarła do mnie wiadomość, że jeden z angielskich dziennikarzy chce się ze mną spotkać osobiście. Sprawa była ryzykowna. Przedstawiciele zachodnich mediów bywali obserwowani przez SB. Trwało dość długo, nim udało się wszystko bezpiecznie zorganizować. Dziennikarz ileś godzin krążył po mieście, żebyśmy mogli się upewnić, że nie ciągnie za nim esbecka obstawa. Redaktorem tym był Tim Sebastian. Spotkaliśmy się w mieszkaniu na Kozanowie. Nagrał obszerną rozmowę ze mną. Były potem podobne oferty z innych mediów, ale byliśmy ostrożni. SB na pewno nie było w smak to, że przyjeżdża sobie ktoś z Zachodu i nagrywa rozmowy z ludźmi bezskutecznie poszukiwanymi. Kolejne audycje jednak były. Nie zawsze z bezpośrednim udziałem zagranicznych dziennikarzy. Częściej po prostu dostawali od nas kasetę z wypowiedziami na interesujące ich tematy.

### **Jakie jeszcze kontakty ze „światem naziemnym” udawało ci się utrzymywać w tamtych czasach?**

Było ich sporo. Może warto wymienić, że w czasie, kiedy byłem ścigany listem gończym, spotkałem się z biskupem Adamem Dyczkowskim. Widywałem się wtedy z kilkoma księżmi, ale tylko z jednym biskupem. Miałem tajne spotkania z Antkiem Macierewiczem, ze Zbyszkim Romaszewskim, z Józefem Teligą, Andrzejem Czumą, Andrzejem Milczanowskim. Udało się też utrzymywać bezpieczny kontakt korespondencyjny np. z Leszkiem Moczulskim. Wymienialiśmy listy już krótko po tym, jak wyszedł z więzienia. No i, oczywiście, nie zwykłą pocztą, bo przesyłki idące tą drogą

Cel – obalić komunizm

do ludzi związanych z opozycją były kontrolowane. W ogóle czytanie i odpowiadanie na listy należało do moich głównych konspiracyjnych obowiązków.

**Kiedy zakładałeś Solidarność Walcząca, raczej nie można się było spodziewać, że komunizm w krótkim czasie runie. Zdawałeś sobie sprawę, jak długo przyjdzie ci się ukrywać?**

Brałem pod uwagę, że może to być konspiracja „bezterminowa”. Jeszcze bardziej prawdopodobne było to, że w którymś momencie SB mnie złapie. Raczej nie można było liczyć na niepodległość w perspektywie paru lat. Obserwując to, co się działo, studiując różne oficjalne i poufne informacje, dochodzące do nas z Zachodu, a także mając tak zaufanego informatora jak Mikołaj Iwanow, który relacjonował sytuację w Związku Sowieckim, przypuszczaliśmy jednak, że do znaczącego przełomu musi dojść najpóźniej do roku 1995. Pamiętam, że w 1988 roku, kiedy rozmawiałem z wieloma amerykańskimi politykami, zaskoczyło mnie nieco to, że niektórzy z nich też spodziewali się, że komunizm załamie się do 1995 roku.

**Być może tak samo przewidywali też komuniści....**

...i doszli do wniosku, że lepiej wyprzedzić nieuchronnie zbliżające się wypadki? Bardzo możliwe, że właśnie tak było.

## **„Struktura fraktalna”**

**Chyba Andrzej Myc pierwszy nazwał kształt naszej organizacji „strukturą fraktalną”.**

Albo „strukturą glonu”. Chodziło o to, że Solidarność Walcząca rozwijała się w głównej mierze w taki sposób, że poszczególne jej ogniwa zaczynały się powiększać i same określać swoje cele i zadania. Organizacja nie mogła stanowić środowiska, w którym wszyscy wszystkich znali. Kontakty należało ograniczać do niezbędnej liczby osób. Zasada ta wynikała z oczywistych względów bezpieczeństwa. Nowi konspiratorzy tworzyli więc kolejne grupy SW, liczące zwykle po kilka osób. Każda taka grupa ogniskowała swoje działanie głównie wokół druku i kolportażu. Stało się to możliwe głównie po tym, jak upowszechniliśmy w naszych strukturach techniki sitodrukowe.

**Właśnie – w odróżnieniu od innych struktur „SW” postawiło w pewnym momencie na sitodruk.**

Doszliśmy do wniosku, że to najlepsze rozwiązanie. Nowoczesne urządzenia poligraficzne, maszyny offsetowe i inne miały wiele zalet. Po pierwsze jednak, nie mieliśmy ich. A po drugie, oparcie druku na takich dużych, bardzo wydajnych, ale nielicznych i mało mobilnych drukarniach miało poważną, zasadniczą wadę. Wpadka jednej drukarni oznaczałaby dużą stratę. Wpadka kilku – wręcz organizacyjny paraliż. My stworzyliśmy system, w którym nawet aresztowanie dziesiątków ludzi nie zdławiłoby druku.

**Dla ludzi spoza Solidarności Walczącej może to brzmieć niewiarygodnie.**

Wyjaśnię więc. Jednym z naszych celów było to, by każdy członek SW samodzielnie potrafił drukować. Prawie wszyscy byli przeszkoleni i przynajmniej trochę doświadczeni w powielaniu metodą sitodrukową. Potrzebny do tego sprzęt mieścił się w średniej wielkości torbie. Produkowaliśmy składane ramki z metalowych rurek. Wystarczyło, że każdy miał gdzieś ukrytą zapasową ramkę, trochę szyfonu, rąkę, chemikalia, no i trochę papieru. Sprzęt do naswietlania nie musiał być ukry-

## „Struktura fraktalna”

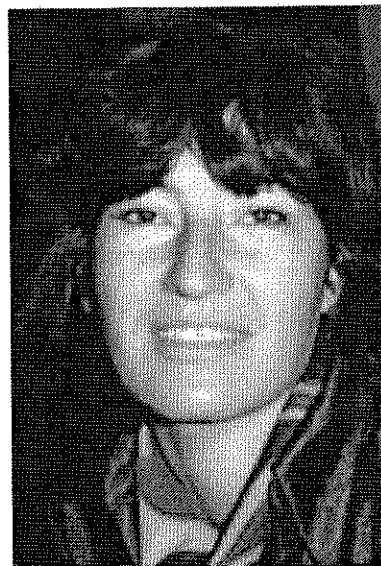
wany, farbę dało się zrobić z mączki ziemniaczanej lub pasty do prania. Różni drukarze preferowali różny skład farby. Generalnie ta robiona z kisielu była gorsza, ale nie miała zdradliwego zapachu, a w razie ataku głodu można było kisiel jeść. Podobno zdarzało się to, kiedy drukarz zapomniał na czas zrobić zakupy. Diapozytywy dawało się zrobić tą samą metodą, jaką wywołuje się zdjęcia. W ostateczności można było też pisać bezpośrednio na folii. To wszystko. Reszta to kwestia umiejętności i kolportaż. We Wrocławiu działały dziesiątki małych drukarni Solidarności Walczącej. Każda w danym dniu produkowała średnio 1000 gazetek. Lecz jeśli było to konieczne, mogła parokrotnie zwiększyć nakład. Co jakiś czas nasze drukarnie wpadały. Bywało, że SB likwidowała nawet kilka w ciągu miesiąca. Nakład jednak nie spadał, albo zmniejszał się nieznacznie i tylko okresowo. Główne wydanie „Solidarności Walczącej” ukazywało się w około 20 tysiącach egzemplarzy. Składała się na to praca siedmiu, ośmiu zespołów sitodrukowych. Nawet niekoniecznie zespołów. Niektórzy drukowali w pojedynkę. Jeśli więc nawet większość naszych drukarni została równocześnie rozbita przez bezpiekę, wystarczyłoby, żeby pozostałe przedłużyły swoją pracę, a skutki akcji SB okazałyby się niemal niezauważalne. Poza tym osiem drukarni to nie więcej niż dwudziestu ludzi. We Wrocławiu mieliśmy wielokrotnie więcej osób potrafiących drukować i dysponujących wszystkim, co potrzebne do drukowania. Analogicznie, choć na mniejszą skalę, było w innych naszych oddziałach.

### **W Solidarności Walczącej funkcjonowało pojęcie „dublera”. Co ono oznaczało?**

Konspiracja zawsze wiąże się z ryzykiem. Każdy, kto działa w podziemiu, musi się liczyć z tym, że każdego dnia może zostać aresztowany. A struktura, zajmująca się drukiem, kolportażem czy czymkolwiek innym, musi przecież działać dalej. Przyjeliśmy więc zasadę, że każda z osób funkcjonujących w jakimś newralgicznym punkcie organizacji, musi mieć swojego zastępcę lub jeszcze lepiej – zastępców. Osoby te musiały znać najważniejsze kontakty, wiedzieć, jakie przejmie zadania. Na taką okoliczność wprowadzaliśmy awaryjne hasła. Chodziło o to, żeby dubler mógł jak najszybciej wcielić się w rolę swojego poprzednika, a ludzie, którzy spotykali się teraz z nową dla nich osobą, mieli pewność, że jest ona człowiekiem od nas, a nie kimś, kto za członka organizacji tylko się podaje.

### **W jaki sposób rozwinęła się struktura Solidarności Walczącej?**

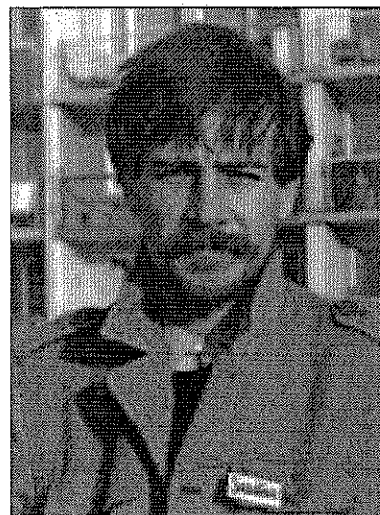
Obawiam się, że w szczegółach jest to nie do odtworzenia. Nie prowadziliśmy żadnej ewidencji. Nie wiemy więc, ilu mieliśmy członków. Wojtek Myślecki twierdzi, że ja sam zaprzysięgałem we Wrocławiu co najmniej dwieście osób, a on niewielu mniej. A przecież nie wszyscy działający w SW skła-



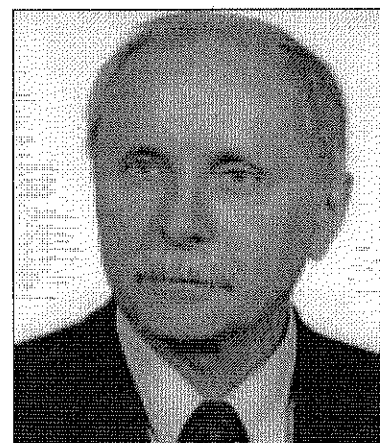
Alicja Kopeć – dublerka Hanny Łukowskiej-Karniej

dali przysięgę. Nie było to jakimś żelaznym wymogiem. O ile pamiętam, nie składali przysięgi nawet niektórzy najbardziej zaangażowani w działalność organizacji – Paweł Falicki, Mariusz Grabowski, Romuald Lazarowicz czy jeden z głównych redaktorów centralnego wydania „Solidarności Walczącej” – Andrzej Kisielewicz. W dniu mojej wpadki składać przysięgę miała pani drukująca dla nas od kilku lat. O tym, w jaki sposób organizacja się rozstała, świadczyć mogą daty na pierwszych numerach kolejnych, pojawiających się wydaniach czy mutacjach gazetek. Zastrzegam, że mogę się mylić w tej próbie odtworzenia ówczesnego biegu wypadków. Wiadomo, że matecznikiem Solidarności Walczącej był Dolny Śląsk. Organizacja powstała we Wrocławiu i niemal od początku miała swoje filie w postaci tych struktur Regionalnego Komitetu Strajkowego, które w całości lub w części chciały działać w ramach Solidarności Walczącej. Ważną rolę w ich organizowaniu grał m.in. Paweł Falicki. W 1982 r. mieliśmy więc już swoich ludzi, działających w Jeleniej Górze, Bolesławcu, Jaworze, Brzegu Dolnym i co najmniej kilkunastu innych miejscowościach. Silny ośrodek rozwinął się w Lubinie, gdzie działali m.in. Edek Wóltański, Mirosław Dwójak, Janek Pietruszka. Wielu ludzi włączyło się do działania w Kotlinie Kłodzkiej, np. Warcisław Martynowski czy Janusz Romaniszyn. Szybko zaczęliśmy zresztą drukować tam bibułę w języku czeskim i przerzucać przez granicę. Powstała też grupa SW w Koźuchowie, założona m.in. przez Wiesława Wasylciówna, małżeństwo Baków, Stanisław Mróz i kilkoro innych rozpoczęło podziemną działalność w Nowej Soli. Ruszyła też nasza filia w Legnicy, m.in. z Mieczysławem Kożą. Silny ośrodek rozwinął się w Wałbrzychu. Jego filarem był Mariusz Grabowski, a nieocenioną rolę odegrało mieszkanie Jana Kowalczyka i jego ojca.

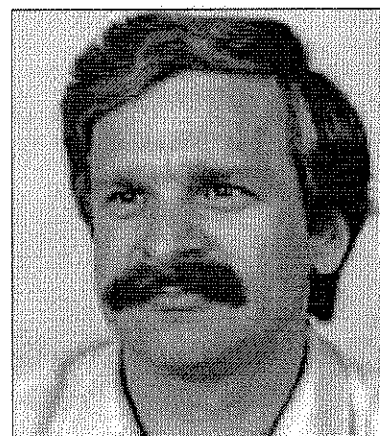
Sięgnęliśmy też Ziemi Lubuskiej, np. Zielonej Góry. W tamtejszym oddziale pracował m.in. Maciej Kuna. Paweł Falicki miał rozległe kontakty wśród nastawionych opozycyjnie mieszkańców Lublina i okolic. Tam powstał jeden z pierwszych naszych oddziałów odległych od Dolnego Śląska. Krzysztof Duszkiewicz i Andrzej Patyra byli jego animatorami. Dość szybko silnym ośrodkiem Solidarności Walczącej stał się Poznań. Wulkanem za-



Andrzej Kisielewicz



Mieczysław Koza

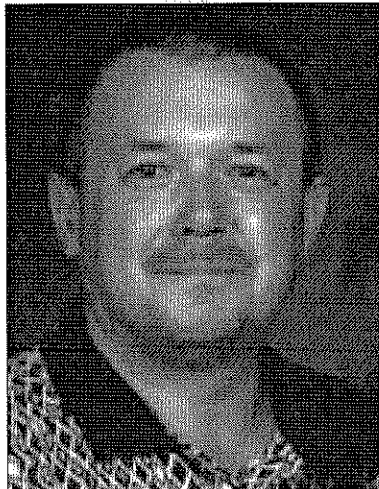


Edward Wóltański

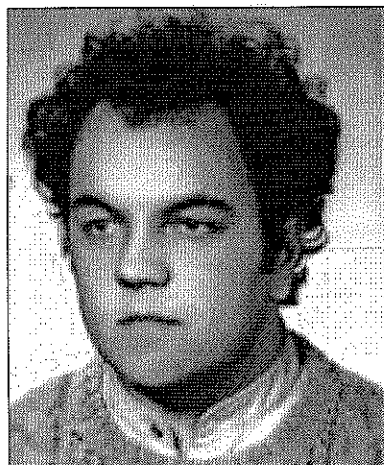




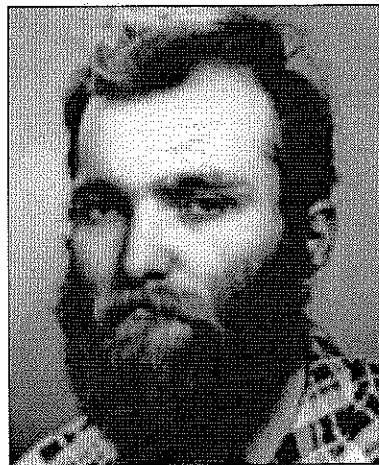
Stanisław Mróz



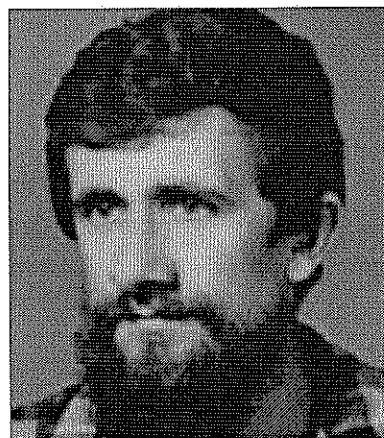
Krzysztof Duszkiewicz



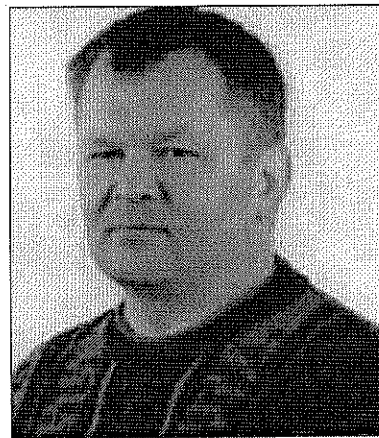
Mariusz Grabowski



Maciej Frankiewicz



Paweł Falicki



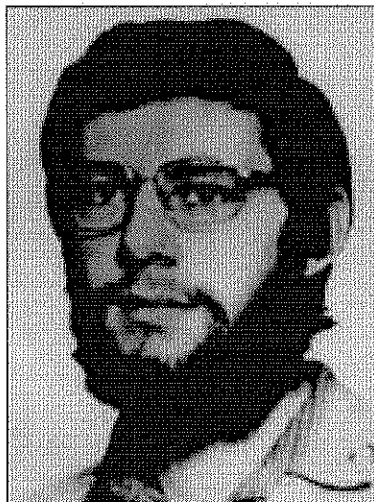
Szymon Jabłoński

angażowania był tam wywodzący się z NZS-u Maciek Frankiewicz, historyk sztuki, potrafiący kraść powielacze należące do PZPR-u i uciekać z milicyjnych aresztów. Budował wielkopolską strukturę SW, m.in. razem z Szymonem Jabłońskim, Szymonem Łukasiewiczem, Anną i Rafałem Grupińskimi, Krzysztofem Stasiewskim, Adamem Szatkowskim, Dariuszem Andrzejewskim, Robertem Budzyńskim, Krzysztofem Brzechczynem.

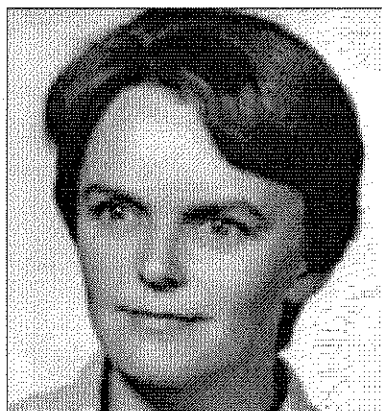
W Trójmieście wytworzyła się taka sytuacja, że mieliśmy parę niezależnych od siebie struktur Solidarności Walczącej. Ja uważałem, że jest to korzystna sytuacja, choć inni mieli odmienne zdanie. W każdym razie gdańską siatkę tworzyli m.in. Marek i Magdalena Czachorowie, Wiesława Kwiatkowska, a po wyjściu z więzień – także Ewa Kubasiewicz i Andrzej Kołodziej. W Gdyni dużą strukturę powołali Edek Frankiewicz, Roman Zwiercan, Zbigniew Mielew-



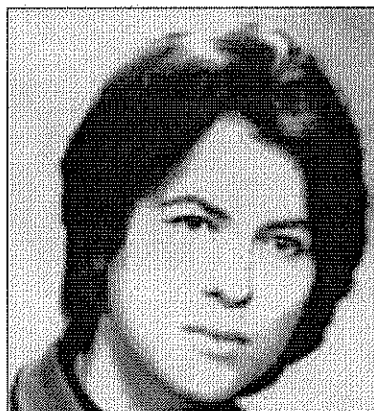
Dariusz Andrzejewski



Roman Zwiercan



Ewa Kubasiewicz



Wiesława Kwiatkowska

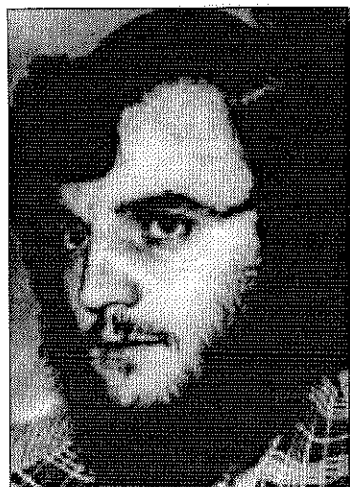


Marek i Magdalena Czachorowie

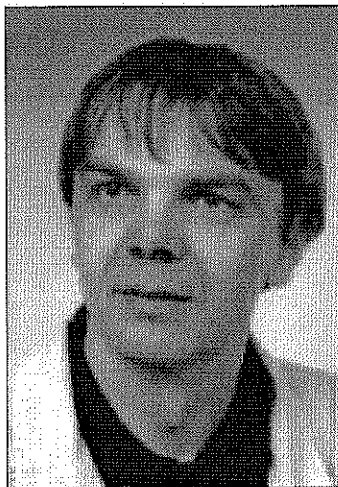
czyk, małżeństwo Bib-rów. W pewnym momencie dowiedzieliśmy się, że na początku stanu wojennego pismo o nazwie „Solidarność Walcząca” zaczęło się ukazywać w Łodzi. Nie było jednak związane z naszą organizacją. Krótco potem powstała tam jednak nasza struktura, do której należeli m.in. Krzysztof Cnotalski, Piotr Włodarski, Włodek Domagalski i Piotr Jawoski.

W trudnych warunkach przyszło działać naszym ludziom w Rzeszowie, gdzie esbecji udało się wprowadzić wyjątkowo dużo agentury do związku Solidarność, co w pewien sposób narażało i działalność SW. Dużo tu zawdzięczamy naszym działaniom kontrwywiadowczym. Rzeszowskim liderem SW został Antoni Kopaczewski, działający m.in. z Andrzejem Kucharskim, Januszem i Krystyną Szkutnikami. Oczywiście, zaistnieliśmy i w Warszawie, gdzie mocno włączyli się w konspiracyjną robotę Adam Borowski, Tadeusz Chachuła, Adam Cymborski,

„Struktura fraktalna”



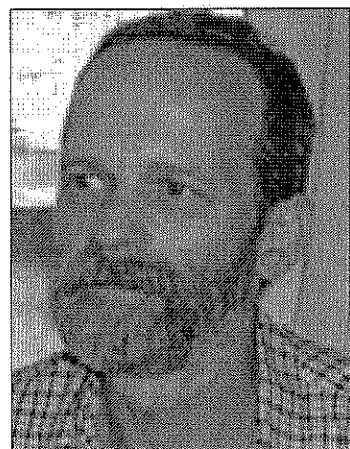
Andrzej Kolodziej



Włodzimierz Domagalski



Antoni Kopaczewski



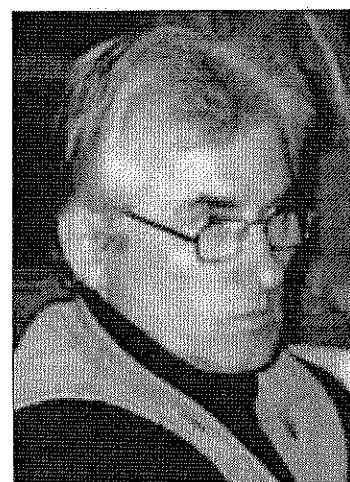
Janusz Szkutnik



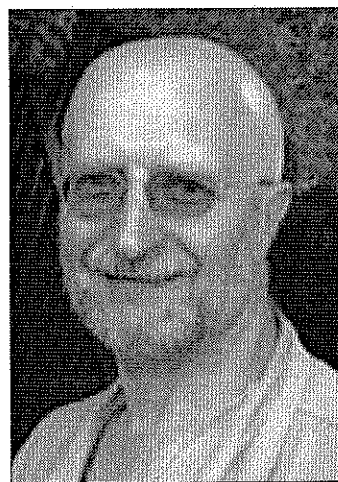
Adam Cymborski



Andrzej Kucharski



Edward Mizkowski



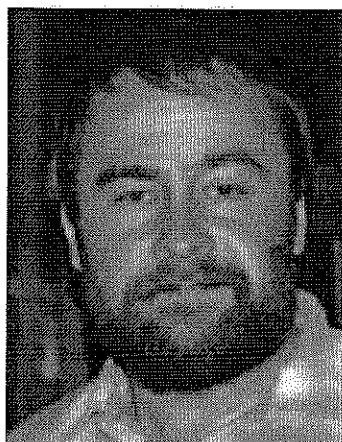
Andrzej Werter



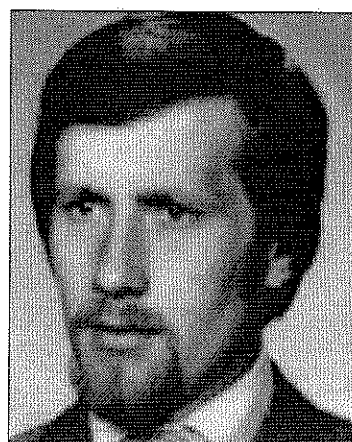
Jacek Guzowski



Ewa Tamawska



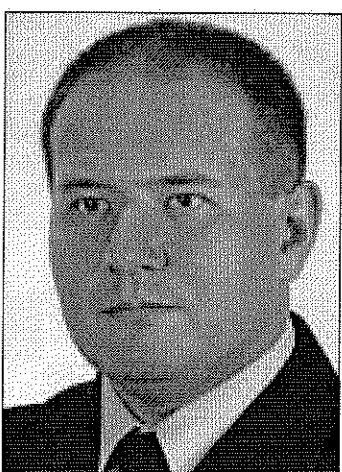
Piotr Hlebowicz



Zbigniew Belz



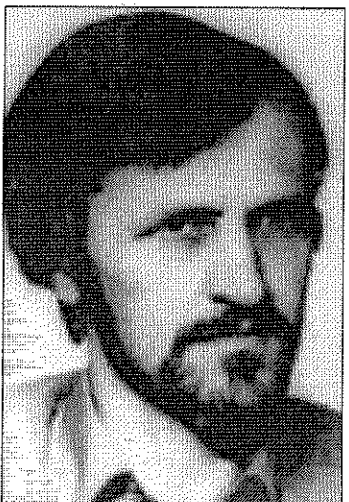
Krzysztof Korczak



Leszek Dobrzyński



Teodozja Szwed



Sławomir Bugajski



Jadwiga Chmielowska



Robert Majka

## „Struktura fraktalna”



Mariusz Sokołowski



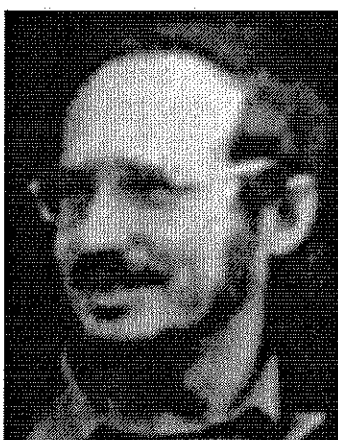
Bożena Krawczyk



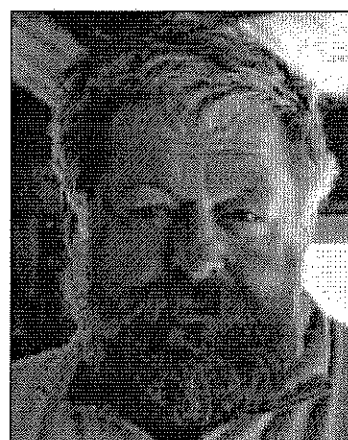
Adam Borowski



Krzysztof Wianecki



Wojciech Myślecki



Tadeusz Wrona

Janusz Gajewski, Beata i Piotr Godlewscy, Jacek i Bolesław Guzowscy, Seweryn Jaworski, Marek Koźbiał, Bożena Krawczyk, Włodzimierz Kuligowski, Tadeusz Markiewicz, Edward Mizikowski, Jacek Sarnecki, Tomasz Szostek, Andrzej Werter, Krzysztof Wolf i wielu innych. Powstał i oddział krakowski z Piotrem Warishem, Marianem Stachowiakiem, Piotrem Hlebowiczem, Edwardem Nowakiem, Ewą Tarnawską.

Powstał też nasz oddział w Gorzowie, którego głównym twórcą był Zbigniew Bełz, a działaczami Janusz Soroka i Zbigniew Stępień.

Nieco później powstała struktura szczecińska, z Krzysztofem Korczakiem, Stanisławem Januszem, Marianem Korczakiem, Izabelą Ratajczak, Renatą Tomczyk, Leszkiem Dobrzyńskim, Teodozją Szwed, Dariuszem Kłosem, Janem Piotrowskim, Krzysztofem Matusiakim, Aliną Lipiec. Oddziały powstawały też w Kielcach, gdzie działał m.in. Mirosław Gębski, w Pruszkowie – za sprawą Jarosława Łuczaka, w Przemyślu, głównie dzięki Robertowi Majce, w Gliwicach – Tadeusza Bełza.

Oczywiście, silnym ośrodkiem Solidarności Walczącej szybko stał się Górny Śląsk. Był to jeden z pierwszych dobrze zorganizowanych oddziałów spoza Dolnego Śląska. Powstał we wrześniu 1982 r., dzięki Sławkowi Bugajskiemu i Basi Kowalczyk, którzy w tworzenie struktury na Górnym Śląsku włączyli się całym sercem i nieprzeciętnym intelektem. Od 1985 r. działaniami na Górnym Śląsku kierowała Jadwiga Chmielowska. Mieliśmy też swoje komórki w Grudziądzu (m.in. Zbigniew Woźniak), Białym Borze (Janusz Kopera), Nowogardzie (Mariusz Bogdanowicz), Opałenicy (Roman Chmielowiec), Brzegu Opolskim (Kazimierz Nawrocki, Mariusz Sołowski).

Nieduże, ale działające wytrwale i dynamicznie komórki Solidarności Walczącej szybko powstały w Krośnie, Sanoku, Tarnobrzegu, Leżajsku, Strzyżowie, Głogowie, Dzierżoniowie, Miliczu, Łądku Zdroju, Strzelinie, Świdnicy, Dzierżoniowie, Kępnie, Częstochowie. Oddział w Chełmie zakładał chyba Krystian Michalak. W Toruniu – Marianna Błaszczuk (obecnie Samlik), Elżbieta Mossakowska, Krystyna Sienkiewicz i Krystyna Kuta. W Kaliszu zaczęła działać identyfikująca się z nami grupa. Drukowała nasze założenia programowe, głosiła swoje poparcie, a przez dość długi czas nie miała z nami kontaktu. Zachowując niezbędną ostrożność, kontakt w końcu został nawiązany. Podobnych sytuacji było więcej. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich miejsc, w których działała Solidarność Walcząca, nie wspominając nawet o znaczącej części ludzi.

Jak już mówiłem, szacuję że spotkałem się w sumie z około tysiącem osób działających w konspiracji. Do wielu spotkań nie doszło, bo wiązały się z ryzykiem albo brakowało na to czasu. Wielu nigdy nie poznałem z nazwiska. Ten szacunkowy tyśiąc osób był tylko częścią podziemia. Całego mnóstwa członków Solidarności Walczącej, nawet tych wieloletnich i bardzo zaangażowanych, nie spotkałem nigdy.

**Podobno, szacując rozmiary organizacji, zawsze miałeś tendencję do umniejszania liczby członków, a Wojtkę Mysłleckiego posądzano o to, że miał skłonność do zawyżania liczby ludzi zaangażowanych w SW. To trochę paradoksalne – dr Mysłlecki to umysł wyjątkowo precyzyjny, konkretny...**

Możliwe więc, że jego oceny są bliższe prawdy. Do jakichś ścisłych wyliczeń raczej jednak nie dojdziemy z co najmniej kilku powodów. Pierwszy polega już na samym kryterium – kogo uznawać za członków organizacji, a kogo nie. Ludzi, którzy udostępniali nam mieszkania, piwnice, garaże, komórki, były co najmniej setki. To też była nie byle jaka ofiara. Całymi latami przechowywali nasze materiały poligraficzne, wydruki, sprzęt radiowy itd. I to też wiązało się z ryzykiem, bo przecież te rzeczy nie leżały zadekowane i zapomniane, lecz regularnie ktoś przychodził, coś zabierał, coś zostawiał. A jak przychodzi ktoś z organizacji ściganej przez bezpieczeństwo, to zawsze jest możliwość, że idą za nim esbecy, którzy któregoś ranka zaczną wylaamywać drzwi. Jak też zakwalifikować większość kolporterów? Pamiętajmy, że najtrudniejsze w wydawaniu bibuły nie jest jej drukowanie, ale sensowne rozprowadzenie. Niektóre nasze tygodniki czy dwutygodniki miały ponad dziesięć tysięcy nakładu. I były płatne. Większość sprzedawali ludzie biorący po kilka, kilkanaście sztuk. To były setki, jeśli nie tysiące ludzi, czasem przez całe lata osiemdziesiąte biorący od nas tę niewielką ilość gazetek i odprowadzający odpowiednią ilość złotych. Zwykle formalnie nie byli członkami Solidarności Walczącej, a przecież byli dla nas bezcenni. Najczęściej nie brali nawet żadnej prowizji od rozprowadzanej

## „Struktura fraktalna”

prasy, która dzięki nim zawsze trafiała do zainteresowanych czytelników, przenikała do coraz bardziej odległych środowisk i przynosiła zwrot kosztów. Krucho byłoby z naszą poligrafią, gdyby gazetki nie przynosiły jakiegoś finansowego wpływu. Każde główne wydanie „Solidarności Walczącej” to kilkadziesiąt ryz papieru. A przecież to tylko mała część tego, co drukowaliśmy.

### **Liczba ludzi zaangażowanych w działalność Solidarności Walczącej ulegała też zmianom...**

Oczywiście. Z bardzo różnych powodów. Sporo ludzi, którzy w pierwszych miesiącach stanu wojennego bardzo zaangażowali się w konspirację, już wiosną czy latem 1982 roku stwierdzało, że zamierza się z tej działalności wycofać. Ciekawe, że często były to osoby pełne silnych, antykomunistycznych emocji. Cóż, brakowało wytrwałości albo wiary w możliwość jakichkolwiek zmian. No i trudno się też dziwić, jak przypomnimy sobie te beznadziejne nastroje po kilku miesiącach obowiązywania w Polsce prawa wojennego. Wszyscy sobie wtedy zaczęli uświadamiać, że jeśli do jakichś zmian dojdzie, to najwcześniej za ładnych kilka, a raczej kilkanaście lat...

**Przemysław Gintrowski w 1983 roku napisał piosenkę pt. *Gdy tak siedzimy*, ilustrującą właśnie ten klimat. Topniejące szeregi konspiracji, więzienia wyniszczające tych, których SB schwytala. Cytat z tej piosenki pojawił się jakiś czas później w formie szablonowych odbitek w wielu zakątkach Wrocławia. To zdanie brzmiało: *Ojczyzna nam umiera*.**

To zdanie chyba dobrze oddaje ówczesne społeczne nastroje. No i realia – polityczne, gospodarcze. Rok 1983 był jednak dla Solidarności Walczącej czasem bardzo silnego wzrostu organizacyjnego. Trochę ludzi się wykruszyło, ale znacznie więcej pojawiło się z wolą konsekwentnego działania. Takich „odejść z powodu zmęczenia” po 1982 roku było mniej. Ludzie nie liczyli już na to, że *wiosna będzie nasza*. Jeśli angażowali się w konspirację, to z zamiarem pracy przez długie lata.

**Według Mariusza Olczaka – historyka z Archiwum Akt Nowych w Warszawie – występują uderzające podobieństwa w konspiracji Solidarności Walczącej i Armii Krajowej. Szczególnie duże mają one być np. w sposobie prowadzenia dokumentacji kontrwywiadu obydwu organizacji. Czy AK stanowiło wzorzec dla SW?**

W jakiejś mierze było to zamierzone, ale zasadniczo sytuacja taka powstawała siłą oczywistych faktów. Przede wszystkim trafiło do naszych struktur albo bezpośrednio z nimi współpracowało sporo ludzi związanych kiedyś z Armią Krajową. Członkami SW było wielu żołnierzy AK, ludzi WiN-u i innych konspiracji lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Wśród bardzo bliskich nam ludzi był np. Zbigniew Lazarowicz, prześladowany w latach stalinowskich, którego ojca, majora AK i wiceprezesa organizacji Wolność i Niezawisłość komuniści skazali na śmierć i rozstrzelali. Ścisłe z nami współpracował też Józef Tallat, który także miał wyrok śmierci za członkostwo w WiN-ie, ale który miał szczęście uniknąć egzekucji. Żołnierzem AK i członkiem WiN-u był też Roland Winciorek, rocznik 1920, działacz Solidarności Walczącej, którego synowie też działali w naszych strukturach. Byli z nami Zofia Krzysztóż i jej mąż – ludzie z Kierownictwa Dywersji AK. Był z nami płk Jan Soko-

łowski – jeden z zastępców gen. Tokarzewskiego podczas wojennej konspiracji we Lwowie. Przypuszczam, że można by wymienić jeszcze co najmniej kilkadziesiąt nazwisk ludzi SW, którzy tak jak Roland walczyli w 1939, potem byli w AK i w WiN. O ilości ludzi, którzy należeli do kresowych brygad AK, przekonałem się w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy wydaliśmy serię znaczków poświęconych idei niepodległości Litwy, Białorusi i Ukrainy. Naszą intencją była solidarność z tymi narodami. Okazało się przy tym jednak, jak świeże są wspomnienia wydarzeń na polskich Kresach podczas II wojny światowej.

**Chodzi zapewne o znaczek „Solidarności Walczącej”, podejmujący temat niepodległości Ukrainy, na którym znalazł się znak Tryzub.**

Właśnie. On znalazł się na tym znaczku, bo to godło Ukrainy. Zawsze jednoznacznie wypowiedzieliśmy się za jej niezawisłością. Jednak dla wielu naszych członków i sympatyków symbol ten okazał się znakiem złowrogim, przypominał koszmar sprzed czterdziestu lat. Do Rady „Solidarności Walczącej” zaczęły płynąć listy, w których pisano, że UPA te znaki malowała krwią ćwiartowanych dzieci. Sporo było takich wypowiedzi, z których wynikało, że autorzy byli członkami dawnej polskiej samoobrony – związanych z AK oddziałów broniących polskich wiosek przed potwornymi rzeziami, dokonywanymi przez ukraińskich nacjonalistów. Decydując się wtedy na druk tych znaczków, wiedzieliśmy, że mogą one wzbudzić tego rodzaju poruszenie, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy ze skali tych strasznych wspomnień. Dostawaliśmy obszernie relacje o zbrodniach na Wołyniu, Podolu, Pokuciu. Od ich lektury można było osiwieć, tak były wstrząsające, i nie budziło też żadnej wątpliwości, że nie są koszmarną fantazją, lecz najszczęśliwszą prawdą – odtworzeniem obrazów, które w świadkach tamtych rzezi pozostaną niezatarte do końca życia. To był jeden z tych tematów najbardziej w PRL-u zamilczanych i który wtedy tak bardzo się ujawnił. Uświadomił nam, że relacje Polski z sąsiadami są jeszcze bardziej bolesne i złożone, niż się nam wydawało. A zarazem dowiedzieliśmy się, jak bardzo wielu jest w naszych kręgach ludzi, którzy na Kresach Południowo-Wschodnich walczyli i cierpieli za Polskę.



**Wracając więc do głównego wątku pytania – SW była do pewnego stopnia wzorowana na AK?**

Jest taka książka ks. Kluza *WiN na szlaku AK*. A my, jak powiedziałem, mieliśmy wielu ludzi i z AK i z WiN-u. Młodszy często byli ich synami, albo ludźmi w inny sposób wychowanymi na *Kamieniach na szaniec*, *Zwiadowcach z Szarych Szeregów* czy tym podobnych lekturach i opowieściach starszego pokolenia. My byliśmy przedłużeniem tego szlaku.

Owoce takiego, a nie innego biegu naszej historii jest to, że konspiracja stała się jednym z wątków narodowej tradycji. Czyli – w większym



**stopniu SW była jakby kolejnym, spontanicznym efektem tej tradycji, niż konstrukcją budowaną według przemyślanego planu?**

Raczej tak. Twórcy organizacji postawili sprawę jasno: naszym celem jest obalenie komunizmu i pełna niepodległość Polski. W końcu 1982 roku w ogromnym nakładzie zaczęliśmy drukować *Naszą wizytówkę*. Napisaliśmy w niej, że nie zadowolimy się żadnymi rozwiązaniami połowicznymi, odrzucamy wręcz jakiegokolwiek reformowanie systemu. I zaznaczyliśmy: *Ty też możesz być z nami*. Każdy mógł się do organizacji włączyć, o ile chciał tego, co my, o ile był odpowiednio uwiarygodniony. Natomiast sprawą drugorzędną było to, w jaki schemat ta struktura się konstruowała. I rzeczywiście ta nasza sieć współpracujących ze sobą ludzi, oddziałów organizacji i mniejszych jego ogniw była dość amorficzna, nie do końca czytelna. Nie wpłynęło to jednak ujemnie na organizacyjną spójność. Służyło za to dobrze bezpieczeństwu. Wszystko, co wiemy o wymierzonych przeciw nam działaniach bezpieki (a wiemy coraz więcej), wskazuje na to, że ta nieco bezkształtna konstrukcja Solidarności Walczącej bardzo utrudniała jej rozpracowanie.

**Jak wspomniałeś, Solidarność Walcząca głosiła, że przyłączyć się mógł każdy, ale w praktyce trzeba było mieć osoby wprowadzające i na pewno spełniać jakieś kryteria.**

Kto się nadawał do konspiracji? Na to każdy musiał sobie dać odpowiedź sam, a ocenę tę weryfikowała też działalność. Zwykle droga do pracy konspiracyjnej była taka, że nowy człowiek początkowo zajmował się np. jakimś nie za dużym kolportażem podziemnej prasy. Jeśli się w tej roli sprawdzał, mógł to robić na większą skalę, znaleźć sobie odbiorców prasy i rozpowszechniać ją w szerszych kręgach. Mielśmy kolporterów, którzy z pomocą swoich ludzi rozprowadzali tysiące egzemplarzy prasy tygodniowo. I był to kolportaż nie byle jaki, gdyż regularnie wpływały do organizacyjnej kasy pieniądze ze sprzedaży tych gazet, zwykle w postaci worków bilonu, a w miarę postępu inflacji – paczek banknotów o niższych nominałach.

W naszych strukturach można było awansować, ale najbardziej logiczną drogą do odgrywania większej roli było zbudowanie sobie własnej struktury, poszerzającej Solidarność Walcząca. Mający talenty organizacyjne i umiejętność przewodzenia innym mogli tym sposobem jakoś się spełniać. Bywało, że dotarcie do nas było trudne. SW działała w końcu w konspiracji. Jeśli jednak ktoś miał w swoim otoczeniu opinię człowieka solidnego, uczciwego i chciał do nas przystąpić, przeważnie prędzej czy później znajdował z nami jakiś kontakt.

Tworzenie się konspiracyjnej organizacji mogło chyba przypominać eksperyment Stanleya Milgrama, który w 1967 roku próbował sprawdzić, czy da się nawiązać kontakt między obcymi sobie i zamieszkującymi daleko od siebie osobami. Chodziło o to, by do skontaktowania się np. nowojorczyka z jakimś wylosowanym człowiekiem z Los Angeles używać wyłącznie pośrednictwa ludzi, których się zna. Ci znajomi z kolei szukać mieli swoich znajomych tak, by znaleźć w końcu kogoś, kto dobrze się zna z tym wylosowanym „człowiekiem do odnalezienia”. Zwykle nowojorczyk mający nawiązać kontakt z tym kimś z Los Angeles miał kogoś bliskiego w tym mieście, ten zaś szukał swoich znajomych w środowiskach, z którymi zwią-

zana mogła być ta poszukiwana osoba itd. Wyniki były zaskakujące. Na 150 takich jednostkowych eksperymentów w żadnym przypadku nie trzeba było więcej, niż 10 takich „ogniów pośrednich”, by dotrzeć do właściwej osoby. Czasem wystarczyły tylko dwa, a najczęściej – pięć. Polska jest mniej-  
sza od Stanów, tym bardziej więc, jak ktoś chciał się w sieci konspiracyj-  
nej znaleźć, raczej powinien do niej dotrzeć.

I SW powstawała jako taka ogólnopolska struktura, do której po kolei wchodzi-  
li ludzie znający się z kimś, kto już w tej sieci się znajdował. Oczywiście, że SB  
próbowała tym sposobem wprowadzać do organizacji agentów. Udało jej się np. spe-  
netrować jakieś środowisko opozycyjne z Piły. Na pewno nie wszyscy, którzy wtedy  
złożyli akces do naszej organizacji, byli agentami. Wiadomo jednak, że byli przez  
agentów zdominowani. Według informacji, którą do nas przesłali, ta pilska organi-  
zacja miała liczyć dwustu ludzi i mieć przeogromne zdolności kolportażowe. Już  
takie przeszacowanie zdradzało, że przynajmniej rządzą tam ludzie niemający poję-  
cia o realiach konspirowania. Nasze nasłuchy i inne kontrwywiadowcze działania  
potwierdziły, że tę nieudolną akcję wejścia dwustu ludzi do naszej organizacji prze-  
prowadzała SB. Kiszczak w swojej książce pisał, że pojawienie się Solidarności  
Walczącej przyjął z radością, gdyż miało to ułatwić rozpracowywanie opozycji. Było  
jednak na odwrót. Większość sukcesów bezpieki w zwalczaniu nas ogranicza się do  
wydarzeń z końca 1983 roku, kiedy esbecji udało się złamać jednego z naszych aresz-  
towanych działaczy. Prace operacyjne ludzi Kiszczaka przyniosły wyniki kompro-  
mitujące. Potwierdzają to wszystkie, znane dziś dokumenty SB. Zwykłą bujdą są  
też przechwałki Kiszczaka, według których miał mieć agenta w moim bliskim oto-  
czeniu. Jeśli ktoś taki był, to oglądał SW co najwyżej z obrzeży organizacji. Wszyst-  
kie raporty SB na nasz temat podają błędny skład naszych gremiów przywódczych.  
Ponad wszelką wątpliwość „jądro SW” było więc esbecji nieznane.

**A może jednak nie doceniasz działań SB? Wiadomo przecież, że bardzo często bezpieka celowo „udawała głupią”. Na Uniwersytecie Wrocławskim było kilka osób, o których absolutnie wszyscy wiedzieli, że są one donosi-  
cielami SB. Było to tak ewidentne, że aż budziło lekceważenie esbecji. Oczy-  
wiście, kiedy któryś z tych „powszechnie znanych ubeków” się pojawiał,  
milkły rozmowy na pewne tematy, nikt nie wyciągał żadnej bibuły itd. Tym-  
czasem było to sprytne działanie, mające na celu uspienie czujności. Esbe-  
cja z premedytacją kompromitowała się tymi „powszechnie znanymi ube-  
kami”, by ukryć tych właściwych, których prawdziwego działania nikt się  
nie spodziewał. Ci naprawdę groźni agenci byli świetnie zainstalowani,  
obdarzeni powszechnym zaufaniem, związani byli z kolportażem, a naj-  
częściej kręcili się w środowiskach jawnej opozycji. To samo było w War-  
szawie, gdzie tym „znanym ubekom” nawet robiono zdjęcia i drukowano je  
w bibule. Ta metoda „podwójnej linii agentów” była przez SB wykorzysta-  
wana w bardzo wielu miejscach, chyba wręcz powszechnie.**

Tak, ale nie miała ona większego zastosowania w zwalczaniu organizacji jed-  
noznacznie konspiracyjnych. Takimi metodami rozpracowywało się, często bardzo  
skutecznie, opozycję działającą jawnie. Zawsze wiedzieliśmy, że powinniśmy się  
obawiać całkiem innych działań. Wspomniane aresztowania, które zaczęły się w grud-

## „Struktura fraktalna”

niu 1983 roku i w wyniku których trzydziestu kilku członkom Solidarności Walczącej wytoczono procesy, a w sumie około dwustu zaszło rewizji, zatrzymań, przesłuchań – było najdotkliwszym doświadczeniem w czasie całej historii organizacji (no, może poza aresztowaniem mnie w 1987 r.). W tym samym jednak czasie bardzo dynamicznie się ona rozwijała. Paradoksalnie ta fala represji nas wzmocniła. Uświadomiło to wszystkim, że masowe aresztowania są jak najbardziej realne i że nigdy nie dość troski o jakość konspiracji. Wszyscy chyba wyciągnęli z tej lekcji właściwe wnioski, a ci, którzy w tym ciężkim okresie mimo wszystko zdecydowali się do nas przyłączyć, musieli mieć nie byle jaki kręgosłup moralny. Każdy chyba się zgodzi, że wstępowanie do organizacji, której członków akurat wywleka się z domów o świcie i stawia przed sądem, musi budzić szacunek. A fakty są takie, że w 1983 i 1984 roku powstało wiele naszych nowych ogniw. Podnosiła się jakość naszego działania i rośliśmy liczebnie.

### A jak ten rozwój podziemnych struktur przekładał się na wydawanie prasy Solidarności Walczącej?

Samych gazetek, noszących tytuł „Solidarność Walcząca”, było w naszej organizacji ponad dwadzieścia. Każda miała inną redakcję, inną zawartość, choć bywało, że wszystkie drukowały te same komunikaty i oświadczenia. Niektóre ukazały





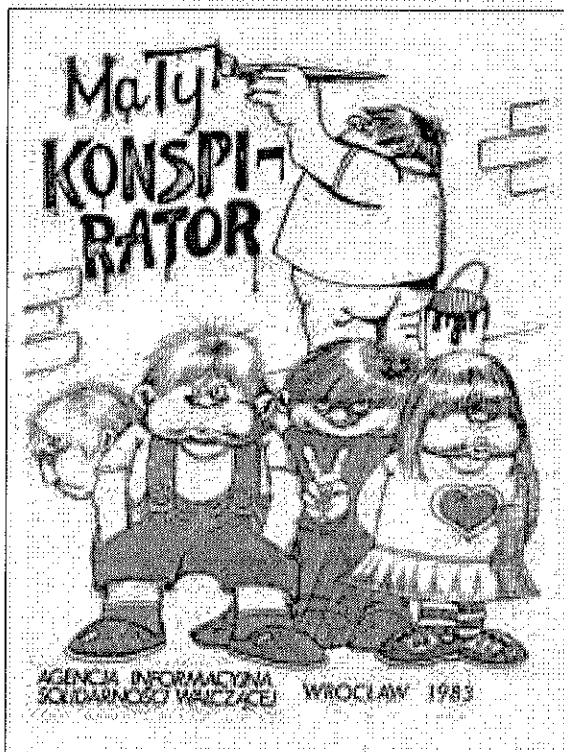
się tylko kilka razy, częściej doczekiwały się kilkudziesięciu wydań, a kilka osiągnęło numerację trzycyfrową. Największe było tzw. wydanie główne, drukowane zwykle w nakładzie około 20 tys. egz., a bywało, że i w 40 tys. Nakład rzędu 10–14 tys. miały wydania poznańskie, gdańskie, katowickie. Pisma pod nazwą „Solidarność Walcząca”, zwykle w ilości kilku tysięcy sztuk, ukazywały się też w Białymstoku, Warszawie, Gdyni, Jastrzębiu, Jeleniej Górze, Koninie, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Olsztynie, Opolu, Tarnobrzegu, Toruniu. Wydawany też był biuletyn „Solidarność Walcząca – Podkarpacie”, periodyk „Solidarność Walcząca – Trójmiasto”, gazeta „Solidarność Walcząca – Bielsko”. Ukazywała się gazetka „Solidarność Walcząca”, emitowana przez strukturę organizacji z zakładów Cegielskiego w Poznaniu. Poza tym drukowaliśmy w kilku miastach ulotki – oddzielną wersję „Solidarności Walczącej” oraz „Gazetę Uliczną Solidarności Walczącej”. Niektóre oddziały miały jednak inne nazwy swoich pism. Np. w Zgorzelcu nazywało się „Zgorzelin”, a w Szczecinie – „Gryf”. W mieście tym ukazywał się też „Grot” i „Wici”. W Warszawie luźniej z nami związaną strukturą było wydawnictwo „Horyzont”. Mieliśmy też w stolicy „Alternatywę”, „Ku Niepodległości” i „Głos Solidarności” – robiony chyba wspólnie ze strukturą związkową. Poznań nastawił się na druk obszerniejszych periodyków. To SW zaczęło wydawać znane czasopisma „Czas” i „Czas Kultury”, a także „Komentarz”, „Solidarnego Robotnika” i pismo Oświaty Niezależnej „Nauczyciel”. W Lublinie razem z RMN-em wydawaliśmy „Czarno na Białym”, a w Kowarach (wspólnie z Solidarnością) „Dywanik”. W Gorzowie ukazywała się „Gazeta Uliczna”, w Rzeszowie „Galicja”, w Jeleniej Górze „Gencjana”, w Krakowie „Solidarność Zwycięży” i „Wolni i Solidarni”. W Opolu – „Biuletyn Opolski” i „Na Bieżąco”, w Jastrzębiu „BIM” i „Jastrząb”. W Wałbrzychu ukazywały się „Victoria”, „KWK Wałbrzych”, „Radykał” i „Węgielki Wałbrzyskie”. W Zielonej Górze – „Solidarność Lubuska”. W Bielsku-Białej – „Informator Bielski”. W Łodzi SW drukowało „Nasz Głos” i „Wolność”. W Katowicach „WiS”, „Punkt”, „Podziemny Informator Katowicki”, w Pawłowicach Śląskich – „Pniówek”. Struktura obejmująca Jasło, Krosno, Sanok i Ustrzyki wydawała „Podkarpatczyka”. Brzeg drukował „Prostownik”. „Wrzos” jako miejsce wydawania wskazywał Zagłębie. Gdańsk drukował „Ziemie Gdańską”, „Zołnierza Solidarnego”, a także, razem ze związkowcami Solidarności, „Trzecią Bramę” i „Unimora”. Dla młodzieży z Trójmiasta wydawaliśmy pismo uczniów szkół średnich „Tarcza”. Jelenia Góra i Piechowice miały pismo pt. „Zerwij kajdany, połam bat”. W Olkuszu SW wydawało „Ziemie Olkuską”. We Wschowie zespół Zdzisława Wiśniewskiego wydawał „Solidarność Ziemi Wschowskiej”. Wiąże się z tą niezwykłą grupą wyjątkowo brutalne aresztowanie, śledztwo i aresztowanie redaktora tegoż biuletynu. Ponadto byliśmy współwydawcami biuletynu Ogólnopolskiego Komitetu Oporu Rolników „Żywią i Bronią”, „Zeszytów Wolnych Związków Zawodowych” z Trójmiasta i pochodzącego również stamtąd pisma redagowanego głównie przez Joannę Dudę-Gwiazdę pt. „Poza Układem”. Było trochę pism wydawanych wspólnie przez kilka ośrodków, np. wrocławsko-krakowskie „Vade – Mecum”. SW wydawała też biuletyn Instytutu Europy Wschodniej pt. „Europa”, redagowany przez zespół z Warszawy, Wrocławia i Katowic. Ponadto wydawaliśmy pismo w języku polskim i czeskim zatytułowane „Opinie/Nazory”, a także gazetki po rosyjsku, ukraińsku, angielsku i w kilku innych językach. Wielokrotnie też, i zwykle w bardzo dużych nakładach, drukowaliśmy pojedyncze artykuły, które uważaliśmy za szczególnie ważne. Kolportowane były przez nasze struktury, a także rozkładane czy rozrzucone jako ulotki. Podobnie zresztą, jak inne pisma SW.

### Najwięcej jednak Solidarność Walcząca miała pism we Wrocławiu.

Oczywiście. Niektóre struktury zakładowe wydawały swoje własne pisma. Np. MPK – „Bez Pardonu”, Stocznia Komuny Paryskiej – własne „SW”. Bardzo długo i regularnie ukazywały się świetne „Wiadomości Biezące”. Wymienić też trzeba „Replikę”, „Niteczkę” (robioną chyba razem ze strukturami Solidarności), biuletyny „Świt”, „Swojak”, „Walka”, „BiS”, „Jednością Silni”, „Myśl”, „SDS”, „Solidarność Dolnośląska”, „Zakazane Wiadomości Historyczne”, „Nasze Słowa”. Akcja Studencka Solidarności Walczącej drukowała dwie wersje „Kontry” – gazetową i plakatową. Ukazywał się też „Serwis Agencji Informacyjnej Solidarności Walczącej”, współtworzyliśmy „Wolny Głos Nauczycielski”, oczywiście „Biuletyn Dolnośląski”. Gazetą Solidarności Walczącej stała się też „Wolna Polska”, wcześniej wydawana przez Młodzieżowy Ruch Oporu Solidarność oraz także młodzieżowe „Liczą się czyny”. Na pewno nie wymieniałem wszystkich tytułów.

A były przecież drukowane także przeróżnego rodzaju ulotki, plakaty, banknoty, znaczki, kalendarze, wydawaliśmy kasety z nagraniami i cykle fotografii. Po szczególne oddziały tworzyły grupy specjalizujące się w malowaniu napisów na murach, rozwieszaniu transparentów, montowaniu urządzeń, które w miejscach publicznych przez megafony emitowały audycje radiowe. Form działalności było całe mnóstwo.

Solidarność Walcząca kolportowała nie tylko swoje wydawnictwa, ale i wiele innych. Drukowała dla NSZZ Solidarność, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, różnych organizacji młodzieżowych, środowiskowych, zawodowych. Nazwa naszej organizacji w ogóle nie była umieszczana na tych drukach.



Autorem okładki *Małego Konspiratora* był Zbigniew Wolek.

Solidarność Walcząca była też olbrzymią biblioteką, w której można było pożyczać książki, czasopisma, kasety. Naszym nakładem ukazało się ponad sto tytułów książek. Wśród nich tak ważne i obszerne, jak wielotomowy *Archipelag Gułag* Aleksandra Sołżenicyna, *Niezależna Encyklopedia Powszechna*, prace Władimira Bukowskiego, Antoniego Lenkiewicza, Rafała Gan-Ganowicza, Władysława Bartoszewskiego, większość powieści Józefa Mackiewicza, Anki Kowalskiej, Hanny Krall, Marii Toporskiej i wiele innych. Może warto wymienić jeszcze wielokrotnie przez nas wznawianego *Małego Konspiratora* i inne przydatne ludziom podziemia podręczniki – służące nauce drukowania, zdobywaniu umiejętności konstruowania przydatnych w konspirze urządzeń, obronie przed represjami.

**Znaczki, banknoty czy plakaty zawierały czasem grafikę nie byle jakiej jakości.**

Było w naszym kręgu wielu utalentowanych plastyków-amatorów, ale także profesjonalnych artystów malarzy czy grafików. Dobre projekty robili dla nas m.in. Tadeusz Kuranda, Dariusz Olszewski, Jacek Jaśkiewicz, wykorzystywaliśmy projekty Rafała Aleksiana. Grafikę wykonywała też prof. Alfreda Poznańska i kilkoro innych ludzi z pracowni Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Ciekawostką jest też, że właśnie z tej obecnej Akademii Sztuk Pięknych mieliśmy wielu przyjaciół, pełniących funkcję naszych kierowców czy łączników. Pomysłem naszego członka, Andrzeja Waśkiewicza, jest znany napis „Katyń”, w którym zamiast litery „t” jest znak krzyża. On to złowrogi dla Polaków słowo pierwszy tak napisał.

**Wiem, że SW drukowała biuletyn wrocławskiej Oświaty Niezależnej, choć nigdzie nie było zaznaczone, że organizacja miała coś z tym wspólnego.**

To była częsta sytuacja. Podobnie było z wieloma, drukowanymi przez nas gazetkami zakładowymi. Bywało, że we Wrocławiu SW powielala większość tej prasy. Czasem ludzie związani z tymi zakładowymi tytułami potem przyłączali się do nas. Tak było np. z pismem „Jednością Silni”, redagowanym głównie przez „Sabine” – Aleksandrę Czerwińską. Często nie umieszczaliśmy naszej nazwy nawet w redakcyjnej stopce, bo zaznaczenie, że drukowała Solidarność Walcząca bardziej narażało redaktorów, kolporterów. Grażyna Tomaszewska wraz ze swoim narzeczonym, który potem zginął tragicznie w wypadku samochodowym, redagowała świetne pismo nauczycielskie. Drukowaliśmy je i zastosowaliśmy się do życzenia redakcji, by nie umieszczać w piśmie naszej nazwy. Najważniejsze było łamanie komunistycznego monopolu na przekazywanie informacji.

**Redakcje różnych gazetek znajdowały się więc w kilkudziesięciu miastach. Warunki konspiracji ograniczały między nimi kontakt. Jak możliwe było utrzymanie spójności organizacji?**

Poszczególne ogniwa Solidarności Walczącej miały dużą autonomię. Owocowało to różnorodnością publikowanych tekstów. Różny był charakter tych, działających w naszej strukturze, grup. Nie cenzurowaliśmy gazetek, ale zasadą było, że poszczególne egzemplarze były recenzowane. Jeśli coś się nam nie podobało, pisaliśmy o tym do redaktorów. W tych naszych uwagach chodziło nam jednak o jakość tego pisania czy wiarygodność podawanych informacji. Raczej nie o sprawy polityczne czy ideowe. Po jakimś czasie było dość czytelne to, że w Trójmieście, Rzeszowie, Lublinie i na Górnym Śląsku nasza prasa jest wyjątkowo radykalna, a w Poznaniu często nawiązuje do idei konserwatywnych i ma skłonność do intelektualizowania. Nie widzieliśmy w tym niczego niepokojącego. Przeciwnie – dyskusje, ścieranie się różnych poglądów, pomysłów, były dla nas bardzo ważne. Nie przeszkadzało tym bardziej, że obok tych rozmaitych poglądów, w całej prasie SW drukowane były oświadczenia w imieniu całej organizacji. Zadne poważne tendencje rozłamowe w Solidarności Walczącej nigdy się nie zarysowały. Choć, oczywiście, bywało, że nasi członkowie podejmowali działalność w innych ugrupowaniach politycznych. Szczególnie częste było to w 1988 i 1989 roku, gdy wielu wiązało nadzieje z kompromisem zawierającym z komunistami.

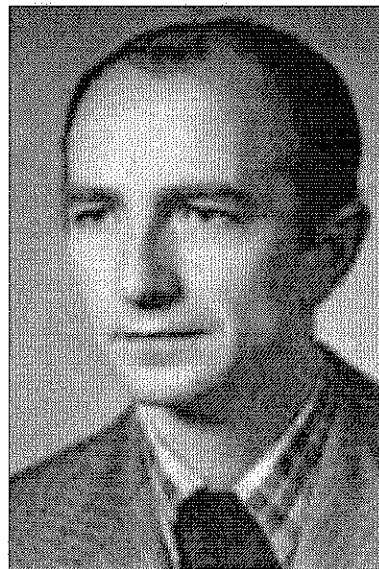
**W ciągu kilkunastu pierwszych miesięcy działalności Solidarność Walcząca miała swoje filie w większości dużych miast Polski. Jak możliwe było tak szybkie nawiązywanie kontaktów?**

Częściowo zawdzięczamy to temu, że pierwszym ośrodkiem SW był Wrocław. Dziś się tego już tak nie odczuwa, ale ówczesnemu w zasadzie prawie każdy dorosły mieszkaniec stolicy Dolnego Śląska był „skądś”. Ja przywędrowałem z Warszawy, inni z Poznania, Lublina, Rzeszowa, właściwie z mnóstwa miast i miasteczek całej Polski, w których ciągle mieszkali rodzice, rodzeństwo, koledzy z szkół średnich, z którymi ciągle miało się kontakt. Drugie źródło kontaktów to znajomości zawodowe, naukowe. Największą grupę zawodową w początkach Solidarności Walczącej stanowili nauczyciele akademicy, chyba z przewagą dziedzin ścisłych. Stąd nie inaczej wyglądały początki SW w Katowicach, gdzie pierwszym ośrodkiem naszej organizacji był Uniwersytet Śląski. Wielu ludzi z różnych miast weszło w nasze struktury np. przy okazji Zjazdu Fizyków Polskich. Na podobnych zjazdach spotykało się ludzi znanych sobie od lat.

**Tak żywiołowy rozwój struktur Solidarności Walczącej mógł być wykorzystany przez SB.**

Bezpieka podejmowała próby stworzenia własnych grup, dążących do podłączenia się do naszej organizacji. Wspominałem już, że taka sytuacja była m.in. w Pile. Dostaliśmy wtedy stamtąd list, z którego wynikało, że działa tam duże środowisko, pragnące konspirować w ramach SW. Od początku, z wielu względów, wyglądało to podejrzanie. Nasz wniosek był taki, że albo piszący do nas fantazjuje, albo są z SB. Pojechali do nich Andrzej Myc i Zbigniew Oziewicz. Bez wątplenia część tych ochotników z Piły miała szczerze zamiary. Nie chcę niczego im ujmować. Jednak szefowali im ewidentni esbecki. Już w czasie pierwszego spotkania z naszego nasłuchu radiowego wynikało, że wszystko jest pod bardzo ścisłą obserwacją. Żenujący był poziom niektórych esbeckich prowokacji. Gdyby powiedzieli, że jest ich kilkunastu i są w stanie rozkolportować paręset egzemplarzy każdego numeru prasy, brzmiałoby to wiarygodnie. Już jednak pierwsze podawane przez nich liczby dowodziły niezajomości realiów podziemia. Podobnych sytuacji było zresztą więcej.

**To pokrzepiające, że SB słabo znała realia podziemia.**



Zbigniew Oziewicz



Andrzej Myc



Myślę, że SB była niewspółmiernie lepiej przygotowana do rozpracowywania opozycjonistów działających jawnie, przeróżnych „półopozycjonistów”, dysydentów, odszczepieńców, wywodzących się z ich własnego obozu. Jeśli struktury były rzeczywiście tajne, trzymające się zasady kontaktowania się z ograniczoną liczbą osób, bezpieczeństwa miała nieporównanie trudniejsze zadanie i nie raz kompromitowała się nieznanymi realiami. Różnych esbeckich akcji było sporo. Często spotykaliśmy się np. z fałszywkami – podrabianymi wydaniem rzekomo naszej prasy. Czasem był to jakiś ewidentny absurd – „Solidarność Walcząca” odbita na ksero i zawierająca jakieś zupełne bzdury. Były bardzo łatwo rozpoznawalne już po czcionce, zastosowanej technice drukarskiej. Raczej nas to bawiło, niż nam przeszkadzało. Przypuszczam, że czytelnicy nie dawali się na to nabierać, a sam fakt, że w walce z nami często uciekano się do takich metod – stanowił dla nas pewnego rodzaju komplement, no i reklamę. Nieco groźniejsze były starannie podrobione wydania naszej prasy, w których fałszerze zmieniali treść tylko jednej informacji. Teoretycznie mogło to narobić zamieszania, siać podziały, antagonizmy. Sprawę jednak zwykle łatwo dawało się wyjaśnić. Jak ktoś miał do nas o coś pretensje w związku z konkretnym tekstem w którymś numerze – pokazywaliśmy prawdziwe, oryginalne jego wydanie. Stawało się jasne, że to robota SB i po całej awanturze. Bywało, że SB wprowadzało dezorientację, rozrzucając ulotki wskazujące inny czas i miejsce demonstracji od tych, które my planowaliśmy. Kiedyś zrobili tak, wskazując jako miejsce zbiórki wrocławski Rynek. To też nie było zbyt inteligentne z ich strony. Bywalcy demonstracji wiedzieli, że to jest złe miejsce, gdyż łatwo je otoczyć, zamknąć ciasne ulice i wyaresztować uczestników. Zapowiedzianego dnia okazało się zresztą, że zawiodła koordynacja między MO i SB. Milicja, spodziewając się demonstracji, dążyła do tego, by nie wpuścić nikogo do Rynku. Część ZOMO została więc zaangażowana daleko od miejsca, w którym rzeczywiście doszło do manifestacji. Zapewne w związku z brakiem efektów w walce z naszym radiem – SB zaczęła sporadycznie nadawać fałszywe audycje Radia SW. Efekt był żalospny. Kupa śmiechu.

#### **Kolporterzy SW nie docierali wszędzie. Co robiono, by dotrzeć do jak największego grona odbiorców?**

Oczywiście, ważne było, żeby nie zamykać się w gronie zaangażowanych w konspirację i ich środowisk. Zawsze apelowaliśmy o to, by przeczytane publikacje podawać dalej. Pisaliśmy w naszych gazetkach *Przeczytałeś – wyślij na wieś!* Sami też zresztą wysyłaliśmy prasę do setek miejscowości. Adresy czasem ktoś nam podawał, często były przypadkowe. Np. w książkach telefonicznych znajdowaliśmy adresy sołtysów, szkół, lekarzy, weterynarzy, kościołów, siedzib Ochotniczej Straży Pożarnej. Pakowaliśmy do kopert tyle bibuły, ile się mogło zmieścić, i wysyłaliśmy. Nasze gazetki można też było zaprenumerować, co było szczególnie ważne dla ludzi mieszkających daleko od miast, w których działaliśmy.

**Podobno zdarzało się, że pojawiały się jakieś grupy utożsamiające się z Solidarnością Walcząca, które podejmowały działalność, nie mając kontaktu z rzeczywistym rdzeniem organizacji.**

Bywało tak. Działającego w ten sposób Stefana Buholtza poznałem potem w Ameryce, w Portlandzie. Nie miał z nami kontaktu, ale drukował ulotki z nazwą naszej organizacji, za co zamknęli go w więzieniu, a potem wyemigrował. Działał na

Pomorzu Szczecińskim. Były takie grupy nawet we Wrocławiu. Chyba najczęściej tworzyła je młodzież. Nie miała z nami kontaktu, ale malowała na murach całą masę napisów „Solidarność Walcząca”, rozwieszała transparenty, a nawet organizowała demonstracje. Niedaleko kościoła św. Wawrzyńca mieszkał Darek Bogdan – młody chłopak, który był w rękach SB za udział w demonstracjach i za rozklejanie plakatów Solidarności. Cotygodniowe msze za więźniów sumienia w świątyni na Bujwida odbywały się w asyście sił ZOMO. Bywało, że wierni nie mogli wyjść z kościoła do pierwszej w nocy. Często ludzi po mszy zatrzymywano, stawiano zarzuty uczestnictwa w nielegalnym zgromadzeniu itd. Darek postanowił odciągnąć te siły milicyjne spod kościoła św. Wawrzyńca. Kilka ulic dalej zorganizował demonstrację, szybko przekształconą w rozruchy. Chłopcy byli przygotowani do starć z ZOMO. Uciekając przed milicją, wbiegali do bram, wcześniej wyposażonych w sztaby. Uchodząc pogoni, pojawiali się w innych miejscach. Kolumny milicji odjeżdżały spod kościoła, by tłumić zamieszki. O ile wiem, Darek Bogdan bezpośredni kontakt z naszymi strukturami nawiązał dopiero po jednym z aresztowań. Śledztwo w jego sprawie było zresztą wyjątkowo brutalne. Był strasznie pobity. W więzieniu ratował go lekarz – członek Solidarności Walczącej. Takich grup, które zawiązywały się po tym, jak dotarła do ich środowisk nasza bibuła, było sporo. Oczywiście, kiedy nawiązywaliśmy z nimi kontakt, zachowywaliśmy dużą ostrożność. Mogli to być najszczersi przyjaciele, ale mogli to być też prowokatorzy.

**Czy strukturę Solidarności Walczącej dałoby się przedstawić w formie jakiegoś wykresu?**

Myszę, że kształt tej struktury byłby trudny do narysowania. Nie żyje już część ludzi, którzy stanowili ważne ogniwa, łączące poszczególne grupy. Wiele zespołów się nie znało, mimo że ze sobą ściśle współdziałały. Kontaktowały się za pomocą „śluz”, czasem nawet podwójnych i potrójnych, oraz „skrzynek”. Ponadto struktura podlegała stałej ewolucji. Dokonywane były przegrupowania, reorganizacje. W różnych okresach rozmaicie wykres ten by wyglądał. Takimi grupami, które nie zmieniły swego ulokowania przez wszystkie te lata, były niektóre redakcje (np. głównego wydania „Solidarność Walcząca”) oraz komórki kontrwywiadu.

**Czy przewodniczący Solidarności Walczącej w latach, kiedy organizacja ta pracowała pełną parą, miał dobrą orientację w tym, jak struktura ta wyglądała?**

Chyba tylko w głównych zarysach. Nie wiedziałem, ilu ludzi w grupach ulotkowych ma oddział Solidarności Walczącej w Trójmieście, Gorzowie czy nawet oddział Dolny Śląsk. Ani też, jak liczna jest sieć kolporterów związanych z poszczególnymi drukarniami. Za każdą część organizacji odpowiadał ktoś z naszych ludzi, który z kolei miał ograniczoną orientację w innych odnogach całej tej siatki. Taki trochę nieczytelny jej charakter, cała ta „struktura fraktalna”, stanowił jej siłę.

## Solidarność Walcząca – nie tylko w Polsce

---

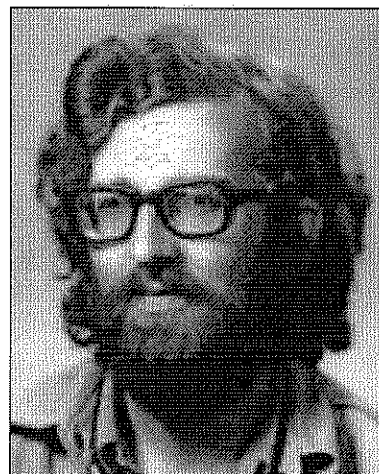
**Tylko NSZZ Solidarność dysponował podobną siecią zagranicznych przedstawicielstw. Jak one powstały?**

Powstanie Solidarności Walczącej trafiło w oczekiwania wielu ludzi tak w kraju, jak i za granicą. Nie tylko założyciele organizacji uważali, że potrzebne jest stworzenie wyrastającej z Solidarności formacji, artykułującej jednoznaczne cele polityczne – ostateczne obalenie komunizmu, całkowitą niepodległość. Stan wojenny zastał za granicą wielu Polaków. Byli wśród nich nasi znajomi, współpracownicy „Biuletynu Dolnośląskiego”, pracownicy naukowcy, przebywający na zagranicznych kontraktach, którzy zdecydowali się po 13 grudnia zostać na emigracji. Także ludzie niezwiązani wcześniej z opozycją czy Solidarnością, którzy w 1982 roku lub później postanowili wspierać nasze działania zza granicy. Oczywiście, jeśli były to wcześniej osoby nam nieznane, musiały jakoś się uwiarygodnić. Pomoc, jaka płynęła dla nas z zagranicy była bez porównania dużo mniejsza od tej, którą otrzymywał związek Solidarność. Otrzymywał on pieniądze od władz amerykańskich, a także od wielu różnych, zachodnich związków zawodowych. My dostawaliśmy mniej, ale zarazem nie przyjmowaliśmy w prezencie żadnego „konia trojańskiego”. Z darami przyjmowanymi przez NSZZ Solidarność nie zawsze wszystko było w porządku. Do podziemnych związkowców płynął dużo większy strumień wsparcia, ale to w jakiejś mierze dzięki niemu SB penetrowała struktury Solidarności. Bardzo gorzka prawda jest taka, że brukselskim biurem związku zarządzała wtyczka bezpieki. Pozwolę sobie też powiedzieć, że chyba dużo lepiej wydawaliśmy pieniądze. To, co zostało kupione na Zachodzie, zawsze było dobrze spożytkowane. Dużą pomocą było dla nas wsparcie Jerzego Giedroycia. Paryska „Kultura” organizowała zbiórki pieniędzy dla SW, apelowała o wpłaty dla nas, zamieszczała listy darczyńców na swoich łamach. Podobnie działały też inne środowiska emigracyjne. Pojawiła się też grupa niemieckich przyjaciół SW. Nie znaliśmy z niej nikogo, ale oni bardzo pragnęli nam pomóc. Dowiedzieli się, co jest nam potrzebne. Kupowali, organizowali przemyt. Takich sytuacji było więcej. Wszystkim jesteśmy wdzięczni za tę pomoc. Dzięki skanerom

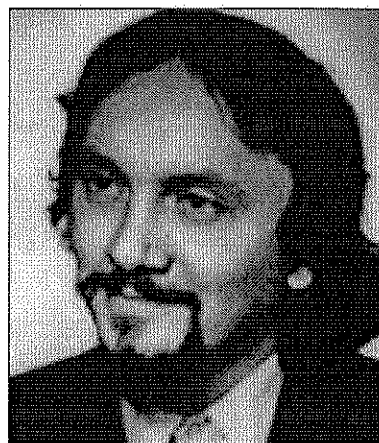
wielu z nas uniknęło więzienia. Aparatura nadawcza odegrała dużą rolę. Nie bez znaczenia było też to, że dzięki tym napływającym darom wiedzieliśmy, że świat o nas nie zapominał, że mamy różnych przyjaciół, z którymi się nie znamy, ale którzy solidaryzują się z nami i są bardzo ofiarni. W Radzie Solidarności Walczącej kontaktami zagranicznymi zajmował się Michał Gabryel, a potem Andrzej Zarach. Michał z powodów zawodowych bywał za granicą. W Monachium spotkał się m.in. ze Zdzisławem Najderem. Andrzej miał za granicą dość rozległe kontakty naukowe. Obydwaj byli świetni w tej roli. We Wrocławiu od 13 grudnia ukrywał się mój przyjaciel, obywatel amerykański, Garret Sobczyk. Działał w naszych strukturach. Po wyjeździe do USA wspierał nas finansowo, organizował różnoraką pomoc oraz przekazywał zachodniej prasie informacje o naszej działalności. Podobnie było z innymi członkami SW, którzy w ten czy inny sposób znaleźli się na Zachodzie. Z roku na rok było ich coraz więcej: Dariusz Olszewski, Andrzej Myc, Cezariusz Lesisz, Ludwika Ogorzelec, Ewa Kubasiewicz, Zbigniew Bełz, Paweł Falicki...

#### **Przedstawiciele Solidarności Walczącej działali w kilku krajach.**

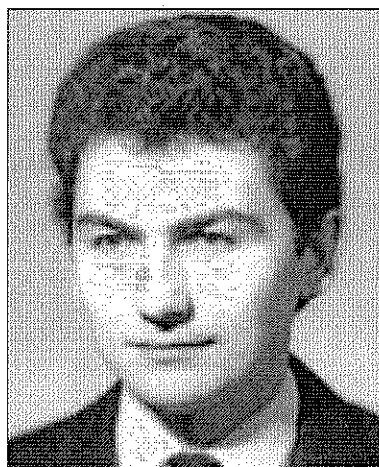
Wymienię tylko niektórych. Andrzej Wirga oddał nam wielkie usługi, reprezentując nas i przysyłając pomoc z Niemiec. Odegrał też ważną rolę, biorąc udział w zdemaskowaniu bardzo groźnych agentów SB, małżeństwa Gontarczyków, działających m.in. w okolicach księdza Blachnickiego. Zadali oni poważne szkody polskiej emigracji, dążyli do wprowadzenia agentury w struktury podziemia. Kiedy wyszło na jaw, kim są, uciekli z RFN do Polski. Zresztą Gontarczykowa w czasach rządów Leszka Millera piastowała lukratywną posadę w jednym z ministerstw. W Paryżu *de facto* naszym przedstawicielem był Rafał Gan-Ganowicz, a po wyjeździe z Polski Ludwika Ogorzelec i Ewa Kubasiewicz. W Oslo działał Jerzy Jankowski, w Berlinie Kazimierz Michalczyk. Naszymi reprezentantami w USA byli m.in. Dariusz Olszewski, a także Andrzej Myc i Cezariusz Lesisz. Za granicą Polsce i SW szczególnie przysłużył się Tadeusz Warsza, mój przyjaciel z lat szkolnych. Utrzymywałem z nim stałą łączność konspiracyjną przez całe długie lata 80. W Londynie odbijał i kolportował nasze wydawnictwa, zbie-



Michał Gabryel



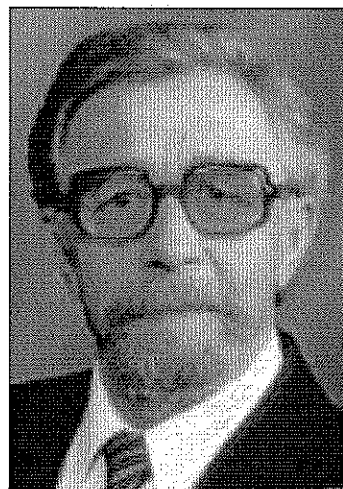
Andrzej Zarach



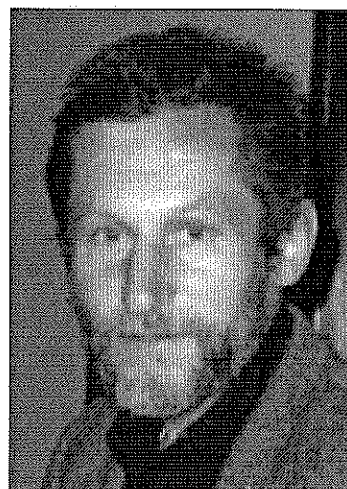
Cezariusz Lesisz



Ludwika Ogorzelec



Jerzy Jankowski



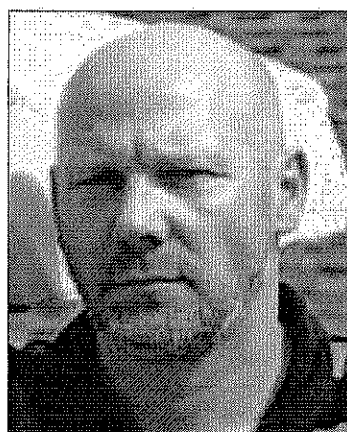
Tadeusz Warsza



Kazimierz Michalczyk



Rafał Gan-Ganowicz



Dariusz Olszewski

rał dla nas znaczące pieniądze, utrzymywał łączność z Emigracyjnym Rządem Londyńskim. Przyjeżdżał i spotykał się ze mną w podziemiu.

**Od wolnego świata Polska była oddzielona krajami zdominowanymi przez Związek Sowiecki. Łączność z Zachodem odbywać się musiała nie przez jedną, ale przez parę granic. Jak więc była możliwa?**

To nie było łatwe, ale znalazło się co najmniej kilka sposobów. Korespondencja od nas jechała na Zachód pociągami. W wagonach zawsze znajdują się jakieś skrytki. Dość prostą, a skuteczną stanowiły po prostu tablice z nazwami stacji docelowych. Na granicy raczej nikt nie wpadł na to, żeby pod nie zaglądać. Często wykorzystywane były transporty z pomocą humanitarną. W miastach portowych szansę stanowiła droga morska. We Wrocławiu mieliśmy strukturę o nazwie „Kotwica”, działającą w miejskim porcie, stoczni rzecznej i żegludze śródlądowej. Polskie barki pływały przecież także do Niemiec. Przywoziły m.in. urządzenia poligraficzne. Z „Kot-

wicą” wiąże się jednak pewna niewyjaśniona tragedia. W niejasnych okolicznościach zginął jeden z naszych ludzi. Jego koledzy byli jednoznacznie przekonani, że była to robota bezpieki. Do tego stopnia byli tego pewni, że niektórzy z nich postanowili pozostać na Zachodzie przy okazji najbliższego rejsu. Jest to jedna z tych niewyjaśnionych śmierci, których wiele było w latach osiemdziesiątych. Nie została jednak nawet umieszczona na tzw. Liście Rokity, składającej się z nazwisk stu osób zabitych w latach osiemdziesiątych w niewyjaśnionych okolicznościach. Trzeba dążyć do wyjaśnienia takich tragicznych zdarzeń.

**Z „Kotwicą” wiążą się jednak podejrzenia, że była to struktura dość dobrze rozpoznana przez SB.**

Składała się ona ze wspaniałych, bardzo ofiarnych ludzi. Działała jednak w otoczeniu mocno zinfiltrowanym. Chłopcy z „Kotwicy” byli zatrudnieni, między innymi, jako marynarze barek pływających na Zachód. Niektórzy ich koledzy od lat zajmowali się przemytem. Być może, właśnie jacyś koledzy z pracy którymś razem z jakąś kontrabandą wpadli i uratowali skórę za cenę współpracy z SB? W czasach PRL-u sama bezpieka zajmowała się przemytem na dużą skalę, no i nie spuszczała oka z tych, którzy z przyczyn zawodowych często przekraczali granicę. Ludzie z „Kotwicy” funkcjonowali więc w niebezpiecznym miejscu. Nie potrafimy wyjaśnić okoliczności śmierci jednego z nich, ale może doszło do niej w wyniku zdemaskowania ludzi SB – też pracujących na barkach albo zamieszkałych na Zachodzie i tam prowadzących swoją działalność, być może, polegającą nie tylko na śledzeniu naszej emigracji, ale i organizowaniu kontrabandy po tamtej stronie granicy.

**Z informacji Piotra Serwaczaka i Tadeusza Świerczewskiego wynika, że Solidarność Walcząca, i to już w 1982 roku, wykorzystywała łączność... satelitarną. Brzmi to jak opowieść z gatunku science fiction, ale coś jest chyba na rzeczy...**

Ta sprawa jest mi nie do końca znana, choć ciekawa i warta jakiejś rekonstrukcji. Jak wiadomo, 13 grudnia 1981 roku zakazano m.in. działalności krótkofalowców-amatorów. SB, przynajmniej czasowo, rekwirowała lub pieczętowała im sprzęt. Oczywiście, pewna część tego sprzętu została ukryta przed komunistami. Od lat w przestrzeni kosmicznej znajdował się satelita geostacjonarny, wyniesiony przez Amerykanów i służący amatorom krótkofalarstwa. W 1981 r. ogłoszono jednak, że czas jego eksploatacji dobiegł końca. Ale niedługo potem wrocławscy krótkofalowcy związani z Solidarnością Walcząca stwierdzili, że satelita ten transmituje wysyłane w jego kierunku sygnały. Było to o tyle logiczne, że po jego teoretycznej śmierci technicznej nikt go z kosmosu nie strącał. Dalej był na swoim miejscu, zasilany bateriami słonecznymi, które jeszcze zachowały częściową sprawność. O faktach tych wtedy tylko słyszałem. Oprócz Tadeusza Świerczewskiego związek z nią mieli ludzie wywodzący się niegdyś z Armii Krajowej, a nawet Kierownictwa Dywersji – jak wspomniane małżeństwo Krzysztoniów czy dr Zdzisław Ojrzyński. Łączność satelitarna byłaby wtedy przydatna zarówno w kontaktach z naszymi ludźmi za granicą, jak i pomiędzy naszymi oddziałami w kraju. Niestety, część ludzi zaangażowanych w ten projekt już nie żyje. Nie wiem, jak daleko zaszły wtedy ich działania. Czyli – jeszcze jedna sprawa warta wyjaśnienia.

**Prawdopodobnie z wrocławskimi krótkofalowcami i tym amerykańskim sztucznym satelitą wiążą się jednak początki Radia Solidarność.**

Już w styczniu 1982 roku został nadany długi komunikat alfabetem Morse'a na falach krótkich. Zawierał informacje o wydarzeniach w Polsce i przeznaczony był dla odbiorców zagranicznych. Może właśnie wtedy okazało się, że teoretycznie nieczynny sztuczny satelita dobrze przekazuje sygnał.



Z tego domu przy ul. Radeckiego we Wrocławiu późniejsi działacze SW nadawali pierwsze w Polsce podziemne audycje radiowe (styczeń 1982).

**Rekwirowanie sprzętu krótkofalarskiego w stanie wojennym przybierało czasem dość groteskowe formy. Z harcówki ZHP przy ul. Grochowej zabrali nie tylko stare radiostacje i zwykłe radioodbiorniki, ale też zwykłe saperskie łopatkki. Nadgorliwcy doszli do wniosku, że po zaostrzeniu mogą służyć jako niebezpieczna broń biała.**

Funkcjonariusze reżimu w tamtych czasach dostrzegali groźny oręż w harcerskich łopatkach do okopywania namiotów, ale po naszej stronie rodziły się chyba bardziej niezwykle pomysły. Po emisji Morse'em do zagranicznych krótkofalowców od razu zrodziła się myśl nadawania audycji radiowych na falach UKF. Do pierwszej, próbnej emisji doszło już w lutym 1982 roku. Była udana, ale nie miała wielu odbiorców, gdyż nie kolportowaliśmy na ten temat informacji. Jeśli dobrze pamiętam, nasza eksperymentalna radiostacja emitowała program z któregoś z budynków Akademii Medycznej. Był słyszalny przynajmniej w najbliższych okolicach. Efektem była przede wszystkim burza mózgów w naszej podziemnej organizacji. Prześcigano się w pomysłach, jak nadawać w sposób możliwie bezpieczny, a zarazem jak najbardziej efektywny. Między innymi pojawiła się myśl, by podłączyć się do tramwajowej sieci trakcyjnej i wykorzystać ją jako wielką antenę. Ostatecznie zwyciężyły inne rozwiązania.

**Pod koniec lat osiemdziesiątych ludzie Solidarności Walczącej szkolili w druku opozycjonistów z Czechosłowacji, Ukrainy, Białorusi, Rosji, Litwy, Gruzji. Na Wschód jechały powielacze, wcześniej użytkowane przez SW. Nie były to jednak pierwsze działania na rzecz wolności innych krajów „obozu”.**

Może wspomnijmy tylko o jednej akcji, którą przeprowadziliśmy w połowie lat osiemdziesiątych. Przygotowaliśmy kilkaset kopert z nadrukiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Do środka włożyliśmy gazetki Solidarności Walczącej w języku ukraińskim i rosyjskim. W większych były całe paczuszki bibuły. Chyba we wszystkich kierowanych na Ukrainę – także znaczki poczty Solidarności Walczącej

z hasłami i symbolami niepodległości tego kraju. Adresy zdobyliśmy z różnych źródeł. Dużo tu pomógł m.in. Mikołaj Iwanow. W umówionym dniu wysłaliśmy tę pocztę, wrzucając ją do skrzynek w kilkunastu polskich miejscowościach. Większość tej korespondencji doszła do adresatów i musiała zrobić wrażenie, gdyż wydarzenie to komentowały m.in. serwisy światowe BBC.

**Już w 1982 w programie SW zawarta była niezmiennosc wschodniej granicy Polski. Dla wielu Polaków Lwów i Kresy to były strony rodzinne, pradawna ojczyzna...**

W programie napisaliśmy, że granic w Europie nie należy zmieniać, by nie pomnażać nieszczęść. Procesy, związane z ich przesunięciem w 1945 roku, uważaliśmy za nieodwracalne. A już na pewno próba zmiany tego akurat porządku musiałaby się wiązać z tragedią wielu ludzi. Te nowe linie graniczne zostały zresztą narzucone przez Stalina między innymi po to, by skonfliktować ze sobą różne narody sowieckiego imperium. Celem było to, żebyśmy my bali się Niemców, Ukraińcy i Litwini nas, Rumuni Węgrów itd. My w SW uważaliśmy, że zbliżenie z innymi nacjami sowieckiego imperium stanowi jeden z kluczy do jego rozsądzenia. W programie napisaliśmy też, że porządek międzynarodowy, do którego zmierzamy, zapewnić ma większą przenikalność granic. Polegać to miało na możliwości zamieszkiwania, gdzie się chce, pielęgnowania dziedzictwa, które po wojnie znalazło się na obszarze innego państwa. Granice miały przestać być tym nierozwiązywalnym węzłem gordyjskim.

Nie obyło się jednak bez pretensji o ten punkt programu. Świetny pisarz, którego bardzo cenię, autor *Hymnu Solidarności*, Jerzy Narbutt spytał mnie wprost, kto mnie upoważnił do deklaracji zrzeczenia się Wilna i Lwowa. Podobne głosy nadchodziły z szeregów samej Solidarności Walczącej, w której było bardzo wielu ludzi z dawnych wschodnich województw Drugiej Rzeczypospolitej.

**Działalność Solidarności Walczącej wiązała się z dużymi kosztami. Skąd organizacja brała na to pieniądze?**

Około 60% kosztów działalności pokrywaliśmy sami. Nasze wydawnictwa były w większości płatne i raczej się samofinansowały. Oczywiście, nie mogły się samofinansować ani ulotki, ani sprzęt nagłaśniający, który rozwieszaliśmy na drzewach i który emitował audycje tak długo, aż został strącony przez SB albo strażaków. Ci ostatni zresztą ewidentnie ociągali się z takimi zadaniami. Słyszeliśmy o przypadkach, w których SB wzywało strażaków do zdejmowania naszych megafonów, a oni udawali, że właśnie coś się pali na drugim końcu miasta i że to jest dla nich ważniejsze.

**Słyszałem, że potrafili przyjechać, ale bez drabiny. Zgromadzony tłum urządził wtedy owację na cześć strażaków wyposażonych jedynie w armatkę wodną.**

Zgadza się. To były bardzo często niezapomniane sytuacje, które jednak trochę nas kosztowały. Zyski przynosiła sprzedaż znaczków, plakietek, kalendarzy, plakatów, książek. Solidarność Walcząca wydała kilkadziesiąt bardzo poczytnych tytułów. Zysk umożliwił nam przeprowadzenie takich działań, jak np. te listy na Wschód. To były w końcu tysiące znaczków pocztowych, kopert i nieco kosztowniejszych druków. Stale potrzebne były pieniądze na wsparcie rodzin uwięzionych czy wyrzuc-



nych z pracy. Ci, którzy byli wyrzuceni z pracy i nie mieli szansy podjęcia zatrudnienia, dostawali od nas skromne kwoty, ale zwykle w zamian za pracę. Najczęściej polegającą na drukowaniu. Z punktu widzenia reżimu komunistycznego zwalnianie z pracy z „wilczym biletem” raczej się nie opłacało. Ktoś taki mógł trafić do nas i jeśli rzeczywiście jego sytuacja wyglądała tak, że żadnej pracy dostać nie mógł, zostawał kimś w rodzaju etatowego drukarza. Choć umowa, jaką zawieraliśmy, była raczej akordowa. Chyba najczęściej oznaczała wynagrodzenie w wysokości 20% ceny wydrukowanych gazetek. Jeśli pracowało się osiem godzin dziennie, można było zarobić średnią krajową pensję. Takich drukarzy mieliśmy sporo. Byli cenni, bo nie przeszkadzała im praca zawodowa. Osiągali najwyższą jakość druku i bez przerwy szkolili nowych. Warto zaznaczyć, że w SW wielu ludzi bardzo surowo pilnowało pieniędzy organizacji. Czasem wręcz do przesady. Zofia Maciejewska kazała kiedyś zapłacić za powielacz ludziom, którzy go stracili w czasie aresztowania. Podobnie zachował się kiedyś Janusz Krusiński, kiedy jego kurierzy, w czasie ucieczki przed esbecją, zgubili torby z książkami.

**To dosyć znane wydarzenie. Z Januszem współpracowała grupa młodzieżowa Ewy Kapały, która została wysłana z plecakami do Warszawy po książki drugiego obiegu. W drodze powrotnej chłopcy ci zorientowali się, że tym samym pociągiem jadą z nimi esbecy, którzy „przyczepili się” do nich najprawdopodobniej właśnie w stolicy. To warszawskie mieszkanie z książkami musiało być obserwowane przez SB. Stwierdzili, że muszą uciekać, ale nie mają szans uratowania plecaków z książkami. Sprawdzili, czy nie ma w nich jakichś elementów ułatwiających identyfikację (dokumentów, adresów) i postanowili wyskoczyć z wagonu, kiedy tylko pociąg stanie przed semaforem. Pociąg rzeczywiście zaczął hamować gdzieś w okolicach Borowy Oleśnickiej. Jednak w momencie, kiedy zbliżyli się do drzwi, rzuciło się na nich kilku funkcjonariuszy SB. Wywiązała się bezpardonowa bijatyka. W pewnym momencie któryś z esbeków został trzaśnięty drzwiami, zawył w niebogłose, a chłopcy powyskakiwali z pociągu w czarną noc. Najpierw pędzili na oślep przez jakieś wielkie pola. Dopiero po dłuższym czasie zdołali się pozbierać i bezpiecznie dotarli do domu. Janusz był wściekły z powodu utraty dużej ilości książek, ale uspokoił się, kiedy jakimś kanałem Solidarności Walczącej dotarła informacja, że właśnie tego dnia funkcjonariusze SB wdali się w bijatykę w pociągu, która dla jednego z nich skończyła się otwartym złamaniem ręki.**

Ja nie byłem zwolennikiem tak restrykcyjnych rozwiązań, żeby kazać działaczom płacić za sprzęt, który został utracony w czasie nalotu SB. Niektórzy popadali jednak w przesadę, a może mieli po prostu duże poczucie odpowiedzialności? Musieliśmy jednak bardzo dobrze gospodarować, bo pieniędzy zawsze mieliśmy mało. Tym cenniejsza była pomoc naszych sympatyków. To zresztą widać w naszych gazetkach, na łamach których dziękowaliśmy ofiarodawcom. To były najprzeróżniejsze formy pomocy. Co chwila ktoś dostarczał kawę. Wielu było przekonanych, że drukuje się przede wszystkim w nocy i ten, na owe czasy, rarytas regularnie był nam przez kogoś dostarczany. Jak poszła w świat wiadomość, że farbę drukarską robimy z pasty BHP, od razu mieliśmy zapasy na dłuższy czas. Zapewne robotnicy podkradali ją w swoich fabrykach. Cały czas ktoś dosyłał papier, ktoś gdzieś załatwiał matryce,

jakieś odczynniki chemiczne, bardzo często żywność – konserwy, mąkę, cukier, domowe konserwy w słoikach. Miałem wrażenie, że upowszechniał się zwyczaj, według którego, jak ktoś dostawał paczkę z zagranicy, to czuł się w obowiązku podzielić z konspiracją. Trafiły więc do nas i czekolady, i proszki do prania. Nie zawsze wiedzieliśmy, co zrobić z niektórymi darami. Nie wiem np., czy przydały się na coś tranzystory, które ktoś nam przysyłał. Nie pamiętam, czy nadawały się do naszych urządzeń. Zawsze jednak było dla nas bardzo pokrzepiające, że tak wielu nas wspiera. Przez całe lata pojawiały się nasze podziękowania dla ofiarodawców ukrywających się pod jakimiś pseudonimami. Co miesiąc w „Solidarności Walczącej” zamieszczaliśmy np. informacje o wpłatach „Rodziny z MPK”. Musieli być to jacyś nasi sympatycy, którzy wysyłali nam część każdej swojej wypłaty. Takie gesty podtrzymywały nas nie tylko materialnie, ale i moralnie. Wiedzieliśmy, że mamy poparcie, że szerokie kręgi darzą nas zaufaniem. Jasne było, że to były pieniądze często od ludzi bardzo niezamożnych. Wiele datków to był taki najprawdziwszy „wdowi grosz”. Musiał być wykorzystany jak najlepiej. Zawsze wszystkim ofiarodawcom byliśmy bardzo wdzięczni. Nawet najskromniejsze datki były dla nas bardzo ważne.

Becenna była też pomoc płynąca z zagranicy. Przekazywały nam ją nasze przedstawicielstwa. Tadeusz Warsza w Londynie przyjmował wpłaty Rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie. Regularnie zasilaly nas budżet. O paryskiej „Kulturze” już wspominałem – wpłacała na nasze konto sto dolarów miesięcznie. To wtedy nie było mało – kilka przeciętnych, polskich pensji. Jerzy Giedroyc dość szybko w swoim miesięczniku założył kącik pod tytułem *Wpłaty dla Solidarności Walczącej*.

**Zagraniczne przedstawicielstwa przekazywały informacje o działalności SW „wielkim tego świata”.**

Raczej chodziło o przedstawienie naszej oceny sytuacji w Polsce i bloku sowieckim, zwrócenie uwagi na jakieś ważne problemy, niż o samą informację o Solidarności Walczącej. Choć oczywiście, gdyby poszła za tym jakaś pomoc, to byśmy nią nie wzgardzili. W 1985 roku, w czasie spotkania Ronalda Reagana z Michailem Gorbaczowem w Genewie prezydentowi USA został przekazany list od naszej organizacji.

**Na co SW przeznaczyłoby pieniądze, gdyby miało ich więcej?**

Na walkę. Na pewno wyposażylibyśmy większą część naszych działaczy w skanery służące do podsłuchiwania rozmów SB. Nigdy dość troski o bezpieczeństwo,

**DZIEKUJEMY:** Wrona 500, Inna 5 S, Dębowa twarz 2000, Szklko 2000, Ratownik 500, Izidor 720, Kwiatek 500, Od Anki i Tomka dla więzionych 10000, M. Jastrzębie dziękujemy, Kazimierz Lwowiakowi za papier, Danusia 2 kartki żyw., Ada 200, S.G. 3000, Orzeł B. 2000, Izidor 3000, Zoska II 2850, Stokrotki 2 kartki żyw., Sesja 300, Krystianin 1000, Wystraszony 200, Ciotki 600, Bolko 6500, Apasjonata 8420, Piastus 2000, Wodociąg 2000 (powtórka), Pierwiosnki 3500+7500 (dla represjonowanych), Kozak 500, Dwójka 5000, Dniastrzanka 500, As 1900, Jastrzębie 1300, Kapral 1700, Zespół I 5500, Włoch 300, Kawa 4000, SS 84 1000, Pol 2000, Urszulanki 3100+papier, Pan 2000, Inter national hoodlans 200 FF+2000, Iran 1000, dziękujemy "Przetowi" za trud dla wspólnej sprawy i życzymy doczekania wolności.

SW nr 25/92 zamknięto 27. 11. 1984 r.

Wydaje Ag. Inf. Solidarności Walczącej

Niezależna prasa przekazuje nierozorientowanym, slij na wieś, propaguj cawarła w niej traci!

Każdy numer centralnego wydania „Solidarności Walczącej” zawierał listę podziękowań za wpłaty i pomoc rzeczową.

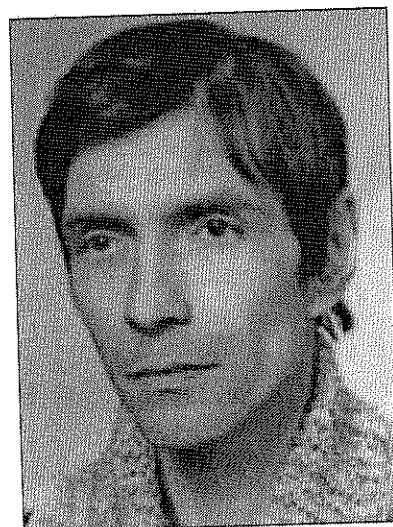
a to by je podniosło. Byliśmy też bliscy bardzo skutecznego wchodzenia na fonie i wizję Telewizji Polskiej. W praktyce polegało to na tym, że zagłuszaliśmy sygnał państwowych mediów i wchodziliśmy w to miejsce z własną audycją i obrazem. Był nim napis *Solidarność Zwycięży*. Nadaliśmy taki program w kilku miastach, chyba zawsze na początku „Dziennika Telewizyjnego”. Jeśli jednak dźwięk był słyszalny na dość dużym obszarze – to obraz raczej na małym. Żeby osiągnąć postęp w tym przedsięwzięciu, potrzebowaliśmy wielu kosztownych i niedostępnych w Polsce części, w zasadzie – całego laboratorium. Metoda polegająca na nagłym wchodzeniu ze swoim sygnałem była w dużym stopniu bezpieczna. A kilkuminutowa audycja o odpowiedniej porze w środku miasta mogła dotrzeć do setek tysięcy ludzi.

### **Oparciem dla Solidarności Walczącej był Kościół.**

Oczywiście, tak. Zawsze mogliśmy liczyć na wsparcie wielu księży. Dzięki parafiom wiele naszych działań w ogóle mogło dojść do skutku. Wraz z trafiającymi do nich transportami humanitarnymi docierała adresowana do nas pomoc materiałowa, sprzętowa. Zawsze można było liczyć na ks. Franciszka Głoda z kościoła św. Elżbiety Węgierskiej przy ul. Grabiszyńskiej. W czasach mojego ukrywania się widywałem się m.in. z księdzem Adamem Białkiem z kościoła św. Augustyna przy Sudeckiej. Przemycony dla nas z Holandii sprzęt poligraficzny trafiał np. do parafii na Psim Polu. Rola Kościoła była w tych latach nie do przecenienia. I to nie tylko ta duchowa, formacyjna, umacniająca nadzieję, polegająca na podtrzymywaniu wiary w sens zmagania z komunistycznym reżimem. To była też pomoc bardzo konkretna.

### **Jesienią 1982 roku dotarła do ciebie wiadomość, że lada dzień zostaniesz aresztowany.**

To było na początku października. Byłem właśnie na spotkaniu Rady Solidarności Walczącej, w jednej z kamienic przy ul. Lwowskiej. Nagle usłyszeliśmy warkot motocykla i pisk jego hamulców. Do mieszkania wbiegł Stanisław Mittek „Gad”. Powiedział, że ma pewną informację, która dotarła do niego z SB. Miałem zostać aresztowany, być może, nawet w ciągu najbliższych godzin. SB miała dokładnie wiedzieć o miejscu mojego pobytu. Powiedział też, że ma miejsce na wsi, w którym może mnie ukryć i w którym nikt mnie nie znajdzie. Wystarczy, że wsiądę z nim na motocykl. Zapadła głucha cisza. Niektórym było wiadomo, że mamy jakichś ludzi, którzy dysponują możliwością poinformowania nas o niektórych ruchach i zamiarach SB. Pomyślałem krótką chwilę i postanowiłem, że nie będę uciekał. Powiedziałem, że jeśli to jest prawda, to informacja musiała wyjść od kogoś ze znajdujących się tu osób. Stwierdziłem, że jeśli rzeczywiście mam być aresztowany, to nie ma innej możliwości – bezpieczeństwa musiała dostać informację z najbliższego kręgu, spośród najbliższych mi ludzi. A w takim razie ucieczka nie ma większego sensu. Oświadczy-



Stanisław Mittek

łem, że jeśli rzeczywiście jest wśród nas zdrajca, to bez względu na to, czy będziemy teraz uciekać, czy nie, w krótkim czasie wszyscy i tak znajdziemy się w więzieniu. Zaznaczyłem też jednak, że w czyjąkolwiek zdradę nie wierzę.

### **Podjeżdżewałeś kogoś?**

Absolutnie nikogo.

**Nie przyszło ci do głowy, kto ewentualnie mógłby być tym informatorem SB? Wiadomość od Mittka wyglądała chyba na pewną. Pojawił się więc wniosek, że ktoś zdradził. Nie pomyślałeś wtedy, kto to mógłby być?**

Do wszystkich członków Rady miałem najwyższe możliwe zaufanie. Zawsze ogromnie ceniłem i szanowałem tych ludzi. Ani trochę nie przesadzam – współpracować z nimi było dla mnie wielkim honorem. Nikogo nie podejrzewałem o nic. Nigdy nie miałem żadnych podstaw, nigdy nic mnie w tych ludziach nawet nie zaniepokoiło. Wiedziałem, że mamy informatorów w SB, ale zdawałem też sobie sprawę, że nie byli tam najlepiej usadowieni. To nie były informacje z samego jądra bezpieczeństwa. Możliwe były jakieś nieścisłości, nieporozumienia. Uznałem, że jeśli rzeczywiście mają donos z mojego najbliższego otoczenia, to jest to fakt w najwyższym stopniu szokujący, fatalny. Moja ucieczka niczego by nie wyjaśniała ani niczego nie rozwiązywała. Trochę przedłużyłaby moje ukrywanie się, w czasie którego zresztą znacznie mniej mógłbym już zrobić. Założyłem, że jeśli to koniec mojego konspirowania, to trudno. Kiedyś przyjść musiał. A jeśli jednak informacja nie jest całkowicie pewna, to należy swoje robić dalej. Mittek przekonywał mnie, że jednak powinienem uciekać. Mówił: *Po co ryzykować*, przekonywał, że w jego kryjówecę przeczekam atak SB, a potem wszystko wróci do normy, ewentualnie nadszarpięte struktury będziemy odbudowywać. Objął mnie i chciał prowadzić w kierunku swojego motocykla. Nie zgodziłem się. Powiedziałem, że każdy, kto chce, może wyjść i że zamierzam kontynuować spotkanie.

### **Ktoś wyszedł?**

Nikt. Dało się odczuć pewne napięcie, może też jakby przygnębienie, ale po kolei omawialiśmy wszystko, co mieliśmy w planie. Potem, jak to było w konspiracyjnym zwyczaju, wszyscy po kolei się rozeszli. Następnego dnia gruchnęła wieść, że SB zatrzymała Władysława Frasyniuka. Stało się jasne, że informacja, która dotarła do nas z bezpieczeństwa, była prawdziwa, ale nieprecyzyjna. Jej nieścisłość polegała na tym, że doniesienie dotyczyło szefa Regionalnego Komitetu Strajkowego, a nie Solidarności Walczącej. Pętłę zaciskano na Władku Frasyniuku, a nie na mnie.

**Dyrektor wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, profesor Włodzimierz Suleja w „Roczniku Dolnośląskim” napisał, że *Solidarność Walcząca wykazywała wyjątkowo dużą odporność na inwigilację, prowadzoną przez Służbę Bezpieczeństwa*. Warto to zdanie powtórzyć – jest ważne i uzasadnione.**

Wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście tak było. Niedawno zapoznałem się z pochodzącym z kwietnia 1990 roku, napisanym przez SB raportem, informującym

## Solidarność Walcząca – nie tylko w Polsce

*o zawieszeniu działań operacyjnych przeciw strukturom o kryptonimie „Ośmiornica”. Okazało się, że parę lat wcześniej bezpieka tak nas „ochrzciła”. Solidarność Walcząca to dla nich była „Ośmiornica”...*

**Chwileczkę – działania operacyjne przeciw Solidarności Walczącej zakończono w kwietniu 1990 roku?**

Wraz z końcem tego miesiąca. Dodać też trzeba, że nie tylko Służba Bezpieczeństwa zwalczała Solidarność Walcząca. Tropiły nas też inne służby specjalne – wywiad cywilny i wywiad wojskowy. Jego działania operacyjne, wymierzone w SW, były kontynuowane jeszcze wtedy, kiedy już zaprzestała nas ścigać SB.

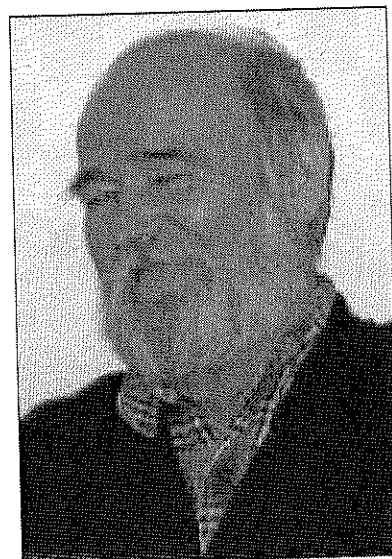
**Czyli blisko rok po wyborach z czerwca 1989 roku, w ósmym miesiącu rządu Tadeusza Mazowieckiego bezpieka nadal prowadziła działania przeciw Solidarności Walczącej?**

Trudno ukryć, początki Trzeciej Rzeczypospolitej nie były zbyt szlachetne.

## Młodzież w Solidarności Walczącej

W 1983 i 1984 roku oficjalna prasa i telewizja podawały informacje o aresztowanych członkach Solidarności Walczącej. 1 marca 1984 TVP wyemitowała materiał filmowy, pokazujący m.in. maszyny poligraficzne, radiostacje, całe mnóstwo paczek z podziemnymi wydawnictwami. Z komunikatów związanych z tymi aresztowaniami wynikało, że wszyscy zatrzymani członkowie SW są pracownikami naukowymi. Stąd powstawało wrażenie, że Solidarność Walcząca składa się z ludzi przynajmniej w średnim wieku...

Rzeczywiście Solidarność Walcząca w początkowym okresie chyba w największym stopniu składała się z nauczycieli akademickich, ale od początku byli też liczni studenci, młodzi robotnicy czy ludzie świeżo po studiach. W Radzie większość była po trzydziestce, ale np. Czarek Lesisz miał około dwudziestu lat. Do struktur raczej nie wchodziły osoby poniżej osiemnastu lat, choć wielu bardzo młodych od samego początku oddawało naprawdę nieocenione usługi. Tak było np. wtedy, kiedy Służba Bezpieczeństwa przetrząsała mieszkanie naszego działacza – Tośka Ferenc. Oczywiście, przyszli rano. Akurat jego syn, uczeń bodajże piątej klasy szkoły podstawowej, miał wyjść na lekcje. Wiedział, gdzie ojciec trzymał prasę podziemną. Wykorzystując nieuwagę esbeków zmienił zawartość swojego tornistra, który wypełnił po brzegi bibułą. Jakos nikomu nie przyszło do głowy, by skontrolować szkolną torbę dziecka. W ten sposób została z domu wyniesiona większość materiałów obciążających ojca. Podobnych przypadków było znacznie więcej. Nie brakowało też nastolatków, którzy włączali się w działalność Solidarności Walczącej. Tak było np. z Iwonką Kondratowicz. Rolę młodzieży zawsze



Antoni Ferenc

doceniałiśmy. To ona w największej części brała udział w manifestacjach i starciach z ZOMO. Wiadomo też było, że liczne akcje ulotkowe, jak i napisy na murach, są w większości dziełem młodych ludzi, najczęściej uczniów szkół średnich. Już w pierwszych miesiącach stanu wojennego zaczęły się zresztą zawiązywać podziemne organizacje młodzieżowe...

Wspierane zresztą przez Solidarność Walczącą. W 1982 i 1983 roku ludzie z SW uczyli druku członków Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. Jak się później okazało, nasz konspiracyjny instruktor poligrafii miał też wiele wspólnego z wydawaniem podziemnego biuletynu „Wyrostek”, zresztą tworzonego wspólnie przez uczniów i nauczycieli. Chyba był współredaktorem tego pisma. Z tym drukarzem z SW, który prowadził szkolenia sitodrukowe, potem nie mieliśmy już kontaktu. Pamiętamy tylko, że był z tej struktury, o której już mówiliśmy. Z „Kotwicy” – grupy Solidarności Walczącej, działającej w żegludze śródlądowej.

Co jakiś czas, przy różnych rocznicowych okazjach, pojawia się pomysł rozrysowania jakiegoś planu, zrekonstruowania kształtu struktury Solidarności Walczącej. Nie jest to łatwa sprawa, nie mieliśmy żadnej listy członków czy współpracowników. Wynikało to ze względów bezpieczeństwa. Chciałbym bardzo poznać wszystkich tych, którzy działali w naszej organizacji, ale z czasem staje się to coraz mniej realne. Od powstania Solidarności Walczącej mija już ćwierć wieku. Wielu naszych działaczy już nie żyje. Spora część rozsypała się po świecie, mieszka m.in. w Australii i w obydwu Amerykach. Nierzadka jest też postawa takiego „odwrócenia od przeszłości”. Sporo ludzi, którzy dużo zrobili dla pokonania komunizmu, nie widzi potrzeby, by jakimikolwiek wspomnieniami wracać do tamtych czasów. Uważają, że działanie na rzecz niepodległości była naturalnym obowiązkiem, który był oczywiście, a nie tytułem do chwały. Może ten wasz nauczyciel drukarstwa był właśnie kimś takim?

Moje zdanie jest takie, że tych świadectw przeszłości nie należy zapominać. Te przeróżne wątki konspiracji stanowią część naszego narodowego dziedzictwa. Drugi obieg wydawniczy, podziemna prasa, radio, biblioteki – to nie byle jakie osiągnięcie. Siła polskiej opozycji była jedną z przyczyn zaważenia się komunizmu. Ja namawiałbym wszystkich do tego, by te swoje wspomnienia jakoś utrwalali, dzielili się tym swoim niezwykłym doświadczeniem. Bardzo źle się stało, że w 1989 i 1990 roku, wraz z aktami SB, być może bezpowrotnie zniszczono unikatowe archiwalia. Według Szczepana Rudki, w gmachu przy Łąkowej we Wrocławiu były dwie sale pełne nie teczek agentów czy figurantów, ale samych podziemnych druków. Znajdowały się tam m.in. wydania podziemnej prasy, które w ogóle nie ujrzały światła dziennego, bo czasem wpadał cały nakład. Jeśli w jakiś sposób mogę pojąć łajdactwo palenia dowodów własnych zbrodni, to niepojęte jest dla mnie niszczenie tego, co stanowi ważki kawałek narodowej historii. Szczepan ustalił, że spalono 98% bibuły zgromadzonej w siedzibie wrocławskiej bezpieki.

Mam podobny pogląd na tę sprawę. Jeden z pierwszych numerów „Biuletynu Dolnośląskiego” wpadł w całości. Chyba nie zachował się żaden egzemplarz. Gdyby SB nie spaliła tych zbiorów, mielibyśmy dzisiaj teksty autorów publikujących w drugim obiegu długo przed rokiem 1980. Było wśród nich sporo niezwykłych osobowości. Niektórzy już od dawna nie żyją. Prasa podziemna jest oczywistym świadectwem polskiego losu, dowodem różnych wolnościowych dążeń, a także kawałkiem historii naszej myśli politycznej.



Andrzej Wawrzeń

**Właśnie. Nie żyje m.in. Marek Szwad, znany jako „Mamut”. Miałby dziś 44 lata. Był jednym z głównych organizatorów młodzieżowego podziemia na samym początku stanu wojennego. Wiadomo, że dla struktur złożonych z uczniów szkół średnich uzyskiwał pomoc m.in. właśnie w tworzącej się wtedy Solidarności Walczącej. Dla młodzieżowej konspiracji kontakty z tzw. dorosłym podziemiem były bardzo ważne. Wiadomo, że wsparcie w postaci materiałów poligraficznych, szkoleń sitodrukowych czy różnych wydawnictw przekazywał „Mamutowi” ktoś ze struktury „Kotwica”, a także Andrzej Wawrzeń, działający wtedy w ogniwie Solidarności Walczącej wrocławskiego MPK. Czy przewodniczący SW miał wtedy orientację w tych kontaktach ze środowiskami młodzieżowymi?**

Pamiętam tylko w ogólnych zarysach. Mieliśmy ograniczone możliwości, ale zawsze panowała u nas zasada: wszyscy działający na rzecz niepodległości, przeciw komunizmowi są naszymi przyjaciółmi i jesteśmy gotowi udzielać im każdej pomocy, jaka tylko leży w zasięgu naszych możliwości. To samo dotyczyło, oczywiście, młodzieży. Wiem, że przeznaczaliśmy dla niej jakieś środki, ale odbywało się to przez którąś z naszych „odnóg”. Znów powtórzę: takie były wymogi konspiracji. A jedną z jej zasad było ograniczenie do najniezbędniejszego minimum wszelkich dokumentów, w razie aresztowania mogących stanowić obciążający dowód albo powodować eskalację represji. Trudno mi odtworzyć, kto tym się zajmował. Kształt tej naszej siatki nigdy nie był w pełni czytelny nawet dla najbardziej zaangażowanych w jej przywództwo. Wiele jednak o młodzieży się mówiło. Wszyscy byli u nas jednomyślni w tym, że jej organizacjom trzeba pomagać. Taką bardzo ważną książeczką, której druk wznawialiśmy ileś tam razy, był *Mały Konspirator*. Można chyba śmiało powiedzieć, że była to publikacja wręcz nieoceniona. Zawierała zasadniczy wykład metodyki działalności konspiracyjnej. To był taki „elementarz podziemia”. Uczyl, czego się wystrzegać, jak minimalizować ewentualność wpadki, jak utrudniać pracę SB. Zarazem jednak wskazywał na to, że naturalną konsekwencją knucia przeciw komunie jest aresztowanie, śledztwo, wyrok i siedzenie w więzieniu. *Mały Konspirator* uczył również tego, jak zachowywać się w takich właśnie miejscach i sytuacjach.

**Jeden z najbardziej zasłużonych działaczy podziemia młodzieżowego, Waldemar Kras, opowiadał mi właśnie takie, związane z *Małym Konspira-***



**torem wydarzenie.. W czasie przesłuchań na SB zorientował się, że oficerowie śledczy stosują wobec niego „taktykę dobrego i złego ubeka”. Kiedy jeden z przesłuchujących zakończył trwający parę godzin popis gróźb, krzyków i wymachiwania pięściami Waldek spytał: *to co, teraz przyjdzie ten „dobry”?* Na to ubek ryknął na całe gardło: *Widzę, że „Małego Konspiratora” czytałeś!!***

No tak – funkcjonariusze SB też byli naszymi czytelnikami. Niektórzy tworzyli nawet własne domowe kolekcje podziemnych wydawnictw. Spore księgozbiory ubecy kompletowali, kradnąc wydawnictwa drugiego obiegu w czasie rewizji w mieszkaniach opozycjonistów. A *Mały Konspirator* był rodzajem poradnika czy nawet podręcznika dotyczącego właśnie ich pracy. Staraliśmy się, żeby z tą książeczką zapoznał się każdy wchodzący na ścieżkę zmagania się z władzami. Obojętnie, czy z Solidarności Walczącej, czy z innych ugrupowań. Fragmenty drukowaliśmy też w naszych gazetkach. Wiadomo było, że nie wszyscy czytelnicy zostaną konspiratorami. Dążyliśmy jednak do tego, by jak najszerze kręgi społeczeństwa były w stanie bronić się. Uważaliśmy za cenne i pożądane to, by jak najwięcej ludzi wiedziało, jak zachowywać się w razie dostania się w łapy SB. Mogło to się przydać w sytuacji, w której doszłoby do masowych protestów, strajku generalnego, konfrontacji z reżimem. Zarazem była to wiedza przydatna wszystkim tym, których bezpieczeństwa próbowała szantażować, zachęcać czy zmuszać do współpracy. W naszych publikacjach bardzo mocno podkreślaliśmy, że nawet jeśli dojdzie do tego, że ktoś się na przesłuchaniach załamie i zgodzi się na rolę agenta, to zawsze ma jeszcze jedną szansę na to, by uczciwie wyjść z takiej sytuacji. Wielokrotnie pisaliśmy: *Jeśli złamali cię i zgodziłeś się być tajnym współpracownikiem, przyznaj się do tego przed całym twoim otoczeniem. Każdy przyjmie to ze zrozumieniem, nikt nie będzie miał o to pretensji.* Pisaliśmy, że za takie powiadomienie otoczenia o zmuszeniu do współpracy wszyscy powinni być wdzięczni. Bo przecież, jeśli ktoś w porę powie otwarcie *złamali mnie*, to zrobi to dla dobra wszystkich, którzy się z nim kontaktują. Podkreślaliśmy: *Stuzbie Bezpieczeństwa bardzo skutecznie wytrącisz tym sposobem oręż z ręki.*

**Do młodzieżowego podziemia trafiały też broszurki instruujące, jak zorganizować sobie druk.**

W latach osiemdziesiątych nie było tych wszystkich mediów elektronicznych, które dzisiaj są powszechne. Były tylko dwa programy państwowej telewizji (w stanie wojennym nawet tylko jeden, i to z długimi przerwami), nie było zagranicznej telewizji satelitarnej, o internecie czytało się w *Kąciku Futurologicznym* „Przeglądu Technicznego”. A my uważaliśmy, że drogę do wolności będziemy wyrąbywać, przełamując komunistyczny monopol informacyjny. Byliśmy przekonani, że rozwój niezależnego druku jest bardzo ważny. Nie tylko daje on szansę dostarczania informacji, ale też buduje niezależne struktury. Wokół druku społeczeństwo się organizuje. Powstają sieci kolporterów, drukarzy, tworzą się redakcje, skrzynki kontaktowe itd. Z tej także przyczyny byliśmy zdania, że lepszy jest druk w dużej ilości mniejszych punktów, niż jego koncentracja wokół nielicznych, wielkich drukarni. Komfort korzystania z wysokowydajnej maszyny np. ofsetowej powoduje powstawanie podziałów na wąską grupę „specjalistów” i znacznie liczniejsze grono odbiorców niezależnej prasy. W takiej sytuacji, gdy któregoś dnia SB zamknie „specjalistów” i zabierze offset, spo-

łeczność zaangażowana w kolportaż pozostaje bezradna. Solidarność Walcząca wychodziła z założenia, że najlepiej byłoby wtedy, gdyby maksymalna ilość ludzi opanowała umiejętność samodzielnego drukowania. Najlepiej też, żeby powszechna była znajomość powielania przeróżnymi metodami, a przede wszystkim – możliwie prostymi, wymagającymi małego zaplecza sprzętowego. Stąd te broszurki, w których pisaliśmy, jak zrobić farbę drukarską z pasty do prania czy mycia rąk, z mączki ziemniaczanej, sadzy, kisielu. Wskazywaliśmy, że matryce białkowe od biedy można zastąpić workiem foliowym, który po nawinięciu na wałek maszyny do pisania wraz z kawałkiem papieru ściernego – może zastąpić „białkówkę”. A jeśli nie ma się maszyny do pisania, można worek naciągnąć na deseczkę z arkuszem papieru ściernego i pisać tekst choćby gwoździem. Eleganckich biletów wizytowych na takiej matrycy się nie wydrukuje, ale da się powielić jakąś ilość w miarę czytelnych gazetek. Podobnych sposobów na prosty druk było całe mnóstwo. Popularyzowaliśmy je, jak tylko się dało.

W 1983 roku standardem w naszym drukarstwie stawał się sitodruk. SW szkoliła w tej technice masę ludzi. Basia Sarapuk „robienia na sicie” nauczyła dziesiątki osób, które z kolei swoje umiejętności przekazywały dalej. Jak kiedyś próbowaliśmy określić, ile inicjatyw wydawniczych powstało w wyniku szkoleń Barbary Sarapuk, ilu ludzi w wyniku tego włączyło się w druk bibuły, robiło to wrażenie lawiny. A przecież takich szkoleniowców, podobnych do Basi, było więcej. Szybko pojawiła się pewnego rodzaju rywalizacja między zespołami sitodrukowymi. Każdy chciał osiągnąć jak najwyższą jakość druku. Tą prostą metodą, jeśli nałóżcie o wszystko się zadba, można powielać pisma wysokiej klasy graficznej. Dawała też ona możliwość zmniejszenia czcionki. Jeśli była ona mniejsza, niż w maszynie do pisania, na stronie mieściło się parokrotnie więcej tekstu, co oznaczało lepsze gospodarowanie papierem. Przypuszczam, że część czytelników nie zdawała sobie sprawy z tego, jak skromnie wyglądał sprzęt, na którym nasi ludzie odbijali gazetki, robiące wrażenie produkowanych bardzo profesjonalnie. W 1984 roku wśród konspiracyjnych drukarzy częste było takie bardzo krytyczne nastawienie do druków słabej jakości. Widząc jakąś mało czytelną gazetkę, mówili: *Tak to się w 1981 drukowało, świat idzie naprzód*, albo: *Konspiracja to nie komunizm – trudności obiektywne nie są usprawiedliwieniem dla pogorszenia jakości*. I ilość bibuły, i jakość druku stale rosły. Możliwości były pod tym względem coraz większe. Jednak na wypadek represji najcięższych, najbardziej dotkliwych, upowszechnialiśmy właśnie wiedzę o tym, jak zorganizować sobie druk niemal dosłownie z niczego.

**Przypomina mi to pewną opowieść Przemysława Gintrowskiego, jednego z bardów opozycji lat osiemdziesiątych. Na którymś z koncertów wspominał o tym, jak odwiedził swojego znajomego, miesz-**



Barbara Sarapuk – niekwestionowana królowa wrocławskiej poligrafii podziemnej

kającego we Wrocławiu przy ul. Piastowskiej. W czasie tego spotkania gospodarz domu powiełał podziemne gazetki. Nagle ktoś głośno zapukał do drzwi. Wtedy takie energiczne pukanie kojarzyć się mogło z wizytą ludzi z SB. Okazało się jednak, że był to sąsiad, który przyszedł z pytaniem: *Słuchaj, czy nie mógłbyś mi pożyczyć trochę farby, bo mi się skończyła?* Według Gintrowskiego, w tej kamienicy drukowało się w co drugim mieszkaniu.

Znaczyłoby to, że jakoś uprawianej w tym domu konspiracji nie była wysoka, ale samo zjawisko było przejawem właśnie tego, co chcieliśmy osiągnąć. Społeczeństwo aktywne, zorganizowane, wyposażone we własny system obiegu informacji w sprzyjających okolicznościach było zdolne podjąć skuteczną walkę z komunizmem. Te drukarnie co jakiś czas wpadały. Oczywiście, oznaczało to kłopoty aresztowanych osób, przed którymi otwierała się perspektywa paru lat więzienia. Trzeba było zorganizować pomoc prawną dla zatrzymanych oraz materialną – dla ich bliskich. Samym faktem utracenia jakiegoś punktu poligraficznego czy sprzętu w ogóle się nie przejmowaliśmy. Ważne było to, żeby pojawiały się kolejne, żeby coraz to nowi ludzie potrafili drukować. W 1983 roku mieliśmy już na tyle dużą sieć drukarni, że największa fala aresztowań zasadniczo nie zagroziła naszej poligrafii. Ta fala represji, w czasie której akty oskarżenia przygotowano przeciw ponad trzydziestu osobom, a przesłuchiowano sto pięćdziesiąt, tylko zakłóciła pracę SW, żadna forma naszej działalności nie została wyeliminowana.

**Pamiętam twój artykuł z tamtego czasu: *Telewizja podała o zatrzymaniu 35 członków naszej organizacji. To już jest nas tylu, że aresztowanie tak dużego grona nie powoduje uszczerbku w naszych działaniach?* SB zdawała się wtedy triumfować, ale chyba przeżyła też zdziwienie tym, że pomimo tak licznych rewizji, przesłuchań, aresztowań organizacja działa „jak gdyby nigdy nic”.**

Największa fala aresztowań, jaka dotknęła nas na przełomie 1983 i 84 roku, paradoksalnie nas wzmocniła, a także uświadomiła nam siłę, jaką powoli odzyskuje społeczeństwo, spacyfikowane stanem wojennym. Przede wszystkim te represje były wynikiem załamania się w czasie przesłuchań jednego człowieka, który wiedział zbyt wiele, a sytuacja, przed którą stanął, po prostu go przerosła. Dała o sobie znać niedoskonałość naszej konspiracji. Wyciągnęliśmy z tej lekcji wnioski. Między innymi takie, że nikt nie powinien utrzymywać zbyt licznych kontaktów, że potrzebne jest lepsze przygotowanie naszych ludzi na konfrontację z bezpieczeństwem, że stale trzeba doskonalić tzw. BHP, czyli reguły bezpieczeństwa podziemnej działalności. W efekcie podobna fala aresztowań nigdy już się nie powtórzyła. Zdarzały się dni, w których SB dokonywała kilkudziesięciu rewizji w jednym mieście, ale nie pociągało to za sobą dekonspiracji znaczącej części struktur. Po wydarzeniach grudnia 1981 r. było wiadomo, że niezależne życie społeczne trzeba budować od podstaw. Po dwóch latach mieliśmy dowody na to, że ono istnieje i jest silniejsze, niż było w czasach PRL-u kiedykolwiek wcześniej, wyjąwszy okres legalnego działania Solidarności. Gdyby przed Sierpniem 1980 r. postawiono w stan oskarżenia czterdziestu członków jakiejś organizacji, to raczej przestałaby ona istnieć. W roku 1984 taki cios przejściowo nas osłabiał.

**Solidarność Walcząca uchodziła często za wzorzec konspiracy. Mówiło się o niej jako organizacji kadrowej, która wyjątkowo wysoko postawiła standardy swojej podziemnej działalności. Ile w tym było prawdy, a ile mitu?**

Na pewno część tego wyobrażenia ma swoje uzasadnienie, ale w niemałym stopniu obraz Solidarności Walczącej bywał też pewnego rodzaju mitem. Dążyliśmy do tego, by działać jak najbardziej fachowo, mieliśmy bardzo ambitne cele i do nich zmierzaliśmy. Przyłączyło się do nas mnóstwo wspaniałych ludzi ze wszystkich większych miast i regionów Polski. Organizacja była rzeczywiście spora. Bywały okresy, w których wydawaliśmy ponad trzydzieści tytułów podziemnej prasy, a Radio Solidarność Walcząca odzywało się w kilkunastu miastach kraju. To są fakty. Z nich wynikało jednak wrażenie, że nasze możliwości są jeszcze znacznie większe. A raczej nie były. Złudzeniu temu ulegała znaczna część Polaków. W czasie mojego pobytu w areszcie MSW i na Rakowieckiej ostatecznie upewniłem się w przekonaniu, że gen. Kiszczak i bezpieka też nas przeceniają. Potwierdzają to zresztą materiały, które obecnie uzyskujemy z IPN-u. Dziś nasi przeciwnicy się do tego nie przyznają, Kiszczak kpił sobie z nas w swojej książce, ale wszystkie fakty z lat osiemdziesiątych, świadczą o czymś dokładnie przeciwnym. Bezpieka czuła respekt przed SW. Znacznie większy, niż na to zasługiwaliśmy. Nasze możliwości nie były małe, ale SB je przeszacowywała. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że tak było. I nie był to efekt jakiegось naszego nadymania się, celowego budowania jakiejś fikcji. To był skutek wrażenia, jakie wywoływało wiele naszych ówczesnych działań. Skoro jednak wtedy nasz obraz był groźniejszy niż rzeczywistość, to też stanowił swojego rodzaju potencjał, który lepiej czy gorzej w naszych politycznych przedsięwzięciach wykorzystywaliśmy.

**O członkach twojej organizacji mówiło się „ludzie od Kornela”. Mało kto ich znał, może niektórzy domyślali się tylko, kto ze znajomych jest w SW. Może to też było czynnikiem potęgującym to, co nazywasz mitem. Nazwiska jawnych opozycjonistów się znało, podobnie jak wielu działaczy związku Solidarność, którzy stali się sławni w 1980 i 1981 roku. Tymczasem oficjalnie znanych nazwisk członków SW było może kilka, a ukazywały się dziesiątki tytułów ich prasy. Niektóre w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Trudno, by to nie robiło wrażenia.**

No to mieliśmy taki samoistny *public relations* czy marketing polityczny, o który nikt nie dbał, lecz sam się budował siłą pewnych faktów i okoliczności.

**Pamiętam wrażenie, jakie robiło SW, kiedy sam działałem w strukturze PNOM, złożonej głównie z uczniów szkół średnich. Kiedy mieliśmy się spotkać z kimś z Walczącej staraliśmy się „trzymać fason”, robić wrażenie ludzi, którzy też znają zasady podziemnego rzemiosła. Na czym polegały główne błędy ludzi podziemia i dzięki czemu Solidarność Walcząca, pomimo przeciwdziałania bezpieki, urosła do rozmiarów największej organizacji politycznej polskiej opozycji?**

SB potrafiła wykorzystać błędy swoich przeciwników. Nadmierne gadulstwo, notesy pełne adresów, lekceważenie elementarnej ostrożności – szybko prowadziły do zatrzymań całych, konspiracyjnych zespołów. My, szczególnie po aresztowaniach



Jedna z tablic SB ze zdjęciami osób podejrzewanych o działalność lub związki z SW, okazywana osobom przesłuchiwanym. Pierwsza w pierwszym rzędzie: Helena Lazarowicz; w drugim rzędzie: Maria Koziebrodzka, Anna Morawiecka, Marta Morawiecka; w trzecim rzędzie: Barbara Terpiłowska, Ewa Grzegorzewska, Zofia Maciejewska; pierwsza w czwartym rzędzie: Blandyna Skowrońska, druga – Jadwiga Morawiecka

ło nam się tego wprowadzić. Zdołaliśmy jednak np. całkowicie oddzielić od innych zadań strukturę Radia SW. Ludzie w nią zaangażowani mieli się zajmować tylko tą jedną sprawą. Wiadomo było, że SB będzie ich tropić wyjątkowo zaciekle. Musieliśmy więc zminimalizować ilość tych „nitek”, po których szpicle mogliby dojść do „kłębka”. Podział na sekcje ograniczające się do konkretnych zadań wymuszał jednak zaangażowanie większej liczby ludzi. Nie musieli to być członkowie organizacji.

z 1983 i 84 roku, bez końca szkoliliśmy swoich ludzi w tym, co nazywałeś podziemnym rzemiosłem. Przygotowywaliśmy się również na okoliczność zatrzymania, przesłuchiwania przez SB. Szefowie poszczególnych ogniw SW radzili swoim ludziom, by każdy zastanowił się nad swoimi słabymi stronami. Jeśli ktoś miał chore dziecko, umierającą matkę, kłopoty z żoną czy problem alkoholowy, bezpieka potrafiła to perfekcyjnie wyzyskać, stosując szantaż, dążąc do psychicznego załamania. Staraliśmy się, by konspiratorzy mieli świadomość metod, jakimi reżim z nimi walczył. Częstym błędem było pełnienie zbyt wielu ról jednocześnie. Sytuacja, w której ci sami ludzie byli redaktorami, drukarzami i kolporterami, rodziła całe mnóstwo zagrożeń, a byle wpadka mogła unicestwić działalność takiej grupy. W SW dążyliśmy do jasnego podziału zadań, choć nigdy do końca nie uda-

Wystarczało, by były to takie osoby nas wspierające – udostępniające mieszkania na potrzeby skrzynek kontaktowych, piwnice na magazyny, służące jako kurierzy przewożący bibułę do innych miast itd. Tu często przydatna była młodzież. Młodzi ludzie często przez długi czas kursowali między jakimiś punktami drukarskimi czy kolportażowymi. Dostarczali materiały poligraficzne, przewozili do ustalonych miejsc nasze wydawnictwa itd.

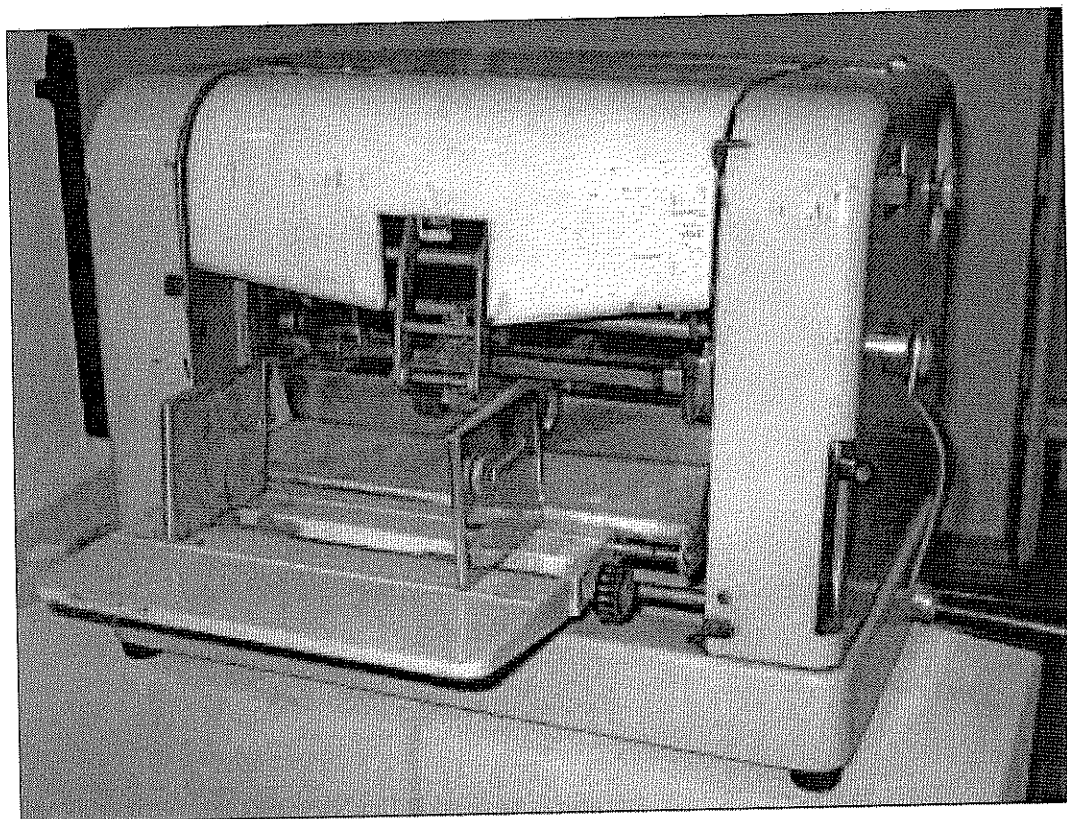
**Czyli Solidarność Walcząca dążyła do doskonałości, ale jej ludzie popełniali jednak błędy. A jakie usterki w konspiracyjnej pracy zdarzały się samemu przewodniczącemu organizacji?**

Sam moment mojego aresztowania był wynikiem złamania przeze mnie zasad konspiracji. Nie powinienem iść wtedy do lokalu, o którym wiadomo było, że był kiedyś, rok wcześniej, przez SB „namierzony”. W podobny sposób „namierzonych” przez bezpiekę mieszkań były przecież we Wrocławiu setki. Nie przypuszczałem, że bezpieka zdecyduje się i będzie w stanie prowadzić przez całe lata ich permanentną obserwację. Wcześniej też zdarzały się sytuacje, które nie powinny się zdarzać. W 1986 roku ukrywałem się w mieszkaniu przy ul. Komandorskiej, u Marianny Zabińskiej. Jednym z głównych narzędzi mojej ówczesnej pracy był składopis, wyposażony w obracającą się głowicę. Kiedyś uległa uszkodzeniu i nie dała się naprawić. Jakiś czas później do Wrocławia miał przyjechać z Gdańska Andrzej Kołodziej, który zawiadomił mnie, że ma dla mnie, między innymi, tę moją wymarzoną głowicę. Przywiózł ją w kieszeni, zawiniętą w kawałek papieru i jakoś tak się złożyło, że na noc została ona na stole, przy którym rozmawialiśmy i jedliśmy kolację. Rano okazało się, że głowica zniknęła. Nasza gospodyni, sądząc, że to tylko zmięty kawałek papieru, wyrzuciła ją do kosza, a następnie do zsypu. Wraz z Andrzejem zbiegliśmy na dwór i zaczęliśmy przetrząsać kubły na śmieci. Pewnie wyglądaliśmy, jak ci, którzy penetrują śmietniki w poszukiwaniu surowców wtórnych. Szczęśliwie udało nam się odnaleźć zgubę, zanim zabrało ją MPO. Życie przynosiło więc też takie absurdalne wydarzenia. Ukrywający się szefowie antykomunistycznego podziemia grzebiący w śmietnikach... Jacys zdolni propagandyści partyjni zrobiliby z tego film o postępującej normalizacji i losie politycznych bankrutów z wyrzuconej na społeczny margines „ekstremy Solidarności”.

**W stopkach redakcyjnych wielu pism nienależących do Solidarności Walczącej znajdowała się adnotacja, że druk został wykonany przez Agencję Informacyjną SW. Skądinąd wiadomo, że nie na wszystkich publikacjach, powielanych przez twoją organizację, była zawarta taka informacja.**

Nie zawsze zaznaczaliśmy, że jesteśmy autorami druku. Trzeba pamiętać, że członków Solidarności Walczącej, jako organizacji jednoznacznie antykomunistycznej, nieukrywającej, że zmierza do obalenia władzy i zmiany panującego ustroju, karano surowiej, niż np. członków NSZZ Solidarność. Nasi ludzie musieli liczyć się z bardziej brutalnym śledztwem i wyższym wyrokiem. Podobnie – osoby i środowiska jakoś z nami związane. Jeśli więc ktoś, dla kogo drukowaliśmy, prosił nas o to, by nie zaznaczać, że to my powielaliśmy jego gazetę, w stopce nasza nazwa się nie pojawiała. Tak było szczególnie w przypadku zakładowych komórek związkowych lub właśnie organizacji młodzieżowych. Kiedyś wydrukowaliśmy też np. program

Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej. Zrobiliśmy to bez porozumienia z organizatorami. Po prostu uznaliśmy, że wydarzenie godne jest szerszego rozpropagowania, więc dodrukowaliśmy parę tysięcy egzemplarzy tych programów, po czym je rozkolportowaliśmy. Krótco potem dotarła do nas prośba od organizatorów Tygodnia, żebyśmy tego nie robili, gdyż posadzenie o związek z Solidarnością Walczącą może zaszkodzić ludziom tworzącym tę kulturalną inicjatywę, jak i jej samej. Skoro takie było życzenie, musieliśmy się z nim zgodzić. Ja uważałem jednak, że skoro jest wydarzenie kulturalne, to rzeczą naturalną jest to, że prasa, oficjalna czy nieoficjalna, o nim pisze. Nasze pisanie o Tygodniu Kultury Chrześcijańskiej czy drukowanie jego programu, było przejawem dążenia do tego, by zwyciężyła normalność. My tę normalność w naszej podziemnej prasie tworzyliśmy. Inna przyczyna nieumieszczenia informacji o tym, kto drukował, miała bardziej przykre źródło. W polskiej opozycji dość szybko zaczęły się zarysowywać różne animozje i podziały. Mieliśmy ich świadomość, ale dopiero prośby niektórych środowisk, którym drukowaliśmy gazetki, dały nam obraz tego, jak duża jest skala niezrozumiałych dla nas niechęci. Dowiedzieliśmy się, na przykład, że jeśli gazetka jakiejś organizacji ukazałaby się z informacją, że drukowało ją SW, to organizacja ta utraci pomoc ze strony głównego źródła ich finansowania lub nie będzie wzięta do kolportażu przez jakąś strukturę. Przyjmowaliśmy to z ubolewaniem, ale spełnialiśmy życzenie – nie zaznaczaliśmy naszego związku z daną publikacją. Coś takiego zawsze było jednak dla nas absurdem. Byliśmy wrogami wszelkiej cenzury, nasz kolportaż rozpowszechniał wszyst-



Powielacz biały „Cyklos”

kie tytuły prasy podziemnej. Nawet te redagowane przez środowiska nam niechętnie. Uważaliśmy, że w przeciwnym razie cała nasza działalność traciłaby sens. To byłoby budowanie drugiej komuny.

**Ale to otwarcie na różne poglądy nie oznaczało chyba, że Solidarność Walcząca drukowała wszystko?**

Nie istniała możliwość zamieszczania w naszej prasie wszystkich listów i artykułów, które docierały do redakcji. Zmuszeni byliśmy wybierać te, które uznawaliśmy za interesujące, ważne, stanowiące jakiś istotny głos w toczących się dyskusjach. W żaden sposób nie ingerowaliśmy jednak w treść gazetek spoza SW, które przyjmowaliśmy do składu i druku.

**W czasie przesłuchań zatrzymanych działaczy podziemia często padały groźby, że SB ma dowody na związki zatrzymanego z SW. Z takim zarzutem spotykał się m.in. Robert Chmielarczyk z Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. W 1983 roku był maturzystą, nie należał do SW, ale przesłuchujący go esbecy przekonywali go, że mają dowody jego uczestnictwa w tej organizacji. Znane ci są podobne przypadki udowadniania zatrzymanym rzekomej przynależności do SW?**

Bezpieka lubiła przesłuchiwać „z grubej rury”. Jedną z metod było stawianie zarzutów na wyrost, żeby móc grozić poważniejszymi konsekwencjami. W latach pięćdziesiątych każdego przeciwnika ustroju oskarżano o szpiegostwo, za które sąd często orzekał karę śmierci. Potem takim zastraszającym zarzutem bywał terroryzm. W latach osiemdziesiątych dość powszechnie było wiadomo, że ostrzej karze się za przynależność do SW. Stąd w czasie przesłuchań groźby tego rodzaju. Zarazem mogły one też wynikać z tego, że bardzo wiele przeróżnych opozycyjnych struktur blisko z nami współpracowało. Zatrzymując działacza nielegalnego związku młodzieżowego, esbecja mogła przypuszczać, że dopadła członka naszej organizacji.

**W wywiadzie, którego udzieliłeś jednemu z podziemnych pism młodzieżowych, powiedziałeś, że młodzi ludzie w konspiracji odgrywają ważną rolę, ale nie powinni działać na najtrudniejszych odcinkach.**

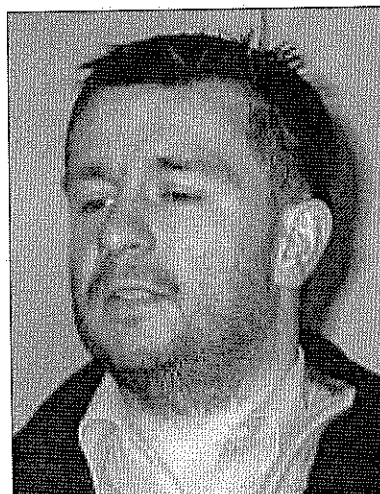
W praktyce bywało jednak, że młodzież podejmowała działania ryzykowne, co jest chyba dość naturalne. Woleliśmy więc, żeby jej spontaniczne działania miały charakter zorganizowany, przez co i bardziej efektywny, i w większym stopniu bezpieczny. Po jakimś czasie mieliśmy w SW zespoły specjalizujące się w przedsięwzięciach różnego rodzaju. Malowanie na murach coraz częściej odbywało się w sposób planowy i przemyślany, uwzględniający i obserwację okolicy, i przewidujący drogę ucieczki. Kiedy we Wrocławiu wznowione zostały akcje uliczne z dużą liczbą uczestników, demonstracje czy happeningi Pomarańczowej Alternatywy, stanowiły one okazję do malowania haseł. Zdaje się, że to w czasie jakichś ulicznych wydarzeń Grzesiek Oszast namalował kotwicę Solidarności Walczącej na kamieniu stojącym na środku placu Kościuszki. Bardzo wyraźna jest na nim do dziś. Młodzież najczęściej zajmowała się rozpowszechnianiem ulotek. W pewnym momencie działań ulotkowych było tak dużo, że powstała specjalna gazetka Solidarności Walczącej – tytuł przeznaczony tylko do rozrzucania. Początkowo metody były proste, ale i trochę nie-





Kotwica SW na obecnym Skwerze Solidarności Walczącej we Wrocławiu

bezpieczne. Czyli wyrzucanie odpowiednio zwiniętych paczek z gazetkami z wyższych budynków albo w dużych domach towarowych. We wrocławskim PDT ulotki fruwały tak często, że od pewnego momentu stale ktoś pilnował miejsca, z którego zwykle były rozrzucane. Często stosowany był rozrzut ulotek z tramwajów i autobusów. Porcję druków wystarczyło położyć na dachu, podnosząc szyberdach. Same się potem rozsypywały, kiedy pojazd ruszał. Chyba że był wiatr – wtedy leciały od razu i to był właśnie ten nieco ryzykowny moment. Z czasem zastosowanie znalazły nowe pomysły, np. kawałek kartonowej rury z gumką modelarską, która wyrzucała ulotki z opóźnieniem. Za „opóźniacz” służył papieros. Zwykle ćmił się trzy, cztery minuty, zanim przepalił sznurek, co zwalniało gumkę i wystrzeliwało zawartość tuby.



Grzegorz Oszast

**No, ale czasem te urządzenia zawodziły. Pamiętam, jak na placu, zwanym wtedy Czerwonym (dziś Plac Solidarności) rozsypały się nagle ulotki wzywające do uczestnictwa w demonstracji pierwszomajowej. A pierwszy maja był kilka dni wcześniej...**

Tak, chyba przypominam sobie, że mówiono mi o podobnym przypadku, lecz chodziło o bojkot wyborów, które właśnie się odbyły. Nawet zastanawialiśmy się,

czy to nie jakaś prowokacja SB, dążąca do skompromitowania podziemia. Sprawa się jednak wyjaśniła. Jak mówiłem – za lont w tych wyrzutniach służył papieros. A że papierosy w PRL-u były marne, potrafiły zgasnąć, nim wykonały swoje zadanie. W efekcie ulotki nie były wyrzucane po trzech czy pięciu minutach, ale np. po kilku dniach, kiedy z innych przyczyn uwalniał się naciąg gumki. Wtedy rzeczywiście mogło dochodzić do tego, że spóźniało się wezwanie do demonstracji albo do bojkotu wyborów wzywaliśmy po wyborach. Były to jednak pojedyncze wypadki. W efekcie nasi chłopcy przeprowadzili próby z różnymi gatunkami papierosów. Okazało się, że najlepsze jest Marlboro. Wtedy kupowało się je za dolary w Peweksie. Innym konceptem z ulotkami i papierosem było używanie tego sposobu do rozwieszania transparentów. Zrolowany transparent umieszczano się przy krawędzi dachu. Przed przedwczesnym rozwinięciem zabezpieczał go cienki sznurek, do którego znów przyklejony był zapalony papieros. Przy odrobinie szczęścia autor takiej akcji miał szansę zdążyć zbiec na dwór i zobaczyć, jak transparent się rozwija. Zwykle w nim też zawinięte były ulotki, które się wysypywały wraz z odkrywaniem się hasła. Oczywiście, służby zajmujące się zdejmowaniem takich napisów, pojawiały się szybko, ale my też staraliśmy się im utrudniać pracę. Choćby zamykając wejścia na dach jakąś wielką kłódką, żeby trudniej było im sforsować drzwi i żeby nasz transparent trochę dłużej powisiał.

**Któryś razem oprócz dużej kłódki zawieszona też została zawinięta w papier cegła z napisem *Bomba*.**

Ten pomysł był czasem wykorzystywany przez naszych ludzi, którzy chcieli opóźnić zdjęcie zawieszzonego przez nich transparentu. Narodził się jednak przy okazji jednej z pierwszych audycji radiowych. Początkowo emitowane były z jednorazowych urządzeń, których zadaniem było nadawać program aż do przybycia SB. Kole-dzy chcieli przedłużyć emisję audycji. Dlatego właśnie obok urządzenia nadawczego umieścili atrapę bomby. SB potraktowała to bardzo serio. Wezwała saperów, których odtąd chyba zawsze zabierano, wybierając się na poszukiwanie naszych radiostacji.

**A wracając do wyrzutni – były też w użyciu konstrukcje pirotechniczne...**

To też dość prosty sposób. Zamiast gumki rolę „wyrzutnika” pełnił ładunek miotający, choćby prymitywny proch dymny. Ta metoda robiła trochę huku, fajerwerku. Wyrzucała też większe ilości ulotek, choć niektóre mogły się trochę nadpalić. Jakoś nie zawsze swoją rolę spełniała przegroda – kartonik wkładany między gazetki a np. proch.

**Jeśli jesteśmy przy tych spektakularnych akcjach, to powiedzmy o transparentach zawieszanych w różnych wysoko się znajdujących punktach.**

W pewnym momencie przybrało to formę jakiejś rywalizacji – kto umieści transparent w bardziej widowiskowym miejscu. Kilka razy transparent zawisł na wrocławskiej Iglicy, choć nie zawsze było to dzieło SW. Co jakiś czas łopotał na jakimś wysokim kominie. Bywało, że do zerwania transparentu używano helikoptera. Tak było w maju 1982 roku w Trzebnicy. Obchodzony był wtedy Dzień Zwycięstwa, a na szczycie wieży bazyliki od rana wisiała wielka flaga z napisem Solidarność. MO i SB

nie dawało rady go ściągnąć. Różne próby podejmowano przez pięć godzin. W końcu użyli do tego celu śmigłowca. Esbecji udało się ustalić, że sprawcą był Eugeniusz Janiszewski – wiceprzewodniczący Solidarności z „Pafawagu”. Prawdopodobnie domyślili się, że takiego wyczynu mógł dokonać tylko dobry alpinista. W tamtych latach kluby wspinaczkowe czy wysokogórskie, a także spółdzielnie usług wysokościowych pełne były ludzi związanych z konspiracją. Miało to swój wyraz właśnie w tym, że co rusz gdzieś wysoko wisiła jakaś płachta z hasłem kłującym w oczy naszych przeciwników. Innym sposobem było wrzucanie transparentu na sieci trakcyjne lub linie energetyczne. Nie tylko we Wrocławiu często coś wisiąło na linach podtrzymujących druty tramwajowe. Zanim zdołano odłączyć prąd, sprowadzić podnośnik – napis sobie wisiął. Większy kłopot SB miała wtedy, gdy transparent został zarzucony na druty energetyczne, stanowiące odcinek międzynarodowej magistrali. Co jakiś czas hasło wisiąło na przewodach, znajdujących się nad jakąś ruchliwą drogą. Żeby taki transparent zdjąć, nadzorczy linii musieli najpierw dostać zgodę na wyłączenie prądu. Proszono o nią w Moskwie, Wiedniu lub Berlinie, w zależności od tego, jaką linię obdarzono hasłem *Solidarność*. Z bardziej spektakularnych akcji przypominam sobie tę z końcowego okresu konspiracji, kiedy na gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR we Wrocławiu zespół Jarka Krotlińskiego ściągnął czerwony sztandar i w jego miejscu zawiesił wielką flagę z napisem *Solidarność Walcząca*. Ale sam początek stanu wojennego też był pod tym względem pełen spektakularnych zdarzeń. To właśnie młodzi chłopcy, tworzący dopiero swoje struktury, na wielkim hasle propagandowym, stojącym przy placu Grunwaldzkim, umieścili swój transparent.

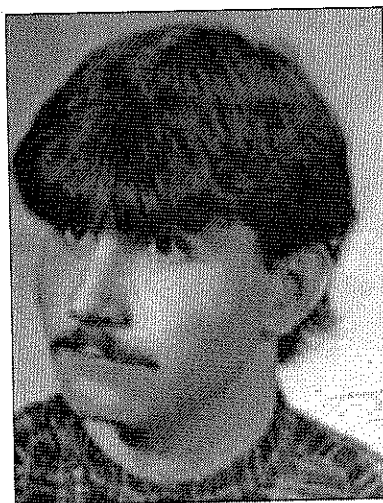


Od lewej: Hanna Lukowska-Karniej, za nią Krzysztof Miedziak, Tadeusz Wrona, Kornel Morawiecki, Wojciech Mysiecki, Dariusz Gustab, Krzysztof Maziakowski, klęczy Kazimierz Nawrocki

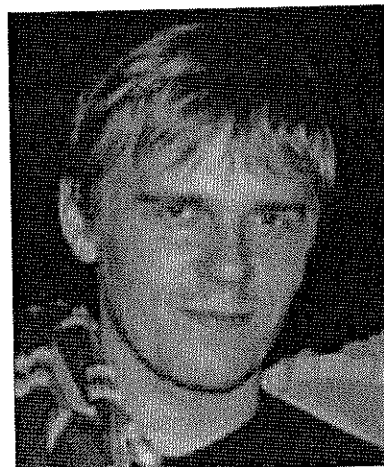
To była akcja przeprowadzona m.in. przez Waldemara Krasa i Darka Bogdana – później ściśle związanego z SW. Chłopcy ci zmierzli rozmiar tego wielkiego komunistycznego baneru, na którym było wypisane *Socjalizm wytycza kierunek rozwoju ludzkości* czy też jakaś inna brednia w tym stylu. Znając format tej wielkiej instalacji, sami uszyli własną – tej samej wielkości. W godzinie ulicznego szczytu, przebrani za robotników, dokonali zmiany treści napisu, straszącego okolice pl. Grunwaldzkiego. Nikt nie zwrócił uwagi na to, co robili młodzieńcy w kombinezonach. Na propagandowe napisy rządzącej partii nikt nie zwracał uwagi. Dopiero po dłuższej chwili ktoś zauważył, że to koszarne rusztowanie, służące komunistycznej propagandzie – głosi teraz hasło antykomunistyczne. No i zaczęło się... Żywo reagowali pasażerowie autobusów i tramwajów, które zaczęły trąbić i dzwonić. Zaczął zbierać się tłum sympatyków Solidarności. Oczywiście, pojawiła się milicja i bezpieka. Sprawcy byli już wtedy daleko. Mówimy jednak o pojedynczych akcjach, tymczasem zdarzało się, że do Solidarności Walczącej przystępowały całe, zorganizowane grupy młodych ludzi.

Jakoś w połowie lat osiemdziesiątych zaczął się ten „zastrzyk” młodej krwi. Pierwsze organizacje młodzieżowe we Wrocławiu SB rozbiła w 1983 i 1984 roku. Część ich członków działała potem w Solidarności Walczącej. Nie weszła wtedy jeszcze w skład SW cała, zorganizowana struktura. Chyba na początku 1986 roku dostałem list podpisany przez Młodzieżowy Ruch Oporu Solidarność. Związek ten zadeklarował wolę przyłączenia się do SW. Przyjeliśmy tę ofertę. Pojawiła się dzięki temu grupa konspiratorów młodych, ale już doświadczonych. Najpierw zmienili nazwę na MRO Solidarność Walcząca, a potem głęboko weszli w nasze struktury. Moment, w którym otrzymaliśmy ich akces, był dla nas bardzo odpowiedni. Borykaliśmy się z problemem wykruszających się działaczy. Zastąpili ich młodzi, ale nie będący żółtodziobami. MROS działał wcześniej przez kilka lat, wydał kilkadziesiąt numerów pisma „Wolna Polska”, przeprowadzał akcje ulotkowe itd. Nie zdarzyły im się żadne wpadki. Z tej organizacji wywodzi się co najmniej kilku bardzo zasłużonych działaczy SW.

**Czyli w połowie lat osiemdziesiątych zaczęli się pojawiać nowi, młodzi ludzie...**



Zbigniew Jagiello



Wojciech Stando

Tak! I było to dla nas bardzo ożywcze. Z MROS-em wszedł do Solidarności Walczącej m.in. Zbyszek Jagiełło, który okazał się świetnym organizatorem i odegrał u nas dużą rolę. Przez długi czas spoczywała na nim ogromna ilość najważniejszych zadań. Bywało, że całkowicie mnie zastępował. Tych młodych ludzi, z roczników 1963-68, pojawiło się wtedy więcej – Wojtek Stando, Gieniu Dedeszko-Wierciński, Mariusz Grabowski, Darek Kędra, Artur Adamski wywodzili się z różnych młodzieżowych czy studenckich organizacji. Różnymi drogami trafili do nas i po jakimś czasie stworzyli nową strukturę – oddział Solidarności Walczącej Dolny Śląsk. W Radzie Oddziału chyba nikt nie miał więcej, niż 25 lat, a zarządzała ona dość poważnym zespołem, składającym się m.in. z kilku punktów poligraficznych i paru redakcji. Nakład jednego z nich, „Solidarności Dolnośląskiej”, sięgał chyba dwunastu tysięcy egzemplarzy. Mariusz Grabowski, który był współtwórcą sieci kolportującej podziemną prasę młodzieżową w większości szkół ponadpodstawowych Wrocławia, Wałbrzycha i Świdnicy, rozprawdzał dzięki niej także ogromną ilość prasy SW. Przyłączyła się do nas grupa skupiona wokół młodzieżowego pisma „Liczą się czyny” i inne tego rodzaju ogniwa młodzieżowego, antykomunistycznego oporu. W tych naprawdę trudnych dla nas latach ci młodzi ludzie stanowili w SW taki powiew dynamiki i optymizmu. No i zastępowali tych, którzy mieli dość konspirowania. Świeża krew pojawiła się więc w samą porę.

## Sześć lat w ukryciu

Schwytania każdego znanego, ukrywającego się działacza podziemia władze nie omieszkały otrąbić jako swojego wielkiego sukcesu. Wiadomo, że po zatrzymaniu Frasyniuka, Bednarza, Piniora esbecy byli obwieszani medalami, dostawali sówite nagrody finansowe. W telewizji pokazywano specjalne programy propagandowe. Wedle niektórych źródeł, Zbigniewa Bujaka „namierzono” już kilka tygodni przed dokonaniem aresztowania. Wstrzymywano się z nim do zbliżającego się zjazdu PZPR. Schwytanie lidera mazowieckiej Solidarności miało być jakby prezentem dla partii, która mogła tym sposobem pokazać: „my tu świętujemy, obradujemy a przywódcę naszych przeciwników właśnie wrzuciliśmy do więzienia”. Kornel Morawiecki w dziesiątkach tytułów prasy podziemnej i na falach nielegalnego radia mówił tak wyraźnie, jak nikt, że chce tę władzę pozbawić władzy. A jednak dopadli go dopiero po sześciu latach. Jak było możliwe tak długotrwałe unikanie „złapania”?

Solidarność Walcząca miała w swoich szeregach wielu ludzi jakby stworzonych do konspiracji. Podziemne rzemiosło mieli we krwi. I mieli też mnóstwo pomysłów, z których rodziły się procedury zapewniające wysoki stopień bezpieczeństwa. Wiemy też na pewno, że żadnemu agentowi nie udało się przeniknąć do głównego trzonu organizacji. Wspominałem już, że największą falę aresztowań spowodowało zatrzymanie jednego z naszych działaczy, który załamał się w czasie przesłuchań. Wszystko, co do tej pory wiemy o próbach penetrowania przez SB naszych szeregów, pozwala sądzić, że tylko pojedynczym szpiclom udało się wdrzeć głębiej niż do obrzeży organizacji. Potwierdzają to zresztą kolejne dokumenty, znajdujące się w IPN. W ogromnej mierze to właśnie jakości naszych konspiracyjnych struktur zawdzięczam to, że tak długo nie zostałem aresztowany. Moje ukrywanie się miało bardzo różne formy. Na początku dość nieskomplikowane. Wiadomo było, że muszą ulec zmianie, bo gdyby pozostawić je takimi, jakimi były w grudniu 1981, długo byśmy nie podziałali.

W pierwszych dniach stanu wojennego centrum podziemia znajdowało się w mieszkaniu Hanny Łukowskiej-Karniej, na dziesiątym piętrze bloku przy ul. Kamiennej we Wrocławiu. Na klatce schodowej grzali się zomowcy, a tuż obok, jak w oku

cyklonu pospiesznie przewijają się dziesiątki ludzi. Pierwszego dnia stanu wojennego rozmawiałem z około trzydziestoma ludźmi. Każdy, kto przyszedł, jakoś się włączał do rodzącej się struktury. Częściowo ona już istniała, w postaci zakonspirowanych wydawców „Biuletynu Dolnośląskiego”. Na noc schodziłem na szóste piętro, gdzie przyjęła mnie do siebie rodzina Maciejewskich. Z każdym dniem spontaniczność ustępowała formom coraz bardziej zorganizowanym. Już nie trzydziści, ciągle wchodzących i wychodzących osób, lecz coraz doskonalszy system, w którym dużą rolę odgrywały łączniczki. Szybko przestawaliśmy być czymś w rodzaju niejawnie działającego towarzystwa. Zaczęła powstawać sieć, w skład której włączały się kolejne drukarnie, skrzynki kontaktowe, mieszkania możliwe do wykorzystania dla ukrywających się. Poszczególne ogniwa tej sieci połączone były kanałami komunikacyjnymi, którym ciągle staraliśmy się zapewnić jak największy stopień bezpieczeństwa. Widywało się coraz mniej ludzi, za to pojawiało się coraz więcej efektów ich pracy. A ja też nie przychodziłem już do domu pełnego konspiratorów. Coraz częściej kontakty odbywały się za pośrednictwem korespondencji. Spodziewaliśmy się, że SB na podstawie jakiejś poszlaki zacznie obserwować okolice miejsca ukrywania się. Dlatego co jakiś czas je zmieniałem. Jeszcze w grudniu zamieszkałem w innym bloku, choć przy tej samej ulicy.

# List gończy


## ● Areszt za współudział

Komenda Wojenowa M. 01 Gdynia wrocławskiej we Wrocławiu poszukuje na podstawie listu gończego wydane przez prokuratora rejonowego dla Dzielnicy Wrocław Śródmiejskiej.

Korneliusz Morawieckiego s. Michała i Jadwigi Szuman- skiej, ur. 1941 w Warszawie, zam. we Wrocławiu ul. Kry- nicka 1 m. 1, zatrudnionego w Politechnice Wrocławskiej we Wrocławiu, Wydział Wymiarstwa.

Wymieniony dostarczony jest o to, że w okresie od 15 XII 1961 r. do chwili obecnej we Wrocławiu będą członkiem NSZZ „Solidarność” podlegał prywatnego zakonu kontynuował działalność zakładową, działając wspólnie i w porozumieniu z innymi osobami, utworzył i brał udział w tajnym związku „Solidarność Walcząca”, którego celem i cel misji pozostaje tajemnicą wobec organów państwowych. Jednocześnie ostrzega się, że za ukrywanie poszukiwanego lub dopomaganie w ucieczce grozi kara pozbawienia wolności do lat 5.

Służba Bezpieczeństwa KW M.0 we Wrocławiu zatrzymała Zdzisława C. z wykreśleniem magistratu kandydaci na- ciudnionego w Instytucie Rehabilitowania Środowiska we Wrocławiu. Jak wynika z u- stalen prowadzonego pod nad- zorem Prokuratury Rejonowej.



Stwierdziła się niwa Zdzisław C. w roku 1962 udelepa- łał swoje mieszkanie przy ul. G. Krowickiej we Wrocławiu zaopieczony przez niego grupowania pod nazwą „Sol- idarność Walcząca” Komitatu Morawieckiego do celów organizacyjnych. W miejscu tym- łał w miejscu tym odbywano- łał spotkania i rozmowy w sprawie- łał odtworzenie problemu or- ganizacyjnego oraz ustalanie za- łał i sposoby wyjawiania i- łał kontaktów z innymi wy- łał wydawcami. Podawaniem- łał Zdzisław C. stał- łał przestępstwa.

Jeden z wielu listów gończych za Korneliuszem Morawieckim

ki kontaktowe, mieszka-  
nia możliwe do wykorzy-  
stania dla ukrywających  
się. Poszczególne ogniwa  
tej sieci połączone były  
kanałami komunikacyj-  
nymi, którym ciągle sta-  
raliśmy się zapewnić jak  
największy stopień bez-  
pieczeństwa. Widywało  
się coraz mniej ludzi, za  
to pojawiało się coraz wię-  
cej efektów ich pracy. A ja  
też nie przychodziłem już  
do domu pełnego konspi-  
ratorów. Coraz częściej  
kontakty odbywały się za  
pośrednictwem korespon-  
dencji. Spodziewaliśmy  
się, że SB na podstawie  
jakiejś poszlaki zacznie  
obserwować okolice miej-  
sca ukrywania się. Dlate-  
go co jakiś czas je zmie-  
niałem. Jeszcze w grud-  
niu zamieszkałem w in-  
nym bloku, choć przy tej  
samej ulicy.

### Podziemie wynaj- mowało mieszkania?

Rzadko. Z przyczyn  
organizacyjnych, finanso-  
wych, a także właśnie ze  
względu na bezpieczeń-  
stwo najlepiej było ukry-  
wać się w mieszkaniu,  
w którym żyła jakaś rodzi-

na. Często nawet w mieszkaniach przeludnionych. Konspirator nie potrzebuje luksusów, a esbecji raczej nie przychodziło do głowy, że ktoś może ukrywać się w małym mieszkaniu wielopokoleniowej rodziny.

**Wielopokoleniową rodzinę co jakiś czas ktoś odwiedza. A jeśli mieszkanie ciasne, to nie bardzo jest gdzie się schować. Przychodzą więc jacyś znajomi i... pojawia się pytanie, kim ty jesteś? Czasem można było cię przedstawić jako np. kuzyna, ale ktoś mógł cię też rozpoznać.**

Czasem był to pewien problem, ale raczej niezbyt duży. Zdarzały się sytuacje dość zabawne. Ukrywałem się kiedyś w mieszkaniu pewnej pani, do której niespodziewanie przyszły koleżanki z pracy. Nie było gdzie się schować, więc wszedłem pod kanapę, na której przybyli goście chwilę później zasiedli. Gospodyni nie chciała wzbudzać jakichkolwiek podejrzeń, więc wizyta przebiegała naturalnym rytmem, była dość długa. Leżałem i starałem się nie ruszać. Gdyby te koleżanki mojej gospodyni się zorientowały, że jakiś facet leży pod kanapą, pewnie najpierw narobiłyby wrzasku, a potem miałyby co opowiadać. Cierpliwie słuchałem więc tych wszystkich kobiecych opowieści, ploteczek. Starałem się nie zasnąć, bo jeszcze zacząłbym chrapać...

Innym razem trafiłem do domu, w którym gospodarze pędzili bimber. To znaczy, nie była to żadna bimbrownia ani melina alkoholików. Po prostu co jakiś czas fachowo destylowano trochę spirytusu. Tym razem nie ukrywałem się przed przybyłymi gośćmi. Byłem tuż obok, kiedy zaczęto degustować świeży trunek. Poprosili do tego także i mnie. Kiedy smakowałem ten napój, jeden z gości zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem i powiedział: *Proszę pana, tylko niech pan nas nie wyda.*

**Bezpieczeństwo ukrywania się zwiększała „zasada dwóch mieszkań”.**

Zaczelśmy ją stosować bardzo szybko. Polegała po prostu na tym, że w mieszkaniu, w którym się ukrywałem, nie było żadnych spotkań. Co najwyżej, przychodziła jedna łączniczka. Wszelkie spotkania odbywały się w drugim lokalu, najlepiej w położonym tuż obok. Jak już chyba mówiłem, na początku 1982 r. taki układ został stworzony na ul. Sztabowej: w jednym lokalu mieszkałem, w drugim odbywały się spotkania. To chyba tam pierwszy raz w stanie wojennym widziałem się z Władkiem Frasyńnikiem. Na pewno widziałem się w nim z Piotrem Bednarzem i Eugeniuszem Szumiejką. Mieszkanie, w którym wtedy się ukrywałem, należało do niezującej już pani Marcinkowskiej. Była osobą nieco już starszą, bardzo sympatyczną, opanowaną. Bardzo się o mnie troszczyła. Pomimo moich protestów zrywała się wcześniej rano, żeby kupić dla mnie świeże bułki i przekonywała, że każdy dzień należy zaczynać od dobrej kawy, którą też w tych trudnych czasach potrafiła gdzieś zdobyć. Potem taki wariant dwóch mieszkań powtórzony został na ul. Kwiskiej.

**Ukrywałeś się przede wszystkim we Wrocławiu.**

Prawie wyłącznie we Wrocławiu. Poza dwutygodniowym pobytem w ośrodku w Obornikach Śląskich, niedługimi, urlopowymi pobytami pod Człopą, w domu Janka Komolki w Zakopanem, w Lipnicy oraz na Pojezierzu Międzyhódzkim nie mieszkałem poza stolicą Dolnego Śląska. Dziś się już chyba nie doliczę dokładnie, ale za dom służyło mi przez tych sześć lat blisko sześćdziesiąt mieszkań.

**Pamiętasz te miejsca?**





Władysława Konstantinowicz

Część na pewno tak. Pierwsza przyjęła mnie Zosia Maciejewska. Pierwsze Boże Narodzenie spędziłem u Izydora Stankiewicza na ul. Powstańców Śląskich. W pierwszym okresie stanu wojennego mieszkałem też przy Hubskiej, potem na pl. Perceca. Później, wyjątkowo długo, u Władzi Konstantinowicz przy ul. Wielkiej. Parę razy w różnych latach ukrywałem się u Jana i Igi Jerzmańskich oraz u ich rodziców przy ul. Wapiennej. W tym mieszkaniu na pewno spotykałem się z Władkiem Frasińskim. Potem przy Kwiskiej, u Magdy Rutkowskiej na Wejherowskiej. W paru miejscach na Popowicach, na Kozanowie, na Pilczycach, chyba też na Zachodniej. U państwa Brezów na Lwowskiej... Tam było jedno z założycielskich spotkań Solidarności Walczącej. Pamiętam też mieszkanie pewnej nauczycielki na Nowym Dworze, na parę miesięcy przyjęła mnie rodzina z ul. Świdnickiej... Jakiś czas

w willi na Australijskiej, dość długo u państwa Wajdów, w okolicy Borowskiej. W tamtych czasach niespecjalnie ważne było, w jakiej części miasta się znajduje, chyba też nie wszyscy gospodarze przedstawiali się z nazwiska. To był taki czas, w którym zastosowanie miała zasada „im mniej informacji – tym lepiej”. Wdzięczny jestem bardzo wszystkim, którzy wtedy udzielili mi schronienia. Warto by stworzyć listę tych, którzy tak bardzo wtedy pomogli.

### Da się powiedzieć, kim byli ci, którzy cię ukrywali?

Na początku byli to dość bliscy znajomi. Jeśli nie moi – to moich współpracowników. Czasem oni sami, wiedząc, że muszę zmieniać lokale, znajdowali nowe mieszkania, np. u swoich krewnych. Z czasem zacząłem trafiać do ludzi zupełnie mi nieznanymi. Chętnych do udzielenia gościny ukrywającym się znajdowali różni członkowie Solidarności Walczącej. Trzymaliśmy się zasady, że muszą to być mieszkania ludzi, których inna działalność nie ściąga zainteresowania SB. Często gospodarzami byli krewni naszych działaczy, osoby niezaangażowane w innego rodzaju podziemną robotę. Bywało, że po moim wyprowadzeniu się włączały się bardzo aktywnie w kolportaż, a nawet w druk. Czasem z ukrywaniem ludzi podziemia wiązały się pewnego rodzaju przykrości. Ktoś, kto miał mnie w swoim domu, nie mógł np. podpisać jakiegoś listu protestacyjnego, w wyniku czego był uważany za tchórza. Tak czasem bywało.

W trwającym tak długo ukrywaniu się najbardziej niezwykle jest dla mnie to, że chyba wszyscy, którzy cię znają, wśród głównych cech Kornela Morawieckiego wymieniają ufność. Konspirator ścigany listami gończymi, zagrożony szpiclowaniem, skazany na codzienny trud odróżniania przyjaciół od wrogów – generalnie wierzył ludziom. I to także takim, w stosunku do których powinien być ostrożny. Przypomnijmy choćby tego sowieckiego żołnierza, który zdezerterował i był ukrywany przez ludzi z Solidarności Walczącej. Szeptano, że to prowokator, agent KGB. Szybko zaczęło krą-

żyć wymyślone przez kogoś przezwisko – „Kagiebesznik”. A ty reagowałeś na to tylko w jeden sposób: *Ależ skąd! To prosty chłopak, który chce uciec z Sojuza. Musimy mu pomóc, bo jak go złapią, to zabiją.* W myśl twoich planów trafił wtedy chyba do Rolanda Winciorka w Wilczynie. Potem chyba przedostał się na Zachód. Zresztą w sprawie dezertków z Armii Sowieckiej Solidarność Walcząca wypowiadała się wiele razy. Na łamach prasy SW zamieszczane były informacje o tych zbiegach, apele o udzielanie im pomocy...

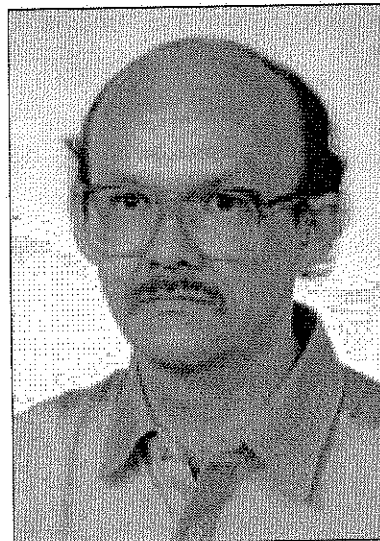


Maria Peisert-Kisielewicz – wieloletnia redaktorka centralnego wydania „Solidarności Walczącej”

I przynajmniej kilku udało się pomóc. Niektórzy przedostali się potem za granicę, inni znaleźli skuteczne ukrycie na całe lata. Wiadomo, że w okolicach Świdnicy i Bornego Sulinowa paru wręcz weszło do rodzin, które ich przyjęły. Oczywiście, docierały do mnie głosy, według których po naszych apelach o ukrywanie dezertków KGB wykorzystywało to do inwigilacji związanych z nami środowisk. Ale czy miało nas to powstrzymać przed apelowaniem o pomoc im, jeśli udało nam się takiego dezertera spotkać? Przecież każdemu z nich groziła śmierć! Oni ich rozstrzeliwali, zupełnie jak na wojnie!

**Podobnie było np. z Januszem Paciorkowskim, który przyszedł do ciebie jeszcze przed stanem wojennym i powiedział, że chce pomóc w kolpor-tażu „Biuletynu Dolnośląskiego”. Przecież nic o nim nie wiedziałeś.**

Paciorkowski rzeczywiście na nikogo się nie powoływał, a w młodości przeżył zauroczenie komunizmem. Przyszedł do mnie, bo miał najszczerszą potrzebę działania na rzecz wy-bicia się Polski na niepodległość. Pytał, w czym może pomóc, a że nie wiedziałem o nim nic, poprosiłem, by opowiedział mi o sobie. Z jego opowieści były takie szczerze, wiarygodne emocje. Był młodym chłopakiem, kiedy wstępował do Armii Ludowej. Mówił, że urzekły go te ich partyzanckie pieśni. Niewiele wtedy wiedział o świecie, był pod wrażeniem wizji lepszego ładu, odbudowy Polski, a akurat nie spotkał się z obrazami sowieckiego terroru. Dał się wciągnąć do szeregów komunistycznej organizacji. Czy on jeden wtedy? Po latach, już jako dojrzały człowiek, świetnie rozumiał swoje dawne błędy. A miał w sobie ciągle to pragnienie robienia czegoś dla innych, dla Polski, dla wolności. Wzbudzał moje duże zaufanie i nigdy go nie zawiódł. Działał już w pierwszych podziemnych strukturach, rodzących się w grudniu 1981 roku, potem w Solidarności Walczącej aż do jej wyjścia z podziemia.



Zbigniew Bereszyński, autor znakomitej publicystyki, przede wszystkim w „Biuletynie Dolnośląskim”



Maria Koziębrodzka – jedna z głównych łączniczek Kornela Morawieckiego, członek Rady Solidarności Walczącej

w 1984 roku. Największa fala zatrzymań, jaką SB przeprowadziło w styczniu i lutym, skłoniła Hanię do tego, by zacząć się ukrywać. W więzieniach siedziało już bowiem około czterdziestu członków SW, razem z zatrzymywanymi na krócej liczba ta przekraczała sto osób. Hania pewnego dnia przestała przychodzić do pracy, a do domu wpadała na chwilę, najczęściej w nocy. Jakiś czas później okazało się, że jej decyzja była słuszna. Gazety wydrukowały bowiem list gończy z jej fotografią. Niestety, miesiąc później bezpieka ją wytropiła. Na szczęście parę miesięcy później władze PRL-u ogłosiły amnestię, w wyniku czego obyło się bez długotrwałego uwięzienia.

Kontakt z organizacją za pośrednictwem do-  
brych łączników zapewniał stosunkowo wysoki po-  
ziom bezpieczeństwa. Trzymaliśmy się też kilku za-  
sad. Z reguły, zanim się gdzieś pojawiłem, do miejsca  
spotkania przyjeżdżał ktoś z moich asystentów, kto  
oceniał, czy jest w miarę bezpiecznie. Pytał zebranych,  
czy nie mają podejrzeń co do ewentualnych „ogonów”  
i czy w ogóle coś niepokojącego się nie dzieje. Żelazną  
zasadą było też to, że o moim spotkaniu z kimkolwiek  
wiedziała minimalna ilość osób. Do wielu spotkań  
z członkami różnych grup SW dochodziło też wtedy,  
gdy spotkać mnie się nie spodziewali.

W podnoszeniu poziomu bezpieczeństwa sporą  
rolę grała orientacja w tym, gdzie znajdują się loka-  
le operacyjne SB. Miasto było usiane dziesiątkami  
mieszkań, służących bezpiece za punkty obserwacyj-  
ne. Część z nich prowadziła po prostu permanentny

**Większość okresu twojego ukrywania się  
spędziłeś zapewne w zamkniętych pomieszcze-  
niach...**

Jak się ktoś ukrywa, to za wiele nie spaceruje.  
Moje portrety znała milicja i wszystkie służby spe-  
cjalne. Nie było trudno natknąć się na ulicy na kogoś  
z ich funkcjonariuszy. Bez potrzeby nie wychodziło  
się z domu.

**I przez całe lata kontakty głównie przez  
łączników?**

Najdłużej moją łączniczką była Hanna Łukow-  
ska-Karniej. Zasadą było to, żeby każda łączniczka  
miała dublerkę na  
wypadek areszto-  
wania. To zresztą  
przytrafiło się Hani

## Poszukiwana



Przez całe lata kontakty głównie przez łączników? Zasadą było to, żeby każda łączniczka miała dublerkę na wypadek aresztowania. To zresztą przytrafiło się Hani...

List gończy za Hanną Łukowską-Karniej

monitoring np. ludzi na ulicy. Jeśli pojawił się np. jakiś student z plecakiem pachnącym farbą drukarską, wysyłano za nim szpicli. Na ostatnim piętrze „Poltegoru” inny zespół SB siedział przy lunetach i zaglądał do setek okien. A nuż w którymś zobaczy się coś interesującego? Z takich i innych działań naszych tropicielei trzeba było sobie zdawać sprawę. No i oczywiście nieocenione usługi oddawał nasłuch radiowy, stanowiący ważną część struktury, może trochę na wyrost zwanej naszym kontrwywiadem.

### **Czy rzeczywiście „na wyrost”?**

Może i nie. Bez wątpienia wielu ludzi uniknęło więzienia dzięki działaniom nasłuchowym i często naprawdę przemyślanym procedurom zabezpieczającym nas przed służbami specjalnymi PRL-u. Bez tego kontrwywiadu na pewno nie udałoby się ani organizacji rozwinąć do znanej nam skali, ani mnie ukrywać przez tyle lat.

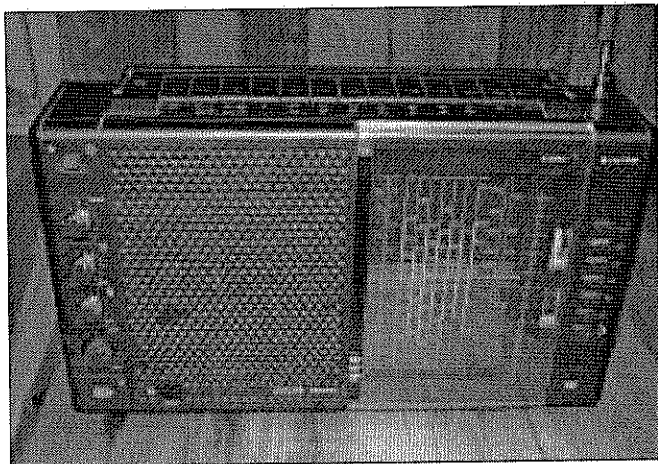
## Aresztowanie

Jesień 1987 roku. Ukrywałeś się już prawie sześć lat. Pamiętam, że robiło to wtedy duże wrażenie. Władysława Frasyńniuka złapali po dziesięciu miesiącach, krótko potem Piotra Bednarza. Januszowi Pałubickiemu udało się ukrywać przez rok, Józefowi Piniorowi – półtora, Bogdanowi Lisowi dwa i pół, Tadeuszowi Jedynakowi trzy i pół, Bogdanowi Borusewiczowi przez cztery, a Zbigniewowi Bujakowi jakieś cztery i pół roku. Z najbardziej znanych działaczy podziemia twoje pozostawanie w ukryciu trwało najdłużej.

W tym czasie ukrywali się też inni działacze Solidarności Walczącej, m.in. Jadwiga Chmielowska i Andrzej Kołodziej. To, oczywiście, był bardzo trudny czas. W połowie lat osiemdziesiątych wielu ludzi działających w podziemiu dopadało zwątpienie, zmęczenie. Struktury się wykruszały, wielu opuszczało kraj. Sytuacja w Polsce była ogólnie zniechęcająca. Normalną rzeczą było to, że każdy wolał się skupić na swojej rodzinie, zadbać o nią, poświęcić czas nie na konspirowanie, ale na zapewnienie jej jakiegoś bytu. A o to było coraz trudniej. Każdy człowiek podziemia musi się liczyć z możliwością aresztowania, z tym, że do jego domu bezpieczeństwa może wpaść w każdej chwili. Nawet dla ludzi o bardzo silnych nerwach taki długotrwały stres jest męczący, rzutuje na inne dziedziny życia, stosunki międzyludzkie, powoduje różnorakie napięcia. Moje ukrywanie się uważałem także za pewnego rodzaju czynnik mobilizujący, pobudzający wolę trwania w strukturach i dalszego działania.

**Bez wątpienia grało to taką rolę. Nie było widać żadnej nadziei na jakąś zmiany, nie wspominając o końcu komunizmu. I w tej beznadziejnej sytuacji często pojawiały się myśli w rodzaju: *Boże, on ciągle się ukrywa... Jak długo jeszcze?***

Było jasne, że nie będzie to trwało bez końca. Moje funkcjonowanie w tych anormalnych warunkach było coraz doskonalsze, mieliśmy w tej kwestii coraz więcej doświadczeń, sposobów i coraz lepsze metody podnoszenia poziomu naszego bezpieczeństwa. Oczywiście też jednak było, że przeciwnik nie śpi, też podejmuje coraz to nowe działania. Nam w końcu też przytrafić się mógł jakiś błąd...



„Julia” znakomicie przysłużyła się podziemi.

dy esbecja zorientowała się, co ją dekonspiruje, zmieniła anteny na swoich samochodach. Nie dało się już ich rozpoznać po tych elementach. Prowadziliśmy też coś w rodzaju katalogu pojazdów SB, gromadząc ich numery rejestracyjne, marki, kolory karoserii itd. Zaczęli więc używać swoich samochodów prywatnych, częściej wymieniać te znajdujące się w dyspozycji swoich urzędów. Normą stało się wożenie w bagażniku kilku kompletów tablic rejestracyjnych i częste ich zmienianie.

**Wspominaliśmy już o tym, ale powiedz trochę więcej o tym permanentnym nasłuchu radiowych częstotliwości, wykorzystywanych przez SB.**

W zasadzie był to cały system, któremu szefował Jan Pawłowski. Do ludzi najbardziej zaangażowanych w tę strukturę należeli m.in. Hanna Łukowska-Karniej, Ludwika Ogorzelec, Jacek Lipiński, Andrzej Kołodziej, Andrzej Kubacki. Wyposażenie składało się z aparatury nasłuchowej. Początkowo dostosowywaliśmy radioodbiorniki do częstotliwości, z których korzystała milicja i SB. Już w 1982 roku Tadek Świerczewski powiadomił mnie, że właśnie uruchamiana jest w Polsce produkcja nowego, nowoczesnego radioodbiornika, który da się przystosować do podsłuchu naszych tropicieli. Były to radia „Julia”. Drogie i trudno dostępne, ale kilka egzemplarzy trafiło prosto do nas. Nasi elektronicy przerobili kilka w ten sposób, że wyglądały one i spełniały funkcje zwykłych radioodbiorników, ale jeśli wcisnęło się odpowiednie trzy klawisze, słyszało się rozmowy SB. Nie pamiętam już, czy przeróbka tego sprzętu była związana z transportami, które docierały z Niemiec do kościoła przy ul. Traugutta. Oprócz darów z przywożonej tam pomocy charytatywnej w skrytkach ciężarówek znajdowały się m.in. części do radiostacji. Potem tą samą drogą docierał do nas coraz lepszy sprzęt na-

**„Konspiracyjne rzemiosło” było coraz lepsze...**

Oczywiście. Coraz więcej wiedzieliśmy o sposobach działania bezpieki, coraz lepiej zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jakie nasze słabości mogą być wykorzystane. W 1982 roku wszyscy konspiratorzy byli wyczuleni na typowe sygnały, świadczące o tym, że są śledzeni. Samochody SB miały np. charakterystyczne anteny. Po nich można było te niebezpieczne dla nas pojazdy poznać. Kiedy



Piotr Serwaczak prowadził działania nasłuchowe w strukturach młodzieżowych.

## Aresztowanie

słuchowy. Tymczasem mieliśmy te „Julie”. Dwie lub trzy przekazaliśmy Władkowi Frasyniukowi – to było parę miesięcy przed jego aresztowaniem. Inne służyły nam. Jakiś czas później zdarzyła się taka sytuacja, że SB wpadła do domu Tadeusza Świerczewskiego. Przetrzęsnęli budynek niemal od fundamentów po komin, przekopali cały ogród. Szukali skrytek. Zainteresowali się też radiem „Julia”. Ich elektrownicy rozebrali to radio, sprawdzając, czy nie jest przystosowane do podsłuchu. Nie było, bo był to egzemplarz jeszcze nieprzerobiony, specjalnie podmieniony z tym, który widzieli wcześniej. Wtedy się nim nie zainteresowali. Nasi ludzie mieli czas je zamienić.

### **Skąd wiedzieli, że to radio może pełnić taką funkcję?**

To było już po aresztowaniu Frasyniuka. Władek wpadł w ręce bezpieki, bo ktoś na niego doniósł. W jego bliższym czy dalszym kręgu był agent, który dał znać o miejscu pobytu przewodniczącego dolnośląskiej Solidarności. Być może wiedział też o tym, do czego mogły służyć radioodbiorniki „Julia”.

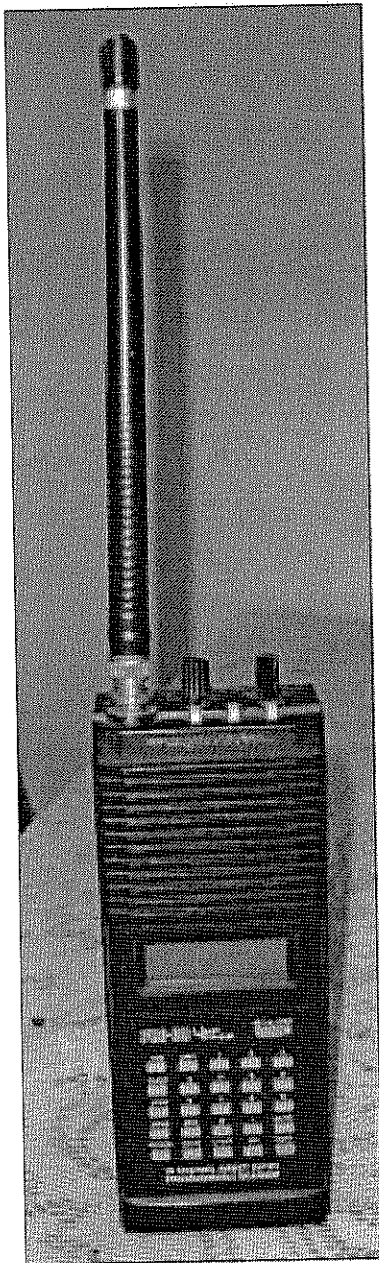


Jan Pawłowski – twórca i jedyny szef Kontrwywiadu SW

### **Słyszałem o przeróżnych konstrukcjach podsłuchowych, używanych przez SW.**

Było ich sporo. Mieliśmy w podziemiu bardzo wielu ludzi, którzy znali się na sprzęcie radiowym. Byli wśród nas krótkofalowcy, radiotechnicy zatrudnieni w zakładach usług radiowo-telewizyjnych, które zresztą świetnie spełniały rolę warsztatów, w których nasz sprzęt był konstruowany, udoskonalany, naprawiany. Było wreszcie wielu pracowników Politechniki, dla których łączność radiowa była specjalnością naukową. Już w pierwszych dniach stanu wojennego mieliśmy radiostacje pochodzące ze skasowanych karetok pogotowia, wykradzione chyba z magazynów Akademii Medycznej. Przystrojenie ich na częstotliwości MO i SB nie stanowiło żadnego problemu. Udało się też zdobyć trochę sprzętu radiowego wycofanego ze stanów milicji. Przełomem był moment, w którym dostaliśmy pierwszą partię tzw. skanerów, które kupowali na Zachodzie nasi zagraniczni przedstawiciele i następnie organizowali ich przemyt do nas. Urządzenia te były na owe czasy niesłychanie nowoczesne i oddawały nieocenione usługi. Przede wszystkim – wyszukiwały esbecką korespondencję radiową, prowadzoną na dziesiątkach podzakresów. Z czasem mieliśmy coraz więcej zdolnych elektroników, elektrotechników, którzy konstruowali różne pomysłowe urządzenia. Pracownicy naukowci Politechniki i „złote rączki” z zakładów naprawy telewizorów wykazywali czasem wręcz niezwykłą kreatywność. Powstawały prawdziwe, godne opatentowania wynalazki, oddające nam nieocenione usługi i które mogłyby też znaleźć jakieś zastosowanie inne od konspiracyjnego. Z punktu widzenia dzisiejszych możliwości technicznych, obecnej dostępności przeróżnych materiałów, części, technologii – ówczesne nasze osiągnięcia mogą nie robić wrażenia. W PRL-u jednak problemem było nawet zdobycie odpowiedniej

ilości kaset magnetofonowych. Potrzebowaliśmy ich bardzo dużo, gdyż rozmowy esbeków odbywały się często równocześnie na kilku różnych podzakresach. Wszystkie były przez nas nagrywane, a potem poddawane analizie. Polegało to czasem na wielokrotnym przesłuchiwaniu taśm magnetofonowych. Często były to dziesiątki kaset z jednego dnia. Rozmowy te były spisywane. Informacje o podsłuchanych działaniach następnie powielaliśmy. Trafiły do działaczy, zresztą nie tylko z SW. Żeby uniknąć bałaganu, a także z braku wystarczających ilości taśm magnetofonowych, ktoś skonstruował urządzenie do szybkiego kasowania zapisu z dziesiątek kaset równocześnie. Powstawały wtedy takie przeróżne, bardziej i mniej skomplikowane „wynalazki”, odpowiadające różnym rodzajem się potrzebom.



Typowy skaner do podsłuchu nadajników esbeckich

### **Kiedy SB zorientowało się, że jest podsłuchiwane?**

Chyba dość szybko. Już w 1982 roku zauważyliśmy, że esbecy zaczęli się porozumiewać jakimś kodem. Nasi ludzie zaczęli więc kod ten „rozgrzyzać”.

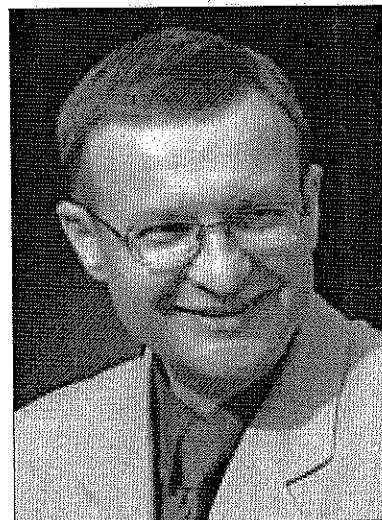
### **Chwileczkę – skąd wiedza bezpieki o prowadzonym przez Solidarność Walczącą podsłuchu?**

Pierwszym świadczącym o tym sygnałem mogło być dla SB zachowanie śledzonych przez nią ludzi. Coraz częściej dzięki naszemu nasłuchowi byli oni ostrzeżeni o grożącym im niebezpieczeństwie. SB mogła też dowiedzieć się o istnieniu naszego nasłuchu z innego, dość prostego źródła. Informacje z naszego nasłuchu powielaliśmy i przekazywaliśmy do różnych struktur konspiracyjnych. Chodziło o to, żeby ludzie zaangażowani w podziemie szukali na tych kartkach informacji o sobie. Było tam np. napisane, że tego i tego dnia o tej czy tamtej godzinie obserwowany był taki dom, ten samochód, człowiek tak i tak ubrany. Często taka, pochodząca z naszego kontrwywiadu karteczka, uświadamiała konspiratorom, że *O kurczę, te esbeckie rozmowy dotyczą mojego domu!* Podsłuchując SB, dowiadywaliśmy się także o działaniach wymierzonych przeciw konspiratorom spoza Solidarności Walczącej i oczywiście nie trzymaliśmy tych wiadomości dla siebie. Spisywane rozmowy esbeków trafiały do ludzi związanych z Regionalnym Komitetem Strajkowym, Niezależnym Zrzeszeniem Studentów, a także strukturami młodzieżowymi, np. Międzyszkolnym Komitetem Oporu. A w tamtych czasach zatrzymania przez SB były na porządku dziennym. Bywały dni, w których w samym Wrocławiu zatrzymywano kilkadziesiąt osób, przeszukiwano dzie-



siatki mieszkań. Prawdopodobnie którymś razem w ręce esbecji wpadł egzemplarz naszych nasłuchowych ustaleń.

**No tak, te sprawozdania z nasłuchów były dostępne dość szeroko. I czasem zawierały określenia dość enigmatyczne. Kiedyś zastanawialiśmy się, co w języku esbeków może oznaczać *Rozładunek w rejonie Matysiaków*. W końcu ktoś wpadł na to, że „Matysiakowie” to jedno ze znanych określeń izby wytrzeźwień przy ul. Sokolniczej. W jednym z najbliższych od niej bloków mieszkali Jasia i Maciek Dziubańscy, i rzeczywiście w podanym dniu ich piwnicę wypełniano jakimś transportem książek drugiego obiegu. Czy takie kontrwywiadowcze działania były prowadzone tylko we Wrocławiu, czy także w innych miastach?**



Maciej Dziubański

Wrocławski kontrwywiad był tu pionierem, ale szybko podobne działania zostały podjęte także na Górnym Śląsku, w Trójmieście, Poznaniu. Każdy oddział Solidarności Walczącej dążył do jak najszybszego utworzenia jak najlepszej komórki podsłuchu radiowego. Przy tej okazji można stwierdzić, że wrocławska esbecja pracowała chyba najbardziej profesjonalnie. Kody, którymi się posługiwała, były najtrudniejsze do złamania. Podobnie – metody prowadzenia obserwacji. Z nasłuchów wrocławskich dowiedzieliśmy się też, że wrocławska SB szkoliła zespoły z innych ośrodków. Chyba była najbardziej profesjonalna w tropieniu podziemia.

**Może wynikało to z tego, że we Wrocławiu to podziemie było najlepiej zorganizowane i że w tym mieście działało najwięcej dobrych konspiratorów?**

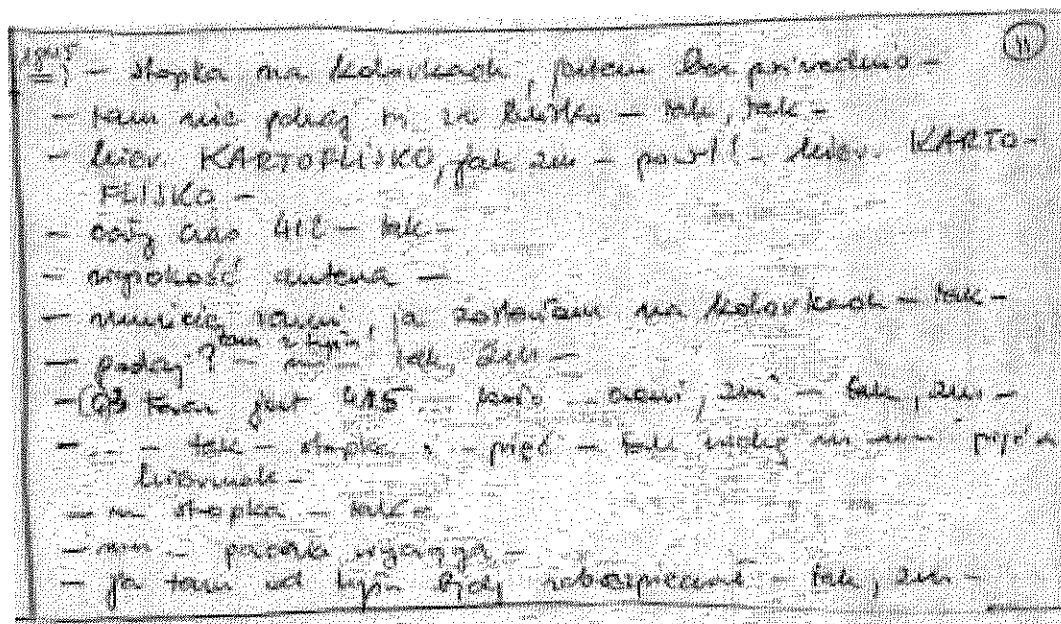
Dla potwierdzenia takich wniosków trzeba by przeprowadzić konkretne badania. W latach osiemdziesiątych na podstawie ilości drukowanej prasy podziemnej szacowaliśmy jednak potencjał Wrocławia jako mniej więcej trzy razy większy od Warszawy.

**To ja może przypomnę, że w 1983 roku kwartalnik „Obecność” zamieścił listę ponad stu tytułów niezależnej prasy, ukazującej się wtedy w stolicy Dolnego Śląska. Znaczną jej część stanowiły publikacje SW lub powielane w drukarniach tej organizacji. Wróćmy jednak do nasłuchów i łamania kodów, którymi posługiwała się bezpieka. Jak można było „rozgryźć” ich szyfry?**

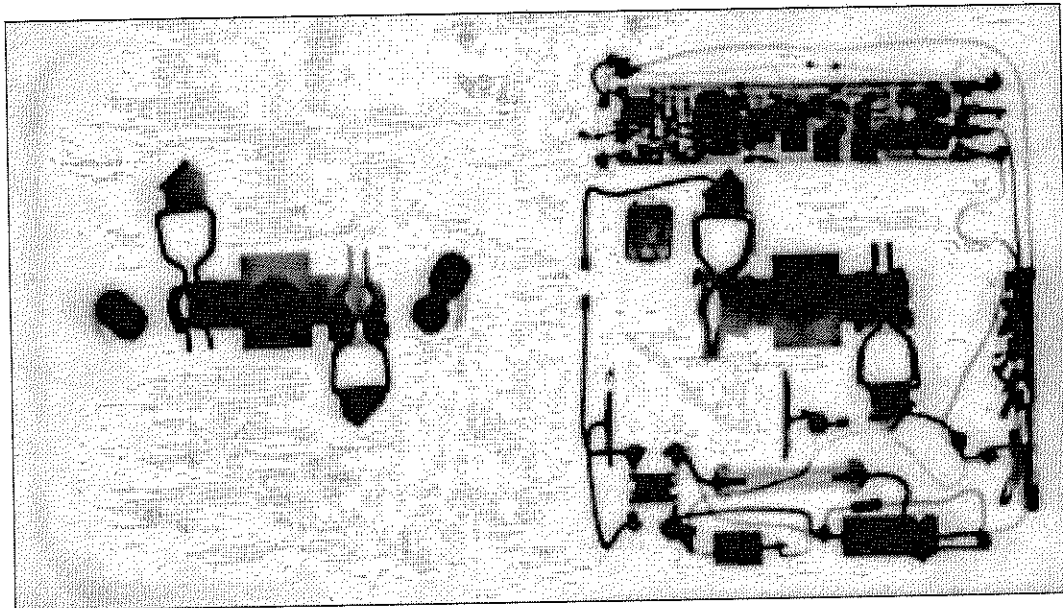
Czasem było to proste, bo ich leksyka stanowiła rodzaj żargonu. Zauważyliśmy, że jak mówią „rondel” – chodzi im o rondo placu Powstańców Śląskich, „Watykan” oznaczał okolice katedry. „Białym” nazywano hotel „Wrocław”, zresztą będący wtedy jedną z siedzib bezpieki. „Szary” to hotel „Monopol”. Jeśli mówili o kimś, że jest „na patykach”, znaczyło to, że porusza się pieszo. Nasi ludzie zajmujący się nasłuchem stworzyli cały słownik używanych przez bezpiekę terminów. Okazało się

zresztą, że np. na Wybrzeżu obowiązuje nieco inna jego wersja. Co jakiś czas też pojawiały się pojęcia, które trudno było rozszyfrować. Wtedy decydowaliśmy się czasem na dość brawurowy krok. W rejon obserwacji udawał się ktoś z zadaniem ściągnięcia na siebie uwagi esbeków. Często była to Hanna Łukowska-Karniej. Pojawiając się przy obserwowanym domu, po chwili „ciągnęła za sobą ogon”. Podśłuchując wtedy rozmowy esbeków, dowiadaliśmy się, jak nazywają poszczególne miejsca, czynności, przedmioty. W pewnym momencie trzeba było, oczywiście, „urwać się” szpiclom. W niektórych punktach miasta mieliśmy to przećwiczone. Były rejon, w których np. samochody nie mogły jechać jednokierunkową pod prąd, a ciagi podwórek, przejść piwnicznych i innych zakamarków umożliwiały zgubienie tropiących. Po jakimś czasie wiedzieliśmy więc, co oznaczają ich kryptonimy, jakie nazwy stosują na określenie miejsc i sposobów działania. Zaczęli też jednak używać sposobów, które stanowiły dla nas dużą przeszkodę. Np. podzielili miasto na sektory i poruszając się po nim używali często zmienianych symboli. Ponadto w sytuacjach, w których bardzo chcieli coś przed nami ukryć albo nie wiedzieli, jak dany komunikat zaszyfrować, przechodzili na kontakt telefoniczny. Po prostu korzystali z automatów w budkach. Tu nasze możliwości się kończyły. Nie byliśmy w stanie tego podsłuchać.

Jakos na przełomie 1986 i 1987 r. zaczęły pojawiać się w eterze nowego rodzaju informacje. Zorientowaliśmy się, że we Wrocławiu działają nowe ekipy esbeków, które nie znały zbyt dobrze miasta. Błądziły po Wrocławiu, nie zawsze orientowały się, gdzie są, pomagały sobie planami. A przede wszystkim ćwiczyły szybki dojazd do różnych punktów. Część materiałów z nasłuchu wskazywała na to, że oni trenują błyskawiczne poruszanie się po mieście, które jest im słabo znane. Naszym wnioskiem było też to, że te nowe grupy esbeków działają niezależnie od tej dawnej, wrocławskiej struktury SB. Jakby zaczęły działać dwie niezależne, równoległe organizacje tajnej policji.



Fragment notatek nasłuchowych



Z lewej strony zwykłe gniazdko elektryczne, z prawej – z zainstalowanym podsłuchem esbeckim

Zgadzałyby się to z informacjami Pawła Piotrowskiego z IPN, który w pracy *Solidarność Walcząca w świetle materiałów Służby Bezpieczeństwa* pisał, że gen. Czesław Kiszczak w połowie lat osiemdziesiątych doszedł do wniosku, że tak długotrwałe ukrywanie się Kornela Morawieckiego musi być wynikiem tego, że SW przeniknęła do wrocławskiej struktury SB. W związku z tym delegował do Wrocławia specjalną, dużą grupę operacyjną MSW z Warszawy.

Kiszczak trochę przeceniał nasze możliwości. Mielśmy wielu informatorów wśród funkcjonariuszy milicji. Współpracował z nami Marian Charukiewicz, pracownik SB, znał od środka jej zwyczaje, sposoby działania, no i ciągle miał jakiś kontakt z zatrudnionymi w bezpiece ludźmi. Jednak tak dobrze to z nami nie było, żebyśmy mieli rozpracowaną wrocławską esbecję. Pogląd ten pochlebia nam bardzo, ale nasze możliwości były tu ograniczone. To znaczy – próbowaliśmy wprowadzać tam swoich ludzi. To było bardzo ryzykowne. Oznaczało śmiertelne niebezpieczeństwo dla tych, którzy się tego podejmowali. Byli jednak tacy śmiałkowie, którzy próbowali zatrudnić się w SB wyłącznie po to, by informować nas o wymierzonych w podziemie działaniach bezpieki. Już na początku stanu wojennego Zbyszek Bęz znalazł pewnego chłopaka, który był zdecydowany wstąpić do SB. Informacje od niego funkcjonowały jako wieści od „Wiesi”. Okazywało się jednak, że jego możliwości były tam, niestety, nie za duże. Nawet jeśli człowiek miał najwyższe kwalifikacje, ukończone dobre kierunki studiów, znał języki, wyróżniał się inteligencją, solidnością, pracowitością, lojalnością – nie był w stanie przekroczyć pewnego progu, jeśli nie miał czegoś jeszcze. Tym czymś było dla SB pochodzenie z rodziny o silnych ubeckich tradycjach. W SB awansowali prawie wyłącznie ci, którzy mieli rodziców, a najlepiej i innych krewnych, zatrudnionych w Urzędzie Bezpieczeństwa. Najmilej

widziani byli tacy, których „esbecka tradycja” sięgała 1944 roku. Tylko tacy mogli liczyć na pełne zaufanie, dostęp do większych tajemnic i awansowanie. Inni skazani byli na wykonywanie drugorzędnych zadań, funkcjonowanie na obrzeżach. Mieliśmy we wrocławskiej bezpiece swoich ludzi, ale nikt z nich nie miał takich korzeni rodzinnych, które pozwoliłyby wspiąć się w tej esbeckiej hierarchii, wejść w głąb struktury, zdobyć dostęp do najbardziej nas interesujących informacji. Naszych informatorów zaklinaliśmy, by nie przychodziły im do głowy żadne próby wdzierania się do jakichś tajnych danych operacyjnych SB. To byłoby prawdziwe igranie ze śmiercią. Nie mieliśmy wątpliwości, że gdyby SB zorientowało się, że ktoś z ich szeregów dla nas pracuje, nie zawahałoby się zabić.

**Wzmoczone działania operacyjne przeciw Solidarności Walczącej zostały wtedy podjęte także w Trójmieście.**

Tam wymierzone przeciw nam działania miały całkowicie inny charakter i prowadzone były chyba głównie przez wywiad wojskowy. Nie wiemy tego, ale polegały na zaangażowaniu m.in. brukselskiego biura NSZZ Solidarność. My nie otrzymywaliśmy pomocy z tego przedstawicielstwa. Płynące z niego pieniądze i sprzęt trafiały do podziemnych struktur NSZZ Solidarność. Nie szukaliśmy z nimi kontaktu i prawdę powiedziawszy – nie mieliśmy też zbyt dużego zaufania do tej zagranicznej agendy związku. Nie mieliśmy żadnych konkretnych powodów, ale nasi zagraniczni przedstawiciele do Jerzego Milewskiego i jego działalności odnosili się z rezerwą, mieli jakieś podejrzenia...

**W książce pt. *General Czesław Kiszczak mówi prawie wszystko* ostatni PRL-owski szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przechwalał się, że urządzenia poligraficzne wysyłane dla podziemnej Solidarności z Zachodu miały zainstalowane przez jego ludzi mikronadajniki. Miały być tak sprytnie zamontowane w tych powielaczach, że nie sposób było ich odnaleźć i usunąć. No, a przede wszystkim nikt nie domyślał się ich istnienia. Według Kiszczaka, pozwalały one bardzo precyzyjnie ustalić lokalizacje najważniejszych drukarni podziemia i w wyniku długotrwałej obserwacji rozpoznawać całe siatki konspiratorów.**

No właśnie. Dziś wiadomo, że Jerzy Milewski pracował dla bezpieki. Wtedy krążyły na ten temat, co najwyżej, niczym konkretnym nieoparte domysły. A autorytet Milewskiego był budowany choćby przez to, że był przyjęty przez prezydenta Ronalda Reagana w Białym Domu. Kiedy dotarły do mnie informacje, że oddział Solidarności Walczącej ma ofertę otrzymania jakiejś partii przydatnego w konspiracji sprzętu, wzbudziło to mój niepokój. Nie potwierdzały takiej możliwości zagraniczne przedstawicielstwa Solidarności Walczącej. Z zamiarem sprzętowej pomocy właśnie dla nas wystąpiły jakieś organizacje pozostające w kontakcie z brukselskim biurem Solidarności...

**Z dzisiejszej perspektywy wyglądać to może podejrzenie czy dziwnie, ale przecież w latach osiemdziesiątych różnoraka pomoc dla podziemia płynęła z Zachodu czasem trochę na ślepo. Zdarzały się np. przypadki, że w transportach pomocy żywnościowej, która trafiała do kościołów, pośród puszek z ogórkami znajdowały się puszki z farbą drukarską albo matryca-**

**mi białkowymi. Zapewne zagraniczni sympatycy Solidarności wychodzili z założenia, że jak wysła materiały poligraficzne do dowolnej parafii Kościoła katolickiego w Polsce, to w ten czy inny sposób trafią one do ludzi podziemia.**

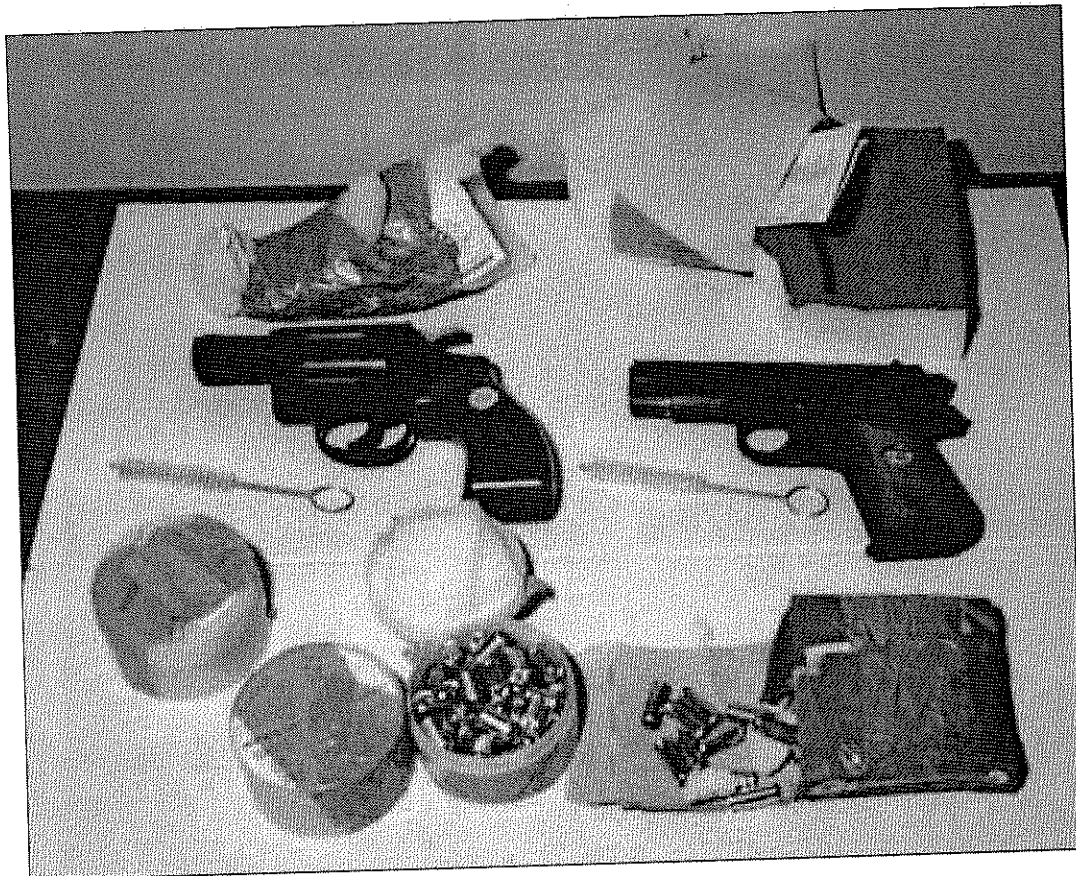
Mogło tak być i rzeczywiście nie było to aż tak dziwne. Nasz sprzęt nadawczy Radia Solidarności Walczącej nigdy nie byłby tak dobry, gdyby nie pomoc całkowicie nieznanymi Niemców, którzy przysyłali nam takie podzespoły elektroniczne, o jakich w PRL-u nikomu się nie śniło. Do różnych podziemnych struktur docierała czasem pomoc nie wiadomo skąd, od całkowicie anonimowych darczyńców. To, że przychodzące zza granicy powielacze mogą mieć nadajniki naprowadzające bezpiekę, nikomu chyba nie przyszło do głowy. Na szczęście, w Solidarności Walczącej nie mieliśmy jakiegokolwiek sprzętu przysłanego nam przez brukselskie biuro Solidarności.

**Kierownik Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność za Granicą z siedzibą w Brukseli Jerzy Milewski był potem sekretarzem stanu i szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego przy Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej za prezydentury Lecha Wałęsy i Aleksandra Kwaśniewskiego. Do śmierci w roku 1997... A jak się skończyła historia tego transportu ze sprzętem dla Solidarności Walczącej?**

Pamiętam, że zalecałem wtedy daleko idący sceptycyzm i ostrożność. Transport miał nadejść drogą morską ze Szwecji. Okazało się, że zawierał, między innymi, jakieś pałki elektryczne, pistolety gazowe. Zatrzymano przy tym kilku ludzi z „Solidarności Walczącej”. Ostatnio miałem możliwość zapoznania się z częścią dokumentów na ten temat. Całą prowokację zorganizował wywiad wojskowy. Ładunek najpierw przywieziono do Warszawy do skontrolowania. Po stwierdzeniu braku karabinów odesłano na statek i potem, rzekomo przypadkiem, przechwycono.

**Czyli nieźle to sobie ubecy czy funkcjonariusze innych PRL-owskich specsiów wykalkulowali. Gdyby transport zawierał karabiny, amunicję, sentex, byłaby to sprawa zbyt grubymi nićmi szyta, ewidentna, niewiarygodna prowokacja. Pobudziłaby też do działania i władze kraju, z którego nadszedł transport. A tak przyprawiali SW gębę półterrorystów, bojówkarzy, może związanych z kontrabandą, może ze światem przestępczym... Czy sprawa ta rzutowała na działalność organizacji w Trójmieście, miała związek z późniejszym aresztowaniem twojego następcy – Andrzeja Kołodzieja?**

Wiele wskazuje na to, że tak. Po aresztowaniu stawiano nam m.in. zarzut działalności przemytniczej. To zresztą było charakterystyczne szczególnie dla późnych lat osiemdziesiątych. Władze robiły wszystko, by zmniejszać liczbę więźniów politycznych. Komuniści chcieli poprawiać swój wizerunek w oczach świata – stąd te nowe formy represji, w rodzaju wielkich kar finansowych i konfiskat, zamiast wyroków do odsiadki. Stąd też zamykanie np. pod fikcyjnym zarzutem kradzieży, stawianie przed sądem z paragrafów kryminalnych. W ten sposób do więzienia trafił np. znany działacz Solidarności Walczącej z Gdyni Roman Zwiercan. Wymyślono przeciw niemu jakiś skrajny absurd. Miał ukraść koło z samochodu czy coś w tym rodzaju. Świadcami mieli być funkcjonariusze ORMO. Z tych materiałów wywiadu,



Fragment transportu ze Szwecji

o których już wspominałem, wynikało też, że w tym wysłanym do nas prowokacyjnym transporcie miał się także znajdować dynamit.

Czyli wywiad PRL przygotowywał akcję, która ludzi Solidarności Walczącej mogła „ugotować”. Z Morawieckiego, Kołodzieja i innych zrobić terrorystów, godnych trwałego odizolowania w więzieniu. A był to już rok 1988. Zbliżał się czas wielkiego kompromisu między reżimem a dużą częścią opozycji. Czy to nie wygląda tak, że władze przygotowywały różne warianty wyeliminowania ciebie i Solidarności Walczącej z tej ówczesnej politycznej szachownicy? Były propozycje zawarcia jakiegoś układu, przekazywane przez SB i wywiad ludziom SW m.in. Wojciechowi Mysłeckiemu i Andrzejowi Zarachowi. A skoro SW odpowiedziała, że nie zgadza się na żaden swój udział w rządach w zamian za bezkarność i uwłaszczenie postkomunistów, zapadł wyrok. Przywódcy Solidarności Walczącej mieli albo zostać spektakularnie oczernieni i zamknięci w kryminale, albo wyrzuceni z kraju. Ostatecznie zdecydowano się na ten drugi wariant.

Na przełomie lat 1987 i 1988 krążyło co najmniej kilka wersji przyczyn i przebiegu twojego aresztowania. Wieść o tym, że ciebie mają, gruchnęła wtedy bardzo głośno. Opowiadano m.in., że długo nie przyznawałeś się

w ogóle do tego, że jesteś Kornelem Morawieckim. Mówiono, że przez tych kilka lat bardzo zmienił się twój wygląd i że SB przez jakiś czas rzeczywiście nie była do końca pewna twojej tożsamości. Inna wrocławska plotka mówiła o ogromnych pieniądzach, za jakie ktoś cię wydał.

Z całą pewnością można wykluczyć informacje o wskazaniu mnie za pieniądze. SB potrafiła dobrze opłacać swoich informatorów, ale na pewno nie było kogoś takiego w moim otoczeniu. Bezpieka zdobywała też wiadomości drogą szantażu, różnych grózb, nacisków. Ale w tym wypadku to też nie wchodziło w grę.

Sytuacja była dość standardowa. Popełniłem błąd. Od dłuższego czasu ukrywałem się w wyjątkowo bezpiecznym miejscu. 9 listopada 1987 r. miałem w planie dwa spotkania konspiracyjne. Na obydwu pojawiłem się z Hanną Łukowską-Karniej. To drugie miało mieć miejsce w dużym, dziesięciopiętrowym bloku przy ul. Zielińskiego. Jedno z mieszkań należało do matki z córką. Córka i jej siostra drukowały dla nas książki w państwowej drukarni. Niosłem im do przedruku paryskie wydanie *Warto być przyzwoitym* Władysława Bartoszewskiego. Wiedzieliśmy, że ponad pół roku wcześniej coś niejasnego działo się wokół tej drukarni. Niestety, zlekceważyliśmy potencjalne zagrożenie.

**Przywołam jeszcze raz pracę Piotrowskiego z 2004 roku. W archiwach IPN znalazł on m.in. materiały SB, opisujące działania operacyjne, mające doprowadzić do zatrzymania Kornela Morawieckiego. Jednym z głównych zadań specjalnego zespołu, przysłanego z Warszawy, było bardzo długotrwałe, nieustanne obserwowanie wielu miejsc. Zakładali, że w którymś się w końcu kiedyś pojawisz.**

No i doczekali się. Jakies dziesięć minut po tym, jak weszliśmy do tego mieszkania, ktoś zadzwonił do drzwi. Chyba podał się za listonosza z telegramem. Momentu, w którym wpadli do środka prawie nie pamiętam. W ułamku sekundy leżałem przyciśnięty do podłogi. Jedni zakładali mi kajdanki, inni dokładnie obszukiwali ubranie.

**Wedle opowieści, która krążyła po kraju, mieli się zdziwić, że przewodniczący największej organizacji antykomunistycznej nie ma przy sobie nawet nagana. Ty miałeś na to odpowiedzieć *Ja nie mam, ale jak mnie powiesicie, to mój następcą będzie zawsze miał przy sobie uzi.***

Do takiej wymiany zdań doszło później, w więzieniu przy Rakowieckiej. Natomiast na pewno jedno z pierwszych moich słów dotyczyło Hanka, której też założyli kajdanki. Powiedziałem: *Panowie, na moich rękach kajdanki są uzasadnione. Ale nie ma jakichkolwiek powodów, by skuwać kobietę, ze strony której absolutnie nic wam nie grozi.* Popatrzyli po sobie, ktoś tam kiwnął głową i zdjęli Hani kajdanki.

#### **A co się w tym czasie działo z właścicielkami mieszkania?**

Przeraziło je przede wszystkim zatrzymanie mnie, i że to właśnie u nich się stało. O ile pamiętam, miałem tego dnia od jednej z nich odbierać przysięgę. Niestety, ich wspomnień już nie spisujemy. Elżbieta i Stefania Zielińskie, które były świadkami tego wydarzenia, od kilku lat już nie żyją.

**Wszystko wskazywałoby więc na to, że wszedłeś do mieszkania obserwowanego, i to przez tę specjalną, warszawską ekipę SB. Być może, w tym mieszkaniu był założony podsłuch. Duża grupa była pod drzwiami już po dziesięciu minutach...**

Nie wiem przez jaką ekipę, ale z resztą się zgadzam.

**Jak przeżyłeś tę całą sytuację?**

To, że kiedyś moje ukrywanie się skończy, było jasne. Zdecydowanie bardziej prawdopodobne od tego, że w podziemiu doczekam wolnej Polski było to, że w końcu mnie złapią. Ale byłem zły na siebie. Domyśliłem się, że najprawdopodobniej wszedłem do mieszkania znajdującego się pod obserwacją. To spotkanie nie było niezbędne. Gdybym z niego zrezygnował, do wpadki by nie doszło. Potem przekonałem się, że SB nie pojawiła się ani w miejscu mojego ukrycia, ani pod adresem, który tego samego dnia odwiedziłem wcześniej.

**Co było dalej?**

Dość szybko wyprowadzono mnie z mieszkania. Hanką zajęła się inna grupa. Było ich rzeczywiście wielu. Esbecy na korytarzach, przy bramie, na podwórku. Teren zabezpieczało co najmniej kilka samochodów. Wsadzili mnie do jednego z nich.

**Mówili coś?**

Nie pamiętam, czy z kimś jeszcze tego dnia wymieniłem słowo. Mam wrażenie, że wszystko odbywało się w milczeniu. Dowieźli mnie na Łąkową, wrzucili do pojedynczej celi. Nie pozostawałem w niej długo. Był późny wieczór, a przed świtem, w każdym razie bardzo wcześnie rano, wyprowadzili mnie z budynku. Znów samochód, obstawa. Na lotnisku czekał helikopter w barwach wojskowych. Z samochodu zabrali mnie już ludzie w mundurach. Kiedy byliśmy już wewnątrz śmigłowca, przykuto mnie do siedzenia.

**Wiedziałeś, dokąd lecisz?**

Nie, ale domyślałem się, że do Warszawy. Inne warianty wydawały mi się mało prawdopodobne. Choć na to, że zafundują mi wycieczkę powietrzną, jeszcze dzień wcześniej bym nie wpadł.

**Musieli mieć wcześniej ustalone, że jeśli cię schwytają, śledztwo będzie prowadzone w Warszawie. Zdumiewa tempo, w jakim to wszystko się rozgrywało. A co się w tym czasie działo z zatrzymaną w tym samym momencie Hanną Łukowską-Karniej?**

Okazało się, że trafiła do tego samego miejsca, co ja. Wieźli ją jednak samochodem, obstawionym całą kawalkadą innych pojazdów. Siedząc na Rakowieckiej, nie wiedziałem jednak, że ona też tam jest. O jej obecności w tym więzieniu dowiedziałem się dopiero po jakimś czasie, słysząc charakterystyczny stukot damskiego obuwia o płyty spacerniaka.

**W Warszawie od razu przewieźli cię na Rakowiecką?**



Helikopter wylądował na lotnisku Bemowo. Stamtąd zabrali mnie na Puławską, do kompleksu budynków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tam trzymali mnie chyba z dwa dni. Tam usłyszałem kierowane pod moim adresem podejrzania, po czym zostałem przewieziony na Rakowiecką. Zarzucano mi m.in. działalność przemytniczą. Oczywiście, był to wyssany z palca absurd, ale aż tak mnie to nie zdziwiło. Spodziewałem się absurdalnych oskarżeń. W sumie mogli wymyślić jeszcze gorsze. Zamknęli mnie w jednej celi z człowiekiem w średnim wieku. Domyślałem się, że może współpracować z esbecją, ale rozmawialiśmy o różnych sprawach. Inteligentny i nawet dość sympatyczny. Mówił, że był cywilnym pracownikiem wojska i kierują przeciw niemu fałszywe oskarżenia, według których dopuścił się jakichś nadużyć. Zapamiętałem adres jego żony. Ze dwa lata później, już po wyjściu z podziemia, odwiedziłem ją. Okazało się, że jej mąż był pułkownikiem, a zamknęli go za morderstwo.

**W czasie pierwszych przesłuchań mogłeś się chyba trochę zorientować w swojej sytuacji?**

Generalnie treść przesłuchań była pokrzepiająca. Zadawali pytania zawierające jakieś wiadomości o SW i śledzili moją reakcję. Zorientowałem się, że trochę wiedzą, ale głównie o takich faktach, o których można się było od dawna spodziewać, że nie są już tajemnicą. Mówili głównie o ludziach, którzy wcześniej znaleźli się w rękach SB. Nie znali składu ani Rady, ani Komitetu Wykonawczego Solidarności Walczącej. Dziś potwierdzają to materiały odnalezione w IPN. Świadczyłyby to o tym, że nie było żadnego agenta w przywódczych ciałach organizacji. Jak zaczęli podawać jakieś nazwiska, adresy z Poznania, mówić mi o moim rzekomym ukrywaniu się także w stolicy Wielkopolski, o moich kontaktach z działaczami chłopskimi, wiedziałem, że są na błędnym tropie. Pokazali mi trochę mojej zagranicznej korespondencji.

**Podejmowałeś z nimi rozmowę?**

O Polsce, o świecie – tak. Nie udzielałem absolutnie żadnych informacji. Nie wchodziłem też w rozmowy o strukturze Solidarności Walczącej. Mówiłem im, że komunizm przeżywa nieuchronny schyłek i runie najdalej w ciągu kilku lat.

**Byli zainteresowani tymi poglądami?**

Śluchali z uwagą. Prawie na pewno moje wypowiedzi były nagrywane. Czasem komentowali różne fragmenty programu Solidarności Walczącej. Nie namśmiewali się z nich, ale jakby próbowali mnie przekonywać, że nasze cele są całkowicie nierealistyczne. Odpowiadałem,



Wydanie nadzwyczajne „Biuletynu Dolnośląskiego” poświęcone aresztowanej Hannie Łukowskiej-Karniej

że na pewno nieskończenie bardziej realistyczne, niż nadzieja, że komunizm przetrwa dłużej niż dekadę. Wtedy obracali te swoje sugestie w żart, gratulowali mi dobrego samopoczucia. Miałem wrażenie, że jednym z ich celów było rzeczywiście namawianie mnie do dokonania jakichś zmian programowych w SW. Przystępowali jednak do tego tematu bez przekonania. Wiedzieli, że to całkowicie beznadziejne usiłowania.

### **A jak cię w ogóle traktowali?**

Poprawnie. Żadnych specjalnych prób zastraszania, choć oczywiście mówili, ile lat mogą dostać z jakiego paragrafu. Ale jakiegoś terroru psychicznego, jakichś szykan, grózb nie było.

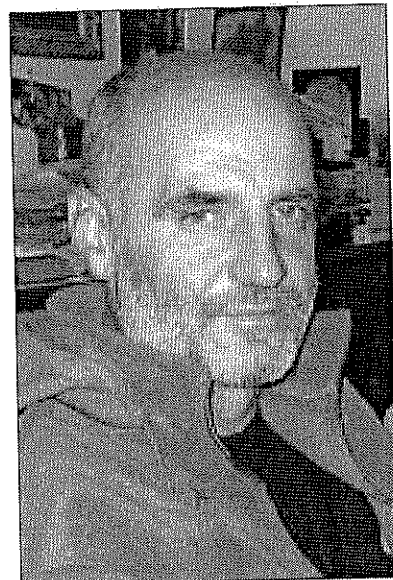
### **A propozycje współpracy?**

Żadnej współpracy mi nie proponowali. W ogóle procedura przesłuchań była dość monotonna. Wymieniali różne nazwiska. Niektóre były mi znane, inne nie. Pierwszym momentem, który rzeczywiście mógł wzbudzić emocje, był ten, w którym poinformowali mnie o zatrzymaniu Andrzeja Kołodzieja. Nie ukrywali satysfakcji. Traktowali to jako swój wielki sukces.

### **Aresztowanie Andrzeja Kołodzieja to zapewne był dla ciebie cios.**

Na pewno była to najgorsza wiadomość, jaka dotarła do mnie od chwili aresztowania. Z treści przesłuchań wywnioskowałem z bardzo dużym prawdopodobieństwem, że poza mieszkaniem we Wrocławiu na Zielińskiego nie wpadł żaden konspiracyjny lokal. Nie było fali aresztowań. Było więc pewne, że organizacja działa całkiem normalnie.

Andrzeja zawsze uważałem za niezwykłego człowieka. Miał dwadzieścia lat i dopiero co zaczął pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, kiedy w sierpniu 1980 roku stanął na czele komitetu strajkowego. Chyba nigdzie wtedy nie było tylu strajkujących robotników. W jego zakładzie przystąpiło do protestu prawie 12 tysięcy ludzi. To zupełnie niezwykle, że ci wszyscy ludzie, prawie zawsze dużo od niego starsi, postawili właśnie na niego i poszli za nim. W czasie rozmów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z delegacją rządową i premierem Jagielskim to on upierał się najbardziej przy postulacie niezależnych samorządnych związków zawodowych. Większość doradców uważała to za utopię, mrzonkę. A ten młody chłopak, poparty może jedynie przez Andrzeja Gwiazdę, upierał się, że wolny związek zawodowy to sprawa najważniejsza, że tego postulatu odpuścić nie można. Odegrał wielką rolę. Na Porozumieniach Gdańskich z 31 sierpnia 1981 jego podpis znajduje się pod podpisem Lecha Wałęsy, nad autografem Andrzeja Gwiazdy. Andrzej Kołodziej to wielka postać i było dla mnie wielką sprawą, że został członkiem Solidarności Walczą-



Andrzej Kołodziej

cej. Choć droga do naszych struktur w jego przypadku nie była prosta. Andrzej jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego został aresztowany w Czechosłowacji, do której przeniósł przez granicę niezależne wydawnictwa. Na parę lat trafił do ciężkiego więzienia. Niedawno czeski odpowiednik IPN-u przysłał mu kopie materiałów na jego temat. Jednym z ciekawszych dokumentów jest list skierowany przez PRL-owskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do MSW Czechosłowacji z prośbą, by nie wypuszczali Kołodzieja przedwcześnie i by nie zgadzali się na ewentualne wnioski o odbywanie przez niego kary w Polsce. Po prostu ludzie Kiszczaka prosili, by Andrzej siedział jak najdłużej i to w czechosłowackim, a nie polskim więzieniu. W końcu jednak z niego wyszedł. Oczywiście, znał wielu ludzi w Gdańsku, m.in. Gwiazdów i Ewę Kubasięwicz. To ona wprowadziła Andrzeja w strukturę Solidarności Walczącej. W 1986 r. postanowiliśmy, że w razie mojej wpadki on będzie moim następcą. Zaczął też w różnych oświadczeniach występować jako formalny wiceprzewodniczący Solidarności Walczącej. Przewidywaliśmy też ewentualność, że obaj będziemy w więzieniu. Wtedy jako przewodnicząca organizacji występować miała Jadwiga Chmielowska z Katowic.

### **Czy Andrzej Kołodziej siedział wtedy w tym samym więzieniu na Rakowieckiej?**

Esbecy w czasie przesłuchania powiedzieli mi, że mają go w tym samym więzieniu. Potem mówili mi, że *wiceprzewodniczący jest dużo bardziej rozmowny od pana...* Oczywiście, był to trywialny chwyt. Aż dziwne, że mogli przypuszczać, iż uwierzę w coś takiego. Jemu na pewno mówili to samo o mnie.

### **Czy w czasie pobytu na Rakowieckiej miałeś jakikolwiek kontakt ze światem z drugiej strony więziennych murów?**

Bardzo długo żadnego. Zorientowałem się, że za murem spacerniaka, na który wyprowadzano więźniów, jest ulica. Pomyślałem, że mogę spróbować przerzucić jakąś informację, w nadziei, że jakoś dotrze do adresatów. Przed każdym wyjściem jednak bardzo dokładnie sprawdzano, czy nie ma się przy sobie czegokolwiek. Za każdym razem kazano nawet rozbierać się do naga i przysiąść. Tego ostatniego polecenia nigdy nie wykonałem. Zapewniałem, że gdzieś jak gdzie, ale w tym miejscu na pewno niczego nie będę ukrywał. W końcu wypuszczali mnie na dwór bez przysiadania. Przemyciałem na spacerniak w ustach kulki z mocno ugniecionego chleba. W nich znajdowały się małe listy z informacją o moim pobycie na Rakowieckiej. Prawdopodobieństwo, że taka informacja gdziekolwiek dotrze, była mniej więcej taka, jak wyrzucanie listów w butelkach na środku oceanu. Zresztą niewiele mi się ich udało niepostrzeżenie przerzucić. Zastanawiałem się, czy nie spróbować stamtąd uciec. Może to były trochę naiwne rozważania, ale wyobraziłem sobie, że gdyby z drugiej strony wrzucić świecę dymną, a zaraz potem przerzucić linę przez ten mur, to w parę sekund byłbym na ulicy. Jeśli czekałby tam gotowy do odjazdu motocykl, to by się udało.

**Szefującym Solidarności Walczącej w Poznaniu Maciejowi Frankiewiczowi parokrotnie udało się uciec z więzienia. Pierwszy raz już w listopadzie 1982. Zawsze wydawało mi się to dość niesamowite, bo obecny wiceprezydent Poznania robił wrażenie raczej dość nieporadnego humanisty...**

Dobrym humanistą niewątpliwie zawsze był, ale w jego działalności trudno było wytopić jakąś nieporadność. Pozory myliły i chyba to było jednym z atutów Frankiewicza. Był poza tym zawsze niesamowitym aktorem. Potrafił tak wiarygodnie symulować różne choroby, że przenosili go z aresztu czy więzienia do szpitala, z którego łatwiej było zwać. Mimo że za którymś razem już go od tej strony znali, nabierał ich w ten sam sposób.

**Po aresztowaniu Bogdana Borusewicza w styczniu 1986 r. Solidarność Walcząca planowała jego ucieczkę z więzienia. Pomysł nieco przypominał twój koncept z przeskoczeniem muru. Z akcji tej jednak zrezygnowano. Oceniono, że wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem. Na przełomie 1988 i 1989 roku byłeś w na tyle dobrej formie, by błyskawicznie wspiąć się po linie i przeskoczyć przez mur?**

Nigdy nie miałem tyle czasu na ćwiczenia fizyczne, co wtedy. Zgodnie z książkowymi zaleceniami tych, którzy przeszli przez więzienia, jadłem wszystko, co dawałi do zjedzenia. Jeśli nie byłem na przesłuchaniach, nie miałem w celi nic do roboty. Nie miałem nawet prawie nic do czytania, poza „Trybuną Ludu”, z której często niektóre artykuły były powycinane. Gimnastykowałem się wiele godzin dziennie. Potrafiłem jednym ciągiem zrobić ponad sześćdziesiąt pompek. Byłem znacznie młodszy niż dzisiaj. Miałem 47 lat, byłem szczupły, czułem się silny i sprawny. Na pewno bez trudu szybko wspiąłbym się wtedy po linie. Bardzo długo jednak nie miałem kontaktu z zewnętrznym światem. Tylko raz pozwolili na widzenie mojej córce. Dopiero w marcu pierwszy raz spotkałem się z adwokatem, mecenasem Janem Olszewskim. Poznaliśmy się dopiero wtedy, w więzieniu. Przy okazji chyba już pierwszego spotkania napisałem list do Andrzeja Zaracha, w którym proponowałem rozważenie planu mojej ucieczki, ze świecami dymnymi, liną i motocyklem. Moi przyjaciele uznali jednak chyba, że to zbyt ryzykowne. Zapewne nie byli przygotowani do przeprowadzenia podobnej akcji, a obawiali się też, że w czasie próby ucieczki mógłbym zginąć. Jeśli jednak byłoby odpowiednio dużo dymu, byłaby szansa. Sprawę komplikowało jednak m.in. to, że na spacerki wyprowadzany byłem o bardzo różnych porach. Czasem o 9, a innego dnia o 11 czy 14. Nie było w tym żadnej reguły. Jakiś czas później dowiedziałem się, że tym sposobem, uciekał więzień kryminalny.

**Ucieczki z więzienia były już wcześniej w Solidarności Walczącej planowane...**

Kiedy za kratami znalazł się Władysław Frasyniuk, Wojtek Mysłęcki miał naprawdę bardzo zaawansowany plan odbicia przewodniczącego dolnośląskiej „Solidarności”. Nie pamiętam już szczegółów, ale ta jego koncepcja naprawdę miała ręce i nogi, bardzo wiele było już przygotowane. Podobnie było po aresztowaniu Bogdana Borusewicza. Nasi ludzie z Trójmiasta zebrali sporo danych i przygotowywali podobną akcję.

**Trochę to przywodzi na myśl sytuacje z lat czterdziestych...**

13 grudnia komuniści w sporej mierze cofnęli nas do tamtych realiów. Strzelali do ludzi, zamykali w obozach, złamali wszystkie prawa, urządzili okupację własnego kraju. My do nich nie strzelaliśmy, choć mówiliśmy wyraźnie: jak zaczniecie rozlewać krew, licząc się z tym, że popłynie także wasza. Nie ukrywaliśmy, że możemy



Mec. Jan Olszewski

użyć przemocy. W ramach reguł narzuconych stanem wojennym dokonywaliśmy też czasem akcji o charakterze – powiedzmy – partyzanckim. Maciek Frankiewicz potrafił wykraść z państwowych urzędów maszyny poligraficzne. Wojtek Myślecki systematycznie wywoził z wrocławskiego portu rzeczne wielkie bele papieru. Miały akurat taki rozmiar, że „na wcisk” mieściły się do małego fiata, z którego wcześniej wyjęte zostały wszystkie siedzenia. Oczywiście, oprócz tego, które należało do kierowcy. Załadunku dokonywał wózek widłowy. Przeciężony samochód trochę piszczał, bo koła ocierały się o błotniki, ale zawsze dojeżdżał do celu. Był nim warsztat wyposażony w urządzenie do cięcia papieru, znajdujący się tuż obok wojewódzkiej komendy SB. Takich akcji było znacznie więcej. Nasi chłopcy kradli głośniki, rozwieszane przed pierwszym maja. Służyły później do emitowania naszych audycji. Ukryte gdzieś w drzewach gadały tak długo, aż przyjechała bezpieka i je zdjęła. Choć najczęściej kończyło się widowiskowym ściąganiem aparatury przez strażaków. Bywało też, że włączaliśmy się ze swoimi audycjami do radiowęzłów fabrycznych lub zainstalowanego na ulicy systemu głośników. Któregoś razu esbecja miała kłopot z wyłączeniem megafonów na ul. Świdnickiej, z których emitowana była nasza audycja. Zaczęli więc ją zagłuszać – włączając milicyjne syreny. Trochę takich „partyzanckich” doświadczeń było i ucieczek też.

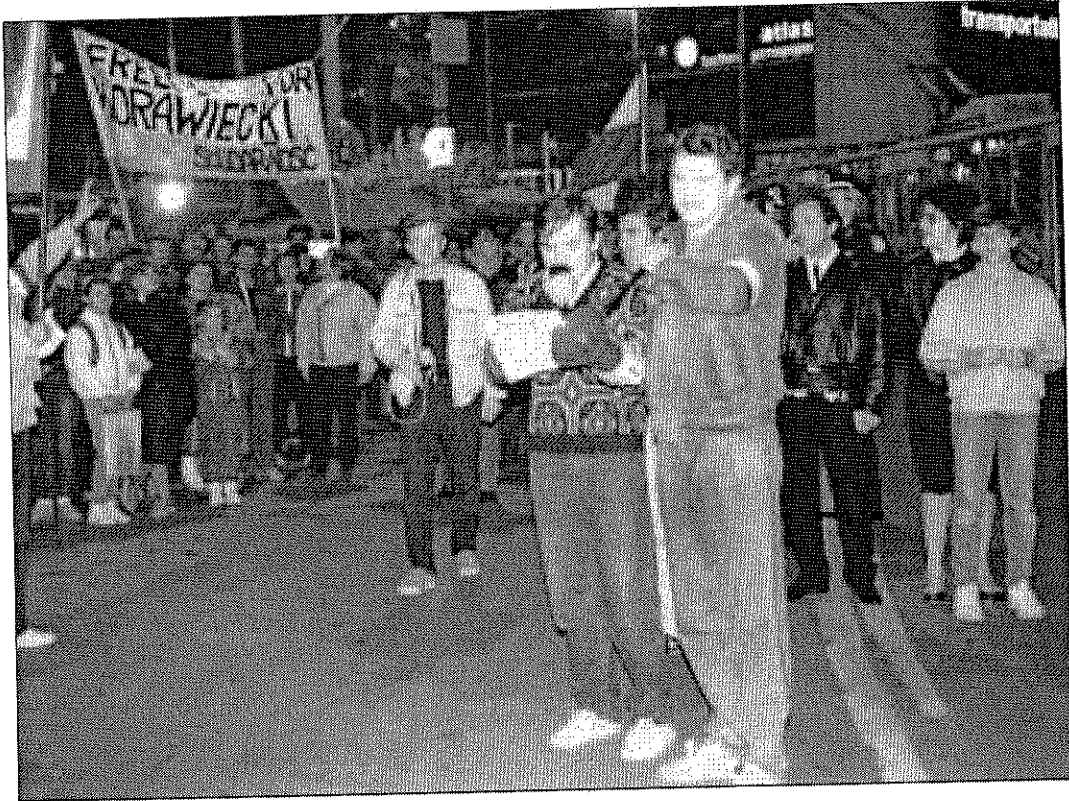
### **W więzieniu napisałeś też list do Jaruzelskiego.**

Napisałem ten list w czasie widzenia z mecenasem Henrykiem Rossą. Przed spotkaniami z adwokatem byłem sprawdzany tak dokładnie, że nie uchowałby się nawet mikroskopijny skrawek papieru. To mecenas Rossa wziął ode mnie ten list, który potem trafił nie tylko do Jaruzelskiego, ale i na łamy prasy podziemnej i na antenę Radia Wolna Europa.

### **Przesłuchujący cię oficerowie SB zachowywali się wobec ciebie w miarę przyzwoicie. A służba więzienna, strażnicy?**

Podobnie. To ja byłem niesubordynowany. Stawałem do raportów już za to niegodzenie się na kucanie przed wyjściem na spacer. Odmówiłem też meldowania się – nie zrobiłem tego ani razu. No i nie ścieliłem swojej pryczy. Nie urządziłem żadnej ostentacji przed strażnikami, ale dawałem do zrozumienia, że pewnym rygiem się nie podporządkuję. W efekcie nie miałem prawa do korespondencji i paczek. Strażnicy zachowywali się raczej po ludzku. Bez szykan, ale też bez żadnych prób nawiązania kontaktu.

### **Czyli jedyna forma kontaktu z światem zewnętrznym to ocenzurowana „Trybuna Ludu”?**



Demonstracje na rzecz uwolnienia Kornela Morawieckiego odbywały się w wielu miastach europejskich, również w Atenach.

Któregoś razu na przesłuchaniu jeden z oficerów SB dał mi „Trybunę” bez wyciętych fragmentów. Mogłem poczytać, co na mój temat wypisuje Jerzy Urban. Był to jakiś gest sympatii.

#### **Na Rakowieckiej przesiedziałeś prawie dokładnie pół roku.**

Tak. Zaczynał się kwiecień, szósty miesiąc mojego uwięzienia, kiedy mec. Jan Olszewski przywiózł informację, że Episkopat prowadzi negocjacje z władzami na temat uwolnienia mnie i Andrzeja Kołodzieja. W czasie kolejnej rozmowy pojawiła się informacja, że władze się zgadzają, ale pod warunkiem naszego wyjazdu za granicę. Nie chciałem opuszczać Polski. Napisałem jednak gryps do Solidarności Walczącej w tej sprawie. Pytałem co, w ocenie kierujących organizacją, byłoby lepsze, czy moje siedzenie w więzieniu, czy wyjazd na Zachód. Od razu zakładałem, że w ten czy inny sposób z zagranicy będę mógł wrócić. Odpowiedź, chyba od Andrzeja Zarcha, mówiła, żebym wyjeżdżał, jeśli mogę. W więzieniu wyrobili mi paszport z prawem wielokrotnego przekraczania granicy. 30 kwietnia rano na widzeniu z mec. Olszewskim dowiedziałem się, że tego dnia razem z Andrzejem Kołodziejem mamy lecieć do Włoch. Pan mecenas dał mi też list od Zbigniewa Romaszewskiego, przestrzegający przed wyjazdem, mówiący o strajkach. D

Na lotnisku od rodziny i przyjaciół dowiedzieliśmy się o rozmiarach strajków. Pod wpływem tych wiadomości kategorycznie odmówiliśmy wyjazdu. Znow zapakowali nas do samochodów. Po chwili jechaliśmy w stronę Rakowieckiej.

## Wygnanie

**Był koniec kwietnia 1988, kiedy ty i Andrzej Kołodziej odmówiliście wyjazdu z kraju. Z Okęcia SB przewiozło was z powrotem na Rakowiecką.**

Tak, ale nie zaprowadzili nas do cel, lecz do wielkiego gabinetu naczelnika więzienia. Po jakimś czasie do tego pomieszczenia weszli: mecenas Jan Olszewski, profesor Andrzej Stelmachowski, ksiądz Alojzy Orszulik i jeszcze jeden, nieznany mi z nazwiska, ksiądz. Naczelnik więzienia i wszyscy ludzie z SB wyszli z gabinetu. Zapewne byliśmy na podłuchu, ale w tym wielkim pokoju pozostali tylko nasi czterej rozmówcy i my dwaj. Stelmachowski zaczął przekonywać, że najlepszym dla nas rozwiązaniem jest teraz wyjazd za granicę. Ksiądz Orszulik wyrażał przekonanie, że Episkopat nie jest w stanie wynegocjować dla nas lepszej oferty, że uzyskanie takiej możliwości, jak nasz wyjazd z kraju, i tak kosztowało dużo trudu. W ocenie Episkopatu nic więcej dla nas nie da się zrobić. Padło pytanie, czy będziemy mogli wrócić. Dowiedziałem się, że tak, ale nie ma gwarancji, iż po powrocie do kraju pozostaniemy na wolności. Byliśmy jednak zdecydowani pozostać w Polsce. Wtedy Stelmachowski poprosił mnie na kilka słów na osobności. Przeszliśmy do innej części gabinetu. Powiedział mi, że Andrzej jest ciężko chory. Pokazał mi papiery wskazujące, że Kołodziej ma raka. Powiedziałem więc, żeby Andrzej leciał sam, a ja zostałem. Panowie stwierdzili, że nie ma takiej możliwości, że gen. Kiszczak na to się nie godzi. Spytałem, czy będę mógł wrócić. Dowiedziałem się, że *oczywiście tak*. Paszport, który mi wyrobili, pozwalał na wielokrotne przekraczanie granicy. Zapytałem więc, czy na pewno nie będzie problemu, jeśli powrócę natychmiast. Na to usłyszałem: *Panie Kornelu, wolelibyśmy, żeby pan też się tam dokładnie przebadał. Niech pan z tydzień tam zostanie*. Informacja o nowotworze Andrzeja i zapewnienie, że będę mógł bez przeszkód w krótkim czasie wrócić, spowodowała, że zgodziliśmy się wsiąść do tego samolotu. To było 30 kwietnia 1988. Leciał z nami ten ksiądz, którego wcześniej nie znałem. Pełnił rolę naszego opiekuna. Późnym wieczorem byliśmy w Rzymie. W papieskim domu pielgrzyma, tuż przy placu Św. Piotra, siostry zakonne czekały na nas z kolacją. Od razu rozdzwoniły się telefony.

### Kto dzwonił?

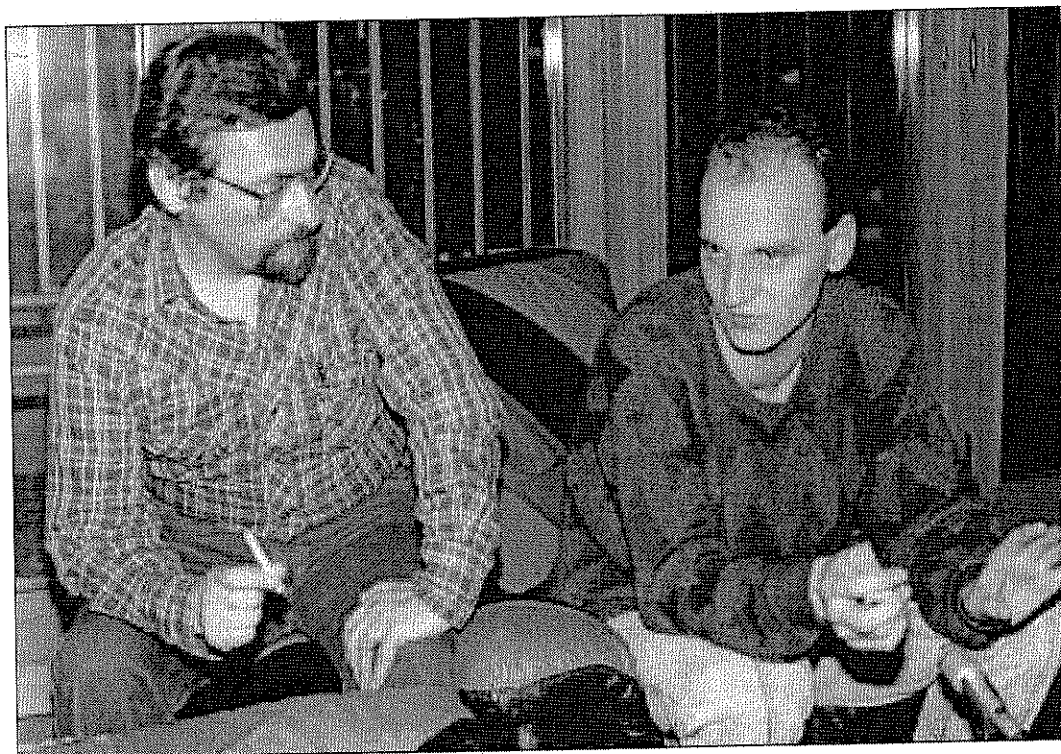
Po kolei chyba wszystkie ważniejsze ośrodki polskiej emigracji. O niektórych słyszałem pierwszy raz w życiu, ale telefonował też Jerzy Giedroyc, przedstawiciel Rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie, Kongresu Polonii Amerykańskiej, przedstawiciel Solidarności Walczącej w różnych krajach, dziennikarze z radia i prasy. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek rozmawiał przez telefon tyle, co wtedy. Ludzie dzwoniący z wszystkich kontynentów jakby zapomnieli o różnicach czasu. Wisiałem przy słuchawce przed świtem i po północy.

### Zapewne przekazywali pozdrowienia, prosili o wywiady... Co jeszcze?

Mnóstwo propozycji. Jerzy Giedroyc telefonował kilkakrotnie i podkreślał stanowczo: *Pan musi przyjechać do Paryża!* Analogicznie mówili przyjaciele ze Stanów, z Anglii... Ja nie zamierzałem zostać za granicą dłużej niż parę dni. Wbrew zaleceniom Stelmachowskiego nie zamierzałem się badać. Chciałem tylko, żeby Andrzej trafił do kliniki. Zastanawiałem się, jak najlepiej wykorzystać te parę dni, które spędzę w stolicy Włoch.

### Z turystycznego punktu widzenia - zakwaterowali cię w najlepszym miejscu.

Byłem otoczony wspaniałymi zabytkami, ale bardzo niewiele zobaczyłem. Nie było czasu. Przeszedłem ten wielki watykański plac, widziałem kolumnadę Berni-



Rzym. Andrzej Kołodziej udziela wywiadu Alfredowi Znamierowskiemu.



## Wygnanie

niego, wszedłem tylko za próg bazyliki św. Piotra. Koloseum, kawałek Forum Romanum widziałem jedynie z samochodu. Byłem w Rzymie trzy dni, spałem po parę godzin na dobę. Ciągłe się z kimś spotykałem albo rozmawiałem przez telefon. Ojciec Hejmo udostępnił nam aparat telefoniczny, przez który rozmawiałem z masą ludzi. Dzwonili ze Stanów, Kanady, Australii. Byłem zaskoczony tym, że informacja o moim pobycie w Rzymie tak szybko dotarła do tyłu środowisk w różnych, często bardzo odległych, zakątkach świata. Dotarli do mnie przedstawiciele Jerzego Giedroycia, którzy przekazali mi trochę pieniędzy. Inne grupy też przekazywały mi jakieś pieniądze. Zamierzałem zaraz wrócić do kraju. Żadna turystyka nie wchodziła w grę.

### **Spotkałeś się także z Janem Pawłem II.**

Ksiądz Konrad Hejmo pojawił się z informacją, że przyjmie nas papież. Mieliśmy audiencję, umówioną na godzinę dziesiątą. Byłem wtedy półprzytomny ze zmęczenia. Pamiętam, że papież przyjął nas bardzo ciepło. Rozmawialiśmy, między innymi, o solidaryzmie społecznym, o programie Solidarności Walczącej, o sytuacji w Polsce. Papież zaskoczył mnie tym, że nie tylko tak dobrze nas kojarzy, ale że tak dużo wie o SW. Rozmowa była serdeczna. Z troską pytał nas i o nasze zdrowie, i o nasze zdanie na temat rozwoju wypadków w kraju. Potem dowiedziałem się, że to wyjątkowa rzadkość, żeby papież przyjął kogoś tak z dnia na dzień, bez znacznie wcześniejszego umówienia terminu. Plan dnia jest u papieża bardzo napięty. Ojciec Hejmo długo szukał w pamięci podobnego przypadku, w którym zdarzyła się taka nagła wizyta.

### **Kto uczestniczył w tym spotkaniu z Ojcem świętym?**

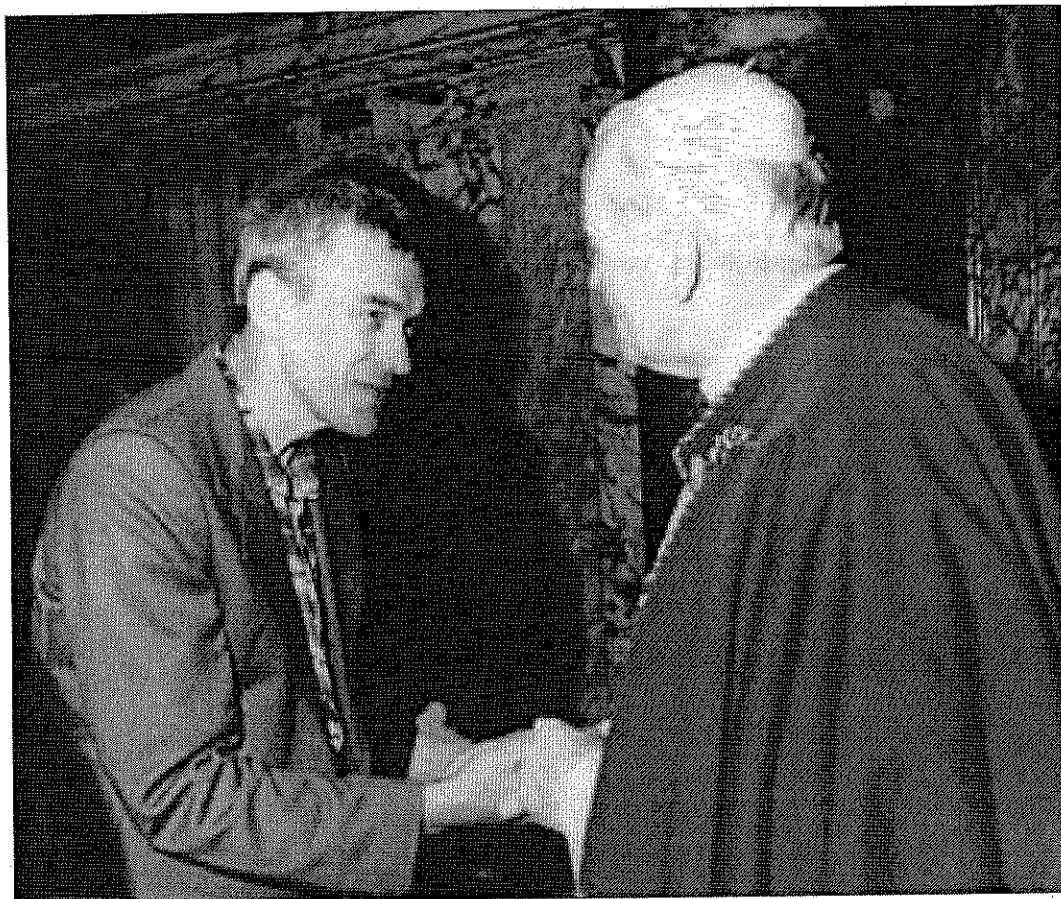
Andrzej Kołodziej, ojciec Konrad Hejmo i ja. Przez chwilę był też chyba obecny jeszcze jeden ksiądz z otoczenia Jana Pawła II.

### **Krótko po spotkaniu z papieżem próbowałeś wracać do Polski.**

Już wcześniej zarezerwowałem bilet. Andrzej miał zapewnioną klinikę. Spotkałem się z Papieżem, rozmawiałem z bardzo wieloma ludźmi. Można więc powiedzieć, że plan mojego pobytu w Rzymie został wypełniony z nadmiarem. Jechałem na lotnisko w przekonaniu, że czeka tam mój bilet. Rezerwacja była potwierdzona. Na miejscu okazało się, że jednak biletu dla mnie nie mają. Usłyszałem bardzo pokrętne tłumaczenia, przeprosiny. Mówili, że jednak zabrakło miejsc w samolocie...

### **Pewnie miał to być samolot Polskich Linii Lotniczych „Lot”, a przy rezerwacji zostało podane nazwisko...**

Miałem lecieć polskimi liniami, a przy rezerwacji trzeba podać nazwisko. Domyśliłem się, że zapadła decyzja, by nie wpuścić mnie na pokład. Nie dawałem jednak za wygraną. W terminalu spotkałem księdza Bonieckiego z „Tygodnika Powszechnego”. Miał bilet na ten sam samolot, na który ja miałem rezerwację. Opowiedziałem mu o swoim problemie i prosiłem, by odstąpił mi swoje miejsce w samolocie, a sam poleciał następnym. Ksiądz nie chciał jednak oddać mi swojego miejsca. Mówił, że musi lecieć tym samolotem. Szukałem więc jakiegoś innego połączenia.



Spotkanie z Janem Pawłem II

Okazało się, że jest samolot Lufthansy do Frankfurtu, a stamtąd wczesnym rankiem – do Warszawy. Od razu kupiłem więc bilet. W związku z tym przesunięciem mojego odlotu miałem okazję porozmawiać jeszcze z redaktorem Markiem Lenerem, wówczas z „Wolnej Europy”, oraz Dominikiem Morawskim – bardzo znanym korespondentem z Rzymu. Ta rozmowa z Morawskim była dość niezwykła. On parokrotnie powtarzał: *Panie Kornelu, niech pan nie wraca jeszcze*. Przekonywał mnie (a przypomnijmy, że były to pierwsze dni maja 1988), że *oni tam się zgodzą na Wałęsę, na Frasiuniuka, na Michnika. Ale na pana oni się nie zgodzą*. Twierdził, że to jest jego osobista opinia, że mówiąc to, reprezentuje siebie, a nie Episkopat czy jakiegokolwiek inne instytucje. Widać było, że jest człowiekiem bardzo dobrze zorientowanym w przeróżnych meandrach polityki, w kulisach dyplomacji kościelnej, watykańskiej i innej, że dużo wie o toczących się zakulisowych grach politycznych. Przekonywał mnie, że mój powrót do kraju to błąd. Uważał, że z zagranicy, z emigracji dużo więcej będę mógł dla Polski zrobić. Powiedział: *Szczerze panu radzę – niech pan tam nie jedzie, tam te tryby kształtującej się właśnie polityki pana zmielą*. Nie miałem wątpliwości, że Morawski był bardzo życzliwie, serdecznie wręcz do mnie nastawiony. Powiedziałem mu jednak, że spróbuję być piaskiem w tych trybach, to się może trochę zatra. Ze smutkiem pokiwał głową.

Ta rozmowa wskazywałaby na to, że wiosną 1988 roku w kręgach polskiego Kościoła wiedzano już sporo na temat sposobu, w jaki komuniści będą chcieli ratować swoją skórę. Dominik Morawski to tęgi umysł, ale przecież nie wizjoner, przewidujący tak precyzyjnie, że *zgodzą się na Wałęsę, Frąsnyńka, Michnika...* Kiszczak ogłosił propozycję podjęcia rozmów dopiero po kolejnej fali strajków, pod koniec sierpnia. A potem z telewizyjnej propagandy można się było dowiedzieć, że rzekomo władze nie mają ochoty rozmawiać np. z Michnikiem.

Ale już w Magdalence rozmawiali ochoczo.

Dziś brzmi to absurdalnie, ale wtedy Kuroń i Michnik mieli opinię radykałów. A może fakt, że był jeszcze ktoś taki, jak Kornel Morawiecki i jego Solidarność Walcząca sprawił, że inni „ekstremiści” wcale nie wyglądali na radykałów? Na twoim tle mogli wręcz uchodzić za działaczy raczej umiarkowanych, właściwych do spotkania przy „okrągłym stole”?

Być może. W 1988 roku wiadomo było, że tempo wydarzeń przyspiesza i że nie wszystko dzieje się przy pełnym świetle. Toczyła się jakaś zakulisowa gra. Sam fakt naszej deportacji był tego przejawem.

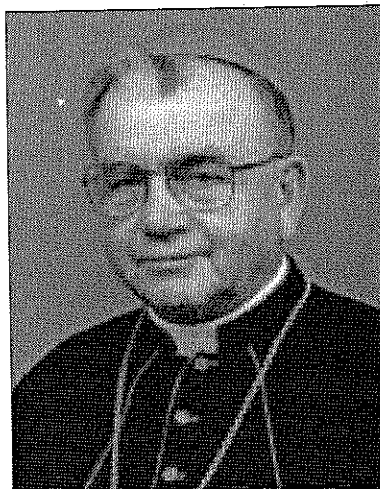
Po tym, jak nie chciano mnie wpuścić do „lotowskiego” samolotu, poleciałem do Frankfurtu. Wcześniej zatelefonowałem do naszego przedstawiciela w RFN. Nie miałem wizy, mogłem się w najlepszym razie spodziewać nocowania w jakiejś części terminalu. I tu zdarzyła się taka rzecz dość niezwykła, gdyż Andrzejowi Wirdze udało się niemieckim strażnikom, celnikom, urzędnikom granicznym wyjaśnić, kim jestem i na czym polega specyfika mojej sytuacji. Zapewnił ich, że następnego dnia wcześniej rano wrócę na lotnisko. Ludzie w mundurach, którzy zwykle uchodzą za skrajnych służbistów, pozwolili mi wyjść z lotniska. Bez żadnych formalności, pieczętek w paszporcie itd. Po prostu na słowo honoru. Mogłem dzięki temu odbyć długą rozmowę z naszym przedstawicielem w Niemczech. Zadzwoiłem też do mecenasa Jana Olszewskiego, informując, że wracam do kraju. Powiedział: *Panie Kornelu, dla pana powrót do Polski oznacza powrót do więzienia*. Odpowiedziałem, że trudno. Dodzwoniłem się też do ludzi z Solidarności Walczącej. Następnego dnia na lotnisku w Warszawie czekali na mnie moi przyjaciele. Czekają też jednak na mnie SB. Wprost z samolotu wsadzili mnie do samochodu. Przyjaciele z SW nie byli świadkami tej sceny, ale o tym, co się stało, dowiedzieli się od pasażerów. Ja chwilę później siedziałem już w jakimś biurze. Funkcjonariusze SB czy wywiadu wojskowego byli grzeczni. Zadawali jakieś takie banalne pytania, np. o to, dlaczego mi się w Rzymie nie podobało. W sumie można im było odpowiedzieć, cytując Kazimierza Przerwę Tetmajera: *Wolę polskie gówno w polu, niż fijołki w Neapolu*. Mówili, że ich rozczarowałem – taką ładną wycieczkę mi na koszt państwa zorganizowali, a ja już wróciłem i oni teraz nie wiedzą, co mają ze mną zrobić. W istocie – nie zapadła żadna decyzja w mojej sprawie i właśnie na nią czekano. Cały czas towarzyszyła temu kamera. Chyba wszystko nagrywali. W pewnym momencie poprosili mnie do samochodu. Wsiadliśmy – ich czterech i ja. Zrozumiałem, że wiozą mnie do więzienia. Jednak zanim wyjechaliśmy z lotniska, esbecy zauważyli, że ktoś biegnie za samochodem i krzyczy. Przyszła informacja o zmianie decyzji. Samochód zawrócił, znów zaczęło się oczekiwanie w tym samym biurze. Trwało to w sumie kilka godzin.

### **Pewnie Jaruzelski z Kiszczakiem zastanawiali się, co z tobą zrobić...**

W każdym razie ci, z którymi siedziałem, czekali na instrukcje. W końcu powiedzieli, że bardzo im przykro, ale najbliższym samolotem zostaną ponownie deportowani za granicę. Powiedziałem, że nie wejdę do samolotu. *To pana do niego wniesiemy* – odpowiedzieli. I rzeczywiście, kiedy podjechaliśmy pod samolot, a ja się opierałem, wciągnęli mnie po trapie. Ulokowali mnie w odizolowanym pomieszczeniu przeznaczonym dla załogi. Potem dopiero przywieziono pasażerów. Towarzyszył mi jakiś funkcjonariusz, zachowywał się bardzo poprawnie. Wyraził ubolewanie, że poznajemy się w tak przykrych okolicznościach i że zobowiązany jest eskortować mnie do celu podróży (Dopiero później okazało się, że jest nim Wiedeń). Po przylocie oddał mi paszport, jeszcze raz powiedział, że jest mu przykro, ale też, że miło mu było mnie poznać, pożegnał się i chyba wrócił do tego samego samolotu. Zajrzałem do paszportu. Miał teraz wbitą pieczętkę informującą, że dokument służy do jednorazowego przekroczenia granicy. Znalazłem telefon, dowiedziałem się numeru i zadzwoniłem do „Wolnej Europy”. Pieniądze miałem, bo na Okęciu prawie mnie nie przeszukiwali. W „Wolnej Europie” byli zaskoczeni. Prosili, żebym czekał w terminalu. Ich przedstawiciele zjawili się bardzo szybko. Nagrali wywiad i zabrali mnie do miasta.

### **Było jasne, że legalny powrót do kraju będzie niemożliwy...**

Byłem obywatelem Polski bez prawa wjazdu do swojego kraju. Oczywiście, wiadomo było, że w ten czy inny sposób będę się starał granicę przekroczyć. No, ale raczej nie samolotem, a już na pewno nie posługując się dokumentami z własnym nazwiskiem. W pierwszych dniach mojego pobytu w Wiedniu zaczęła się wyjaśniać sytuacja w Polsce. Fala strajków wyraźnie opadała. Parę dni wcześniej zakładałem, że jeśli uda mi się dostać do Polski, nie trafiając do więzienia – postaram się dostać do strajkującej Nowej Huty. Teraz uznałem, że moja natychmiastowa obecność w kraju nie jest niezbędna, i że mogę jakoś sensownie wykorzystać czas pobytu za granicą. Zamieszkałem u pani Joli Zięby, wdowy po profesorze Ziębie. Profesora znałem, był cenionym matematykiem. I znałem też jego syna Macieja, który po studiach wstąpił do dominikanów. U pani Joli mieszkało mi się sympatycznie, choć brakowało czasu. Ciągłe się coś działo. Dni wypełniały mi przede wszystkim spotkania i wywiady. Samo zorganizowanie jakiegoś sposobu dostania się do Polski też musiało potrwać. W Wiedniu byłem około dwóch tygodni i moje życie wyglądało tu dość podobnie, jak wcześniej w Rzymie. Znowu dzwoniło do mnie bardzo wielu ludzi z różnych ośrodków polonijnych. Sam skontaktowałem się też z rodziną i przyjaciółmi z kraju. No i dowiedziałem się szczegółów na temat stanu zdrowia Andrzeja Kołodzieja. Wyniki były jednoznaczne. Nie było mowy o jakimkolwiek nowotworze. W końcu znaleźli jakiś stan zapalny. Oszukano nas, opowiadając historię wysaną z palca. Jednym



Ks. Alojzy Orszulik, obecny biskup łowicki

## Wygnanie

z tych, którzy do mnie wtedy telefonowali, był ksiądz Orszulik. Dowiedział się o tym, że wracałem do kraju i zostałem ponownie deportowany, bez prawa powrotu. Bardzo mnie przepraszał. Mówił, że został wprowadzony w błąd, że władze złamały warunki umowy, dotyczącej mojej osoby. Wyrażał głębokie ubolewanie i nie miałem żadnych wątpliwości, że było ono szczere. Zapewniał, że bardzo zabiega o to, bym mógł powrócić do kraju. Kilka dni później zresztą zadzwonił znowu. Informował o tym, że działania na rzecz mojego prawa wjazdu do Polski są kontynuowane.

### **A Stelmachowski nie dzwonił?**

Nie.

### **W Wiedniu znów wiele ciekawych spotkań?**

Tak. I interesujących propozycji. Żałuję, że nie udało mi się pojechać do Maïson-Lafitte, do Giedroycia, który ponawiał zaproszenie. Miałem nadzieję, że będzie do tego okazja. Rysowała się jakaś możliwość wylotu do Stanów. Zakładałem, że wracać będę przez Paryż. W Wiedniu zaprosił mnie do siebie m.in. Stanisław Lem. Rozmowa była ciekawa. Mówiliśmy o rozwoju wypadków w Polsce, o przyszłości supermocarstw. Wręczył mi, opatrzoną dedykacją, swoją książkę.

### **Zamierzałeś polecieć do USA, ale przecież do tego niezbędna była wiza.**

Tak – niełatwo zdobyć ją w Polsce, a co dopiero Polakowi za granicą, i to takiemu, który ma paszport z prawem jednorazowego przekroczenia granicy. Tymczasem Rząd Rzeczypospolitej na Uchodźstwie zapraszał mnie do Londynu i zorganizował w tym celu jakieś nadzwyczajne prawo wjazdu. Żeby znaleźć się w Anglii, też trzeba było mieć przecież wizę, a ja, na dobrą sprawę, nie miałem nawet ważnego paszportu. Okazało się jednak, że wszystko jest do załatwienia. Jak się później dowiedziałem, żeby umożliwić mi przekroczenie granicy Wielkiej Brytanii, ktoś z naszego Rządu RP uzyskał dla tego celu poparcie w pałacu Buckingham.

### **Królowa Elżbieta opowiedziała się za wizą dla Kornela Morawieckiego?**

Nie wiem, czy królowa, i nie wiem, jaki przebieg miała ta procedura. Wiem jedynie, że mój szczególny status wymagał nadzwyczajnych rozwiązań. Ktoś z kręgu prezydenta Kazimierza Sabbata (a może on sam?) uzyskał poparcie dla decyzji o przyznaniu mi prawa pobytu na Wyspach Brytyjskich. Angielski MSZ dał mi wizę.

Jakoś po połowie maja na lotnisku Heathrow oczekiwał na mnie Ryszard Kaczorowski – wtedy jeszcze nie prezydent RP. Wraz z nim było spore grono, w części dobrze mi znanych ludzi. Kaczorowski był wtedy w rządzie londyńskim ministrem spraw zagranicznych i witał mnie bardzo oficjalnie, uroczyście. Pojechaliliśmy do siedziby Rządu, mieszczącej się w okazałym, londyńskim pałacu. Rząd londyński składał się z ciekawych postaci, o których sporo słyszałem, czytałem. Wiele tam było osobowości, które odcisnęły swe piętno na naszej narodowej historii, ludzi zaangażowanych jeszcze w budowanie Drugiej Rzeczypospolitej, bohaterów wojny. Po paru dniach prezydent Kazimierz Sabbat udekorował mnie Krzyżem Oficerskim. Mogłem odbyć ważne dla mnie rozmowy. Kontakt z ludźmi od półwiecza podtrzymującymi symbolicznie niepodległą państwowość był dla mnie czymś naprawdę niezwykłym.

Wymiana poglądów z Tadeuszem Żenczykowskim, Lidią Ciołkoszową, Niną Karsow czy Leopoldem Łabędziem, wykładowcą London School of Economics, z Prezydentem, Premierem i Ministrami Rządu na Uchodźstwie – to były dla mnie wielkie przeżycia. No i budujące było to, że Solidarnością Walczącą interesowało się tam tylu ludzi. W różnych miejscach, do których trafiałem, czekali na mnie nie tylko Polacy. Zawsze było sporo ludzi z mediów, wydawcy, publicyści i naukowcy zajmujący się Europą Wschodnią, i nie tylko. Mój pobyt w Londynie znakomicie organizował nasz przedstawiciel w Wielkiej Brytanii – Tadeusz Warsza.

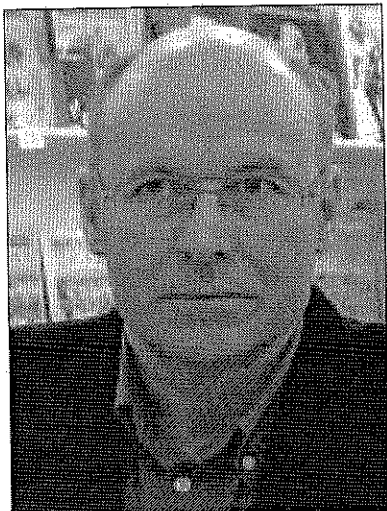
**Właśnie, jak to się stało, że Solidarność Walcząca tak szybko „dorobiła się” tak dynamicznego przedstawicielstwa w Londynie?**

Od 1967 roku w Anglii mieszkał mój kolega z liceum – Tadek Warsza. Tak jak ja, ukończył fizykę. Miał w Wielkiej Brytanii wujka, mieszkającego tam od czasu wojny. W latach sześćdziesiątych nie było łatwo dostać paszport i wyjechać choćby na wycieczkę na Zachód. Kiedy więc Tadek w końcu, jakimś szczęśliwym trafem, znalazł się w posiadaniu paszportu, starał się przedłużyć swój pobyt. W końcu przedłużył go tak bardzo, że powrót do kraju mógłby oznaczać kłopoty. Został więc w Anglii. Tadeusz był organizatorem jednego z pierwszych wielkich protestów Zachodu przeciw zamachowi z 13 grudnia. Pozyskał dla tej sprawy wielu brytyjskich parlamentarzystów. Gdy powstała Solidarność Walcząca, został naszym przedstawicielem. Zdobywał pieniądze i organizował ich przewóz do Polski albo też dokonywał zakupów niezbędnych dla naszych konspiracyjnych działań.

**Do tego okazał się jeszcze znakomitym przewodnikiem po Londynie.**

W czasie mojego pobytu w Anglii mieszkałem właśnie u Tadka Warszawy. Woził mnie na spotkania z wieloma wspaniałymi ludźmi, a zarazem dbał o to, żeby po drodze pokazać mi kawałek Londynu. Poruszaliśmy się taksówkami i on zawsze potrafił tak świetnie wszystko zaplanować, że np. przed jakimś spotkaniem mogłem zobaczyć Katedrę Westminsterską, a innym razem wysiedliśmy przy Picadilly Circus, żeby przespacerować się do Trafalgar Square i wejść do National Gallery, żeby zobaczyć choć te najważniejsze obrazy Wiliama Turnera czy Johna Constable'a. Między jakimiś dwoma wizytami płynęliśmy nawet łódką w Hyde Parku.

Ale najważniejsze były spotkania z ludźmi. Rozmawiałem z Jerzym Targalskim, publikującym pod nazwiskiem Józef Darski – twórcą bardzo ważnego pisma pt. „Niepodległość”. Nie mieszkał wtedy w Londynie, a w Paryżu. Przyjechał specjalnie po to, by się ze mną spotkać. Cenilem jego publicystykę, zdolność analizy, oryginalne spojrzenie. Zobaczyłem się też z Czesławem Bieleckim. Akurat wtedy przebywał nad Tamizą. Uważał, że źle zrobiłem, dając się wyrzucić z kraju. Odpowiedziałem tak, jak wszystkim, że do kraju wrócę. W Anglii różnie mi doradzano. Byli i tacy, którzy uważali, że lepiej byłoby, gdybym został na Zachodzie. Któregoś dnia przyszedł do mnie Ryszard Czarnecki, który był w Londynie od paru lat i sporo publikował w prasie emigracyjnej. Wcześniej działał w podziemiu we Wrocławiu, pisał nawet dla „Biuletynu Dolnośląskiego” i jako student historii działał w konspiracyjnym NŻS-ie na Uniwersytecie Wrocławskim. Trochę się znaliśmy z tego czasu. Pojawili się też ludzie z KPN-u. No i chyba wszystkie możliwe polskie wydawnictwa. „Wiadomości” już wtedy nie było, ale ukazywał się „Dziennik Londyński”. Dzien-



Czesław Bielecki

nikarze związani z tymi pismami byli szczerze spragnieni wiadomości, komentarzy, prosili o próby prognozy najbliższego biegu wypadków. W brytyjskiej stolicy spotkałem też Romualda Szeremietiewa i Jana Nowaka-Jeziorańskiego, z którym kontaktowałem się później w Ameryce. Ten trzytygodniowy pobyt w Londynie był wypełniony właśnie takimi wydarzeniami.

Któregoś dnia pojechaliśmy przez park przy White Hall rowerami, innego weszliśmy w parlament na galerię dla publiczności w czasie obrad Izby Gmin. Cały dzień spędziłem u Lidii Ciołkoszowej. Miała w domu olbrzymią bibliotekę oraz całe mnóstwo dokumentów – wielkie archiwum, dotyczące głównie jej męża. Ona postrzegała Solidarność Walczącą jako kontynuację przedwojennych socjalistów, tego PPS-u niepodległościowego. Widziała wiele podobieństw. Lidia Ciołkosz była kopalnią historycznych

wspomnień. Czasy międzywojenne pamiętała ze szczegółami. Między innymi mówiła o Józefie Cyrankiewicz, z którym współpracowała w latach trzydziestych w krakowskim PPS-ie. Mówiła, że *to taki porządnny człowiek był – co to się z nim później stało?*

Zostałem też zaproszony na obiad do Edwarda Raczyńskiego – byłego prezydenta RP na uchodźstwie, wybitnego dyplomaty jeszcze z czasów przedwojennych, działającego w polskiej polityce w najtrudniejszych czasach. W 1988 roku miał już 97 lat, lecz imponował jasnością umysłu. Spotkałem wreszcie w Londynie działaczy Solidarności Walczącej, którzy znaleźli się na emigracji. Tadeusz ze znajomymi przetłumaczyli na angielski program SW.

Angielska stolica robiła więc wrażenie pokrytej enklawami polskości. Przede wszystkim jakość tych wszystkich ludzi była naprawdę najwyższa. Mnóstwo szlachetnych, ofiarnych życiorysów, potężnych charakterów, otwartych i umysłów. Londyńska Polonia, choć wywodząca się z bardzo różnych warstw społecznych, robiła wrażenie takiej najprawdziwszej arystokracji – w najlepszym słowa tego rozumieniu. Choć pojawiały się ze strony tych ludzi także zarzuty pod naszym adresem. Dotyczyły sprawy wschodnich granic Polski. Pytano mnie, dlaczego Solidarność Walcząca wyrzeka się Wilna i Lwowa. Odpowiadałem, że utracone Kresy stanowią nasze bezcenne dziedzictwo, stanowią niezbywalną część naszej historii, ale nie ma żadnych perspektyw ich odzyskania. Dyskutowaliśmy na ten temat, ale żadna sensowna wizja powrotu do Polski Wilna i Lwowa się w tych rozważaniach nie pojawiała. Dla angielskiej Polonii „całość Polski”, rozumiana jako obecność w niej najważniejszych w jej dziejach ośrodków miejskich, stanowiła *imponderabilium*. Lwów i Wilno pod naszym władaniem uważali za sprawę najwyższej wagi. Sprawiedliwa Europa bez Wilna i Lwowa w polskich granicach, w ich opinii, była niemożliwa. Takie stanowisko wśród Polaków w Anglii pojawiało się często. Mówiło się o tym na spotkaniach w Polskich Domach Kultury, w kościele po niedzielnej mszy, na której powiadomiono wiernych, że teraz odbędzie się spotkanie ze mną. Temat powrócił także na spotkaniu z Radą Narodową, czyli naszym wygnańczym parlamentem, działającym na Zachodzie od 1939 roku.



Andrzej Gwiazda

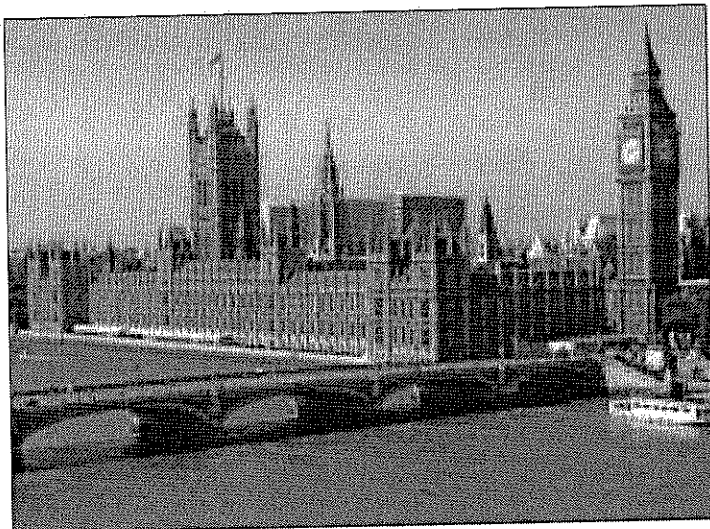
### Czyli w Londynie – przede wszystkim spotkania z Polonią?

Tak, ale nie tylko.

Andrzej Gwiazda i ja zostaliśmy poproszeni o wypowiedzi dla brytyjskiego parlamentu. Żeby nie kaleczyć nadmiernie języka gospodarzy, w Izbie Gmin wygłosił nasz przedstawiciel, władający angielszczyzną jak ojczystym językiem. Widziałem się też z politykami brytyjskimi, zabiegano dla mnie o spotkanie z premier Margaret Thatcher i podobno doszłoby ono do skutku, gdybym został w Anglii dłużej. W czasie mojego pobytu obchodzone było tysiąclecie chrztu Rusi, zorganizowane jako wielkie święto diaspory ukraińskiej. Pojechaliśmy zobaczyć te obchody. Wyglądały imponująco. Wynajęli chyba największą halę w Londynie, o kubaturze znacznie większej od naszego katowickiego „Spodka” czy wrocławskiej Hali Ludowej. Każde z tych kilkunastu tysięcy krzeseł było zajęte. Przybyło całe mnóstwo delegacji, także zza oceanu i byli nawet jacyś przedstawiciele tej komunistycznej Ukrainy, z Kijowa. Przez wiele godzin bardzo bogate uroczystości toczyły się przy żywych reakcjach tysięcy zgromadzonych.

**Do Londynu trafiłeś w momencie, w którym żyło jeszcze wielu nestorów polskiego wychodźstwa, często pamiętających bitwę o Anglię, a nawet działających jeszcze u boku Ignacego Mościckiego, Romana Dmowskiego czy Józefa Piłsudskiego. Nie było to chyba jednak środowisko jednolite?**

Dominowało tam właśnie to starsze pokolenie i nie było ono wolne od wewnętrznych podziałów. Tam właśnie powtarzano mi, że Jędrzej Giertych popierał wprowadzenie stanu wojennego. Przypuszczałem, że uważał on decyzję Jaruzelskiego za „mniejsze zło”, sposób na uniknięcie sowieckiej interwencji. Chciałem się nawet z Giertychem spotkać i spytać, czy rzeczywiście takie były podstawy jego poglądu na wydarzenia z grudnia 1981. Do naszego spotkania jednak z jakichś przyczyn nie doszło. Spotykałem się też z różnymi zarzutami pod adresem Rządu Londyńskiego. Według wielu opinii za dużo było w nim celebry, wystawności, działań symbolicznych, zamiast pracy na rzecz polskiej społeczności. Trudno mi to ocenić, ale to nie były opinie odosobnione czy płynące



Siedziba brytyjskiego parlamentu



# Na co zbiera, co sprzedaje Kornel Morawiecki

Wielki Londynie, gdzie żyje wielu Polaków, jest to miejsce, które nie ma wiele wspólnego z tym, co było w Warszawie. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w izolacji, w małych grupach, które nie mają kontaktu z polską kulturą i tradycją. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w biedzie, w trudnych warunkach, gdzie nie ma dla nich miejsca. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w samotności, gdzie nie ma dla nich miejsca. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w trudnych warunkach, gdzie nie ma dla nich miejsca. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w samotności, gdzie nie ma dla nich miejsca.

Wielki Londynie, gdzie żyje wielu Polaków, jest to miejsce, które nie ma wiele wspólnego z tym, co było w Warszawie. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w izolacji, w małych grupach, które nie mają kontaktu z polską kulturą i tradycją. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w biedzie, w trudnych warunkach, gdzie nie ma dla nich miejsca. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w samotności, gdzie nie ma dla nich miejsca. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w trudnych warunkach, gdzie nie ma dla nich miejsca. To jest miejsce, gdzie Polacy żyją w samotności, gdzie nie ma dla nich miejsca.

„Życie Warszawy” z 17 czerwca 1988 r.

z jednego środowiska. To, co trzeba w tym „polskim Londynie” bardzo docenić, to patriotyzm kolejnych pokoleń. W Anglii urodziła się, wychowała i czasem już nawet weszła w średni wiek generacja, która na własne oczy nie widziała nigdy Polski. A jednak nie było wątpliwości, że są to żarliwi patrioci, pieczołowicie pielęgnujący narodowe tradycje. Podziwiałem te wielkie osiągnięcia wojennego pokolenia, które osiadło w Wielkiej Brytanii.

**Przebywałeś w Anglii na szczególnych warunkach paszportowo-wizowych. A jak ci się udało dostać do Stanów Zjednoczonych?**

Nie znam szczegółów, ale sposób był dość podobny do tego, jak znalazłem się w Anglii. Wizę do USA otrzymałem „po uważaniu”.

**Na pewno nie pomogło też to, że w paru miejscach przyprawiono ci gębę terrorysty. Sam słyszałem, że tak cię nazwano w audycji BBC. W czasie twójego uwięzienia Amnesty International postanowiło nie zajmować się twoją sprawą, gdyż paru czołowych opozycjonistów warszawskiej „lewicy laickiej” poinformowało ich, że siedzisz za terroryzm.**

Tak, słyszałem o tym. Najgorsze w tym jest to, że tak potrzebna instytucja, jak Amnestia Międzynarodowa, nadwerżyła swoje społeczne zaufanie. Wcześniej, jeszcze w czasie ukrywania się w Polsce, co jakiś czas dochodziło do podobnych, przykrych incydentów. Tak było np. z Solidarnością Polsko-Czechosłowacką. W zasadzie ona miała swój początek w znacznej mierze w naszych działaniach. Przed Solidar-

nością Walcząca nikt nie wydawał w Polsce prasy w języku czeskim i nie przerzucał jej przez granicę. Potem jednak okazało się, że ani ja, ani Andrzej Kołodziej w Solidarności Polsko-Czechosłowackiej miejsca nie mamy. Znanym ludziom z Warszawy nie podobałem się ani ja, ani Andrzej, który dwa lata siedział w czeskim więzieniu za to, co było samym fundamentem Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Nie nagłaśnialiśmy wtedy tej sprawy. Niczemu dobremu by to wówczas nie służyło, eskalowanie konfliktów w łonie opozycji byłoby tylko „wodą na młyn” dla reżimu. No, ale pewien niesmak pozostał. Zaangażowany w tę, cenną przecież, inicjatywę Mirosław Jasiński wielokrotnie wyrażał ubolewanie z powodu tej historii.

**Przykre jest i to, że niektóre środowiska polskiej opozycji lat osiemdziesiątych potrafiły z takim cynizmem wykańczać ludzi z tej samej strony barykady. A może ci, niegdyś związani z reżimem, dysydenci, choć tak medialnie nagłośnieni, jednak nie do końca byli po tej samej stronie? Może właściwy jest tu termin „opozycja wewnątrzustrojowa”?**

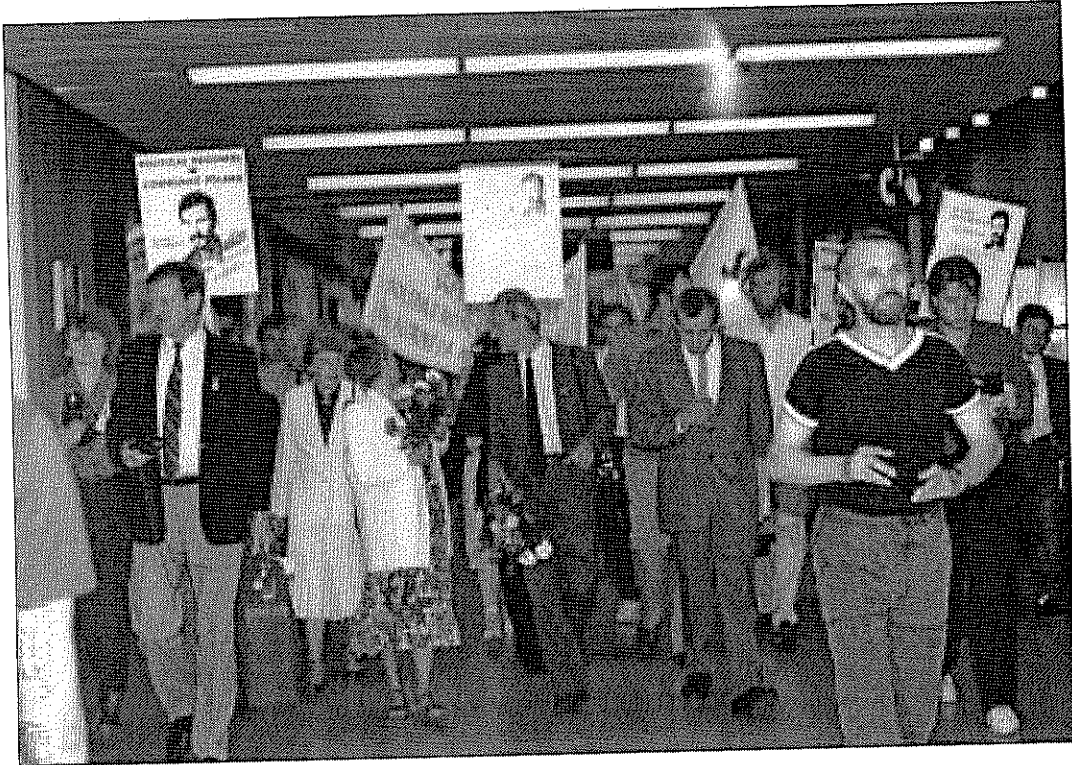
Tego chyba teraz nie rozstrzygniemy. Czas zweryfikuje pewnie jeszcze niejednen mit. Z większego dystansu łatwiej będzie ocenić. W każdym razie to, że wtedy Amnesty International o mnie i Andrzeju milczała, na pewno nam nie pomogło. A w przypadku przekraczania granic wielu krajów mogło je przed nami całkowicie zamknąć. Kraje Zachodu boją się terrorystów i trudno im się dziwić. Wtedy w Londynie prawo wjazdu do Stanów Zjednoczonych załatwiano też drogą jakichś kontaktów całkowicie osobistych. Nie znam szczegółów, ale wiem, że poręczał za mnie ktoś z bardzo ustosunkowanych, angielskich lordów czy polityków. W końcu dlaczego nie miałem lecieć do Ameryki?

## Ameryka

### **Dostałeś wizę do USA, wsiadłeś w samolot...**

Już sama podróż była dość wyjątkowa. Skorzystałem z indyjskich linii lotniczych. Wielki jumbo-jet leciał z Bombaju do Nowego Jorku. Dosiadłem się w czasie międzylądowania w Londynie. Przez tych kilka godzin lotu miałem wrażenie, że jestem w samym sercu Indii. Obok mnie siedział bardzo elegancki Hindus, co chwila częstujący mnie jakimiś egzotycznymi frykasami. Wokół kłębiły się setki kobiet w sari, półnagich dziewcząt w kolorowych strojach, na bosaka biegających po tym samolocie, karmiących dzieci piersią. Sporym wrażeniem było też to, co można było zobaczyć przez okno. Po starcie z Heathrow wielka mozaika typowej dla Anglii szeregowej zabudowy. Ameryka pojawiła się z całkowicie inną topografią, takim morzem punktów, które były domami. Inne przestrzenie, całkowicie inny rozmach. I już od momentu mojego pojawienia się w terminalu portu lotniczego widziałem, że to jest nieco inna rzeczywistość, jakby bardziej spontaniczna, w której zwyczajem jest też pośpiech, optymizm, entuzjazm.

Przywitało mnie niemal owacyjnie spore grono ludzi, z których znałem tylko parę osób. Prawie od razu zabrali mnie na Greenpoint, gdzie oczekiwało parę tysięcy ludzi. Dużo oklasków, musiałem coś powiedzieć do mikrofonu, w tym czasie prowadzona była zbiórka pieniędzy. Na koniec dostałem chyba ze dwa tysiące dolarów. Bardzo to było serdeczne, przyjazne, ale też szybko zorientowałem się w różnych podziałach tej polskiej społeczności. W Nowym Jorku dużo było nowej emigracji, składającej się z ludzi dopiero szukających swojego miejsca w Stanach. Większość nie miała jeszcze dobrej, pewnej pracy. Miałem wrażenie, że w przeważającej mierze to ludzie, którzy jeszcze nie zbudowali sobie w Ameryce bytowych podstaw. A zarazem żyjący ciągle sprawami kraju, dla których Solidarność była osobistym i ciągle świeżym doświadczeniem. Część miała bliskie związki z Solidarnością Walczącą. Niektórzy byli członkami organizacji, przed wyjazdem działali w naszych strukturach. Po tym pierwszym, dużym spotkaniu pojawiły się mniejsze, w różnych miejscach, z różnymi ludźmi. Nie miałem jednego przewodnika ani po tym kraju, ani po tych środowiskach. Stąd szybko pojawiły się zarzuty, że z tymi czy tamtymi spotykać się nie powinienem. Czasem zarzucano mi wręcz, że kontaktuję się z jakimiś



Powitanie Ewy Kubasiewicz i Kornela Morawieckiego na lotnisku w Nowym Jorku

grupami spenetrowanymi przez agenturę. Andrzej Czuma, który w pewnym momencie zaczął być moim *cicerone*, uświadamiał mi tamtejsze realia, istnienie różnych antagonizmów i podejrzeń. Zdumiewająco często pojawiały się tam posądzenia o współpracę z wywiadem PRL-u. Przypuszczam, że często z tym przesadzali, ale też nie ulega wątpliwości, że komunistyczne służby specjalne odgrywały wielką rolę w tworzeniu podziałów w środowiskach amerykańskiej Polonii.

#### **Najwięcej Polaków mieszka jednak w okolicach Chicago.**

Tam też najprężniej działa Związek Narodowy Polski, bez którego Kongres Polonii Amerykańskiej nie byłby tym, czym jest. W Chicago polonijne życie narodowe wygląda rzeczywiście prężnie. Skupia się tam sporo ludzi wokół spraw polskich. Widziałem to choćby po rozmiarach spotkań, w których brałem udział.

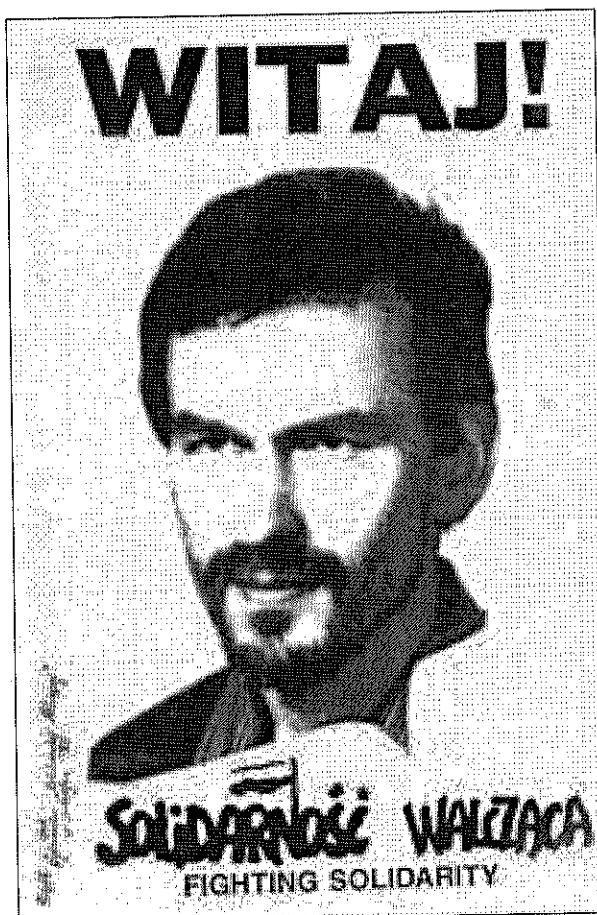
#### **USA to supermocarstwo, licząca kilka milionów Polonia, ale też fascynujący kraj. Jakie były twoje główne wrażenia?**

Byłem w USA dwa i pół miesiąca. Miałem wiele propozycji zobaczenia niezwykłych miejsc. Pewne sympatyczne małżeństwo z Phoenix długo upierało się, że musi mi pokazać Wielki Kanion, podobno zupełnie niesamowity. A do tego był „tuż obok”, ledwie pięćset mil. Mieszkający w Ameryce takiej odległości nie postrzegają tak, jak my, dla których to szmat drogi. Prawie się obrazili na mnie, kiedy odmawiałem. Straciłbym na to dzień lub dwa, a chciałem przede wszystkim spotykać się z ludźmi.

W Nowym Jorku jest mnóstwo ciekawych rzeczy – niezwykle budowle, galerie, bogate muzea. Korciło mnie bardzo, żeby trochę więcej tego poznać, zwiedzać, byłem ciekaw świata i, oczywiście, ciekaw Ameryki. Nie miałem jednak czasu. Ważniejsze były spotkania. Organizowało je wiele osób, ale chyba najczęściej robili tu Darek Olszewski i Andrzej Myc. Kupując bilet do Stanów, za małą dopłatą zostałem wyposażony w coś w rodzaju biletu miesięcznego na samoloty. To było dla mnie zupełnie niesamowite, jak łatwo korzystało się tam z transportu lotniczego. Do samolotu wchodziło się niemal jak do tramwaju. Wystarczyło się zorientować na lotnisku, czy jest wolne miejsce na połączenie w danym kierunku, i już się wsiadało, bez żadnych odpraw, jakichkolwiek kontroli. Latałem w różnych kierunkach, dzień po dniu trafiałem do miast oddalonych od siebie czasem nawet o parę tysięcy kilometrów. Wszędzie byli ludzie, dla których walka o wolną Polskę była ważną sprawą. Czasem spotykałem ludzi bardzo znanych, np. Czesława Miłosza.

### Jakie nadzieje wiązałeś z tymi spotkaniami?

Chciałem jak najwięcej ludzi zapoznać z naszym nurtem Solidarności, który nazywałem niepodległościowo-antykomunistycznym. Pragnąłem spotkać się i z Polonią amerykańską i z amerykańskimi politykami. Bardzo różny był odbiór naszego programu. Wiedziałem, że amerykańska Polonia jest bardzo podzielona, ale rodzaj tych różnic był dla mnie dość zaskakujący. Stara emigracja często okazywała się nieufna wobec nowej. Niejednokrotnie środowiska zasiedlonych Polonusów miały całkowicie mylne wyobrażenie starego kraju. Dla wielu miał on np. całkiem inne granice. Ich pierwszą ojczyznę ciągle było przede wszystkim Podole czy Pokucie, Polska bez Stanisławowa czy Trembowli była absolutnie nie do zaakceptowania. W każdej dyskusji temat przynależności ich ziem rodzinnych był problemem numer jeden. Nierzadko dawni Kresowianie odrzucali możliwość rozmowy o czymkolwiek, jeśli nie zostanie najpierw wyjaśniona ta, najważniejsza dla nich kwestia. Bardzo często spotykałem przeróżnych oryginałów. Wielu przekonywało mnie, że amerykańska Polonia jest mocno spenetrowana przez bezpiekę i KGB. Zastanawiać mogło, że były to głosy z bardzo róż-



Amerykański plakat SW

nych miejsc. Pewnie w jakiejś mierze słuszne, ale wydawały mi się generalnie przesadzone. Maciej Stypik, zresztą bardzo ciekawa postać, uważał, że powinienem jak najszybciej powrócić do kraju i działać tylko i wyłącznie w podziemiu. Całkowicie negował sens jawnej opozycji. Był tu bardzo nieprzejednany. Gdy razem z nim spotkaliśmy się z Jackiem Kalabińskim, komentatorem „Głosu Ameryki” i „Wolnej Europy”, Maciek od razu wypomnił mu jego dawną działalność dziennikarską, tę sprzed jego emigracji, uprawianą w PRL-u. Powiedział mu: *Panie redaktorze, ja dlatego wyjechałem z kraju, żeby pana nie słyszeć, a teraz pan mnie dogonił i teraz mówi pan trochę inaczej, ale jednak w gruncie rzeczy to samo, co w Polsce pod Sowietami. Cała różnica, że pan te same myśli w inną retorykę teraz ubiera. W Stanach rządziej znajdywano zrozumienie dla ludzi, którzy zanim zostali opozycjonistami, należeli do komunistycznych elit. Częściej uważano, że się przefarbowali, niż że „przejrzeli na oczy”, nawrócili się.*

**Ta opinia o Kalabińskim chyba jednak przesadzona. Jego publicystyka była godna uwagi.**

Ja miałem wrażenie, że mamy w nim szczerego sojusznika. Sporo z nim rozmawiałem, nasze poglądy były sobie dość bliskie. Zwykle w Ameryce spotykałem się z innymi stanowiskami, wynikającymi chyba ze słabej znajomości aktualnych realiów naszego kraju. Przede wszystkim Kalabiński współczesną nam Polskę znał lepiej, niż stara Polonia.

**Spotkałeś się także z Janem Nowakiem-Jeziorańskim.**

Z pierwszym dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa widziałem się już w Londynie. W Stanach zabiegał właśnie o zniesienie sankcji wobec PRL-u i udzielenie mu pomocy gospodarczej. Mówił, że to jest całkowicie bez sensu, że działać trzeba wręcz przeciwnie – wywierać jak największy nacisk na komunistyczny rząd. On stwierdzał, że najważniejsze jest *ratowanie narodowej substancji*, dokładanie starań, by nie ulegała ona biologicznej degradacji, by polskie dzieci nie głodowały. Odpowiadałem, że dzieci w Polsce nie głodują, że trzeba konsekwentnie zmierzać do zasadniczych zmian w kraju. Słyszac takie argumenty Nowak-Jeziorański robił minę pełną politowania, jakby chcąc powiedzieć swojemu rozmówcy, że jego kalkulacje są szczytem naiwności. Akurat leżały przed nami konspiracyjne gazetki. Wziął do ręki kilka z nich i powiedział: *Panie Kornelu, czym pan chce obalić komunizm? Tymi karteczkami?* Po czym długo uzasadniał, że system sowiecki będzie jeszcze trwał przez długie dziesięciolecia. Uważał, że jest jeszcze bardzo prężny, Związek Sowiecki jest militarną potęgą, wyposażoną w broń nuklearną. Oceniał, że być może na skruszenie tych okowów przyjdzie nam jeszcze czekać drugie 45 lat, albo i dłużej. I wobec tego najważniejsze jest przetrwanie narodu. W owym czasie ja też nie byłem takim optymistą, by liczyć na to, że system zacznie się gwałtownie rozsypywać już w 1989 roku. Ale myśleniem i postawą istotnie się różniliśmy. Z jednej strony Nowak-Jeziorański bardzo pozytywnie oceniał nasze działania na rzecz zbliżenia z innymi narodami „obozu socjalistycznego”. Był pod wrażeniem naszych kontaktów z Ukraińcami, Litwinami, Białorusinami, Czechami, Gruzynami. Według jego opinii było to jak najbardziej rzeczywiste pobudzanie do niezależnej działalności, wysyłanie impulsów powodujących powstawanie środowisk opozycyj-

nych. Jednak to, o czym mówiliśmy głośno – niepodległość Ukrainy, krajów bałtyckich – uważał za zupełne mrzonki.

Trochę zaskoczył mnie też Zbigniew Brzeziński, z którym również miałem okazję spotkać się i rozmawiać. O ile nad ich wizją sytuacji międzynarodowej można się było zastanawiać, to ocena rzeczywistości w kraju wynikała z fałszywych wyobrażeń i braku wiedzy. Byłem przekonany, że pomoc dla władz jest konieczna, żeby Polska nie głodowała. Z tego mylnego założenia wynikały całkowicie nietrafione cele, jakie starano się osiągnąć. I Jeziorański, i Brzeziński uważali, że komunizm trwał będzie jeszcze długo. Solidarność Walcząca wydała zresztą nakładem swojej Agencji Informacyjnej książkę byłego doradcy prezydenta Cartera pt. *Plan gry*. Brzeziński przewidywał w niej zmagania USA z ZSRS aż do połowy XXI wieku. Czyli nasi przyjaciele z Waszyngtonu nasz program, nasze przewidywania uważali za mrzonki. I w związku z tym w stanowczej walce z reżimem bardziej dostrzegali zagrożenia, niż szanse. Obawiali się np. niepotrzebnego rozlewu krwi. Uważali, że trzeba zabiegać o pomoc humanitarną dla Polski, by naród mógł przetrwać i doczekać kresu sowieckiego imperium. Trudno się nam było porozumieć, bo ja uważałem, że trzeba walczyć o niepodległość, niszczyć komunizm. Dla nich celem było przedłużanie biologicznego bytu narodu, humanitarne działanie na rzecz poprawy warunków życia w kraju. W tym samym czasie profesor Kukołowicz przekonywał, że ZSRS wchodzi w ostatnią fazę swojego istnienia. Pamiętam, że według tych ocen Moskwa nie będzie w stanie skutecznie zaatakować Zachodu po roku 1990. Przewaga technologiczna USA i Europy zachodniej będzie już zbyt duża, by komuniści mogli myśleć o zwycięstwie.



Zbigniew Brzeziński

Pamiętam, że w drugiej połowie lat osiemdziesiątych dwie osoby wyjątkowo kompetentnie wypowiadały się na temat bliskiego zmięrczu systemu sowieckiego. Pierwszym był dr Edward Czapiewski, który swą tezę popierał argumentami natury historycznej, według których mieliśmy do czynienia z coraz wyraźniejszymi oznaka-

# Freedom fighter ready to help rebuild Poland

By Jane ...

... ..

A free ... ..



original ... ..

the United States ... ..

where the ... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

Wizytę przywódcy Solidarności Walczącej w USA relacjonowała prasa amerykańska. Tu: informacja „Detroit News”, najpopularniejszej gazety w Michigan.

mi ostatecznego wyczerpywania się kolejnych elementów marksistowskiej formacji. Do podobnych wniosków, lecz drogą analiz różnych czynników makroekonomicznych i narastającego dystansu technologicznego, doszedł wtedy Wojciech Mysłlecki. Czyli nasi rodacy z kraju, choć dysponujący wielokrotnie mniejszymi możliwościami korzystania z informacji, dochodzili do wniosków dużo bardziej trafnych, od przewidywań ekspertów z Zachodu.

### **Kontaktowałeś się w tym czasie z diasporami innych narodów bloku?**

Tak i byłem pod wrażeniem prężności różnych organizacji, np. ukraińskich. Przyznaję, że nie zawsze były to udane rozmowy. To znaczy, w jednym była całkowita zgoda: komunizm jest jednoznacznym wrogiem. Jego obalenie to wspólny cel i tu wszystkie nasze dążenia są zbieżne. Nie potrafiłem jednak, rozmawiając z ukraińskimi politykami emigracyjnymi, nie przywołać także problemu zbrodni na Wołyniu, Podolu i Pokuciu z lat czterdziestych. W tym czasie zresztą parokrotnie długo rozmawiałem na ten między innymi temat telefonicznie z Hanną Łukowską-Karniej. Przekazywała mi, co o tym sądzi Leszek Moczulski. Uważał, że wszystkim należy mówić to, co chcieliby usłyszeć, że nie należy zrażać sobie nikogo. Nie potrafiłem zachować się w taki sposób. Byłem zdania, że wszystkie trudne problemy trzeba sobie wzajemnie uświadamiać, wyjaśniać. Wcale nie musi to polegać na „dociskaniu kogoś do muru”, żądaniu jakichś szybkich, jednoznacznych deklaracji. Wolałem przedstawić nasze stanowisko choćby po to, by mogli je powoli „przetrawić”, zмагаć się wewnętrznie z tym zagadnieniem, dojrzywać do stanięcia twarzą w twarz z bolesnym problemem. Nie wiem, czy cokolwiek z tego uzyskałem. Czy jednak można było inaczej? Podjęcia tego tematu oczekiwała ode mnie także część Polonii. Szczególnie ta, która tych zbrodni doświadczyła osobiście. Niektórzy uważali nawet, że trzeba jasno wyartykułować problem przynależności Lwowa. Tutaj z kolei narażałem się swoim. Lwów, i w ogóle Kresy, to oczywiście sprawy bliskie każdemu Polakowi. Bliskie także mi. W końcu miast równie ważnych dla naszej kultury, jak Wilno czy Lwów, jest co najwyżej parę. My jednak tę sprawę już na początku stawialiśmy jasno – dążenie do zmian granic byłoby przede wszystkim pomnażaniem nieszczęść. Tłumacząc takie stanowisko, narażałem się z kolei naszej Polonii.

### **A organizacje żydowskie?**

Zostałem zaproszony na spotkanie do siedziby żydowskiego stowarzyszenia. Część gospodarzy pochodziła z Polski. Pytali mnie m.in. o antysemityzm w naszym kraju. Odpowiedziałem, że jeśli nawet istnieje, to jest zjawiskiem śladowym, całkowicie marginalnym. Okazało się potem, że ludzie z Polonii mieli do mnie pretensje o te słowa. Przekonywali mnie, że na podobne pytanie Francuz zaklinałby się na wszystko, co święte, że w jego ojczyźnie nigdy nie było śladu antysemityzmu. Wiadomo, że rząd Vichy setki tysięcy Żydów wysyłał do Auschwitz, ale każdy Francuz zaprzeczałby temu do upadłego. Za-



Romuald Kukulowicz



pewniali mnie, że w Stanach nawet Niemiec by zaprzeczał, że w Niemczech istniał jakiś antysemityzm. Wszyscy przekonywali mnie, że w Ameryce wielkim grzechem jest przyznać się do choćby cienia antysemityzmu. To natychmiast jest wykorzystywane, rozdmuchiwane, nagłaśniane i skutecznie niszczy każdego człowieka i każde środowisko. Uważali, że wielki błąd popełniłem, przyznając, że jakkolwiek, choćby najmniejszy antysemityzm w Polsce może istnieć.

**Twoje spotkania w Stanach często więc wyglądały tak, jakbyś był między młotem a kowadłem albo na wielkiej szachownicy przeróżnych zależności...**

Często poruszanie się po różnych amerykańskich środowiskach przypominało krążenie po takim wielkim labiryncie wykluczających się stanowisk. Żeby wszystkim zadowolić, musiałbym w relacjach ze wszystkimi mijać się z prawdą. A ja mówiąc o naszym stanowisku, zawsze mówiłem prawdę. Niestety, nie zawsze przysparzało nam to zwolenników. Nie mam jednak wątpliwości, że było to słuszne, bo po prostu uczciwe, stawianie sprawy.

**To, że stanowiska Polaków i Ukraińców mogły być bardzo rozbieżne, raczej nie dziwi. Jednak Polonia też nie stanowiła monolitu?**

Zdecydowanie nie jest monolitem. Stara Polonia najczęściej postrzega chyba siebie jako Amerykanów polskiego pochodzenia. Bardzo ważne są dla niej korzenie, tradycja, kontakt z krajem, nawet wspólny, narodowy interes. Jednak jest to grono niezupełnie otwarte dla późniejszych przybyszy z kraju. Ta stara Polonia ma swój Kongres, swój Związek Narodowy Polski. Ma zarazem mocną polską tożsamość i silne też zakorzenienie już w Stanach Zjednoczonych. Emigracja „solidarnościowa” raczej w ich środowisku z trudnością dochodzi do głosu. Tworzy raczej swoje własne, inne kręgi. I chyba dość często widać w tej nowej emigracji coś w rodzaju kompleksu czy zawodu. Niektórzy emigranci z lat osiemdziesiątych opuszczali kraj w glorii bohaterów. Wychodzili z więzień, obozów internowania, byli bardzo znani, cieszyli się wielkim autorytetem. Za Oceanem wzbudzali, co najwyżej, trochę zainteresowania, spotykali się z raczej krótkotrwałym i nie za wielkim uznaniem. Po niektórych było widać, że czują się wręcz uciekinierami z kraju. W Polsce byli prześladowani, ale rzadko były to represje nie do zniesienia. Emigracja odbierała im autorytet, który mieli w kraju. W Stanach nie mieli szans uzyskania podobnego ani też odegrania roli porównywalnej z tą, jaką odgrywali w Polsce. Zarazem mieli świadomość, że wyjeżdżając osłabiają Solidarność, ułatwiają robotę bezpiece, utrwalanie władzy komunistom. Do Ameryki trafiło wielu bardzo głośnych, wybitnych działaczy, którzy za oceanem zniknęli w tłumie, jakby rozplynęli się. Praktycznie nie było żadnego rzeczywistego przywództwa „solidarnościowej” emigracji. Nikt tam nie był jakimś znaczącym, powszechnie uznanym autorytetem. Nie pojawił się nikt, kto by tę diasporę spajał, jakoś jej przewodził. Do tego bardzo często spotykałem się z informacjami, że wraz z emigracją lat osiemdziesiątych do USA dostało się całe mnóstwo agentów, kontynuujących swoją robotę pod przykrywką różnych zakładanych tam firm, instytucji.

**Generalnie opuszczanie kraju w latach osiemdziesiątych osłabiało Polskę i jej szanse?**



Tak – to był duży ubytek, dotkliwy dla Polski. Te wyjazdy często były uzasadnione. Wiadomo przecież, że ludzie chcieli normalnie żyć, realizować swoje ambicje. Zdolności wielu naszych rodaków w PRL-u były skazane na zmarnowanie. Obserwowałem tę falę wychodźstwa z Polski. Kilka lat później miałem możliwość zobaczenia w Stanach dalszych jego losów. Często nie były one zbyt wesołe. Większość ludzi raziła sobie całkiem nieźle, ale jednak nie na miarę swoich możliwości. W Polsce bardzo ich brakowało, a w Stanach ani nadzwyczajnie nie rozwinęli skrzydeł, ani specjalnie nie znaleźli szczęścia. Widziałem w USA ludzi, którzy u nas pracowali w różnych biurach konstrukcyjnych i coś tam osiągnęli, mieli jakąś pozycję i satysfakcję, że robią coś dla swojego kraju. Choć oczywiście napotykali w komunistycznych uwarunkowaniach na przeróżne przeszkody, a ich projekty często nie doczekały się zastosowania. W Stanach jednak też nie zawsze było z tym najlepiej. Podobnie bywało z ludźmi, którzy wywodzili się z naszego przemysłu. Naszym „złotym rączkom”, dzięki którym w warunkach permanentnego w PRL-u niedoboru wszystko jednak jakoś funkcjonowało, w Stanach często przychodziło być zwykłymi ślusarzami.

Nie brakowało też innych przykładów. Zatelefonował do mnie wtedy np. jeden z moich dawnych studentów. Pamiętałem go dobrze, bo tak uzdolnionych, wręcz genialnych, nie miałem wielu. Przed laty, już na początku jego studiów, zorientowałem się, że wszystko, czego uczyłem na moich zajęciach, było dla niego zbyt łatwe. Powiedziałem mu więc, żeby nie tracił czasu na chodzenie na ćwiczenia, bo i tak niczego więcej się nie nauczy. I rzeczywiście: wpadał tylko na niektóre moje zajęcia, na zaliczeniu dałem mu wyjątkowo trudne zadanie. Poradził sobie. Jakiś czas później dostał propozycję, by kontynuować naukę w USA. Amerykanie zorientowali się szybko, jak zdolny z niego chłopak, potrafili więc o niego zadbać, postarali się, by u nich został. Kiedy dowiedział się, że właśnie jestem w USA, zadzwonił do mnie. Był wtedy chyba w Memphis. Od razu go sobie przypomniałem, więc spytałem, dlaczego z nim w tych Stanach tak cienko, przecież powinien już dostać Nagrodę Nobla. Odpowiedział, że Nobla jeszcze nie ma, ale właśnie dostał jakiś grant na milion dolarów.

### **Wielu spotkałeś w Ameryce ludzi, których znałeś z Polski?**

Jednym z organizatorów mojego pobytu był Darek Olszewski, członek Solidarności Walczącej z Wrocławia. Wyjechał w 1986 w związku z deportowaniem z Polski jego żony, obywatelki amerykańskiej, Donny Kersey. Dużo mi w czasie pobytu pomógł Andrzej Myc, też z SW, pracownik naukowy, prześladowany w PRL-u. W Ann Arbor serdecznie gościli mnie moi przyjaciele Jurek i Bronia Petryniakowie.

### **Rozmawiałeś też z amerykańskimi politykami.**

W Waszyngtonie widziałem się z kilkoma kongresmenami. Zaskoczyło mnie to, jak bardzo byli pod urokiem Gorbaczowa. Blok wschodni postrzegali przez jego pryzmat. Fascynowali się sekretarzem generalnym KPZR, tak bardzo odmiennym od poprzedników. Uważali, że te zmiany, jakich on dokona, powinny satysfakcjonować społeczeństwa zamieszkujące sowieckie imperium. Odniosłem wrażenie, że USA nie jest zainteresowane rozpadem Związku Sowieckiego. Amerykanie widzieli w tym

Wracam aby dzieląc los ze  
 strajkującymi w kopalniach  
 i robotnikami przy zbrojeniach  
 w wojnie. Chcę żyć i walczyć  
 w Polsce. Chcę tam i teraz  
 pracować ze współpracownikami  
 przy pracy SW i pracować dla  
 osiągnięcia naszych celów.

Przepraszam USA, Amerykę  
 i jednocześnie przez krajem prępo-  
 niamy się naprawdę zmieniać sytuację  
 w obecnej sytuacji. Wzrostem  
 lotary musimy zaprosić i podję-  
 mowali na Zachodzie. Wierzę  
 w siebie

26-VIII-58 Tarnobrzeg *Jan S.*  
*K.H.*

Rękopis listu pożegnalnego Kornela Morawieckiego

więcej zagrożeń, niż korzyści. Dla nich Związek Sowiecki z Gorbaczowem był dobrym rozwiązaniem, bo raczej wykluczał możliwość wojny z USA. A jeśli Związek Sowiecki zacząłby się rozpadać, to nie byłby pewny los tego, co Amerykę interesowało najbardziej – głowic atomowych. W tym sposobie myślenia niespecjalnie znajdowało się miejsce na zainteresowanie narodami pozbawionymi wolności. Miałem wrażenie, że Stany czują się czymś wielkim i tylko wielkich są w stanie traktować jak partnerów. Partnerem dla nich, przez swoje rozmiary i zasoby, była Rosja. A my? Dla nas mieli, co najwyżej, sympatię. Zawsze ważną.

**Czyli zaznałeś w Stanach także postrzeżenia Polski jako jednego z licznych satelitów Związku Sowieckiego. Nasze aspiracje w istocie nie za wiele ich interesowały, skoro w Moskwie rządził „dobry Gorbaczow”.**

Mniej więcej takie było moje wrażenie. Najciekawsze spotkanie miałem jednak w ośrodku studiów politycznych przy Departamencie Stanu. Mogłem poznać, jak taka instytucja funkcjonuje. Wygląda to mniej więcej tak, że jest ona podzielona na sekcje, analizujące rozwój sytuacji w każdym kraju. W sekcji zajmującej się Polską znajdowały się działy, zbierające informacje na temat np. różnych środowisk opozycyjnych. Jeden z tych działów specjalizował się w opozycji niepodległościowej. A jego częścią była komórka, skupiająca uwagę na organizacji Solidarność Walcząca.

**Jak wyglądała ta komórka i na czym polegało to „skupianie uwagi” na Solidarności Walczącej?**

Amerykanów interesowały nasze oświadczenia, zamieszczana na łamach naszej prasy publicystyka, nasze analizy, wszelkiego rodzaju wnioski, opinie, próby przewidywania przyszłych wypadków. Byli więc w Waszyngtonie ludzie, których zadaniem było czerpanie wiedzy z naszych analiz, doświadczeń. Jeden z nich po-

święcił na rozmowy ze mną cały dzień. Był bardzo zainteresowany naszymi poglądami na bieg wydarzeń w bloku wschodnim.

### **Widziałeś się z ludźmi z amerykańskiego parlamentu – Kongresu USA?**

Przynajmniej z kilkoma. W Waszyngtonie zobaczyłem, czym jest kancelaria senatora czy członka Izby Reprezentantów. Zwykle jest to olbrzymi zespół biur, na cały biurowiec średniej wielkości dałoby się to złożyć. Nie jest rzadkością to, że senator zatrudnia dziesiątki prawników, sekretarek, asystentów. Robi to wrażenie monstrualnej biurokracji, ale podobno po prostu zajmują się taką masą spraw i starają się, by każda kwestia, którą zajmuje się senator, była w najdrobniejszych szczegółach perfekcyjnie dopracowana. Spodobał mi się taki zwyczaj, według którego każdy z tych senatorów jeden dzień w tygodniu poświęca na to, by stać w hallu jakiegoś biurowca i być do dyspozycji wyborców. Każdy może wtedy przyjść, porozmawiać, a nierzadko wygadywać bardzo przykre rzeczy.

Niekwestionowanym królem starej amerykańskiej Polonii był prezes Kongresu Alojzy Mazewski. Gościł mnie w swych biurach w Chicago, przedstawił pracownikom. Na przyjęciu w ekskluzywnej restauracji obruszył się, gdy powiedziałem: *Panie prezesie, rząd Stanów Zjednoczonych daje miliardy dolarów reżimowi Jaruzelskiego, Kongres i Polonia dają dziesiątki milionów dolarów na pomoc humanitarną dla kraju i dziesiątki czy setki tysięcy na tzw. opozycję konstruktywną, która dogaduje się z systemem. a tych zaś, co chcą niepodległości, obalenia ustroju, dajecie skromne tysiące.*

Z dużą grupą amerykańskich polityków spotkałem się w Departamencie Stanu. Przedstawiłem im nasze stanowisko na temat aktualnego stanu bloku sowieckiego. Mój wniosek był tu taki, że dla nich Gorbaczow był szczytem marzeń. Nie chcieli niczego więcej. Takie przywództwo Związku Sowieckiego dawało im poczucie bezpieczeństwa. Oddalało groźbę konfrontacji nuklearnej, a zarazem zapewniało względną spójność rosyjskiego państwa. Amerykanie bali się rozpadu ZSRS. Przerazała ich wizja pojawienia się wielkiego chaosu, w wyniku którego guziki atomowe znajdują się w rękach jakichś nieznanych im, być może nieobliczalnych ludzi. Wiedzieli, jak wieloetniczną mozaiką są Sowiety. Obserwowali południowe republiki, licznie zamieszkiwane przez muzułmanów, a w których znajdowały się wielkie magazyny głowic atomowych. Nadmierny radykalizm był więc amerykańskim politykom wcale nie w smak. Najbardziej szczęśliwi byłiby wtedy, gdyby Związek Sowiecki się nie rozpadł, ale przestał być dla nich niebezpieczny. Gorbaczow był bliski szczytu ich politycznych marzeń.

### **Jaki miałeś w czasie pobytu w USA kontakt z krajem?**

Dość regularny – telefoniczny. Połączenia nie były sprawą tak łatwą, jak dziś. Jednak rozmawiałem wielokrotnie – z Hanną Łukowską-Karniej, z Maciejem Frankiewiczem. Udawało im się przekazać mi informacje o tym, co się dzieje w kraju i w organizacji. Dowiedziałem się, że wedle wielu opinii – źle się stało, iż dałem się wyrzucić z kraju. Inni uważali, że powinienem tę okazję wykorzystać dla załatwienia jak największej ilości spraw. Zarówno Hania, jak i Maciek, uważali jednak, że powinienem jak najszybciej wracać. Też byłem tego zdania. Pozostawał więc tylko sposób. Najpierw musiałem się pozbyć wszelkiej ewentualnej obserwacji, no i załatwić sobie jakieś dokumenty, które umożliwiłyby mi przekroczenie tej ostatniej granicy – z Polską.



Kazimierz Głowacki

### Zorientowałeś się, że obserwuje cię wywiad PRL?

W tamtych warunkach trudno było się zorientować, kto jest kim. Dopiero dziś dowiaduję się, że mój pobyt w Londynie miał zabezpieczać ze strony SB agent Bogusław Wołoszański. W Stanach jako agentów wskazywano mi bardzo wiele osób. Niektóre fakty jednak potwierdzały dobitnie, że służby PRL-u mi towarzyszą. Przyniesiono mi któregoś dnia wydawane w Warszawie gazety, m.in. chyba „Trybunę Ludu”. Jerzy Urban komentował w niej moje wystąpienia w Stanach. Był dobrze zorientowany, przytaczał to, co mówiłem nawet w mniejszym gronie. Kiedy postanowiłem wracać, musiałem zgubić tę esbecką obstawę. Wymknąłem się z jednego z bankietów. Chyba ci, którzy mnie śledzili, byli wtedy mniej czujni. Zanosilo się, że niedługo prawdopo-

dobnie spotkam się z wiceprezydentem USA Georgem Bushem (seniorem). Zapewne nie sądzili, że zrezygnuję z takiej możliwości, by nagle wrócić do kraju. Być może, sprawiłem przykrość ludziom, z którymi byłem wtedy umówiony na spotkanie po mszy w jednym z polskich kościołów w Toronto. Umawiając się, starałem się uspić czujność agentów i zniknąć. W zgubieniu ewentualnych „ogonów” pomocny okazał się przypadek. Byłem na wielkim, zorganizowanym przez kanadyjską Polonię przyjęciu. Wtedy właśnie głośno powiedziano o tym moim zamierzonym spotkaniu z Georgem Bushem. Ja tymczasem wymknąłem się z budynku. Moi gospodarze obiecali robić mi „alibi”, mówiąc pytającym o mnie, że źle się poczułem i muszę wyzdrowieć.

**Rozumiem, że zamierzałeś jak najszybciej przekroczyć granicę Polski. Zanim dotrze sygnał, że zamierzasz wrócić, i granicę tę uszczelnia.**

Właśnie tak. Bardzo pomógł mi przyjaciel, Kazimierz Głowac-

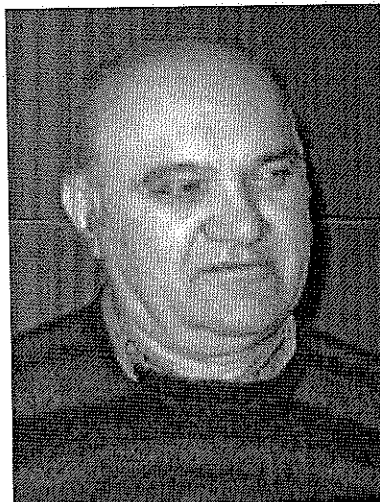


Użyczony paszport, który umożliwił Kornelowi Morawieckiemu powrót do kraju

ki. Na moją prośbę przysłał mi swój PRL-owski paszport ze Stanów, w których przebywał od pięciu lat. A że jesteśmy podobni...

### **Jak szybko dotarłeś do Europy?**

Może nie tak szybko, jak bym wtedy tego pragnął, ale dzień później byłem w Wiedniu. Okazało się, że właśnie w drodze powrotnej z Włoch w stolicy Austrii zatrzymał się mój przyjaciel Jerzy Przystawa. Miał dla mnie miejsce w samochodzie. Poczyniłem trochę zabiegów, by możliwie najbardziej upodobnić się do wizerunku z paszportu Kazia Głowackiego. Przede wszystkim trochę zmieniłem uczesanie, podczerniłem włosy. Obydwie granice przejechaliśmy bez kłopotów. Znow byłem w ojczyźnie. Kończył się sierpień 1988...



Jerzy Przystawa

## Okragły stół

**Czy Solidarność Walcząca miała orientację w tym, jakie stanowisko wobec opozycji może przeważać w komunistycznych władzach?**

Dyskusje na temat różnych frakcji w łonie reżimu były powszechne, zarówno przed, jak i po wprowadzeniu stanu wojennego. Najgorszym wariantem miało być dojście do władzy tzw. grupy Olszowskiego. Miało to oznaczać skrajnie represyjny kurs. Dywagacje tego rodzaju snuli ci, którzy liczyli na porozumienie z władzami. Stąd zastanawiali się, czy w łonie PZPR-u dojdzie do głosu opcja skłonna do kompromisu. Nas interesowało pozbawienie komunistów władzy. Traktowaliśmy to jak najbardziej serio. Oczywiście, docierały do nas wiadomości o kontaktach reżimu z częścią opozycji. Przynajmniej część tych, kierowanych przez reżim, ofert nie była tajemnicą. W 1983 r. z grupą najbardziej znanych więźniów podjęto jakąś próbę rozmów. Głównym tematem była możliwość emigracji. Urban mówił otwarcie, że *komu się w Polsce Ludowej nie podoba, tego władza ludowa nie będzie w kraju zatrzymywać*. Była to jednoznaczna deklaracja woli pozbycia się głównych przeciwników ustroju. Oferta, skierowana do wielu czołowych opozycjonistów, wiązała się z próbą podjęcia negocjacji. Zapewne wtedy jeszcze bardzo mało konkretnych. Może chcieli się ostatecznie zorientować, czy któreś z „głośnych nazwisk” nie da się wmontować w jakąś własną fasadową strukturę. Może sondowali skłonność do kompromisu, szukali jakiegoś punktu zaczepienia po stronie społeczeństwa pokonanego stanem wojennym, ale zwykle bardzo niechętnego komunistom i stawiającego odczuwalny opór. Skończyło się kategoryczną odmową dialogu, przynajmniej ze strony takich ludzi, jak Andrzej Gwiazda czy Seweryn Jaworski.

Wiadomo więc było, że władze nie wykluczały jakiegóż formy porozumienia. Dopuszczały taki wariant rozwoju sytuacji. Wszystko zdawało się zależeć od tego, jak daleko posunięty ma być ten ewentualny kompromis. Z jednej strony postrzegaliśmy to jako przejaw słabości albo realizmu władz. Zarazem było to jednak zagrożenie dla ruchu oporu, który mógłby ulec znaczącemu osłabieniu, gdyby część znanych działaczy Solidarności dała się wmontować w fasadową, strukturę.

**Sam fakt, że Solidarność została w 1981 r. zdławiona przez „Ludowe” Wojsko Polskie, krajową bezpiekę i milicję, a nie Armię Sowiecką, też dużo mówił o sytuacji.**

Oczywiście. Wydarzenia w Polsce były dużo groźniejsze dla systemu sowieckiego, niż Rewolucja Węgierska roku 1956, Praska Wiosna z 1968, nie wspominając o Afganistanie. A jednak Związek Sowiecki nie zdecydował się użyć przeciw nam własnej armii. Albo uznał, że tego nie zrobi, albo był skłonny wjechać do nas z czołgami tylko w absolutnej ostateczności.

**Być może rolę odegrało twarde stanowisko USA i w ogóle Zachodu. Z książki Zbigniewa Brzezińskiego *Cztery lata w Białym Domu* można się dowiedzieć, że w grudniu 1980 roku bardzo blisko było do interwencji, lecz ostrzeżenia płynące do Moskwy z Waszyngtonu były niewspółmiernie bardziej stanowcze od spóźnionych protestów sprzed lat, w sprawie Węgier i Czechosłowacji. Po wejście do Afganistanu Rosja też poniosła duże koszty polityczne.**

To, że wtedy nie doszło do interwencji sowieckiej, budziło jednak trochę nadziei. Oznaczało, że albo Związek Sowiecki jest na taki krok zbyt słaby politycznie, albo że w jego władzach dochodzą do głosu siły rozsądku. To ciągle oczywiście byli komuniści. Jednak nie przeważał już typ takich nawiedzonych satrapów, jak za Stalina. Bez wątpienia to, że atak na Solidarność nastąpił nie od razu, ale dopiero po szesnastu miesiącach, i że był dokonany czołgami polskimi, a nie sowieckimi, stanowiło informację, że coś się zmienia w sowieckim przywództwie. Na pewno nie sama istota reżimu, ale pojawiała się grupa potrafiąca trzeźwiej oceniać sytuację.

**Solidarność Walcząca bardzo dużo uwagi poświęcała opozycji w innych krajach bloku socjalistycznego. Zanim jeszcze powstała SW, jej późniejsi liderzy dla tej sprawy robili najwięcej. W końcu bez ciebie i bez Mikołaja Iwanowa w ogóle nie byłoby *Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej*. Twojego następcę w Solidarności Walczącej, Andrzeja Kołodzieja, zamknęli w czeskim więzieniu właśnie za to, że działalność podobną do naszej Solidarności chciał wzniecić u południowych sąsiadów. Wszystko to na długo przed zaktywizowaniem się Solidarności Polsko-Czechosłowackiej.**

Widzę, że trudno ci się pogodzić z tym, że Jacek Kuroń wyeliminował mnie z Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Może po prostu środowiska KOR-owskie uznały, że moje członkostwo w Solidarności Polsko-Czechosłowackiej narazi innych działaczy tego ruchu na zbędne represje? Może utrudniałoby tę działalność? .

**Marian Miszalski o takich wydarzeniach napisał w ten sposób: *Rozmowy tzw. lewicy laickiej z władzami komunistycznymi, jakie w latach osiemdziesiątych, w perspektywie rysujących się przemian w Europie Wschodniej prowadził Kuroń z pułkownikiem Lesiakiem, miały na celu wyeliminowanie opozycji patriotyczno-narodowej z wpływu na życie polityczne. Jeśli Miszalski ma rację, to może dążenie do wyeliminowania ciebie np. z Solidarności Polsko-Czechosłowackiej było częścią tego działania, mającego na celu marginalizację środowisk radykalnych, opozycjonistów bezkompromisowych?***



Jeśli chodzi o Solidarność Polsko-Czechosłowacką, to powtórzę raz jeszcze: stokroć ważniejsze było to, żeby taka organizacja po prostu istniała, działała. Nie było tak istotne, czy w niej jestem, czy nie.

**Jesteś zwolennikiem wyjaśnienia sprawy tajnego współpracownika SB o kryptonimie „Bolek”. Czy w latach osiemdziesiątych sprawa ta była ci znana?**

Solidarność Walcząca w Trójmieście miała w swoich szeregach ludzi związanych z Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża, czyli organizacją, w której jeszcze przed sierpniem 1980 działał m.in. Lech Wałęsa. Środowisko WZZ uważaliśmy za swoich bliskich przyjaciół – za ludzi wiarygodnych. Dzielili się oni z nami swoimi niepokojącymi spostrzeżeniami. Ale nie było wtedy konkretnych dowodów, potwierdzających podejrzenia. Nie było więc podstaw do tego, by o tym pisać. Była natomiast podstawa do pewnej ostrożności, rezerwy wobec Wałęsy. Jeśli komuniści mieli możliwość zdyskredytowania Wałęsy, to dlaczego tego nie czynili? Można to było rozumieć dwojako. Albo poszlaki, wskazujące na to, że Wałęsa był agentem, były jednak mylne, albo czerwoni nie niszczyli w sposób ostateczny autorytetu Wałęsy, bo mógł on jeszcze w przyszłości odegrać korzystną dla nich rolę. Ten drugi wariant okazał się właściwy.

**Na początku 1986 widać jednak było, że władze modyfikują swój kurs. Wprowadziły nowe rozwiązania prawne, pozwalające zamiast zamykać do więzienia – karać działalność opozycyjną konfiskatami mienia. Było to dotkliwie, ale jednak mniej ludzi szło siedzieć. Sygnałów pewnych zmian było więcej – bardziej ludzkie twarze w rządzie, ministrem kultury zamiast Żygulskiego, który wytępił niezależne organizacje twórcze, został Aleksander Krawczuk. Zaczęły się ukazywać niektóre z do niedawna zakazanych książek, w kioskach można było kupić „Res Publicę”...**

Z dzisiejszej perspektywy tę otwartość na modyfikację systemu widać wyraźniej. Wtedy jednak bardziej logiczna wydawała się inna interpretacja. Reżim pokazywał, że jest silny, zdolny do kosmetycznych liberalizacji. Jak to powiedziałeś: *do pokazania ludzkiej twarzy*. Ze strony władzy były to minimalne i bardzo ostrożne, kontrolowane ustępstwa. Wprowadzony wtedy do kodeksu paragraf, według którego skonfiskować można było samochód tylko za to, że znajdowała się w nim ulotka, był konsekwentnie wykorzystywany. Bezpieka zajmowała dziesiątki samochodów. Jeden z pierwszych został zresztą zabrany człowiekowi z naszego środowiska w Poznaniu. W dodatku auto było wyjątkowo kosztowne i nie stanowiło własności osoby, która przewoziła nim torbę z prasą podziemną. To samo zdarzyło się wtedy naszej działaczce – Basi Sarapuk. Zrobili rewizję w jej mieszkaniu, w samochodzie chyba nawet nic nie miała, ale był to najdroższy przedmiot w jej stanie posiadania, więc zabrali. W latach dziewięćdziesiątych wystąpiła o jego zwrot. Oddali po długim czasie. Był już tylko kupą złomu, ale kazali zapłacić rachunek za to, że stał na milicyjnym parkingu przez te kilka lat. Wprowadzono wtedy taką możliwość wyboru – więzienie albo rekwizycja.

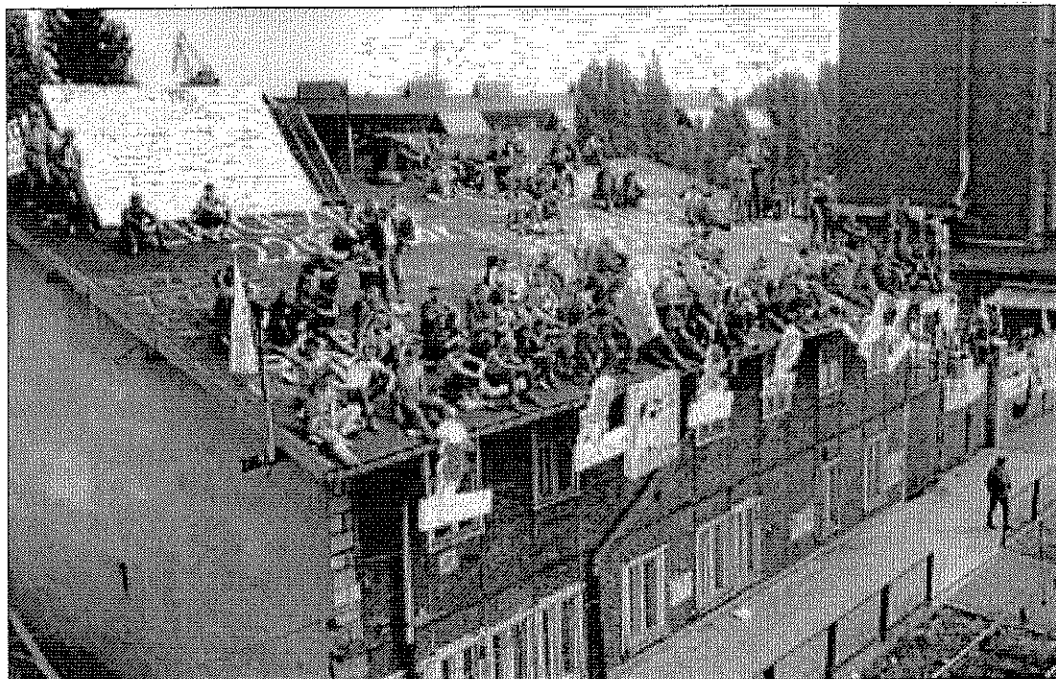
Wiem coś o tym. Miałem wtedy przetransportować powielacz z wrocławskiego Biskupina do Obornik Śląskich – grubo ponad 30 km. Nie chcieliśmy nikogo narażać na utratę samochodu, a urządzenie było zbyt wielkie, by je zmieścić do pociągu. W efekcie, zimową porą, dopchaliśmy je do Obornik na wózku.

No właśnie. Zmiany z roku 1986 niespecjalnie wyglądały na próbę otwarcia. Choć dochodziły do nas sygnały o tym, że z częścią opozycji władze zaczynają rozmawiać. Wezwanych na SB nie zastraszają. Wysocy oficerowie MSW pod adresem wybranych, znanych działaczy opozycji kierują jakieś pojednawcze oferty. Dochodziły do nas informacje, że w czasie takich rozmów padają zdania w rodzaju: *Przecież mimo wszystkich dzielących nas różnic w gruncie rzeczy chodzi nam o to samo, o dobro Polski* – z niektórymi w 1986 r. w taki sposób SB rozmawiało.

To może nie jest przypadkiem, że w archiwach IPN najtrudniej znaleźć jakiegokolwiek materiały dotyczące działalności SB po roku 1986? Nie spalono w takim stopniu tych teczek, które dotyczyły pierwszej połowy lat osiemdziesiątych, choć to w nich było więcej informacji o prześladowaniach opozycji.

Być może taka jest przyczyna. Wiele też wskazuje na to, że w drugiej połowie lat osiemdziesiątych SB pozyskała więcej agentury. To jednak zaczyna się wyjaśniać dopiero dziś. Wtedy faktem dość znamienym było dążenie do utworzenia tzw. Rady Konsultacyjnej. Nie przywiązywaliśmy jednak do tego większej wagi. Wiadomo było, że Jaruzelski nie może bez końca opierać się na czołgach. Te hasła *Kto nie jest przeciw nam – jest z nami, Front porozumienia i walki*, były głośno artykułowane jeszcze w najbardziej mrocznym okresie stanu wojennego. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych taka oferta trafiała na bardziej podatny grunt. ZOMO nie panoszyło się już tak na ulicach, rzadziej widziało się bitych pałami, zwolna zacierały się w pamięci te sceny z czołgami wjeżdżającymi do fabryk i tłumami w chmurach gazu łzawiącego. Do tego doszło duże zmęczenie społeczeństwa. Topniały podziemne struktury, coraz więcej było zmęczenia, zniechęcenia, beznadziei. To, że pojawiło się wtedy więcej form jawnej działalności, wynikało ze zmęczenia długotrwałą konspiracją. Większość ukrywających się wyszła z podziemia. To nie jest takie proste – pozostawać w ukryciu przez szereg lat. Jak już wspominałem, bardzo ważni byli dla nas młodzi ludzie, którzy przychodzili do Solidarności Walczącej z podziemia młodzieżowego, z NZS-u.

Twoje aresztowanie jesienią 1987 r., a potem także Andrzeja Kołodzieja, po czym wypchnięcie was za granicę – świadczyło o tym, że daleko wtedy było do jakiegokolwiek rzeczywistej normalizacji. Albo też o tym, że jakaś forma „normalizacji” jest właśnie wypracowywana, ale nie ma w niej miejsca dla Solidarności Walczącej. Informację o wyrzuceniu z Polski Kornela Morawieckiego i Andrzeja Kołodzieja podano wtedy, kiedy dochodziły też wiadomości o strajkach w Stalowej Woli, Nowej Hucie, Szczecinie, Gdańsku, próbach podjęcia podobnych akcji we Wrocławiu. Od razu pomyślałem wtedy: *nie chcą ich mieć teraz w kraju*.



Sierpniowy strajk roku 1988 w Stoczni Gdańskiej

W czasie uwięzienia na Rakowieckiej nie wiedziałem o tym, że wybuchły strajki. Dowiedziałem się o ich rozmiarze dopiero na Okęciu. Właśnie z tej przyczyny nie chciałem opuszczać kraju, a potem starałem się wrócić jak najszybciej.

#### **Powróciłeś w końcu sierpnia 1988.**

W ostatni sierpniowy piątek byłem już w Polsce. Akurat tego dnia Wałęsa, po rozmowie z Kiszczakiem, zaapelował o zakończenie strajku. Radio podawało, że górnicy z kopalń Górnego Śląska posłuchali wezwania i przystąpili do pracy. We Wrocławiu zamieszkałem u Igi i Jasia Jerzmańskich. To było pierwsze moje miejsce ukrywania się po powrocie do kraju.

Pamiętam informację o twoim powrocie. Lotem błyskawicy rozeszła się po Wrocławiu. Każdy, kogo spotkałem, związany z Solidarnością Walczącą czy nie, zaczynał rozmowę od zdania: *Wiesz, podobno Morawiecki wrócił do kraju*. Jednym z tych, którzy dzielili się wtedy ze mną tą wiadomością, był „Major” – Waldemar Fydrych. Pamiętam, że powiedział: *Dobrze, że wrócił. Kornel to niesamowity gość*. Słyszałem też rozmowy na ten temat w tramwaju i w kolejce przed sklepem. Równocześnie pojawiły się też plotki dementujące te informacje. Któregoś dnia na murach zobaczyłem odbite z szablonów piktogramy. Składały się z zarysów granic Polski z napisem w środku *Kornel, witaj!* Były w wielu miejscach. Wreszcie potwierdzenie informacji pojawiło się w pierwszych wrześniowych gazetkach Solidarności Walczącej.

Wtedy było już jasne, że wydarzenia nabierają tempa i zmierzamy, jeśli nie do przełomu, to w każdym bądź razie do jakichś zmian. W 1986 r. informację taką otrzymał prof. Kukołowicz. Pochodziła od samego Kiszczaka, który przekazywał opozycji informację o możliwości zawarcia kompromisu. Wtedy też zaczęto konstruować Radę Konsultacyjną przy Przewodniczącym Rady Państwa, zaczęły ukazywać się książki i czasopisma, jeszcze rok wcześniej nie mające szans na istnienie poza drugim obiegiem. Tak jakby mały wentyl bezpieczeństwa w tę totalitarną strukturę zaczynano wkręcać. Płynęły jednak sygnały, że możliwe są kroki dalej idące. Wyglądało na to, że na szczytach władz narastał strach przed przyszłym społecznym wybuchem. Myśleli nad rozbrojeniem tej tykającej bomby. Pragnęli podzielić się odpowiedzialnością za katastrofę, w stronę której nieuchronnie zmierzali. Na przełomie 1987 i 88 roku, krótko po naszym aresztowaniu, zatrzymali Andrzeja Zaracha. Wiedzieli, że jest z Solidarności Walczącej i jest jednym z ważnych mózgów organizacji. On, oczywiście, zawsze przed nimi zaprzeczał, że ma związki z SW. Człowiek, który przedstawił mu się jako oficer kontrwywiadu wojskowego, stwierdził, że nie będą go przesłuchiwać i żeby to on ich uważnie posłuchał. Mówił, że krystalizuje się jakaś nowa koncepcja rozwiązania polskich problemów i że może dojść do dużych zmian. Stwierdził, że nie są wykluczone rozmowy władz z Solidarnością. I że jeżeli Solidarność Walcząca wykreśli ze swojego programu wszystko, co dotyczy Związku Sowieckiego i przestanie deklorować tak jednoznaczny antykomunizm, to będzie mogła uczestniczyć w planowanych negocjacjach. Mniej więcej w tym samym czasie podobną ofertę złożono Wojtkowi Myśleckiemu. Otwarcie mówili im, że wkrótce, być może, będzie możliwość działania zakazanych dotąd organizacji społecznych i że ruszą prawdziwe reformy wolnorynkowe. Z Wojtkiem Myśleckim zresztą w taki sposób rozmawiano nie po raz pierwszy.

### **Nie po raz pierwszy?**

Jakiś rok przed moim aresztowaniem, chyba w 1986 r., Myślecki został zatrzymany przez SB. W takich sytuacjach zawsze odmawiał jakichkolwiek zeznań. Ale oni nie chcieli go wtedy przesłuchiwać. Na rozmowę z nim przyszedł sam komendant wrocławskiej SB i zachowywał się bardzo grzecznie. Z tego, co mówił, wynikało, że chciał przekazać pewną, co prawda, dość ogólną informację, która miała jednak zasadnicze znaczenie. Twierdził, że w przyszłości będzie możliwość zawarcia kompromisu między władzą a opozycją, nawet tą radykalną. Wojtek odebrał to wtedy jako wstępną propozycję. Miał to być sygnał, że powinniśmy to przemyśleć, liczyć się z taką ewentualnością. Może – dojrzewać do takiej opcji i jakoś do niej dopasować swój program. To wyglądało tak, jakby oni nie mieli jeszcze sprecyzowanej wizji, ale zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że inaczej być nie może, że porozumienie może być ich ostatnim ratunkiem. Albo też, że ani nie dadzą rady postawić gospodarki na nogi, ani zniszczyć podziemia. Zaczęli więc myśleć o podzieleniu się władzą, by pozbyć się odpowiedzialności. W każdym razie szukali jakiegoś pola manewru. Widzieli, że sytuacja ich przerasta, zaczęli się rozglądać za jakimś rozwiązaniem.

**Zaczęli sobie zdawać sprawę, że sytuacja ekonomiczna jest coraz bardziej beznadziejna. Doszli do wniosku, że nie mają żadnych szans na jej**

**poprawę, jeśli nie pozyskają sił mających rzeczywiste społeczne zaufanie. W prasie SW pisało się wtedy, że nie mamy już do czynienia z kryzysem, lecz depresją ekonomiczną. W systemie kapitalistycznym, w którym naturalną rzeczą jest cykl koniunkturalny, pojawiłaby się wtedy faza ożywienia. W komunizmie nie ma cyklu koniunkturalnego, czyli po depresji nastąpić musiał ostateczny rozkład, dekapitalizacja, ostateczne załamanie... Prawdopodobnie pod koniec lat osiemdziesiątych władze PRL-u były coraz bardziej przerażone widmem takiej nędzy, która nie pozwoli jej nawet utrzymać komunistycznego aparatu represji.**

Obawiali się, że jak wzbierze kolejna fala wystąpień, nic jej nie będzie w stanie zatrzymać. Woleli uprzedzić wypadki. Tymczasem charakter majowych i sierpniowych zdarzeń był tyleż obiecujący, co budzący niepokój. Strajki miały mały zasięg. Ale te z sierpnia były jednak poważniejsze od tych z przełomu kwietnia i maja. Można się było spodziewać, że kolejna fala będzie jeszcze silniejsza. Zapewne z tego założenia wychodziły władze, proponując rozmowy. Było jasne, że w przypadku negocjacji bez presji strajkowej pozycja Solidarności jest znacznie słabsza. Dodatkowo formuła „okrągłego stołu”, której idea pojawiła się we wcześniejszych wypowiedziach Geremka i w oświadczeniu Kiszczaka z sierpnia 1988, wzbudzała moją rezerwę. Przy „okrągłym stole” zasiada się po to, by osiągnąć zbliżenie stanowisk. Raczej nie po to, by dokonać rzeczywistych, ustrojowych zmian.

**Jednak „okrągły stół” wzbudził nadzieję także w ludziach Solidarności Walczącej.**

W SW pojawiły się różne stanowiska wobec okrągłego stołu. Oprócz takiego jak moje, czyli przeciwnego zgnilemu kompromisowi z komunistami, było sporo głosów za rozmowami. Często pojawiał się argument, że „okrągły stół” może być etapem. Kiedy zaczęto mówić o wyborach do sejmu „kontraktowego”, nierzadkie było także w naszej organizacji stanowisko takie, jakie wyraził kiedyś chyba Jacek Szymanderski. Powiedział wtedy, że *te pierwsze wybory będą jakby nadeptaniem na ogon komunistycznej poczwary, ale to nadeptanie ogona nie będzie bynajmniej ostatnim. Potem kroczyć będziemy konsekwentnie tak długo, aż tej poczwarze rozdeptemy łeb*. Taki argument przemawiał do wielu ludzi z SW. Niektóre nasze drukarnie powielaly materiały wyborcze dla kandydatów strony „solidarnościowej”. Z jednej strony ludzie Solidarności Walczącej sprzeciwiali się kompromisowi zawartemu przy okrągłym stole, ale z drugiej – starali się poprzeć tę „konstruktywną opozycję”, skoro kompromis został już zawarty. W czerwcowych wyborach kandydowało wielu porządnych ludzi.

**Organizacja nie była jednak całkowicie pominięta w kalkulacjach kreatorów okrągłego stołu. Pod adresem Solidarności Walczącej też kierowano oferty włączenia się w „okrągłostołową” transformację.**

W 1988 r. pozostawaliśmy nadal organizacją podziemną, ale mieliśmy jawnych przedstawicieli. Jednym z nich był Wojciech Myślecki. Późną jesienią został wydelegowany na spotkanie z KOR-owską konstruktywną opozycją. Odbyło się ono przy kościele na Solcu w Warszawie. Mediatorem był Leszek Moczulski, który próbował przekonać nas do wejścia w „okrągły stół”. Wojtek wraz z Romkiem Szeremietie-



Pełny luz, przyjazna atmosfera. Opozycja konstruktywna „negocjuje” w Magdalence z komunistyczną władzą...

wem i przedstawicielem Liberalno-Demokratycznej Partii Niepodległość ostentacyjnie nie przyjęli oferty.

### **Były to jakieś sprecyzowane propozycje?**

Rada Solidarności Walczącej i ja sam postanowiliśmy, że nie wejdziemy w te negocjacje z komunistami, nie poprzemy ich. Przeważało przekonanie, że z zarysowującego się kształtu ugody raczej nic dobrego nie powstanie. Dominowała obawa o to, że Solidarność, która przeżyła najcięższe lata nie tracąc moralnego kręgosłupa, teraz może zostać sponiewierana. Obawialiśmy się, że to się skończy moralnym chaosem, zaprzecaniem się części przywódców.

Były też jednak inne opinie. Wskazujące na to, że „okrągły stół” to szansa.

### **Dochodziło do sporów w przywódczych ciałach Solidarności Walczącej?**

Pewna część Rady przychyliła się do tego, by w ten proces się włączyć. Padły argumenty, że nasz sprzeciw postawi nas w opozycji wobec części naszych przyjaciół, że teraz te solidarnościowe środowiska, którym na przekór wszystkim działaniom reżimu udawało się trzymać razem, ulegną głębokim podziałom. Pamiętam, że za wejściem w ten proces opowiadali się bliscy mi ludzie z Rady – Zbyszek Oziewicz, Marysia Koziębrodzka, Paweł Falicki. Michał Gabryel też chyba przychylił

się ku takiemu stanowisku. Dość podobnie wypowiadał się też Jan Pawłowski – nieżyjący już, zasłużony współtwórca organizacji. Ich zdaniem nasza obecność w tych wydarzeniach spowodowałaby większy nacisk na stronę komunistyczną, zapobiegłaby ewentualności zawarcia kapitulanicznego kompromisu. W Radzie SW głosy w tej sprawie rozkładały się prawie po połowie. Bardziej radykalne stanowisko przeważało w Komitecie Wykonawczym. Maciej Frankiewicz i Wojtek Myślecki uważali, że nie powinniśmy się przyłączać do dokonującej się wówczas transformacji, lecz stanowić zewnętrzną grupę nacisku. Ja byłem zdania, że jeśli nawet pokładamy jakieś nadzieje w „okragłym stole”, to większą presję, większy wpływ na poziom zawartej ugody wywrze fakt naszej tam nieobecności.

**Czyli – żeby przy „okragłym stole” było jasne, że są siły polityczne znacznie bardziej radykalne, które nie zaakceptują zbyt daleko posuniętego kompromisu. Stronie „solidarnościowej” musiało to dawać do zrozumienia, że jeśli wynegocjuje zbyt mało, może stracić poparcie na korzyść SW. Dla komunistów też nie byłby to wariant atrakcyjny, skłaniać więc musiał do ustępstw, do dogadania się z „drużyną Wałęsy”.**

Przyjęliśmy postawę kontestacji, co w konsekwencji sprawiło, że skupieni przy „okragłym stole” musieli dogadać się na takim poziomie, żeby nam odebrać argumenty. Uważałem, że będzie lepiej, jeśli oni będą czuć na plecach ten oddech Solidarności Walczącej, jeśli nawet niekojarzonej z poparciem masowym, to z jakąś siłą wybuchową, która może zostać uruchomiona, jeśli Solidarność przy „okragłym stole” uzyska zbyt mało.

**Na pewno nie. Dominujące media w ostatnich kilkunastu latach dużo zrobiły, by o roli Solidarności Walczącej zapomniano. Przypomnijmy jednak, ile razy w latach osiemdziesiątych wypowiadał się o niej Kiszczak, który zresztą pisał o SW także w swojej książce. W wypowiedziach ludzi reżimu organizacja pojawiała się często. Świadomość istnienia takiej groźnej siły musiała więc im stale towarzyszyć. Nawet w mowie jednego z adwokatów na procesie zabójców księdza Popiełuszki pojawił się rozbudowany wątek o tym, jaka to straszliwa podziemna organizacja, Solidarność Walcząca, w Polsce działa. W lutym 1989 r. w sali Balcera Uniwersytetu Wrocławskiego było wielkie spotkanie z Lechem Wałęsą. Rozkolportowałem na nim twój artykuł pt. *Kanty okragłego stołu* (który zresztą dzień wcześniej specjalnie na tę okazję w dużej ilości drukowałem z Krzyśkiem Zwierzem i Andrzejem Sztylerem). Następnego dnia wszystkie gazety zamieściły relacje z tego spotkania i żadna nie pominęła także tego twojego artykułu. W „Trybunie Ludu”, „Gazecie Robotniczej”, „Słowie Polskim” pisano, że *na spotkaniu dał o sobie znać i inny scenariusz...* Przynajmniej jeden akapit w relacjach poświęcano zagrożeniu, jakie dla rodzącego się ładu stanowi Kornel Morawiecki i Solidarność Walcząca.**

Takie nasze stanowisko było słuszne i odegrało pozytywną rolę. Nie sposób tego naszego wpływu wymiennie oszacować, ale on bez wątpienia był, i to zapewne znaczący. Przypuszczam, że gdyby nas nie było lub gdybyśmy zachowali się wtedy inaczej – osiągnięcia strony „solidarnościowej” przy „okragłym stole” byłyby mniejsze. Wcześniej jednak doszło do wydarzeń budzących nasz niepokój, zwiększających

naszą rezerwę. Mam na myśli, oczywiście, rozmowy w Magdalence. Negocjacje *de facto* tajne, o treści których „ludzie Solidarności” w ogóle nie informowali ani społeczeństwa, ani członków związku...

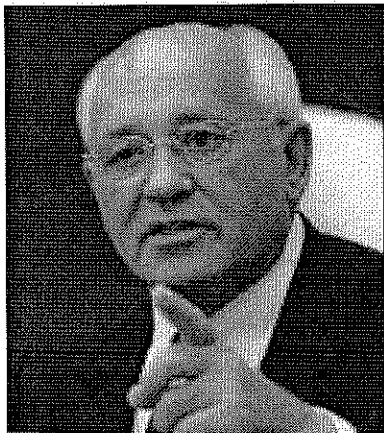
**Jak zinterpretowałbyś tę całą sytuację, związaną z dojściem do „okrągłostołowego” porozumienia. To, co było niemożliwe na początku lat osiemdziesiątych, okazywało się realne pod koniec dekady. Czy było to wynikiem totalnej, beznadziejnej zapaści gospodarczej, do jakiej doprowadził kraj reżim Jaruzelskiego, czy może obawy o to, że kolejna eksplozja niezadowolenia społecznego rozniesie komunistyczną nomenklaturę na strzępy? A może decydującą rolę odgrywały procesy, zachodzące wtedy na Wschodzie?**

Prawdopodobnie swoją rolę miały wszystkie te czynniki. Po kilku latach rządzenia reżim Jaruzelskiego musiał ostatecznie zdać sobie sprawę z tego, że sytuacja ekonomiczna będzie już tylko i wyłącznie coraz gorsza. Jasne było, że wszystkie te „reformy gospodarcze” to tylko fikcja, z której nic pozytywnego nie może wynikać. Dla prawdziwych reform konieczne były kolejne, dobrowolne wyrzeczenia i duże zaufanie społeczne. PZPR nie mógł już liczyć na odrobinę ani jednego, ani drugiego. W Moskwie rządził już Gorbaczow, zapewne mniej skłonny do „bratniej pomocy”, niż Czernienko czy Breżniew. Afganistan stwarzał wystarczająco dużo kłopotów. Co zrobiłby Jaruzelski, gdyby wybuchła fala strajków na miarę tej z roku 1980? Znowu ogłosiłby stan wojenny? W grudniu 1981 odniósł sukces w znacznej mierze dzięki psychologicznemu efektowi, jakim był pomysł powołania WRON-y, wyprowadzenia czołgów na ulice i wprowadzenia prawa wojennego. Za drugim razem krok ten na pewno nie byłby już równie skuteczny.

**Pamiętam, że w czasie strajków wiosną 1988 r. BBC podało wiadomość, według której Gorbaczow miał się zwrócić do Jaruzelskiego z sugestią, by nie rozwiązywać tego konfliktu przemocą. Nie wiem, na jakich źródłach oparte były te informacje. O ile pamiętam, redakcja powoływała się na tajemnicze „źródła zbliżone do Kremla”. Przypomnijmy, że wtedy ZOMO zaatakowało strajkujących w Nowej Hucie. Może w Moskwie zdawano sobie sprawę z pogłębiającego się w Polsce kryzysu, narastającego napięcia i obawiano się wielkiego, społecznego wybuchu?**

Póki tajemnicą dla nas będą archiwa Kremla, skazani będziemy na domysły. Z dużym stopniem prawdopodobieństwa można jednak domyślić się tego, jak w Moskwie wówczas postrzegano sytuację. Afganistan okazał się dużo większym kłopotem, niż ktokolwiek mógł wcześniej przypuszczać. Komunistyczny system gospodarczy coraz bardziej wykazywał swoją niewydolność. Od kilku lat Reagan narzucał tempo wyścigu zbrojeń, w czym Związek Sowiecki zaczął odstawać. Ameryka w coraz większym stopniu wyprzedzała Rosję ekonomicznie, a do tego jeszcze pogłębiał się i rozziw technologiczny. Na program tzw. gwiazdnych wojen Rosjanie nie byli już w stanie odpowiedzieć. Jak wcześniej zauważyliśmy, nawet za Breżniewa, w 1981 r. Związek Sowiecki nie posunął się do inwazji na Polskę. Tym bardziej nie chciał tego Gorbaczow, który znacznie trzeźwiej oceniał sytuację. Cokolwiek powiedzieć, trzeba oddać sprawiedliwość rządzącym wtedy w Moskwie. W latach osiemdziesiątych obawialiśmy się tego, jak Sowieci zareagują, kiedy zorientują się, że Sta-





Michail Gorbaczow

ny zdecydowanie wyprzedzają ich pod względem wyścigu zbrojeń. Ten moment mógł być niebezpieczny. Kreml mógł dojść do wniosku, że bez konfrontacji militarnej nie utrzyma swojej supermocarstwowej pozycji i straci wpływy w krajach satelickich. W momencie, w którym ostatnim wielkim atutem pozostałyby rakiety z głowicami nuklearnymi, mogła się pojawić pokusa ich uruchomienia. Z dużą dozą prawdopodobieństwa wiemy dziś, że od kiedy Związek Sowiecki miał broń jądrową, przynajmniej kilka razy byliśmy blisko tragedii. Nikt nie nacisnął na ten atomowy guzik. Należy to docenić. Jednak przywódców sowieckich nie zawiódł ludzki instynkt samozachowawczy, nawet w momencie groźby rozpadu imperium.

**Niektórzy oceniają „okragły stół” jednoznacznie – jako porozumienie komunistów z własną, dobrze zainstalowaną w strukturach Solidarności agenturą. Jaka jest twoja opinia na ten temat?**

Jest oczywiste, że spora część „solidarnościowej” strony „okragłego stołu” składała się z agentów. Wiemy dziś, że niektórzy z tych, których wtedy uważaliśmy za „naszych”, od lat funkcjonowali jako TW – tajni współpracownicy bezpieki. W dużej więc części to, co działo się przy „okragłym stole”, było odgrywanym spektaklem. Przed kamerami i w blasku fleszy czerwoni „dogadywali się” z własną agenturą. Podpisywano ustalenia, napisane wcześniej w KC PZPR. Ale nie dotyczy to całości obrad i wszystkich ludzi „solidarnościowej” strony. Znalazło się tam też wielu uczciwych ludzi, mających szczerą intencję doprowadzenia do rzeczywistych zmian. A może nawet istotnych zmian pragnęli niektórzy ich negocjatorzy i agenci? W sumie, wraz z naciskiem społecznym, który wymusił kolejne ustępstwa, sprawy zaczęły się toczyć w dobrym kierunku. W czerwcowych wyborach do „kontraktowego” parlamentu Solidarność zdobyła niemal wszystko, co mogła zdobyć. I wtedy zaczęło wychodzić to, co w tym „okragłym stole” było najgorsze. Ludzie występujący jako przedstawiciele Solidarności znacznie większą lojalność wykazywali wobec komunistów, niż wobec społeczeństwa. Wolą wyborców było wyeliminowanie komunistycznych kandydatów z listy krajowej, ale to oznaczałoby naruszenie przewagi PZPR w „kontraktowym” sejmie. Geremek natychmiast pospieszył więc



Demonstracja SW w Warszawie



Demonstracja SW w Poznaniu

z oświadczeniem, że Solidarność pozwala na ponowne ułożenie listy krajowej i kandydowanie w drugiej turze tak, żeby broni Boże PZPR nie stracił kontroli nad sytuacją. Stało się to wbrew wielu kandydatom Solidarności, którzy w swoich kampaniach wyborczych zachęcali do skreślenia całej listy krajowej (niestety do głosowania na tę listę zachęcał sam Lech Wałęsa). Potem wyszła sprawa Jaruzelskiego, który został wybrany na prezydenta również głosami ludzi Solidarności. Znow okazało się, że realizowane są jakieś ustalenia, które dla społeczeństwa były tajemnicą. Kiedy powstał rząd Mazowieckiego, długo nie potrafił zlikwidować cenzury. Przeciw jej likwidacji przy „okrągłym stole” wypowiadał się np. Stanisław Stomma. Za to zaczęły płonąć archiwa bezpieki.

**Jan Maria Rokita twierdzi, że interweniował u Premiera Tadeusza Mazowieckiego w sprawie masowego niszczenia archiwów Służby Bezpieczeństwa. Mazowiecki poradził mu: *Niech się pan z tym zwróci do Czesława Kiszczaka. On na pewno będzie wiedział, co z tym zrobić.***

No właśnie. To już była jawna drwina. Dodajmy do tego, że rok 1989 to także masowe uwłaszczanie się nomenklatury i wykwit szeregu afer. Cały sektor bankowy znalazł się w rękach wywiadu wojskowego i partyjnej nomenklatury. Przypomnijmy choćby historię Banku Inicjatyw Gospodarczych. Kilku towarzyszy, prawie bez kapitału, za to z namaszczeniem władz, założyło bank, do którego inni towarzysze, zarządzający największymi w Polsce przedsiębiorstwami, zaczęli przenosić rachunki bankowe państwowych firm. I tym prostym sposobem, kosztem państwa, wyrastały wielkie fortuny. Wszystko w zgodzie z uchwalonym wcześniej „prawem”.

## Okragły stół

Spółczeństwu kazano zaciskać pasa, komunistom zezwolono na grabienie narodowego majątku. Ostoją nomenklaturowych wpływów, wielkich ciemnych interesów, a nawet sowieckiej agentury, były wojskowe służby specjalne, których nawet nie tknięto. I dziwiono się, że mamy megaaferę i zorganizowaną przestępczość, powiązaną z elitami władzy. To wtedy wypływały strumienie pieniędzy z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Kiedy młodzież akademicka domagała się przekazania gmachu wrocławskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR na potrzeby Uniwersytetu, Jacek Kuroń i Aleksander Hall mówili o wysłaniu przeciw nim milicji. O ofiary stanu wojennego nikt się nie zatroszczył, a funkcjonariusze nomenklatury i bezpieczeństwa otrzymywali wysokie odprawy i emerytury kilkakrotnie wyższe od średniej krajowej. Taka Rzeczpospolita zaczęła się wylaniać po „okrągłym stole”...

## Oni i my



**O Polakach można powiedzieć, że to „naród z resztek”. Większość tych najlepszych z nas nie przeżyła ostatniej wojny. Bardzo niewiele krajów w tak potwornym stopniu zostało pozbawionych swej warstwy przywódczej. Z pustki uczynionej w Katyniu, Palmirach czy na barykadach Powstania Warszawskiego do dziś korzystają uzurpatorzy, przekonani o swoim powołaniu do przewodzenia Polakom, a w istocie nie mający do tego przede wszystkim moralnych kwalifikacji. Z twoich wypowiedzi jednak wynika, że miałeś szczęście spotkać wyjątkowo wielu ludzi naprawdę wspaniałych.**

Masz rację i w jednym, i w drugim. Większość tych najlepszych nie przeżyła wojny i nie zostawiła potomków. W jednej ze swoich książek przejmująco pisała o tym Anna Strońska. Długo przebywała w wielu krajach Europy i po każdym powrocie do Polski nadal rzucał się jej w oczy tak dawny, a wciąż bolesny i aktualny ubytek tych, którzy stanowili tę świadomą, w znacznej mierze inteligentną, przywódczą część społeczeństwa. Jesteśmy „narodem z resztek” i prawdą też jest, że mimo to spotkałem w życiu wyjątkowo wiele świetnych postaci. Brak tych, których nam zabrali okupanci, był bardzo bolesnie odczuwalny przez dziesiątki lat. Potem te luki jakby się pozapełniały, ale czy zawsze tymi, którymi powinny?

**Marek A. Nowicki z Komitetu Helsińskiego przyznał kiedyś wprost: *Ujawnienie list konfidentów mogłoby pozbawić Polskę elit politycznych.***

Jeśli tak jest, to nie znaczyłoby, że zostalibyśmy tych elit pozbawieni, lecz że w ogóle ich nie mamy. Trzeba by stworzyć jakieś nowe słowa na określenie tych, którzy zajmują uprzywilejowane pozycje czy to polityczne, czy medialne. Przecież jeśli ktoś zgodził się być tajnym współpracownikiem SB czy innych PRL-owskich służb specjalnych, to tym samym wykluczył się z grona, mogącego uchodzić za elitę. Ktoś, kto za paszport, pieniądze, stanowisko, za cokolwiek godził się na szkoderie innym, udowodnił, że bez ekspiacji nie ma moralnego prawa pełnić jakichkolwiek funkcji publicznych. Przypuszczam jednak, że nie jest w Polsce pod tym względem aż tak źle. Dzięki pracom księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego wiemy, że ko-

munistom, pomimo ogromnych wysiłków, udało się złamać ledwie dziesięć procent księży. Stosując najpodlejsze metody, specjaliści od werbunku próbowali sponiewierać każdego i udawało im się to tylko w jednym przypadku na dziesięć!

**Bezpieka miała setki tysięcy agentów, często rozlokowanych w kluczowych miejscach, w tym także wśród liderów opozycji, a jednak sukcesem mógł się zakończyć np. Sierpień 1980.**

Kiedy myślę o fenomenie Sierpnia, to dochodzę czasem do wniosku, że istnienie agentury paradoksalnie mogło przyczynić się do tego sukcesu. Powstanie Solidarności oznaczało przecież wyrwanie dużej części życia społecznego spod kontroli komunistycznego państwa. Było do przewidzenia, że następstwem zgody na wolne związki zawodowe najprawdopodobniej będzie postępujący rozkład systemu. A jednak się zgodzili. Oczywiście, pod wielkim naciskiem strajkowym, ale przecież była to zgoda na radykalne ograniczenie własnych prerogatyw. Czerwoni nie byli głupi, umieli przewidywać oczywiste następstwa. Wiemy dziś, że wśród przywódców tego wielkiego, sierpniowego zrywu byli ludzie drugiej strony. Można więc sądzić, że komuniści zdecydowali się na podpisanie porozumień, gdyż uznali, że mają dostatecznie wielu swoich wśród przywódców tworzącego się związku. Uznali, że potrafią tymi swoimi agentami Solidarność w dostatecznym stopniu kontrolować.

**Czyli, gdyby w komitetach strajkowych nie było agentów, władze nie podpisałyby porozumień?**

To tylko hipoteza. Ani nie jestem jasnowidzem, ani nie znam protokołów tajnych obrad KC PZPR z Sierpnia 1980. Taka interpretacja wydaje mi się jednak logiczna. Myślę, że oni zgodzili się na Solidarność nie tylko z powodu potęgi sierpniowego zrywu, ale i w wyniku przekonania, że będą potrafili utrzymać kontrolę nad nowymi związkami. Przypuszczam, że gdyby nie mieli takiego przeświadczenia, zdecydowałiby się już latem 1980 roku na stłumienie rodzącego się ruchu. Zatakowałiby mimo rozmiarów fali strajkowej. SB i inne służby specjalne miały dostatecznie wielu prowokatorów, żeby tę wspaniałą atmosferę Sierpnia przekształcić w wielką burdę. Z Grudnia 1970 pamiętamy np. tzw. dziewczynkę z zapalnikami, która podpaliła kilka magazynów i zbiorników z paliwami. Takich samych SB mogła wypuścić w Sierpniu, po czym ogłosić, że bez użycia czołgów nie sposób przerwać tej tragedii. To wiązałoby się, oczywiście, z ryzykiem dużej destabilizacji kraju. Widać – doszli do wniosku, że lepszy będzie wariant „pokojowy”. Czyli: „niech sobie myślą, że mają niezależny związek, a i tak dostateczna część jego liderów będzie naszymi marionetkami”.

**No, ale się przeliczyli.**

Przeliczyli się bardzo. Wydarzenia, jakie ruszyły po Sierpniu 1980 r., są dowodem na to, że z agenturą można wygrać. Powtórzmy, bo powinniśmy o tym pamiętać także dzisiaj: można wygrać! Nad tą lawiną aktywności społecznej, jaka ruszyła po Sierpniu, nie potrafiła już zapanować żadna agentura. Takiej erupcji społecznej aktywności, jaka wybuchła wraz z powstaniem Solidarności, nie spodziewał się nikt, łącznie z bezpieczką. Robiła, co mogła, ale nie była w stanie. Nie dała rady. Po paru

miesiącach zmagani komuniści doszli do wniosku, że jedynym sposobem jest wypowiedzenie wojny całemu narodowi. I to nie było jakiej. Przygotowywali ją ponad rok, by zaatakować dopiero 13 grudnia.

**Ilu aktywnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa było delegatami na pierwszy zjazd Solidarności?**

W miarę ujawniania materiałów ich liczba okazuje się coraz większa.. Mniejsza o nią – bardzo wielu. Co najmniej kilkudziesięciu. Dwoili się i troili i, niestety, sporo uzyskali.

**Późną jesienią 1981 r. na zamkniętych obradach najściślejszego grona przywódców Solidarności, wśród debatujących był też ubek, który nagrał te rozmowy. Kilka dni później dziesiątki razy odtwarzano je na antenie radia i telewizji. Materiał ten posłużył za jeden z koronnych argumentów za wprowadzeniem stanu wojennego.**

Ten przykład też przemawia za tym, że agentura może być silna, ale jeśli społeczeństwo jest dostatecznie prężne, to nie jest ona wszechpotężna. Nad Solidarnością esbecji nie udało się zapanować. Tajni współpracownicy pomagali jedynie w tym, by Solidarność łatwiej było zmiążdżyć czołgami i oddziałami ZOMO.

**Agentura nie była wszechpotężna chociaż, jak dziś się dowiadujemy, środki pozostające w jej dyspozycji nawet w najbardziej chudych latach, były olbrzymie. Nigdy po wojnie opozycja nie była tak słaba, jak w czasach Gomułki. Poziom życia był bardzo niski, zarabiano się po 20 dolarów miesięcznie. I w tym samym czasie SB kupowała wyjątkowo drogie kamery, z których każda kosztowała po kilkanaście tysięcy dolarów. Bezpieka potrafiła też na ogromną skalę prowadzić dyskretną cenzurę korespondencji. Wszystko wskazuje na to, że nawet w najspokojniejszych czasach ubecy byli w stanie czytać miliony listów rocznie. Inny przykład: w archiwach IPN zachowały się teczki dotyczące byłych żołnierzy AK okręgu wileńskiego. Pochodzące z drugiej połowy lat pięćdziesiątych dokumenty dowodzą tego, że w tym czasie bezpieka gromadziła niesłychanie precyzyjne informacje na temat działalności tych ludzi w okresie po 17 września 1939 r. Teczki wypełniano takimi szczegółami, jak hasła i sygnały, używane 20 lat wcześniej na ziemiach dawno utraconych na rzecz ZSRS. Po co to robiono, jeśli nie po to, by mieć czym zrobić wrażenie na prześladowanych, których dzięki temu można było przekonać, że wie się o nich absolutnie wszystko. Można by wymienić jeszcze całe mnóstwo przykładów świadczących o tym, jak monstrualnych rozmiarów aparatem była bezpieka w najbardziej stabilnym okresie PRL-u. A do jakich rozmiarów rozrosła się w latach osiemdziesiątych, kiedy w naszym kraju doszło do największych antyustrojowych działań w dziejach komunizmu?**

Wiemy, że po Sierpniu 1980 kadry Służby Bezpieczeństwa zostały znacznie powiększone i ogromnie rozrosła się też agentura. Sami spotykaliśmy się z sytuacjami, w których SB budowała własne struktury, podające się za organizacje opo-



Przez tubę przemawia Seweryn Jaworski

dziewiętnastu województw. Tak, jakby nie wiedzieli o gazetkach SW wydawanych w jeszcze co najmniej kilku województwach. Materiał SB, napisany w kwietniu 1990 roku, liczył paręset stron i zawierał całe mnóstwo informacji fałszywych, zdradzających słabą wiedzę bezpieki o naszej organizacji. Jak już wcześniej mówiłem, esbecja nie znała ani składu Rady Solidarności Walczącej, ani jej Komitetu Wykonawczego. Opisy niektórych naszych struktur przypominają mgliste hipotezy, które tylko w niewielkiej części mają związek ze stanem rzeczywistym. Autor tego podsumowującego raportu informuje, że do SW udało się wprowadzić kilkunastu tajnych współpracowników. Trudno się domyślić, w jakiej części organizacji działali. Żadna część Solidarności Walczącej nie została w tym ubeckim materiale dostatecznie dobrze opisana. Jeden z rozdziałów zawiera spis naszych członków, których SB starała się rozpracować. Składa się z około stu nazwisk, każde opatrzone zostało kryptonimem...

**...Kornel Morawiecki dostał w tym dokumencie kryptonim „Harcercz”, a np. Krzysztof Zwierz – „Kierowca”. I faktycznie – Krzysiek miał samochód, należący faktycznie do organizacji...**

Przynajmniej jedną z ról Krzyśka udało im się ustalić precyzyjnie. Jednak w przypadku wielu innych osób ustalenia są całkowicie błędne. Na liście tej znalazły się nawet osoby nie mające jakiegokolwiek związku z naszą organizacją. Niezangażowana w żadną podziemną robotę kuzynka jednej z naszych działaczek została określona jako „łączniczka”. A ta pani tylko parę razy w latach osiemdziesiątych odwiedziła Wrocław, przyjeżdżając bodaj z Białegostoku. Obserwującym dom naszej konspiratorki wystarczyło to jednak do wyciągnięcia bardzo daleko idących wniosków. Adam Weiss, który był, co najwyżej, sympatykiem SW (znał Lazarowicza) i nigdy nie działał w naszych strukturach, był przez bezpiekę uznany za członka kierownictwa naszej organizacji i wręcz zmuszony do emigracji!

**Kilkunastu agentów w organizacji, liczącej parę tysięcy ludzi, to osiągnięcie raczej skromne.. A czy wiadomo, kto stanowił te ubeckie wtyczki?**

Trochę się możemy domyślać. Jak już wspominałem, do największych aresztowań w naszych strukturach doszło nie w wyniku działania TW, lecz załamania się człowieka, który zbyt wiele wiedział. Nie wytrzymał przesłuchań. Jednak nie był

zycyjne. Kiedy jednak w IPN zapoznawałem się ze sporządzonym przez SB raportem, zamykającym działania operacyjne przeciw Solidarności Walczącej, zdumiony byłem marnością ich wyników. Podobnie było zresztą z wcześniejszym sprawozdaniem SB na nasz temat, pochodzącym z czerwca 1986 roku. Według SB Solidarność Walcząca składała się wtedy z 47 grup, liczących w sumie około tysiąca ludzi i działających na terenie

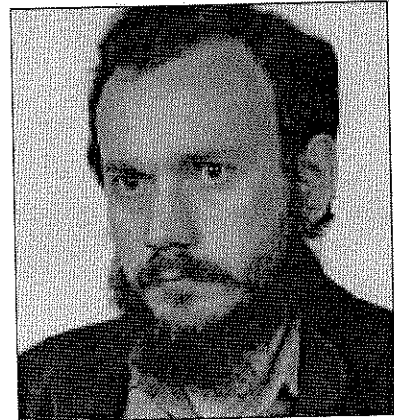
agentem. Podejrzewamy natomiast, że zwerbowany przez SB został człowiek, który potem wyjechał z Polski, prawdopodobnie zabierając ze sobą m.in. sztandar Solidarności Walczącej. Osoby kontaktujące się z nim zaczęły mieć „ogony”, co wychwytywał nasz kontrwywiad. Jednym z incydentów, związanych z tym środowiskiem, była kradzież z naszej biblioteki blisko trzech tysięcy egzemplarzy książek. Tym sposobem przepadła też część naszych archiwaliów. Śledztwo w tej sprawie prowadził wtedy w naszym imieniu Tosiek Ferenc. Cóż jednak mogliśmy ustalić, jeśli osoby zamieszane w te wydarzenia w krótkim czasie powyjeżdżały za granicę, inne też gdzieś przepadły. W tej sprawie uzasadnione są posądzenia o działania agentury SB. Większość podejrzeń wiąże się jednak z działalnością ludzi funkcjonujących na dalekich obrzeżach Solidarności Walczącej. „Podchody” urządzano poza granicami kraju. Do naszych przedstawicieli na obczyźnie zgłaszali się „ofiarodawcy”, których rozpoznawaliśmy jako rezydentów wywiadu.

Wiele działań SB owianych jest dla nas tajemnicą. We wrocławskich archiwach IPN podobno nie ma żadnych materiałów o SW, sporządzonych po 1985 roku. Nasi członkowie, którzy otrzymali status pokrzywdzonych, dowiadywali się jedynie, że ich teczki zostały spalone, a informacja na temat tego, że w ogóle istniały, pochodzi z kartoteki centralnej. Co jakiś czas kopie dokumentów odnajdują się jednak w Warszawie. Na pewno wiele się jeszcze dowiemy. Wielokrotnie apelowałem do tych, których w tamtych czasach bezpieka złamała, by powiedzieli prawdę. Niech zrzucą ze swoich sumień ten ciężar, niech nie czekają, aż „teczki same przyjdą do nich”. Przecież po tylu latach nikt ich nie będzie w żaden sposób karał. Pamiętamy wszyscy tego człowieka z Nowej Huty, który przyznał się do współpracy z bezpieką, którą podjął w latach osiemdziesiątych. Czy spotkała go z tego powodu jakaś kara? Nikt nie pochwalił tego, co było, ale każdy chyba docenił jego etyczną wyższość nad „idącymi w zaparte”. Jeśli złamani wtedy przez SB potrafiliby dziś opowiedzieć prawdę, częściowo odkupiliby swoje winy.

**Właśnie – to powiedzmy otwarcie: każda współpraca z SB była złem. Nigdy nie wiadomo, jak bezpieka mogła wykorzystać informa-**



Ewa Zając



Stanisław Piskorz

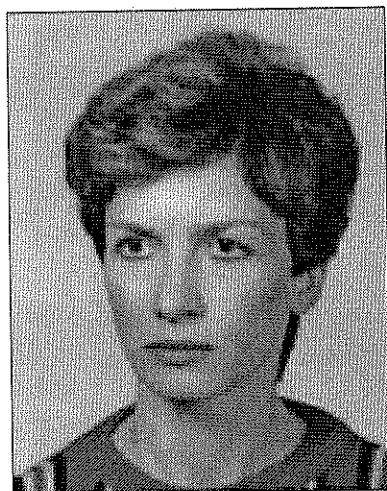


Jerzy Peisert

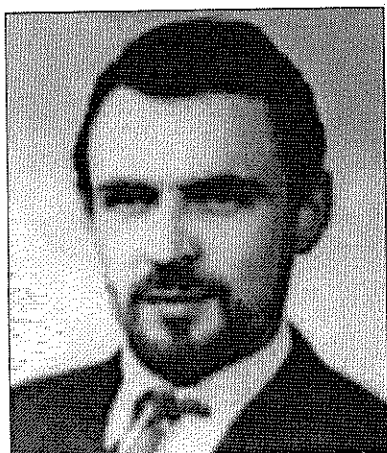




Mirosława Kondratowicz



Janina Podlejska



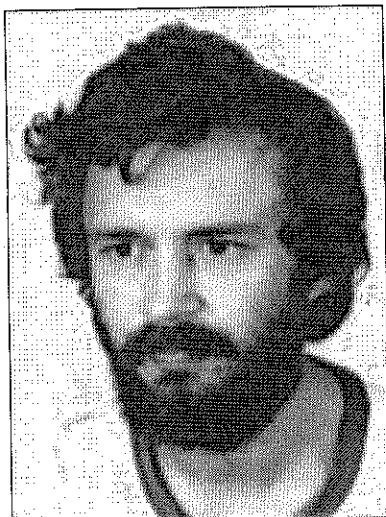
Maciej Ruszczyński

cje teoretycznie pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Wiele razy wiedzę o jakimś zupełnie pobocznym szczególe czy fakcie pozornie banalnym esbecja potrafiła bardzo skutecznie wyzyskać. Na przykład, do zbudowania w czasie przesłuchań wrażenia, że wiadomo im jest wszystko, łącznie z peryferyjnymi detalami.

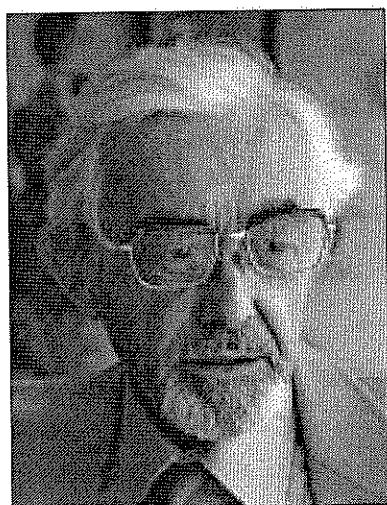
Zgadza się. Powtórzę wszakże apel: będę wdzięczny, jeśli ktoś z tych, którzy wtedy stali się źródłem informacji dla SB, przyjdzie teraz i szczerze przedstawi swoją historię. Niech ci, którzy się złamali, wreszcie zaczną mówić. Może to mieć znaczenie nie tylko dla pełniejszego opisu tamtych czasów, dla zrozumienia niektórych faktów z lat osiemdziesiątych. Może to też pomóc w odbudowie moralnego ładu w naszym kraju. Bezpieka starała się skłonić ludzi do współpracy szantażem, wyzyskiwaniem najrozmaitszych słabości. Pamiętam te ich „podchody” na Politechnice, jeszcze w latach sześćdziesiątych. Jak upierali się, by zwerbować Jurka Hanćkowiaka. Nie chcieli się odczepić, mimo że wiele razy im odmawiał.

#### **Ludzie z Solidarności Walczącej łamali się jednak rzadko.**

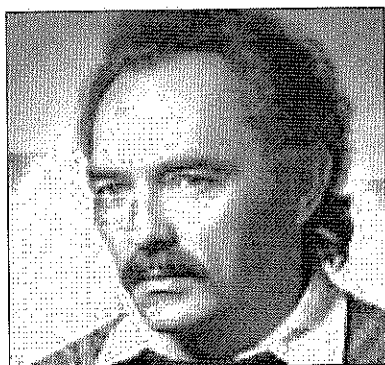
Wszystko na to wskazuje. W dużej mierze wynikać to musiało z tego, że do nas najczęściej trafiały osoby o jakimś, często konkretnym doświadczeniu. Często nasi członkowie mieli za sobą konspirację w związku Solidarność, w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, organizacjach młodzieżowych. Nie brakowało ludzi wywodzących się z opozycji przedsierpniowej, np. ze Studenckiego Komitetu Solidarności, a także mających za sobą jeszcze walkę w szeregach Armii Krajowej, uczestnictwo w formacjach niepodległościowych lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Wejście do naszych struktur było też jednoznaczne z narażaniem się na większe represje od tych, które groziły za przynależność do innych organizacji. Ludzie wiedzieli, jakie mogą być konsekwencje, byli gotowi do poniesienia ofiary. Szczególnie po aresztowaniach z 1983 roku upowszechniliśmy kilka zasad. Staraliśmy się, by wszyscy nasi członkowie postrzegali aresztowanie i to, co się z nim wiąże, jako naturalny, następny etap obranej drogi. Etap, którego trzeba się starać unik-



Piotr Bielawski



Stefan Morawiecki



Ryszard Rychlik

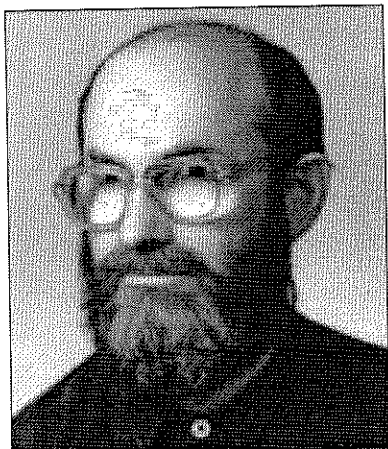
nać, lecz który jednak nie jest niczym nadzwyczajnym. Jak ktoś chciał zostać członkiem SW, musiał mieć tego świadomość. Upowszechnialiśmy wiedzę o metodach działania SB.

**Czy niski stopień zinwigilowania Solidarności Walczącej nie wynikał też z tego, że nie była to organizacja o charakterze dysydenckim? Mnie specjalnie nie dziwią pojawiające się co jakiś czas informacje o tym, że znani jawni opozycjoniści byli czasem bardzo aktywnymi tajnymi współpracownikami. Jeśli ktoś długie dziesięciolecia był aktywistą ZMP i PZPR, to może mieć dylemat – do której sprawy i do którego środowiska jest mu bliżej. Mamy przecież takich polityków, którzy w młodości związani byli z organizacjami reżimowymi, w latach osiemdziesiątych uchodzili za głośnych „solidarnościowców”, a potem odnaleźli swoje właściwe miejsce wśród postkomunistów.**

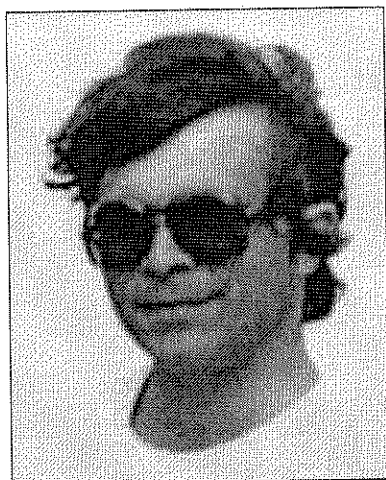
Przynależność do PZPR czy innych prokomunistycznych organizacji nie była dla nas przeszkodą pod jednym warunkiem: musiała się ona zakończyć najpóźniej 13 grudnia 1981. Do partii, z różnych przyczyn, należały miliony ludzi. Każdy ma prawo w życiu pobłądzić. Ważne, by w końcu odnalazł uczciwą ścieżkę. Trzeba też odróżnić szarych członków PZPR-u, którzy w młodości dali się uwieść ideom budowy nowej, lepszej Polski, od tych, dla których legitymacja partyjna była przepustką do kolejnych etapów kariery.

Ta sprawa wiąże się z tym, co powiedziałeś, że Polacy to „naród z resztek”. Jest dużo racji w tym określeniu. Hitlerowcy i Sowieci wymordowali większość spośród najszlachetniejszych Polaków...

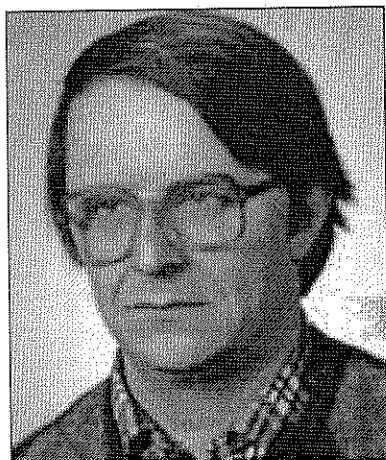
**Przepraszam, że znów ci przerwę, ale niedawno pisałem pracę, dzięki której mam w pamięci trochę danych. Po pierwsze – haniebną jest to, że do dziś nie jest znana liczba obywateli Polski, którzy nie przeżyli wojny. Nie została sporządzona żadna całościowa lista ofiar. Te sześć milionów i 28 tysięcy wzięte zostało „z sufitu”. Profesor Wojciech Roszkowski przypuszcza, że bliższa prawdy byłaby liczba siedmiu i pół miliona. Są też dane ze spisów powszechnych, z których wynika, że w 1938 r.**



Antoni Lenkiewicz



Piotr Medoń



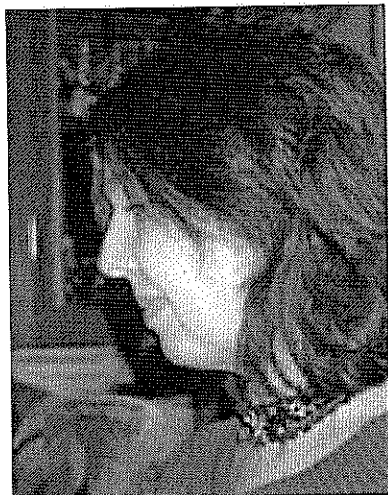
Władysław Sidorowicz

mieszkało w Polsce 35, 1 mln ludzi, a w 1946 r. – 23, 9 mln. Ubyło więc 11, 2 mln. Oczywiście, wielu znalazło się poza granicami, ale przecież nie aż pięć milionów. Te oficjalne, podręcznikowe sześć milionów zabitych wygląda na bardzo zaniżone. Mieliliśmy w 1939 roku ok. 110 tys. obywateli z wyższym wykształceniem. Łatwo policzyć, jaka ich część została wymordowana tylko w takich miejscach, jak Katyń czy Palmiry. Wojny nie przeżyła co najmniej jedna trzecia ziemiaństwa, 28% naukowców i nauczycieli, 30% lekarzy, 58% prawników. W lesie katyńskim większość członków straciło kilka stowarzyszeń naukowych. Jan Ciechanowski z kolei pisał, że młode pokolenie naszych prawdziwych elit leży w kwaterach na Powązkach Wojskowych...

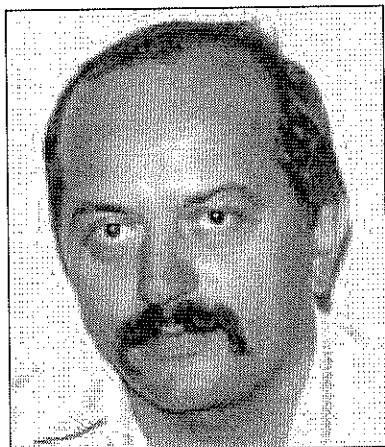
Zapewne leżą także w wielu innych, znanych i nieznanach miejscach. To, o czym mówisz, ma, oczywiście, ogromną wagę, ale przede wszystkim my musimy te elity czy warstwy przywódcze odbudowywać. Najlepiej, jak potrafimy. Nie mamy innego wyjścia. Musimy tę naszą najcenniejszą substancję narodową odtwarzać. Kształcić i wychowywać nasze dzieci.

Jak wcześniej zauważyłeś, pomimo tych straszliwych wojennych spustoszeń, spotkałem jednak w swoim życiu bardzo wielu wspaniałych rodaków. W tej spustoszonej Warszawie znaleźli się znakomici nauczyciele. Nie ma nic z banału w stwierdzeniu, że rola tego zawodu jest nie do przecenienia. To szkoły w znaczącej mierze formują kolejne pokolenia. Wiele z tego, co usłyszałem od swoich nauczycieli, pamiętam do dzisiaj. Oni wskazali mi drogę do odpowiednich lektur, do pracy nad sobą.

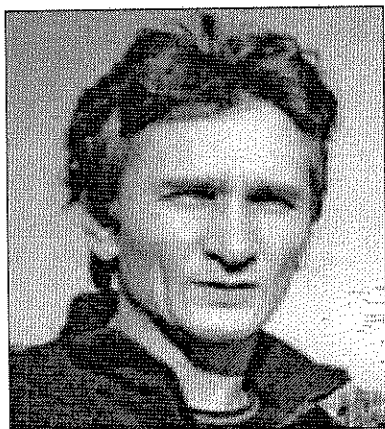
Z wielkiej narodowej hekatombi ocalało jednak nie aż tak mało ludzi, którzy zawsze zalicziliby się do grona najwspanialszych, najwybitniejszych. Bez wątplenia kimś takim był prof. Stanisław Hartman, uczeń m.in. Wacława Sierpińskiego. Był więźniem Pawiaka, po wojnie we Wrocławiu odbudowywał świetność polskiej matematyki. Studentów uczył nie tylko analizy harmoniczej, ale i prawości, wierności zasadom. W 1968 r. zapłacił za to utratą pracy na uczelni. Współtworzył potem konspiracyjny „latający uniwersytet”. Podobną postacią był prof. Jerzy Słupecki – wybitny logik i matematyk. W czasie



Aurelia Lemańska



Ryszard Serwa



Bolesław Siedlecki

wojny działał w warszawskim ruchu oporu, we Wrocławiu też nie tylko uczył i pracował naukowo, ale współtworzył niezależne życie kulturalne i polityczne. Podobnymi postaciami byli Tadeusz Huskowski czy Halina Łopuszańska z Politechniki Wrocławskiej. Jeszcze w latach pięćdziesiątych miałem zaszczyt poznać tak niezwykle ludzi, jak Jacek Woźniakowski, Stefan Wilkanowicz, ksiądz Tarnowski czy arcybiskup Kominek. Wiele wspaniałych osobowości pojawiło się także w tym pokoleniu ludzi urodzonych w latach czterdziestych. Niech wymienię tylko kilku kolegów ze studiów i uczelni: Andrzej Waśkowski, Jerzy Czyżewski, Eugeniusz Porada, Tadeusz Pytlik, Józef Dudek, Witold Karwowski, Jerzy Przystawa.

Ciekawymi świadectwami są księgi pamiątkowe, sporządzane np. w półwiecze ukończenia uczelni. Opisują życie studenckie i losy absolwentów. Tom złożony z relacji tych, którzy opuścili mury Politechniki Wrocławskiej w połowie lat pięćdziesiątych, zawiera m.in. opis dość znamienego wydarzenia. Któregoś wieczoru w roku 1954 przez okno żeńskiego akademika przy pl. Grunwaldzkim wyskakiwał chłopak, który wybrał tę drogę, gdyż osobom niezameldowanym nie wolno było tam o tej porze przebywać. Nie zdążył nawet zejść z wysokiego parteru, gdyż został zastrzelony przez znajdujących się na dworze funkcjonariuszy UB. Mieli kogoś zatrzymać w tamtej okolicy i widząc człowieka wychodzącego przez okno.

Straszna lekkość sięgania po broń. Na samym początku stanu wojennego esbecy strzelali do uciekającego Bogdana Borusewicza. Wtedy też w Warszawie, w niejasnych okolicznościach, patrol postrzelił kobietę. Utrzymywali, że strzały zostały oddane w obronie przed psem. Jeśli chodzi o strzelanie, wyraźnie mówiliśmy, że jeśli reżim będzie zabijał, to musi się liczyć z tym, że polać się może nie tylko nasza krew.

### Ostrzeżenie?

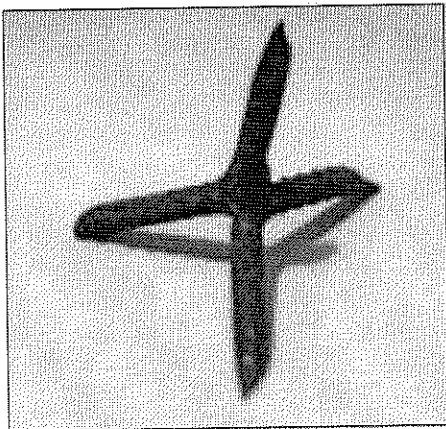
Tak – to było ostrzeżenie, skierowane przede wszystkim pod adresem SB.

### Przejęli się?

Trudno powiedzieć. Ale choć ludzie ginęli na demonstracjach i w wyniku działania „nieznanych sprawców”, władza nie próbowała uciekać się do masowej fizycznej przemocy. W czasie zatrzymywania działaczy Solidarności Walczącej bardzo często szukali broni. Bywało, że przybywali z saperami, spodziewając się materiałów wybuchowych. Kiedy robili rewizję w mieszkaniu pań Kondratowicz, w którym przebywał także Maciej Ruszczyński, nie na żarty przestraszyli się, kiedy Mirka Kondratowicz wzięła do ręki szmacianą lalkę. Zaczęli grozić bronią i wrzeszczeć, by niczego nie dotykać.

### Solidarność Walcząca nie wykluczała użycia przemocy?

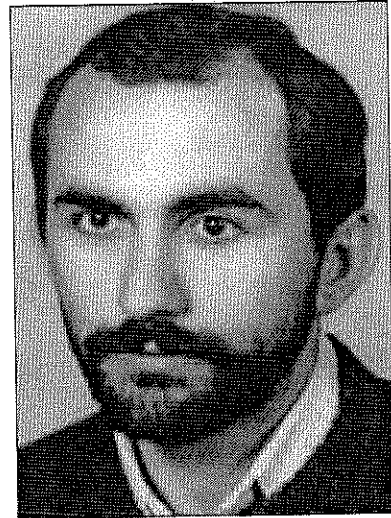
Przejście do takich form uważaliśmy za ostateczność. Nie wykluczaliśmy też prowokacji, mającej na celu zepchnięcie nas na pozycje terrorystów. Funkcjonariuszom bezpieki niejednokrotnie stawialiśmy jednak czynny opór. Nasi ludzie umieli sprawić, by samochody milicji nie wjeżdżały bezkarnie w tłum. Rozpędzane manifestacje nie przebiegały tylko według scenariusza, w którym rolą demonstrantów jest uciekanie przed zomowcami. My też potrafiliśmy ich pogonić i unieruchomić ich pojazdy. Jak mi relacjonowano, wykle w pobliżu głównych sił ZOMO krążył pojazd dowództwa, kierującego akcją tłumienia protestu. Przez dłuższy czas była to milicyjna nysa, wyróżniająca się tym, że miała zasłonki w oknach. Towarzyszyły jej czasem pojazdy, z których wyskakiwali



Kolec do przebijania opon – defensywna broń SW

nieumundurowani funkcjonariusze, wyposażeni nie w pałki, ale w pejce. Ileś razy udało się naszym chłopcom zmatowić im szyby, oddając strzał z procy.

W październiku 1984 r., w czasie podobnej akcji, ta „nysa z firankami” rzuciła się w pogoń za Darkiem Bogdanem. Świadkowie nie mieli żadnej wątpliwości, że oni wtedy Darka zamierzali rozjechać. Kilkakrotnie wyskakiwał im niemal spod kół, szukając ratunku za jakimś drzewem, trzepakiem czy śmietnikiem. Kiedy po chwili nysa zaczęła grzęznąć pośrodku trawnika, wszyscy, którzy byli w pobliżu,



Bogdan Makarski



Arkadiusz Gieralt

**otrząsnęli się z osłupienia i zaczęli ciskać w ten bandycki pojazd kamienie, cokolwiek, co się nawinęło pod rękę.**

Demonstracje przynosiły, między innymi, taki efekt, że władze państwowe, wraz z aparatem przemocy, musiały się liczyć z oporem społeczeństwa. Na tym tle Solidarność Walcząca spierała się z częścią Solidarności. Uważaliśmy, że reakcją na porwanie księdza Jerzego Popiełuszki powinny być masowe manifestacje. Bo przecież nie wiedzieliśmy, co się z nim stało – może żyje. I rzeczywiście, dopiero teraz wychodzi na jaw, że najprawdopodobniej wszystko było inaczej, niż to przedstawiała oficjalna, sądowa wersja wydarzeń. Może jeszcze żył. Może by żył.

**Tytuł jednego z artykułów Andrzeja Myca brzmi: *Solidarność Walcząca była organizacją czynnego oporu.***

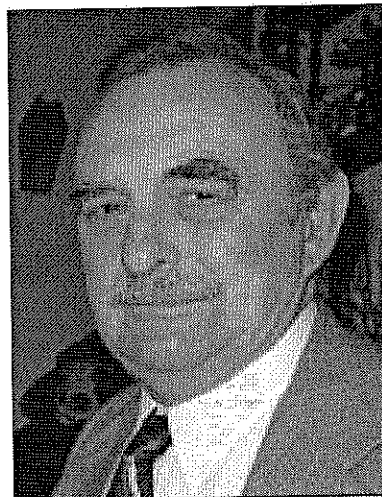
I tak było. Uważaliśmy, że niepodległości czy obalenia komunizmu, nie da się wyprosić. One musiały być wywalczone. Ta programowa twardość towarzyszyła nam nie tylko w programach, ale i w codziennym działaniu. Dla naszych konspiratorów zorganizowaliśmy kursy samoobrony. Między innymi prowadził je instruktor judo i karate Włodzimierz Wnuk. Dążyliśmy do tego, by nasi ludzie mogli się obronić przed próbami zatrzymania. Oczywiście wtedy, gdy funkcjonariuszy SB było wielu, szanse były mizerne. Niejednokrotnie jednak czynnym oporem czy ucieczką udawało się uniknąć zatrzymania.

**Funkcjonariusze polujący na chłopaków malujących napisy na murach farbą w aerozolu nabrali respektu po incydencie, w czasie którego dwóch ormowców próbowało złapać studenta wyposażonego w spray z farbą. Okazał się on groźną bronią, gdy tryśnie się prosto w twarz prześladowcy. Andrzej Gwiazda wspominał, że na początku działalności w Wolnych Związkach Zawodowych nosił w kieszeni ostry nóż. W latach osiemdziesiątych niektórzy mieli przy sobie właśnie spray z farbą. Czasem, choć rzadziej, miotacz gazu.**

W stanie wojennym byli w gdańskiej Solidarności Walczącej tacy, którzy nosili rewolwery. Dobrze, że nikt ich wtedy nie próbował zatrzymać...

**Czy miewałeś w czasach konspiracyj obstawę w postaci „podziemnych ochroniarzy”?**

Sporadycznie. W 1983 roku pozwoliłem sobie na ryzyko wzięcia udziału w mszy papieskiej. W czasie tej pamiętnej pielgrzymki Jana Pawła II nie poszedłem jednak na wrocławskie Partynice. W moim mieście zbyt łatwo mógłbym zostać rozpoznany, byłoby to zupełne szaleństwo. Wraz z kilkoma przyjaciółmi pojechałem pociągiem do Krakowa. I wtedy właśnie moim ochroniarzem był Darek Olszewski. Wypełnialiśmy cały przedział. W naszej grupie była m.in. żona Darka Donna Kersey, Hanna Łukowska-



Stanisław Poloniewicz pełnił m.in. funkcję ochroniarza Kornela Morawieckiego



Ekipa SW z transparentem. 1983 r.

Karniej, Kuba Malski, Zbyszek Oziewicz, Jurek Kocik. Towarzyszące mi osoby miały transparenty z napisami *Wiara, Nadzieja Miłość, Solidarność*. Przez cały czas byłem jakieś kilkanaście metrów dalej. Dopiero po mszy, kiedy zwarty tłum powoli przesunął się ulicą, znalazłem się znów przy moich przyjaciółach. Wtedy podeszły do nas miłe panie, którym nasz transparent przysporzył dużych wzruszeń. Gorąco zapraszały nas do siebie na mały poczęstunek, który okazał się obiadem. Rozmawialiśmy o Polsce, perspektywach wybicia się na niepodległość. Nasze gospodynie były wielkimi sympatyczkami solidarnościowego podziemia. Dlatego, kiedy już wyszliśmy, Hania powiedziała do mnie: *Kornel, idź do nich jeszcze na chwilkę i powiedz, kim jesteś*.

### **Zrobiłeś to?**

Tak. Powiedziałem, że jeszcze raz dziękuję za gościnę, będącą dla nas niezapomnianym przeżyciem i dodałem: *Pragnę się też przedstawić. Jestem ukrywającym się działaczem Solidarności Walczącej. Nazywam się Kornel Morawiecki*.

### **No to pewnie je „zatkano”...**

Było ogromne zaskoczenie. Później ktoś z naszych ludzi jeździł do tej rodziny z paczkami bibuły. Wracając z Krakowa, wysiadłem na stacji w Brochowie. Wielkie wydarzenie, jakim był przyjazd Ojca Świętego do Polski w czasie „zawieszzonego stanu wojennego”, skończyło się dla mnie szczęśliwie.

**Takich dość niezwykłych zdarzeń w czasach konspiracy zapewne było więcej.**

Wtedy naprawdę rzadko i tylko w wyjątkowych sytuacjach przedstawiałem się obcym osobom z imienia i nazwiska. Jeśli natomiast chodzi o naprawdę brawurowe epizody, to należy do nich np. historia z naszym zamówieniem papierniczym. Chłopcy sfałszowali dokumenty i w oparciu o dane firmy, która w ogóle nie istniała, w fabryce w Kwidzynie zamówili wagon papieru. Transport z drugiego końca Polski przyjechał, jak trzeba. Z bocznic, znów dzięki podrobionym dokumentom fikcyjnego przedsiębiorstwa, tony papieru przeładowaliśmy do ciężarówek. Szczelnie wypełniło się wiele organizacyjnych piwnic. Niektórzy nasi członkowie mieli mieszkania zastawione ryzami.

**Czyli papier z Kwidzyna, farba drukarska robiona z kisielu albo pasty do prania. A skąd siatki sitodrukowe?**

Przypominały one zwykły stylon i jako taki były przywożone w dużych ilościach z Czechosłowacji. Płótno świetnie nadające się do sitodruku bez żadnych problemów i w dużej ilości można było kupić już w pierwszym miasteczku za południową granicą. W tamtych czasach sporo Polaków pracowało w fabrykach po czeskiej stronie. Mieliśmy wśród nich swoich ludzi. Płynęła więc stamtąd nieprzerwana rzeka sitodrukowego materiału. Zaopatrywaliśmy weń nasze oddziały w Polsce oraz przyjaciel z innych organizacji.

**O Solidarności Walczącej mówiło się, że jest frakcją Solidarności opozycyjną wobec Lecha Wałęsy.**

SW wywodziła się z Solidarności, ale była organizacją polityczną. Wielu naszych członków miało sceptyczny stosunek do Wałęsy, ale przez wiele lat nasza działalność także budowała jego pozycję. Był przecież wielkim symbolem, od Sierpnia 1980 z jego osobą miliony Polaków wiązały swoje nadzieje. Szerokie masy darzyły



Jedna z wielu wrocławskich demonstracji Solidarności Walczącej



go nieograniczonym zaufaniem i wybaczały nawet daleko idącą niespójność jego wypowiedzi czy ewidentne błazeństwa. Pozycja Wałęsy w Sierpniu 1980 w Stoczni Gdańskiej wynikała z dwóch powodów. Po pierwsze, nikt z uczestników strajku nie parł tak stanowczo do pozycji głównego lidera protestu. A po drugie, niejako socjologicznie nikt tak się na przewodniczącego komitetu strajkowego nie nadawał. Nie było zbyt wielu osób tak odpowiadających potrzebie chwili, mimo że wokół pełno było postaci mądrzejszych, bardziej doświadczonych i o nieporównanie bogatszej, opozycyjnej przeszłości. Ta ostatnia cecha była jednak raczej przeszkodą. Jeśli na czele sierpniowego strajku stanąłby jakiś znaczący działacz Wolnych Związków Zawodowych, władze mogły to wykorzystać propagandowo, wskazując na związki z „antysocjalistycznymi ośrodkami”, „wichrzycielską przeszłość” itd. Rola Andrzeja Kołodzieja w poderwaniu Wybrzeża do strajku była równie wielka, jak Wałęsy. Andrzej jednak miał tylko dwadzieścia lat – dyskwalifikował go zbyt młody wiek. Andrzej Gwiazda był inteligentem, inżynierem, i do tego spoza stoczni. Najbardziej właściwym przewodniczącym komitetu strajkowego byłby wtedy robotnik, stoczniowiec, żonaty, dzieciaty, mówiący prostym językiem, nie za młody i nie za stary. Wałęsa wstrzeliwał się w ten format idealnie. I w tym wyjątkowym momencie ta zupełnie nieprawdopodobna fala społecznego poparcia go poniosła...

**W 1981 roku Solidarność walczyła o dostęp do środków masowego przekazu. Gdyby wtedy rzeczywiście jakieś godziny antenowe dostała, podkopałoby to reżim, ale w nie mniejszym stopniu także Wałęsę. W latach 1980-1981 stosunkowo nieliczni słyszeli Wałęsę „na żywo”. Jego wypowiedzi, odpowiednio poprawione, czytało się w związkowych gazetkach. Gdyby wtedy miał możliwość mówienia w radiu czy telewizji – o dziesięć lat wcześniej dla większości Polaków oczywiste stałyby się wszystkie jego braki.**

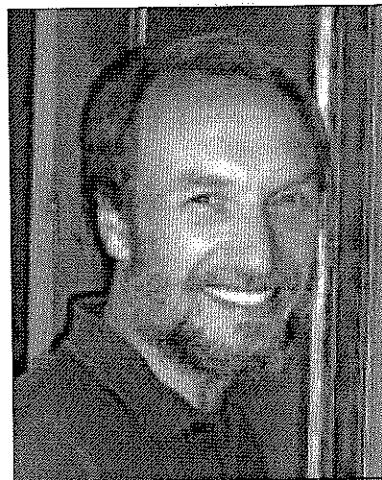
W 1982 wielu bardzo oburzył list Wałęsy do Jaruzelskiego. Zwłaszcza jego podpis. Przewodniczący Solidarności podpisał się: *kapral Lech Wałęsa*. W nagłówku generał, w podpisie kapral. To brzmiało jak ustawienie Solidarności wobec Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego w jakimś bardzo odległym szeregu. Jednak i to wszyscy mu wybaczyli, złożyli na karb Wałęsowego poczucia humoru. Rok później telewizja pokazała spotkanie Rakowskiego z gdańskimi stoczniowcami. Pozwolili nawet powiedzieć kilka zdań Wałęsie, który wypadł fatalnie. Jednak powszechnie zostało to odebrane jako montaż, manipulacja. W podziemnych gazetach tę nieskładną wypowiedź interpretowano na korzyść Wałęsy. Państwowe media nie były w stanie mu zaszkodzić, gdyż słusznie uchodziły za niewiarygodne, za narzędzie manipulacji. Choć wtedy, kiedy w TVP wyemitowano nagranie z ubeckiego podsłuchu, w którym Wałęsa rozmawiał z bratem, przeklinał, większość uznała, że jest to stuprocentowa fałszywka. Uważano, że to niemożliwe, by przewodniczący Solidarności wykazywał taką małość, potrafił pleść żalosne głupoty, koncentrować swą uwagę na jakimś milionie dolarów. Chyba tylko Władek Sidorowicz powiedział jednoznacznie, że uważa ten materiał za autentyczny. Ja też tak uważałem, ale tym sądem dzieliłem się tylko z najbliższymi osobami w organizacji.

**Nie ulega dla mnie wątpliwości, że od wprowadzenia stanu wojennego aż do początku lat dziewięćdziesięciu media bardzo skutecznie budowały pozycję Wałęsy. Umacniały ją przez sam fakt, że ani w telewizji, ani w ra-**

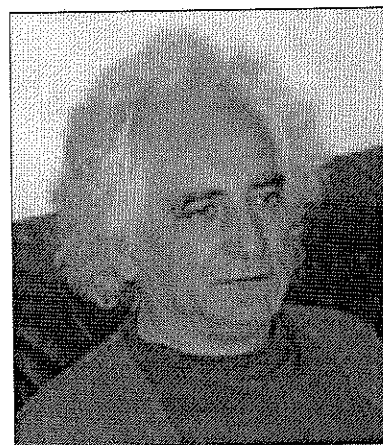
diu prawie nigdy go nie pokazywano. Dzięki temu wiedza o jego prawdziwym obliczu docierała jedynie do bardzo wąskiego kręgu. A działania komunistycznej propagandy przynosiły skutek odwrotny do zamierzonego. Niemal cała prasa podziemna wystawiała mu wyłącznie laurki, Wolna Europa bardzo często przekazywała jego wypowiedzi, ale zawsze głosem lektora, w formie odpowiednio zredagowanej. Były to wprost idealne warunki do wytworzenia wielkiego mitu o niezłomnym, charyzmatycznym, genialnym przywódcy. Do tego doszła jeszcze Nagroda Nobla, która należała się samej Solidarności, i światowa opinia publiczna, postrzegająca przywódcę jako wielkiego herosa i uosobienie kariery „od pucybuta do milionera”.

W latach osiemdziesiątych długo powstrzymywaliśmy się z otwieraniem sporu z Wałęsą i jego środowiskiem. Obawialiśmy się, że będzie to skutkowało kolejnymi podziałami. W 1983-84 roku, kiedy poznawaliśmy relacje ludzi wcześniej blisko z Wałęsą związanych, byliśmy nimi wręcz zszokowani. Wielu mówiło o jego patologicznej skłonności do krektactwa, intryganctwa, chorobliwych ambicjach. Z trudem przychodziło nam uwierzyć w sugestie pochodzące nawet od osób, do których mieliśmy pełne zaufanie – Anny Walentynowicz, Krzysztofa Wyszczkowskiego, Andrzeja Gwiazdy, Andrzeja Kołodzieja. Oni mówili, że Wałęsa był tajnym współpracownikiem SB. Nie wiedzieliśmy, co z tym fantem zrobić. Uznaliśmy, że do kolportowania najgorszego z oskarżeń niezbędne są żelazne dowody.

SB starała się eskalować domniemany konflikt między Solidarnością Walczącą a Solidarnością czy wprost Wałęsą. Jedną z ubeckich fałszywek zawierała rzekomy wywiad z tobą, przeprowadzony przez rzekomą japońską agencję prasową IUHI KAT. Kto jest ciekaw – może sobie odczytać tę tajemniczą nazwę wspan – pozna kreatywność SB w zakresie „japońskopodobnego” słowotwórstwa. W rozmowie tej miałeś mówić, że co prawda Wałęsa jest jeszcze przewodniczącym związku, ale nie można brać poważnie *tej jego gadaniny*.



Maciej Kuna



Włodzimierz Kulligowski



Stanisław Janusz

Pamiętam te fałszywki. W 1983, i nie tylko, SB drukowało, równoległe z naszymi prawdziwymi, poszczególne wydania *Solidarności Walczącej*. Bardzo przypominały nasze oryginalne wydania, a drukowane były zapewne w dużym nakładzie, bo trafiało ich do nas, z różnych źródeł, sporo. Rzadko pojawiały się one w naszych kanałach kolportażowych, ale leżało tego pełno w zakładach, na uczelniach, przystankach tramwajowych, w klatkach schodowych. Często te ich wydania zawierały ostrzeżenia właśnie przed fałszywkami, wskazując oczywiście jako fałszywe te nasze, właściwe wydania. Czasem lektura tych „podróbek” szczerze nas bawiła. Fałszowali też wydawane przez Regionalny Komitet Strajkowy „Z dnia na dzień”, w którym zamieszczali niewybredne ataki na SW. W odpowiedzi nasze gazety miały „dowalać” RKS-owi. I dla nas, i dla RKS-u sprawa była jasna. Niektóre zamieszczone w tych sfałszowanych wydawnictwach teksty dowodziły bezcelowości konspiracji albo wyrażały ubolewanie z powodu niemożności udzielenia pomocy aresztowanym i ich rodzinom. Ataki na inne środowiska opozycyjne były bez trudu rozpoznawane jako robota SB. Niewiele osiągnęli tą drogą. A jak jeszcze zaczęli nadawać fałszywe audycje Radia SW, to większość słuchaczy odebrała to jako przejaw niezdolności do rozpracowania nas innymi metodami. SB rozsiewała także plotki o naszym rzekomym zinfiltrowaniu przez bezpiekę. Podobne sugestie zawierały też fałszywki. Nie potrafię ocenić, jakie przynosiło to efekty.

**Kiedy zostałem kurierem SW do Gdańska, zaskoczyło mnie to, że właśnie w mieście Lecha Wałęsy spotykałem się z najgorszymi opiniami na jego temat. Wiele razy wtedy zastanawiałem się, czy to wynika z tego, że tam lepiej Wałęsę znają, czy też stąd, że bliżej ośrodka jego działalności naturalną rzeczą jest większa ilość jego oponentów. Dzisiaj jesteś zwolennikiem zbadania tzw. sprawy domniemanej współpracy Lecha Wałęsy ze Służbą Bezpieczeństwa?**

Jestem zwolennikiem lustracji i uważam, że nie powinno tu być żadnych wyjątków. Prawdę, obojętnie jak bolesną, powinniśmy sobie powiedzieć do końca. Historia lustracji w Trzeciej Rzeczypospolitej jest dowodem na to, w jak wielkim bagnie tkwi ogromna część życia publicznego. Nie chodzi mi tu o jakiegokolwiek rozliczenia. Może nawet nie w pierwszym rządzie o historyczną prawdę, choć uważam, że jest ona doniosłą wartością dla każdej szanującej się zbiorowości. Najważniejsze jest to, że jak już zauważył Bułhakow, *rękopisy, archiwa nie płoną*. Pamiętać trzeba, że co najmniej od 1979 roku informacje z wszystkich teczek trafiały do PSED – Połączonego Systemu Ewidencji Danych o Przeciwniku. Jeśli więc nawet coś w Polsce zostanie „zamiecione pod dywan” – w Moskwie jest to dostępne. Niestety, nie dla nas. Przy całej mojej sympatii dla Rosji i pomimo szczerych przyjaźni, jakie wiążą mnie z Rosjanami, nie liczyłbym na to, że moskiewskie teczki działającej w Polsce agentury znajdują się będą w dyspozycji przyjaciół naszego kraju.

Na początku lat dziewięćdziesiątych któryś z dziennikarzy zapytał Wiktora Suworowa, czy jego zdaniem w Polsce działa rosyjska agentura. Suworow spojrział na niego, jak na wariata i odpowiedział: *Trudno o coś bardziej oczywistego! Rzecz jasna, że działa! I to taka, której nie wykryjecie*.

**W tym momencie spytam cię o twój stosunek do Rosji. Pojawia się ona w naszych rozmowach co jakiś czas i zaskakujące jest dla mnie to, że lider**

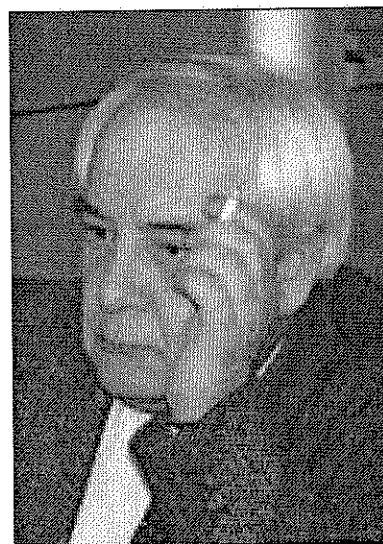
**najbardziej antyradzieckiej organizacji podziemia lat osiemdziesiątych ma tak ciepły stosunek do Rosjan, kultury rosyjskiej, nawet do żołnierzy radzieckich. Czy to aby nie wynika z tego, że twoja rodzina w latach drugiej wojny światowej miała wyjątkowe szczęście nie zaznać terroru akurat ze strony wschodniego okupanta?**

Syn brata mojej babci, wujek Jurek Szymański, był żołnierzem Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych. Jego jednostka, w wyniku rozejmu zawartego z przygotowującym się do radzieckiego ataku dowództwem niemieckim, przeszła przez pozycje Werhmachtu i dotarła do wojsk alianckich, łącząc się na koniec z II Korpusem. Potem trafił do Australii. Podobno bardzo trudno mu było pogodzić się z tym, że do ojczyzny drogę miał już zamkniętą. W moim rodzinnym otoczeniu przeważały jednak opowieści o cierpieniach zaznanych od Niemców. A we Wrocławiu częściej się słyszało o tym, o czym przez pół wieku nie wolno było mówić głośno, ale co często było podobne do terroru hitlerowskiego. Ogromna część rodzin osiadłych na Dolnym Śląsku miała jakieś koszmarne doświadczenie syberyjskie albo należała do tych, którzy cudem przetrwali rzezie, dokonywane przez OUN-UPA. Nawet wśród czytanych ludzi niespecjalnie miejsce swoje odnajdywała rosyjska kultura. Dla Kresowian rosyjskość kojarzyła się często z tym, co byle jakie, niskie i prymitywne, choć przekonane o swej wyjątkowości. Solidarność Walcząca odegrała tu sporą rolę, pokazując inną twarz rosyjskiej kultury. Drukowaliśmy dużo świadectw o Katyniu, zesłaniach, zbrodniach NKWD, o wojnie polsko-bolszewickiej i polsko-sowieckiej z roku 1939. Publikowaliśmy też jednak *Sołżenicyna*, *Brodskiego*, *Sacharowa*. Wydaliśmy *I powraca wiatr*, *Listy rosyjskiego podróżnika* oraz inne utwory Władimira Bukowskiego, który został nawet honorowym członkiem Partii Wolności – Solidarności Walczącej. Drukowaliśmy wiersze Natalii Gorbaniewskiej. W bliskim kontakcie z nią i emigracją rosyjską pozostawali nasi paryscy przedstawiciele. Natalia zgodziła się zostać honorowym redaktorem „Biuletynu Dolnośląskiego”.

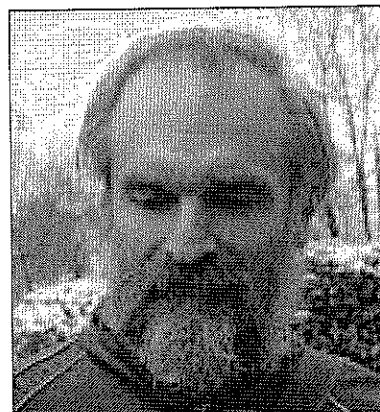
Najważniejsza jest jednak zasada ogólna: nawet najbardziej wstrząsającą prawdę historyczną trzeba znać i upowszechniać. W relacjach z innymi



Natalia Gorbaniewska



Władimir Bukowski



Leonardas Vilkas

trzeba bronić własnego narodowego interesu. To wszystko nie stoi jednak w sprzeczności z pojednaniem, porozumieniem i zbliżeniem między nacjami, w przeszłości oddzielnymi nawet najbardziej krwawymi doświadczeniami. Droga do tego zbliżenia, często bolesna, wymaga cierpliwości. Nie może oznaczać zadeptywania grobów czy wyrzekania się własnej tożsamości. Naczelnym dążeniem musi być jednak przezwyciężenie zaklętych kręgów nienawiści. W przeszłości zazналиśmy bardzo wielu cierpień od większości naszych sąsiadów. I to nawet nie tylko od tych potężnych. Skomplikowane były nasze relacje z Litwą. Kiedy jednak Litwa ogłosiła niepodległość, Solidarność Walcząca wielokrotnie demonstrowała, żądając uznania niepodległości tego kraju, a nasi przedstawiciele aktywnie wspierali obrońców obłożonego przez Sowietów wileńskiego Sejmu. Domagaliśmy się od rządu Mazowieckiego, by Polska była pierwszym krajem, uznającym niepodległość Litwy. Wojciech Mysłęcki do władz Wrocławia skierował zaś wniosek, by niepodległa Litwa dostała lokal na konsulat we wrocławskim Ratuszu. Jeszcze w czasie ukrywania się spotkałem się z Leonardasem Vilkasem z litewskiej opozycji. Reprezentował on organizację pod względem programu trochę podobną do naszej. Takich kontaktów było więcej.

**Jak w ogóle wyglądały kontakty ukrywającego się szefa Solidarności Walczącej z działaczami politycznymi innych ugrupowań?**

Było sporo spotkań. Pozostawanie w ukryciu je utrudniało, ale działający jawnie opozycjoniści też nie poruszali się swobodnie. Często byli śledzeni. Stąd częstą formą kontaktu była korespondencja, oczywiście, przekazywana przez łączników. Było jej sporo. Wymieniałem listy z Leszkiem Moczulskim i Janem Marią Rokitą, z Liberalno-Demokratyczną Partią „Niepodległość”. Wspólne działania podejmowaliśmy także z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów i innymi organizacjami. Kiedy powstała, czy odrodziła się, Polska Partia Socjalistyczna – wspólnie organizowaliśmy wiele demonstracji. Oczywiście, stałym partnerem było NSZZ Solidarność, we Wrocławiu reprezentowany przede wszystkim przez Regionalny Komitet Strajkowy, działający do 1989 roku pod kierunkiem Marka Muszyńskiego.

**A jak wyglądało nawiązywanie kontaktów między różnymi środowiskami opozycji jeszcze przed Sierpniem 1980? Zapewne wszyscy obawiali się wtedy prowokatorów?**

Oczywiście, trzeba było być przez kogoś wprowadzonym, uwiarygodnionym. Moje kontakty z warszawskim KOR-em zostały nawiązane przez Konrada Bielińskiego, za pośrednictwem Janka Waszkiewicza. W towarzystwie Konrada pierwszy raz znalazłem się w mieszkaniu Jacka Kuronia. Wtedy chyba poznałem też Adama Michnika, Jana Józefa Lipskiego, profesora Kielanowskiego. Chodziłem po warszawskich środowiskach niezależnych z propozycją potępienia sowieckiej agresji na Afganistan. Byłem w KOR-ze, KPN-ie, w ROPCiO. Nic nie wskórałem.

**Czasem Solidarność Walcząca nazywana była partią polityczną.**

Byliśmy organizacją antykomunistyczną i niepodległościową. Te dwa główne cele łączyły wszystkich członków, współpracowników, wspierających nas sympatyków. Lecz byli wśród nich prawicowcy i lewicowcy, a nawet znalazłoby się i kilku ideowych anarchistów. Tę światopoglądową różnorodność widać po drogach, jakimi

poszło wielu naszych ludzi w latach dziewięćdziesiątych. Partia Wolności miała w swoim programie społeczny solidaryzm, lecz część tworzących ją ludzi znalazła się w niej chyba przede wszystkim w wyniku wieloletniego działania w poprzedzającej ją podziemnej organizacji. Okazało się, że z naszych szeregów wywodzi się środowisko, któremu bliska jest myśl konserwatywna. Jeden z naszych najbardziej doświadczonych podziemnych dziennikarzy, Romuald Lazarowicz, został redaktorem naczelnym miesięcznika „Opcja na Prawo”. Wraz z nim pisze w tym prawicowym periodyku kilka innych osób, wcześniej zaangażowanych w redagowanie prasy Solidarności Walczącej. Już na początku naszej organizacji Paweł Falicki zaczął wydawać swoje pismo pt. „Replika”. Gazeta ta, sygnowana przez Solidarność Walczącą, głosiła konieczność budowy wolnego rynku, ograniczania roli państwa i jak największą wolność jednostki – jako jedną z naczelnych wartości. Ta sama Solidarność Walczącą, choć reprezentowana przez inne grupy działaczy, wydawała w tym samym czasie gazetki akcentujące rolę rad pracowniczych, piętnujące wyzysk, wskazujące na znaczenie różnych pomocy społecznych.

**W Solidarności Walczącej zawierały się więc grupy o bardzo różnych poglądach. Czy nie pojawiały się więc jakieś tendencje rozłamowe?**

Oczywiście, bywało, że ludzie z SW odchodzili. Z bardzo różnych przyczyn. Przez wszystkie lata funkcjonowania organizacji nie mieliśmy jednak do czynienia z czymkolwiek, co można by nazwać rozłamek. Spajały nas cele nadrzędne: obalenie komunizmu i odzyskanie niepodległości. Pod tymi hasłami z takim samym przekonaniem podpisywali się lewicowcy i prawicowcy, chrześcijanie, ateści i wyznawcy innych religii. Polacy i nie-Polacy. Do SW trafiali przecież także ludzie różnych nacji. To, co najważniejsze, wystarczająco nas łączyło. Różnice były przyczynkiem do dyskusji, budowania przeróżnych wizji przyszłej Polski, Europy, świata. Jasne jednak było, co trzeba zrobić, by te wszystkie plany i marzenia mogły wykroczyć z fazy wyłącznie teoretycznej... Przeszkodą był komunizm i sowiecka dominacja.

**„Trybuna Ludu” pisała o tobie, jako o sztandarowej postaci ekstremy Solidarności. Dla szefów PZPR-u z oczywistych względów byłeś bez końca demonizowanym wrogiem. Tak skutecznie mówili o tobie, jako o szefie oddziału terrorystów, że nawet Amnesty International nie chciała ciebie bronić. A opowiadano mi, że liczni działacze partii komunistycznej wcale nie działali na ciebie, „jak płachta na byka”.**

PZPR była politycznym przeciwnikiem. Jednoznacznie. Ale każda walka cywilizowanych ludzi musi odbywać się według pewnych zasad. Nawet w warunkach wojennych, a my prowadziliśmy przede wszystkim walkę polityczną. W naszych szeregach mieliśmy byłych członków PZPR

**We Wrocławiu przed Sierpniem aktywną działalność prowadziło też niemałe grono.**

Najwięcej wtedy kontaktowałem się z Janem Waszkiewiczem i Piotrem Starzyńskim, którzy tworzyli „Biuletyn Dolnośląski”. Krótco potem dość szybko rozwił się nasz druk, w który włączały się kolejne osoby. A może już działały od dawna i tylko poznawaliśmy się wówczas od tej strony? Opozycja była wtedy na tyle nielicz-

na, że bezpieka miała możliwość koncentracji swoich działań. Wiesiek Moszczak, Olek Gleichgewicht, Ania Bujwid wydawali kolejne pisma i byli ciągle tropieni przez esbecję. Im więcej udawało się zrobić, tym mocniejsze było nękanie przez SB. Działaczom opozycji próbowano stawiać zarzuty kryminalne, coraz częściej zatrzymywano na 48 godzin.

Wiosną 1980 zorientowałem się, że jestem śledzony. Krótco potem zatrzymali mnie wraz ze Zbyszkiem Oziewiczem. Mieliliśmy przy sobie wtedy chyba tylko jeden egzemplarz „Biuletynu Dolnośląskiego”. Przesłuchiwali nas w komisariacie na Jaworowej. W czerwcu 1980 znów zatrzymanie i rewizja w mieszkaniu.

Jeśli już wspominamy różnych ludzi, którzy wspaniale potrafili się zachować w tamtych czasach, to trzeba wymienić Milenę i Andrzeja Waśkiewiczów oraz ich krewnych w Opolu, u których drukowany był m.in. „Biuletyn”. Powstawał on też u Zbyszka Jakubca na Popowicach. Potem Zbyszek i jego brat Marek działali w SW.

We Wrocławiu w Sierpniu 1980 strajkowy przełom nastąpił w momencie, gdy paru kierowców MPK zatrzymało swoje autobusy. Jednym z pierwszych był Zygmunt Lewandowski. Chyba niemal równocześnie to samo zrobił Andrzej Pawlik. Kto o nich pamięta? Przypomnieć też trzeba pierwszego przewodniczącego dolnośląskiej Solidarności. Był nim Jerzy Piórkowski, jeden z kierowników w VII Zajeźdni. Przed chwilą pytałeś o członków PZPR – Piórkowski też należał, ale zawsze robił na mnie wrażenie bardzo porządnego człowieka. W marcu 1981 zrezygnował z przewodniczenia dolnośląskiej Solidarności. Nie było wiadomo dlaczego. Związkowcy go popierali. A on wtedy odszedł. Przez jakiś czas był taksówkarzem, potem wyjechał do Niemiec. Dopiero niedawno publicznie opowiedział o szantażu, jakiemu był poddany. Całą jego rodzinę nękało SB. Nie chciał ulec naciskom władz, nie chciał pójść na żadną współpracę i wolał się wycofać.

### **A jak oceniasz rolę zagranicznych rozgłośni, nadających w czasach komunizmu audycje w języku polskim?**

Siłą rzeczy informacyjnie preferowana była Warszawa. Często wiadomość o drobnym incydencie w stolicy powtarzana była we wszystkich serwisach, które nie mówiły nic o nawet bardzo dużych demonstracjach we Wrocławiu. Największą rolę zachodnich rozgłośni były jednak nie bieżące informacje, ale audycje historyczne, analizy polityczne, dobra publicystyka. RWE, BBC, Głos Ameryki, Radio France Internationale zasłużyły się raczej nie tym, że przekazywały „newsy”, ale kształtowaniem świadomości, uodparnianiem na propagandę i historyczne fałszerstwa.

**W pewnym momencie we Wrocławiu zaczęła działać Pomarańczowa Alternatywa. Wolna Europa, skoro o niej już mowa, miała kłopot ze zinterpretowaniem tego zjawiska. Początkowo pojawiały się wiadomości o *niezależnej grupie***



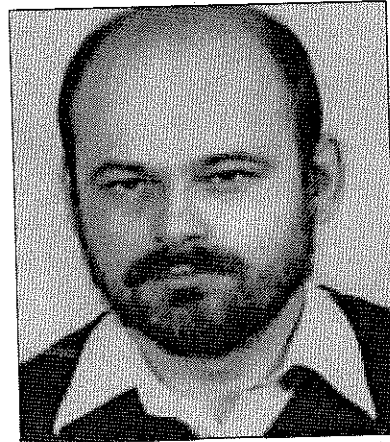
Marianna Zabińska

**artystycznej, a akcję z okazji rocznicy rewolucji październikowej skojarzono nawet z działaniem tajemniczej grupy trockistów...**

Pomarańczowa Alternatywa była fenomenem, który nie tylko otworzył nowe płaszczyzny aktywności, ale też ujawnił zmiany w społecznych postawach. Okazało się, że strach przed ZOMO, dość powszechny w 1982 czy 1983 roku, kilka lat później miał już dużo mniejsze nasilenie. Przypadkowi przechodnie na ulicy potrafili twardo stawać w obronie zatrzymywanych. Często wyrwali z rąk milicjantów uczniów i studentów, wleczonych do radiowozów. Ludzie przestali uciekać przed milicją. Zaczęli stawiać jej opór. Bez wątpienia władze zastanowiły się nad tą odmianą. Wszystko wskazywało na to, że powoli zbliża się przełom, a ewentualna powtórka stanu wojennego na pewno nie odbyłaby się już z taką skutecznością.

### **Wielkim fenomenem było Radio Solidarność Walcząca i jego ludzie...**

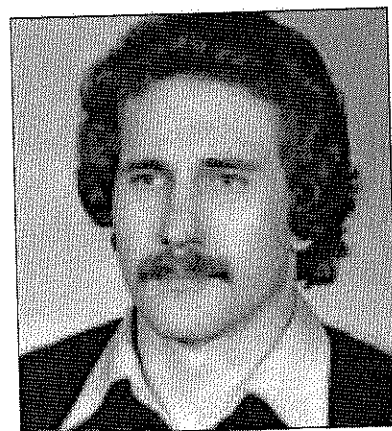
Zajmowało się tym wiele zespołów. We Wrocławiu początkowo radiową redakcją kierował Romek Lazarowicz. Bywało, że szły one „na żywo”, informując o przebiegu rozwijających się w mieście demonstracji i starć z ZOMO. W warunkach stanu wojennego Romek z Tadeuszem Świerczewskim zorganizowali jakby korespondentów, którzy z różnych rejonów walk krótkofalówkami przekazywali wiadomości do centrali. Stamtąd materiał szedł do ludzi obsługujących nadajniki. Zasada równoczesnej emisji z kilku miejsc nie tylko zwiększała zasięg audycji, ale i zwiększała bezpieczeństwo. Po prostu trudniej wtedy było te radiostacje namierzyć. W ich tropieniu brały udział także śmigłowce. 31 sierpnia 1982 r., właśnie w czasie relacjonujących wydarzenia audycji „na żywo”, któryś chyba prawie namierzył miejsce pracy Romka i jego zespołu. W każdym razie helikopter nagle zawisł nad blokiem, z którego redakcja nadawała swoje materiały. Sygnał radiowy został na dłuższą chwilę przerwany i wtedy śmigłowiec odleciał. Wielką rolę w naszym radiu odgrywał też Stanisław Mittek, a także Wojtek Bartoszek. Działo tam zresztą mnóstwo wspaniałych ludzi. Spikerów szkolił m.in. dyrektor Teatru Współczesnego Kazimierz Braun, który uczył dobrej dyk-



Jacenty Lipiński, konstruktor i wykonawca wielu nadajników radiowych



Krystyna Wójcik-Jagoszewska, pierwsza spikerka Radia SW

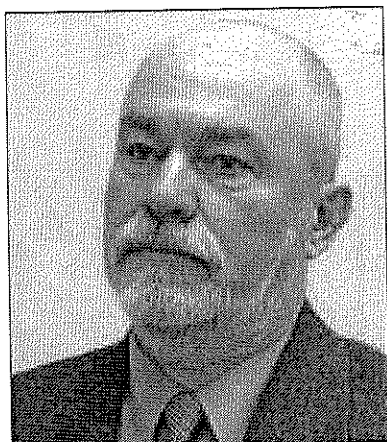


Jan Krusiński, wieloletni szef Radia SW, krajowy rekordzista w ilości zrealizowanych i wyemitowanych audycji podziemnych





Krzysztof Tenerowicz, szef wrocławskiego Radia SW na przełomie lat 1982 i 1983



Krzysztof Witczak, współtwórca wrocławskiego Radia SW



Teresa Krusińska, autorka wielu audycji i spikerka Radia SW

cji i konstruowania zwiezłych i żywych komunikatorów. W późniejszym czasie radiem zajmował się Krzysztof Tenerowicz, a rekordzistą radiowych akcji jest zapewne Janek Krusiński. W sumie wyemitował ich ponad sześćset. Nadawał je ze szczytu Gubałówki i z innych, niezwykle miejsc w wielu punktach Polski. Jeździł też z radiem do Lwowa.

SB podjęła bardzo szeroko zakrojone działania, by zlikwidować nasze radio. Któregoś razu zobaczyliśmy, że na najwyższych budynkach Wrocławia stoja takie dziwne anteny, w kształcie widełek. Okazało się, że w czasie, kiedy włączały się nasze radiostacje, te anteny zaczynały się obracać...

**Jedną z nich ustawiono na dachu szesnastopiętrowego bloku przy ul. Gubińskiej, w którym mieszka moja mama.**

Tych instalacji było kilka, a do tego samochody i czasem helikoptery. Któryś razem dał się w eterze usłyszeć głos rosyjskich żołnierzy. Zagłuszały nas nadajniki armii radzieckiej! Radio było naszym wielkim sukcesem, a walka z nim – całkowitą porażką komuny.

**Chciałem jeszcze zapytać o ludzi, z którymi współpracowałeś w czasie swojej konspiracyjnej działalności.**

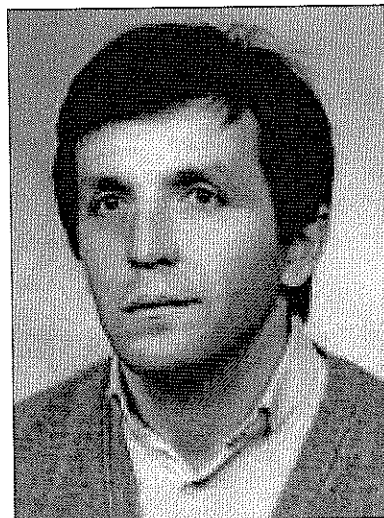
Odpowiedź na takie pytanie mogłaby wypełnić odrębną książkę. Mimo że czas zaciera już obraz wielu wydarzeń. Kontakty z wieloma ludźmi były dla mnie prawdziwym zaszczytem. Spotkałem mnóstwo ludzi ofiarnych, wspaniałych i mądrych. Znakomitych ludzi poznałem angażując się w wydawanie „Biuletynu Dolnośląskiego”. A po 13 grudnia same liczby mówią za siebie. W tamtych warunkach, bez telefonów, pomimo szalejących aresztowań – po paru tygodniach mieliśmy ponad dziesięć punktów poligraficznych! Czy mógłbym więc nie mieć wiary w ludzi? Tak szerokie grono nie dało się zastraszyć, stworzyło konspiracyjny system, często działający z precyzją szwajcarskiego zegarka, na przekór wszystkim niedostatkom i utrudnieniom. O kim z tych ludzi opowiedzieć? To przecież są setki postaci godnych długiej opowieści! Romek Lazarowicz – znakomity podziemny dziennikarz, autor ogromnej ilości świetnych artykułów, publikowanych pod wielo-

ma pseudonimami. W „Biuletynie Dolnośląskim” najczęściej występował jako Jan Ewaryst. Twórca i redaktor pierwszego w stanie wojennym pisma („Z dnia na dzień”) i jeden z pierwszych twórców konspiracyjnej radiofonii. To on organizował nasz pierwszy zespół radiowy. Wśród jego bliskich konspirowali zresztą chyba wszyscy. Andrzej Żabokrzycki „Małgosia” był z kolei fenomenalnym drukarzem i współtwórcą rekordowej ilości pism zakładowych. Ciekawe, czy sam potrafiłby policzyć, ile ich uruchomił, ilu ludzi zorganizował, nauczył drukować, ile powołanych przez niego do życia tytułów prasy ukazywało się przez długie lata? Nie tylko szkolił, ale pisał i powielał instrukcje uczące, „jak drukować, nie mając do drukowania prawie nic”. Takich „krzewicieli niezależnej poligrafii” było więcej. O największej, Basi Sarapuk, już mówiłem.

Mikołaj Iwanow w czasach nocy stanu wojennego, będąc obywatelem sowieckim, woził naszą konspiracyjną literaturę. Za jego sprawą bibuła Solidarności Walczącej docierała w głąb Związku Sowieckiego. Narażał się bardziej niż my – obywatele PRL-u.

### **Kogo zaliczyłbyś do grona założycieli Solidarności Walczącej?**

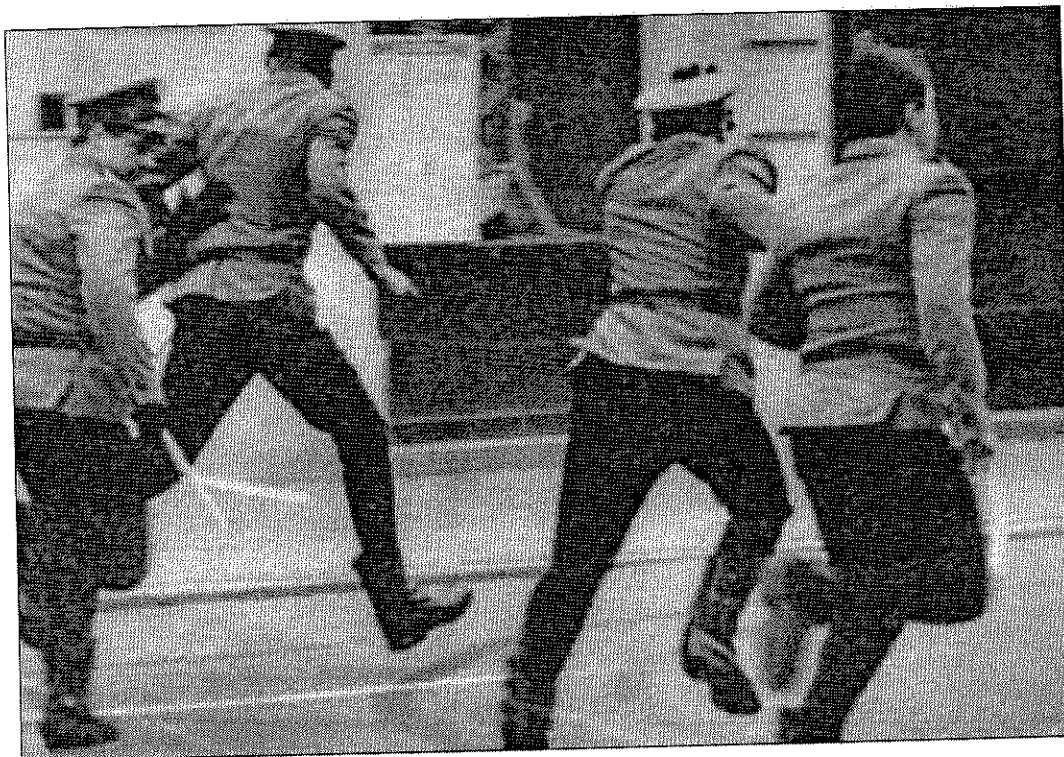
Dążąc do utworzenia antykomunistycznej, niepodległościowej organizacji, realizowałem potrzebę, która w gronie współpracujących ze mną ludzi jakby „unosila się w powietrzu”. Bardziej czy mniej chciało tego wielu ludzi. SW zakładała Rada, a w jej skład weszli: Hanna Łukowska-Karniej, Maria Koziebrodzka, Zbigniew Oziewicz, Jan Pawłowski, Michał Gabryel, Paweł Falicki, Jerzy Gneciak, Zbigniew Bełz, Cezariusz Lesisz, Andrzej Myc i ja. W dyskusji, rozważaniach nad powstaniem Solidarności Walczącej uczestniczyli m.in.: Tadeusz Świerczewski, Helena i Romuald Lazarowiczowie, Andrzej Borowiec, Anna Birecka, Marian Oziewicz, Jerzy Kocik. Wiele osób, później dla Solidarności Walczącej ogromnie ważnych, siedziało wówczas w więzieniach. Należeli do nich m.in. Wojciech Myślecki i Władysław Sidorowicz. Wojtek zawsze dysponował bardzo ciekawymi danymi, np. makroekonomicznymi. Potrafił z nich wyciągać bardzo ciekawe i, jak się później okazało, trafne wnioski na temat sytuacji gospodarczej czy narastającej dysproporcji potencjałów, zachodzącej między ZSRS a USA. Wspomniałem człowiekiem i współpracownikiem był dla mnie Andrzej Zarach. Talent organizacyjny, uosobienie solidności, punktualności, pracowitości, oddania sprawie. A zarazem ogromna wiedza i inteligencja. Byłem głównym inicjatorem i przywódcą Solidarności Wal-



Jerzy Gneciak



Piotr Jaworski



Rejterada służb porządku

czącej, ale działając w niej, nigdy nie miałem wątpliwości, że często jestem otoczony ludźmi górującymi nade mną pod wieloma względami. W Solidarności Walczącej – nie ulega to dla mnie żadnej wątpliwości – było wielu zdolniejszych i posiadających większą ode mnie wiedzę.

### **Legendarna skromność Kornela Morawieckiego...**

Jednym z uczuć często towarzyszących mi w czasie ukrywania się była taka szczególnego rodzaju satysfakcja – zadowolenie z tego, że mam tak wyjątkowych, wspaniałych przyjaciół. Ja naprawdę sam czułem się kimś nieco większym właśnie dlatego, że byli w moim otoczeniu tacy ludzie.

**Piotr Jaworski powiedział o tobie, że jesteś bardziej myślicielem czy nawet wizjonerem politycznym, niż działaczem. Dość podobnie wypowiedział się Włodzimierz Domagalski, według którego twoją główną rolą było tworzenie zasad, wyznaczanie celów, wskazywanie horyzontów. Zarazem wszyscy, którym zdarzyło się z tobą wymieniać poglądy, zauważyli chyba, że należysz do tej mniejszej części rozmówców, którzy zwykle wolą słuchać, niż samemu mówić. Mało tego – masz coś w rodzaju odruchu pytania innych o zdanie. I tu jest ta sprzeczność – wizjoner pytający innych o zdanie?**

Kto pyta, nie błądzi.



Wałbrzyscy działacze i współpracownicy Solidarności Walczącej podczas spotkania z Andrzejem Gwiazdą

A jak było w Londynie w 1988? Kiedy powiedziałeś o komunizmie, chyłącym się ku upadkowi, gazety napisały, że ta wypowiedź jest zapewne efektem przejęzyczenia. Tak pisali przychylni ci dziennikarze, którzy obawiali się, że wyrażenie takiego poglądu cię skompromituje. Od razu starali się więc ciebie wytłumaczyć. Twoje przemówienia, wygłoszone przed Rządem Rzeczypospolitej na Uchodźstwie, przed Radą Narodową i przed innymi szacownymi gremiami składały się zwykle z dwóch głównych myśli. Pierwsza: komunizm zaczyna się rozkładać. Druga: jest szansa na obalenie tego ustroju i wybitcie się Polski na niepodległość. Mówiąc to, dowodziłeś, że wszystkie siły i środki trzeba skupić na tym celu, a nie organizowaniu pomocy żywnościowej dla *głodującego kraju* czy wspieraniu tych, którzy zmierzają tylko do kosmetycznych zmian, nienaruszających istoty PRL-u. Tak było – teksty tych wystąpień są w archiwach, łatwo sprawdzić. Mówiłeś to we Włoszech, w Austrii, w Anglii, na całym mnóstwie spotkań w Stanach i Kanadzie. Słuchali tego, między innymi, ci czołowi intelektualiści, sowietolodzy, analitycy, dla których miałeś tak wiele uznania. Kto z nich wtedy, w połowie 1988 roku, był w stanie uwierzyć, że jesteśmy o krok od załamania się PRL-owskiego reżimu i krachu całego sowieckiego imperium? Co najwyżej pojedyncze osoby. Skądinąd znakomity Zbigniew Brzeziński krótko wcześniej pisał o tym, jak Stany Zjednoczone powinny budować swoje relacje ze Związkiem Sowieckim w pierwszej połowie XXI wieku. Wielce czcigodny i naprawdę ogromnie dla Polski zasłużony Jan Nowak Jeziorański liczył na to, że następne pokolenie Polaków może stanie przed

szansą wolności, wobec czego najważniejszym zadaniem jest ratowanie biologicznej substancji narodu, żeby dotrwał do tych przyszłych, dających jakąś nadzieję czasów. Oczywiście, kiedy już system runął, pojawiły się tłumy dowodzących, że oto właśnie spełnił się od dawna przewidywany scenariusz. A przecież nawet nie same wypowiedzi, ale konkretne decyzje polityczne są często dowodem tego, że „najbardziej przenikliwe umysły” faktycznie nie miały pojęcia, w jakim momencie historycznym się znajdują. U progu roku 1990 rząd Mazowieckiego złożył w Sejmie projekt budżetu, w którym były przewidziane miliardy na utrzymanie Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk. List gończy, nakazujący poszukiwanie ukrywającej się działaczki SW Jadwigi Chmielowskiej, został uchylony dopiero jesienią 1990 roku. Dopiero premier Jan Olszewski jasno postawił żądanie wycofania z Polski sowieckich jednostek wojskowych. Podobne fakty można by wymieniać jeszcze długo. Całe ich mnóstwo wskazuje na to, że w momencie, gdy system komunistyczny szedł w drzazgi, my mieliśmy u steru hamulcowych, którzy nie potrafili rozeznaczyć sytuacji, w jakiej się znajdowaliśmy. Stąd zbędne kompromisy, haniebnie spóźnione pierwsze wolne wybory, demontaż instytucji totalitarnego państwa – w przypadku perelewskich służb specjalnych trwający nawet kilkanaście lat.

To wszystko prawda, ale mieliśmy teraz mówić przede wszystkim o ludziach Solidarności Walczącej...

„Ludziach od Kornela” – tak się w latach osiemdziesiątych często mówiło. Ciekawe, czy ty też miałeś takie wrażenie, że co jakiś czas na kogoś z SW się przypadkiem „wpada”. Kiedyś przyszedłem z dzieckiem do przychodni na Kasprowicza. Tamtejszy lekarz tak jakoś zmrużył oczy i wpatrując się we mnie, przez chwilę jakby „przewracał kartotekę pamięci”, aż nagle wypalił: *Wiem! Przynosiłeś kiedyś bibułę od „Ogórkę”!* „Ogórek” był jedną ze skrzynek kontaktowych SW. Jakiś czas później zamieszkałem na



Demonstracja SW w Szczecinie

nowym osiedlu. Okazało się, że autorem jego projektu jest Wojciech Jarząbek – działacz Solidarności Walczącej. W „Galerii” na stronie internetowej SW któregoś dnia widzę skądś znajomą mi twarz. I zagadka się rozwiązuje – w latach osiemdziesiątych mieszkaliśmy w tym samym bloku, on parę pięter niżej. Ja nie miałem pojęcia o jego działalności, on o mojej. Zaskoczyło mnie też np., że w SW działał znany satyryk Stanisław Szcelc...

Stanisław Szcelc pisał w naszej prasie. Swymi przemyśleniami wspomagała nas „młoda lekarka” Ewa Szumowska. Bardzo często mam wrażenie podobne do twojego. Nie znałem przecież większości ludzi działających w naszej organizacji. Wiele razy miałem okazję zadać pytanie w rodzaju: *To on jest od nas?* I współpracownicy potwierdzali, że ta czy inna osoba działała w naszych strukturach.

**Chyba wszystkich, których wtedy spotykałeś, pytałeś o zdanie w różnych kwestiach. Powtórzę, że nie jest to zachowanie typowe dla człowieka mającego poglądy często oryginalne a zarazem bardzo trwałe, bo przecież nikt nie jest w stanie odmówić ci ideowej konsekwencji. Może więc ten twój zwyczaj pytania wszystkich o zdanie był sposobem na pozyskanie ludzi?**

Zawsze zależało mi, zależy i będzie zależało na pozyskiwaniu i przekonywaniu ludzi.

**Od wielu słyszałem spostrzeżenie w rodzaju: *Kornel Morawiecki często pyta innych o zdanie, choć zawsze swoje wie.***

Czy rzeczywiście jestem „okopany” w swoich poglądach? W sprawach zasadniczych zapewne tak, ale uważam też, że każdy pogląd powinien być stale poddawany weryfikacji. Niech pada na niego jak najwięcej „źródeł światła”, niech będzie kwestionowany, byle w zgodzie z logiką i z szacunkiem dla ważkich wartości. Poza tym ja lubię dowiadywać się, co ludzie myślą. Oczywiście, chodzi mi tu o myślenie o sprawach istotnych. Poglądy, przemyślenia, obawy ludzi Solidarności Walczącej zawsze miały dla mnie wielką wagę. Byliśmy i, mam nadzieję, będziemy kreatywni. Ten fragment rozmowy zaczęliśmy od tego, że Polska w latach wojny utraciła wielką część tej najlepszej, narodowej tkanki. Ludzie, którzy działali Solidarności Walczącej, są jednym z dowodów na to, że ta szlachetna warstwa polskiego społeczeństwa w jakiejś części została zrekonstruowana.

## Trochę lepszy świat

**W 1989 roku byłeś wśród ludzi Solidarności najbardziej znanym oponentem „okrągłostołowego” wariantu przemian. Naprawdę był on aż tak zły?**

W 1989 roku Polacy wygrali z komunizmem, ale przegrali z komunistami. Uważam, że zawarty wtedy kompromis był stanowczo zbyt daleko posunięty, był błędem. Strona partyjno-rządowa zdawała sobie sprawę z tego, że bez względu na to, jak potoczą się wypadki, jej dni są policzone. Przypomnijmy sobie wybory z roku 1988, na których frekwencja była mniejsza, niż kiedykolwiek. Nieuchronnie zbliżał się społeczny protest. Ludzie przestawali się bać. Władza chciała ratować dla siebie to, co się da. Bezkarność, bezpieczeństwo, przywileje, wpływy, ale już nie samą władzę. Uważam, że udało jej się uratować dla siebie zbyt wiele. Na tyle dużo, że Trzecia Rzeczpospolita narodziła się jako twór etycznie kaleki.

**Od kilkunastu lat normą w Trzeciej Rzeczypospolitej jest kilka tysięcy złotych emerytury dla ubeka, który dla Polski zasłużył się wybijaniem zębów patriotom. A dla tych, których zgnojono za walkę o wolną Polskę, czasem wręcz głodowa zapomoga.**

Czyżby i tobą kierowała żądza zemsty, nienawiść, chęć *polowania na czarownice*? A ja po prostu nie wiem, jak mam wytłumaczyć uczniom czy studentom, że opłaca się być człowiekiem uczciwym, że warto być z walczącymi o słuszną sprawę, a nie ze zdrajcami. Ja nie wiem, jak można uzasadnić kilkakrotnie wyższe emerytury oprawców od emerytur ich ofiar. Uprzywilejowanie byłych funkcjonariuszy PZPR i SB ustanowili ludzie teoretycznie wywodzący się z Solidarności. Ci sami, którzy ofiarom komunizmu i zbójeckich przemian gotowi byli z łaski dać miskę zupy. Na takim ładzie moralnym niczego zdrowego nie da się zbudować. Upowszechniają się więc dziś postawy cyniczne, obojętne na interes społeczny czy narodowy. Zanik postaw patriotycznych, obywatelskich, jest w znacznej mierze efektem tego bezładu moralnego, jaki wypoczarzył się w 1989 roku. Z ustrojowej transformacji zwycięsko wyszła jedna społeczna grupa: komunistyczna nomenklatura. Przeobrazili się w finansową elitę.

### **A druga strona „okrągłego stołu”?**

Też wiedziała, że ma „swoje pięć minut”. Przygotowany niepisany scenariusz akurat tych ludzi kreował, nagłaśniał, uprzywilejowywał. To oni zostali dopuszczeni do tego „dzieleniu tortu” i z okazji tej skwapliwie skorzystali.

**Wiele więc w Polsce poszło źle. Dla sprawy niepodległości, obalenia komunizmu poświęciłeś wyjątkowo dużo. Od 1981 do 1990 twoje życie składało się z ukrywania się, uwięzienia i kilku miesięcy wygnania. To był czas, w którym nie mogłeś kontaktować się z bliskimi, z czworgiem swoich dzieci. Życie rodzinne na ten czas przestało dla ciebie istnieć, nie wspominając o zawodowym, o karierze naukowej, innych marzeniach, planach. Nikt też z podobnie znaczących postaci Solidarności nie został w wolnej Polsce potraktowany równie fatalnie. Warto więc było?**

Warto, i to bardzo. Konspiracje innych pokoleń Polaków spływały krwią i kończyły się klęską. Mój przyjaciel, doktor Zdzisław Ojrzyński, zaangażował się w konspirację przeciw hitlerowskiej okupacji. Gestapo szybko wpadło na trop tej, związanej w Wieluniu, kilkunastoosobowej grupy nastolatków. Ojrzyński był jedynym, który przeżył. Ocalenie zawdzięcza temu, że był najsłabszy. W czasie tortur tracił przytomność i czasem nie mogli go docucić. Przeszedł piekło obozu, ale przeżył i później działał z nami w Solidarności Walczącej (zmarł w 1999 r.). Jego kolegów z konspiracji gestapowcy zatłukli już w czasie przesłuchań. Ileż można by przytoczyć takich opowieści! Czy mamy prawo narzekać? Czy powodem do jakiejś szczególnej chwały jest to, co zrobiliśmy? W naszym przypadku wiele poszło źle, ale doszło przecież do zmian zasadniczych. Jeśli chodzi o godności, nagrody, profity – na żadną z tych rzeczy nigdy nie liczyłem. Rzeczywistość, jaka wykluła się w 1989 roku, była daleka od ideału. Ale tak już jest. Do ideału trzeba dążyć, ale należy mieć świadomość, że nigdy się go nie osiągnie. Jeśli porównamy rzeczywistość z początku lat osiemdziesiątych z tą dzisiejszą, zobaczymy, że wydarzyło się ogromnie wiele dobrego. Nie ma w Europie komunizmu, rozpadł się Związek Sowiecki. Mamy niepodległość. Zagrożenie nuklearne jest dziś mniejsze, niż przed laty. Uzyskałszy to wszystko niemalże bez rozlewu krwi.

Czy warto było? Po stokroć: tak! Nasz nowy świat daleki jest od świata z naszych marzeń. Ale to jest lepszy świat od tego, który był. Przed Tobą, przed Twoim pokoleniem stoi zadanie dalszej jego poprawy...



## Aneks



### ZASADY IDEOWE I PROGRAM SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

#### DEKLARACJA

Stanowimy organizację Solidarność Walcząca. Naszą dewizą: „wolni i solidarni”. Wyrośliśmy z powszechnego ruchu społeczno-wyzwoleńczego, z Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Pracą, czynem i walką chcemy poprawiać dolę człowieka, chcemy budować sprawiedliwszy, bogatszy i piękniejszy świat. Zmierzamy do niepodległej, demokratycznej Polski. Dążymy do wyswobodzenia narodów z pęt komunizmu. Będziemy głosić prawdę i żyć nadzieją, choćby nam przyszło ginąć w obronie ciemionych ludzi i bezczeszczonych wartości. Oto nasza rota:

*Wobec Boga i Ojczyzny przysięgam walczyć o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą Solidarną, poświęcać swe siły, czas – a jeśli zajdzie potrzeba – swe życie dla zbudowania takiej Polski. Przysięgam walczyć o solidarność między ludźmi i narodami. Przysięgam rozwijać idee naszego Ruchu, nie zdradzić go i sumiennie spełniać powierzone mi w nim zadania.*

Wolność i solidarność są dla nas racją, są naszą drogą i będą nam zwycięstwem.

## STRESZCZENIE

### 1. Nasze wartości

Człowiek jest podmiotem społeczeństwa, ale nasz los i to, jacy jesteśmy w olbrzymim stopniu zależy od rodziny, środowiska, narodu, od bliższych i dalszych społeczności, które nas kształtują, uczą prawdy i miłości.

Rozwój społeczeństw, kultur i cywilizacji wymaga wysiłków i poświęceń na rzecz wspólnego dobra, wymaga śmiałych wizji i nowych rozwiązań, lecz jeszcze bardziej wymaga trzymania się sprawdzonych zasad i wartości. Są nimi: przyrodzona każdemu wolność, solidarność i współczucie z cierpiącymi, wiara i wyznawanie prawdy, przestrzeganie Praw Człowieka, niezbywalne prawo narodów do niepodległości.

Państwa winny być rządzone demokratycznie – w oparciu o wolę większości wyrażoną w wolnych wyborach, z poszanowaniem praw i swobód mniejszości. Władze państwowe mają dbać o obywateli, o suwerenność kraju, nie powinny jednak zajmować się całością sfery publicznej. Sprawy lokalne trzeba przekazać samorządom – tym, których sprawy te dotyczą, którzy chcą uczestniczyć w ich rozstrzygnięciu.

Ludzką potrzebą i obowiązkiem jest praca. Nadaje sens życiu i przysparza dobrobyt. Pracy wydajnej, użytecznej dla ogółu i samego zatrudnionego najbardziej sprzyja rynkowy system gospodarowania i wymiany. Prowadzi on jednakże do częstokroć ostrego podziału na bogatych i biednych. W pewnym stopniu ten prastary konflikt społeczny neutralizują cywilizacje „znaki czasu”. Rodząca się po-przemysłowa, informatyczna cywilizacja upowszechnia dostatek oraz przesuwa akcenty z chęci użycia i posiadania na zdobywanie wiedzy i współdziałanie w tworzeniu dóbr.

Całe dziedzictwo ducha i cały dorobek materialny powstały na bazie współpracy i konkurencji. Zdrowa rywalizacja ludzi i społeczności – to potężny czynnik postępu. Należy tylko baczyć, by był to postęp w stronę dobra.

W dobie nuklearnej bezcenne dobro dla ludzkości stanowi pokój. Żeby go utrzymać konieczna jest dominująca siła państw demokratycznych. Tylko wówczas dyktatury, w szczególności komunizm, które stosują przemoc wobec własnych społeczeństw, nie poważą się na zaatakowanie wolnych krajów.

O niezawisłość, demokrację i dobrobyt należy walczyć i trzeba ich bronić. W perspektywie szerszej niż osobiste życie, zawsze warto stawiać czoła złu, by je przemóc.

Umacnia nas przekonanie i nadzieja, że to co robimy, jest w stanie czynić świat lepszym, bardziej ludzkim.

### 2. Nasza ocena sytuacji

Globalnej poprawie warunków życia zachodzącej w bieżącym stuleciu i dalszemu rozwojowi ludzkości zagrażają dwa główne niebezpieczeństwa: wojna światowa i reżimy totalitarne, zwłaszcza komunizm. Niebezpieczeństwa te idą w parze.

Komunizm – system panujący w ok. 30 państwach tzw. realnego socjalizmu – gwałci Prawa Człowieka i prawo narodów do niepodległości. Kraje uciskane przez ten reżim, w tym i Polska, poniosły i ciągle ponoszą niewyobrażalne straty moralne, społeczne i ekonomiczne. Tkwią w kryzysie.

Związek Radziecki, imperialne mocarstwo komunistyczne, szantażuje świat groźbą nuklearnej zagłady, jedynym radykalnym sposobem oddalenia tej groźby byłaby demokratyzacja całego obozu komunistycznego. Demokracje nie wszczynają wojen. Broń i decyzje jej użycia zależą w nich od rządów kontrolowanych przez społe-

czeństwa, a nie, jak w komunizmie, od partyjno-mafijnej kliki, której władza jest niczym nieograniczona.

Komunizm przypisał sobie na korzyść zmiany obiektywnie zachodzące po I wojnie światowej – burzliwy ekonomiczny i edukacyjny awans warstw proletariackich. Na zwodniczy obraz komunizmu jako rzekomego obrońcy wartości humanitarnych i demokratycznych wpłynęło również bohaterstwo żołnierzy i wkład narodów radzieckich w rozbięcie faszyzmu w ostatnich 4 latach II wojny światowej.

Dobiega końca okres zaczerpnięcia ideologią i praktyką komunizmu. Wyszyły już w większości na jaw przerażające zbrodnie systemu. Okazało się już dobitnie jego niedopasowanie do kształtu nowoczesności – nie do pomyslenia bez wolnego obiegu idei i informacji, bez swobody podróżowania i inicjatyw społecznych.

Im szybciej komunizm zostanie zastąpiony przez nowy demokratyczny ustrój, tym lepiej dla ludzi i narodów, które niewoli. Tym lepiej dla ludzkości.

### 3. Nasza wizja

Naszym wielkim celem jest niepodległa Rzeczpospolita Solidarna, wyzwolenie z komunizmu ludzi i narodów.

Proponujemy w zamian ustrój demokratyczny zwany przez nas solidaryzmem. W ustroju tym władze państwowe wybierane w wolnych parlamentarnych wyborach byłyby uzupełniane i ograniczane przez władze typu samorządowego – terytorialne, związkowe, pracownicze. Podziały kompetencji oraz regulacje stosunków między tradycyjną władzą – ustawodawczą, wykonawczą, sądowniczą – a władzami samorządowymi zorganizowanymi aż po krajowy szczebel, będą wymagały dobrej woli stron i dopracowań instytucjonalnych (powiedzmy – sejmowej Izby Samorządowej). Nie przesadzamy schematu tych zmian.

Chcemy, by w solidaryzmie gospodarką sterował rynek z dopuszczeniem różnych form własności – od prywatnej do państwowej – i różnych metod zarządzania. Bez preferencji dla żadnej z form czy metod. Proporcje ułożą się same. Zgodnie z regułami gry rynkowej, z uwzględnieniem aktualnego stanu mocy wytwórczych i oczekiwań społecznych.

Postulujemy, by ten ustrój dawał każdemu gwarancję elementarnego utrzymania. Tym, którzy są do pracy niezdolni, bezrobotnym, nieprzystosowanym i nawet tym, którzy nie chcą pracować. Uważamy, że wolne, nowoczesne społeczeństwo stać będzie na taką bezwarunkową solidarność ogółu z jednostką.

W poszerzenie obszarów wolności i demokracji, w likwidację nędzy i bezprawia powinny mocniej włączyć się rządy i społeczeństwa wolnych państw. Powinny one wspierać wolnościowe ruchy wewnątrz reżimów komunistycznych i demokratyczne siły polityczne w innych państwach dyktatorskich.

Widzimy zasadność poniechania przez narody zamknięte w obozie sowieckim wszelkich roszczeń i sporów terytorialnych. Dotyczy to także republik ZSRR w ich obecnych granicach. Chodzi o to, żeby takie spory nie przeszkadzały i nie opóźniały najważniejszego: wybijania się narodów na niepodległość i demokrację.

### 4. Organizacja

Dla osiągnięcia zamierzeń budujemy, od czerwca 1982 r., konspiracyjną organizację Solidarność Walcząca (SW). Uważamy się za kontynuatorów radykalnego nurtu NSZZ „Solidarność”, nurtu znaczonego na I Krajowym Zjeździe „Posłaniem do ludzi pracy Europy Wschodniej”.

Poprzez działalność informacyjno-wydawniczą głosimy prawdę i krzewimy nasze ideały.

Członkiem SW zostaje się po złożeniu przysięgi (patrz: Deklaracja). Członkostwo nie jest ewidencjonowane. Fundusze czerpiemy z wydawnictw i dobrowolnych datków. Naczelnymi władzami SW są: Przewodniczący, Rada i Komitet Wykonawczy.

Zawiązaliśmy się we Wrocławiu, obecnie mamy swoje terytorialne oddziały w kilkunastu miastach Polski. Grupy członków i sympatyków SW powstają w wielu środowiskach; często same określają sobie zadania.

SW traktujemy jako główny środek i sposób na realizację Rzeczypospolitej Solidarnej. Wewnętrznie wolni, we własnej organizacji zdobywamy hart, zawiązujemy przyjaźnie, uczymy się solidarności.

### 5. Program bieżący

Odrzucając kompromisy z władzą komunistyczną, chcemy działać na rzecz polepszenia warunków materialnych i socjalnych, chcemy przygotować się do nieuniknionych ewolucyjnych lub rewolucyjnych przemian. Wyodrębniamy 3 fazy na drodze przewyciężenia komunizmu. Fazę A – wymuszanych reform, w której cele wyznaczać będzie zmaganie się z kryzysem i która powinna doprowadzić do wyłonienia, jeszcze w ramach systemu, rządu otwartego na demokrację. W fazie B z rządem będą współdziałały samorządne zorganizowane siły społeczne z NSZZ „Solidarność”, z innymi związkami, stowarzyszeniami twórczymi itp. W tej fazie powinien nastąpić rozdział władzy politycznej od gospodarki. Faza C – to dochodzenie do pluralizmu politycznego, upodmiotowienie społeczeństwa i przejście do demokracji. Przewidujemy, że stanie się to jeszcze w bieżącym stuleciu.

Uczestnicząc w tych procesach, będziemy walczyć o serca i umysły, rozpowszechniając wyznawane przez nas wartości i świadcząc za nimi swą obecnością i postawą. Będziemy walczyć wspólnie z „Solidarnością”, z niezależnymi ruchami chłopskimi, młodzieżowymi, pokojowymi, ekologicznymi itp. o swobody obywatelskie, o poprawę stopy życiowej. Będziemy inicjować i wspierać akcje pomocy prześladowanym, tak w kraju jak i za granicą. Będziemy dążyć do współpracy ze wszystkimi ludźmi i organizacjami, które są za wolnością i demokracją.

Doceniamy potrzebę ogólnopolskiego porozumienia politycznych i związkowych struktur podziemnych. Lecz, aby to porozumienie nie było tylko papierowym, wchodzące do niego struktury, w tym i SW, muszą stać się mocniejsze.

Na jaskrawe akty przemocy reżimu, na możliwą eskalację gwałtu, chcemy umieć odpowiedzieć czynną obroną i samoobroną. Odżegnujemy się przy tym od terroryzmu, od zasady, że cel uświęca środki. Za wzór oporu czynnego mamy Armię Krajową – licząc się oczywiście z odmiennością warunków działania.

W sytuacji spodziewanego masowego wybuchu będziemy starać się o solidarne wzmoczenie fali strajków i protestów. Proponujemy nową formę walki: strajki czynne produkcyjne. Załogi nie przerywają pracy, tylko wybierają strajkową radę pracowniczą – naczelną władzę w zakładzie na czas strajku. Delegują też przedstawicieli do solidarnościowych rad międzyzakładowych. Będą to zaczątki samorządowej władzy pracowniczej przyszłej wolnej Polski.

### 6. Perspektywy

Komunizm, strukturalnie niezdolny do wejścia w epokę cywilizacji informatycznej, musi zostać stopniowo lub gwałtownie przekształcony w ustrój demokratyczny.

Grozą przejmując myśl, że w trakcie upadania systemu Związek Radziecki mógłby sprowokować wojnę jądrową. Myśl ta paraliżuje jakikolwiek sprzeciw. A właśnie polityka ustępstw Zachodu i potulność ujarzmianych narodów mogą tylko rozzu-chwalić dyktatorów i nasilić szantaż z ich strony. Tak, że na koniec zadufani, pod byle pretekstem nacisną, co nie daj Boże, atomowy spust. Natomiast presja i opór wymuszają proces demokratyzacji wewnątrz bloku, niejako oswajają komunistyczne rządy i w efekcie zmniejszają groźbę agresji.

W wyzwolonej Polsce nie od razu nastanie dobrobyt. Dużo trudu i energii zabierze odrabianie strat spowodowanych przez długie dziesięciolecie komunizmu. Ten trud się opłaci. Otwarcie kraju, swoboda gospodarowania oraz solidna, uczciwa praca „na swoim” przyniosą znaczną materialną poprawę ogółowi społeczeństwa. Wyniki przyjdą już po paru latach.

Teraz dusimy się, marniejemy w atmosferze komunistycznego zakłamania i bezsensu. Chcemy sprostać wyzwaniom i wykorzystać możliwości nadchodzącej cywilizacji. Do godnego życia potrzebujemy niepodległej demokratycznej Polski. O nią walczymy. Musimy pokonać wiele przeszkód, w tym własne słabości, strach przed więzieniem, przed represjami. Droga nasza jest ciężka i wyboista, ale taka, co prowadzi do wolności i solidarności. Droga tą iść trzeba i iść warto. Pójdź z nami.

### I. NASZE WARTOŚCI

#### 1.1. Człowiek i społeczeństwo

Ludzie tworzą społeczności, budują cywilizacje i sami z kolei są przez nie kształtowani. Człowiek rodzi się dzieckiem Boga, rodziny i ojczyzny, mieszkańcem regionu i obywatelem państwa. Jego osobowość dojrzewa w powiązaniu ze środowiskiem, które go otacza i które on sam stopniowo zmienia, wchodząc w wielorakie wspólnoty i związki. Tak właśnie, jako członkowie społeczności poznajemy i odkrywamy prawdę i piękno, przyjmujemy i czynimy dobro i sprawiedliwość, przechowujemy stare i sięgamy po nowe.

#### 1.2. Rozwój

Wierzenia i obyczaje, wiedza i sztuka, prawa i ustroje, różne w różnych czasach i miejscach, podlegają ciągłym przemianom. Każdy z nas uczestniczy w tych procesach i każdy od nich zależy. Żyjemy połączeni i zarazem podzieleni na kultury i religie, rasy i narody, na warstwy i klasy, państwa i bloki. Te oraz inne, szersze lub węższe społeczności o ostrych lub rozmytych kontuarach niosą, przekazują i wymieniają między sobą wartości i idee. Lecz w dłuższej perspektywie trwać, rozwijać się i pomnażać wartości mogą tylko takie społeczności, których członkowie gotowi są do działań i wyrzeczeń w imię wspólnego dobra. Tylko takie, za którymi stoi siła i słuszność tego co wyznają, głoszą i stosują.

W tym dziejowym ruchu odrzucanie sprawdzonych, uznanych reguł i idei jest równie zgubne jak zamknięcie się i skostnienie. Trzeba iść ku nowemu, ku lepszemu ze śmiałością i wizją, z rozeznaniem materialnych i duchowych wymiarów rzeczywiście, lecz jeszcze bardziej trzeba trzymać się podstawowych zasad i prawd.

1.3. Wolność i solidarność są podstawowymi wartościami społecznymi. Możemy i powinniśmy być wolni i solidarni. Odwieczne dążenie człowieka do lepszego życia dla siebie i swoich bliskich wymaga troski o innych, o wspólnoty, którym zawdzięcza to, kim jest. Nasz jednostkowy los złączony jest z losem narodu, cywilizacji, z tymi, co byli przed nami i tymi, co przyjdą po nas.

Nie ma wolności bez odpowiedzialności i dbałości o całość. Dopiero solidarność utrwala i uszlachetnia indywidualne sukcesy - „pomagając innym, pomagasz sobie”. Współczucie cierpiącym i nieszczęśliwym kładzie tamę nieszczęściu. Solidarność oznacza – jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego, jest społeczną realizacją świętej, wielkiej maksymy – miłości bliźniego.

#### 1.4. Prawa Człowieka

Ta maksyma leży u podstaw powszechnego przekonania o równości, braterstwie i godności ludzi, o przyrodzonych im prawach i wolnościach zwanych Prawami Człowieka. Każdemu przysługuje prawo do życia, wolność osobista, swoboda wiary i przekonań, prawo do nieskrępowanej pracy, inicjatyw produkcyjnych i twórczości, swoboda zrzeszania się. Prawa Człowieka obowiązują każdą społeczność – tak wobec swoich jak i obcych.

#### 1.5. Niepodległość

Osobliwie istotnymi społecznościami są narody. Przekazują swoim i ludzkości skarby tradycji, kultury, języka, gromadzone przez pokolenia. Wszystkie narody mają prawo do niepodległości. Suwerenna wola narodu winna określać formy własnej państwowości, ustrój i związki z innymi narodami.

#### 1.6. Niepodległa Polska

Polacy przez wieki okazywali patriotyzm i strzegli honoru, przelewali krew za wolność waszą i naszą. Mają oni niezbywalne, ciągle niespełnione prawo do niepodległej Polski.

#### 1.7. Demokracja

Państwo – to obywatele, terytorium i wewnętrzny ład. Każde państwo w jakimś stopniu zaspokaja potrzeby obywateli i zarazem ogranicza ich swobody przez prawo i obowiązki.

Państwami, które obecnie najszerzej zaspokajają potrzeby i najmniej ograniczają swobody są państwa demokratyczne. Władzę państwową sprawują w nich przedstawiciele większości i, co równie ważne, przestrzegane są w nich prawa osób i mniejszości, respektowane są odmienności etniczne i regionalne. Gospodarka jest samodzielna. Władza polityczna pełni rolę rozjemcy w sporach między grupami i warstwami społecznymi – ustępuje gdy traci poparcie większości. Obywatele wiedzą, że mają wpływ na rząd, na politykę swego państwa.

W demokracjach rozkwita tolerancja, szanuje się godność człowieka, różnorodność jego wyborów i upodobań.

#### 1.8. Uczestnictwo

Życie publiczne toczy się na wielu przecinających się poziomach i sferach. Wzbożga je różnorodność kierunków i struktur. Chodzi w szczególności o to, żeby poziomy

„wyższe” nie ograniczały aktywności poziomów „niższych”. Żeby do tego, co może być zrobione dzięki samoorganizacji na szczeblu lokalnym i sąsiedzkim, w zespole pracowniczym czy w grupie towarzyskiej, nie angażować maszyny państwowej. Żeby państwo nie było zobowiązane i uprawnione do regulacji całokształtu aktywności publicznej, a tym bardziej do ingerencji w sferę prywatności.

Bez samorządów nawet demokratycznym rządom grozi społeczne wyobcowanie. Dopiero podejmując to, co się dzieje koło nas i uczestnicząc w tym, stajemy się gospodarzami w swym środowisku, w regionie, w kraju.

### 1.9. Praca

Ludzka potrzeba i koniecznością jest praca. Umożliwia ona i ułatwia życie – nadaje mu ponadsobowe piękno i sens. Praca, talenty, umiejętności i cała szeroko pojęta działalność gospodarza tworzą dobrobyt.

### 1.10. System rynkowy

Wzrostowi dobrobytu najlepiej sprzyja system rynkowy. Jest to system, który premiuje pieniędzmi taką pracę i produkcję, którą inni chcą kupić, a za te pieniądze pozwala nabyć dobra i usługi oferowane na wolnym rynku. Realizacja własnych potrzeb i chęci jest w nim więc nierozłączna z realizacją potrzeb bliźnich. Pospolity pęd do osobistego bogacenia się został tu organicznie sprzężony z pomnażaniem i wymianą poszukiwanych wytworów... Naturalne regulatory rynku – popyt i podaż, cena i zysk – lepiej sterują przepływem pracowników i kapitałów i skuteczniej wpływają na rozwój mocy wytwórczych niż centralne planowanie.

Podnoszeniu ogólnego dobrobytu towarzyszy jednak rosnące rozwarstwienie materialne. Bogaci bogacą się szybciej niż inni. Rwie to więzi społeczne, prowadzi często do subiektywnego poczucia niesprawiedliwości, do stanu rezygnacji lub buntu w warstwach biedniejszych. Zewnętrzne korekty systemu w postaci progresywnego podatku, wydatków socjalnych, administracyjnych zakazów, dotacji itp. wymagają specjalnej ostrożności. Łagodzenie powstałych na rynku nierówności narusza rynkowe mechanizmy, które z reguły nagradzają pracowitość, pomysłowość, wytrwałość i przez to może prowadzić do ubożenia ogółu. Z tych wszystkich względów najważniejszą oprawę polityczną dla systemu rynkowego stanowią rządy demokratyczne.

Rynek przenika też bariery państw i bloków. Światowa gospodarka i handel przyczyniają się do ogólnego podnoszenia stopy życiowej, ułatwiają porozumiewanie się społeczeństw.

### 1.11. Znaki czasu

Obecny rozwój cywilizacyjny prowadzi do łatwiejszego dostępu do coraz wyższych dóbr przez wciąż rosnącą populację, poszerza możliwości indywidualnych i społecznych wyborów. Przy pewnym poziomie zabezpieczenia materialnych potrzeb i nawet w miarę ich wzrostu, przewagę zyskują potrzeby duchowe, intelektualne. Nad „mieć” i „używać” zaczynają przeważać „wiedzieć” i „uczestniczyć”. Te tendencje – dominacja nauki i wynalazczości nad produkcją, twórczości i właściwych stosunków międzyludzkich nad kapitałem – są już wyraźne w krajach wchodzących w erę cywilizacji informatycznej. Cywilizacji, która jak żadna przed nią pozwala na łączność i zbliżenie ludzi i kultur. Może ten cywilizacyjny zwrot, otwie-

rający nowe horyzonty, stawiający nowe wyzwania, pozwoli załagodzić dotychczasowy podział na bogatych i biednych i następnie przejść nad nim do porządku.

#### 1.12. Współpraca i konkurencja

Całe nasze dziedzictwo, całe bogactwo myśli i dóbr powstało w szerokich ramach współpracy. Ludzie łączą się w zespoły i wspólnoty – tak są w stanie więcej zrozumieć i dokonać. Łączenie się i współpracę ułatwia świadomość zasadniczej równości ludzi względem siebie i względem prawa.

Trzeba wszakże pamiętać, że ta świadomość w żadnym wypadku i na żadnym polu nie ma hamować wybijania się najlepszych. Ci najlepsi służą za wzór, pobudzają u innych chęć dorównania im i prześcignięcia. Konkurencja jest nieodzownym uzupełnieniem współpracy. Jednostki, firmy, narody, systemy ustrojowe z natury rzeczy konkurują ze sobą – stanowi to motor postępu. A sumienie, moralność, prawo i opinia publiczna winny czuć, by był to postęp w kierunku dobra.

#### 1.13. Pokój

Niepodważalnym dobrem dla ludzkości jest pokój. Warunkiem zachowania światowego pokoju i ograniczenia wojen lokalnych jest siła państw demokratycznych. Nie chodzi o równowagę strachu. Potencjalny napastnik musi bać się bardziej. Nie można się łudzić, że powszechne rozbrojenie będzie możliwe dopóki naprzeciwko demokracjom stoi komunizm, stoją dyktatury. Używający przemocy w stosunku do własnego społeczeństwa nigdy szczerze nie wyrzekną się jej w stosunkach międzynarodowych. Zawsze będą zagrożeniem dla pokoju – bez względu na podpisywane układy i deklaracje.

Dla utrzymania pokoju nie wystarczy sama technologiczna i materialna wyższość krajów demokratycznych. Konieczna jest w społeczeństwach tych krajów gotowość do samozaparcia w imię obrony kultury i dobrobytu. Konieczne jest poparcie wolnych narodów dla walki o wolność narodów i ludów zniewolonych.

#### 1.14. Walka ze złem

Ustroje i władze, polityka i porządki społeczne nie są moralnie obojętne. Każdy ma obowiązek i interes w tym, żeby kraj, w którym mieszka, był rządzony w świetle prawdy i sprawiedliwości. Kłamstwo i nieprawość wpisane w system zatruwają i zabijają – niewinne ofiary, obojętnych obserwatorów oraz tych, którzy mu służą. Współudział w nieprawych strukturach wyrządza zło i krzywdzi nie tylko drugich – wcześniej lub później, ale nieuchronnie, samym krzywdzicielom szykuje marny los. W ostatecznym rachunku, w perspektywie trwania tego, co przerasta naszą jednostkową egzystencję, opłaca się uparcie przeciwstawiać wszelkim systemom zła i zwyciężać je walką.

#### 1.15. Nadzieja

Ponad wszystkim, co robimy, stoi nadzieja. Tożsama z wiarą w sens życia i ideałów. Silniejsza od śmierci. Tożsama z przekonaniem, że nasze przemyślenia i wysiłki, nasza walka i poświęcenie są w stanie uczynić świat znośniejszym, bardziej ludzkim.



## II. NASZA OCENA SYTUACJI

### 2.1. Ogólna poprawa warunków życia na świecie

Postęp naukowo-techniczny, którego źródłem są regiony i kraje najbardziej rozwinięte (Europa Zachodnia, Ameryka Północna, Japonia) przeobraża życie ludzi we wszystkich zakątkach globu. Dzięki niemu możliwy był bezprzykładny wzrost liczby ludności w bieżącym stuleciu, mimo dwu wojen światowych, masowego terronu z ZSRS, w III Rzeszy, w Chinach, Kambodży, mimo szeregu starć i wojen lokalnych (Hiszpania, Indie, Grecja, Korea, Wietnam, Algeria, Węgry, Indonezja, Nigeria, Angola, Etiopia, Gwatemala, Nikaragua, wiele innych krajów Afryki i Ameryki Łacińskiej, wojna iracko-irańska, Afganistan – to tylko główne konflikty lokalne ostatniego półwiecza). Jest nas już 5 miliardów i choć ciągle setki milionów cierpią nędzę, głód i poniżenie, to upowszechnienie oświaty, higieny i opieki medycznej, nowe sposoby upraw, produkcji przemysłowej i organizacji pracy, poszerzenie wolnego handlu i wymiany kulturalno-gospodarczej, zniesienie niektórych barier rasowych i społecznych – umożliwiło dostatniejsze i coraz dłuższe życie znacznie większej liczbie ludzi. Tę istotną poprawę należy docenić i starać się, żeby następowała nadal.

### 2.2. Zagrożenia

Tym procesom wzrostu towarzyszą jak cień rozliczne zagrożenia, niełatwe do obiektywnego uszeregowania. Można by je wymieniać: bezideowość, utrata wiary i sensu istnienia, osłabienie więzi rodzinnych i wspólnotowych, zanieczyszczenie środowiska i wyczerpywanie się bogactw naturalnych, rozziw ekonomiczny między krajami bogatymi a biednymi, eksplozja demograficzna w regionach zacofanych i starzenie się społeczeństw cywilizacyjnie zaawansowanych, narkomania, terroryzm, fałszywizm, rasizm, szowinizm. Wszystkie te i inne poważne światowe problemy, nie są jednak w stanie przerwać pochodu współczesnej cywilizacji (niektóre z nich już tracą na ostrości: np. Obserwuje się odrodzenie wiary wśród młodych, a wprowadzanie nowych materiałów i czystych technologii chroni bogactwa i środowisko naturalne).

Dalszemu rozwojowi ludzkości zagrażają obecnie dwa zasadnicze niebezpieczeństwa: nuklearna wojna światowa i reżimy totalitarne, zwłaszcza komunizm. Oba te niebezpieczeństwa są ze sobą ściśle związane.

### 2.3. Komunizm

Komunizmem nazywamy tutaj ustrój o charakterze totalitarnym, występujący w różnych formach, określanymi najczęściej jako „socjalizm” albo „realny socjalizm”, w ok. 30 państwach (łącznie ponad 1,6 mld ludzi). Jedno z nich: Związek Radziecki jest militarnym supermocarstwem, drugie: Chiny, również ku temu podąża. ZSRS jest ponadto imperium panującym wprost albo za pośrednictwem namiestniczych rządów nad narodami Europy Środkowo-Wschodniej (w tym nad Polską). Kontroluje też niemal wszystkie, poza Chinami, kraje komunistyczne, przez faktyczne uzależnienie od Moskwy partii i klik sprawujących władzę w tych krajach.

Komunizm to ustrój niesprawiedliwy i niedemokratyczny, w którym władza należy do nielicznych uprzywilejowanych, w którym zbiorowe sprzeciwy tłumione są przez policję i wojsko. To system sprawowania i koncentracji władzy dla władzy. Pod biurokratyczną presją zamiera aktywność i marnuje się społeczna energia. Rozległe dziedziny życia publicznego są poddawane dyktatowi zasklepionej w sobie

warstwy – partyjnej nomenklaturze. Ograniczenia wymiany myśli, twórczości i inicjatywy gospodarczej zubażają kraje i ludzi. Nawet pieniądź traci w komunizmie rolę obiektywnego ekonomicznego miernika. Nowe podejścia socjalne, a często odkrycia techniczne są stopniowane przez aparat władzy, gdyż mogłyby podważyć jego status. Awansowanie posłusznych zamiast najlepszych w każdym zawodzie, fałszuje samą skalę awansu, utrudnia tak indywidualne jak i zbiorowe doskonalenie się. Ustrój ten nie respektuje swobody zrzeszania się, wolności słowa oraz innych praw człowieka.

#### 2.4. Szacunki strat

Společne i materialne straty spowodowane przez komunizm są olbrzymie. Pewne o nich wyobrażenie daje porównanie poziomu życia w NRD i RFN oraz prężności gospodarczej dwu państw jednego narodu niemieckiego. Jeszcze drastyczniejszego przykładu dostarcza Korea. Komunistyczna Korea Płn. jest biedna i zacofana a Korea Płd. zaczyna konkurować z Japonią. Podobnie wypada porównanie Polski z Hiszpanią czy Włochami – państw, które przed 40 laty były na mniej więcej podobnym poziomie gospodarczym. Obecnie Polska nie może się nawet mierzyć z tymi krajami pod względem nowoczesności i zamożności społeczeństwa, nie mówiąc już o prawach i swobodach obywatelskich.

Przez 42 lata rządów komunistycznych względna pozycja Polski i standard życia Polaków spadły w porównaniu ze wszystkimi krajami niekomunistycznymi (np.: a) przed wojną Polska wytwarzała samoloty światowej klasy, obecnie daleko nam od tego; b) przeciętna płaca realna jest teraz niższa niż w 1946 r.). Na konto tych rządów zapisać trzeba również gros niewymiernych, niepowetowanych strat moralnych – upadek kultury ogólnej, etosu rzetelnej pracy i fachowości, atomizację społeczną i zanik odpowiedzialności za siebie i za całość, znieczulicę, karierowiczostwo, alkoholizm itp.

Stosowana przez władzę, poniżająca praktyka „dziel i rządź” jednym rzuca byle co, drugich spycha w nędzę. Najczęściej najślabszych – niepełnosprawnych, emerytów, rodziny wielodzietne. Pozałowania godna jest sytuacja młodzieży. Publiczne zakłamanie i gospodarczy zastój skłaniają młodych do zamknięcia się w prywatność lub do emigracji. Nie znajdują oni motywacji do zdobywania wiedzy i wykształcenia. Cywilizacyjne zapóźnienie powoduje, że nawet odłamy szerzej rozumianych kręgów władzy żyją na ogół biedniej niż warstwy niższe w wolnych krajach.

W podobnym strukturalnym kryzysie społecznym znajdują się pozostałe europejskie kraje tzw. demokracji ludowej i ZSRS. Znacznie gorzej jest w takim np. Wietnamie, na Kubie czy w „socjalistycznych” państwach Afryki.

Jedynym, wątpliwej jakości „sukcesem” komunizmu jest, nieproporcjonalny do ogólnego niedorozwoju, wzrost potęgi militarnej ZSRS. Ten „sukces” zagraża istnieniu świata.

#### 2.5. Groźba wojny jądrowej.

W związku Radzieckim broń jądrowa i środki jej przenoszenia są poza wszelką społeczną kontrolą. Mocarstwo to szantażuje narody, nad którymi władza i inne państwa swym monstrualnym i ciągle rozbudowanym potencjałem militarnym, przemocą i podstępem rozszerza obszary swego panowania. ZSRS nie raz pokazał swe zbrodnicze oblicze – dziesiątki milionów niewinnie pomordowanych własnych oby-

wateli, przymusowa kolektywizacja i głód na Ukrainie i Rosji w latach 30-tych, deportacje całych narodów, najazd na Polskę w 1939 r. i wkrótce potem na Finlandię i kraje bałtyckie, najazd na Węgry w 1956 r., na Czechosłowację w 1968 r., obecna ludobójcza wojna w Afganistanie.

W 1946 r. ZSRS odrzucił amerykański plan poddania broni atomowej, posiadanej wtedy tylko przez USA, kontroli międzynarodowej (tzw. plan Barucha). Oznaczało to zapoczątkowanie atomowego wyścigu zbrojeń. Jego efektem jest groźba wojny, która może zniszczyć całą cywilizację lub nawet życie ludzi. Najprostszym wyjściem z tej pułapki byłby upadek systemu komunistycznego (do kwestii tej wrócimy w rozdz. „Perspektywy”). Nie wydają się natomiast obiecujące negocjacje rozbrojeniowe prowadzone ze Związkiem Radzieckim od czasów Chruszczowa. Mimo negocjacji śmiertelnie rośnie arsenał, i to rośnie prędkiej u potencjalnego agresora – w ZSRS. Dopiero przekształcenie komunizmu w system demokratyczny prześlędziłoby widmo zagłady, pozwoliłoby na rzeczywiste rozbrojenie. Demokracje nie stanowią bowiem dla siebie nawzajem i dla innych militarnego niebezpieczeństwa. Zaś państwa rządzone przez dyktatury prawicowe nie posiadają rakiet mogących grozić światu i znacznie łatwiej niż komunizm przechodzą w demokrację.

### 2.6. Mity komunizmu

Przewrót bolszewicki w Rosji zbiegł się z okresem wszechstronnego uprzemysłowania w całej Europie, z ekonomicznym i edukacyjnym awansem warstw dotąd upośledzonych. Te obiektywne zmiany, uwypuklone przez likwidację dawnych elit, komuniści przedstawiali jako sukcesy ich systemu. Tak też, subiektywnie, odebrała to część klas awansujących w ZSRS i, po II wojnie światowej, w krajach, do których komunizm wtargnął w ślad za Armią Radziecką. Tak również, powierzchownie połączyli te sprawy intelektualiści, przeważnie zachodni o orientacji socjaldemokratycznej. Dali się oni zwieść sowieckiej retoryce – socjalistycznym hasłom równości i sprawiedliwości społecznej, którym komunizm zaprzeczył w praktyce, lecz ciągle mami nimi wielu.

Wszystko to, razem z pewnymi osiągnięciami nowego ustroju we wstępnym etapie uprzemysłowania (centralizacja środków, pionierski entuzjazm wielkich budów itp.) i z niekwestionowanym wkładem narodów ZSRS w pokonanie faszyzmu – złożyło się na mityczny obraz komunizmu jako ustroju humanitarnego i postępowego.

### 2.7. Sprzeczność komunizmu z przemianami cywilizacyjnymi.

Obecnie kończy się kilkudziesięcioletnia koniunktura komunizmu. Otwierają się oczy najbardziej zaślepionych, którzy nawet zbrodnie systemu usiłovali tłumaczyć na jego korzyść.

Komunizm gwałci humanitarne wartości i blokuje rozwój. Nie ulega kwestii, że monopol władzy politycznej, środków produkcji i środków masowego przekazu stoi w sprzeczności z nadciągającą cywilizacją informatyczną. Wymaga ona wolności myśli i inicjatyw. Nie da się kroczyć jej szlakiem, tłumiąc twórczość i przedsiębiorczość, fałszując historię, okłamując innych siebie samych.

### 2.8. Potrzeba aktywności.

W nowoczesnym wyścigu ducha i umiejętności komunizm skazany jest na klęskę. Nie możemy jednak biernie oczekiwać końca tego systemu. Szkodom, jakie on

przynosi i zagrożeniom, jakie stwarza, mamy obowiązek się przeciwstawić. Im szybciej odrzucą go kraje będące w jego mocy, tym lepiej dla nich i dla ludzkości.

### 2.9. Co zamiast komunizmu.

Mimo moralnego spustoszenia już wyrządzonego przez komunizm, nie uległy jeszcze zniszczeniu wewnętrzne mechanizmy obronne. Większość ludzi żyjących w tym systemie wciąż jest mu przeciwna. Patrzymy: gdziekolwiek i jakkolwiek komuniści przejęli władzę, nigdy nie odważyli się potem na demokratyczne, wolne wybory – ponieważ by przegrali.

Mieszkańcy tzw. socjalistycznego obozu czują, że komunizm jest społecznym złem, ale nie wiedzą, na co by go zamienić i jak tego dokonać. W demokracjach Zachodu podziwiają dobrobyt, chcieliby jednak czegoś więcej niż pogoni za pieniądzem. Razi ich egoizm i bezideowość tamtych społeczeństw – po części faktyczne, lecz przejawione przez propagandę. Życie w zachodnich demokracjach jest nie tylko bogatsze i uczciwsze niż w komunizmie – jest to życie ludzi wolnych. A komunizm trzeba zamienić na ustrój, w którym ludzie będą i wolni i solidarni. Tę prostą ideę chcemy wszystkim przekazać i wspólnie ją urzeczywistnić.

## III. NASZA WIZJA

### 3.1. Cel główny

Chcemy niepodległej Rzeczypospolitej Solidarnej, wyzwolenia krajów z niewoli komunizmu, chcemy solidarności ludzi i narodów. Jest to nasz wielki, daleki cel.

W dawne i najnowsze dzieje Polski głęboko wrosły korzenie wolności, demokracji i solidarności. Trzymamy się tych korzeni. Dążymy do ustanowienia w Polsce ustroju demokratycznego. O jego kształcie zadecyduje wola większości w wolnych wyborach, w których rywalizować będą wszelkie orientacje polityczne, partie i stronnictwa.

### 3.2. Władze samorządowe

Chcielibyśmy, żeby w tym ustroju przyjęty w nowożytnej kulturze trójpodział na władze ustawodawczą, wykonawczą i niezawisłą władzę sądowniczą, był uzupełniony władzą typu samorządowego – terytorialną, związkową, pracowniczą. Władze te, reprezentujące struktury zorganizowane od podstawowych do krajowego szczebla, stanowiłyby rodzaj wyreki i przeciwwagi dla aparatu państwowego. Miałyby one przejąć część funkcji tego aparatu. Miałyby artykułować i pilnować interesów swych członków w sporach z władzą państwową, pośredniczyć w uzgadnianiu społecznych kompromisów między regionami, grupami zawodowymi itp.; kompromisów opartych o zasadę solidarności i wspólnego dobra.

Takie samorządowe uzupełnienie władzy politycznej powiększyłoby zakres uczestnictwa obywateli w sprawach publicznych, wzmocniłoby więzi społeczne. Strzeżłoby też przed dyktatem dominującej aktualnie partii, którą po objęciu władzy mogłaby ogarnąć pokusa rządów dyktatorskich. Zwyczajny szary człowiek znalazłby w wybieranych przez siebie (w pracy czy na osiedlu) przedstawicielach, bezpośrednich rzeczników jego codziennych bolączek. Takich rzeczników, którzy sprawy lokalne załatwią na miejscu lub będą starać się o ich załatwienie na wyższym szczeblu.

W sytuacji wielości struktur samorządowych, w demokratycznym otoczeniu, wzorzec „Solidarności” z czasu 16 miesięcy legalnego działania, nie nadaje się do kopiowania. W demokracji władze samorządowe, nie wchodząc w kompetencje władzy państwowej, mają ją uzupełniać i zastępować na określonych polach. Będzie to wymagało stopniowego, praktycznego wdrażania i wypracowania nowych rozwiązań instytucjonalnych – może czegoś w rodzaju samorządowej izby parlamentarnej lub samorządowego senatu. Nie przesadzamy żadnymi schematami.

Naszkicowana tu propozycja wzbogacenia demokracji wydaje się nam zgodna z trendami zmian cywilizacyjnych, ze wzrostem wykształcenia, społecznej podmiotowości, z potrzebą brania we własne ręce problemów, którymi żyje dana społeczność. Dowartościowanie struktur samorządowych odpowiadałoby także pewnemu przełożeniu relacji pionowych: „władza – obywatel”, na powiązania poziome między różnego rodzaju władzami, reprezentującymi różne, częściowo pokrywające się grupy obywateli. W ten sposób ugruntowałyby się społeczna spójność między ludźmi bez uszczerbku dla ich uprawnień i osobowości.

### 3.3. Ramowy kształt gospodarki

Jesteśmy za gospodarką rynkową z równoprawnym dopuszczeniem różnorodnych form własności: prywatnej, spółdzielczej, samorządowej, akcyjnej, komunalnej, państwowej; i różnorodnych form zarządzania przedsiębiorstwami i kapitałem. Swobodna, rynkowa konkurencja z udziałem spółek i firm zagranicznych, z wykluczeniem monopolu czy państwowych gwarancji dla jakiegoś sposobu organizacji produkcji i handlu – pozwoli na rozwój form najlepiej przystosowanych do aktualnego stanu sił wytwórczych i oczekiwań społecznych.

Na efektywność rynkowej gospodarki składa się współdziałanie bazy i regulacji prawnych, z ewoluującym, ale określonym stanem świadomości społecznej. Zwykle najlepiej pracuje się na swoim. Nie ma jednak uniwersalnych, idealnych rozwiązań dotyczących proporcji takich czy innych form własności, polityki podatkowej, metod zarządzania itp. Na mocy dodatniego sprzężenia przeważnie najlepsze okazują się takie modele, które większość uważa za najlepsze. Demokratyczna opinia powinna być więc zawsze uwzględniana w przyjmowanym, otwartym na zmiany, modelu ekonomicznym.

### 3.4. Wybór pracy i problem bezrobocia

Praca powinna być dobrze zorganizowana, doceniana przez pracownika oraz tak wynagradzana, by zapewniała godziwe utrzymanie jemu i rodzinie. We współczesnej gospodarce, opartej na automatyzacji, na rosnącym sektorze nauki i wyspecjalizowanych usług – powszechny dobrobyt najskuteczniej przysparza praca wybrana bez przymusu, nawet ekonomicznego, wybrana zgodnie z zainteresowaniami. Ludzie na ogół chcą i lubią pracować. Są tacy, którzy z powodu choroby czy inwalidztwa pracować nie mogą – tym winno się zapewnić pełne utrzymanie i, gdy się da, pracę na miarę ich możliwości. Są też, w dynamicznej rynkowej gospodarce, tacy, dla których brakuje pracy, bo np. ich zawód traci na znaczeniu lub przegrywają w swym zawodzie konkurencję z lepszymi – tak m.in. pojawia się bezrobocie. Okresowe, związane z przekwalifikowaniem i ze spadkiem dochodów, stanowi ono problem dla osób nim dotkniętych. Ponadto osoby te nie pomnażają dochodu narodowego. Wynikają więc subiektywne i obiektywne szkody, których nie należy lekce-

ważyć. Lecz, jeśli bezrobocie nie przekracza niewielkiego procentu zatrudnionych, ujemne jego skutki społeczne są równoważone z nawiązką przez dodatnie – wymusza rzetelne traktowanie pracy, ciągłe doskonalenie się, nabywanie nowych sprawności itp. W sumie zasiłki dla bezrobotnych mniej obciążają społeczeństwo niż utrzymywanie „na posadach” pracowników, którzy albo nie mają co robić, albo zupełnie sobie nie radzą.

### 3.5. Minimum życiowe

Pozostaje jeszcze zazwyczaj marginalna kategoria osób, które nie chcą się kształcić, przekwalifikowywać, które nie chcą pracować. Święty Paweł pisze: *Kto nie chce pracować, niechaj też nie je* (II Tes.3.10). Często jednak niemożliwe jest odróżnienie bezrobocia wynikłego z nieprzystosowania, nieporadności, psychicznego załamania, od lenistwa i niechęci do pracy w ogóle. Uważamy, że egzystencja każdego człowieka ma samoistną wartość dla społeczeństwa. Demokratycznie rządzony kraj będzie stać na minimum dla każdego – na jedzenie i odzież – niezależnie od tego czy ten ktoś umie czy nie umie, chce czy nie chce pracować. Zapewnienie każdemu takiego minimum przez państwo lub przez władze samorządowe byłoby praktyczną realizacją prawa do życia, wyrazem bezwarunkowej solidarności ogółu z jednostką.

Rozwiązanie takie narusza ekonomiczne prawa rynku (naruszają je również zasiłki dla bezrobotnych). Ale współczesny, elastyczny rynek pracy i kapitału, dóbr i usług jest źródłem takiego materialnego rozwoju, że nie zbiedniejemy, gdy w ten sposób dowartościmy życie każdego człowieka.

### 3.6. Rzeczpospolita Solidarna

Zarysowane powyżej propozycje podziału władzy, typu gospodarki oraz zabezpieczeń socjalnych chcielibyśmy widzieć w niepodległej Polsce. Nie konkretyzujemy instytucji, które będą powstawać w trakcie dochodzenia do takiego ustroju zwanego przez nas solidaryzmem. Ważniejsza od nich będzie ogólna zgoda na zasadę solidarności wolnych obywateli. Idea solidarności stanowi przeniesienie chrześcijańskiego przykazania miłości bliźniego na wzajemne stosunki między grupami społecznymi i między jednostką a wspólnotą. Na tej idei chcemy oprzeć Rzeczpospolitą Solidarną.

Ustrój tu zarysowany jest, w gruncie rzeczy, modyfikacją demokratycznego kapitalizmu. Uwzględnia on doświadczenie i fiasko dziesięcioleci komunizmu oraz społeczne uwarunkowania ukształtowane przez te dziesięciolecia. Niedobór solidarności w klasycznym kapitalizmie, jest tą jego słabością, którą komunizm demagogicznie podnosi jako rzekomy przykład swej „wyższości” ustrojowej. Solidaryzm, w naszym rozumieniu, akcentując na poziomie zasad i instytucji znaczenie solidarności, jest korektą kapitalizmu w dobrym kierunku – wzmacnia więzi międzyludzkie lecz nie absolutyzuje państwa, przedkłada współudział nad konsumpcję lecz nie prowadzi do jakiegoś ujednolicenia, do zaniżania potrzeb i ambicji. Przeciwnie, ustrój ten przed każdym stawia możliwość wybicia się: ekonomicznego – poprzez pracę, rzutkość i przedsiębiorczość; politycznego – poprzez działalność w partiach i organizacjach, we władzach samorządowych i państwowych; kulturalnego – poprzez poszerzenie wiedzy, naukę i twórczość.

W takim ustroju nie zniknęłyby różnorakie tarcia – nieodłączne od samej materii zbiorowości, ale nie byłoby głodu i prześladowań, praca byłaby społeczną powinnością a władza publiczną służbą.

### 3.7. Solidarność między narodami

Dążenie do takiego, w zasadniczych zrębach, ustroju proponujemy narodom i krajom cierpiącym pod rządami obcych lub rodzimych reżimów oraz wszystkich, którzy aprobują wartości leżące u jego podstaw.

Czas budować solidarność między narodami. Odruchy współczucia i materialna pomoc krajów zasobnych dla krajów i regionów dotkniętych głodem czy żywołem – to potrzebne, ale dalece niewystarczające objawy tej solidarności. Społeczeństwa żyjące w demokracji i dobrobycie stanowczo za łatwo zbywają tą pomocą tragedie dziejące się poza ich granicami. Często tłumaczą to „niemieszaniem się w wewnętrzne sprawy”. Tak właśnie 10 lat temu, wobec obojętnego świata, kambodżańscy komuniści wymordowali 1/3 ludności Kambodży. Trzeba się mieszać. Zostawianie bezbronnych ludzi na łasce i niełasce bezwzględnych dyktatur, milcząca akceptacja wolnych wolnych i sytych na totalitarne rządy – byle nie u nich – to polityka samolubna i krótkowzroczna. Ułatwia ona rozprzestrzenianie się komunizmu i terroryzmu, nędzy i bezprawia. Jej zmiana powinna wyrażać się możliwie pełnym wsparciem humanitarnym, informacyjnym, materialnym, a w skrajnych przypadkach militarnych – wolnościowych ruchów oporu w uciskanych społeczeństwach. W ogólności konieczna jest polityka większego zaangażowania sił wolności i demokracji po stronie wolności i demokracji.

### 3.8. Organizacja Demokratycznych Narodów

Organizacja Narodów Zjednoczonych, wbrew nazwie, nie reprezentuje światowej rodziny narodów. Większość państw wchodzących w jej skład jest rządzona nie-demokratycznie. Reżimy te nie mają mandatu przemawiania w imieniu narodów, którym same odebrały prawo głosu. Są też jak najdalej od rzeczywistego popierania demokracji, mimo górnołotnych zapewnień i frazesów. Sytuacja taka wskazuje na potrzebę powołania Organizacji Wolnych Demokratycznych Narodów. Nie szkodzi, że „demokracja” jest pojęciem nieostrym i mogą wystąpić wątpliwości, czy dane państwo może być uważane za demokratyczne. Jest przecież wystarczająco liczna grupa państw bez wątpienia demokratycznych. Państwa te, zazwyczaj zamożne, mogłyby powołać tę Organizację i następnie w swym gronie postanawiać przyjmowanie kandydatów.

Postulowana Organizacja byłaby międzynarodowym autorytetem i ostoją dla krajów biednych i zniewolonych, dla narodów dźwigających się ku niepodległości i demokracji.

### 3.9. Granice

Względem sąsiadów: Niemców, Czechów, Słowaków, Ukraińców, Białorusinów i Litwinów nie mamy żadnych roszczeń terytorialnych. Uważamy, że należy zaniechać granicznych waśni motywowanych daleką czy bliską przeszłością, krzywdą wysiedlonych itp. Po to, by nie mnożyć nowych krzywd.

Narody pod panowaniem komunistycznym, a dążące do niepodległości, tak te, które formalnie posiadają własne państwa, jak i te, które wchodzą w skład ZSRS, powinny zgodzić się na pozostanie w obecnych granicach państw czy republik. Granice, pomocne w zachowaniu narodowych odrębności, powinny stać się otwarte dla przepływu ludzi i idei. Wszelkie inne, dwu czy wielostronne kwestie, należy odłożyć do negocjacji pomiędzy rządami własnych, suwerennych państw. W przeciwnym

wypadku drugorzędne spory przesłonią cele nadrzędne: niepodległość i wyzwolenie z komunizmu.

#### IV. ORGANIZACJA

##### 4.1. Rodowód

Aby móc przekazywać nasze idee i przybliżyć się do celu, budujemy organizację Solidarność Walcząca.

W swym rodowodzie przyznajemy się do chrześcijaństwa, do nowożytnej kultury – humanistycznej i racjonalistycznej, do polskich tradycji wolnościowych, do ruchów robotniczych, walczących o poprawę bytu i prawa dla ubogich.

Bezpośrednio wzięliśmy się ze wspianego ruchu społeczno-narodowego w Polsce – z Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Ruch ten, zrodzony w sierpniu 1980 r. jako wyraz solidarności ze stoczniovcami strajkującymi na Wybrzeżu, wymusił swą legalizację, urósł do 10-milionowego Związku i zatrzęsł samymi podstawami władzy w PRL. Potem został podstępnie, przemocą zdławiony w grudniu 1981 r. i w latach następnych. Ale „Solidarność” ciągle jest obecna w podziemiu, w osobach reprezentujących ją jawnie i jako symbol, w sercach milionów Polaków.

##### 4.2. Powstanie organizacji

Solidarność Walcząca (SW) zawiązała się w czerwcu 1982 r. we Wrocławiu i zyskała przychylną w kołach nastawionych radykalniej niż ówczesne podziemne kierownictwo Związku. Zaczęliśmy od wydawania pism i ulotek, od wezwań do demonstracji i pisania na murach, od wypracowywania kształtu ideowego i organizacyjnego. Robimy to stale. Głoszenie prawd i wartości, przekazywanie informacji, dyskusje metod i sposobów walki uważamy aktualnie za swój pierwszy obowiązek. Wierzymy, że „prawda nas wyzwoli”. Chcemy ją poznawać i krzewić.

##### 4.3. Członkowie i sympatycy SW

Jesteśmy organizacją społeczno-polityczną, której członkiem może być każdy – bez względu na przynależność do innych organizacji, miejsce zamieszkania i narodowość. Do SW wchodzi się po złożeniu przysięgi, w obecności co najmniej dwóch członków (Patrz: „Deklaracja”. Rotę odpowiednio modyfikują niewierzący i nie-Polacy). Przysięga wyraża moralne zobowiązanie, łączy nas duchowo, daje oparcie w trudnych chwilach. Członkostwo jest tajne i nieewidencjonowane.

Tych, którzy nie złożyli przysięgi, lecz popierają nasze ideały i chcą z nami współpracować, uważamy za sympatyków SW.

##### 4.4. Reguły wewnętrzne i struktura SW

Wewnątrz SW kierujemy się zwyczajami demokratycznymi na tyle, na ile konspiracyjna (z konieczności) organizacja może działać demokratycznie w systemie totalitarnym. Ciągłość organizacyjną zapewnia zasada dołączenia osób do władz różnych szczebli – liczy się doświadczenie, oddanie sprawie i możliwości zyskania w działaniu. Na poszczególnych szczeblach kierowania organizacją staramy się o przestrzeganie reguł demokratycznych, o wspólną zgodę na decyzje, przy respek-



## Zasady Ideowe i Program Solidarności Walczącej

towaniu autorytetu szefa danego zespołu. Duże znaczenie odgrywa też zwierzchnictwo nieformalne, jakim darzone są pewne osoby w swych środowiskach.

Stawiamy na inicjatywę i samodzielność ogniw i grup SW. Spoiwem jest dla nas przysięga i ukierunkowany wspólnym celem obieg informacji.

Struktura organizacji krzepnie i dopasowuje się do osobowego i terytorialnego rozwoju, do nowych zadań i koncepcji. Na czele SW stoją: Przewodniczący, Rada i Komitet Wykonawczy. Ich uprawnienia i wzajemne relacje nie są w szczegółach sprecyzowane. W zasadzie do Rady należy wytyczanie strategii politycznej, do Komitetu Wykonawczego – bieżąca koordynacja i opracowywanie taktyki. Przewodniczący zatwierdza istotne decyzje i reprezentuje organizację na zewnątrz.

### 4.5. Zasięg

SW ma terenowe oddziały we Wrocławiu, Katowicach, Lublinie, Poznaniu, Rzeszowie, Gdańsku, Warszawie, Szczecinie, Jeleniej Górze, Toruniu, Łodzi oraz swoje grupy w mniejszych miejscowościach. Wydajemy ok. 20 czasopism, książki, nadajemy audycje radiowe. Mamy swych przedstawicieli w paru krajach Europy Zachodniej i w Ameryce Północnej; swych sympatyków w ZSRS.

### 4.6. Finanse

Członkowie SW nie są zobowiązani do płacenia składek. Finanse na działalność organizacyjną, na pomoc dla represjonowanych czerpiemy wyłącznie z kolportażu naszych wydawnictw oraz z datków od członków i naszych łaskawych ofiarodawców w kraju i za granicą.

### 4.7. Grupy SW

Podstawową komórką SW jest grupa. Skupia ona, zwykle wokół swego szefa, członków i współpracowników SW, którzy razem działają, kształcą i szkolą się, rozbudowują organizację. Grupy takie powstają w różnych kręgach towarzyskich i zawodowych, często są samowystarczalne i same określają sobie zadania.

### 4.8. Środek i sposób na wyzwolenie

SW traktujemy jako główny, dostępny nam środek i sposób na dojście do Rzeczypospolitej Solidarnej. Tylko mocni racją, złączeni wizją i zorganizowani będziemy w stanie skutecznie walczyć z propagandą i aparatem komunizmu. Nasza rola i wkład w tę wyzwoleniczą walkę zależą od zapału, charakteru i zdolności każdego z osobna oraz od stanu organizacji, którą razem budujemy. Organizacji, w której już dziś jesteśmy wewnętrznie wolni.

## V. PROGRAM BIEŻĄCY

### 5.1. Przesłanki programowe

Chcemy aktywnie uczestniczyć w procesie przezwyciężenia i wychodzenia z komunizmu. Chcemy być tego procesu znaczącym czynnikiem – inicjować opór i współdziałać z walczącymi o prawa i sprawiedliwość.

Doceniając rolę kompromisu w osiąganiu celów politycznych, odrzucamy możliwość porozumienia z komunistami – oni wszelkie umowy ograniczające ich władzę

lekce sobie ważą i łamią, gdy tylko mogą. Chcemy tę władzę pozbawić władzy – na rzecz rządu demokratycznego.

Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, czy upadek tego systemu nastąpi stopniowo czy gwałtownie – w rewolucyjnym wybuchu. Najprawdopodobniejsza wydaje się jakaś kombinacja obu wariantów. Wiele zależy będzie od postępowania samych komunistów. My, uważając wyjście ewolucyjne za bezpieczniejsze – również dla nich – chcemy przygotować organizację na każdą ewentualność. Ponadto chcemy swą działalnością już tu i teraz przyczynić się do wzrostu samowiedzy i szeroko pojmowanej niezależności społeczeństwa.

5.2. Cele i postulaty pośrednie – w rozbiciu na kolejne fazy wyswabdzania się z komunizmu.

Faza A – wymuszanych reform ogólnych, w której czynnikiem dominującym będzie zmaganie się z kryzysem społeczno-gospodarczym.

- Stopniowe ograniczanie represji za niezależną działalność społeczno-polityczną.
- Przełamywanie informacyjnego monopolu państwa, aż do zniesienia cenzury i ustaw zabraniających cokolwiek wydawać, kolportować, wygłaszać publicznie, wyświetlać na video itp. (za wyjątkiem pornografii, obelg osobistych i tajemnic państwowych).
- Doprowadzenie do respektowania przez organy władzy praw i przepisów przez nią ustanowionych oraz ich dostosowanie do Paktów i Praw Międzynarodowych.
- Powstrzymanie przerzucania skutków kryzysu wyłącznie na barki ludzi pracy. W odpowiedzi na podwyżki cen wymuszanie podwyżek płac, emerytur i rent.
- Ograniczenie rozbudowy przemysłu zbrojeniowego i produkcji dla produkcji, zamiast dla ludzi.
- Poszerzenie prywatnego i spółdzielczego sektora gospodarki. Obniżenie obciążeń podatkowych, uproszczenie wydawania zezwoleń. Uniezależnienie zarządów spółdzielni od partii.
- Nadanie większych uprawnień samorządom pracowniczym, m.in. prawa do powoływania dyrektora.
- Przekazanie części przedsiębiorstw państwowych na własność załogom, reprezentowanym przez Radę Pracowniczą.
- Przejęcie przez chłopów niezagospodarowanej ziemi należącej do państwa.
- Odebranie państwu monopolu skupu produktów rolnych. Wolny handel artykułami spożywczymi.
- Odebranie państwu monopolu handlu zagranicznego.
- Utrzymanie zasady, że za kredyty udzielane władzom PRL społeczeństwo i jego przyszłe demokratyczne rządy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.
- Przyznanie każdemu obywatelowi PRL paszportu i możliwości wyjazdów zagranicznych (chyba że istnieje sądowe podejrzenie o przestępstwo).
- Zniesienie lub obniżenie do kwot minimalnych cła na artykuły, których brakuje w kraju (samochody osobowe, telewizory, magnetowidy itp.).
- Zezwolenie na działalność więcej niż jednego związku zawodowego w każdym zakładzie pracy.
- Autonomia i samorządność wyższych uczelni.
- Upadek obecnej ekipy władzy, na czele z gen. Jaruzelskim, ekipy skompromitowanej stanem wojennym, blokadą reform i rządami bez widoków na poprawę stopy życiowej.

## Zasady Ideowe i Program Solidarności Walczącej

Faza B – współdziałaniu w rządzeniu krajem niezależnych, zorganizowanych sił społecznych. Czynnikiem dominującym w tej fazie będą procesy upodmiotowienia społeczeństwa i rozdziału władzy politycznej od sfery ekonomicznej.

- Ustanowienie, jeszcze w ramach systemu, rządów nowej ekipy przychylniej demokratycznym reformom.
- Powrót do legalnej działalności NSZZ „Solidarność”. Legalizacja niezależnych związków chłopskich, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, związków twórczych, Stowarzyszenia Dziennikarzy itp. – faktyczna gwarancja swobód związkowych.
- Legalizacja stowarzyszeń producentów i konsumentów, fundacji, stowarzyszeń charytatywnych, patronatu nad więźniami itp.
- Dopuszczenie do działalności ponadzakładowych struktur samorządów pracowniczych.
- Odpolitycznienie szkolnictwa i organizacji młodzieżowych, m.in. harcerstwa.
- Usunięcie komórek PZPR z terenu zakładów pracy. Pełne usamodzielnienie przedsiębiorstw.
- Zniesienie politycznych i biurokratycznych ograniczeń na podejmowanie działalności gospodarczej.
- Wprowadzenie jednolitego dla wszystkich sektorów gospodarki, wymiernego pieniądza oraz rynku kapitałów i papierów wartościowych. Otwarcie kraju dla kapitału spółek ponadnarodowych.
- Wzrost płac realnych i emerytur. Zasiłki dla bezrobotnych. Zmiana systemu wynagradzania, tak żeby nauczyciel nie zarabiał mniej od milicjanta, a inżynier od hydraulika. Cenimy pracę uczciwego milicjanta i fachowego hydraulika, ale chodzi o to, żeby dowartościować wykształcenie i kwalifikacje niezbędne do wyciągnięcia kraju z kryzysu.
- Parcelacja większości Państwowych Gospodarstw Rolnych. Za wyjątkiem PGR-ów specjalistycznych, prowadzących produkcję nasienną, zarodową itp. oraz gospodarstw wzorowych.
- Przeprowadzenie demokratycznych wyborów do samorządów terytorialnych.

Faza C – dochodzenia do pluralizmu politycznego w Polsce i przechodzenia do partnerskich, równoprawnych stosunków między państwami obozu. W tej fazie upodmiotowione społeczeństwo będzie zawiązywać stronnictwa polityczne i wyłoni własną demokratyczną władzę w państwie.

- Przystąpienie do legalnej działalności partii i stronnictw politycznych.
- Odpolitycznienie wojska, milicji i wymiaru sprawiedliwości.
- Doprowadzenie do wolnych demokratycznych wyborów.
- Wycofanie wojsk radzieckich z Polski.
- Ustanowienie nowej formuły stosunków politycznych z państwami ościennymi, weryfikacja umów handlowo-gospodarczych.

Powyższy podział na kolejne fazy służyć może jako pewna konstrukcja porządkująca. Radzi będziemy, gdy rzeczywistość wyprzedzi podziały. Najogólniej – przewidujemy, iż fazy A i B zostaną zrealizowane do połowy lat 90-tych, a faza C jeszcze w tym stuleciu.

### 5.3. Cele różne.

- Wystawienie w Warszawie Pomnika Ofiar Katynia, symbolizującego sowieckie zbrodnie względem Polaków podczas II wojny światowej.

- Wystawienie pomnika górnikom kopalni „Wujek” w Katowicach i ofiarom demonstracji 31 VIII 1982 r. w Lubinie.
- Powtórne zbadanie okoliczności śmierci Grzegorza Przemyska, Piotra Bartoszcze, ks. Jerzego Popiełuszki, Marka Antonowicza i tzw. „niewyjaśnionych przypadków”, w których zginęli ludzie.
- Zadośćuczynienie osobom represjonowanym po wprowadzeniu stanu wojennego: wypłata odszkodowań rodzinom ofiar; przyznanie godziwych rent tym, którzy utracili zdrowie w wyniku pobicia, więzienia; przywrócenie do pracy zwolnionych z przyczyn politycznych itp.
- Otwarcie w większych miastach schronisk dla bezdomnych (podobnych do Schroniska im. Brata Alberta we Wrocławiu).
- Przyznanie prawa do organizowania się do nauki mowy ojczystej i religii Polakom w ZSRS.
- Transmisja również w telewizji niedzielnej mszy św.
- Pięciodniowy tydzień pracy i wszystkie soboty wolne od zajęć szkolnych.

#### 5.4. Stanowcze postanowienie

Przytoczona lista celów i postulatów nie pretenduje do kompletności, nie ustala terminów i kolejności. Jesteśmy gotowi zabiegać o nie wraz z różnymi podmiotami, nie wykluczając kół bliskich władzy. Lecz ani powodzenia, ani porażki na tej ścieżce nie przekonają nas do porozumienia z rządem komunistycznym. Będziemy z uporem prowadzić prace i przedsięwzięcia, które, wierzymy, przywiodą nas do Rzeczypospolitej Solidarnej. Oto one (w punktach):

#### 5.5. Walka o serca i umysły

Potęgą, której słusznie boją się tyrani, jest niezniszczalne pragnienie do życia w prawdzie i wolności. Można je przytłumić i zepchnąć z pola świadomości społecznej. Można nazwać mrzonką. Do czasu.

Prowadzimy walkę o odrzucenie kłamstwa i wewnętrznej niemocy. O to, żeby ludzie uwierzyli w realność swych marzeń, wtedy okażą się one realne, wtedy razem – wygramy.

Będziemy rozpowszechniać idee i wartości, które wyznajemy. Będziemy:

- Świadczyć za tymi wartościami sobą. Postępowaniem i postawą odciskać własne piętno na otoczeniu.
- Zwiększać zasięg oraz poprawiać poziom i jakość naszych wydawnictw.
- Poszerzać kolportaż pism i książek niezależnych, w szczególności pokrewnych nam ideowo.
- Sprowadzać do kraju wydawnictwa emigracyjne, kasety, sprzęt poligraficzny itp.
- Wydawać teksty w językach obcych i przerywać je do krajów ościennych.
- Docierać do nowych środowisk i regionów (ulotki, hasła i symbole na murach, wysyłka listów itp.).
- Wzywać do niezależnych manifestacji (1 Maja, 31 Sierpnia).
- Rozbudować Radio SW.
- Zawiazywać i wspierać grupy samokształceniowe.
- Prowadzić podziemne biblioteki, wypożyczalnie nagrań i video.

### 5.6. Walka o poprawę warunków życia

Polacy i wszyscy żyjący w tym systemie stoją przed nierozwiązalnym problemem: praca dla siebie, czy dla komunizmu? Dramat polega na tym, że system marnotrawi i zabiera sporą część naszej pracy. Jedyne doraźne wyjście, to stale powiększać, gdzie się da, obszary społecznej niezależności – duchowej i materialnej. Jeśli chodzi o wykształcenie i fachowość, o kulturę i poziom życia, to im lepiej tym lepiej. Ale jest gorzej, kiedy środki wypracowane przez ludzi idą na zbrojenia, tajną policję, aparat partyjny – na system. Im więcej będą komuniści zmuszeni dać ludziom, tym mniej zostanie na ich nieuczciwe cele. Dlatego będziemy popierać takie ruchy i naciski na władze, które wymuszają więcej praw i samorządności, ograniczają wyzysk. Tak więc:

- Nie uznajemy nielegalnej decyzji o rozwiązaniu NSZZ „Solidarność” i popieramy jego walkę o prawo do zrzeszania się w wolnych związkach zawodowych.
- Popieramy niezależny ruch ludowy – chłopów, którzy od zarania komunizmu w Polsce skutecznie bronią swej ziemi i narodowej tożsamości.
- Popieramy: niezależne harcerstwo, szkolne komitety oporu, ruch Wolność i Pokój, Federację Młodzieży Walczącej, Niezależne Zrzeszenie Studentów, kluby robotnicze i studenckie, Duszpasterstwa Ludzi Pracy i Akademickie, domowe spektakle i wystawy, grupy ekologiczne, gospodarcze, społecznikowskie, antyalkoholowe itp.
- Będziemy rozpoczynać oraz włączać się w spontaniczne i przygotowywane przez „Solidarność” strajki i rewindykacyjne akcje protestacyjne.

Będziemy popierać i wypróbować różne inne formy oporu społecznego:

- Protesty przeciwko szkodliwym warunkom pracy, zagrożeniom ekologicznym.
- Strajki absencyjne.
- Sprzeciwy rad pracowniczych wobec niesprawiedliwego rozdziału płac, świadczeń socjalnych, wobec narzuconych z góry planów itp.
- Odmowy składania przysięgi żołnierskiej w jej obecnym brzmieniu i odmowy służby w wojsku, które nie służy ojczyźnie.
- Odmowy płacenia grzywien, nadmiernych podatków rolnych, wygórowanych opłat za mieszkanie, akademiki itp.
- Bojkot fasadowych struktur i imprez (neo-związki, PRON, bezradne rady, wybory, które nie są wyborami itp.). Jesteśmy za bojkotem neo-związków, gdyż posłuszne partii nie pełnią funkcji związku zawodowego, tumaniają pracowników. Ale przejawy niezależności ze strony członków tych związków, ich protesty na podwyżki cen, starania o warunki pracy załóg – są po naszej myśli. Podobnie odnosimy się do innych fasadowych struktur i ich członków.

### 5.7. Pomoc prześladowanym

Wszystkie reżimy totalitarne prześladują ludzi za niezależną działalność polityczną, za próby samoorganizacji, za głoszenie poglądów przeciwnych oficjalnym; niektóre nawet za praktykowanie religii.

Będziemy inicjować i wspierać akcje na rzecz obrony gnębionych ludzi i narodów:

- o wycofanie wojsk radzieckich z Afganistanu,
- o uwolnienie więźniów politycznych w ZSRR, Chinach i innych państwach komunistycznych,
- o przyznanie narodom ZSRR rzeczywistego prawa do samostanowienia,
- potępiające gwałcenie praw człowieka w RPA, Chile i wszelkich dyktaturach.

Tu, w Polsce będziemy rejestrować, ujawniać i piętnować fakty represjonowania z powodów politycznych. Tak dokonywane w imię bezprawnego prawa obowiązującego w PRL, jak i, tym bardziej, samowolne akty gwałtu, dziejące się zwykle za cichym przyzwoleniem władz.

Będziemy, w miarę możliwości, pomagać represjonowanym i ich rodzinom. Będziemy współpracować z Komisją Praworządności i Interwencji NSZZ „Solidarność”, z Komitetem Helsińskim z ośrodkami akcji charytatywnej Kościoła, ze wszystkimi upominającymi się o prześladowanych.

Należy poniechać upokarzających często praktyk wobec aresztantów i więźniów, zhumanizować cały system penitencjarny. Znacznie wyższy odsetek więźniów w państwach komunistycznych niż demokratycznych wskazuje na kryminogenność komunizmu. Wielu więźniów popolitych to również, pośrednio, ofiary reżimu.

#### 5.8. Współpraca z innymi

Prawda o złowroziej naturze komunizmu powoli dociera do wolnych społeczeństw i ich rządów. Są to nasi potężni, potencjalni sojusznicy. Ale zbyt świeżo mamy w narodowej pamięci Jałtę, strusią politykę umizgów i ukłonów względem dyktatorów, wielomiliardowe pożyczki dla komunistów – żebyśmy już dziś mieli na tych sojusznikach polegać. Tym niemniej ufamy, że w końcu wolne narody dojrzą własny długofalowy interes w popieraniu walczących o wolność. Liczymy na to poparcie.

Z radością powitaliśmy niedawne demokratyczne przemiany w Argentynie, Brazylii, na Filipinach i na Haiti.

Deklarujemy wolę współpracy ze wszystkimi organizacjami i ruchami, które są za wolnością i demokracją.

W szczególności za sprzymierzeńców uważamy:

- Partyzantów antykomunistycznych w tzw. „socjalistycznych” państwach Azji i Afryki.
- Podtrzymujących narodowy, religijny i socjalny opór w europejskich krajach obozu sowieckiego i w ZSRR.
- Emigrantów z tych krajów, którzy na obczyźnie trudzą się dla odrodzenia swych ojczyzn.

Będziemy zabiegać o współpracę z polską emigracją niepodległościową: z Rządem RP na Uchodźstwie (w Londynie), z Kongresem Polonii Amerykańskiej i Kongresami Polonii w innych krajach, z „Pomostem”, z Komitetami solidarności z „Solidarnością”, z partiami emigracyjnymi, z paryską „Kulturą”, z Radiem „Wolna Europa” oraz innymi centrami polskiej myśli niezależnej.

Będziemy starać się o współpracę z międzynarodowymi organizacjami oporu przeciwko różnym totalitaryzmom, z wolnościowymi emigracyjnymi ugrupowaniami Białorusinów, Czechów i Słowaków, Litwinów, Rosjan, Ukraińców, z Czechosłowacką Kartą 77, z ruchem pokojowym w NRD, z przeciwnikami komunizmu w krajach obozu.

Tu w kraju, szanując rozliczne drogi do niepodległości i demokracji, będziemy dążyć do ogólnopolskiego porozumienia politycznych i związkowych struktur podziemnych. Lecz na to, żeby takie porozumienie mogło efektywnie działać i wystąpić jako wiarygodna reprezentacja Polaków, jego sygnatariusze, w tym i nasza organizacja, muszą się wzmocnić.

Tymczasem będziemy nawiązywać i zacieśniać kontakty dwustronne, podobne do tych, jakie mamy m.in. z Ogólnopolskim Komitetem Oporu Rolników, z Liberalno-Demokratyczną Partią „Niepodległość”, z Konfederacją Polski Niepodległej, ze związkowymi strukturami w Warszawie, na Dolnym i na Górnym Śląsku.

5.9. Umacnianie organizacji – to zadanie warunkujące możliwość wykonania innych zadań. Będziemy:

- W działaniu zyskiwać doświadczenie i umiejętności pomocne teraz w rozbudowie SW, potem w budowie wolnej, demokratycznej Polski.
- Dążyć do osobowego i terytorialnego rozwoju organizacji. Zakładać nowe grupy SW: środowiskowe, zakładowe, osiedlowe. Starać się o powstawanie kolejnych oddziałów w Polsce, o zdobywanie sympatyków i zawiązywanie grup SW w krajach obozu.
- Tworzyć młodzieżowe grupy SW – praktyczne szkoły charakteru, bezinteresowności i solidarności dla pokolenia, które ostatecznie pokona komunizm.
- Usprawniać wewnętrzny przepływ informacji, sposoby uzgadniania decyzji i formy kierowania organizacją.
- Zabiegać o poparcie naszych idei i celów przez umysłowe i fachowe elity w kraju i na emigracji.
- Zabiegać o propagandowe i rzeczowe wsparcie naszej walki przez demokratyczne partie, stronnictwa i związki w wolnym świecie.

5.10. Obrona i samoobrona

Niesprzeciwianie się złu – siła, wtedy gdy ono samo się nią posługuje, oznacza oddanie bezbronnych na pastwę zła.

Komunistyczna władza stosuje przemoc wobec społeczeństwa. Dziś jest ona miarkowana, zasadniczo dlatego, bo władza nie czuje się zagrożona. Kłamstwo i gwałt uprawiane przez dziesięciolecia, posiały zwątpienie i strach, przytłumiły cnotę męstwa.

Uważamy, że społeczeństwo ma obowiązek obrony uciskanych ludzi i niszczonej wartości. W sytuacji nasilenia represji ze strony reżimu, w wypadkach państwowego terroru lub obcej interwencji – podejmiemy, jako organizacja, czynną samoobronę. Chcemy, na ile potrafimy, przygotować się na takie surowe okoliczności. Będziemy:

- Popierać formy cywilnego nieposłuszeństwa i walki „bez przemocy”.
- Zbierać dane o szpiclach i kapusiach, o funkcjonariuszach Służby Bezpieczeństwa.
- Organizować grupy do osłony demonstracji ulicznych.
- Tworzyć grupy samoobrony SW, gotowe czynnie odpowiedzieć na gwałt.
- Rejestrować fakty znęcania się, brutalnych przesłuchań itp. W drastycznych przypadkach nie pozostawiać sprawców bez zasłużonej kary.
- Docierać do patriotów w wojsku i milicji. Ich determinacja i stopień zorganizowania mogą istotnie przyczynić się do społecznej wygranej w razie masowego wybuchu lub groźby obcej interwencji.

Odżegnujemy się od terroryzmu wszelkiej postaci – od uderzeń na oślep, zasady zbiorowej odpowiedzialności, brania niewinnych zakładników itp. W samoobronie i obronie społeczeństwa przed prześladowaniami chcemy wzorować się na chlubnej tradycji Armii Krajowej – z uwzględnieniem zupełnie odmiennej sytuacji i warunków walki.

### 5.11. Na wypadek masowych protestów

Dotychczasowa polityka represji i pozorowanych reform prowadzi do konfrontacji społeczeństwa z władzą. Gospodarka się załamie, cierpliwość się wyczerpie i byle iskra wzniesie płomień buntu biednych, zdesperowanych mas. Ale przed wybuchem może również nie ustrzec władzy polityka faktycznych reform. Powiew swobody i rozbudzone aspiracje mogą ośmielić ludzi do zrywu w celu całkowitej eliminacji komunizmu.

Tak czy tak, nie wolno chować głowy w piasek, lecz trzeba sposobić się koncepcyjnie i organizacyjnie na wypadek bezpośredniego konfliktu. Żeby wiedzieć, czego wówczas żądać i jakimi metodami walczyć.

Oto nasze zamiary i propozycje:

- Tworzyć grupy SW w dużych zakładach pracy i sieć łączności pomiędzy nimi.
- Przygotować rezerwy poligraficzne i inne – do wykorzystania podczas masowych wystąpień.
- Budować łączność radiową między ośrodkami przemysłowymi i z zagranicą.
- Dążyć do solidarnego spotęgowania fali samorzutnych strajków i protestów, które mogą wybuchnąć w jakimś dużym zakładzie, mieście czy regionie – w Polsce lub w innym kraju obozu. Chcielibyśmy móc zapewnić wszystkich, którzy gdziekolwiek wystąpią przeciwko dyktatorom, że nie są i nigdy nie będą sami.

### 5.12. Strajk czynny produkcyjny – nowa forma walki w sytuacji konfrontacyjnej.

Strajki w komunizmie nie są jedynie metodą wymuszania wyższych zarobków czy niższych norm. Masowe strajki przybierają zawsze obrót potyczki z systemem. I zwykle dławione są przemocą.

Strajkowego buntu, gdy już wystąpi, nie rozmieniamy na drobne. Na nic nam same podwyżki płac, które napędzają inflację. Proponujemy żądać wtedy, w ogólnym zarysie, spełnienia przez władze celów i postulatów ujętych w fazy A i B niniejszego programu (Patrz: 5.2.).

Proponujemy też nową formułę – strajki czynne produkcyjne (wstępnie rozważane jesienią 1981 r. w niektórych regionach „Solidarności”):

- Wybrać strajkową radę pracowniczą jako naczelną władzę w fabryce.
- Wezwać dyrektorów, kierowników i administrację do podporządkowania się i współpracy; tych, którzy odmówią, nie wpuszczać do zakładu.
- Usunąć z terenu zakładu komórki PZPR i SB.
- Powołać delegatów do międzyzakładowych rad strajkowych (strajki czynne solidarnościowe). Będą to zaczątki samorządowych władz pracowniczych w regionie.
- I pracować – na swoim. Pokazać, że sami się wyżywimy i sami zorganizujemy sobie pracę. Przy blokadzie wypłat, zablokować wywóz produktów. Rozpocząć własną sprzedaż, tego co można, indywidualnym nabywcom. Pozostałe towary oferować innym, najlepiej również czynnie strajkującym, przedsiębiorstwom. Wiązać stare układy kooperacyjne i poszukiwać nowych.
- Utworzyć własną straż przemysłową i milicję robotniczą.
- Wobec akcji ZOMO i wojska na zakłady, stosować się do rozkazów strajkowych rad pracowniczych. Osłaniać i ukrywać członków tych rad. Zwrócić się o pomoc do całego narodu, do światowej opinii publicznej. Nie dać się podzielić i kontynuować opór wszelkimi dostępnymi środkami. Rozkładowe, przedśmiertne konwulsje upadającego systemu – przetrzymać solidarnie.



## VI. PERSPEKTYWY

### 6.1. Z bliska

Świat wchodzi w epokę po-przemysłową, w epokę cywilizacji informatycznej, do czego komunizm jest strukturalnie nieprzystosowany. Już wyraźnie wyblakła atrakcyjność tej ideologii. System upada. Są dwie możliwości: albo komunizm będzie ewoluował, czyniąc kolejne ustępstwa na rzecz demokracji i gospodarki rynkowej, albo jego rosnące zacofanie i pogłębiający się kryzys sprawia, że jedyną ostoją dla władzy będzie policja i rządy terroru. Oba przypadki oznaczają koniec systemu. Pierwszy – na skutek samolikwidacji, drugi – na skutek zapaści cywilizacyjnej.

Jest jeszcze trzecia możliwość: wojna rozpętana przez komunistów w obliczu wymykania się im władzy. Ta groźba poraża wolę oporu wewnątrz systemu i chęć pomocy ciemionym ze strony wolnych społeczeństw. Groźbą tą komunizm szantażuje świat.

Przed pół wiekiem demokracje stały przed podobnym, choć mniej dramatycznym dylematem. Wybrały politykę kompromisów z Hitlerem. Wiadomo, co z tego wynikło.

Jasne jest, że każda demokratyczna zmiana w bloku komunistycznym zmniejsza ryzyko wojny. Uważamy, że komuniści nie poważą się na globalną awanturę w sytuacji wewnętrznego oporu i zewnętrznej presji. Natomiast nowe zdobycze i uległość poddanych narodów mogą tylko rozzuchwalić dyktatorów i popchnąć ich do nieobliczalnych posunięć. Dlatego taktyka ustępstw i niemieszania się w wewnętrzne sprawy imperium radzieckiego jest nieomal ślepotą polityczną, która pospolity strach i paraliż usiłuje przedstawić jako rozwagę i realizm.

Póki czas, póki władców ZSRR cechuje jeszcze jakiś pragmatyzm, należy osłabiać komunizm na wszystkich polach i dążyć do jego obalenia. Ostatnie lata bardziej zdecydowanej polityki USA, podjęcie badań i prób nad systemem obrony kosmicznej (SDI) - już owocują większą ustępliwością Moskwy w kwestii kontroli zbrojeń i rozbrojenia oraz obecną ograniczoną „odwilżą” Gorbaczowa.

Dla Polaków i wszystkich tkwiących w komunizmie, każdy następny rok jego rządów to niewymierne szkody moralne, a w przyszłości miesiące i lata odrabiania strat ekonomicznych.

Po wyrwaniu się z komunizmu nie od razu zapanuje dobrobyt. Czekają nas pot i mozół. Nie na wiele będzie nas stać. Satysfakcję materialną osiągniemy po czasie, ale prędkiej radości dostarczy nam sensowna, dobrowolna praca dla siebie i dla Polski.

Nie obawiajmy się też dziesięcioleci wyrzeczeń i niedostatku. Popatrzmy jak teraz żyją np. Tajwańczycy, biedujący jeszcze w latach 60-tych.

Otworzą się granice dla kapitału ponadnarodowego. Osobowego i finansowego zastrzyku udzieli Polsce Emigracja. A nade wszystko uruchomiony zostanie entuzjizm i ogromny intelektualny ładunek, jaki niesie ze sobą młode pokolenie. To wystarczy, żeby po kilku latach wytężonej pracy wyprowadzić kraj z dołka. Tak, byśmy mogli uczestniczyć w pościgu za czołówką materialnego rozwoju.

### 6.2. Z oddali

Kondycją ludzką jest zmaganie się z losem, co wyklucza podanie recepty na definitywne i jedynie słuszne rozwiązanie spraw społecznych. Nawet duchowe wzorce

– wartości – muszą być przyjmowane równoległe i jednocześnie. Podniesienie którejś wartości do rangi absolutu wynaturza ją i sprowadza do absurdu. Wolność musi iść w parze z równością, a prawa człowieka z jego obowiązkami względem zbiorowości.

Zawsze, w każdym ustroju istnieć będą sprzeczności grupowych interesów i konflikty, których wynikiem winno być dopasowywanie praw i instytucji do zmieniającego się otoczenia, gromadzonych doświadczeń, postępu myśli i wrażliwości.

Tak też traktujemy rzuconą tutaj wizję Rzeczypospolitej Solidarnej i solidaryzmu. Określa ona nie więcej, jak tylko odpowiadającą wyzwaniom współczesności, naturalną alternatywę komunizmu.

Niechby się nam ziściła.

### 6.3. Kierunek walki i życia

Nie będzie lekko. Za wierność, tym prostym przecież celom, przyjdzie nam płacić walką, więzieniem i krwią. A zwycięstwo, które w końcu nastanie, nie okaże się wcale ostateczne. Prawdy i Sprawiedliwości, Wolności i Solidarności trzeba szukać, trzeba im służyć – mieć je nie sposób. Lecz droga do tych ideałów jest najpewniejszą ze wszystkich dróg. Tylko ona wskazuje kierunek życia. Tylko ona przystoi ludziom i społecznościom. My, Solidarność Walcząca, tą drogą idziemy. Pójdź z nami.

Przewodniczący Solidarności Walczącej  
Kornel Morawiecki



Czerwiec 1987 r.

AGENCJA WYDAWNICZA  
SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ  
1987